

# Angelologia



Danielle Trussoni

Przełożyła  
Katarzyna Bartuzi

Świat Książki

*Angelologia - jedna z pierwotnych dwunastu gałęzi teologii  
-znajduje ziszczenie w osobie angelologa, którego znanstwo  
obejmuje zarówno studia teoretyczne nad porządkami  
niebiańskimi, jak i ich proroczą realizację w ludzkich  
dziejach.*

## Jaskinia Diabelskie Gardło, Rodopy, Bułgaria

Zima, 1943 roku

Angelolodzy zbadali ciało. Było nienaruszone, bez oznak rozkładu, skóra gładka jak pergamin. Martwe oczy barwy akwamarynu wpatrzony w niebo. Wokół wysokiego czoła aureola złotych loków, opadająca na rzeźbione ramiona. Nawet szata - suknia utkana z białego, połyskującego metalicznym blaskiem materiału, którego żaden z badaczy nie potrafił zidentyfikować - pozostała nieskalana, jakby istota zmarła w sali szpitalnej w Paryżu, a nie w jaskini, kilkaset metrów pod ziemią.

Znalezienie anioła w tak dobrze zachowanym stanie nie powinno ich dziwić. Paznokcie opalizujące niczym wnętrza muszli ostrygi, długi, gładki, pozbawiony pępka brzuch, niesamowicie przejrzysta skóra -tego właśnie się spodziewali, nawet takiego ułożenia skrzydeł. A jednak wydawał się nazbyt urokliwy, przesadnie żywotny w porównaniu z tym, co dotychczas studiowali wyłącznie w dusznych bibliotekach, rozkładając niczym mapy druki malowideł z okresu quattrocento. Czekali na tę chwilę całe życie. Choć żaden by się do tego nie przyznał, w głębi ducha spodziewali się odnaleźć poczarne zwłoki, strzępy kości i włókien, coś na kształt znaleziska archeologicznego. Tymczasem ich oczom ukazały się delikatna, smukła dłoń, orli nos, różowe usta zaciśnięte w zamrznętym pocałunku. Angelolodzy stali nad ciałem, wpatrując się w nie wyczekująco, jakby spodziewali się, że anioł zbudzi się i zamruga oczami.

## Pierwsza hierarchia anielska



Ta opowieść jest dla was, którzy pragniecie myśłą dojść na szczyt jasności dnia. Kto przegrany wróci wzrokiem w czeluści Tartaru, jakikolwiek skarb by dźwigał, straci, gdy spojrzy w dół.

Boecjusz, O pocieszeniu, jakie daje filozofia\*

---

\* Przekład Gabrieli Kurylewicz i Mikołaja Antczaka, "Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2006, s. 87 (przypisy gwiazdkowe pochodzą od tłumacza).

## Klasztor Świętej Róży, dolina Hudsonu, Milton, stan Nowy Jork

23 grudnia 1999 roku, godzina 4.45

Ewangelina obudziła się przed wschodem słońca, czwarte piętro spowijały cisza i mrok. Po cichu, aby nie zbudzić sióstr odpoczywających po nocnej modlitwie, sięgnęła po buty, pończochy i spódnicę i wyszła boso do wspólnej toalety. Zwykle ubierała się półprzytomna, nie patrząc w lustro. Przez okienną szparę zerknęła na klasztorne ziemie, które świt okrył lekką mgiełką. Przepastny, zaśnieżony dziedziniec sięgał aż po brzeg wijącej się między nagimi drzewami rzeki. Klasztor Świętej Róży wznosił się niebezpiecznie blisko brzegu - za dnia wydawało się, że stoją tu dwa przenikające się klasztory, jeden na ziemi, drugi drżący lekko ponad wodą; iluzję tę latem niweczyły przepływające barki, zimą zaś - zęby lodu. Ewangelina popatrzyła na nurt rzeki - szeroki pas czerni obrębiony czystym, białym śniegiem. Wkrótce poranek pozłoci wodę słońcem.

Ewangelina pochyliła się nad porcelanową umywalką; przemyła twarz zimną wodą, usuwając resztki snu. Nie mogła go sobie przypomnieć, ale trwała we wrażeniu, jakie pozostawił - każdą jej myśl przepelniało niejasne poczucie samotności i dezorientacji. Półprzytomna, zdjęła ciężką, flanelową koszulę nocną i zadrżała w chłodzie łazienki. Stojąc w białych, bawełnianych majtkach i podkoszulku (typowych elementach mniszej garderoby, zamawianych hurtem i rozdzielanych między wszystkie siostry w klasztorze Świętej Róży dwa razy w roku), popatrzyła na siebie analitycznym wzrokiem - na szczupłe ramiona i nogi, płaski brzuch, potargane, ciemne włosy, złoty wisiołek spoczywający na piersi. W szybie zobaczyła odbicie zaspanej młodej kobiety.

Ewangelinę przeszedł dreszcz, zaczęła się ubierać. Miała pięć identycznych czarnych spódnic do kolan, siedem czarnych golfów na zimę, siedem koszulek na guziki z krótkim rękawem, jeden czarny, wełniany sweter, piętnaście par białych, bawełnianych majtek i niezliczone czarne, nylonowe pończochy: tylko to, co potrzebne, ni mniej, ni więcej. Włożyła golf, krótkie, ciemne włosy okryła czepkiem, przycisnęła go mocno do czoła i przypięła czarny welon. Wsunęła pończochy i czarną wełnianą spódnicę, bezwiednie zapięła suwak i guzik, wygładziła materiał. W ciągu kilku sekund znikło jej prywatne „ja”, a pojawiła się siostra Ewangelina, mniszka klaryska od wieczystej adoracji. Ująwszy w dłoń koronkę, dopełniła przeobrażenia. Wrzuciła koszulę nocną do kosza na bieliznę, gotowa rozpocząć nowy dzień.

Siostra Ewangelina przestrzegała godzinnej modlitwy o piątej rano codziennie od pięciu lat, odkąd ukończyła formację i w wieku osiemnastu lat przyjęła śluby. Mieszkała w klasztorze od dwunastego roku życia i znała go tak dobrze, jak zna się temperament ukochanego przyjaciela. Rankiem podążała z dormitorium do konwiktu tą samą drogą. Schodząc po kolejnych piętrach, leciutko dotykała palcami drewnianych balustrad, a miękkie, gumowe podeszwy jej butów ledwie muskały stopnie. O tej porze klasztor stał pusty, spowity błękitnym, grobowym cieniem, ale gdy tylko zaczynało świtać, ożywał, przeobrażając się w ul pracy i pobożności. Cisza wkrótce się rozproszy - siostry tchną życie w klatki schodowe, pomieszczenia wspólnotowe, bibliotekę, stołówkę i setki cel klasztornych, nie większych od szafy.

Ostatnie trzy piętra Ewangelina pokonała biegiem. Do kaplicy trafiłaby z zamkniętymi oczami.

Zszedłszy na parter, skierowała się w stronę ogromnego korytarza -kręgosłupa klasztornego kompleksu. Na ścianach wisiały tu oprawione portrety nieżyjących księży i wybitnych sióstr oraz przedstawienia przeobrażeń klasztoru. Wizerunki setek kobiet wpatrywały się w zdążające n.i modlitwę siostry, przypominając im, że są częścią wieloletniej, szlachetnej społeczności matriarchalnej, która spaja wszystkie kobiety - te żyjące i te, które odeszły - jedną, wspólną misją.

Świadomie ryzykując spóźnienie na modlitwę, Ewangelina przystanąła pośrodku korytarza. To tu, w pozłacanej ramie, wisiał portret Róży z Viterbo, świętej, od której imienia wziął nazwę klasztor - jej małe ręce były złożone do modlitwy, nad głową widniał ulotny nimb. Krótkie było życie Róży. Ledwie skończyła trzy lata, zaczęły do niej szeptać anioły, nakazały jej nieść posłanie wszystkim, którzy zechcą je przyjąć. Róża usłuchała. Na świętość zasłużyła jako młoda kobieta: głosząc dobroć Boga i Jego aniołów w pogańskiej wiosce, została skazana na śmierć za uprawianie czarnoksięstwa. Mieszczanie zaciągnęli ją na stos, związali i podłożyli ogień. Ku niemałej konsternacji gawiedzi Róża nie spłonęła, ale stała w płomieniach przez trzy godziny i rozmawiała z aniołami, gdy ogień

lizał jej ciało. Niektórzy twierdzili wręcz, że otulili ją aniołowie, że to im zawdzięczała niewidzialny pancerz. Zmarła w płomieniach, ale na skutek cudownej interwencji jej ciało pozostało nienaruszone. Przeniesiono je ulicami Viterbo kilkaset lat po jej śmierci - gładkie, młode, nie nosiło żadnych oznak okrutnej śmierci.

Ewangelina ocknęła się, odwróciła wzrok od portretu. Pospieszyła w głąb korytarza, gdzie ogromny, drewniany portal zdobiony płaskorzeźbami przedstawiającymi scenę zwiastowania oddzielał klasztor od kościoła. Kiedy zeszła z wykładziny na bladoróżowy marmur pokryty zielonymi żyłkami, odgłos jej stąpień się wyostrzył. Jeden krok, a zmieniało się wszystko. Powietrze stało się ciężkie od zapachu kadzidła, światło było przesycane błękitem witraży. Na ścianach biały gips ustępował potężnym kamiennym płytom. Sufit wystrzelał w górę. Dopiero po chwili oczy przyzwyczajały się do złotej, neorokokowej obfitości. Wychodząc z klasztoru, Ewangelina oddalała się od ziemskich obowiązków dyktowanych dobrem wspólnoty i miłosierdziem i wkraczała do sfery niebiańskiej, należącej do Boga, Maryi i aniołów.

W początkowych latach pracy u Świętej Róży Ewangelinę raziła mnogość wizerunków aniołów w kościele Matki Bożej Anielskiej. Ich postacie przytłaczały ją, wydawały się wszechobecne i niespokojne. Wyzierały ze wszystkich zakamarków kościoła, niewiele zostało w nim miejsca na inne podobizny. Kopułę główną otaczały serafiny, ołtarza strzegli wyrzeźbieni w rogach marmurowi archaniołowie. Inkrustowane złotem aureole, trąbki, harfy i maleńkie skrzydła pokrywały całe kolumny; rzeźbione główki maleńkich puttów na krańcach ławek hipnotyzowały niczym stado stłoczonych nietoperzy. Ewangelina wiedziała, że przepych wystroju kościoła to dar dla Pana, ofiara, symbol oddania, niemniej w duchu wolała skromny, funkcjonalny klasztor. Podczas formacji ganiła w myślach siostry założycielki, nie mogąc się nadziwić, czemu nie spożytkowały majątku na lepszy cel. Odkąd jednak przywdziała habit, wiele się zmieniło, jej obiekcje i preferencje również, jakby podczas oblóczyn Ewangelina stajała, a następnie na powrót zastygła w nowym, bardziej obłym kształcie. Po pięciu latach życia zakonnego po dziewczynie, którą była kiedyś, nie pozostał ani ślad.

Przystanąła, aby zanurzyć palec wskazujący w kropielnicy, przeżegnała się (czoło, serce, lewe ramię, prawe ramię) i pospieszyła przez wąską, romańską bazylikę, mijając czternaście stacji krzyżowych, ławki z czerwonego dębu z siedzeniami pod kątem prostym i marmurowe kolumny. W bladym świetle przeszła szeroką nawą główną do zakrystii, w której czekały na mszę zamknięte w szafach kielichy, dzwonki i obrusy. Dotarła do drzwi. Wciągnęła głęboko powietrze i zamknęła oczy, jakby chciała je przygotować na porażający blask. Położyła dłoń na zimnej, mosiężnej klamce i nacisnęła ją z biciem serca.

Ukazała się jej kaplica Adoracji, dosłownie wybuchła przed oczami. Ściany połyskiwały złotem, jakby Ewangelina znalazła się właśnie wewnątrz szklawionego jajka Faberge. W prywatnej kaplicy klarysek od wieczystej adoracji z wysoką, centralną kopułą potężne ramy witraży wypełniały niemal całe ściany. Za najważniejsze arcydzieło uchodziły witraże bawarskie umieszczone wysoko ponad ołtarzem, przedstawiające trzy hierarchie niebiańskie: pierwszą - serafinów, cherubinów i tronów; drugą - panowań, mocy i władz; trzecią - zwierzchności, archaniołów i aniołów.

Chóry anielskie, zbiorowy głos niebios. Każdego ranka siostra Ewangelina wpatrywała się w anioły unoszące się na nieboskłonie migocącego szkła, próbując wyobrazić sobie ich przyrodzoną światłość - promienisty blask bijący od nich niczym ciepło.

Dostrzegła klęczące przed ołtarzem siostry Berenikę i Bonifację, które modliły się codziennie między czwartą a piątą rano. Przesuwały w palcach identyczne koronki franciszkańskie na siedem dziesiątek powoli i skrupulatnie, jakby chciały wyszeptać ostatnią sylabę modlitwy z taką samą żarliwością, z jaką wyszptały pierwszą. O każdej porze dnia i nocy w kaplicy klęczały dwie zakonnice w pełnym stroju - przebiegały palcami po rzeźbionych, drewnianych paciorkach, poruszały ustami w zsynchronizowanej modlitwie, niczym siostry syjamskie złączone wspólnym celem przed ołtarzem z białego marmuru. Obiekt ich adoracji znajdował się w złotej monstrancji ozdobionej promieniami, umieszczonej wysoko ponad ołtarzem - biała hostia w eksplozji złota.

Od chwili gdy ksieni klarysek zainaugurowała adorację na początku dwudziestego wieku, mniszki wypełniły modłami każdą minutę każdej godziny, każdego dnia. Minęło blisko dwieście lat, a adoracja trwa nadal, uosabiając łańcuch nieustającej modlitwy, jedyny taki na świecie. Czas odmierzali siostrami godziny spędzone na klęczkach, ciche postukiwanie paciorków i codzienne spacerowanie z klasztoru do kaplicy Adoracji. Godzina po godzinie przybywały tam parami, żegnały się i pokornie klękały przed Panem. Modliły się przy świetle poranka i przy świetle świateł. Modliły się o pokój i łaskę, i kres ludzkich

cierpień. Modliły się za Afrykę i Indie, za Chiny i Europę, za obie Ameryki. Modliły się za zmarłych i za żywych. Modliły się za świat, który upadł, upadł tak nisko.

Siostry Berenika i Bonifacja jednocześnie się przeżegnały i wyszły z kaplicy. Czarne spódnice ich habitów - długie, ciężkie, tradycyjnie skrojone w odróżnieniu od stroju Ewangeliny, habitu zmodyfikowanego po Soborze Watykańskim II - ciągnęły się po wypolerowanym marmurze, kiedy szły do wyjścia, ustępując miejsca kolejnej parze mniszek.

Ewangelina uklękała na poduszce jeszcze cieplej od kolan siostry Bereniki. Po dziesięciu sekundach dołączyła jej partnerka, siostra Filomena. Wspólnie kontynuowały modlitwę, która wzięła swój początek przed pokoleniami, modlitwę, która spajała wszystkie klaryski niczym trwałe łańcuch nadziei. Małeńki, precyzyjnie zdobiony złoty zegar z wahadełkiem, którego tryby i tarcze przesuwają się z łagodną regularnością pod ochronną, szklaną kopułką, pięciokrotnie wybił godzinę. Ewangelinę ogarnęło poczucie ulgi: wszystko w niebie i na ziemi następuje zgodnie z czasem. Pochyliła głowę i zaczęła się modlić. Była piąta.

Kilka lat wcześniej przydzielono Ewangelinie pracę w klasztornej bibliotece - została pomocnicą swojej partnerki modlitewnej, siostry Filomeny. W żadnym razie nie było to stanowisko szczytne - za takie uchodziła praca w Biurze Misji i Rekrutacji - nie dawało też takiego zadowolenia, jak praca charytatywna. Zupełnie jakby chciano podkreślić skromność tej posady, biuro pomocnicy bibliotekarki urządzono w najbardziej podupadłej części klasztoru, na pierwszym piętrze, w głębi korytarza za biblioteką, w pomieszczeniu, w którym wiecznie był przeciąg, ciekły rury, a okna pamiętały czasy wojny secesyjnej - słowem, panowały tam wilgoć i pleśń, od których każdej zimy Ewangelina stale chodziła przeziębiona. W ciągu ostatnich miesięcy kilkakrotnie zapadała na infekcje, po których pozostał jej krótki oddech. Całkowicie winiła za to swoje miejsce pracy.

Jedyną zaletą tego pomieszczenia był widok. Biurko Ewangeliny stało pod oknem wychodzącym na północno-wschodnie ziemie klasztoru i Hudson. Latem słońce zachodziła parą i Ewangelinie wydawało się, że świat na zewnątrz jest wilgotny niczym las równinowy. Zimą słońce pokrywał szron, a ona mogłaby przysiąc, że za oknem ujrzy kolonię pingwinów. Zeskrobywała cienką warstwę lodu nożem do otwierania listów i wypatrywała przejeżdżających wzdłuż rzeki pociągów towarowych i barek na rzece. Widziała zza biurka okalający klasztorne ziemie solidny, kamienny mur - niewzruszoną zaporę między siostrami a światem zewnętrznym. Wzniesiono go jeszcze w dziewiętnastym wieku, aby odizolować zakonnice od społeczności świeckiej, i od tamtego czasu konstrukcja stale podsycala wyobraźnię mniszek. Mur był wysoki na pięć stóp i szeroki na dwie. Wyraźnie odgradzał świat religijny od świeckiego.

Każdego ranka, po godzinnej modlitwie o piątej, śniadaniu i mszy świętej, Ewangelina siadała przy rozklekotanym stole pod oknem. Nazywała go biurkiem, choć nie miał szuflad i pod żadnym względem nie przy pominął połyskliwego, mahoniowego sekretarzyka w gabinecie sios-ry Filomeny. Był za to szeroki i czysty, leżały na nim wszystkie niezbędne przybory. Ewangelina codziennie prostowała podkładkę z kalendarzem, układała ołówki, poprawiała welon na głowie i zabierała się do pracy.

Prawdopodobnie dlatego, że większość listów adresowanych do Świętej Róży dotyczyła klasztornej kolekcji wizerunków anielskich, których główny katalog znajdował się w bibliotece, cała klasztorna poczta trafiała na biurko Ewangeliny. Codziennie odbierała ją z Działu Misyjnego na pierwszym piętrze - pakowała listy do czarnej, bawełnianej torby, po czym zanosila je do pracowni i tam sortowała. Do jej obowiązków należało segregowanie listów w przyjęty sposób (najpierw według daty, później według nazwiska nadawcy), a następnie udzielanie odpowiedzi na oficjalnym papierze listowym klasztoru Świętej Róży - siadała wówczas przy elektrycznej maszynie do pisania w biurze siostry Filomeny, w pomieszczeniu znacznie cieplejszym, do którego wchodziło się wprost z biblioteki.

Praca pomocnicy okazała się spokojna, prosta i przewidywalna, co Ewangelinie bardzo odpowiadało. Dwudziestotrzyletnia mniszka z zadowoleniem konstatowała, że w tym wieku jej wygląd i charakter zdążyły się już ostatecznie ukształtować. Miała wielkie, zielone oczy, bladą skórę i kontemplacyjną naturę. Po złożeniu ostatnich ślubów postanowiła ubierać się wyłącznie na czarno - do końca życia. Nie nosiła ozdób, oprócz, oczywiście, złotego wisiora, pamiątki po matce. Był piękny - antyczna lira wyczelowana w czystym złocie - jednak dla Ewangeliny miał wartość wyłącznie sentymentalną. Po śmierci matki przekazała go jej babka, Gabriella Levi-Franche Valko. Na pogrzebie babka podeszła z wnuczką do kropielnicy, obmyła go i zapięła jej na szyi.

- Obiecuj, że będziesz go nosić dzień i noc, tak jak Angela.

Babka wymówiła imię córki z wdzięcznym akcentem, połykając pierwszą sylabę i akcentując drugą: An-GE-la. Ewangelina ukochała tę wymowę babki i w dzieciństwie nauczyła się ją doskonale naśladować. Podobnie jak rodzice, babka stała się dla dziewczyny co prawda dobitnym, ale tylko wspomnieniem. Naszyjnik tymczasem był namacalny, był trwałym łącznikiem z matką i babką.

Ewangelina westchnęła, rozłożyła pocztę na biurku. Pora zabrać się do pracy. Sięgnęła po pierwszy list, przecięła kopertę srebrnym nożem, rozłożyła kartkę i zaczęła czytać. Od razu wiedziała, że nie jest to jeden ze zwykłych listów, jakie codziennie czytała. W odróżnieniu od nich nie rozpoczynał się od pochwały pod adresem sióstr - czy to za sprawowanie wieczystej adoracji od dwustu lat, za rozległą działalność charytatywną, czy za oddanie sprawie pokoju na świecie. Nie zawierał łaskawego datku ani obietnicy zapisu testamentowego. Dość niezręcznie zaczynał się od prośby.

Szanowna Siostrze, Przedstawicielko klasztoru Świętej Róży, Podczas pracy badawczej prowadzonej na zlecenie prywatnego klienta dowiedziałem się, że pani Abigail Aldrich Rockefeller, szacowna członkini rodu Rockefellerów i patronka sztuki, prawdopodobnie korespondowała przelotnie z ksienią klasztoru Świętej Róży, matką Innocentą, w latach 1943-1944, cztery lata przed swą śmiercią. Z odnalezionych przeze mnie listów matki Innocenty wynika, że obie kobiety łączyła zażyła więź. Wobec braku wzmianek na temat tej znajomości w opracowaniach naukowych dotyczących rodziny Rockefellerów, zwracam się z zapytaniem, czy korespondencja matki Innocenty została zarchiwizowana - w takim wypadku chciałbym prosić o zezwolenie na zapoznanie się z materiałami archiwalnymi. Zapewniam, że uszanuję czas sióstr, mój klient zaś pokryje wszystkie koszty. Z góry dziękuję za pomoc.

Z poważaniem, V.A. Yerlaine

Ewangelina przeczytała list dwukrotnie, ale zamiast od razu wpisać go do ewidencji jak wszystkie inne, poszła prosto do gabinetu siostry Kilomeny, wyjęła ze stosu papierów listowych jeden arkusz, wkręciła go w wałek maszyny do pisania i z nieco większym wigorem niż zwykle napisała:

Szanowny Panie Verlaine,

Klasztor Świętej Róży darzy głębokim poważaniem wszelkie przedsięwzięcia związane z badaniami historycznymi, jednakże obecna polityka klasztoru zakazuje udostępniania naszych archiwów i kolekcji wizerunków anielskich zarówno do studiów prywatnych, jak i do publikacji. Proszę przyjąć najszczerze przeprosiny.

Boże Błogosław.

Ewangelina Angelina Cacciatore, OCPA

Ewangelina podpisała się, przystawiła klasztorną pieczęć, złożyła kartkę i wsunęła ją do koperty. Wystukawszy na kopercie nowojorski adres, przykleiła znaczek i położyła list na stosiku przeznaczonym do wysłania. Miała go dziś zawieźć na pocztę w New Paltz.

Odpowiedź można by uznać za zbyt surową, niemniej siostra Filomena wyraźnie poinstruowała Ewangelinę, aby odmawiała dostępu do archiwów badaczom amatorom, których w ostatnich latach - wraz z rozwojem ruchu New Age i jego obsesją na punkcie aniołów - stale przybywało. Za ledwie sześć miesięcy wcześniej Ewangelina odrzuciła podobną prośbę wystosowaną przez taką właśnie grupę wybierającą się do klasztoru autokarem. Nie lubiła dyskryminować odwiedzających, ale kolekcja aniołów była chlubą sióstr, którym zupełnie nie podobało się, jak na cel ich szlachetnej misji zapatrywali się dzierżący kryształ i talie tarota profani.

Ewangelina z zadowoleniem zerknęła na stos listów. Wyśle je jeszcze tego samego popołudnia.

Raptem zadziwiła ją prośba pana Verlaine'a. Wyciągnęła list z kieszeni spódnicy i raz jeszcze przeczytała stosowny fragment: „Pani Rockefeller...prawdopodobnie korespondowała przelotnie z ksienią klasztoru Świętej Róży, maiką Innocentą, w latach 1943-1944”.

Data zaintrygowała mniszkę. Czterdziesty czwarty był doniosłym rokiem w historii klasztoru, rokiem tak ważnym w świadomości klarysek, że daty tej żadna z nich nie mogłaby przeoczyć. Ewangelina ruszyła w głąb biblioteki, minęła wypolerowane dębowe stoły, na których znajdowały się maleńkie lampki do czytania, i podeszła do czarnych, metalowych, ognioodpornych drzwi na końcu pomieszczenia. Wyjęła z kieszeni pęk kluczy i otworzyła zamki archiwum. Czy to możliwe, zastanawiała się, że prośba pana Verlaine'a ma jakiś związek z wydarzeniami czterdziestego czwartego roku?

Choć zarchiwizowanych przez siostry materiałów był cały ogrom, przeznaczono na nie żałośnie małe pomieszczenie. Wąski pokój wypełniały metalowe półki, na których w



największym porządku stały pudełka. System był prosty i przemyślany: wycinki z gazet składowano w pudełkach po lewej stronie pomieszczenia, klasztorną korespondencję i pisma osobiste zaś - listy, dzienniki i utwory pisane nieżyjących sióstr - po prawej. Na wszystkich pudłach wypisano lata powstania dokumentów i umieszczono je chronologicznie. Najstarsze materiały pochodziły z roku tysiąc osiemset dziewiątego, kiedy założono klasztor, a najnowsze - z roku obecnego, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego.

Ewangelina była dobrze obeznana z zawartością pudeł, w których przechowywano artykuły prasowe, siostra Filomena bowiem powierzyła jej żmudne zadanie powleczenia delikatnych gazetowych wycinków folią poliestrową. Na przycinaniu, sklejanu i układaniu materiałów w pudłach ekologicznych spędziła tak wiele godzin, że ogarnęło ją zwątpienie, gdy uświadomiła sobie, że nie od razu potrafi wskazać odpowiedni karton.

Przywołała w pamięci jaskrawe szczegóły wydarzenia z początku roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego: zimą górne piętra klasztoru doszczętnie strawił pożar. Ewangelina sięgnęła po laminowaną, poźółkłą fotografię: dach stoi w płomieniach, na ośnieżonym dziedzińcu tłoczą się wozy strażackie Seagrave, a setki zakonnic w wełnianych habitach lakich jak te, które do dziś noszą siostry Berenika i Bonitacja - przyglądają się, jak płonie ich dom.

O pożarze opowiedziały Ewangelinie starsze siostry. Owego mroźnego, lutowego dnia setki drżących z zimna mniszek stały w śniegu i patrzyły, jak ogień trawi klasztor. Grupa sióstr dość nieroztropnie wróciła do budynku jedynym przejściem, którego nie zajął jeszcze ogień - schodami we wschodnim skrzydle - by z okien na czwartym piętrze zrzucić żelazne ramy łóżek, biurka, pościel; mniszki próbowały ratować, co się dało. Któraś z sióstr zrzuciła metalowe pudełko z piórami wiecznymi - runęło z hukiem, otworzyło się, a kałamarze wybuchły jak granaty. Pękły od siły uderzenia, a śnieg zabarwiły kolorowe strugi - czerwone, czarne, błękitne. Wkrótce dziedziniec przykryła sterta śmieci: popsute sprężyny, przesiąknięte wodą materace, połamane biurka, okopcone książki.

W ciągu dosłownie paru chwil od stwierdzenia pożaru ogień rozprzestrzenił się po głównym skrzydle klasztoru i zajął szwalnię, pochłonął bele czarnego muślinu i białej bawełny, przedostał się do działu sztuki, zajął pokój do haftowania i strawił stosy robótek i koronek, gromadzonych przez siostry do sprzedaży na kiermaszu wielkanocnym, następnie wtargnął do sali kwiatowej, aby tam zapłonąć w tęczach krepin, z których siostry wycinały żonkile i wielobarwne róże. Doszczętnie zniszczył pralnię - ogromną salę mieszczącą przemysłowych rozmiarów wyżymaczkę i niezliczone żelazka z duszą. Wybuchły słoje z wybielaczem - podsycił ogień i spowił niższe piętra trującymi oparami. Pięćdziesiąt świeżo upranych wełnianych habitów poszło z dymem. Dopiero późnym popołudniem języki ognia zduszono w tłący się dym, ale do tego czasu z klasztoru pozostał stos spalonego drewna i skwiercząca blacha na dachu.

Po chwili Ewangelina odnalazła trzy pudła oznaczone datą: 1944. Domyślała się, że wiadomości o pożarze musiały pojawiać się w gazetach aż do połowy roku czterdziestego czwartego - wyciągnęła odpowiednie pudła, ułożyła jedno na drugim i wyniosła z archiwum, domykając drzwi biodrem. Podreptała do swojego zimnego, ponurego biura, żeby tam zbadać ich zawartość.

W miejscowej gazecie z Poughkeepsie szczegółowo opisano przebieg pożaru: ogień wybuchł w którejś z sal na czwartym piętrze i rozprzestrzenił się po całym budynku. Artykuł zilustrowano ziarnistą, czarno--białą fotografią prezentującą szkielet klasztoru: zwęglone belki. Pod spodem zamieszczono podpis: „Klasztor w Miltonie zniszczony przez poranny pożar”. Z artykułu Ewangelina dowiedziała się, że sześć kobiet, wśród nich matka Innocenta, która być może korespondowała z Abigail Rockefeller, zmarło na skutek zaccadzenia.

Ewangelina głęboko odetchnęła, zmrożona wyobrażeniem zniszczenia ukochanego domu. Otworzyła kolejne pudło i przejrzała plik powleczonych folią wycinków. Do piętnastego lutego siostry zdążyły się przenieść do piwnicy klasztornej - spały na łóżkach polowych, myły się i gotowały w kuchni, pomagały w odbudowie dormitoriów. Jak gdyby nigdy nic, z niezmienną regularnością modliły się w kaplicy Adoracji, której ogień nawet nie tknął. Ewangelina przebiegła wzrokiem artykuł, aż raptem jej uwagę zwróciła linijka na końcu strony w akapicie opisującym wysiłki rekonstrukcyjne. Ku swojemu zdumieniu przeczytała:

Klasztor został niemal doszczętnie zniszczony, jednakże według najnowszych doniesień hojna darowizna rodziny Rockefellerów umożliwi siostron franciszkancom od wieczystej adoracji wierną odbudowę klasztoru Świętej Róży i kościoła Matki Bożej Anielskiej.

Ewangelina odłożyła artykuły na miejsce, znów ustawiła pudła jedno na drugim i odniosła je do archiwum. Na końcu pokoju znalazła pudło podpisane „Pisma ulotne, 1940-1945”. Jeśli matka Innocenta utrzymywała kontakt z osobą tak sławną, jak Abigail Rockefeller, listy powinny znajdować się właśnie tutaj. Ewangelina zdjęła pudła i przyklękła na chłodnej podłodze z linoleum. Znalazła rozmaite druki - paragony za materiały, mydło i świece; program uroczystości bożonarodzeniowych w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym; listy do matki Innocenty od biskupa ordynariusza, w których omawiano przyjęcie nowicjuszek. Z pewnym rozczarowaniem stwierdziła, że niczego więcej tu nie ma.

A może - rozmyślała Ewangelina, odkładając kartki na właściwe miejsce - osobiste listy Innocenty schowano gdzie indziej? Może są w innych pudłach - szczególnie obiecujące wydały się Ewangelinie te podpisane „Korespondencja misyjna” i „Datki zagraniczne”. Już miała po nie sięgnąć, kiedy pod kupką kwitków za klasztorne zapasy dostrzegła wyblakłą kopertę. Wydobyła ją. Była zaadresowana do matki Innocenty. Adres nadawcy wykaligrafowano eleganckim pismem: A. Rockefeller, 10. zachodnia 54. ulica, Nowy Jork. Ewangelina poczuła, jak krew uderza jej do głowy: a więc Verlaine miał rację. Matkę Innocentę faktycznie coś łączyło z Abigail Rockefeller.

Przyjrzała się bacznie kopercie, po czym ją otworzyła. Na jej ręce wypadła cienka kartka.

14 grudnia, 1943 Najdroższa Matko Innocento,  
Śpieszę przekazać pomyślne wieści o naszej sprawie w Rodopach, gdzie - jak mi doniesiono - nasze wysiłki zakończyły się sukcesem. Dzięki przewodnictwu Wielebnej Matki wyprawa dokonała postępów. Śmiem twierdzić, że mój wkład także okazał się przydatny. Celestine Clochette przyjedzie do Nowego Jorku na początku lutego. Wkrótce przekażę kolejne wieści.

Do tego czasu pozostaję szczerze oddana,

A.A. Rockefeller

Ewangelina wpatrywała się w trzymaną w dłoni kartkę. To było niepojęte. Czemu ktoś taki jak Abigail Rockefeller pisał do matki Innocenty? Co oznaczała „nasza sprawa w Rodopach”? Czemu Rockefellerowie pokryli koszty odbudowy klasztoru po pożarze? To wszystko nie miało sensu. Rockefellerowie - z tego, co wiedziała Ewangelina - nie byli katolikami i nie mieli powiązań z diecezją. W odróżnieniu od innych za możnych rodzin z okresu złotego wieku<sup>1</sup> - jak choćby Vanderbiltów - nie mieli w okolicy większych posiadłości. A jednak musiało istnieć wytłumaczenie tak szczodrego daru.

Ewangelina złożyła list pani Rockefeller i schowała do kieszeni. Wychodząc z archiwum, natychmiast poczuła różnicę temperatur - biblioteka zdążyła się już nagrzać. Ze stosu listów do wysłania wyjęła ten zaadresowany do pana Verlaine'a i wrzuciła go do kominka. Kiedy ogień zaczął muskać brzeg koperty, brudząc kopciem różowe spojenie, przyszła Ewangelinie na myśl męczennica, Róża z Viterbo - migotliwe urojenie smukłej dziewczyny, która opiera się oszalałym płomieniom. W następnej chwili mara znikła, jakby uniesiona przez kłąb dymu.

## **Pociąg sieci 8. Auenue Express, stacja Columbus Circle, Nowy Jork**

<sup>1</sup> W historii Stanów Zjednoczonych złotym wiekiem (Gilded Age) określa się lata 1865-1901; był to okres znaczącego wzrostu populacji i ekstrawaganckiego pokazu zbytku klasy wyższej. Cornelius Vanderbilt, przedsiębiorca amerykański, dorobił się wówczas fortuny, rozwijając przemysł okrętowy i kolejowy.

Automatyczne drzwi rozchyliły się, do pociągu wpadł podmuch mroźnego powietrza. Verlaine zapiął płaszcz i wyszedł na peron, powitał go huk dźwięków gwiazdkowego szlagieru - dwaj mężczyźni z dreadami wygrywali Jingle Bells w wersji reggae. Melodia zlewała się z ciepłem setek ciał przemierzających się wąskim peronem. Podążając za tłumem brudnymi szerokimi schodami, Verlaine wyszedł na zaśnieżony świat, szkła okularów w złotych druczianych oprawkach gwałtownie zaparowały. Na wpół ślepy wpadł w ramiona skutego lodem, zimowego popołudnia, po omacku szukał drogi w dojmującym chłodzie miasta.

Kiedy szkła odparowały, Verlaine'owi ukazała się świąteczna gorączka - nad wejściem do metra wisiała jemiola, a niezbyt uradowany Święty Mikołaj Armii Zbawienia wymachiwał mosiężnym dzwonkiem, zachęcając przechodniów, by wypełnili datkami czerwone, emaliowane pudło. Otulone lampkami latarnie rzucały czerwonozieloną poświatę. Tłum nowojorczyków zdązał przed siebie, okrywając się szalami i ciężkimi płaszczami przed lodowatym wiatrem. Verlaine sprawdził datę na zegarku. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że do Bożego Narodzenia zostały zaledwie dwa dni.

Co roku przed Bożym Narodzeniem do miasta zjeżdżały hordy turystów. Co roku Yerlaine obiecywał sobie, że nie postawi stopy w Midtown przez cały grudzień, że zaszyje się w swojej wygodnej, cichej kawalerce w Greenwich Village. Jakimś sposobem udawało mu się przez całe lata spędzać święta na Manhattanie i w ogóle w nich nie uczestniczyć. Rodzice mieszkający na Środkowym Zachodzie wysyłali mu prezent pocztą - otwierał go, rozmawiając z matką przez telefon, i na tym mniej więcej kończyło się jego obchodzenie świąt. W samo Boże Narodzenie umawiał się z przyjaciółmi na drinka, a kiedy mieli już dość martini, wypożyczali zwykle jakiś film akcji. Była to tradycja, na myśl o której Verlaine ogromnie się cieszył, w tym roku zwłaszcza. Ostatnie miesiące były tak pracowite, że nie mógł doczekać się przerwy.

Przepchnął się przez tłum. Kiedy tak szedł po wysypanym solą chodniku, błotnista breja oblepiała jego wyjściowe buty vintage z ażurowym wzorem. Nie miał pojęcia, czemu zamiast wybrać ciepłą, zaciszną restaurację, klient nalegał na spotkanie w Central Parku. Gdyby zadanie nie było tak ważne - i gdyby ta praca nie była obecnie jego jedynym źródłem dochodu - obstawalby przy tym, żeby przesłać raport pocztą, i miałby sprawę z głowy. Ale prowadząc poszukiwania przez kilka miesięcy, przygotowywał dossier, a swoje odkrycia musiał przedstawić w odpowiedni sposób. Poza tym Percival Grigori przykazał Verlaine'owi, aby dokładnie stosował się do jego poleceń. Gdyby Grigori wybrał na miejsce spotkania Księżyc, Verlaine musiałby znaleźć sposób, żeby się tam dostać.

Zaczekał, aż przejadą samochody. Pośrodku Columbus Circle wyrósł przed nim pomnik Krzysztofa Kolumba - potężna postać na granitowej kolumnie wpatrywała się gdzieś w dal na tle gąszczy nagich drzew Central Parku. Verlaine uważał rzeźbę za ohydłą, pretensjonalną, krzykliwą i zupełnie nie na miejscu. Mijając monument, zwrócił uwagę na wyrzeźbionego w cokole, pochylonego nad globusem anioła. Wyglądał jak żywy, jakby za chwilę miał się oderwać od kamienia i wznieść ponad morzem taksówek w zadymione niebo.

Przed Verlaine'em rozpościerał się Central Park - skupisko nagich drzew i ośnieżonych alejek. Przy budce z hot dogami Verlaine ogrzał ręce podmuchem pary, po czym wyminął niańki popychające wózki i przeszedł obok kiosku. Ławki na skraju parku były puste. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wybiera się na spacer w taki mróz.

Verlaine raz jeszcze zerknął na zegarek. Był już spóźniony, czym w normalnych okolicznościach zupełnie by się nie przejął - często przychodził na spotkania pięć czy dziesięć minut po czasie, a niepunktualność przypisywał swojemu artystycznemu temperamentowi. Dziś jednak był przejęty. Wiedział, że klient będzie odliczał upływające minuty, a może nawet sekundy. Poprawił krawat - model od Hermesa z lat sześćdziesiątych, jaskrawoniebieski w żółte fleur des lis, kupiony na aukcji eBay. Kiedy czuł się niepewnie albo obawiał się, że nonszalancki strój może zrobić złe wrażenie, jakimś trafem zawsze wybierał z szafy ubranie zupełnie nieprzystające do okazji. Była to podświadoma reakcja, coś w rodzaju wymierzonego w samego siebie sabotażu, z którego zdawał sobie sprawę dopiero poniewczasie. Szczególnie źle wypadł na randkach i rozmowach o pracę. Zjawiał się na nich w stroju, nie przymierzając, cyrkowca - zbyt kolorowym i zupełnie nieodpowiednim do sytuacji. Najwyraźniej dzisiejsze spotkanie także było dla niego powodem do stresu: nie poprzestał na krawacie vintage. Włożył czerwoną koszulę w cienutkie prążki, białą sportową marynarkę ze sztruksu, dżinsy i ulubione skarpetki ze Snoopym - prezent od byłej dziewczyny. Przeszedł samego siebie.

Otulając się płaszczem - zadowolony, że może zasłonić resztę stroju miękką, neutralną, szarą wełną, Verlaine mocno wciągnął do płuc zimne powietrze. Zacisnął dłoń na dossier, jakby obawiał się, że porwie je wiatr, i zniknął w serpentynach płatków śnieżnych w Central Parku.

## **Południowozachodnia alejka Central Parku, Nowy Jork**

Zdała od wrzawy rozgorączkowanych poszukiwaczy prezentów, ukryta w rękawie lodowatego chłodu, czekająca na ławce w parku postać przypominała zjawę. Wysoki, blade i kruchy jak porcelana Percival Grigori wydawał się ledwie spiralą wirującego śniegu. Z kieszeni płaszczu wyjął biały jedwabny kwadrat i odkaszlnął w niego, powodowany gwałtownym spazmem. Z każdym kolejnym skurczem widok przed oczami zamazywał mu się i drgał, ale gdy tylko atak

ustąpił, mężczyzna na powrót odzyskał ostrość widzenia. Jedwabna chustka pokryła się kroplami świetlistej, błękitnej krwi, jaśniejącej niczym odłamki szafiru na śniegu. Percival nie mógł już dłużej zaprzeczać prawdzie. W ostatnich miesiącach jego stan gwałtownie się pogorszył. Kiedy rzucił zakrwawiony kawałek jedwabiu na chodnik, popękała mu skóra na dłoni. Czuł się tak źle, że najmniejszy nawet ruch był dlań torturą.

Spojrzał na zegarek - Pateka Phillipe'a ze szczerego złota. Wczoraj po południu potwierdził termin spotkania z Verlaine'em i jasno dał mu do zrozumienia, że ma być punktualnie o dwunastej. Tymczasem było już pięć po. Poirytowany pochylił się nad ławką, postukując laską w zamrożoną alejkę. Na nikogo nie lubił czekać, a co dopiero na człowieka, któremu tak hojnie płacił. Ich wczorajsza rozmowa telefoniczna była krótka, konkretna, pozbawiona uprzejmości. Percival nie omawiał interesów przez telefon - czuł, że nie może polegać na tego typu rozmowach - ale mocno się hamował, żeby nie dopytać o szczegóły odkryć Verlaine'a. Na przestrzeni lat rodzina Percivala zgromadziła mnóstwo informacji na temat dziesiątków klasztorów i opactw na całym kontynencie, ale coś tak interesującego, a do tego tak blisko, nad Hudsonem, trafiło się po raz pierwszy.

Poznawszy Verlaine'a, Percival wziął go za ambitnego amatora, świeżo upieczonego absolwenta szkoły biznesu, stawiającego pierwsze kroki na rynku sztuki. Verlaine miał kręcone, kruczoczarne włosy, maniery człowieka, który nie docenia własnych umiejętności, i nosił zupełnie niepa-sujące do siebie spodnie i marynarkę. Uderzało w nim coś typowego dla artysty w tym wieku - wszystko, od ubioru po maniery, było zbyt młodzieńcze, zbyt modne, jakby jeszcze nie znalazł swojego miejsca w świecie; nie takich zatrudniał zwykle Percival do rodzinnych poszukiwań. Verlaine specjalizował się w historii sztuki, malował, dorywczo wykładał w collegeu, dorabiał w domach aukcyjnych i udzielał konsultacji. Bez wątplenia uważał się za człowieka bohemy i przejawiał właściwą jej pogardę dla punktualności. Ale udowodnił, że zna się na tym, co robi.

Percival wreszcie go dostrzegł, zmierzającego doń w pośpiechu. Młodzieniec podszedł do ławki i wyciągnął dłoń.

- Panie Grigori - przywitał się, zdyszany - proszę wybaczyć spóźnienie.

Nie okazując krzty sympatii, Percival uściśnął mu dłoń.

- Mój zegarek jest nadzwyczaj dokładny. Spóźnił się pan siedem minut. Jeśli życzy pan sobie dalej dla nas pracować, w przyszłości będzie się pan zjawiał o czasie.

Spojrzał Verlaine'owi prosto w oczy, ale młody człowiek wydawał się niewzruszony. Percival wskazał na alejkę.

- Przejdziemy się?

- Czemu nie? - odparł Verlaine, ale zerkając na laskę Percivala, dodał: - Możemy też usiąść, jeśli pan woli. Będzie wygodniej.

Percival nie zamierzał siadać, ruszył osnieżoną alejką. Metalowy koniuszek laski postukiwał cicho o oblodzony chodnik. Nie tak dawno Percival był równie przystojny i silny jak Verlaine, nie zważałby na wiatr, lód i ziąb. Przypomniał mu się pewien spacer po Londynie zimą roku tysiąc osiemset czternastego - zamarzała wówczas Tamiza i wiały arktyczne wiatry, a tymczasem on szedł przez kilka mil, a przy tym było mu tak ciepło, jakby nie wychylił się z domowego zacisza. Ale wtedy był kimś innym, był w pełni sił, był piękny. Teraz chłodny wiatr dotkliwie smagał jego ciało. Choć chwytaly go kurcze w nogach, ból stawów popychał naprzód.

- Ma pan coś dla mnie? - odezwał się wreszcie, nie podnosząc wzroku.

- Zgodnie z umową - odparł Verlaine. Kiedy zamaszystym, teatralnym gestem wyciągnął spod pachy kopertę, czarne loki opadły mu na oczy. - Święte pergaminy.

Percival przystanął, niepewny, jak zareagować na żart Verlaine'a. Zważył w dłoni zawartość koperty - była duża i ciężka jak półmisek.

- Mam ogromną nadzieję, że pańskie znaleziska zrobią na mnie wrażenie.

- Sądzę, że będzie pan zadowolony. Raport zaczyna się od historii zakonu, o którym mówiłem przez telefon. Są w nim dane osobowe rezydentek, omówienie filozofii franciszkańskiej, notatki na temat bezcennej kolekcji książek i malowideł zgromadzonych w klasztornej bibliotece i podsumowanie pracy misyjnej klarysek za granicą. Skatalogowałem źródła i zrobiłem fotokopie oryginalnych dokumentów.

Percival otworzył kopertę i przejrzał jej zawartość beznamiętnym wzrokiem.

- To raczej powszechne informacje - rzekł karcącym tonem. - Zupełnie nie rozumiem, w czym dopatrył się pan jakiejś rewelacji.

Wtem coś zwróciło jego uwagę. Wyciągnął z koperty spięty plik. Wiatr odginał rogi kartek, kiedy Percival przeglądał kolejne szkice klasztoru - prostokątnych planów, okrągłych wież, dwóch korytarzy: wąskiego - łączącego klasztor z kościołem, i szerokiego - prowadzącego do wejścia.

- Szkice architektoniczne - wyjaśnił Verlaine.

- Co to za zbiór? - spytał Percival. Przygryzając wargę, kartkował strony. Pierwszy szkic opatrzono stemplem z datą 28 grudnia 1809.

- Oryginalne szkice klasztoru Świętej Róży, podstemplowane i zatwierdzone przez ksienię założycielkę.

- A szkice ziem klasztornych? - dopytywał Percival, wpatrując się w rysunki z nieco większą uwagą.

- Są. Wnętrz też - odparł Verlaine.

- Gdzie je pan znalazł?

- Odkopałem w archiwach sądu okręgowego na północy stanu. Nikt nie miał pojęcia, jak się tam znalazły, ale też pewnie nikt nie zauważył, że nagle znikły. Musiałem trochę pogrzebać. Okazuje się, że plany trafiły do budynku okręgowego w czterdziestym czwartym, po pożarze klasztoru.

Percival popatrzył na Verlaine'a, w jego zachowaniu było coś wyzywającego.

- To naprawdę nie są byle jakie szkice - przekonywał Verlaine. - Proszę spojrzeć na ten. .

Wskazał błady szkic budowli na planie ośmiokąta, podpisany „Kaplica Adoracji”.

- Jest absolutnie wyjątkowy. Ta skala i głębokość - ktoś miał nadzwyczajne oko. Rysunek jest tak precyzyjny, zawiera tak wiele detali, że zupełnie nie pasuje do pozostałych. Z początku myślałem, że pochodzi z innego zbioru - w końcu jest w innym stylu - ale ma taki sam stempel i datę, jak wszystkie inne.

Percival bacznie przyjrzał się szkicowi. Kaplicę Adoracji wyrysowano z nadzwyczajną starannością - zwłaszcza ołtarz i wejście. Na planie nakreślono koncentryczne, rozchodzące się z jednego w drugi kręgi. Pośrodku tych sfer, niczym jajo w ochronnej otoczce, znajdowała się złota pieczęć. Percival zerknął na pozostałe strony - podobną miała każda z nich.

- No, dobrze, a jakie znaczenie ma, pana zdaniem, pieczęć? - spytał Percival, kładąc na niej palec.

- Sam byłem ciekaw - odparł Verlaine i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął kopertę. - Szukałem dalej. To reprodukcja trackiej monety z piątego wieku przed naszą erą. Oryginał odkryto na początku dwudziestego wieku podczas wykopalisk sponsorowanych przez Japończyków na obecnych terenach wschodniej Bułgarii - pradawnym centrum Tracji, kulturowej przystani ówczesnej Europy. Znalezisko wywieziono do Japonii, więc mam tylko tę reprodukcję.

Verlaine otworzył kopertę i pokazał Percivalowi fotokopię powiększonego wizerunku monety.

- Ktoś ostemplował szkice architektoniczne sto lat przed odkryciem monety, a to znaczy, że i pieczęć, i same szkice są zupełnie wyjątkowe. Unikatowa jest zresztą sama moneta. Większość monet z tego okresu przedstawia postacie mitologiczne - Hermesa, Dionizosa czy Posejdona - ale na tej jest instrument: lira Orfeusza. Metropolitan Museum ma sporą kolekcję trackich monet - obejrzałem je wszystkie. Gdyby chciał się pan tam wybrać, są w galerii Greków i Rzymian. Ale takiej pan tam nie znajdzie. Jest jedyna w swoim rodzaju.

Percival Grigori oparł się na spoconej ręczce laski z kości słoniowej, usiłując zapanować nad irytacją. Grube, mokre płatki śniegu opadały przez gałęzie i lądowały na ścieżce. Verlaine najwyraźniej nie miał pojęcia, że dla planów Percivala szkice i pieczęć nie miały najmniejszego znaczenia.

- Doskonale, panie Verlaine - odezwał się Percival po chwili, prostując się z wysiłkiem i surowo wpatrując się w młodego człowieka - ale z pewnością ma pan dla mnie coś jeszcze.

- Słucham? - spytał zdumiony Verlaine.

- Te szkice to doprawdy ciekawe artefakty - oznajmił Percival, zwracając je Verlaine'owi - ale wobec powierzonego panu zadania są rzeczą wtórną. Skoro zdobył pan informacje, które pozwalają powiązać Abigail Rockefeller z tym konkretnym klasztorem, to domyślam się, że szukał pan tam dojścia. Jakiś postęp?

- Pismo z prośbą wysłałem dopiero wczoraj - odparł Verlaine. - Czeka na odpowiedź.

- Czeka pan? - dopytał Percival, unosząc gniewnie głos.

- Nie dostanę się do klasztoru bez zgody.

W głosie młodego człowieka zabrzmiała tylko nuta zawahania, policzki ledwie mu pokraśniały, zachowaniem zdradził lekkie zmieszanie, ale Percival chwycił się tej niepewności z wściekłą podejrzliwością.

- Tu nie ma na co czekać. Albo zdobędzie pan informacje, których poszukuje moja rodzina - miał pan przecież dość czasu i środków - albo nie.

- Dopóki nie dostanę się do klasztoru, nic więcej nie mogę zrobić.

- Kiedy więc skończy pan pracę?

- Trudno powiedzieć. Bez oficjalnej zgody nikt mnie tam nie wpuści. Nawet jeśli ją dostanę, to zanim coś znajdę, mogą minąć całe tygodnie. Wybiorę się tam po nowym roku. To jeszcze potrwa.

Grigori złożył kartki i trzęsącymi się rękami oddał je Verlaine'owi. Starając się zapanować nad gniewem, z kieszeni na piersi wyjął wypełnioną gotówką kopertę.

- Co to? - spytał Verlaine, nie kryjąc zdumienia na widok pliku nowych banknotów studolarowych.

Percival położył dłoń na ramieniu Verlaine'a. Poczul ludzkie ciepło, które wydało mu się obce i pociągające.

- To kawałek drogi - odparł Percival, prowadząc Verlaine'a ścieżką w kierunku Columbus Circle - ale z pewnością dotrze pan tam przed zmrokiem. Premia wynagrodzi pańskie trudy. Proszę zrobić, co do pana należy, i dostarczyć mi dowód powiązań Abigail Rockefeller z klasztorem - wtedy dokończymy rozmowę.

## Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork

Korytarzem na czwartym piętrze, minawszy salę telewizyjną, Ewangelina doszła do koślawych, żelaznych drzwi, które otwierały się na nadpróchniałe, drewniane schody. Pomna miękkości drewna, ostrożnie ruszyła w górę, wzdłuż biegnącej łukiem, wilgotnej kamiennej ściany, aż znalazła się w wąskiej, okrągłej wieży górującej ponad klasztornymi ziemiami. Wieża była jedynym zachowanym elementem spośród pierwotnych wyższych kondygnacji. Wyrastała z samej kaplicy Adoracji - spirala schodów unosiła się ponad pierwszym i drugim piętrzem i otwierała wprost na czwarte, zapewniając siostronom bezpośredni dostęp z dormitorium do kaplicy. Wieżę zaprojektowano właśnie z myślą o skróceniu drogi na nocne modlitwy, jednak mniszki dawno porzuciły ją na rzecz głównych schodów - ogrzewanych i oświetlonych. Pożar w roku czterdziestym czwartym nie dosięgnął wieży, ale Ewangelina wyczuła zastygły w krokwiach dym, jakby pomieszczenie wciągnęło głęboko opary topionej smoły i przestało oddychać. Nie zainstalowano tu elektryczności - światło wpuszczały jedynie ostrołukowe okna wypełnione grubym szkłem ręcznej roboty, rozciągające się wzdłuż całego wschodniego łuku wieży. Nawet teraz, wczesnym popołudniem, gdy w okna niestrudzenie dudnił północny wiatr, pomieszczenie spowijała mroźna ciemność.

Ewangelina podeszła do okna, przycisnęła dłonie do zmrożonej szyby. Anemiczne, zimowe światło dnia opadało w oddali na wzgórze. Nawet najbardziej słoneczne grudniowe dni okrywały krajobraz całunem, wydawało się, że światło pada tu przez grubą soczewkę. W letnie popołudnia odbłask promieni słonecznych zbierał się ponad drzewami, nadając liściom opalizujący odcień; światło zimowe, nawet najjaśniejsze, nie mogło mu dorównać. Miesiąc, może pięć tygodni wcześniej, liście miały jaskrawe barwy umbrzy, czerwieni, pomarańczy, żółci - szachownica kolorów odbijała się w brązowym lustrze rzeki. Ewangelina wyobrażała sobie wówczas pasażerów pociągu sunącego wzdłuż wschodniego brzegu Hudsonu, nowojorczyków wybierających się za miasto, żeby zebrać jabłka albo dynie, wpatrzonych w barwne drzewa. Teraz gałęzie były nagie, a pagórki przykrywał śnieg.

Ewangelina rzadko szukała schronienia w wieży, nie częściej niż raz czy dwa razy w roku, kiedy nachodziły ją myśli, które odsuwały ją od wspólnoty i kazały szukać spokojnego odosobnienia. Zupełnie nie było to przyjęte, żeby jedna z sióstr oddalała się od grupy na kontemplację, toteż Ewangelinę nękały potem przez dłuższy czas wyrzuty sumienia. A jednak nie umiała się temu oprzeć. Wchodząc po schodach, doznawała ulgi, jej umysł natychmiast wyostrzał się i jaśniał - to poczucie tylko pogłębiało się, kiedy patrzyła przez okno na ziemię klasztoru.

Stojąc w oknie, przypomniała sobie sen, który zbudził ją tego poranka. Ukazała się jej matka, która łagodnym tonem mówiła w nieznanym Ewangelinie języku. Próbując przypomnieć sobie jej głos, poczuła ból - właśnie to uczucie doskwierało jej cały ranek - ale nie zbeształa się za to, że o niej myśli. Inaczej być nie mogło. Dziś, dwudziestego drugiego grudnia, przypadała rocznica jej urodzin.

Ewangelina pamiętała tylko niektóre szczegóły - długie blond włosy matki, dźwięk jej głosu, kiedy rozmawiała przez telefon tą szybką, słodką francuszczyzną, sposób, w jaki podnosiła papierosa znad szklanej popielniczki, a przed oczami Ewangeliny rozpyłyła się mgielka dymu. Pamiętała jej olbrzymi cień, przezroczystą ciemność przesuwającą się po ścianie mieszkania w XIV dzielnicy.

W dniu, w którym matka zmarła, ojciec przyjechał po Ewangelinę do szkoły czerwonym citroenem DS. Już samo to było dziwne. Rodzice pracowali w tym samym zawodzie - Ewangelina wiedziała, że ich powołanie jest wyjątkowo niebezpieczne - i rzadko przemierzali się w pojedynkę. Od razu spostrzegła, że ojciec płakał - miał podpuchnięte oczy i popielatą cerę. Usiadła na tylnym siedzeniu, poprawiła płaszcz i zapięła pas. Wtedy ojciec powiedział jej, że matki już nie ma.

- Odeszła? - spytała Ewangelina. Była rozpaczliwie zdezorientowana, nie mogła pojąć, co ojciec usiłuje powiedzieć. - Dokąd?

On pokręcił głową, jakby odpowiedź była niepojęta.

- Zabrali ją - odpowiedział.

Później, kiedy Ewangelina wiedziała już, że Angela została porwana i zamordowana, głowiła się, czemu ojciec użył takich właśnie słów. Matki wcale nie zabrano. Zamordowano ją, usunięto po niej wszelkie ślady, tak jak światło umyka z nieba, gdy słońce tonie za widnokręgiem.

W dzieciństwie Ewangelina nie mogła zrozumieć, jak młodo zginęła matka. Z czasem jednak zaczęła porównywać kolejne lata swojego życia z życiem Angeli, jakby każdy rok był bezcenną, powtórną inscenizacją. W wieku osiemnastu lat matka Ewangeliny poznała jej ojca, Ewangelina zaś przyjęła śluby i została mniszka kłaryską od wieczystej adoracji. W wieku lat dwudziestu trzech - tylu, ile miała teraz Ewangelina - Angela wyszła za mąż. W wieku lat trzydziestu dziewięciu została zamordowana. Porównując życie Angeli z własnym, Ewangelina opłatała je wokół życia matki tak, jak wisteria opłata kratę. Jakkolwiek stanowczo przekonywała samą siebie, że poradziła sobie bez matki, że ojciec zrobił, co mógł, to i tak wiedziała, że nie było chwili, żeby ból po stracie Angeli nie wypełniał jej serca.

Ewangelina urodziła się w Paryżu. Mieszkała z rodzicami w kamienicy na Montparnasse. Zapamiętała mieszkanie w najdrobniejszych szczegółach, jakby wyprowadziła się stamtąd nie dalej jak wczoraj. Pokoje rozległego apartamentu, położone w amfiladzie, miały wysokie, kasetonowe sufity i wielkie okna, przez które wpadało do środka rozproszone, szare światło. Łazienka była wręcz ogromna - co najmniej tak duża, jak łazienka sióstr u Świętej Róży. Ewangelina

zapamiętała ją w chwili, gdy na ścianie na wieszakach czekały przygotowane ubrania matki: lekka, wiosenna sukienka i przewieszona wokół niej jaskrawoczerwona jedwabna chustka. Na dole stały skórzane sandały. Poszczególne części garderoby były ułożone tak, jakby nosiła je niewidzialna kobieta. Pośrodku łazienki znajdowała się porcelanowa wanna, zwarta i ciężka jak żywe stworzenie, z migoczącą wargą wody i zakrzywionymi, szponiastymi stopami.

Kolejnym ważnym wspomnieniem, które Ewangelina stale odtwarzała w głowie niczym film, był spacer z matką w roku jej śmierci. Trzymając się za ręce, szły chodnikami i brukowanymi ulicami tak szybko, że Ewangelina musiała niekiedy podbiegać, żeby dotrzymać matce kroku. Była wiosna, a może tak się tylko Ewangelinie wydawało, bo z donic na parapetach okiennych zwisały obficie kolorowe kwiaty.

Owego popołudnia Angela była niespokojna. Ściskając mocno rękę córki, prowadziła ją przez dziedziniec uniwersytetu - jeśli nie był to uniwersytet, to przynajmniej sprawiał takie wrażenie z powodu wielkiego, kamiennego portyku i tłumu ludzi w podwórku. Budynek wyglądał na wyjątkowo stary, ale w porównaniu z Ameryką wszystko w Paryżu wydawało się stare, Dzielnica Łacińska zwłaszcza. Jedno było pewne: w tej masie ludzi Angela kogoś wypatrywała. Ciągnęła córkę przez tłum, trzymając ją tak mocno, że ręka Ewangeliny mrowiała - był to znak, że musi się pospieszyć, żeby nadążyć za matką. Wreszcie podeszła do nich kobieta w średnim wieku i ucałowała Angelę w oba policzki. Miała czarne włosy i podobne do matki rysy - pięknie rzeźbione, nieco tylko złagodzone wiekiem. Ewangelina rozpoznała babkę Gabriellę, ale wiedziała, że nie wolno jej się do niej odezwać. Angela i Gabriella były pokłócone jak zwykle, a dziewczynce zabroniono mieszać się w ich sprawy. Ewangelina poznała babkę lepiej dopiero kilka lat później, kiedy zamieszkała z nią w Stanach Zjednoczonych.

Choć minęło tyle lat, Ewangelinę do dziś złościło to, że ze spaceru zapamiętała najlepiej coś straszliwie przyziemnego: brązowe kozaki z połyskującej skóry, w które matka schowała nogawki spranych dżinsów. Z niewiadomego powodu przechowała w pamięci każdy szczegół buta - obcas, suwak, który biegł od kostki aż po łydkę, stukot słupka o kamienny chodnik - ale za nic nie mogła sobie przypomnieć kształtu dłoni matki ani krzywizny jej ramion. Postać Angeli rozmasowała się we mgle czasu.

Ewangelina torturowała się myślą, że nie pamięta twarzy matki. Dzięki zdjęciom wiedziała, że była wysoka, szczupła i blada, a włosy często chowała pod czapką w sposób, który przywodził jej na myśl zalotne aktorki francuskie z lat sześćdziesiątych. Ale na każdym zdjęciu twarz matki była tak inna, że Ewangelina nie potrafiła zobaczyć jej w całości. Z profilu nos wydawał się ostry, a usta - wąskie. Pod kątem policzki wyglądały na pełne, a kości policzkowe - na wysokie, niemal azjatyckie. Kiedy patrzyła wprost w obiektyw, przede wszystkim zwracały uwagę jej wielkie, błękitne oczy. Ewangelina miała wrażenie, że twarz matki zmieniała się w zależności od światła i ustawienia aparatu, że nie było w niej nic trwałego.

Po śmierci Angeli ojciec nie chciał o niej rozmawiać. Kiedy Ewangelina pytała, często po prostu się odwracał, jakby jej nie słyszał. A jeśli akurat otworzył do obiadu butelkę wina, czasem podzielili się z córką jakimś strzępem wspomnienia: napomknął, że potrafiła spędzić całą noc w laboratorium i wrócić dopiero o świcie. Ze praca pochłaniała ją do tego stopnia, że zostawiała książki i papiery gdzie popadnie; że pragnęła wyprowadzić się z Paryża i zamieszkać nad oceanem; że Ewangelina dała jej tyle szczęścia. Przez te wszystkie lata, kiedy Ewangelina mieszkała z ojcem, on niezmiennie zniechęcał ją do jakichkolwiek poważniejszych rozmów na temat matki. Kiedy jednak o nią pytała, coś w nim ożywało, jakby witał postać z zaświatów, która sprowadza nań jednocześnie ból i pocieszenie. Nienawidząc przeszłości i wielbiąc ją, ojciec zdawał się radować spotkaniem z duchem, a zarazem przekonywać samego siebie, że Angela nigdy nie istniała. Ewangelina wiedziała, że nie przestał jej kochać. Nie ożenił się powtórnie, nie zawarł też w Stanach zbyt wielu przyjaźni. Przez wiele lat co tydzień dzwonił do Paryża i godzinami rozmawiał w języku, który tak Ewangelinę urzekał - do tego stopnia uwielbiała jego melodię, że przysiadła w kuchni, żeby wsłuchiwać się w głos ojca.

Kiedy Ewangelina miała dwanaście lat, ojciec zawiózł ją do Świętej Róży, powierzył opiece kobiet, które miały zostać jej nauczycielkami, i zachęcał, żeby uwierzyła w świat, w który wierzyły one, ale w chwilach wewnętrznej szczerości Ewangelina przyznawała, że wiara jest cennym i nieosiągalnym dobrem, którego zaznało wielu, jej zaś nie była dana. Z czasem zrozumiała, że bardziej niż wiarę ojciec cenil posłuszeństwo, ponad kreatywność przedkładał wykształcenie nawyków, ponad emocje - powściągliwość. Z czasem dziewczyna wdrożyła się w rutynę i obowiązki. Z czasem straciła więź z matką, babką, z samą sobą.

Ojciec często ją odwiedzał. Spotykali się wówczas w pokoju wspólnotowym - on siedział nieruchomo na kanapie i przyglądał się jej z ogromną uwagą, jakby była eksperymentem, którego wynik chciał zobaczyć. Wpatrywał się w jej twarz jak - nie przymierzając - w teleskop, przez który, jeśli wyteży wzrok, dostrzeże ukochaną żonę. Prawda była taka, że Ewangelina pod żadnym względem nie przypominała matki. Jej rysy odwzorowały podobiznę babki Gabrielli, ale to podobieństwo ojciec wolał ignorować. Aż do śmierci przed trzema laty trwał w niezłomnym przekonaniu, że jego jedyne dziecko przypomina ducha.

Ewangelina ścisnęła wisiorek, ostry czubek liry wbił się głęboko w skórę dłoni. Wiedziała, że musi się spieszyć - obowiązki biblioteczne czekały, jeśli nie wróci na czas, siostry zaczną się zastanawiać, gdzie też ona się podziewa - porzuciła więc myśli o rodzicach i skupiła się na zadaniu.

Przykłęka na podłodze i obmacała palcami szorstki mur. Po chwili, w trzecim rzędzie cegieł od dołu, wyczuła luz. Wsunęła wisiorek w szczelinę, podważyła luźną cegłę i wyjęła ją. Sięgnęła po schowane w głębi wąskie, stalowe pudełko. Już samo dotknięcie chłodnego metalu ukoilo jej umysł, jakby solidność przedmiotu przeczyła ulotności wspomnień.

Ewangelina postawiła pudełko na podłodze i otworzyła wieczko. Wewnątrz znajdował się niewielki dziennik w skórzanej oprawie ze złotą klamrą w kształcie anioła, obłego i długiego jak pióro wieczne. Miał oczy z błękitnego szafiru, a za naciśnięciem skrzydeł klamerka otwierała się - na kolana Ewangeliny wysypały się kartki. Skóra była już wytarta,



oprawa - luźna. Na pierwszej stronie widniała złota pieczęć z napisem „Angelologia”. Ewangelina zaczęła przeglądać kartki - odręczne mapy, notatki spisane atramentem w różnych odcieniach, szkice aniołów i instrumentów muzycznych na marginesach. Dwie środkowe strony wypełniała partytura. Mnóstwo kart zawierało zapiski - analizy historyczne i biblijne - a ostatnią ćwiartkę wypełniały cyfry i niezrozumiałe obliczenia. Dziennik należał wcześniej do jej babki. Teraz stanowił własność Ewangeliny. Pogłaskała skórzaną okładkę. Tak bardzo pragnęła zrozumieć zawarte w środku tajemnice.

Z tyłu w okładkę włożone było zdjęcie, na którym uwieczniono obejmujące się matkę i babkę. Zrobiono je w tym samym roku, w którym przyszła na świat Ewangelina - dzięki dacie na obwódce fotografii Ewangelina wiedziała, że matka musiała być wtedy w trzecim miesiącu ciąży, choć na zdjęciu jej stanu nie można by się domyślić. Ewangelina wpatrywała się w fotografię z bolącym sercem. Obie kobiety wyglądały na bardzo szczęśliwe. Ewangelina oddałaby wszystko, żeby znów z nimi być.

Wróciła do biblioteki z radosnym wyrazem twarzy, żeby nie dać po sobie niczego poznać. Ogień w kominku wygasł, podmuch zimnego powietrza połaskotał obrąbek jej spódnicy. Sięgnęła po czarny, rozpinany sweter i otuliła nim ramiona, po czym weszła w głąb biblioteki - pomieszczenia na planie prostokąta - aby kontynuować poszukiwania. W długie, zimowe miesiące stale palono w kominku, któraś z sióstr najpewniej zapomniała zamknąć drzwiczki. Zamiast to zrobić, Ewangelina otworzyła je na oścież. Sięgnęła do długiego stojaka po szczapę - skręcony pień jodły - ułożyła ją pośrodku żelaznej kraty, obłożyła papierem i podpaliła. Ścisnęła mosiężne uchwyty miechów i skierowała na ogień kilka lekkich podmuchów - po chwili, zachęcony, rozpalił się mocnym płomieniem.

Choć dziennik babki nie przestawał Ewangeliny zadziwiać, nie poświęciła zbyt wiele czasu na studiowanie tekstów o aniołach, którym klasztor Świętej Róży zawdzięczał w kręgach teologicznych taką renomę. Część tekstów - na przykład historia wizerunków anielskich w sztuce i poważne prace z tej dziedziny, w tym współczesne wydania średniowiecznych syntez .ingelologicznych i dzieł świętego Tomasza z Akwinu czy rozpraw świętego Augustyna o roli aniołów we wszechświecie - trafiła do zbiorów już w roku założenia klasztoru, tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym. Zgromadzono ponadto piśmiennictwo z zakresu angelomorfizmu, ale były to rozprawy akademickie, które nie cieszyły się zainteresowaniem zbyt wielu sióstr -zwłaszcza młodsze nie spędzały czasu na zgłębianiu porządków anielskich. Zbiory obejmowały także tomy omawiające angelologię mniej ortodoksyjnie: choć klasztorna wspólnota traktowała adeptów ruchu New Age oziębło, były tu prace na temat rozmaitych kultów aniołów od starożytności po czasy współczesne i spory wybór literatury poświęconej aniołom stróżom. Siostry przechowywały także kolekcję albumów z reprodukcjami, w tym wyjątkowo liczne wizerunki autorstwa Edwarda Burne'a-Jonesa<sup>2</sup>, które Ewangelina szczególnie ukochoła.

Na ścianie naprzeciwko kominka, na podwyższeniu, stał główny rejestr. Siostry zapisywały w nim tytuły wypożyczonych książek - nie ograniczano liczby egzemplarzy, które mogły zabrać do cel, nie określano też terminu zwrotu. Wypożyczanie nie było w żaden sposób uporządkowane, a jednak jakimś cudem ten brak systemu doskonale się sprawdzał, funkcjonując w tym samym, intuicyjnym, matriarchalnym porządku co cały klasztor. Ale nie zawsze tak było. W dziewiętnastym wieku, zanim wprowadzono rejestr, mniszki wypożyczały i zwracały książki wedle woli - odkładały je gdzie popadnie, tam gdzie akurat było miejsce. Prozaiczne zadanie odnalezienia tomu z literatury faktu było nie tyle kwestią szczęścia, ile wręcz cudu. Podobny chaos panował w bibliotece do czasu, gdy siostra Lukrecja (1851-1923) nakazała alfabetyzację zbiorów na początku dwudziestego wieku. Kiedy późniejsza bibliotekarka, siostra Drusilla (1890-1985), zasugerowała wprowadzenie systemu dziesiątkowego Deweya, mniszki wpadły w zbiorową histerię. Zamiast przystać na systematyzację zbiorów, zgodziły się prowadzić rejestr i zapisywać tytuł każdej wypożyczanej książki niebieskim atramentem na grubym papierze.

Ewangelina zwykle szperała w bibliotece ze względów praktycznych. Zaznajamiała się z miejscowymi instytucjami dobroczynnymi sióstr: z bankiem żywności w Poughkeepsie, Grupą Studyjną Ducha Światowego Pokoju w Miltonie, punktami dorocznej zbiórki odzieży organizowanej wspólnie z Armią Zbawienia: od Woodstock po Red Hook. Ale jak każda klaryska, która przyjęła śluby w Świętej Róży, Ewangelina opanowała podstawy wiedzy o aniołach. Wiedziała, że istniały przed powstaniem świata, a ich głosy rozbrzmiewały w próżni, kiedy Bóg tworzył niebo i ziemię (Rdz 1,1-5)<sup>3</sup>. Były istotami bezcielesnymi, nieziemskimi, pełnymi światłości, a jednak mówiły ludzkim językiem: zgodnie z tradycją żydowską - po hebrajsku, według tradycji chrześcijańskiej posługiwały się łaciną i greką. Biblia zawiera zaledwie kilka opisów angelofanii -walkę Jakuba z aniołem (Rdz 32,24-30), wizję Ezechiela (Ez 1,1-14), zwiastowanie (Łk 1,26-38) - jednakże chwile objawienia się aniołów tchnęły niebiańskością, w tych rzadkich przypadkach pękała pajęcza sieć między niebem a ziemią i ludzkość mogła doświadczyć cudu istot bezcielesnych. Ewangelina często rozmyślała o spotkaniu człowieka z aniołem, o ocieraniu się bezcielesności o ciało niczym wiatru o skórę. Uznała wreszcie, że uchwycić w myślach postać anioła, to jak czerpać wodę sitem. A jednak mniszki od Świętej Róży nie ustawały w wysiłkach. Półki biblioteczne ugięły się pod setkami poświęconych aniołom dzieł.

Ewangelina stała jeszcze przed kominkiem, gdy ze zdziwieniem stwierdziła, że oto podeszła do niej siostra Filomena. Osteoporoza odjęła jej wzrostu, ciało starszej mniszki było krągłe i gruszkowate. Stan zdrowia siostry Filomeny ostatnio zaczął Ewangelinę niepokoić - staruszka zapominała o spotkaniach i gubiła klucze. Mniszki z pokolenia Filomeny - nazywane przez młodsze pokolenie starszymi siostrami - musiały pełnić swoje obowiązki aż do późnych lat życia, w latach bowiem po Soborze Watykańskim II liczba zakonnic drastycznie spadła. Siostra Filomena wyglądała na szczególnie

<sup>2</sup> Edward Burne-Jones (1833-1898), angielski malarz i grafik z kręgu prerafaelitów, uważany za prekursora modernizmu.

<sup>3</sup> Przywołany fragment Księgi Rodzaju nie wspomina o obecności aniołów podczas stwarzania świata. Takie opisy pojawiają się w pismach apokryficznych.



przepracowaną i zaabsorbowaną obowiązkami. Reformy posoborowe w pewnym sensie pozbawiły starsze pokolenie emerytury.

Ewangelina pozytywnie oceniała wprowadzone zmiany - mogła nosić wygodny, jednolity strój zamiast staromodnego franciszkańskiego habitu, mogła też korzystać z dobrodziejstw nowoczesnej edukacji: studiować w pobliskim Bard College, aby uzyskać stopień naukowy z historii. Opinie starszych sióstr - przeciwnie - zastygły w czasie. Dziwnym trafem jednak w wielu kwestiach Ewangelina wyznawała poglądy równie konserwatywne, jak te spośród starszych sióstr, których przekonania ukształtowały się za Roosevelta, podczas wielkiego kryzysu i drugiej wojny światowej. Ewangelina zgadzała się zwłaszcza z siostrą Ludwiką, najstarszą z klarysek, stuczteroletnią, która polecała młodszej mniszce siadać obok i słuchać opowieści o tym, jak było kiedyś.

- Za moich czasów nie było całego tego laissez-faire - tego nonsensu, że człowiek może robić ze swoim czasem, co mu się żywnie podoba - mawiała siostra Ludwika, pochylając się na wózku i opierając drżące, chude ręce na kolanach. - Nie zdążyliśmy jeszcze same przyswoić nauk, a już posyłano nas do sierocińców i szkół parafialnych, żebyśmy uczyły innych! Pracowałyśmy cały dzień i modliłyśmy się całą noc! W celach nie było ogrzewania! Kąpałyśmy się w zimnej wodzie, a na kolację jadłyśmy owsiankę i ziemniaki. O książki było trudno, więc nauczyłam się na pamięć całego Raju utraconego Johna Milтона, żeby potem recytować uczniom te jakże cudowne słowa: „To wąż piekielny; on to był, którego podstęp zrodzony z zawiści i zemsty oszukał matkę ludzi, gdyż go pycha z Niebios strąciła, a wraz z nim zastępy jego aniołów zbuntowanych, z których pomocą pragnął wzbić się w wielkiej chwale ponad równymi sobie i uwierzył, że Najwyższemu dorówna, gdy zechce opór Mu stawić; mając ów cel dumny, rozpoczął wojnę bezbożną w Niebiosach, przeciw tronowi i królestwu Boga bój tocząc próżny”<sup>4</sup>. Czy dzieci też się uczyły Milтона na pamięć? Oczywiście! A teraz? Szkoda słów, dzisiaj zamiast nauki jest tylko zabawa.

Siostry różniły się w ocenie posoborowych zmian, niemniej tworzyły harmonijną rodzinę. Klasztor chronił je przed zmiennymi kolejami losu świata zewnętrznego, z którymi musieli borykać się ludzie świeccy. Ziemie wraz z zabudowaniami klasztornymi zakupiono pod koniec dziewiętnastego wieku i choć istniała pokusa, aby budynki zmodernizować, zakonnice nie brały pożyczek pod hipotekę. Uprawiały warzywa i owoce, hodowały kury, które znosiły pięćdziesiąt jaj dziennie, zapełniały spiżarnię przetworami. Klasztor był tak dobrze zabezpieczony, tak suto zaopatrzony w żywność i leki, tak doskonale przystosowany, aby zadbać o intelektualne i duchowe potrzeby swoich mieszkanki, że mniszki żartowały czasem, że gdyby nadszedł drugi potop i objął dolinę Hudsonu, to one mogłyby po prostu zablokować ciężkie, żelazne wrota u obu wejść, zamknąć szczelnie okna i kontynuować wieczystą adorację przez długie lata w swojej samowystarczalnej arce.

Staruszka wzięła Ewangelinę za rękę i poprowadziła do swojego gabinetu, gdzie pochyliwszy się nad sekretarzykiem, zaczęła czegoś pilnie szukać, opierając rękawy habitu na klawiszach maszyny do pisania. Podobne poszukiwania nie były niczym wyjątkowym. Filomena była niemal zupełnie ociemniała - grube szkła okularów przysłaśniały nieproporcjonalnie dużą część jej twarzy - a Ewangelina często odszukiwała dla niej rozmaite zguby.

- Muszę cię prosić o pomoc - powiedziała wreszcie staruszka.  
- Oczywiście - odparła dziewczyna. - Proszę tylko powiedzieć, czego siostra szuka.  
- Wydaje mi się, że otrzymałyśmy list w sprawie naszych wizerunków. Jakiś młody człowiek z Nowego Jorku - badacz czy konsultant - dzwonił do matki Perpetuy. Twierdzi, że wysłał pismo. Czytałaś je może? Gdyby trafiło do mnie, na pewno bym pamiętała. Matka prosiła, żebyśmy postąpiły zgodnie z polityką klasztoru. Mamy od razu udzielić mu odpowiedzi.

- List przyszedł dopiero dziś - wyjaśniła Ewangelina.  
Siostra Filomena zerknęła przez grube szkła, wyteżyła wzrok, usiłując dojrzeć swoją pomocnicę.

- Czytałaś go?  
- Oczywiście. Odbieram pocztę i od razu ją sprawdzam.  
- Była w nim prośba o informacje?

Ewangelina nie przywykła do tego, aby ktoś w tak bezpośredni sposób przepytował ją na temat jej pracy.

- O dostęp do archiwum. I konkretne zapytanie na temat matki Innocenty.

Po twarzy siostry Filomeny przeszedł cień.

- Odpisałaś?  
- Udzieliłam standardowej odpowiedzi - odparła Ewangelina, pomijając fakt, że zniszczyła list, zamiast go wysłać. Taka dwulicowość była dla niej czymś zupełnie obcym. Niepokojące było przede wszystkim to, że okłamywała Filomenę z taką łatwością. - Grzecznie odmówiłam. Wyjaśniłam, że nie udostępniamy naszych zbiorów badaczom amatorom, bo to niezgodne z naszą polityką.

- Świetnie - odparła Filomena, wpatrując się w Ewangelinę z wyraźnym zainteresowaniem. - Nie możemy lekkomyślnie wpuszczać byle kogo do naszego domu. Matka Perpetua nakazała odrzucać wszelkie prośby.

Interwencja matki Perpetuy wprawiła Ewangelinę w zdumienie. Perpetua była kobietą mrukliwą i powściągliwą, którą Ewangelina widywała tylko z rzadka. Ksieni słynęła z nieugiętych przekonań i dość gwałtownego stylu zarządzania; starsze siostry podziwiała ją za oszczędność, ale nie pochwalały jej hołdowania nowoczesnym wzorcom. To właśnie ona nakazała im iść z duchem dobroczynnych posoborowych reform i pozbyć się ciężkich, wełnianych habitów na rzecz strojów z lżejszych materiałów - starsze mniszki jednak ani myślały zastosować się do tej sugestii.

<sup>4</sup> Przekład Macieja Słomczyńskiego.

Ewangelina odwróciła się, chcąc odejść, ale wówczas siostra Filomena chrząknęła, co zawsze oznaczało, że nie skończyła i że jej pomocnica powinna jeszcze chwilę zostać.

- Przepracowałam w archiwum wiele lat, drogie dziecko - powiedziała - i każde zapytanie rozpatrywałam z ogromną uwagą. Odrzuciłam prośby wielu natrętnych badaczy, pisarzy i rzekomych wiernych. Strażniczki bram dźwigają ogromną odpowiedzialność. Ale przyjdzie taki dzień, kiedy nie da się dłużej czekać i obserwować, kiedy trzeba będzie działać i naprawić błędy przeszłości. Proszę, żebyś informowała mnie o wszelkiej nietypowej korespondencji.

- Oczywiście - odparła Ewangelina, zdumiona żarliwym tonem Filomeny. Po chwili, nie mogąc pohamować ciekawości, dodała: - Zastanawiałam się nad czymś, siostrzo.

- Tak?

- Czy w życiu matki Innocenty wydarzyło się coś nadzwyczajnego?

- Nadzwyczajnego?

- Coś, co mogłoby zainteresować prywatnego badacza, historyka sztuki?

- Moja droga, nie mam pojęcia, co interesuje takich ludzi - odparła Filomena i cmoknęła głośno, odprowadzając Ewangelinę do drzwi. - Sądziłam, że dość powstało malowideł i rzeźb, żeby zapewnić badaczom zajęcie do końca życia. A jednak nasz zbiór budzi nieodpartą ciekawość. Nigdy dość ostrożności, moje dziecko. Poinformujesz mnie, jeśli nadejdą kolejne prośby?

- Naturalnie - odpowiedziała Ewangelina, a serce nagle zaczęło jej szybciej bić.

Siostra Filomena najwyraźniej wyczuła niepokój młodej pomocnicy, bo podszedłszy bliżej - tak blisko, że Ewangelina czuła jej mineralny zapach, może talku, a może kremu na artretyzm - wzięła Ewangelinę za rękę i ujęła jej palce w swoje ciepłe, pulchne dłonie.

- Nie ma powodów do obaw. Nie wpuścimy ich. Będą się dobijać, ale my im nie otworzymy.

- Oczywiście - przytaknęła Ewangelina, uśmiechając się pomimo oszołomienia. - Dziękuję siostrze za troskę.

- Nie ma za co, moje dziecko - odparła Filomena, ziewając. - Gdyby ktoś mnie szukał, do wieczora będę na czwartym piętrze. Już czas na drzemkę.

Filomena wyszła z biblioteki, a Ewangelina pogrążyła się w otchłani poczucia winy i zaczęła rozmyślać o tym, co się właśnie wydarzyło. Żałowała, że oszukała przełożoną, ale też nie mogła się nadziwić jej przedziwnej reakcji na list i gorliwości, z jaką pragnęła strzec klasztornej kolekcji przed obcymi. Ewangelina nie była przekonana, że wynikało to wyłącznie z konieczności zapewnienia niezbędnego do kontemplacji spokoju, o który wszystkie mniszki tak bardzo się starały. Reakcja staruszki na wieść o liście wydawała się przesadna, ale co podkusiło Ewangelinę do tak zuchwałego i nieusprawiedliwionego kłamstwa? To był lakt: okłamała starszą siostrę. Ale nawet ten występki nie ostudził jej ciekawości. Co łączyło matkę Innocentę z panią Rockefeller? Co miała na myśli Filomena, mówiąc, że nie wpuszczą tu obcych? Dlaczego miałyby nie dzielić się wspaniałym zbiorem ksiąg i wizerunków? Co siostry miały do ukrycia? Ewangelina spędziła w Świętej Róży tyle lat - blisko połowę swojego życia - jednak nigdy przedtem nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Mniszki klaryski od wieczystej adoracji wiodły przykładne życie.

Ewangelina wsunęła dłoń do kieszeni i wyciągnęła cienki, podniszczony, półprzezroczysty arkusz. Pismo było kwieciste i zgrabne - dziewczyna przyjrzała się łukom i pętłom liter.

Nasze wysiłki zakończyły się sukcesem. Dzięki przewodnictwu Wielebnej Matki wyprawa dokonała postępów, śmiem twierdzić, że mój wkład także okazał się przydatny. Celestine Clochette przyjedzie do Nowego Jorku na początku lutego. Wkrótce przekażę kolejne wieści. Do tego czasu pozostaję szczerze oddana,

A.A. Rockefeller

Ewangelina raz jeszcze przeczytała cały list, usiłując pojąć jego treść. Ostrożnie złożyła cienki papier i schowała go do kieszeni, wiedząc, że nie będzie mogła skupić się na pracy, dopóki nie dowie się, co takiego łączy panią Abigail Rockefeller z klasztorem Świętej Róży.

## 5. Aleja, Upper East Sicie, Nowy Jork

Czekając na windę, Percival Grigori postukiwał czubkiem laski -rytm ostrych, metalicznych uderzeń odliczał kolejne sekundy. Tak dobrze znał wyłożony dębową boazerią hol budynku, w którym mieszkał - ekskluzywnej, przedwojennej kamienicy z widokiem na Central Park - że właściwie przestał go już zauważać. Rodzina Grigorich zajmowała penthouse

od pół wieku. Być może kiedyś Percival zwracał uwagę na poważanie okazywane mu przez odźwiernego, na wykwinny bukiet orchidei przy wejściu, na okno windy zdobione polerowaną kością słoniową i masą perłową, na jarzący się kominek, z którego sączyła się na marmurową posadzkę strużka światła i ciepła. Teraz jednak nie zauważał niczego poza przeszywającym bólem stawów i strzykaniem w kolanach przy każdym kroku. Drzwi windy rozsunęły się, a on, kulejąc, wszedł do środka. Zerknął na odbicie swojej przygarbionej postaci w wypolerowanym mosiądzu i szybko odwrócił wzrok.

Na trzynastym piętrze drzwi windy otworzyły się na marmurowy korytarz, Percival wszedł do apartamentu. Sam widok prywatnych salonów - antyków i mebli nowoczesnych, polerowanego drewna i połyskliwego szkła - ukoił jego zmysły i rozluźnił napięcie w ramionach. Rzucił klucze na jedwabną poduszkę na dnie porcelanowej chińskiej wazy, zsunął ciężki, kaszmirowy płaszcz na poręcz tapicerowanego krzesła i przeszedł przez trawertynowy korytarz. Ukazały mu się ogromne wnętrza - pokój dzienny, biblioteka i jadalnia rozświetlona blaskiem czteroramiennego weneckiego żyrandola. Z gigantycznych okien roztaczał się widok na park, inscenizujący właśnie chaotyczny balet burzy śnieżnej.

Krzywizna zdobnych schodów w najdalszym zakątku apartamentu prowadziła do pokoi matki. Percival zerknął w górę - w pokoju gościnnym zgromadziło się grono jej przyjaciół. Niemal codziennie ktoś bywał na lunchu lub obiedzie, były to improwizowane spotkania, podczas których matka dopieszczała ulubionych przyjaciół z sąsiedztwa. Stały się one rytuałem, który nadzwyczaj przypadł jej do gustu, głównie dlatego, że dawał jej poczucie władzy: wybierała ludzi, z którymi pragnęła się spotkać, i zamykała ich w wyłożonym ciemnym drewnem labiryncie prywatnych pokoi, kiedy reszta świata wiodła swój nudny, nędzny żywot. Już od lat z rzadka tylko wychodziła na zewnątrz, zawsze w towarzystwie Percivala lub jego siostry, wyłącznie nocą. Ten układ stał się dla niej tak wygodny, a życie tak wypełnione zajęciami, że zwykle nie narzekała na odosobnienie.

Po cichu, aby nie zwrócić na siebie uwagi, Percival wszedł do łazienki w końcu korytarza, bezgłośnie zamknął drzwi i przekręcił klucz. Kilkoma szybkimi ruchami zdjął wełnianą, szytą na miarę marynarkę i jedwabny krawat i rzucił je na wyłożoną terakotą podłogę. Zaczynając od dołu, drżącymi palcami rozpiął sześć opalizujących guzików. Zerwał koszulę i stanął wyprostowany przed wielkim lustrem.

Położył ręce na piersiach szczelnie zakrytych poprzeplatany, skórzanymi pasami. Miał na sobie coś w rodzaju skomplikowanej uprzęży z zawilim systemem zapieć - gdy były zaciśnięte, przypominało to czarny gorset. Pasy były tak mocno naciągnięte, że poprzecinały skórę. Nie wiedzieć czemu, niezależnie od tego, jak ją mocował, uprzęż zawsze wrzynała mu się w ciało. Z trudem chwytając powietrze, Percival wyswobadzał się, rozluźniając pasy jeden po drugim, z rozmysłem rozpinając maleńkie srebrne klamerki, aż wreszcie przy odpięciu ostatniej uprzęż opadła, plaskając o podłogę.

Nagie ciało Percivala było gładkie, bez sutków i pępka, skóra - biała niczym z wosku. Obróciwszy się nieco, Percival oglądał w lustrze swoje odbicie - ramiona, długą brodę, rzeźbiony łuk torsu. Pośrodku pleców, błyszczące od potu i zdeformowane przez ucisk uprzęży, sterczały dwie wypukłości kostne. Z bólem patrzył na swoje skrzydła - kiedyś w pełni rozwinięte, silne, zakrzywione, złote szable - w stanie pełnego rozkładu. Ich resztki szerniały od choroby, pióra uschły, kości zanikały. Na środku pleców widniały jęczące się rany, z żelatynowatej kałuży skrzepniętej, błękitnej krwi wzywały dwie nadpsute kości. Rany nie chciały się goić, bandażowanie ani przemywanie nie przynosiło ulgi. Ale Percival był w pełni świadom, że prawdziwa agonია nastąpi dopiero wówczas, gdy po skrzydłach nie zostanie ani śladu. To, co go wyróżniało, to, czego zazdrościli mu inni, zniknie.

Pierwsze symptomy choroby wystąpiły dziesięć lat wcześniej, kiedy wzdłuż promieni chorągiewek pojawiły się ślady fosforyzującej, zielonej pleśni rozrastającej się niczym patyna na miedzi. Z początku Percival myślał, że to zwykła infekcja. Przykazał, aby bacznie się jego skrzydłami zajmowano - czyszczono je i pielęgnowano, codziennie natłuszczano każde najdrobniejsze piórko - jednak zaraza nie ustępowała. W ciągu kilku miesięcy rozpiętość skrzydeł zmniejszyła się o połowę. Zanikła blada, złota poświata będąca oznaką zdrowia. Wcześniej gładko się składały, a zwiewne skupienie piór kurczyło się do rozmiarów bruzd na plecach, przez co stawało się zupełnie niewidoczne. O ile skrzydła są jak najbardziej z materii, o tyle wykazują wizualne właściwości hologramu. Anioły są istotami cielesnymi, ale zupełnie nie podlegają prawom fizyki, toteż Percival bez trudu rozwijał niegdyś skrzydła poprzez warstwy ubrań i z lekkością unosił je w powietrzu.

Teraz nie mógł ich schować, toteż stale przypominały mu o chorobie. Ból stał się nie do zniesienia, a latanie - niemożliwe. Zaniepokojona rodzina sprowadziła specjalistów, którzy potwierdzili najgorsze obawy: Percival nabawił się choroby zwyrodnieniowej, która szerzyła się po całej społeczności. Lekarze przewidywali, że najpierw obumrą skrzydła, a potem mięśnie. Wkrótce chory będzie przykuty do wózka. Kiedy jego skrzydła całkowicie uschną, a ich korzenie rozmiękną do cna - umrze. Lata leczenia spowolniły postęp choroby, ale jej nie zatrzymały.

Percival odkręcił kurek i przemył twarz chłodną wodą, aby złagodzić gorączkę. Tylko dzięki uprzęży nadal trzymał się prosto, choć z coraz większym trudem, mięśnie bowiem stale słabły. Od miesięcy już nie mógł obyć się bez niej, a ból stał się nasilał. Percival nie przyzwyczał się do skórzanych pasów, a klamerki kłuły go niczym igły, ciało ciągle piekło, miał wrażenie, że pęka. Wielu, będąc w takim stanie, wybierało życie z dala od tego świata. Ale nie takiego losu chciał dla siebie Percival.

Wziął do ręki kopertę Verlaine'a. Z zadowoleniem zważył ją w ręce, po czym rozpruł ją z delikatnością kota pożerającego uwiecznioną pisklę - rozerwał papier powoli, z rozmysłem. Zawartość wypadła do marmurowej umywalki. Przeczytał raport w nadziei, że znajdzie tam przydatne informacje. Sporządzone przez Verlaine'a podsumowanie było bardzo szczegółowym dokumentem - czterdzieści zapisanych linijka w linijkę stron układających się w czarną, muskularną kolumnę czcionek - ale nie znalazł w nim nic nowego.

Schował dokumenty z powrotem do koperty, wciągnął głęboko powietrze i na powrót nałożył uprzęż. Teraz, kiedy jego skóra nabrała koloru, a palce przestały drżeć, dużo szybciej poradził sobie ze skórzanymi pasami. Włożywszy ubranie, zrozumiał, że pogrzebał nadzieje na reprezentacyjny wygląd. Jego rzeczy były wymięte i przepocone, zwichrzone blond

włosy opadły mu na twarz, oczy były zupełnie przekrwione. Matka byłaby bardzo zatroskana, gdyby zobaczyła go w takim stanie.

Wyglądził włosy i wyszedł z łazienki, by jej poszukać. Kiedy wchodził po schodach, stukot kryształowych kieliszków, pomruk kwartetu smyczkowego i przejmujący śmiech przyjaciół matki stawały się coraz głośniejsze. Przystanął w progu, żeby złapać oddech - najmniejszy wysiłek był ponad jego siły.

Pokoje matki stale wypełnione były po brzegi kwiatami, służbą i plotkami, jakby była hrabiną nieustannie podejmującą śmietankę towarzyską na wieczornym bankiecie. Jednak dzisiejszego popołudnia Percival nie spodziewał się aż tak liczного grona - gości było co najmniej pięćdziesięcioro.

Zebrawali się pod stropem podpartym wspornikami, w stłumionej czapą śniegu jasności gwiaździstego nieba. Na ścianach na piętrze wyeksponowano malowidła, które rodzina Grigorich gromadziła od pięciuset lat - większość odkupiono od muzeów i prywatnych kolekcjonerów, aby móc sycić nimi oczy w domowym zaciszu. Kolekcja wymagała starannej troski - od stosownie klimatyzowanego wnętrza po profesjonalne usługi konserwatorskie - ale z pewnością była tego warta. Zbiór obejmował wiele malowideł mistrzów holenderskich, kilka - artystów doby renesansu i nieliczne dziewiętnastowieczne sztuchy. Główną ozdobę pokoju dziennego stanowił tryptyk Hieronima Boscha Ogród ziemskich rozkoszy - wyjątkowo makabryczna wizja nieba i piekła. Percival dorastał, studiując jego symbolikę, a przy tym alegoria upadku dość wcześnie dostarczyła mu wskazówek na temat ludzkiej natury. Fascynowały go zwłaszcza przynależne wizji piekieł koszarne instrumenty muzyczne: lutnie i bębny w różnych stadiach rozkładu. Doskonała reprodukcja tego obrazu znajduje się w muzeum Prado w Madrycie - jej wykonanie osobiście zlecił jego ojciec.

Ściskając rączkę laski, Percival wszedł w tłum. Zwykle pobłażał towarzyskiej rozpuście w środku dnia, ale dziś czuł się tak fatalnie, że z trudem brnął przez pokój. Pokiwał ojcu dawnego kolegi ze szkoły, związanemu z jego rodziną od wieków - stał na uboczu, prezentując nieskalane, białe skrzydła. Po chwili Percival posłał niemrawy uśmiech modelce, którą kiedyś zaprosił na kolację - cudownej istotce ze szklistymi, błękitnymi oczami, z uznanej szwajcarskiej rodziny. Była jeszcze bardzo młoda, więc nie wyrosły jej skrzydła i nie można było podziwiać całej jej krasoty, ale Percival wiedział, że pochodzi ze starego, potężnego rodu. Zanim zachorował, matka usiłowała go nakłonić, aby się z nią ożenił. Któregoś dnia ta dziewczyna będzie wpływowym członkiem ich społeczności.

Percival tolerował przyjaciół ze starych rodów - co zresztą mu się opłacało - ale nowi znajomi: hałastra nowobogackich zarządców finansowych, magnatów medialnych i innych pochlebców, którzy wkradli się w łaski matki, napawali go odrazą. Oczywiście różnili się od Grigorich, ale większość wykazywała dość podobieństwo, aby zręcznie lawirować w zawilim labiryncie wymaganych przez jego rodzinę szacunku i dyskrecji. Otaczali matkę, zasypywali ją komplementami, z uznaniem wyrażali się o jej poczuciu szlacheckiego obowiązku i w ten sposób zapewniali sobie wstęp na przyjęcie w dniu następnym.

Gdyby to zależało od Percivala, jego rodzina prowadziłaby spokojne życie, ale matka nie potrafiła znieść samotności. Podejrzał, że szukała rozrywek, aby zagłuszyć straszliwą prawdę: ich rodzaj stracił swoje miejsce w porządku rzeczy. Od wielu pokoleń rodzina zawierała sojusze i wykorzystywała sieć relacji przyjacielskich i innych, aby utrzymać swoją pozycję i zapewnić sobie pomyślność. W starym świecie łączyła ich z rodzinnymi dziejami głęboka wielopłaszczyznowa więź. W Nowym Jorku na każdym kroku musieli ją odtwarzać.

Otterley, jego młodsza siostra, stała przy oknie w bladym świetle - była średniego wzrostu, sześć stóp i trzy cale, szczupła, wciśnięta w obcisłą sukienkę, nieco zbyt elegancką jak na tę porę dnia, ale za to bardzo w jej stylu. Włosy miała spięte z tyłu w ciężki kok, a usta pociągnięte pomadką w kolorze jaskrawego różu, zupełnie nie dla kobiety w jej wieku. Otterley była kiedyś nadzwyczaj piękna, ale strawiła młodość w stuletnim ciągu zabaw i chorych związków, które nadwężyły zarówno jej urodę, jak i rodzinny majątek. Już jakiś czas temu rozpoczęła dwusetny rok życia i choć robiła co w jej mocy, żeby zatuszować lata, miała twarz manekina. Starła się bardzo, ale za nic nie mogła przywrócić urody, z jakiej słynęła w dziewiętnastym wieku.

Spostrzegłszy Percivala, podeszła do niego niespiesznie, wyciągnęła nagie ramię, wzięła go pod rękę i poprowadziła przez tłum jak złożonego niemocą. Podążali za nią wzrokiem wszyscy zgromadzeni. Jeśli nie zdarzyło im się robić z Otterley interesów, znali ją albo dlatego, że pracowała w wielu radach rodzinnych, albo z powodu jej bujnego życia towarzyskiego. Przyjaciele i znajomi darzyli siostrę Percivala ogromnym szacunkiem. Nikt nie mógł sobie pozwolić na to, aby stracić jej względy.

- Przepadłeś jak kamień w wodę - skarciła Percivala, zwięzając oczy jak gad. Wychowała się w Londynie, gdzie do dziś mieszkał ich ojciec, a jej chropawy, brytyjski akcent kłuł szczególnie ostro, kiedy była poirytowana.

- Nie wydaje mi się, żeby doskwierała ci samotność - odparował Percival, wodząc wzrokiem po tłumie.

- Znasz matkę - jęknęła z goryczą - z tygodnia na tydzień te imprezy są coraz huczniejsze.

- Więc matka gdzieś tu jest?

Twarz Otterley wykrzywiła się z irytacji.

- Jeszcze niedawno siedziała na tronie i przyjmowała gości. Rodzeństwo przeszło w głąb pomieszczenia, mijając rząd francuskich

okien, które zdawały się zapraszać gości, aby zrobili tylko jeden krok w ich gęstą, przezroczystą głębię i unieśli się ponad mglistym, spowitym śniegiem miastem. Na chwilę zatrzymali ich służący - anakimowie, przedstawiciele klasy nefilimów, których w charakterze służby zatrudniali Grigori i inni dobrze urodzeni.

- Dolać szampana, sir? Dla pani?

Ubrani od stóp do głów w czerń, anakimowie byli niżsi i raczej drobnej kości w porównaniu z istotami, którym służyli. Matka ubierała ich w czarne uniformy i aby odróżniali się od gości, kazała im nosić skrzydła na wierzchu. Różnica była

widoczna na pierwszy rzut oka, zarówno pod względem kształtu, jak i rozpiętości. O ile goście - przedstawiciele istot wyższej klasy - mieli skrzydła muskularne i opierzone, o tyle skrzydła służących przypominały błonę, babie lato zatopione w opalizującej warstwie szarości. Niemniej za sprawą tych owadzych wyrostków służący zadziwiali precyzją lotu, stosując szybkie, płynne ruchy. Mieli wielkie, żółte oczy, wysokie kości policzkowe i bladą skórę. Percival przekonał się o ich nadzwyczajnych umiejętnościach przed wielu laty, kiedy cały ich rój spadł z nieba na korowód wozów, którymi mieszkańcy uciekali przed bombardowaniem Londynu. Anakimowie rozrywali ludzi na strzępy z przerażającą łatwością. Wtedy właśnie Percival zrozumiał, czemu ich rodzaj uważano za chimeryczny i nieprzewidywalny, stworzony jedynie po to, by służyć istotom wyższym.

Na każdym kroku rozpoznawał przyjaciół i znajomych rodziny - stali wokoło, sącząc szampana z podłużnych, migocących, kryształowych kieliszków. Dźwięki rozmów zlewały się w powietrzu, tworząc jeden nieustający gwar. Rozprawiano o urlopach, jachtach i interesach - tematy pogawędek były równie charakterystyczne dla gości matki, jak błysk ich amentowych ozdób i mieniący się okrucieństwem śmiech. Zebrani lustrowali go od stóp do głów - wpatrywali się w jego buty, zegarek, przez chwilę zatrzymywali wzrok na lasce - ale tylko dzięki Otterley domyślali się, że ten chory, zniszczony dżentelmen to Percival Grigori III, dziedzic nazwiska i fortuny rodu.

Rodzeństwo wreszcie znalazło matkę, Sneję Grigori, rozciągniętą na ulubionej kanapie - imponującym, gotyckim meblu z drewnianymi poręczami, na których wyrzeźbiono rojowisko węży. W ciągu tych kilkudziesięciu lat, które minęły od przeprowadzki do Nowego Jorku, Sneja przybrała na wadze i nosiła wyłącznie luźne, zwiewne tuniki, które oplatały jej ciało jedwabistymi draperiami. Potężne, wielobarwne skrzydła lekko rozchyliła i ułożyła tak, aby goście mogli je podziwiać, obnosiła się z nimi jak z rodzinnymi klejnotami. Kiedy Percival do niej podszedł, ich jasność niemal go poraziła, każde, nawet najdelikatniejsze piórko połyskiwało jak skrawek folii aluminiowej. Nie tylko Sneja była z nich dumna. Jej skrzydła były chlubą całej rodziny, stanowiły nadzwyczajny okaz i dowód czystości rodowej. Obdarowanie babki Percivala ze strony matki skrzydłami, jakich nie widziano od tysiąca lat - różnokolorowymi, o rozpiętości trzydziestu sześciu stóp - było tytułem do chwały. Krążyły pogłoski, że na podobnych wzorowali się tacy autorzy podobizn anielskich, jak Fra Angelico, Lorenzo Monaco i Botticini. Skrzydła, jak powiedziała kiedyś Percivalowi matka, były symbolem ich krwi, ich pochodzenia, ich dominującej pozycji w społeczeństwie. Właściwie je prezentując, zdobywali władzę i prestiż, jakże więc wielkie było jej rozczarowanie, że ani Otterley, ani Percival nie wydali na świat dziedzica tego rodowego daru.

Właśnie dlatego Percival był poirytowany, że Otterley chowała skrzydła. Zamiast, jak się spodziewano, obnosić się z nimi, trzymała je złożone tuż przy ciele, jakby była zwykłą hybrydą, nie zaś członkinią jednego z najbardziej prestiżowych anielskich rodów w Stanach Zjednoczonych. Umiejętność chowania skrzydeł Percival uważał oczywiście za niezwykle przydatną, zwłaszcza w mieszanym społeczeństwie. Umożliwiała zachowanie anonimowości pośród ludzi. Jednakże we własnym gronie ich ukrywanie uchodziło za faux pas.

Sneja Grigori powitała dzieci, podając im dłoń do ucałowania.

- Moje cherubiny - powiedziała niskim głosem, z lekkim niemieckim akcentem - pamiątką po domu habsburskim i dzieciństwie spędzonym w Austrii. Na chwilę zamilkła, zwęziła oczy i przyjrzała się naszyjnikowi Otterley - kulistemu, różowemu diamentowi w antycznej oprawie. - Cóż za wspaniała ozdoba - pochwaliła, jakby zdziwiona, że widzi coś takiego na szyi córki.

- Nie poznajesz? - spytała niefrasobliwie Otterley. - To jeden z wisiorów babci.

- Doprawdy? - Gdy Sneja ujęła diament między kciuk i palec wskazujący, na szlifach kamienia zagrało światło. - Aż dziw bierze, że go nie rozpoznałam. To z mojego pokoju?

- Nie - odparła ostrożnie Otterley.

- A przypadkiem nie z krypty? - spytał Percival.

Otterley ściągnęła usta i skarciła go spojrzeniem za to, że ją wydał.

- No, tak, to by wszystko tłumaczyło - skwitowała Sneja. - Tak dawno tam nie byłam, że zupełnie zapomniałam, co w niej jest. Inne ozdoby mojej matki są równie piękne?

- Są po prostu cudowne - potwierdziła poruszona Otterley. Podbierała biżuterię z krypty przez całe lata, ale matka nigdy się nie zorientowała.

- Ten jest po prostu nadzwyczajny - rzuciła Sneja. - Może i ja wybiorę się tam któreś nocy. Czas już chyba zrobić inwentarz.

Otterley bez wahania rozpięła naszyjnik i wsunęła go matce do ręki.

- Na pewno będzie ci w nim do twarzy - powiedziała i nie czekając na reakcję matki - może po to, żeby ukryć, z jak ciężkim sercem zwraca cudowny klejnot - w jednej chwili odwróciła się na szpilkach i weszła w tłum. Suknia przylegała do jej ciała, jakby była mokra.

Kiedy Sneja uniosła naszyjnik do światła, zmienił się w kulę płonącego ognia, po czym wpadł do jej wyszywanej paciorkami wieczorowej torebki. Wtedy zwróciła się do Percivala, jakby nagle uzmysłowiła sobie, że jedyny syn był świadkiem jej zwycięstwa.

- Zabawne - stwierdziła. - Otterley podkrada mi biżuterię od dwudziestu pięciu lat. Naprawdę sądziła, że o tym nie wiem?

Percival się zaśmiał.

- Nigdy nie dałaś po sobie niczego poznać. Gdybyś to zrobiła, przesiałyby dawno temu.

Matka machnęła ręką, odpędzając pytanie jak muchę.

- Wiem o wszystkim, co się dzieje w rodzinie - wyjaśniła, tak układając się na kanapie, żeby zagięcie skrzydła mieniło się w świetle. - O tym, że o siebie nie dbasz, też. Musisz więcej odpoczywać, jeść i spać. Nie możesz udawać, że wszystko jest po staremu. Czas poczynić pewne przygotowania na przyszłość.

- Tym się właśnie zajmowałem - zirytował się Percival. Matka instruowała go, jakby nadal był w pierwszym wieku życia.

- Domyślam się - odparła Sneja, obserwując malujące się na twarzy syna rozdrażnienie. - Byłeś na spotkaniu.

- Zgodnie z planem.

- I właśnie dlatego przyszedłeś na górę z tą kwaśną miną. Chcesz mi zdać relację. Dobrze poszło?

- A czy którekolwiek z tych spotkań poszło dobrze? - odpowiedział pytaniem Percival, a jego rozczarowanie stało się oczywiste. - Chociaż akurat z tym wiązałem większe nadzieje.

- Wiem - odparła Sneja, patrząc w dal. - Jak my wszyscy.

- Chodź. - Percival ujął rękę matki i pomógł jej wstać z kanapy. - Chciałbym pomówić z tobą na osobności.

- Tu nie możemy?

- Daj spokój - powiedział Percival, patrząc z odrazą na zbiorowisko. - Nie ma mowy.

Sneja urzekła gości bez reszty - w jej wykonaniu zwykle podniesienie się z kanapy było zniewalającym spektaklem. Rozciągnęła i rozchyliła skrzydła, otulając się nimi jak peleryną. Obserwując matkę, Percival poczuł mrozący dreszcz zazdrości. Miała przepiękne skrzydła, błyszczące, zdrowe, okazałe. Z krawędzi porośniętych małymi, różowymi piórkami emanowała łagodna poświata, która stopniowo nabierała intensywności, osiągając maksymalny blask pośrodku pleców, gdzie pióra były wręcz olbrzymie. Skrzydła Percivala były swego czasu nawet większe niż matki, miały ostre, pełne dramatycznego wyrazu kształty, pióra układały się w błyszczące ostrza barwy przyprószonego złota. Patrząc na matkę, nie mógł powstrzymać żalu za tym, co stracił.

Sneja Grigori przystanęła, pozwalając gościom podziwiać piękno jej niebiańskiego atrybutu, po czym z nadzwyczajną w opinii Percivala gracją przyciągnęła skrzydła do siebie i złożyła je na plecach z wprawą, z jaką gejsza zamyka wachlarz z papieru ryżowego.

Percival podał matce ramię i sprowadził ją po schodach. Jadalnia była zastawiona kwiatami i porcelaną, przygotowana na podjęcie gości. Pośród bukietów leżało niewielkie pieczone prosię z gruszką w pysku, po bokach wyzierały soczyste kawałki różowego mięsa. Za oknami w dole Percival widział ludzi idących z mozołem pod mroźny wiatr, wyglądali jak małe, czarne gryzonie. W pokoju było ciepło i wygodnie. W kominku palił się ogień, z piętra dobiegał stłumiony odgłos rozmów i łagodna muzyka.

Sneja usiadła wygodnie na długiej, wyściełanej ławie. Ze względu na skrzydła nie mogła usiąść nigdzie indziej.

- A teraz mów. Czego chcesz? - spytała, wyraźnie zagniewana tym, że Percival wyprowadził ją z przyjęcia. Sięgnęła po platynową papierośnicę i zapaliła papierosa. - Jeśli znów chodzi o pieniądze, to musisz porozmawiać z ojcem. Nie mam pojęcia, jakim cudem przetrwonileś je tak szybko. - Raptem uśmiechnęła się pobłażliwie. - Właściwie, kochany mój, to mam pojęcie. Ale i tak musisz pomówić z ojcem.

Percival także sięgnął do papierośnicy, pozwolił matce podać sobie ogień. W chwili kiedy się zaciągnął, wiedział, że zrobił błąd: w płucach poczuł żywy ogień. Sneja podała mu jaspisową popielniczkę, zgniółł w niej papierosa.

- Moje źródło okazało się bezużyteczne - powiedział Percival po chwili, kiedy odzyskał oddech.

- To było do przewidzenia.

- Odkrycie, którego, jak twierdzi, dokonał, jest dla nas zupełnie nieprzydatne - wyjaśnił.

- Jakie odkrycie? - spytała Sneja z wielkim zaciekawieniem.

Percival szczegółowo opisał przebieg spotkania, śmieszłą obsesję Yerlaine<sup>^</sup> na punkcie szkiców architektonicznych klasztoru na północy stanu i równie irytującą manię wywołaną osobliwościami antycznych monet. Słuchając syna, matka muskała długimi, kredowobiałymi palcami lakierowany stolik. Po chwili przerwała, zdumiona.

- Niesamowite - powiedziała wreszcie. - I ty twierdzisz, że jego znaleziska są nic niewarte?

- Nie rozumiem.

- Z taką gorliwością weryfikowałeś powiązania Abigail Rockefeller, że przeoczyłeś coś znacznie ważniejszego. - Sneja zgasła niedopałek i sięgnęła po drugiego papierosa. - Możliwe, że te szkice to właśnie to, czego szukamy. Daj mi je. Chcę je sama zobaczyć.

- Kazałem mu je zatrzymać - wyjaśnił Percival, a mówiąc to, domyślał się, jak bardzo rozgniewa matkę. - Poza tym po ataku w czterdziestym czwartym postanowiliśmy klasztor Świętej Róży wykluczyć. Wszystko strawił pożar. Chyba nie sądzisz, że coś przeoczyliśmy.

- Wolałabym sama się o tym przekonać - odparła Sneja, nie kryjąc gniewu. - Trzeba niezwłocznie się tam udać.

Percival nie czekał, żeby zrehabilitować się w oczach matki.

- Już się tym zająłem. Moje źródło jest w drodze do Świętej Róży. Ma na miejscu zweryfikować znaleziska.

- Twoje źródło to jeden z nas?

Percival wpatrywał się przez chwilę w matkę, niepewny, co powiedzieć. Dowiedziawszy się, ile wiary pokładał w Verlainie, który nie należał do ich siatki szpiegowskiej, Sneja niechybnie wpadnie w furję.

- Wiem, co sądzisz o zatrudnianiu obcych, ale nie ma powodów do obaw. Dokładnie go sprawdziłem.

- Z pewnością - odparła Sneja, wydmuchując dym. - Tak jak w przeszłości sprawdziłeś innych.

- Mamy nową erę - bronił się Percival. Postanowił ostrożnie dobrać słowa i za wszelką cenę zachować spokój w obliczu krytyki. - Niełatwo nas zwieść.



- Racja, mamy nową erę - odparła Sneja. - Erę swobody i wygod, braku nadzoru, bezprecedensowego bogactwa. Możemy robić, co chcemy, podróżować, dokąd chcemy, żyć, jak chcemy. Ale w tej nowej erze najlepsi z nas zamienili się w nędznych sługusów. Wykryją nas wszystkich -i ciebie, i mnie, i każdą z tych żalonych istot w moim pokoju.

- Uważasz, że nie dość się angażuję? - spytał Percival, mimo woli podnosząc głos. Ujął laskę w dłoń, gotów odejść.

- Zważywszy na twój stan, trudno, żeby było inaczej - odparła Sneja. - Otterley ci pomoże.

- Pracuje nad tym równie długo, jak ja.

- A przedtem pracowaliśmy nad tym ja i twój ojciec - dodała Sneja. -Przed nami - nasi rodzice i dziadkowie. Jesteś tylko jednym z wielu.

Percival postukał laską w drewniany parkiet.

- Zważywszy na mój stan, sprawa wydaje się pilna. Sneja zerknęła na laskę.

- Fakt, twoja choroba nadała naszym łowom zupełnie nowe znaczenie. Ale zaślepiła cię obsesja wyzdrowienia. Otterley nie oddałaby szkieł. Już byłaby w klasztorze i sama je sprawdzała. Zmarnowałeś tyle czasu! A jeśli przez twoją lekkomyślność straciliśmy skarb?

- Umrę.

Sneja położyła gładką, białą dłoń na policzku Percivala. Swawolna kobieta, którą sprowadził po schodach, przeobraziła się w posągową postać emanującą ambicją i dumą - cechami, za które tak ją podziwiał i których tak jej zazdrościł.

- Nie ma mowy. Nie pozwolę na to. Idź do siebie i odpocznij. Zajmę się panem Verlaine'em.

Percival stał jeszcze przez chwilę, po czym wsparty na lasce, wyszedł z pokoju, kuśtykając.

## Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork

Verlaine zaparkował samochód - był to używany renault z osiemdziesiątego dziewiątego roku, którego kupił jeszcze na studiach -przed terenem klasztoru. Kute z żelaza wrota pozostawały zamknięte, nie miał więc wyjścia, jak tylko wspiąć się po grubym, wapiennym murze. Budynek dobrze pasował do jego wyobrażeń: klasztor uosabiał odosobnienie i spokój, niczym zamek spowity sennym zaklęciem. Neogotyckie łuki i wieże sięgały szarego nieba, wokoło rosły brzozy i iglaki, ściśnięte w kępach, jakby szukały ochrony. Cegły zarosły mchem i bluszczem, zdawało się, że przyroda rozpoczęła powolną, nieustrudzoną walkę o odzyskanie budowli. Wzdłuż granicy ziem klasztornych wilo się koryto skutej lodem i zasłanej śniegiem rzeki.

Gdy Verlaine stąpał po zaśnieżonym bruku, raptem przeszedł go dreszcz. Znów poczuł nienaturalny chłód. To uczucie owładnęło nim, w chwili kiedy wychodził z Central Parku, i dokuczało mu przez całą drogę do Miltonu. Jechał w szumie nawiewów ciepłego powietrza, a mimo to jego ręce i stopy wciąż były skostniałe. Nie potrafił jeszcze sprecyzować ani wrażenia, jakie zrobiło na nim spotkanie z Percivalem Grigorim, ani obawy po naocznym stwierdzeniu, jak bardzo schorowany jest jego mocodawca. Było coś bardzo dziwnego i niepokojącego w jego milczeniu na temat choroby. Za ich spotkaniem musiał kryć się powód, którego Verlaine nie potrafił się domyślić. Jego przeczucia co do ludzi zwykle się sprawdzały - już na pierwszy rzut oka potrafił sporo powiedzieć o nowo poznanej osobie. Doświadczenie najczęściej potwierdzało jego intuicję. Przy pierwszym spotkaniu z Grigorim Verlaine poczuł wyjątkowo silną reakcję fizyczną - tak silną, że w jego obecności natychmiast stał się słaby i pusty, wyspany z życia i ciepła.

Dzisiejsze było ich drugim spotkaniem i - jak podejrzewał z ulgą Yelaine - mogło być ostatnie. Albo od umowy odstąpi sam Yelaine, i to już wkrótce, jeśli słusznie przewiduje efekt tej wyprawy, albo Grigori się wykończy i umowa tak czy inaczej wygaśnie. Skóra Percivala była niemal przezroczysta, poprzez błądźliwość prześwitywała siateczka błękitnych żyłek. Miał oczy rozpalone od gorączki i ledwie stał o lasce. Już samo wyjście z łóżka w takim stanie było absurdem, a co dopiero prowadzenie interesów w parku podczas śnieżycy?

Jeszcze bardziej absurdalne było posyłanie Verlaine'a do klasztoru bez odpowiednich zezwoleń. Ale właśnie takiej impulsywności i amatorszczyzny mógł się spodziewać po nękanym urojeniami kolekcjonerze sztuki. Protokół badawczy wymagał uzyskania zgody na korzystanie z prywatnych bibliotek, a klasztor był pod tym względem wyjątkowo restrykcyjny. Yelaine wyobrażał sobie klasztorną bibliotekę jako niewielkie, ciche pomieszczenie, pełne paproci i ukochanych przez religijne kobiety kiczowatych obrazów z owieczkami i dziećmi na łące. Spodziewał się bibliotekarki koło siedemdziesiątki, ponurej, skrzywionej i surowej, ciastowatym ciele, całkiem pozbawionej czci dla powierzonej jej straży kolekcji wizerunków. Jednego był pewien - Świętej Róży z pewnością brakuje tych dwóch elementów, dzięki którym życie jest znośne: piękna przyjemności. Verlaine zobaczy co prawda wnętrze klasztoru po raz pierwszy, ale nie

może się mylić. Wychował się w rodzinie agnostycznych naukowców, którzy dobrze kryli się z tym, w co wierzą, jakby rozprawianie na temat wiary miało ją unicestwić.

Yerlaine wszedł po szerokich schodach i zastukał w drewniane drzwi. Po chwili zastukał po raz drugi, potem jeszcze raz, wreszcie zaczął szukać dzwonka albo domofonu - jakiegoś urządzenia, za pomocą którego mógłby przywołać którąś z siostr - ale niczego takiego nie znalazł.

On sam często zapominał zamknąć mieszkanie, więc takie opancerzenie siedziby zakonu kontemplacyjnego sprawiło go w nie lada zdumienie. Poirytowany przeszedł wzdłuż budynku, wyjął z wewnętrznej kieszeni szkice i uważnie przyjrzał się planom w nadziei zlokalizowania innego wejścia.

Obrawszy rzekę za punkt orientacyjny, stwierdził, że główne wejście powinno znajdować się od strony południowej, gdy tymczasem było ono umiejscowione we wschodniej fasadzie, naprzeciwko bramy głównej, według mapy (bo tak teraz patrzył na szkic) kościół i kaplica powinny zajmować znaczną część na tyłach ziem, klasztor zaś miał tworzyć niewielkie skrzydło z przodu. Albo błędnie odczytał szkic, albo zabudowania zupełnie nie zgadzały się z planem. Verlaine coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że raczej to drugie. Zaciekawiony, obszedł klasztor wokoło, porównując faktyczny zarys z konturami na papierze. Budynki powinny wyglądać całkiem inaczej. Zamiast dwóch oddzielnych struktur jego oczom jawił się masywny kompleks - spojona zaprawą szachownica starych i nowych cegieł - jakby ktoś pokroił zabudowania w plastry, a następnie połączył je w surrealny murarski kolaż.

Jakie to wszystko miało znaczenie dla Grigoriego - tego Yerlaine nie wiedział. Poznał go na aukcji dzieł sztuki. Asystował wówczas przy sprzedaży obrazów, mebli, książek i biżuterii należących do rodzin z epoki złotego wieku. Na licytację wystawiono wspaniałe srebra Andrew Carnegiego, zestaw zdobionych złotem młotków do krykieta z wygrawerowanymi inicjałami Henry'ego Flaglera i marmurowy posąg Neptuna z rezydencji The Breakers Corneliusa Yanderbilta II w Newport. Aukcja nie była znaczącym wydarzeniem, zgłaszano kwoty poniżej spodziewanych. Verlaine zwrócił uwagę na Grigoriego, ponieważ wysoko przebijał stawki za przedmioty należące do żony Johna D. Rockefellera, Laury „Cettie” Celestii Spelman.

Yerlaine świetnie się orientował w dziejach Rockefellerów i dobrze wiedział, że wiele przedmiotów, które licytował Grigori, nie jest by najmniej wyjątkowych. On jednak pragnął ich tak bardzo, że drastycznie windował ceny'. Po zakończonej aukcji Verlaine podszedł do niego, aby mu pogratulować. Zaczęli dyskutować na temat Rockefellerów i wkrótce potem rozprawiali o złotym wieku nad butelką wina w barze po drugiej stronie ulicy. Grigori wyraził podziw dla wiedzy Verlaine'a na temat sławnej rodziny, z zainteresowaniem słuchał o badaniach, które młody człowiek prowadził dla nowojorskiego Muzeum Sztuki Współczesnej, i zaproponował mu podjęcie prywatnej pracy badawczej. Wziął numer telefonu Verlaine'a. Wkrótce rozpoczęli współpracę.

Verlaine darzył Rockefellerów wyjątkowym sentymentem: rozprawę doktorską poświęcił wczesnym latom Muzeum Sztuki Współczesnej -instytucji, która swoje istnienie zawdzięczała wizji i wsparciu Abigail Aldrich Rockefeller. Przypadek Verlaine'a z historią sztuki zaczęła się od zainteresowania wzornictwem. Studiując, zapisał się na kilka zajęć organizowanych przez wydział historii sztuki Columbia University, potem wziął udział w kolejnych, aż wreszcie uzmysłowił sobie, że bardziej niż współczesne wzornictwo interesują go koncepcje, które dały początek modernizmowi - prymitywizm, zerwanie z tradycją, przedkładanie teraźniejszości nad przeszłość - a przy tym fascynują go losy kobiety, dzięki której powstało jedno z najwspanialszych muzeów sztuki współczesnej na świecie: Abigail Rockefeller. Verlaine doskonale zdawał sobie sprawę z tego, o czym często przypominał mu doradca do spraw kariery: w głębi ducha nie jest naukowcem. Nie potrafił systematyzować piękna, zredukować go do teorii i przypisów. Wolał jaskrawe, oszłamiające barwy Matisse'a niż intelektualny reżim rosyjskich formalistów. Podczas studiów wcale nie zaczął postrzegać sztuki w bardziej intelektualny sposób, nauczył się za to doceniać impuls, który nakazuje artyście tworzyć.

Przygotowując rozprawę doktorską, coraz bardziej podziwiał poczucie piękna Abigail Rockefeller, a po latach zgłębiania związków rodziny Rockefellerów ze światem sztuki czuł się w tej dziedzinie niemal ekspertem. Przed rokiem opublikował fragment rozprawy w prestiżowym akademickim czasopiśmie poświęconym sztuce, dzięki czemu dostał później propozycję wykładania w Columbia University.

Jeśli wszystko potoczy się po jego myśli, przeredaguje doktorat, ad resując go do szerszej publiczności, i może kiedyś, jeśli jest to zapisano w gwiazdach, wyda go w formie książkowej. W obecnym kształcie rozprawa sprawiała wrażenie bardzo chaotycznej. Podczas pracy badawczej akta Verlaine'a rozrosły się w gąszcz wiadomości, fakty spletały się w nich z fragmentami życiorysów członków rodziny. W folderach komputerowych Verlaine zachował setki kopii dokumentów - jakimś cudem Grigori namówił go do przekazania mu wszystkich plików, każdego strzępu informacji, każdego dokumentu, każdego raportu, który odnalazł, prowadząc poszukiwania na jego zlecenie. Swego czasu Verlaine był święcie przekonany, że dysponuje wyczerpującym zasobem wiadomości, jakież więc było jego zdumienie, kiedy odkrył, że w objętych jego specjalizacją latach zaangażowania Abigail Rockefeller w pracę na rzecz Muzeum Sztuki Współczesnej hojna filantropka korespondowała z księżną klasztoru Świętej Róży.

Verlaine wpadł na ten trop przed paroma miesiącami podczas wyprawy do Archiwum Rockefellerów. Drogę z Manhattanu na północ do Sleepy Hollow - malowniczego miasteczka przytulnych domków nad Hudsonem - pokonał w dwadzieścia pięć minut. Na archiwum przeznaczono wielką rezydencję z kamienną elewacją - własność drugiej żony Johna D. Rockefellera juniora, Marthy Baird Rockefeller - wzniesioną na wzgórzu pośród dwudziestu czterech akrów ziemi. Verlaine zaparkował renault, zarzucił na ramię plecak i wszedł po schodach. Pomyślał, że zgromadzenie przez Rockefellerów takiego majątku i otaczanie się nieskończonym pięknem zakrawa na cud.

Pracownik sprawdził uprawnienia Verlaine'a do prowadzenia badań archiwalnych - legitymacja wykładowcy Columbia University była oczywistym dowodem na to, że ukończył studia wyższe - po czym zaprowadził go do czytelnicy na drugim piętrze. Grigori płacił szczerze - dniówka wystarczała na opłacenie miesięcznego czynszu - toteż Verlaine nie spieszył się,



rozkoszował spokojem biblioteki i zapachem książek, podziwiał sprawny system wydawania książek i dokumentów. Archiwista postawił przed nim pudełka z materiałami, przechowywane w klimatyzowanych komorach dobudowanego, betonowego pawilonu. Akta dotyczące Abbie Rockefeller skatalogowano w siedmiu zbiorach: „Korespondencja”, „Pisma osobiste”, „Kolekcje sztuki”, „Działalność filantropijna”, „Akta rodziny Aldrich/Greene”, „Śmierć”, „Materiały zebrane przez Mary Ellen Chase”, biografkę Abigail Rockefeller. Akt było tak wiele, że samo ich przeglądanie mogło zająć kilka tygodni. Verlaine zabrał się do pracy - notował, robił kserokopie.

Przed wyjazdem raz jeszcze przejrzał własny zbiór informacji o pani Rockefeller - miał nadzieję znaleźć jakąś pomocną, oryginalną wiadomość, coś, co umknęło innym historykom sztuki współczesnej. Verlaine przewertował wiele biografii Abigail Rockefeller i wiedział sporo na temat jej dzieciństwa w Providence na Rhode Island, małżeństwa z Johnem D. Rockefellerem juniorem i życia w Nowym Jorku. Czytał opisy przyjęć, znał losy jej pięciu synów i zbuntowanej córki, ale to wszystko wydawało się nudne w porównaniu z jej pasją dla sztuki.

Choć życie jego i pani Rockefeller dzieliła przepaść - on mieszkał w kawalerce, a jedynie dorywczo wykładając w college'u, stale borykał się z trudnościami finansowymi, ona zaś wyszła za jednego z największych bogaczy dwudziestego wieku - to jednak czuł, że łączy ich pewna bliskość. Był przekonany, że rozumie jej poczucie piękna i skryte pasje, z których zrodziło się zamiłowanie do współczesnego malarstwa. Nie było takich fragmentów jej biografii, których nie przewertowano by tysiące razy. Verlaine doskonale wiedział, że dostarczenie Grigoriemu nieznanych informacji graniczy z cudem. Musiałby mieć nieprawdopodobne wręcz szczęście, żeby dokonać jakiegoś znaleziska lub przynajmniej dotrzeć do materiałów, które przydałyby się jego zleceniodawcy.

Postanowił pominąć wielokrotnie przejrzone dokumenty i listy, a także materiały zebrane przez biografkę, i zajął się badaniem dokumentacji dotyczącej pozyskiwania dzieł sztuki i planów założenia muzeum - materiały te skatalogowano jako „Dzieła sztuki, seria III: inwentarz przedmiotów zakupionych, podarowanych, wypożyczonych i sprzedanych; informacje na temat druków chińskich i japońskich oraz amerykańskiej sztuki ludowej; notatki kupców kolekcji dzieł sztuki Rockefellerów”.

Siedział nad nimi przez kilka godzin, ale nie znalazł niczego, co byłoby warte uwagi.

Po pewnym czasie zwrócił pudło opatrzone podpisem „Seria III” i poprosił archiwistę o „Serię IV: działalność filantropijna”. Za tym, żeby przestudiować te akta, przemawiało wyłącznie to, że do tej pory nie badał ich zbyt wnikliwie, a to dlatego, że wykaz datków na cele dobroczynne miał postać suchych zestawień rachunkowych. Otrzymałszy materiały, Verlaine zabrał się do ich przeglądania, a wkrótce okazało się, że choć tematyka go nudzi, to notatki, w których pobrzmiwał głos Abigail Rockefeller, intrygowały go w równym stopniu, jak jej upodobania malarskie. Wertował je przez dobrą godzinę, aż nagle odkrył przedziwny zestaw listów - zaplątane pośród rejestrów cztery pisma. Wypadły pomiędzy pokwitowań za datki charytatywne, były starannie złożone w oryginalnych kopertach nieopatrzonych żadnym komentarzem ani podpisem. Verlaine sprawdził katalog zawartości serii - nie były w nim uwzględnione. Nie miał pojęcia, czemu znalazły się właśnie tutaj, ale fakt był faktem - leżały przed nim delikatne, pożółkłe arkusze, z których pod jego dotykiem, niczym ze skrzydeł cmy, osypywał się pyłek.

Rozwinął je i rozłożył płasko pod lampą, żeby lepiej się im przyjrzeć. W jednej chwili zrozumiał, że musiały zapodziać się w aktach: listy nie dotyczyły rodziny Abigail Rockefeller, jej działalności społecznej ani pracy artystycznej. Właściwie nie mieściły się w żadnej kategorii. Nie były nawet napisane przez Abigail Rockefeller, ale przez kobietę imieniem Innocenta, księżnę klasztoru w Miltonie w stanie Nowy Jork - miejscowości, o której nigdy wcześniej nie słyszał. Sprawdził w atlasie, okazało się, że leży zaledwie kilka godzin drogi od Nowego Jorku, nad Hudsonem.

Czytał listy z rosnącym zdumieniem. Charakter pisma Innocenty był staromodny i przypominał pajęczynę, kreślone stalówką liczby napisano po europejsku, a litery były szczupłe, z pętelkami. Verlaine pojął, że matkę Innocentę i Abigail Rockefeller łączyło zainteresowanie pracą religijną, charytatywną i zbieraniem datków na tyle, na ile dwie kobiety o tak różnym pochodzeniu w ogóle mogło coś łączyć. W słowach Innocenty pobrzmiwały poważanie i układna skromność, ale ton kolejnych listów był coraz cieplejszy, co sugerowało, że kobiety utrzymywały regularne kontakty. Choć w listach nie było o tym wyraźnej wzmianki, intuicja podpowiadała mu, że cała sprawa musiała dotyczyć jakiegoś dzieła sztuki sakralnej. Verlaine był pewien, że jeśli tylko rozszyfruje treść listów, to ten trop dokądś go zaprowadzi. Dokonał zatem odkrycia z rodzaju tych, które mogą otworzyć mu drzwi do kariery.

Kryjąc się przed archiwistą, Verlaine pospiesznie wsunął listy do wewnętrznej kieszeni plecaka. Dziesięć minut później mknął już samochodem z powrotem na Manhattan, trzymając skradzione listy na kolanach. Czuł, że powinien podzielić się tym odkryciem z Grigorem - w końcu to on pokrył koszty wyprawy - ponieważ jednak konkretnych informacji miał do przekazania niewiele, postanowił wyjawić rzecz później, kiedy uda mu się ustalić znaczenie znalezionych pism.

Tymczasem porównując szkice architektoniczne, z których odkrycia był tak dumny, z autentycznymi zabudowaniami, popadł w nie lada zakłopotanie. Przędza zimowego światła opadła na szkice, fasadę klasztoru i wyrysowane w śniegu ostre cienie brzoź. Temperatura gwałtownie spadała. Verlaine postawił kołnierz płaszczka i postanowił raz jeszcze obejść teren, mimo że buty miał już zupełnie przemoczone. W tej jednej sprawie Grigori się nie mylił: dopóki nie dostaną się do klasztoru, niczego więcej się nie dowiedzą.

Okrążając budynek, w połowie drogi Verlaine trafił na skute lodem schody prowadzące do drzwi we wgłębieniu kamiennego sklepienia. Zszedł po nich, trzymając się metalowej poręczy. Nacisnął klamkę, nie były zaryglowane. Już po chwili stał w ciemnym, wilgotnym pomieszczeniu, w którym pachniało mokrym kamieniem, gnijącym drewnem i kurzem. Kiedy jego oczy oswoiły się z mrokiem, domknął mocno drzwi i wszedł w zapomniany, prowadzący w głąb klasztoru korytarz.

## Biblioteka Wizerunków Anielskich, klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork

Przybywających do klasztoru gości oprowadzała zwykle Ewangelina, której siostry powierzyły rolę łączniczki między światami konsekrowanym a świeckim. Młoda mniszka jak nikt inny potrafiła wybawić laików z zakłopotania - roztaczała aurę młodości i nowoczesności, tak obcą innym siostrom, i wprowadzała zwiedzających w tajniki funkcjonowania wspólnoty. Goście spodziewali się, że powita ich zakonnica w pełnym habicie, czarnym welonie i koszmarnych, skórzanych łapciach, z Biblią w jednej ręce i koronką w drugiej - oczekiwali staruszki noszącej na twarzy wszystkie troski świata. Tymczasem wychodziła do nich młoda, ładna i bystra zakonnica będąca zupełnym zaprzeczeniem stereotypu. Pozwalała sobie na żart albo komentowała jakieś wydarzenie, o którym rozpisywały się gazety, w jednej chwili łagodząc surowy wizerunek klasztoru. Prowadząc przybyszów krętymi korytarzami, objaśniała, że jej wspólnota zakonna jest nowoczesna i otwarta na nowe idee. Ze starsze siostry noszą tradycyjne habity, ale na jesienne spacerunki nad rzeką albo latem, do pracy w ogrodzie, wkładają wygodne buty firmy Nike albo birkenstocki. Ze wygląd zewnętrzny znaczy tak niewiele. Naprawdę ważne są ustalone przed dwustu laty zasady i przestrzegane z żelazną dyscypliną rytuały. Panująca na korytarzach cisza, modlitewny rygor i jednolite stroje siostr wprawiały gości w zdumienie, ale Ewangelina potrafiła przedstawić je tak, że wydawały się czymś naturalnym.

Tego popołudnia jednak jej maniery zostały wystawione na zupełnie nową próbę wobec szoku wywołanego widokiem stojącej w drzwiach biblioteki postaci. Usłyszawszy niesprecyzowany odgłos, zorientowała się, że w pomieszczeniu ktoś jest. Odwróciła się i dostrzegła opartego o futrynę młodego mężczyznę wpatrującego się w nią z nadzwyczajnym zainteresowaniem. W jednej chwili ogarnęła ją trwoga. Poczula ucisk w zatokach, od którego rozmazał jej się obraz przed oczami i zaczęło leciutko dzwonić w uszach. Wyprostowała się, bezwiednie wcielając się w rolę strażniczki biblioteki, i zwróciła się twarzą do intruza.

Coś jej podpowiadało, że stojący w progu mężczyzna jest autorem listu, który przeczytała dziś rano, choć wyobrażała go sobie zupełnie inaczej. Spodziewała się nie młodego człowieka, ale zasuszonego profesora, siwego, w grubych szklach. Verlaine tymczasem miał niesforną, czarną grzywę włosów i okulary z złotej oprawie, a kiedy tak stał, w jego wyczekiwaniu czuć było chłopięce wahanie. Ewangelina zachodziła w głowę, jak dostał się do klasztoru, a zwłaszcza jak niezauważony dotarł do biblioteki. Nie miała pojęcia, czy ma się z nim przywitać, czy wezwać pomoc, żeby wprowadzono go z budynku.

Wreszcie wstała i starannie wygładziła spódnicę. Była zdecydowana zachować się tak, jak należało. Podeszła do drzwi, wpatrując się w niego lodowatym wzrokiem.

- Mogę panu w czymś pomóc, panie Verlaine? - spytała. Jej głos zabrzmiał obco, jakby rozlegał się w tunelu powietrznym.

- Skąd siostra wie, kim jestem?

- Nietrudno się domyślić - odparła Ewangelina, mimowolnie przybierając surowy ton.

- Zatem siostra wie już, że dziś dzwoniłem - zaczął Verlaine, rumieniąc się, a jego zakłopotanie ułagodziło Ewangelinę, zupełnie wbrew jej woli. - Rozmawiałem z jedną z sióstr, zdaje się, że miała na imię Perpetua. Uprzedzałem, że chciałbym odwiedzić klasztor w celach badawczych. Napisałem też list, żeby zaplanować ewentualną wizytę.

- Mam na imię Ewangelina. To ja go czytałam i stąd wiem o pana prośbie. Wiem również, że rozmawiał pan z matką Perpetuą na temat kwerendy w naszym archiwum i że nie otrzymał pan zgody. Nie mam pojęcia, jak się pan tu dostał, zwłaszcza o tej porze. Rozumiem, że może się to zdarzyć po niedzielnych mszach, które odbywają się z udziałem wierznych - przydarzyło się też, że ktoś ciekawski zawędrował do naszych prywatnych kwater - ale wczesnym popołudniem? Dziwię się, że nie spotkał pan po drodze żadnej siostry. Musi się pan zgłosić do Biura Misyjnego - taka procedura obowiązuje wszystkich gości. Proszę się tam udać od razu lub przynajmniej porozmawiać z matką Perpetuą, na wypadek...

- Przepraszam - przerwał jej Verlaine - wiem, że to niezgodne z protokołem i że nie powinienem tu wchodzić bez pozwolenia, ale mam nadzieję, że siostra mi pomoże. Znalazłem się w dość kłopotliwej sytuacji i muszę porozmawiać z kimś, kto ma pewną wiedzę. Proszę mi wierzyć, że nie chcę sprawiać kłopotów.

Ewangelina przez chwilę przypatrywała się Verlaine'owi, usiłując ocenić szczerą intencję. Po chwili, wskazując na drewniany stół obok kominka, powiedziała:

- Nie ma takich kłopotów, z którymi nie mogłabym sobie poradzić, panie Verlaine. Proszę usiąść i wyjaśnić, w czym mogę panu pomóc.

- Dziękuję - Verlaine wśliznął się na krzesło naprzeciwko Ewangeliny. - Rozumiem, że siostra dowiedziała się z listu, że szukam dowodów na istnienie korespondencji między Abigail Rockefeller a ksienią klasztoru Świętej Róży zimą czterdziestego trzeciego roku.

Wspominając treść listu, Ewangelina pokiwała głową.

- Pracuję nad książką - właściwie jest to moja rozprawa doktorska, która, mam nadzieję, zmieni się w książkę o Abigail Rockefeller i Muzeum Sztuki Współczesnej. Przeczytałem niemal wszystko, co kiedykolwiek ukazało się na ten temat, dotarłem też do wielu niepublikowanych materiałów, ale nigdzie nie ma wzmianki o związkach Rockefellerów ze Świętą Różą. Domyśla się siostra, że listy, które znalazłem, mogą się okazać znaleziskiem zupełnie wyjątkowym, przynajmniej w dziedzinie, którą się zajmuję. Mogłyby całkowicie odmienić przebieg mojej kariery.

- Bardzo to ciekawe - odparła Ewangelina - ale nie rozumiem, w czym mogłabym panu pomóc.

- Pozwoli siostra, że coś jej pokażę - Verlaine sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i położył na stole plik kartek. Arkusze były wypełnione rysunkami, które na pierwszy rzut oka wydawały się jedynie zbiorem prostokątów i okręgów, ale wystarczyło lepiej im się przyjrzeć, żeby rozpoznać szkice budynku. Wyglądając kartki, Verlaine wyjaśnił: - To plany architektoniczne Świętej Róży.

Ewangelina pochyliła się nad stołem.

- Oryginały?

- Tak - Verlaine przekartkował plik, pokazując Ewangelinie kolejne rzuty. - Z tysiąc osiemset dziewiątego roku. Podpisane i opatrzone datą przez ksienią założycielkę.

- Matkę Franciszkę - dodała Ewangelina, urzeczona wiekiem i złożonością planów. Pochyliła się nad ramieniem Verlaine'a, żeby lepiej im się przyjrzeć, i dodała: - Franciszka założyła nasz zakon i zbudowała klasztor. Sama zaprojektowała wiele pomieszczeń. Kaplica Adoracji jest jej wyłącznym dziełem.

- Podpisała każdą stronę - zauważył Verlaine.

- To naturalne - odparła Ewangelina. - Była kobietą renesansu, z całą pewnością chciała sama zatwierdzić plany.

- Proszę spojrzeć na to - powiedział Verlaine, rozkładając kartkę na stole. - To odcisk jej palca.

Ewangelina schyliła głowę jeszcze niżej. Rzeczywiście, na pożółkłym arkuszu widniał zamazany, atramentowy owal wypełniony gęstym wzorem drobniutkich rowków jak pień starego drzewa.

- Uważnie je pan przestudiował - pochwaliła.

- Ale jest coś, czego nie rozumiem - przyznał Verlaine, opierając się na krześle. - Plany nie pokrywają się z zabudowaniami. Rozejrzałem się na zewnątrz i porównałem je - różnice są zasadnicze. Klasztor był wcześniej zupełnie gdzie indziej.

- To prawda - potwierdziła Ewangelina. Szkice pochłonęły ją do tego stopnia, że zapomniała o nieufności względem Verlaine'a. - Budynki odbudowano i odrestaurowano po pożarze. Sporo się pozmieniało, bo klasztor doszczętnie spłonął.

- W czterdziestym czwartym - dodał Verlaine. Ewangelina uniosła brew.

- To pan o tym wie?

- Właśnie z powodu pożaru szkice wywieziono z klasztoru. Odkopałem je wśród starych planów miejskich. Pozwolenie na budowę wydano w lutym czterdziestego czwartego.

- Pozwolono panu zabrać szkice z publicznego rejestru?

- Pożyczyć - odparł zawstydzony Verlaine. Przycisnął paznokciem pieczęć, tak że zostało na niej lekkie wgłębienie, i spytał: - Czy wie siostra, co oznacza ta pieczęć?

Ewangelina wpatrzyła się w ostemplowany szkic. Pieczęć widniała dokładnie pośrodku kaplicy Adoracji.

- Tutaj mniej więcej znajduje się ołtarz - wyjaśniła. - Ale trudno tu mówić o jakiejś precyzji.

Verlaine obudził w Ewangelinie nową ciekawość, obserwowała go bacznie. O ile na początku wzięła go za cwaniaka, którego zamiarem było splądrowanie biblioteki, o tyle teraz dostrzegła, że ma w sobie jakąś niewinność - szczerą nastolatka poszukującego skarbu. Nie mogła tylko pojąć, czemu z tego powodu okazuje mu więcej ciepła.

Naturalnie wcale nie miała takiego zamiaru. On tymczasem nie wydawał się już tak speszony - zupełnie jakby wyczuł zmianę jej nastawienia. Wpatrywał się w Ewangelinę zza ubrudzonych szkieł okularów, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Co to takiego? - spytał, nie odrywając od niej wzroku.

- O co pan pyta?

- O naszyjnik - wyjaśnił, pochylając się.

W obawie, że Verlaine jej dotknie, Ewangelina odsunęła się, niemal wywracając krzesło.

- Przepraszam - wydusił Verlaine - chciałem tylko...

- Proszę nie oczekiwać ode mnie żadnych wyjaśnień, panie Verlaine - powiedziała Ewangelina łamiącym się głosem.

- Chwileczkę - Verlaine przejrzał szkice. Wyciągnął z pliku jeden arkusz i pokazał go Ewangelinie. - Naszyjnik siostry jest, zdaje się, najlepszym wyjaśnieniem.

Ewangelina rozłożyła kartkę na stole. Szkic był wiernym wizerunkiem kaplicy Adoracji - ołtarza, rzeźb, całej budowli na planie ośmiokąta - w której bywała codziennie od tak wielu lat. Pośrodku ołtarza znajdowała się złota pieczęć.

- Lira - wyjaśnił Verlaine. - Widzi siostra? Taka sama. Drżącymi palcami Ewangelina rozpięła naszyjnik i ostrożnie położyła

go na kartce, złoty łańcuszek ciągnął się za wisiorkiem jak świecący ogon komety. Naszyjnik jej matki był wierną kopią złotej pieczęci.

Ewangelina wyjęła z kieszeni znaleziony w archiwum list od Abigail Rockefeller do matki Innocenty z czterdziestego trzeciego roku i położyła go na stole. Nie rozumiała, co łączy pieczęć z naszyjnikiem, ale w nadziei, że tajemnicę tę potrafi rozwikłać Verlaine, postanowiła podzielić się z nim swoim odkryciem.

- Co to takiego? - spytał Verlaine, sięgając po kopertę.

- Może pan mi powie.

Verlaine rozłożył pomarszczony arkusz i zaczął czytać, a Ewangelinę raptem ogarnęło z wątpienie. Przypomniawszy sobie ostrzeżenie siostry Filomeny, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zdradzała swojego zakonu, pokazując pismo osobie z zewnątrz. Owładnęło ją straszliwe poczucie, że oto popełnia kardynalny błąd. Jednocześnie coś niewytłumaczonego ciągnęło ją do Verlaine'a, a była przy tym tak ciekawa jego odkryć, że nie przestawała wyczekująco się w niego wpatrywać.

- To potwierdzenie, że Innocentę faktycznie coś łączyło z Abigail Rockefeller - powiedział wreszcie Verlaine. - Gdzie to siostra znalazła?

- Po przeczytaniu pańskiej prośby poszłam rano do archiwum. Byłam przekonana, że pan się myli, że tych dwóch kobiet nic nie łączyło. Nie sądziłam, że mamy jakiegokolwiek dokumenty dotyczące osoby świeckiej, zwłaszcza pani Rockefeller, a co dopiero jej list do ksieni - to wprost niewiarygodne, że się zachował. Właściwie to poszłam do archiwum, żeby udowodnić, że pan się myli.

Verlaine nie odrywał wzroku od listu, Ewangelina zaczęła się zastanawiać, czy dotarło do niego choć jedno jej słowo. Wreszcie wyjął z kieszeni karteluszki i zanotował na nim swój numer telefonu.

- Znalazła siostra tylko jeden?

- Tak - potwierdziła Ewangelina. - Ten, który właśnie pan przeczytał.

- Listy od Innocenty były odpowiedziami. To znaczy, że gdzieś w archiwum macie jeszcze trzy, może cztery listy pani Rockefeller.

- Naprawdę sądzi pan, że mogliśmy coś takiego przeoczyć? Verlaine podał jej karteczkę.

- Gdyby cokolwiek się znalazło, mogłaby siostra do mnie zadzwonić? Ewangelina zerknęła na świstek. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie

mogłaby zadzwonić, nawet gdyby znalazła to, czego szukał.

- Spróbuję - wydusiła wreszcie.

- Dziękuję - odparł Verlaine i posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie. - Mogę zrobić fotokopię?

Ewangelina wzięła naszyjnik, zapięła go na szyi i poprowadziła Verlaine'a do drzwi biblioteki.

- Proszę za mną.

Zaprowadziwszy Verlaine'a do gabinetu siostry Filomeny, sięgnęła po arkusz oficjalnego papieru listowego Świętej Róży, a podając go Verlaine'owi, powiedziała:

- Może go pan przepisać.

Verlaine wziął długopis i zabrał się do pracy. Zanotował treść listu i zwrócił go Ewangelinie. Dziewczyna wyczuła, że jest jeszcze coś, o co chce ją spytać. Znała go raptem od dziesięciu minut, a jednak wiedziała, że przeżywa gonitwę myśli. Wreszcie się odezwał:

- Skąd jest ten papier listowy?

Ze stosu obok sekretarzyka siostry Filomeny Ewangelina wyjęła arkusz grubego, różowego papieru i uniosła go w dwóch palcach. Był ozdobiony ornamentem - barokowymi różami i aniołami - który widziała tysiąc razy.

- To nasz oficjalny papier listowy - odparła. - Czemu pan pyta?

- Właśnie na takim papierze pisała do Abigail Innocenta - objaśnił Verlaine, po czym sięgnął po czysty arkusz i uważnie mu się przyjrzał. - Dawno powstał ten wzór?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - przyznała Ewangelina. - Pewnie ze dwieście lat temu. Zaprojektowała go ksieni założycielka.

- Mogę? - spytał Verlaine. Wziął kilka arkuszy i schował je do kieszeni.

- Oczywiście - odparła Ewangelina, zaskoczona tym, że Verlaine'a ciekawi coś tak banalnego. - Proszę wziąć, ile pan chce.

- Dziękuję - odparł Verlaine i po raz pierwszy się uśmiechnął. - Pewnie nie powinna mi siostra pomagać.

- Powinnam zadzwonić na policję w chwili, kiedy pana zobaczyłam.

- Czy mogę się siostrze jakoś odwdziaczyć?

- Owszem - odparła Ewangelina, prowadząc go do drzwi. - Proszę się oddalić, zanim ktoś pana znajdzie. A jeśli po drodze spotka pan którąś z sióstr, to nie widział mnie pan i nie był w bibliotece.

## Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork

Podczas krótkiej wizyty Verlaine'a w klasztorze bez przerwy sypał śnieg. Opadał z nieba grubymi płatkami, osiadał na smukłych ramionach brzoź, całkiem zakrył drogę z kocich łbów. Przymrużywszy oczy, w ciemnościach Verlaine wypatrywał poza zamkniętą, żelazną bramą drogi do swojego niebieskiego renault, ale mrok był nieprzenikniony, a jego wzrok zatrzymywał się na gęstniejącym śniegu. Klasztor został w tyle, zniknął we mgle, przed nim pogłębiała się próżnia. Ostrożnie stawiając kroki na świeżej warstwie śniegu, Verlaine oddalał się od klasztoru.

Wyszedłszy z dusznej biblioteki na mroźne powietrze, podekscytowany sukcesem Verlaine, dodatkowo się ożywił. Zdumiony i uradowany, uzmysłowił sobie wreszcie, że jakimś cudem mu się udało. Ewangelina - nie był w stanie nazywać jej w myślach siostrą Ewangelina, jej uroda, bystrość i kobiecość zupełnie nie pasowały do zakonnicy - nie tylko pozwoliła mu wejść do biblioteki, ale podzieliła się z nim tym, co najbardziej chciał tam znaleźć. Zobaczył list Abigail Rockefeller na własne oczy, miał już pewność, że coś łączyło ją z mniszkami ze Świętej Róży. Nie mógł zrobić fotokopii listu, ale wiedział, że pismo było autentyczne. Wynik wyprawy z pewnością usatysfakcjonuje Grigoriego i - co ważniejsze - wesprze pracę badawczą. Lepiej być nie mogło, no, chyba że Ewangelina oddałaby mu list. Albo znalazła tyle listów Abigail, ile on miał od Innocenty, i przekazała mu je wszystkie.

Wtem smuga świateł samochodowych omiotła śnieg za kratą bramy. Matowo czarny mercedes SUV zaparkował obok renault. Verlaine schował się w gęstwinie jodeł, instynkt podpowiedział mu, żeby ukryć się przed ostrymi światłami. Przez szparę między gałęziami obserwował, jak z mercedesa wysiedli mężczyzna w kominiarce i przysadzisty blondyn z łomem. Na ich widok poczuł wyjątkowo silną reakcję własnego ciała, jak wcześniej tego samego dnia. W blasku świateł samochodowych mężczyźni wydawali się więksi i groźniejsi, niż byli w rzeczywistości, ich sylwetki majaczyły w białej poświacie. Kontrastujące z mrokiem światło wyrzeźbiło ich oczodoły i policzki, nadając twarzom wygląd masek karnewalowych. Verlaine nie miał wątpliwości, że przysłał ich Grigori, ale czemu to zrobił, pozostawało zagadką.

Wyższy mężczyzna odgarnął śnieg z okna renault metalową krawędzią łomu. Potem jednym, gwałtownym gestem, który przeraził Verlaine'a, wybił szybę. Jego towarzysz usunął odłamki, sięgnął do środka i otworzył drzwi - każdy jego ruch był szybki i celowy. Włamywacze zajrzeli do schowka i na tylne siedzenie, otworzyli i przeszukali bagażnik. Płądrowali w jego rzeczach - wypatroszyli sportową torbę i załadowali do niej książki, z których wiele pożyczył z uniwersyteckiej biblioteki. Przyglądając się, jak ładują łup do mercedesa, Verlaine pojął, że Grigori przysłał ich po notatki.

Nie wróci do Nowego Jorku swoim renault, to pewne. Chcąc oddalić się od zbirów, Verlaine przeczołgał się po ziemi, rozgarniając świeżą warstwę śnieżnego puchu. Czołgał się przez iglaki, otumaniony ostrym zapachem żywicy. Jeśli przedrze się przez drzewa do zacienionej dróżki wiodącej do klasztoru, być może go nie zauważą. Na granicy drzew wstał, dysząc ciężko, cały w ubitym śniegu. Nie miał wyboru: musiał zaryzykować pokonanie otwartej przestrzeni między lasem a rzeką. Modlił się, żeby pochłonięci demolowaniem jego samochodu łotrzy nie zwrócili na niego uwagi. Puścił się pędem w stronę rzeki i obejrzał się dopiero, kiedy dotarł na brzeg. Z oddali widział, jak wsiadają do mercedesa. Nie odjechali. Czekali na niego.

Rzeka zamarzła. Verlaine zerknął na kompletnie przemoczone buty. Naraz ogarnęła go wściekłość. Jak dostanie się do domu? Nie dość, że wylądował w jakiejś zapadłej dziurze, to jeszcze służusy Grigoriego zabrały mu notatniki i akta, owoce kilkuletniej pracy, a jakby tego było mało, na dodatek zdemolowały mu auto. Czy Grigori ma pojęcie, jak trudno dostać części do renault R5 z osiemdziesiątego czwartego roku? I jak dalej brnąć przez oblodzone zasy w śliskich trzewikach?

Verlaine szedł ostrożnie, kierując się na południe wzdłuż brzegu rzeki. Wkrótce drogę zagroził mu drut kolczasty. Możliwe, że płot wyznaczał granice ziem klasztornych i stanowił wrzecionowate, ostre przedłużenie potężnego kamiennego muru, ale dla Verlaine'a była to tylko kolejna przeszkoda. Przycisnął go do ziemi nogą, a próbując przejść na drugą stronę, zahaczył o kolce płaszczem.

Dopiero gdy zawędrował daleko poza klasztor i wyszedł na ośnieżoną, asfaltową drogę, zorientował się, że rozciął sobie rękę. Było tak ciemno, że nie widział rany, ale domyślał się, że jest poważna, może nawet trzeba będzie założyć szwy. Podwinął zakrwawiony rękaw koszuli, zdjął ulubiony krawat od Hermesa i zrobił z niego ścisłą opaskę.

Verlaine nie miał za grosz orientacji, a w dodatku nocne niebo przysłała burza śnieżna. Nie miał pojęcia, czy nad rzeką leżą jakieś miejscowości, nie wiedział, gdzie jest ani jak dostać się do domu. Samochody pojawiały się tylko z rzadka. Widząc z oddali światła, uciekał z pobocza między drzewa. Okolice była upstrzona setkami bocznych i głównych dróg, nie wiadomo, na którą z nich trafił. Obawiał się goryli Grigoriego - z całą pewnością już go szukają, mogą nadjechać w każdej chwili. Twarz mu ścierpła od wiatru, stopy skostniały, zraniona ręka pulsowała. Przystanął, żeby ją obejrzeć. Zacisnął mocniej krawat wokół rany i z obojętnością, która go zdumiała, przyglądał się, jak jedwab wchłania krew.

Zdawało mu się, że minęły całe godziny, zanim dotarł wreszcie do większej, bardziej ruchliwej stanowej drogi ekspresowej - dwa pasy popękane asfaltu znaczyło ograniczenie prędkości do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Szedł w kierunku Manhattanu, jak domniemywał, po oblodzonym, zwirowym poboczu. Wiatr niestrudzenie kasał jego ciało. Im dalej szedł, tym więcej widział samochodów. Mijały go w pędzie samochody dostawcze z reklamami na naczepach, załadowane towarami wywrotki, minivany i samochody osobowe. Spaliny mieszały się z lodowatym powietrzem, tworząc gęstą, toksyczną zupę, którą nie dawało się oddychać. Droga wydawała się nie mieć końca, wiatr

zaczynał, brzydota krajobrazu wręcz porażała - Verlaine'owi zdawało się, że ktoś umieścił go w koszmarnym, postindustrialnym malowidle. Przyspieszył, uważnie obserwując mknące auta - wypatrywał radiowozu, autobusu, jakiegokolwiek pojazdu, który wybawiłby go od chłodu. Tymczasem sznur aut ciągnął się jak niestrudzona karawana. Wreszcie Verlaine uniósł kciuk.

Jakieś sto metrów przed nim zatrzymała się ciężarówka z naczepą, wypuściła świst gorącego powietrza, opony wyślizgały ziemię, zapiszczały hamulce. Drzwi od strony pasażera otworzyły się szeroko. Verlaine podbiegł do oświetlonego pojazdu. Kierował nim grubas z bujną, poplątaną brodą, w czapce bejsbolowej. Zerknął na Verlaine'a ze współczuciem.

- Dokąd?

- Do Nowego Jorku - odpowiedział Verlaine, grzejąc się bijącym z otwartych drzwi ciepłem.

- Tak daleko nie jadę, ale mogę cię podrzucić do najbliższej miejsciny.

Verlaine schował ręce głęboko w kieszeniach płaszcza, żeby kierowca nie dostrzegł śladów krwi.

- Czyli dokąd? - spytał.

- Do Miltonu, jakieś piętnaście mil na południe - odpowiedział grubas, zerkając na niego. - Wyglądasz, jakbyś miał za sobą koszmarny dzień. Wskakuj.

Po piętnastu minutach jazdy kierowca stanął przy chodniku. Verlaine znalazł się na głównej ulicy Miltonu, przy której ciągnął się rząd małych sklepików. Miasteczko było zupełnie wyludnione, jakby z powodu śnieżycy wszyscy pozamykali się w domach. Witryny sklepów były ciemne, a parking przed pocztą - pusty. Jedyne miejsce, w którym zdawało się tlić życie, była niewielka tawerna na rogu, z podświetloną reklamą piwa.

Verlaine obmacał kieszenie w poszukiwaniu portfela i kluczy. Kopertę z gotówką schował do zapinanej kieszeni wewnętrznej marynarki. Sprawdził, czy jej nie zgubił. Z ulgą stwierdził, że nadal tam jest. Na myśl o Grigorim znów wpadł w gniew. Na co mu przyszło - podjął się pracy dla gościa, który posłał za nim zbirów, kazał zdemolować auto i na śmierć go wystraszył. Verlaine zaczął się zastanawiać, czy przyjęcie zlecenia Grigoriego nie było przypadkiem przejawem obłądzenia.

## **Penthouse rodziny Grigorich, Upper East Side, Nowy Jork**

Rodzina Grigorich nabyła penthouse pod koniec lat czterdziestych dwudziestego wieku od zadłużonej córki amerykańskiego magnata finansowego. Ogromny, wystawny apartament był zdecydowanie za duży dla kawalera z awersją do hucznych przyjęć, kiedy więc górne piętro zajęły matka i Otterley, Percival odetchnął z ulgą. Odkąd tu zamieszkał, lubił godzinami grywać w bilard, odgradzając się zamkniętymi drzwiami od szmerów przemykającej po korytarzach służby. Zaciągał ciężkie, zielone, welurowe story, w przytłumionym świetle sączył szkocką, przymierzał się do kolejnych uderzeń, ustawiał kij i wbijał lśniące bile do luzu.

W kolejnych latach zmienił wystrój wielu wnętrz, ale pokój bilardowy pozostawił nietknięty, w postaci, w jakiej go wykończono w latach czterdziestych - były tam lekko podniszczone skórzane meble, stary radioodbiornik z bakelitowymi przyciskami, osiemnastowieczny perski dywan; półki z drzewa wiśniowego uginały się pod zbutwiałymi, starymi książkami - niemal do żadnej z nich Percival nawet nie zajrzał. Pełniły wyłącznie funkcję dekoracyjną, podziwiano ich wiek i wartość. Oprawione w cielęcą skórę tomy traktowały o życiu i wyczynach wielu jego krewnych - były tam zbiory dziejów, pamiętniki, zbiory opowieści o walkach, romanse. Niektóre egzemplarze przywieziono z Europy po wojnie, inne dostarczył sędziwy księgarz z sąsiedztwa, stary przyjaciel sprowadzony do Nowego Jorku z Londynu. Człowiek ten doskonale rozumiał gusta rodziny Grigorich - wyszukiwał dla niej dzieła poświęcone podbojom Europejczyków, chwale kolonizatorów, cywilizującej mocy zachodniej kultury.

W pokoju bilardowym niezmiennie roztaczał się ten sam zapach - woń środków do pielęgnacji i nabłyszczania skóry zmieszana z ledwie wyczuwalną nutą cygarowego dymu. Percival nadal lubił tu przesiadywać całymi godzinami, od czasu do czasu tylko wzywał służącą, która donosiła drinki. Była młodą istotą z rodzaju anakimów, pochodziła z Gwatemali i praktycznie nie mówiła po angielsku. Stawiała szklanekę szkockiej i zabierała puste naczynie. Percivala cieszyła jej wprawa w wykonywaniu obowiązków. Odprawiał ją gestem dłoni, a ona zniknęła w mgnieniu oka. Był zadowolony, że zawsze wychodziła po cichu, a gdy płynnym ruchem zamykała za sobą szerokie, drewniane drzwi, rozlegało się delikatne stuknięcie.

Percival rozsiadł się w miękkim fotelu i kołysał trunek w kryształowej szklance. Powoli, ostrożnie wyciągnął nogi na kanapie. Przyszła mu na myśl matka i jej absolutne lekceważenie trudu, jaki włożył w poszukiwania. Zdobył konkretne informacje o klasztorze Świętej Róży - powinna w niego wierzyć. Tymczasem to Otterley miała nadzorować posłane przez nią na miejsce istoty.

Sącząc trunek, Percival wybrał numer siostry, ale Otterley nie odebrała. Poirytowany, zerknął na zegarek. Do tej pory powinna była się z nim skontaktować.

Pomimo wszystkich swoich wad Otterley wrodziła się w ojca - była punktualna i metodyczna, a pod presją - całkowicie godna zaufania. Znał ją tak dobrze, że mógł w ciemno zakładać, że poradziła się ojca przebywającego w Londynie i obmyśliła plan powstrzymania i wyeliminowania Verlaine'a. Nie zdziwiłby się, gdyby to ojciec okazał się autorem planu i zapewnił Otterley wszelkie środki konieczne do jego realizacji. Otterley była jego ulubienicą. Uważał ją za nieomylną.

Percival znów spojrzął na zegarek, minęły zaledwie dwie minuty. Musi być powód, dla którego Otterley milczy. Może ktoś udaremnił ich zamysły. Nieraz zwabiono nefilimów pozornie niewinnym zadaniem i przyparto do muru.

Nogi Percivala pulsowały i drżały, jakby mięśnie buntowały się przeciw odpoczynkowi. Pociągnął kolejny łyk szkockiej w nadziei, że alkohol ukoi mu nerwy, ale w takim stanie zwykle nic nie pomagało. Wstał z krzesła i bez laski pokuśtykał do regału, wyjął oprawiony w cielecą skórę tom i położył go ostrożnie na stole bilardowym. Grzbiet zaskrzypiał, kiedy otworzył i docisnął okładkę, jakby książka miała się rozpaść. Percival nie zaglądał do Księgi pokoleń od wielu, wielu lat; ostatni raz miał ją w rękach przed ślubem jednego z kuzynów. Sprawdzał wówczas powiązania rodzinne panny młodej - w końcu niezręcznie byłoby zjawić się na ceremonii zaślubin i nie wiedzieć, kto liczy się w towarzystwie, zwłaszcza że panna młoda pochodziła z duńskiej rodziny królewskiej.

Księga pokoleń była amalgamatem dziejów istot jego rodzaju, ich genealogii, opiewających ich legend i dotyczących ich przepowiedni. Taki sam oprawiony w skórę tom otrzymywał podczas uroczystego ukończenia szkoły każdy nefilim. Był to swoisty prezent pożegnalny - skarbnica wiedzy nefilimów, zbiór opowieści o walkach, zakładaniu państw i królestw, paktach lojalności, wyprawach krzyżowych, rycerzach, dalekich podróżach i krwawych podbojach. Percival oddałby wiele, żeby narodzić się w czasach, kiedy ich działania nie były tak widoczne, kiedy żyli spokojnie, kiedy nie musieli obawiać się, że ktoś ich obserwuje. Władzę zdobywali w skrytości, odnosząc zwycięstwo za zwycięstwem. I właśnie w Księdze pokoleń zawarto zapis dziedzictwa jego przodków.

Percival przeczytał pierwszą stronę zadrukowaną wytłuszczoną czcionką. Księga rozpoczynała się od listy nazwisk, będącej zapisem rozbudowanego rodowodu nefilimów, katalogiem rodów, których początki sięgały czasów Noego, rozgałęzionych w dynastie rządzące. Syn Noego, Jafet, osiadł w Europie, a jego potomkowie zaludnili Grecję, Partię, Rosję i Europę Północną, zapewniając rodowi dominację w tamtej części świata. Antenaci Percivala wywodzili się bezpośrednio od Jawana, czwartego syna Jafeta, który zasiedlił „wyspy narodów”<sup>5</sup> - te według jednych oznaczały Grecję, według innych zaś - Wyspy Brytyjskie. Sześciu braci Jawana, których wymieniono z imienia w Biblii, i kilka sióstr, których imion nie odnotowano, dało początek wpływom i władzy rodziny w całej Europie. Księgę pokoleń właściwie można było uznać za streszczenie dziejów świata. Albo też, jak współcześni nefilimowie woleli, za epopeję o przetrwaniu najlepiej przystosowanych.

Studiując listę rodowych nazwisk, Percival wspominał, że ich wpływy były kiedyś absolutne. Jednakże w ciągu ostatnich trzystu lat grono nefilimów zostało mocno uszczuplone. Dawniej między nimi a ludźmi panowała równowaga, po potopie narodzili się w niemal równej liczbie. Ale podobnie jak czuwający, nefilimowie odczuwali przemożny pociąg do ludzi, a płodząc z nimi potomstwo, rozrzedzali anielskie geny i pozbawiali swój rodzaj mocy. Doszło do tego, że nefilimowie, u których dominowały cechy ludzkie, stali się powszechni, ci zaś o czystych, anielskich cechach należeli do rzadkości.

Kiedy okazało się, że na jednego nowo narodzonego nefilima przypadają narodziny tysięcy ludzi, rodziny zaczęły debatować nad rolą ludzkich krewnych. Jedne opowiadały się za ich wykluczeniem, zepchnięciem do sfery ludzkiej, inne zaś przypisywały ich istnieniu pewną wartość, widziały ich znaczenie w szerszej perspektywie. Podtrzymywanie związków z ludzkimi członkami rodzin nefilimów było ruchem taktycznym, który mógł nadzwyczaj się opłacić. Dziecko zrodzone przez nefilimów całkowicie pozbawionych cech anielskich mogło wydać na świat najprawdziwszego nefilima. Nie zdarzało się to często, ale było możliwe. Aby wykorzystać tę ewentualność, nefilimowie ściśle przestrzegali systemu kastowego, który wyznaczały nie majątek i status społeczny - choć te kryteria również odgrywały

<sup>5</sup> Sformułowanie „wyspy narodów” nie występuje w większości przekładów, ale pojawia się np. w *Biblii Gdańskiej*. Inne przekłady go nie zawierają. Odnośny fragment Księgi Rodzaju w przekładzie *Biblii Tysiąclecia* brzmi: „od nich pochodzą mieszkańcy wybrzeży i wysp, podzieleni według swych krajów i swego języka, według szczepów i według narodów”. Występujące w książce tłumaczenia cytatów z Biblii zaczerpnięto z różnych przekładów, aby najwierniej oddać brzmienie werwetów w języku angielskim.

Imię fikcyjnej postaci z powieści George'a du Mauriera *Trilby*, które stało się synonimem złoczyńcy o nadzwyczajnych zdolnościach manipulowania ludźmi.



pewną rolę - ale cechy fizyczne, maniery, podobieństwo do czuwających. Ludzie dysponowali potencjałem genetycznym spłodzenia nefilima, ale to nefilimowie byli wcieleniem ideału. To im wyrastały skrzydła. A te, którymi szczylił się kiedyś Percival, były najwspanialszym okazem od pięciuset lat.

Percival otworzył Księgę pokoleń na przypadkowej stronie pośrodku tomu. Był tam grawerunek kupca z rodziny szlacheckiej, odzianego w atłasy i jedwabie, dzierżącego w jednej dłoni miecz, a w drugiej -worek złota. Wokół niego klęczeli poddani, kobiety i służba czekały na rozkaz, obok, ze splecionymi ramionami, leżała na otomanie konkubina. Percival pogładził wizerunek i odczytał podpis - biografię kupca zredukowaną do jednej linijki: „Nieuchwytny szlachcic, wyprawiał swoją flotę we wszystkie zakątki barbarzyńskiego świata, kolonizował dzicz, narzucał ład tubylcom". Tak wiele się zmieniło w ciągu ostatnich trzystu lat. Kupiec byłby wstrząśnięty.

Kartkując księgę, Percival przypadkiem otworzył ją na jednej ze swoich ulubionych opowieści - dziejach słynnego wuja ze strony ojca, sir Arthura Grigoriego, mężczyzny, który pozyskał nadzwyczajny majątek i sławę i którego Percival wspominał jako niezrównanego gawędziarza. Arthur urodził się w siedemnastym wieku. Mądrze zainwestował w powstające wówczas w imperium brytyjskim przedsiębiorstwa żeglugowe. Zaangażowaniu tylko w jedno z nich - Kompanię Wschodnioindyjską - zawdzięczał ogromne zyski, jak choćby dwór, wiejską posiadłość, ziemie rolne i apartamenty w mieście. Żadnego z zagranicznych przedsięwzięć nigdy nie nadzorował bezpośrednio, ale Percival wiedział, że wuj zwiedził cały świat, organizując kolejne wyprawy wyłącznie po to, aby kolekcjonować skarby i zapewnić sobie rozrywkę. Percival także nadzwyczaj lubił podróże - zwłaszcza w egzotyczne miejsca - ale ich zasadniczym motywem zawsze były interesy. Sir Arthur zasłynął z tego, że niczym Svengali\*, zawsze potrafił wyegzekwować od ludzi wszystko, co tylko chciał. Percival położył księgę na kolanie i zaczął czytać:

Statek sir Grigoriego przybył na miejsce zaledwie kilka tygodni po niesławnym powstaniu w maju 1857. Rebelia szerzyła się od morza po równinę Gangesu i objęła Meerut, Delhi, Kanpur, Lucknow, Jhansi i Gwalior, siejąc niezgodę pośród zarządców ziem. Chłopi ścigali panów, mordowali ich i ćwiar-towali kijami, szablami i wszystkim, co udało im się samodzielnie wytworzyć albo ukraść, by zrealizować zdradzieckie plany. Jednego ledwie poranka w Kanpurze wymordowano dwieście europejskich kobiet i dzieci. Na ulicach Delhi chłopi rozsypali taką ilość prochu, że wyglądały jak pokryte pieprzem. Jakiś półgłówek zapalił zapałkę i wysadził wszystko w powietrze.

Widząc, że Kompania Wschodnioindyjską pogrąża się w chaosie, i obawiając się utraty profitów, pewnego popołudnia sir Grigori wezwał do swoich pokoi gubernatora generalnego, aby omówić sposoby zaradzenia sytuacji. Gubernator - postawny człowiek o zaróżowionym licu i słabości do sosu chutney - przybył w najgorętszej porze dnia wraz ze stadkiem dzieci - jedno trzymało parasol, drugie wachlarz, trzecie ostrożnie niosło na tacy herbatę z lodem. Sir Grigori podjął gościa w zacienionym pokoju - story chroniły przed skwarem i wzrokiem wścibskich przechodniów.

- Muszę rzec, gubernatorze generalny - zaczął sir Grigori -że rebelia to nie najlepsze powitanie.

- Niewątpliwie, sir - odparł gubernator, poprawiając monokl przed bulwiastym błękitnym okiem. - I nie najlepsze pożegnanie.

Utwierdziwszy się we wzajemnym zrozumieniu, mężczyźni przystąpili do omawiania sprawy. Przez kilka godzin roztrząsali przyczyny i skutki buntu. Wreszcie sir Grigori wysunął propozycję.

- Trzeba dać przykład - mówiąc to, wyjął długie cygaro ze zdobnej skrzynki, po czym przypalił je zapalniczką z wygrawerowanym rodzinnym herbem. - Najważniejsze to zasiać w ich sercach strach. Trzeba urządzić makabryczne widowisko, żeby ich zmusić do posłuszeństwa. Wspólnie wybierzemy wioskę. Kiedy będzie po wszystkim, bunty skończą się raz na zawsze.

O ile taktyka, z którą zapoznał brytyjskich żołnierzy sir Grigori, była nefilimom dobrze znana - w rzeczy samej zastraszenie stosowali z powodzeniem przez stulecia - o tyle rzadko posługiwano się nią na tak szeroką skalę. Pod sprawną wodzą sir Grigoriego żołnierze zagonili wszystkich mieszkańców wybranej wioski - mężczyzn, kobiety i dzieci - na rynek. On wybrał z tłumu dziewczynkę o migdałowych oczach, lśniących, czarnych włosach i kasztanowej skórze. Dziecko wpatrywało się z zaciekawieniem w wysokiego, jasnoskórego i wychudzonego mężczyznę, jakby wydał jej się dziwny nawet pośród egzotycznie wyglądających Brytyjczyków. Posłusznie poszła za nim.

Ignorując wpatrzone w niego twarze, sir Grigori minął szeregi jeńców wojennych - bo za takich od tej chwili uznawano wieśniaków - wziął dziewczynkę na rękę i włożył do lufy załadowanej armaty. Lufa była długa i szeroka, tak że dziecko zupełnie w niej znikło, widać było tylko kurczowo zaciśnięte na krawędzi rękę - jakby wpadło do studni i chwyciło się cembrowania, żeby się nie utopić. - Podpalić lont - rozkazał sir Grigori. Młody żołnierz drżącymi palcami zapalił zapałkę, pośród tłumu rozległ się krzyk matki dziecka.

Był to pierwszy z wielu wybuchów tego ranka. Jedno po drugim poprowadzono do armaty dwieście wiejskich dzieci - dokładnie tyle, ilu Brytyjczyków zginęło podczas masakry w Kanpurze. Działo było tak rozgrzane, że żołnierze wciskający ciężkie, wierzące się ciała do lufy, parzyli sobie palce. Wieśniaków zmuszono do patrzenia, mierząc do nich z broni. Kiedy zrealizowano najbardziej krwawą część planu, żołnierze skierowali muszkiety w wieśniaków i nakazali im uprzętnąć rynek. Kawalki ciał ich dzieci zawisły na namiotach, krzewach, wozach. Krew zabarwiła ziemię na pomarańczowo.

Wieści o rzezi szerzyły się z wioski do wioski, przez równinę Gangesu, aż po Meerut, Delhi, Kanpur, Lucknow, Jhansi i Gwalior. Tak jak przewidywał sir Arthur Grigori, powstanie wygasło.

Głos matki pochylonej nad jego ramieniem przerwał Percivalowi lek-mrę.

- Ach, sir Arthur - westchnęła. Cień jej skrzydeł przysłonił karty książki. - To była postać, jakich mało, mój ulubieniec pośród braci twojego ojca. Cóż za waleczność! Zabezpieczył nasze interesy na całym świecie, to dzięki niemu mogliśmy stworzyć globalną sieć. Nieodżałowana szkoda, że tak niechlubnie skończył...



Sneja nawiązała do tragicznego, żalosego schyłku życia wuja Arthura. Jako jeden z pierwszych krewnych nabawił się choroby, która teraz trawiła Percivala. Jego nadzwyczaj okazałe skrzydła uschły i przeobraziły się w gnijące, szerniałe grudki, a po dziesięcioleciu straszliwych cierpień zmarł wskutek zapadnięcia się płuca. Odszedł w upokorzeniu i bólu, przegrawszy walkę z chorobą w piątym wieku życia, kiedy powinien się na emeryturze radować owocami swojej pracy. Wielu sądziło, że nabawił się choroby, zadając się z licznymi przedstawicielkami niższej, ludzkiej rasy - wynędzniałymi kobietami w rozmaitych portach kolonialnych - ale prawda była taka, że Grigori nie znali przyczyn zwyrodnienia. Wiedzieli tylko, że może istnieć na nie lek. W latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku Sneja weszła w posiadanie wyników badań pewnego naukowca nad terapeutycznymi właściwościami muzyki. Naukowcem tym była kobieta nazwiskiem Angela Valko, córka Gabrielli Levi-Franche Valko, jednej z najświetniejszych europejskich angelologów. Według teorii Angeli Valko, istniało coś, co mogło przywrócić Percivalowi - i wszystkim istotom ich tożsamości - anielską doskonałość.

Sneja jak zwykle czytała w myślach syna.

- Co prawda dokładasz starań, aby udaremnić własne ozdrowienie, ale wierzę, że dzięki twojemu historykowi sztuki jesteśmy na właściwym tropie.

- Znalazłaś Verlaine'a? - spytał Percival, zamykając Księgę pokoleń i odwracając się twarzą do matki. Znowu poczuł się jak dziecko, które za wszelką cenę pragnie się jej przypodobać. - Miał szkice?

- Czekam na sygnał od Otterley, wtedy będziemy mieli pewność - odparła Sneja. Sięgnęła po książkę i zaczęła ją kartkować. - Najwyraźniej musieliśmy coś przeoczyć podczas nalotu. Ale nie obawiaj się, znajdziemy to, czego szukamy. A ty, mój aniele, pierwszy z tego skorzystasz. Ulecymy cię i zostaniemy zbawicielami naszego rodzaju.

- Marzę o tym - odparł Percival, wyobrażając sobie, jak odrastają mu potężne skrzydła. - Sam wybiorę się do klasztoru. Jeśli tam jest lek, sam chcę go znaleźć.

- Jesteś zbyt słabowity - Sneja zerknęła na szklanekę szkockiej - a do tego pijany. Otterley i ojciec się tym zajmą. My zaczekamy.

Sneja wsunęła Księgę pokoleń pod pachę, pocałowała Percivala w policzek i wyszła z pokoju.

Na myśl o tym, że podczas jednej z najważniejszych chwil w swoim życiu jest uwięziony w Nowym Jorku, Percival wpadł we wściekłość. Sięgnął po laskę, podszedł do telefonu i raz jeszcze wybrał numer Otterley. Czekając, aż się zgłosi, krzepił się myślą, że wkrótce odzyska siły. Znowu będzie piękny i potężny. A kiedy odrosną mu skrzydła, całe cierpienie i upokorzenie, które stały się jego udziałem, przyniosą mu chwałę.

## **Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Mijając grupy sióstr zdążających do pracy i na modlitwę, Ewangelina usiłowała uśmiechać się do tych, które ją pozdrowiały, i zachować spokój pod czujnym okiem przełożonych. W Świętej Róży nie tolerowano publicznego okazywania emocji - niedozwolone było manifestowanie zadowolenia, strachu, bólu czy wyrzutów sumienia. Jednocześnie przed wspólnotą nie sposób było niczego ukryć. Dzień po dniu siostry razem się stołowały, modliły, sprzątały i odpoczywały, a nawet najmniejsza zmiana w usposobieniu jednej z nich - niedostrzegalna oznaka zadowolenia lub niepokoju - udzielała się całej grupie, jakby przewodzona niewidzialnym łączem. Ewangelina natychmiast rozpoznawała na przykład, kiedy siostra Carla była zła - wokół jej spiętych ust pojawiały się trzy zmarszczki. Wiedziała, że siostra Wilhelmina przespała swój poranny spacer nad rzeką - podczas mszy miała wówczas lekko szkliste oczy. Prywatność nie istniała. Pozostawało nosić maskę i mieć nadzieję, że inne siostry będą zbyt zajęte, aby to zauważyć.

Potężne, dębowe drzwi łączące klasztor z kościołem stały otworem dzień i noc, rozchylone jak usta czekające na kęs pokarmu. Siostry mogły przemieszczać się między dwoma budynkami wedle woli, nieskrępowane, kursować między burym klasztorem a świetlistą kaplicą. Ewangelina wielokrotnie zaglądała do kościoła Matki Boskiej Anielskiej w ciągu dnia i za każdym razem czuła, że wraca do domu, że dusza wyswobadza się choć trochę z ograniczeń ciała.

Usiłując zapanować nad popłochem ogarniającym ją na myśl o tym, co wydarzyło się w bibliotece, Ewangelina przystanąła pod drzwiami kościoła przy tablicy z ogłoszeniami. Poza pracą w bibliotece do jej obowiązków należało rozpisywanie grafiku modlitw adoracyjnych. Co tydzień wypełniała tabelkę imionami mniszek, uważnie nanosząc zmiany, po czym przypinała rozkład na wielkiej tablicy korkowej wraz z listą zastępstw partnerek modlitewnych na wypadek choroby. Siostra Filomena zawsze powtarzała: „Nie można przecenić naszego zaufania do grafiku”, a o słuszności tego powiedzenia Ewangelina przekonała się nieraz. Zakonnice modlące się nocą często wędrowały przez łączący klasztor z kościołem korytarz w piżamach i kapciach, zakrywwszy włosy białymi, bawełnianymi chustkami. Zerkały na grafik, potem na zegarek i pędziły na modlitwę, uspokojone niewzruszonym trwaniem harmonogramu, który zapewnia ciągłość wieczystej adoracji od dwustu lat.

Pokrzepiona dowodem sumiennosci swojej pracy, Ewangelina odeszła od grafiku, zanurzyła palec w wodzie święconej i przyklękła. Idąc przez kościół, znalazła ukojenie w rytmie rutynowych czynności i jeszcze zanim dotarła do kaplicy, odzyskała spokój. Przed ołtarzem klęczały siostry Dywinia i Dawida, partnerki modlitewne między godziną trzecią a czwartą. Usiadłszy z tyłu, aby im nie przeszkadzać, Ewangelina wyjęła z kieszeni różaniec i zaczęła przesuwac palcami paciorki. Wkrótce jej modlitwa nabrała rytmu.

Ewangelina, która wobec samej siebie zawsze usiłowała zachować chłodną, analityczną postawę, traktowała modlitwę jak szansę na zrobienie rachunku sumienia. Przybyła do Świętej Róży jako dziecko i jeszcze zanim przyjęła śluby i zaczęła modlić się codziennie o piątą, wielokrotnie w ciągu dnia przychodziła do kaplicy Adoracji wyłącznie po to, aby pojąć tajniki anatomii własnej pamięci - ponurych, przerażających wspomnień, których nie chciała przywoływać. Ten praktykowany przez wiele lat rytuał pomógł jej zapomnieć.

Aż do dzisiejszego wstrząsu wywołanego spotkaniem z Verlaine'em.

Pytania, które zadał, po raz drugi tego dnia przypominały Hwangelinie wydarzenia, o których wolałaby nie pamiętać.

Po śmierci matki ojciec z Ewangelina przenieśli się z Francji do Stanów Zjednoczonych i na Brooklynie wynajęli mieszkanie z pokojami w amfi-ladzie. W weekendy często jeździli pociągiem na Manhattan. Przyjeżdżali z samego rana, przeciskali się przez bramki, szli zatłoczonymi przejściami podziemnymi i wylaniali się na ulicy w świetle dnia. W mieście nigdy nie korzystali z taksówek ani metra. Spacerowali. Kiedy mijali kolejne przecznice, Ewangelina dostrzegała gumę do żucia w szparze między płytami chodnikowymi, teczki i siatki z zakupami, niestrudzony pęd tłumu zdążającego na lunch, spotkania i wizyty - wszyscy ci ludzie wiedli zupełnie szalone życie, tak odmienne od tego, które dzieliła z ojcem.

Przyjechali do Ameryki, kiedy Ewangelina miała siedem lat. W odróżnieniu od ojca, który z trudem porozumiewał się po angielsku, ona nauczyła się nowego języka w mig - dosłownie chłonęła angielskie słowa i szybko nabyła amerykański akcent. W pierwszej klasie nauczycielka pomogła jej opanować zniechęcający dźwięk „th”, który zastęgał na języku Ewangeliny jak kropla oleju, nadwerężając jej zdolność do wyrażania własnych myśli. W kółko powtarzała this, the, that, them, aż nauczyła się poprawnej wymowy. Pokonawszy tę trudność, mówiła tak, jakby urodziła się w Ameryce. Kiedy byli sami, rozmawiała z ojcem w jego rdzennym języku, włoskim, lub w języku matki, francuskim, jakby nadal mieszkali w Europie. Wkrótce jednak, tak jak inni pragną jedzenia czy miłości, Ewangelina pragnęła mówić wyłącznie po angielsku. W miejscach publicznych na melodyjne, włoskie zwroty ojca odpowiadała nowo nabytą, doskonałą angielszczyzną.

We wczesnym dzieciństwie Ewangelina była zupełnie nieświadoma tego, że wycieczki na Manhattan, odbywane wielokrotnie w miesiącu, nie były zwykłą rozrywką. Ojciec nigdy nie wspominał, po co jadą, obiecywał tylko zabrać ją na karuzelę w Central Parku albo do ulubionej jadłodajni, albo do Muzeum Historii Naturalnej, gdzie nie mogła oderwać oczu od zawieszzonego na suficie gigantycznego walenia - z otwartą buzią wpatrywała się w jego odsłonięty brzuch. Każda wycieczka była dla niej przygodą, niemniej w miarę upływu czasu zrozumiała, że faktycznie wyprawiali się do miasta, tam bowiem odbywały się spotkania ojca z jego kontaktami. Tym właśnie były: wymiana dokumentów w Central Parku, szeptana rozmowa w barze niedaleko Wall Street, lunche z zagranicznymi dyplomatami, podczas których wszyscy mówili szybko i w niezrozumiałych językach, polewali wino i wymieniali informacje. Wtedy nie wiedziała, czym zajmuje się ojciec, nie rozumiała też powodów jego rosnącego uzależnienia od pracy po śmierci matki. Każdy wyjazd traktowała jak prezent.

Ta iluzja prysła pewnego popołudnia, kiedy miała dziewięć lat. Dzień był nadzwyczaj słoneczny, choć w wiatr wplecione już były pierwsze oznaki zimy. Zamiast udać się w uzgodnione miejsce, jak mieli w zwyczaju, weszli na most Brooklyński - ojciec prowadził ją w milczeniu obok grubych, metalowych lin. W oddali słońce spływało za wieżowce Manhattanu. Przeszli kilka kilometrów, aż wreszcie zatrzymali się w parku przy Washington Square, gdzie ojciec nakazał krótki odpoczynek na ławce. Tamtego popołudnia zachowanie ojca wydało jej się wyjątkowo dziwne. Był wyraźnie zdenerwowany, trzęsącymi się rękami przypalił papierosa. Ewangelina знаła go doskonale i wiedziała, że najmniej dostrzegalny objaw nerwowości - drgnięcie palca albo wargi - to oznaka głęboko skrywanego niepokoju. Wiedziała, że coś jest nie tak, ale nie odezwała się słowem.

W młodości ojciec był przystojny. Na zdjęciach z Europy miał czarne, opadające na oczy, kręcone włosy. Nosił nieskazitelne, szyte na miarę ubrania. Tego dnia jednak, kiedy siedział roztrzęsiony na ławce, nagle wydał jej się stary i zmęczony. Z kieszeni spodni wyjął chustkę i otarł z czoła pot, plamiąc błękitny jedwab. Ewangelina milczała. Gdyby się odezwała, złamałaby niepisana umowę, której przestrzegali po śmierci matki - milczeniem wzajemnie okazywali szacunek swojej samotności. Ojciec nie wyjawiał, co go nurtowało. Nie ufał jej. Być może z powodu dziwnego stanu ojca zapamiętała tamten dzień tak szczegółowo, a może ciężar przeżyć kazał jej wielokrotnie przeżywać w myślach wydarzenia, które nastąpiły potem - tak czy owak, Ewangelina zapamiętała każdą chwilę, każde słowo i gest, każdą, nawet ledwie wyczuwalną, zmianę nastroju.

- Chodź - powiedział wreszcie ojciec, schował chustkę do kieszeni kurtki i wstał, jakby byli spóźnieni na spotkanie.

Pod lakierkami firmy Mary Jane, które Ewangelina miała na nogach, szeleściły liście - ojciec uważał, że powinna się ubierać w sposób, który on sam uznawał za stosowny dla młodych panien, nosiła więc krochmalone, bawełniane fartuszki, odprasowane spódnice, szyte na miarę zakieciaki i sprowadzane z Włoch drogie pantofelki - garderobą zdecydowanie odróżniała się od szkolnych koleżanek w džinsach, koszulkach i adidasach najnowszych modeli. Doszli do obskurnej dzielnicy upstrzonej jaskrawymi plakatami reklamującymi cappuccino, gelato, vino. Ewangelina momentalnie ją rozpoznała - w przeszłości często zaglądali do Małych Włoch. Dobrze znała okolicę.

Zatrzymali się pod kawiarnią, przed którą na chodniku roztawiono metalowe stoliki. Ojciec wziął ją za rękę i poprowadził do zaludnionej sali, w której owiał ich ciepły podmuch słodko pachnącej pary. Na ścianach wisiały czarno-białe fotografie z Włoch w ozdobnych, połączonych ramach. Mężczyźni przy barze, w głęboko wciśniętych na oczy

kapeluszach, pili espresso i przeglądali rozłożone na kontuarze gazety. Ewangelina nie mogła oderwać oczu od szklanej witryny z deserami - stała przed nią, głodna, marząc, aby ojciec pozwolił jej coś wybrać spośród łagodnie oświetlonych, ułożonych jak bukiety lukrowanych ciastek. Zanim zdążyła się odezwać, zza baru wyszedł mężczyzna, wytarł ręce w czerwony fartuch i wymienił z ojcem uścisk dłoni tak serdeczny, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Luca - powiedział, uśmiechając się ciepło.
- Władimirze - odpowiedział ojciec, odwzajemniając uśmiech, i Ewangelina wiedziała już, że faktycznie muszą być starymi przyjaciółmi, ojciec bowiem rzadko publicznie okazywał uczucia.
- Chodź, zjesz coś - zaproponował Władimir z mocnym, obcym akcentem. Przystawił ojcu krzesło.
- Ja dziękuję - tu ojciec wskazał na przysiadającą się do stolika Ewangelinę - ale zdaje się, że moja córka ma ochotę na i dolci.

Ku rozradowaniu Ewangeliny Władimir otworzył witrynę i pozwolił jej wybrać deser. Poprosiła o małe ciasteczko z różowym lukrem i delikatnymi, błękitnymi kwiatkami z marcepana. Trzymając talerzyk, jakby w strachu, że zaraz się zbije, przeszła po grubo ciosanych, lśniących deskach do wysokiego, metalowego stolika, usiadła w foteliku i założyła stopy za jego nogi. Władimir postawił obok talerzyka szklankę wody i poprosił, żeby grzecznie zaczekała, bo musi pomówić z ojcem. Wydał jej się postacią niemal sędziwą - miał białe włosy i mocno pomarszczoną skórę - ale w jego zachowaniu przebijała nuta wesołości, jakby przed chwilą opowiedział dowcip. Mrugnął do Ewangeliny, a ona zrozumiała, że starzy przyjaciele będą omawiać ważne sprawy.

Skwapliwie usłuchała Władimira, wbiła łyżeczkę w sam środek ciasteczka, z którego wypłynął gęsty, maślany krem o lekkim posmaku orzechów włoskich. Ojciec miał raczej restrykcyjne podejście do jej diety -nie wydawali pieniędzy na tak ekstrawaganckie łakocie, a ona rzadko miewała tego typu zachcianki. Zaczęła jeść i rozplynęła się w czystej przyjemności. Zapach kawy, gwar klientów, promienie słońca rozświetlające brąz podłogi - wszystko pamiętała tak wyraźnie. Nie zainteresowałaby się rozmową dwóch mężczyzn, gdyby nie to, że ojciec mówił z takim przejęciem. Siedzieli kilka stolików dalej, obok okna, dość blisko, żeby ich słyszała.

- Nie mam wyboru. Muszę się z nimi zobaczyć - powiedział ojciec, przypalając papierosa. - To już prawie trzy lata, odkąd straciliśmy Angelę. - Tak rzadko wymawiał imię matki, że usłyszawszy je, Ewangelina zamarła.
- Nie mogą zatajać przed tobą prawdy - odparł Władimir. Ojciec zaciągnął się mocno i rzekł:
- Nie mogą. Mam prawo wiedzieć, co się stało, tym bardziej że pomagałem jej w badaniach. Nachodzili ją w laboratorium nawet o północy, stresowali, kiedy była w ciąży. Uczestniczyłem w tym od początku, wspierałem jej decyzje. Dużo mnie to kosztowało, Ewangelinę też.
- To prawda - przytaknął Władimir. Miał silny obcy akcent. Pstryknął palcami na kelnera i zamówił kawę. - Masz prawo o wszystkim wiedzieć. Zastanów się tylko, czy ta wiedza jest warta ryzyka. Pomyśl, co się może stać. Tutaj jesteś bezpieczny. Masz nowe życie. Zapomnieli o tobie.

Ewangelina wpatrywała się w ciastko w nadziei, że ojciec nie zauważy, jak bardzo pochłonęła ją rozmowa dorosłych. Z nią nie poruszał tematu życia i śmierci matki. Pochyliła się, żeby lepiej słyszeć, ale wtedy zakołysał się stolik. Szklanka spadła na podłogę, kostki lodu rozjechały się we wszystkie strony. Mężczyźni spojrzeli na nią, poruszeni. Próbowwała zatuszować zawstydzenie - serwetką wytarła wodę ze stolika i zajęła się ciastkiem, jakby nic się nie stało. Ojciec skarcił ją wzrokiem, odsunął krzesło i wrócił do rozmowy, nieświadomy tego, że próba utrzymania tematu rozmowy w tajemnicy tylko podsyca ciekawość córki.

Władimir westchnął ciężko i powiedział:

- Trzymają ich w magazynie. - Mówił tak cicho, że Ewangelina ledwie go słyszała. - Dzwonili zeszłej nocy. Mają trójkę - kobietę i dwóch mężczyzn.

- Z Europy?
- Dopadli ich w Pirenejach - wyjaśnił Władimir. - Przyjechali wczoraj późną nocą. Sam miałem tam jechać, ale szczerze mówiąc, nie mogę się zmusić. Starzejemy się, Luca.
- Do ich stolika podszedł kelner i postawił dwie filiżanki espresso. Ojciec pociągnął łyk.
- Żyją?
- O, tak - Władimir kiwnął głową. - Podobno są straszliwi, czystej krwi. Nie mam pojęcia, jakim cudem tak szybko ich tu przewieźli. Dawniej trzeba było wynajmować statek z całą załogą. A jeśli faktycznie są czystej krwi, to nie da się nad nimi zapanować. To po prostu niemożliwe.
- Angela więcej wiedziała o ich fizycznych możliwościach. - Ręka ojca na stole zacisnęła się w pięść, siedział wpatrzony w rozświetloną słońcem szybę, jakby matka Ewangeliny za chwilę miała się tam ukazać. - Z tego robiła doktorat. Ale wszyscy twierdzą, że sławni słabną, nawet ci najczystszej krwi. Może teraz łatwiej ich schwytać.

Władimir pochylił się nad stolikiem, szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ojca.

- Chcesz powiedzieć, że wymierają?
- Niezupełnie - odpowiedział ojciec. - Ale nie mają już takiej żywotności. Słabną.
- Jak to możliwe? - dopytywał Władimir, zdumiony.
- Angela była przekonana, że w którymś momencie będą mieli w sobie za dużo ludzkiej krwi. Ze zbytnio się do nas upodobnią - będą do tego stopnia ludzcy, że utracą swoje unikatowe cechy. To coś jak negatywna ewolucja. Za często wiązali się z ludźmi, z niższym gatunkiem. - Ojciec zgasił papierosa w plastikowej popielniczce i pociągnął łyk kawy. - Jeśli nie przestaną się z nami krzyżować, zostaną pozbawieni anielskich cech. Przyjdzie taki czas, że nam ustąpią - ich dzieci będą coraz bardziej podobne do ludzi: będą krócej żyły, zaczną zapadać na choroby, stracą nieśmiertelność. Jedyne, co może ich uratować, to odzyskanie czystych znamion anielskich, ale obaj dobrze wiemy, że to leży poza zasięgiem ich

możliwości. Toczy ich plaga ludzkich właściwości. Angela podejrzewała nawet, że nefilimowie zaczynają odczuwać emocje. Współczucie, miłość, dobroć - być może wykształcają nasze atrybuty. I właśnie to -kończył wywód ojciec - uznają za największą słabość.

Władimir oparł się na krześle, skrzyżował ręce na piersiach i przemyśliwał to, co właśnie usłyszał.

- Nie wymrą, to niemożliwe - powiedział wreszcie. - Ale w końcu, skąd mamy wiedzieć, co jest możliwe, a co nie. Już samo ich istnienie przeczy rozumowi. A jednak istnieją, obaj widzieliśmy je na własne oczy. I wiele przez nie straciliśmy, drogi przyjacielu - mówiąc to, Władimir spojrzał ojcu w oczy.

- Angela była przekonana, że układ odpornościowy nefilimów zaczął szwankować przez nasze środki chemiczne i substancje zanieczyszczające środowisko - ciągnął ojciec. - Mówiła, że sztuczne związki powodują załamanie struktur komórkowych odziedziczonych po czuwających i wykształcenie czegoś w rodzaju śmiertelnego nowotworu. Miała też inną teorię: w ciągu ostatnich dwustu lat tak bardzo zmienili nawyki żywieniowe, że doszło do wypaczenia struktury chemicznej ich ciał, a przez to także ich zdolności rozrodczych. Przepadała wiele istot przedwcześnie zmarłych na skutek zwyrodnień, ale nie doszła do jednoznacznych wniosków. Nie wiadomo, co wywołuje te choroby, ale z całą pewnością oni zrobią wszystko, żeby je powstrzymać.

- A ty wiesz, jak to zrobić - rzekł łagodnie Władimir.

- No, właśnie. A skoro o tym mowa - Angela zaczęła testować twoje teorie, chciała sprawdzić, czy spekulacje muzykologiczne mają zastosowanie na gruncie biologicznym. Myślę, że została zamordowana, bo była bliska wielkiego odkrycia.

Władimir obracał w palcach filizankę.

- Niebiańska muzykologia to żadna broń. Nie potwierdziliśmy skuteczności, a w dodatku jej zastosowanie może być wyjątkowo niebezpieczne. Kto jak kto, ale Angela powinna była o tym wiedzieć.

- Może i jest niebezpieczne - odparł ojciec - ale pomyśl, co by było, gdyby znaleźli lek. Jeśli do tego nie dopuścimy, stracą anielskie cechy i będą tacy jak my. Będą chorowali i umierali.

- Nie wierzę, że to się już zaczęło. - Władimir pokręcił głową. - To tylko pobożne życzenia.

- Być może.

- A nawet gdyby - zastanawiał się Władimir - to co by to dla nas oznaczało? Albo dla twojej córki? Ryzykowałbyś szczęście, które masz, dla niepewności? Po co?

- W imię równości - odparł ojciec. - Żeby wyzwolić naszą cywilizację spod ich podstępnej władzy. Po raz pierwszy w nowożytnej historii moglibyśmy kontrolować własne przeznaczenie.

- Piękne marzenie - skwitował z zadumą Władimir - ale to tylko marzenie, nic więcej. Nie zapanujemy nad przeznaczeniem.

- Może tak to zaplanował Bóg. Powoli ich osłabiać - ciągnął ojciec, niezrażony uwagą przyjaciela - a potem wyeliminować jednym, skutecznym ruchem.

- Dawno sprzykrzyły mi się boskie plany - wtrącił znużonym tonem Władimir. - Tobie, Luca, też.

- Nic wrócisz do nas?

Władimir prze/, chwilę wpatrywał się w przyjaciela, jakby ważył w myślach słowa.

- Powiedz prawdę. Kiedy porwali Angelę, pracowała nad moimi teoriami muzykologicznymi?

Ewangelina zadrżała, niepewna, czy dobrze usłyszała. Straciła matkę przed kilku laty, ale do dziś nie знаła szczegółów jej śmierci. Przesunęła się, żeby przypatrzeć się twarzy ojca. Ku jej zdumieniu miał oczy pełne łez.

- Nad genetyką zwyrodnień nefilimów. Prace sponsorowała jej matka, ale to nie znaczy, że to wszystko stało się z jej winy - to ona znalazła fundusze, zachęcała Angelę do przejęcia projektu. Myślała chyba, że tak będzie najbezpieczniej, inaczej nie chowałaby córki w salach wykładowych i bibliotekach. Angela opracowywała modele w laboratoriach, oczywiście pod okiem matki.

- Uważasz, że to Gabriella ponosi winę za porwanie? - spytał Władimir.

- Któż może wskazać winnego? Nigdzie nie było bezpiecznie, z tym że matka wcale jej przed nimi nie chroniła. Ale niepewność gryzie mnie po dziś dzień. Czy to przez Gabriellę? Czy przeze mnie? Czy mogłem ją ochronić? Czy popełniłem błąd, pozwalając jej kontynuować pracę? Właśnie dlatego, drogi przyjacielu, muszę się z nimi zobaczyć. Nikt tak nie zrozumie tej straszliwej przypadłości, jaką jest uzależnienie od prawdy, jak ty.

Nagle ojca zasłonił kelner - podszedł do stolika, przy którym siedziała Ewangelina. Była tak pochłonięta rozmową, że zupełnie zapomniała o ciastku. Leżało na talerzyku, nadjedzone, ze środka wylewał się krem. Kelner sprzątnął stolik, wytarł resztki rozlanej wody i jednym, szybkim, okrutnym ruchem zabrał nadjedzony deser. Kiedy Ewangelina znów zerknęła w tamtą stronę, Władimir palił papierosa. Krzesło ojca było puste.

Dostrzegłszy niepokój na jej twarzy, Władimir zachęcił ją gestem, żeby podeszła. Ewangelina zeskoczyła z krzesła, rozglądając się za ojcem. - Twój tata musiał coś załatwić, prosił, żebym się tobą zajął - wyjaśnił, uśmiechając się ciepło. - Pewnie nie pamiętasz, ale my się już kiedyś spotkaliśmy. Byłaś wtedy malutka, przyszedłaś z mamą do naszego mieszkania na Montparnasse. W Paryżu dobrze się z twoją mamą poznaliśmy. Przez krótki czas razem pracowaliśmy, byliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Nie zawsze piekłem ciastka. Pewnie nie uwierzysz, ale kiedyś byłem naukowcem. Zaczekaj chwilę. Pokażę ci jej zdjęcie.

Gdy tylko Władimir zniknął na zapleczu, Ewangelina wybiegła na dwór. Dwie przecznice dalej dostrzegła wśród tłumu płaszcz ojca. Nawet przez chwilę nie pomyślała, co zrobi Władimir ani co powie ojciec, tylko puściła się za nim pędem,

mijając sklepiki, kioski, zaparkowane samochody i stragany z warzywami. Na rogu, wybiegając na ulicę, niemal wyróciła się o psa na smyczy. Ojciec był daleko przed nią, ale dobrze go widziała.

Skręcił na południe. Ewangelina szła jego śladem, mijając przecznice za przecznice, przeszła przez Chinatown, potem obok hal przemysłowych, pędziła co sił w nogach, piekły ją palce w ciasnych lakierkach.

Ojciec zatrzymał się wreszcie przy obskurnej, zaśmieconej ulicy. Ewangelina przyglądała się, jak wali w drzwi wielkiego, blaszanego magazynu. Jego uwagę do tego stopnia zaprzętało to, na co się szykował, że nie zauważył, jak podeszła bliżej. Już miała go zawołać, kiedy raptem drzwi się otworzyły. Wszedł do środka. Nastąpiło to tak błyskawicznie, że Ewangelina na chwilę zamarła.

Uchyliła ciężkie drzwi i weszła do zapyłonego korytarza. Cichusieńko wspięła się po aluminiowych schodkach, żeby nie zwrócić uwagi ojca ani kogokolwiek innego, kto mógł się kryć w magazynie. Przykucnęła na podeście, oparła brodę na kolanach - miała nadzieję, że tak skulonej nikt jej nie dostrzeże. Przez całe lata ojciec separował Ewangelinę od swojej pracy. Gdyby dowiedział się, że za nim poszła, wpadłby w szal.

Dopiero po chwili jej wzrok oswoił się z mrocznym, dusznym pomieszczeniem - okazało się, że magazyn jest przestronny i pusty. Zamocowane na stalowych wiązarach zwisały z sufitu na linach trzy klatki, każda wielkości samochodu, pod nimi stała grupka mężczyzn. Uwięzione w klatkach, niczym ptaki w sześciennych stalowych siatek, znajdowały się trzy istoty. Jedna z nich sprawiała wrażenie oszalałej z gniewu - zaciskała palce na kratkach i wykrzykiwała obelgi pod adresem mężczyzn, którzy ją uprowadzili. Dwie pozostałe były zupełnie apatyczne, leżały bezwładne, zgaszone, jakby zmuszone do posłuszeństwa środkami farmakologicznymi albo przemocą.

Ewangelina uważnie się im przyjrzała - były zupełnie nagie, a ich skóra przypominająca błyszczącą błonę roztaczała wokół nich złotą poświatę. Jedna z istot była kobietą: miała długie włosy, niewielkie piersi i wciętą talię. Pozostałe dwie były mężczyznami - wychudli, nieowłosieni, z zapadniętymi klatkami piersiowymi, wyżsi od kobiety i co najmniej dwie stopy wyżsi od dorosłego człowieka. Kraty były umazane świecącym płynem podobnym do miodu, który powoli ściekał po klatkach i kapał na podłogę.

Ojciec stał w grupie, ręce skrzyżował na piersiach. Wyglądało to tak, jakby mężczyźni prowadzili jakiś eksperyment naukowy. Jeden z badaczy miał notatnik, drugi - aparat. Na wielkiej, podświetlonej tablicy zamocowano trzy komplety zdjęć rentgenowskich klatki piersiowej - trupia biel płuc i żeber kontrastowała z wypłowiałą szarością tła. Obok na stoliku leżały przyrządy medyczne - strzykawki, bandaże i rozmaite instrumenty, których Ewangelina nie potrafiła nazwać.

Kobieta krążyła po klatce, wrzeszczała na mężczyzn, rwała blond włosy. W każdy ruch wkładała tyle siły, że stalowa lina skrzypiała, jakby za chwilę miała pęknąć. Wtem kobieta gwałtownie się odwróciła. Ewangelina zamrugła, nie wierząc własnym oczom. Pośrodku jej długich, smukłych pleców wyrastała para potężnych skrzydeł. Ewangelina zakryła usta dłońmi, przerażona, że za chwilę krzyknie ze zdumienia. Anielica napięła mięśnie i rozłożyła skrzydła, które ledwie mieściły się w klatce. Wielkie, białe, poruszały się we mgle emanującego z nich łagodnego blasku. Klatka zakołysała się, kreśląc parabolę w stęchłym powietrzu. Ewangelina poczuła, jak wyostrzają jej się zmysły. W uszach gwałtownie pulsowała jej krew, miała przyspieszony oddech. Istoty, które widziała, były jednocześnie urzekające i straszne. Były pięknymi, skąpanymi w świetle potworami.

Nie mogła oderwać oczu od anielicy, która krążyła po klatce z rozpostartymi skrzydłami, wpatrując się w stojących poniżej mężczyzn, jakby ci byli ledwie myszami, po które może sfrunąć, by je pożreć.

- Wypuście mnie - wyła. Głos miała skrzekliwy, gardłowy. Ostre krawędzie jej skrzydeł wyslizgiwały się przez kraty.

Ojciec Ewangeliny zwrócił się do mężczyzny z notatnikiem.

- Co z nimi zrobicie? - Miał taki ton głosu, jakby mówił o kolekcji rzadkich motyli.

- Czekamy na ostateczne wyniki badań. Wtedy dowiemy się, dokąd wysłać zwłoki.

- Pewnie do laboratoriów w Arizonie, tam zrobią sekcję, dokumentację i tam je zakonserwują. Wyjątkowe piękności.

- Udało wam się określić ich moc? Mają jakieś oznaki schorzeń? - dopytywał ojciec.

Ewangelina wychwyciła w jego głosie nutę nadziei, przeczuwała, że to wszystko ma jakiś związek z jej matką.

- Coś w badaniach krwi i moczu?

- Jeśli pytasz, czy są tak silne jak ich przodkowie - odpowiedział jeden z mężczyzn - to nie. To najsilniejsze osobniki, jakie widziałem od lat, ale za to bardzo podatne na nasze bodźce.

- Wspaniałe wieści - odparł ojciec, podchodząc do klatek. Zwrócił się do istot rozkazującym tonem, jakby mówił do zwierząt: - Diabły.

Słyszając to, jeden z aniołów płci męskiej zbudził się z letargu. Oplótł białymi palcami kraty, podciągnął się i wstał.

- Anioł i diabeł - powiedział - jeden jest tylko cieniem drugiego.

- Przyjdzie taki dzień - orzekł ojciec - kiedy nie będzie was na ziemi. Pozbędziemy się was.

Zanim Ewangelina zdążyła się ukryć, ojciec odwrócił się i podszedł do schodów. Na platformie nie było jej co prawda widać, ale nie zaplanowała drogi ucieczki. Nie pozostało jej nic innego, jak czmychnąć po schodach i wybiec na dwór w oślepiające, popołudniowe słońce. Porażona blaskiem, biegła i biegła.

## **Milton Bar and Grill", Milton, stan Nowy Jork**

Przeciskając się przez zaludniony bar, Verlaine czuł, jak sącząca się muzyka country uspokaja bicie jego serca. Był przemarznięty, zraniona ręka potwornie go bolała, od śniadania nic nie miał w ustach. Gdyby był w Nowym Jorku, zamawiałby właśnie jedzenie na wynos w ulubionej tajskiej knajpie albo siedział z kumplami w Village na drinku. Jedynym jego zmartwieniem byłoby to, czy leci coś ciekawego w telewizji. Tymczasem tkwił na odludziu, w przydrożnej knajpie, i zastanawiał się, w co takiego się wpakował. Przynajmniej było mu ciepło i mógł spokojnie pomyśleć. Rozcierał ręce, usiłując przywrócić czucie w skostniałych palcach. Musi odtajać, żeby wymyślić, co, do cholery ciężkiej, ma ze sobą począć.

Usiadł przy stoliku pod oknem - tylko ten jeden był na uboczu - zamówił hamburgera i butelkę Coronę. Wypił piwo duszkiem, żeby się ogrzać, i zamówił kolejne. Drugie pił powoli w nadziei, że alkohol kawałeczek po kawałeczku przywróci go do rzeczywistości. Palce rąk mu mrowiały, powoli tajały stopy, nieco mniej bolał nadgarstek. Zanim przyniesiono jedzenie, zdążył się rozgrzać i odzyskał bystrość umysłu konieczną do tego, by rozwikłać problemy.

Wyjął z kieszeni kartkę, rozłożył ją na laminowanym blacie stolika i raz jeszcze przeczytał spisane z listu słowa. Błade, przydymione światło padało na jego przemarznięte ręce, na opróżnioną w połowie butelkę Coronę, na bladoróżowy papier. List był krótki, zawierał zaledwie cztery zdania, nie było w nim żadnych ozdobników, ale przed Verlaine'em otwierał cały świat możliwości. Związek między matką Innocentą a Abigail Rockefeller pozostawał tajemnicą - najwyraźniej współpracowały przy jakimś projekcie, a w Rodopach odniosły sukces - ale Verlaine już widział oczami wyobraźni wielki artykuł, może nawet książkę o przedmiocie, który kobiety sprowadziły z gór. Niemal tak bardzo, jak ów tajemniczy artefakt, zaintrygował Verlaine'a udział trzeciej osoby w przedsięwzięciu - Celestine Clochette. Verlaine próbował sobie przypomnieć, czy prowadząc badania, natknął się na wzmiankę o kobiecie o takim nazwisku. Czy Celestine była jedną z partnerek Abigail? Może handlowała w Europie dziełami sztuki? Perspektywa rozwikłania tajemnicy tego trójkąta była tym, co Verlaine'a tak urzekało w historii sztuki: każde dzieło kryło w sobie sekret powstania, dzieje rozpowszechniania i osobliwości konserwacji.

Zainteresowanie Grigoriego klasztorem Świętej Róży dodatkowo gmatwało sprawę. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś taki jak Grigori potrafił dostrzec w sztuce piękno i przesłanie. Tacy jak on nigdy nie pojmą, że van Gogh to coś więcej niż rekordowa suma na aukcji. Poszukiwany obiekt musi mieć zatem wartość pieniężną, w przeciwnym razie Grigori nie zawracałby sobie nim głowy. Verlaine nie mógł tylko zrozumieć, jak to się stało, że jego życie splotło się z losem takiego typu.

Wyrzwał na zewnątrz, wpatrzył się w ciemność za szybą. Zdaje się, że znów spadła temperatura: na oknach ciepłego pomieszczenia osiadła gęsta, wilgotna powłoka. Kiedy od czasu do czasu przejeżdżał samochód, tylne światła zostawiały w mroźnym powietrzu ciągnący się pomarańczowy ślad. Verlaine zastanawiał się, jak dotrze do domu.

Przez chwilę chciał zadzwonić do klasztoru. Być może piękna, młoda zakonnica, którą spotkał w bibliotece, coś by mu doradziła. Wtem pomyślał, że może jej grozić niebezpieczeństwo. A jeśli zbiry weszły do środka i jej szukały? Ale przecież ci faceci nie mogli wiedzieć, do której części klasztoru się skierował, a już z całą pewnością nie wiedzieli, że z nią rozmawiał. Ona sama niezbyt ucieszyła się na jego widok i pewnie więcej jej nie zobaczy. Trzeba myśleć praktycznie. Musi się dostać na stację kolejową albo znaleźć autobus, którym dojedzie do miasta. Obawiał się tylko, że w Miltonie nie znajdzie ani jednego, ani drugiego.

## **Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Ewangelina nie znała siostry Celestyny zbyt dobrze. Była to siedemdziesięcioletnia staruszka, przykuta do wózka, która nie spędzała z młodszymi siostrami zbyt wiele czasu. Codziennie uczestniczyła w porannej mszy, jedna z mniszek ustawiała jej wózek pod ołtarzem, a Celestyna siedziała samotnie - jak święta, jak królowa. Posiłki zawsze jadła w celi, czasami Ewangelina zanosila jej z biblioteki stos tomików poezji albo jakąś powieść historyczną. Niekiedy siostra Filomena pożyczała z innych bibliotek egzemplarze w języku francuskim - z nich, zauważyła Ewangelina, siostra Celestyna szczególnie się cieszyła.



Ewangelina szła korytarzem na pierwszym piętrze, zaludnionym przez pochłonięte pracą zakonnice - w słabym świetle zamkniętych w metalowych kinkietach żarówek podłogę omiały niezliczone czarno-białe habity krzątających się mniszek. Siostry krążyły po korytarzu, przygotowując się do wieczornego sprzątnięcia: otwierały schowki, wyciągały szczotki, mopy, szmaty i butle ze środkami czystości. Przepasywały się fartuchami, zawijały szerokie rękawy, wkładały gumowe rękawice. Odkurzały zasłony i otwierały okna, żeby wywietrzyć zapach pleśni, którym wilgotny, chłodny klimat chciał wziąć klasztor we władanie. Zakonnice szczyły się tym, że większą część prac na terenie wspólnoty wykonywały samodzielnie. Panująca podczas wieczornej pracy radość przysłała takt, że oto siostry szoruj;), poleruj;] i odkurzają, i tworzyła iluzję udziału w jakimś cudownym projekcie, wielokrotnie bardziej znaczącym niż indywidualny wysiłek każdej z nich. W rzeczy samej tak było: każda umyta podłoga, każdy wypolerowany słupek balustrady stawały się ofiarą i hołdem dla większego dobra.

Ewangelina wąskimi schodami przeszła z kaplicy Adoracji na czwarte piętro. Siostrze Celestynie przydzielono jedną z większych cel klasztornych - narożną sypialnię obok windy, z prywatną łazienką i dużym prysznicem ze składanym, plastikowym krzesłem. Ewangelina często zastanawiała się, czy odosobnienie siostry Celestyny, które zdejmowało z niej ciężar codziennego uczestnictwa we wspólnotowych zajęciach, było dla niej przyjemnym zwolnieniem z obowiązków, czy też może izolacja stała się dla niej więzieniem. Niezdolność do poruszania się o własnych siłach wydawała się Ewangelinie straszliwym ograniczeniem.

Niepewnie, trzykrotnie zastukała do drzwi.

- Tak? - rozległ się słabowity głos. Celestyna urodziła się we Francji. Przeżyła w Stanach pół wieku, nadal jednak miała silny francuski akcent.

Ewangelina weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Kto to?

- To ja - odpowiedziała cichutko, obawiając się, czy nie przeszkadza. - Ewangelina. Z biblioteki.

Celestyna siedziała w wózku przy oknie, okryta kocem. Nie miała welonu, krótko przycięte włosy okalały jej twarz najczystsza bielą. W kącie pokoju pluł parą nawilżacz powietrza. Po przeciwnej stronie żarzyły się spirale piecyka, nagrzewając wnętrze jak saunę. Celestyna wydawała się zziębnięta, mimo że kolana miała otulone szydełkowym kocem. Podobnym nakryte było łóżko - takie pledy młodsze siostry zwykle robiły dla starszych. Celestyna zwęziła oczy, oswajając się z obecnością Ewangeliny.

- Przyniosłaś książki?

- Nie - odparła Ewangelina. Przysiadła naprzeciwko wózka, obok którego stał mahoniowy stolik; na blacie leżał stos książek, a na nich szkło powiększające. - Chyba nie brakuje siostrze lektur.

- O, nie - odparta Celestyna, wyglądając przez okno. - Chociaż czytania nigdy dość.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam siostrę o coś spytać. - Ewangelina wyjęła z kieszeni list Abigail Rockefeller do matki Innocenty i położyła staruszcze na kolanach.

Celestyna splotła długie, białe palce, na jej serdecznym palcu błysnął sygnet z wygrawerowanym skrótem OCPA. Wbiła w Ewangelinę chłodny, taksujący wzrok. Nie pamiętała pewnie, co jadła na lunch, jak mogła więc sięgnąć do wydarzeń sprzed kilkudziesięciu lat.

Ewangelina odchrząknęła.

- Pracowałam dziś rano w archiwum. Znalazłam list, w którym pada imię siostry. Nie wiem, w którym katalogu go umieścić. Miałam nadzieję, że siostra pomoże mi zrozumieć, o co w nim chodzi. Muszę dla niego znaleźć stosowne miejsce.

- Stosowne miejsce? - powtórzyła Celestyna z powątpiewaniem. - Ja już nie nadaję się do żadnych porządków. Czego dotyczy ten list?

Ewangelina podała Celestynie pismo do ręki. Starsza mniszka obróciła cienki arkusz w dłoniach.

- Szkło - powiedziała, wskazując palcem na stolik.

Ewangelina wsunęła jej w dłoń szkło powiększające i z uwagą przypatrywała się twarzy mniszki, kiedy przesuwała nim po kolejnych liniach, zamieniając arkusz papieru w plaster wodnistego światła. Na twarzy Celestyny malowała się dezorientacja, ale Ewangelina nie wiedziała, czy wywołały ją zawarte w liście słowa. Po chwili Celestyna odłożyła szkło na kolana, a dla Ewangeliny stało się jasne, że Celestyna rozpoznała pismo.

- To bardzo stary list - przemówiła wreszcie. Złożyła arkusz i przykryła go pokrytą błękitnymi żyłkami dłonią. - Napisała go kobieta nazwiskiem Abigail Rockefeller.

- Wiem - potwierdziła Ewangelina. - Widziałam podpis.

- Dziwię się, że był w archiwum - dodała Celestyna. - Myślałam, że wszystko zabrali.

- Miałam nadzieję - powtórzyła prośbę Ewangelina - że siostra pomoże mi go zrozumieć.

Celestyna westchnęła głęboko i odwróciła wzrok. Jej oczy otoczone były gęstą siatką zmarszczek.

- Został napisany, zanim przybyłam do Świętej Róży. Przyjechałam tu na początku czterdziestego czwartego, mniej więcej tydzień przed wielkim pożarem. Byłam osłabiona po podróży i nie mówiłam słowa po angielsku.

- Czy siostra wie, czemu pani Rockefeller pisała do matki Innocenty? - dopytywała Ewangelina.

Celestyna podciągnęła się na wózku, wygładziła koc na nogach.

- To pani Rockefeller mnie tu sprowadziła - powiedziała ostrożnie, jakby bała się zdradzić zbyt wiele. - Przyjechałyśmy do klasztoru bent-leyem, tak mi się przynajmniej wydaje, zawsze miałam problem z odróżnianiem niefrancuskich marek. Na pewno było to auto odpowiednie dla Abigail Rockefeller - tęgiej, starszej kobiety w futrze. Byłam jej zupełnym

przeciwieństwem: młoda, straszliwie chuda i ubrana w staromodny, franciszkański habit - takie noszono w Portugalii, gdzie przed podróżą przyjął śluby. Bardziej pasowała do sióstr, które wyległy na podjazd w czarnych płaszczach i chustach. To była środa popielcowa. Zapamiętałam tę datę, bo po porannej mszy siostry miały wymalowane popiołem na czołach czarne krzyże. Nigdy nie zapomnę, jak mnie powitały. Mijałam tłum mniszek, a one szeptały do mnie łagodnym głosem, który otaczał mnie jak pieśń. Witaj, szeptały siostry ze Świętej Róży. Witaj, witaj, witaj w domu.

- Podobnie powitały i mnie - wtrąciła Ewangelina. Tamtego dnia niczego nie pragnęła tak bardzo, jak tego, żeby ojciec zabrał ją z powrotem do domu.

- Pamiętam. Byłaś taka młodziutka. - Celestyna zamilkła, jakby porównywała przybycie Ewangeliny do klasztoru z własnym. - Matka Innocenta wyszła nam na powitanie - zrozumiałam wtedy, że te dwie kobiety znały się już wcześniej. Pani Rockefeller powiedziała: „Tak się cieszę, że wreszcie mogę Matkę poznać”, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy to powitanie siostry zgotowały mnie, czy też może pani Rockefeller, którą były wyraźnie zainteresowane. Dobrze wiedziałam, jak wyglądałam.

Miałam straszliwą niedowagę i sińce pod oczami. Sama nie wiem, co bardziej nadwerżyło moje siły - choroby grasujące w Europie czy przeprawa przez Atlantyk.

Ewangelina przedstawiała sobie w myślach przyjazd Celestyny. Nie potrafiła tylko wyobrazić jej sobie jako młodej kobiety. Kiedy dołączyła do wspólnoty, była mniej więcej w tym wieku co teraz Ewangelina.

- Abigail Rockefeller z pewnością niepokoiła się o stan zdrowia siostry - próbowała pokrzepić staruszkę.

- Nonsens - odparła Celestyna. - Popchnęła mnie w stronę matki Innocenty, jak na oględziny, jak matrona, której córka debiutuje na balu. Innocenta szeroko otworzyła ciężkie, drewniane wrota i przytrzymała je swoim ciałem, żeby siostry mogły wrócić do pracy. Mijały nas, a ja po ich woni odgadywałam, czym się zajmują: jedne pachniały środkami do polerowania drewna, inne amoniakiem albo pastą do podłogi. Pani Rockefeller zupełnie na to nie zważała. Z tego, co pamiętam, jej uwagę zwrócił marmurowy posąg archanioła Michała deptającego głowę węża. Położyła obleczone rękawiczką dłoń na jego stopie i delikatnie przesunęła palcem w miejscu, w którym czaszka demona pękłaby pod naciskiem ciała anioła. Zauważyłam wtedy podwójny sznur kremowych pereł na jej szyi - kule mieniące się w przytłumionym świetle. Naszyjnik był piękny i choć zwykle nie zważałam na dobra materialne, zaprzętnął moją uwagę przez dłuższą chwilę. Pomyślałam, że pani Rockefeller i posąg, który podziwiała, w jakiś sposób do siebie pasują i jakie to niesprawiedliwe, że w Europie dzieci Boże giną w chorobie i nieszczęściu, a w Ameryce stroją się w futra i perły.

Ewangelina wpatrywała się w Celestynę w nadziei, że to nie koniec opowieści. Nie dość, że staruszka wiedziała o powiązaniach Innocenty z Abigail Rockefeller, to jeszcze najprawdopodobniej była w samym ich centrum. Chciała poprosić Celestynę, żeby mówiła dalej, ale bała się, że może ją spłoszyć.

- Z pewnością siostra wie, o czym pani Rockefeller pisała do Innocenty - powiedziała wreszcie.

- W Rodopy pojechaliśmy w związku z moją pracą - podjęła wątek Celestyna, przesywając Ewangelinę wzrokiem, który wywołał w niej niepokój. - To dzięki moim wysiłkom mogliśmy dotrzeć do znaleziska w jaskini. Zaplanowaliśmy wyprawę jak najstaranniej. Prowadziła ją doktor Seraphina Valko - najbardziej obawiała się, że dopadną nas, zanim dotrzemy do wąwozu. Ale nie dopadli.

- Do wąwozu? - dopytywała coraz bardziej zdezorientowana Ewangelina.

- Wszystko było skrupulatnie zaplanowane - ciągnęła Celestyna. - Mieliśmy najnowocześniejszy sprzęt i aparaty, żeby udokumentować znalezisko. Bardzo ich pilnowaliśmy, filmów też. Znaleźliśmy to, co mieliśmy znaleźć. Owinięte w tkaninę, doskonale zabezpieczone. - Celestyna wypatrywała czegoś przez okno. Mogło się wydawać, że szacuje wzrost wody w rzece.

- Nie bardzo rozumiem - wtrąciła Ewangelina, licząc na to, że Celestyna wyrazi się jaśniej. - Jaka jaskinia? Jakie znalezisko?

Celestyna znów skarciła ją wzrokiem.

- Wjechaliśmy w Rodopy od strony Grecji. Była wojna, nie dało się inaczej. Na zachód od miejsca wyprawy, w Sofii, Amerykanie i Brytyjczycy prowadzili naloty. Z każdym tygodniem straty były coraz większe, a poza tym obawialiśmy się, że wkrótce mogą zbombardować i wąwóz. Postanowiliśmy dłużej nie zwlekać. Kiedy zabezpieczono fundusze od Abigail Rockefeller, sprawy potoczyły się bardzo szybko. Wezwano wszystkich angelologów i nakazano im kontynuować pracę.

Angelolodzy - Ewangelina próbowała przetrwać to słowo w myślach. Znała je, ale nie śmiała tego przyznać przez Celestynę. Obawiała się zdradzić ból i tęsknotę, jakie w niej wywoływało.

Nawet jeśli Celestyna zorientowała się, o czym myśli młoda mniszka, nie dała niczego po sobie poznać.

- Wrogowie nie zaatakowali nas w Diabelskim Gardle, ale wysłedzili po powrocie do Paryża - Celestyna mówiła z coraz większym ożywieniem, patrzyła na Ewangelinę szeroko otwartymi oczami. - Jeszcze tego samego wieczora rozpoczęli polowanie. Uruchomili siatkę szpiegowską, schwyтали moją ukochaną nauczycielkę. Nie mogłam zostać we Francji, w Europie zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Musiałam wyjechać do Stanów, choć wcale tego nie chciałam. To na mnie spoczęła odpowiedzialność za bezpieczne przekazanie znaleziska. Kiedy mi je powierzono, nie miałam wyjścia, musiałam uciekać. Do dziś myślę, że zdradziłam tych, którzy do końca stawiali opór, ale nie miałam wyboru. Takie było moje zadanie. Inni umierali, a ja płynęłam statkiem do Nowego Jorku. Wszystko było już przygotowane.

Ewangelina za nic nie chciała zdradzić przed Celestyną swojej reakcji na niesamowite szczegóły jej opowieści, ale im więcej ich poznawała, tym trudniej było jej zachować milczenie.

- Pomogła w tym siostrze pani Rockefeller? - spytała.

- To ona zaaranżowała mój wyjazd z piekła, jakim stała się Europa. - Była to pierwsza bezpośrednia odpowiedź Celestyny. - Przemycono mnie do Portugalii. Inni nie mieli tyle szczęścia - wiedziałam, że ci, którzy zostali, byli skazani na



śmierć. Te straszliwe diabły znalazły nas i zaczęły zabijać. To właśnie robiły te zepsute, szatańskie, nieludzkie stworzenia! Nie spoczęły, dopóki nas nie zgładziły. I ścigają nas po dziś dzień.

Oslupiała Ewangelina wpatrywała się w Celestynę. Niewiele wiedziała o drugiej wojnie światowej i nie podzielała lęków staruszki, ale obawiała się, że gwałtowne poruszenie może schorowanej kobiecie bardzo zaszkodzić.

- Bardzo proszę, niech się siostra tak nie denerwuje. Tutaj jest siostra bezpieczna.
- Bezpieczna? - Oczy Celestyny zmroził strach. - Nigdy nie można być bezpiecznym. Jamais.
- Czy może mi siostra powiedzieć - spytała Ewangelina pewnym tonem, który miał maskować jej zgryzotę - o jakim niebezpieczeństwie siostra mówi?

Celestyna przemówiła głosem tylko odrobinę głośniejszym od szeptu.

- A cette époque-là, il y avait des géants sur la terre, et aussi après que les fils de Dieu se furent unis aux filles des hommes et qu'elles leur eurent donné des enfants. Ce sont ces héros si fameux d'autrefois.

Ewangelina знаła francuski - był to język ojczysty jej matki, która w rozmowach z córką posługiwała się wyłącznie nim - ale nie słyszała go od piętnastu lat.

Celestyna powtórzyła to samo po angielsku. Jej głos był ostry, gwałtowny, żarliwy:

- A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To są mocarze, którzy z dawien dawna byli sławni<sup>6</sup>.

Słyszając cytaty w języku angielskim, Ewangelina natychmiast go rozpoznała, wiedziała dokładnie, skąd pochodzi.

- To z Księgi Rodzaju - powiedziała z ulgą, bo udało jej się zrozumieć przynajmniej ułamek tego, co mówiła Celestyna. - Znam ten fragment. To tuż przed potopem.

- Pardon? - spytała Celestyna, jakby zobaczyła Ewangelinę po raz pierwszy.
- Cytowała siostra wersety z Księgi Rodzaju - powtórzyła Ewangelina. - Teraz rozumięłam.
- Nieprawda - zaprzeczyła Celestyna. Z jej oczu zionęła wrogość. - Niczego nie rozumiesz.

Ewangelina dotknęła dłoni Celestyny, żeby ją uspokoić, ale było już za późno - staruszka wpadła w furję. Zaczęła szeptać:

- Na początku między tym co ludzkie a tym co boskie panowała harmonia. Wszechświat był uporządkowany. Legiony aniołów miały swoje stałe miejsca w zastępach, mężczyzna i kobieta - najukochańsze dzieci Boga, stworzone na jego obraz - żyły szczęśliwie, nie znając bólu. Nie istniało cierpienie, nie istniała śmierć, nie istniał czas. Nie było powodu, by istniały. Wszechświat był doskonale statyczny i nieskazitelny w swoim bezruchu. Ale anioły były niespokojne, zazdrosne o człowieka. Kusily go, nie tylko z powodu własnej pychy, ale także po to, aby zadać Bogu ból. I upadły, tak jak upadł człowiek.

Ewangelina wiedziała, że jeśli pozwoli Celestynie kontynuować ten szaleńczy wywód, może się to źle skończyć.

Wyciągnęła list spod jej drżących palców, schowała go do kieszeni i wstała.

- Niech mi siostra wybaczy - powiedziała. - Nie chciałam siostry denerwować.
- Wyjdź - powiedziała Celestyna miotana gwałtownymi dreszczami. - Wyjdź natychmiast i zostaw mnie w spokoju.

Zdezorientowana i przerażona Ewangelina zamknęła za sobą drzwi i pół idąc, pół biegnąc, dotarła wąskim korytarzem do schodów.

Siostra Filomena drzemała zwykle do obiadu, kiedy więc Ewangelina dotarła do biblioteki, była nieco zdziwiona, że pomieszczenie stało puste, w kominku dawno wygasło, a na wózku leżał stos zwróconych książek, które należało odłożyć na miejsce. Postanowiła zająć się nimi później i od razu podeszła do kominka, żeby nagrzać wychłodzone wnętrze. Ułożyła na ruszcie dwa kawałki sękaty sosny, wetknęła pod nie pomięte gazety i przyłożyła zapalnik. Kiedy zaskwierczał ogień, wstała i skostniałymi dłońmi wygładziła spódnicę, próbując pozbierać myśli. Jedno było pewne: musiała się skupić, żeby przemyśleć opowieść Celestyny. Sięgnęła do kieszeni spódnicy po list Verlaine'a, rozłożyła go i raz jeszcze przeczytała:

Podczas pracy badawczej prowadzonej na zlecenie prywatnego klienta, dowiedziałem się, że pani Abigail Aldrich Rockefeller, szacowna członkini rodu Rockefellerów i patronka sztuki, prawdopodobnie korespondowała przelotnie z księżką klasztoru Świętej Róży, matką Innocentą w latach 1943-1944.

Była to tylko niewinna prośba o wizytę w klasztorze Świętej Róży, list, jakich wiele otrzymywały instytucje przechowujące zbiory rzadkich ksiąg i wizerunków, pismo, na które Ewangelina normalnie udzieliłaby szybkiej odmowy i natychmiast o nim zapomniała. A jednak ta zwykła prośba wyróciła wszystko do góry nogami. Ewangelina była z jednej strony nieufna, z drugiej zaś paliła ją ciekawość - chciała wiedzieć więcej o siostrze Celestynie, o Abigail Rockefeller, matce Innocencie, angelologii. Chciała zrozumieć, czym zajmowali się jej rodzice, a jednocześnie pragnęła komfortu, jaki daje niewiedza. Słowa Celestyny rozbrzmiewały echem w jej uszach, jakby przybyła do Świętej Róży właśnie po to, aby je usłyszeć. Sama myśl o tym, że być może istnieje związek między przeżyciami staruszki a jej losem, poruszała ją do głębi.

Na szczęście w bibliotece panował niczym niezmacony spokój. Ewangelina usiadła przy stole obok kominka, oparła kościste łokcie o drewniany blat, położyła głowę na dłoniach i usiłowała zebrać myśli. Choć ogień skwierczał już mocno, z kominka sączyła się strużka lodowatego powietrza - trudno było sprecyzować odczucie, jakie wzbudzał na jej skórze powiew gorąca i mrozącego chłodu. Ewangelina z całych sił starała się odtworzyć w głowie poplątaną historię Celestyny. Sięgnęła po kawałek papieru, wyjęła z kieszeni czerwony flamaster i zapisała:

<sup>6</sup> Rdz 6,4 Biblia Warszawska.

## jaskinia Diabelskie Gardło Rodopy Rdz 6 angelolodzy

W trudnych chwilach Ewangelina zachowywała się bardziej jak zółw niż jak młoda kobieta - zamykała się w sobie, zaszywała w chłodnym mroku własnych myśli, siedziała bez ruchu i czekała, aż dezorientacja ustąpi. Pół godziny wpatrywała się w zanotowane słowa: jaskinia Diabelskie Gardło, Rodopy, Rdz 6, angelolodzy. Gdyby zaledwie dzień wcześniej ktoś jej powiedział, że te słowa będą spozierały dziś na nią z kartki papieru, domagając się konfrontacji w najmniej spodziewanej chwili, wybuchłaby śmiechem. A jednak to właśnie one były filarami opowieści siostry Celestyny. W dodatku, zważywszy na rolę Abigail Rockefeller w całej tej tajemniczej historii - rolę, której niezbitym dowodem był odnaleziony list - nie miała wyjścia, jak tylko rozszyfrować całą sieć zależności.

Choć w pierwszym odruchu chciała analizować listę dopóty, dopóki wszystko nie stanie się jasne, to jednak wiedziała, że lepiej z tym poczekać. Poszła w głąb ogrzanego już pomieszczenia i zdjęła z półki olbrzymi atlas świata. Położyła go na stole, odnalazła w indeksie Rodopy i otworzyła opasły tom gdzieś pośrodku na odpowiedniej stronie. Rodopy okazały się niewielkim pasmem górskim w południowo-wschodniej Europie, rozciągały się od północnej Grecji po południową Bułgarię. Ewangelina przestudiowała mapę, szukając odnośnika do Diabelskiego Gardła, ale cały region jawił się jako podobne cętki, upstrzone oznaczającymi szczyty trójkątami.

Przypomniawszy sobie słowa Celestyny o tym, że wyprawa wjechała w Rodopy od strony Grecji, Ewangelina przebiegła palcem po mapie ku otoczonej wodami Grecji i znalazła rejon, w którym Rodopy wyrastały z równin. Zielenie i szarości oznaczały tereny podgórskie i małą gęstość zaludnienia. Jedyne tutejsze drogi były częścią sieci transportowej ciągnącej się od Kawali, portu nad Morzem Egejskim, do miasteczek i wsi na północy. Ewangelina popatrzyła następnie na tereny na południe od łańcucha górskiego i jeszcze niżej, na półwysep. Zobaczyła Ateny i Spartę - miasta, o których czytała, studiując literaturę klasyczną. Właśnie te starożytne ośrodki zawsze kojarzyła z Grecją, nigdy natomiast nie słyszała o odległym paśmie górskim, ciągnącym się wzdłuż północnych terytoriów Grecji, na granicy z Bułgarią.

Uświadomiwszy sobie, że z mapy nie dowie się o regionie zbyt wiele, Ewangelina sięgnęła po zniszczoną encyklopedię z lat sześćdziesiątych i odszukała hasło „Rodopy”. Pośrodku strony znajdowała się czarno--biała fotografia przepastnej jaskini. Pod zdjęciem widniał podpis:

Diabelskie Gardło - jaskinia w Rodopach. Ponad wąską szczeliną w potężnej skale, w głąb solidnego granitu opada imponujący komin, dalej w wąskim korytarzu znajduje się ogromny wodospad; kaskady wody spływają na dno jaskini, gdzie tworzą podziemną rzekę. O naturalnych grotach na dnie wąwozu od dawien dawna krążą legendy. Pierwsi badacze donieśli o dziwnych światłach w jaskiniach i poczuciu euforii, które ogarniało ich po wejściu do odleglejszych miejsc - prawdopodobnie można je tłumaczyć obecnością pokładów naturalnego gazu.

Ewangelina wyczytała, że w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku jaskinia Diabelskie Gardło została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO ze względu na nadzwyczajne piękno oraz znaczenie dla historii i mitologii Traków zamieszkujących ten region w czwartym i piątym wieku przed naszą erą. Postanowiła dowiedzieć się więcej na ten temat. Sięgnęła po mitologię Greków i Traków; pierwszych kilka rozdziałów poświęcono najnowszym odkryciom archeologicznym trackich ruin, nieco dalej Ewangelina znalazła taki oto ustęp:

Starożytni Grecy uważali Diabelskie Gardło za wrota mitologicznych zaświatów, przez które Orfeusz, król trackiego plemienia Kikonów, wkroczył w otchłań Hadesu, aby ratować ukochaną Eurydykę. Według mitologii greckiej podarkami Orfeusza dla ludzkości były muzyka, pismo i medycyna; miał on również propagować kult Dionizosa. Apollo podarował Orfeuszowi złotą lirę i nauczył go wygrywać na niej melodie, które poskramiały zwierzęta, ożywiały przedmioty i łagodziły każdy bez wyjątku temperament, mieszkańców Hadesu także. Liczna grupa archeologów i historyków uważa, że za pomocą muzyki Orfeusz rozpowszechniał wśród swojego ludu kult Apolla i Dionizosa. Niektórzy spekulują wręcz, że podczas ekstatycznych Dionizjów Trakowie składali ofiary z ludzi - rozczłonkowane ciała porzucali w Diabelskim Gardle, gdzie ulegały rozkładowi.

Dzieje Orfeusza i jego rola w starożytnej mitologii pochłonęła Ewangelinę, bez reszty, ale te informacje zupełnie nie przystawały do relacji Celestyny. Staruszka nie wspomniała o Orfeuszu ani o Dionizjach, które rzekomo inspirował. Zupełną niespodzianką okazała się zatem treść kolejnego akapitu:

Wraz z rozpowszechnieniem chrześcijaństwa jaskinię Diabelskie Gardło zaczęto uważać za miejsce, do którego wtrącono wygnane z nieba zbuntowane anioły. Miejscowi chrześcijanie wierzyli, że długi komin u wylotu jaskini został wyrzeźbiony przez ogniste ciało Lucyfera, które, przecinając ziemię, opadało do piekła - stąd też pochodzi nazwa jaskini. Przez długi czas uważano ją za loch pierwotnych zastępów upadłych aniołów, a także za więzienie „synów bożych” - spornych istot wspomnianych w pseudoepigraficznej Księdze Henocba. Ci nieposłuszni aniołowie - określane w Księdze Henocba jako czuwający, w Biblii zaś jako synowie boży - zasłużyli na gniew Stwórcy, zawierając związki z ludzkimi kobietami i wydając na świat anielsko-ludzkie hybrydy zwane nefilimami (zob. Rdz 6). Wskutek tego występku czuwający zostali uwięzieni pod ziemią. W Biblii pojawia się wiele odniesień do podziemnego więzienia; por. Jud 1,6.

Zostawiwszy otwartą książkę na stole, Ewangelina wstała i sięgnęła po Nową Amerykańską Biblię leżącą na stole na podwyższeniu pośrodku biblioteki. Przekartkowała strony opisujące stworzenie i upadek człowieka i śmierć Abla z rąk Kaina. Zatrzymała się na szóstym rozdziale w Księdze Rodzaju:

(1) A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, (2) ujrzeli synowie boży, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli. (3) I rzekł Pan: Nie będzie przebywał duch mój w człowieku na zawsze, gdyż jest on tylko ciałem. Będzie więc życie jego trwać sto dwadzieścia lat. (4) A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi<sup>7</sup>, których im one rodziły. To są mocarze, którzy z dawien dawna byli sławni. (5) A gdy Pan widział, że wielka jest złość człowieka na ziemi i że wszelkie jego myśli oraz dążenia jego serca są ustawicznie złe, (6) żałował Pan, że uczynił człowieka na ziemi i bolał nad tym w sercu swoim. (7) I rzekł Pan: Zgładzę człowieka, którego stworzyłem, z powierzchni ziemi, począwszy od człowieka aż do bydła, aż do ptactwa niebios, gdyż żałuję, że je uczyniłem<sup>8</sup>.

Fragment tego właśnie ustępu cytowała wcześniej Celestyna. Choć Ewangelina czytała go setki razy - w dzieciństwie matka czytywała jej tę księgę na głos; było to pierwsze oczarowanie małej dziewczynki literaturą: nigdy wcześniej nie słyszała opowieści tak pełnej napięcia i kataklizmów, opowieści budzącej nabożną cześć - nigdy nie zastanawiała się nad jej szczegółami: narodzinami nadzwyczajnych istot zwanych nefili-mami, ograniczeniem długości życia człowieka do stu dwudziestu lat, rozczarowaniem Boga tym, co stworzył, okrutnym odwetem w postaci potopu. Ani podczas nauki i przygotowań do nowicjatu, ani podczas niezliczonych dyskusji biblijnych, w których uczestniczyła wraz z innymi siostrami, tego akurat fragmentu nigdy nie omawiano. Przeczytała go raz jeszcze i zatrzymała się nad jednym zdaniem: „A w owych czasach, również i potem (...) byli na ziemi olbrzymi”. Potem zajrzała do Listu Judy: „aniołów zaś, którzy nie zachowali zakreślonego dla nich okręgu, lecz opuścili własne mieszkanie, trzymają w wiecznych pętach w ciemnicy na wielki dzień sądu”<sup>9</sup>.

Czuąc, że za chwilę głowa jej pęknie, Ewangelina zamknęła Biblię. Znów usłyszała głos ojca, znów wchodziła po schodach zimnego, obskurnego magazynu, znów jak najciszej stawiała lakierki na metalowych stopniach. Powróciły wizje, które przez długi czas uważała za wytwory swojej wyobraźni: ostro zakończony skrzydła, świetliste ciała, zadziwiające, piękne istoty zamknięte w zwisających z sufitu klatkach. Myśl, że te bestie były prawdziwe i że to z ich powodu ojciec oddał ją do Świętej Róży - wydawała jej się w tej chwili nie do zniesienia.

Wstała od stołu i podeszła do przeszklonej szafy, w której przechowywano oprawione w cielęcą skórę dziewiętnastowieczne księgi. Były to najstarsze egzemplarze klasztornej biblioteki, pozyskane w roku założenia, jednak w porównaniu z tekstami, których analizy zawierały, wcale nie wydawały się stare. Ewangelina sięgnęła po zawieszony na haku klucz, otworzyła szafę, wyjęła jedną z ksiąg, ostrożnie ją przeniosła i położyła na dużym, dębowym stole obok kominka. Przypatrzyła jej się - była to Anatomia Ciemnych Aniołów - i z wielką czułością pogłaskała miękką, skózaną oprawę. Bała się, że otwierając tom, może go uszkodzić.

Ostrożnie rozchyliła okładkę i zajrzała do środka. Na kilkuset stronach księga omawiała mroczne oblicze aniołów. Każda strona, każdy wykres i szkic odnosiły się do grzechu aniołów, które zbuntowały się przeciwko naturalnemu porządkowi. Znajdowały się tam najróżniejsze informacje: od egzegez biblijnych po stanowisko franciszkanów w sprawie egzorcyzmów. Ewangelina przekartkowała część tomu i zatrzymała się na omówieniu sporów demonologicznych w historii kościoła. Mniszki nigdy nie dyskutowały na ten temat i Ewangelinie był on zupełnie obcy, a tymczasem przekonała się, że demony były niegdyś źródłem poważnych dysput teologicznych w łonie Kościoła. Na przykład święty Tomasz z Akwinu za prawdę wiary podawał twierdzenie, jakoby demony miały moc wywoływania wiatrów, sztormów i deszczu ognia. Podawanej przez Talmud liczby demonów - 7 405 926 dzielonych na 72 zastępy - nie potwierdzały żadne pisma chrześcijańskie, więc Ewangelina uznała, że to zapewne tylko spekulacja, niemniej sama liczba wprawiła ją w zdumienie.

Pierwsze rozdziały poświęcono historii buntu aniołów. Okazało się, że nie ma zgody między chrześcijanami, żydami i muzułmanami w kwestii nieposłuszeństwa aniołów przed tysiącami lat. Konkretną wzmiankę o nich zawierała Księga Rodzaju, istniały ponadto teksty apokryficzne i pseudoepigraficzne, które krążyły przez wiele stuleci po Chrystusie i stanowiły wyraz judeochrześcijańskiej koncepcji aniołów. Opowieści o objawieniu się aniołów było całe mnóstwo, a błędne informacje na temat ich natury były tak powszechne w starożytności, jak w czasach nowożytnych. Częstym błędem było na przykład mylenie czuwających - których uważano za zesłanych przez Boga na ziemię w konkretnym celu monitorowania postępów ludzkości - ze zbuntowanymi aniołami opisanymi i spopularyzowanymi przez Milтона, autora Raju utraconego; anioły te poszły w ślad za Lucyferem i zostały wygnane z nieba. Czuwający tworzyli dziesiąty zastęp bene Elohim, natomiast Lucyfer i zbuntowane anioły, czyli diabeł i jego demony, byli z doskonalszego rodzaju Malakim. O ile Diabeł został skazany na wieczne potępienie, o tyle czuwający mieli być więzieni tylko przez określony czas. W miejscu, do którego zostali wtrąceni - tłumaczonego jako dół, jaskinię, piekło - czekali na uwolnienie.

Ewangelina czytała jeszcze przez dłuższy czas, aż nagle uświadomiła sobie, że niechcący zbyt mocno przygniotła strony księgi. Podniosła wzrok znad książki i spojrzała w stronę drzwi, w których zaledwie przed kilkoma godzinami zobaczyła Verlaine'a. Rzeczywiście był to dzień inny niż wszystkie, zdawało się, że od spokojnego poranka do popołudniowego pobudzenia minęły całe wieki. Verlaine wszedł w jej życie z taką siłą, że wydawał się - jak rodzice - niemal tworem wyobraźni, trochę prawdziwym, trochę nieprawdziwym.

<sup>7</sup> Nefilim (hebr.) - giganci, olbrzymi, upadli.

<sup>8</sup> Biblia Warszawska.

<sup>9</sup> Biblia Warszawska.

Wyjąwszy list z kieszeni i rozłożywszy go na stole, Ewangelina przeczytała go raz jeszcze. Coś w zachowaniu Verlaine'a - jego bezpośredniość, poufalość, inteligencja - przełamało skorupę, w której żyła od lat. Nagle przypomniała sobie, że na zewnątrz, poza klasztorem, istnieje inny świat. Na końcu strony, pod nazwiskiem, Verlaine dopisał swój numer telefonu i adres do korespondencji. Ewangelina wiedziała, że mimo obowiązków wobec siostr i ryzyka, że cała sprawa wyjdzie na jaw, musi raz jeszcze z nim pomówić.

Idąc korytarzem na pierwszym piętrze, Ewangelina nie mogła się oprzeć poczuciu pilności. Minęła Salę Wieczystego Pokoju, w której trwało spotkanie informacyjne dla partnerek modlitewnych, minęła Centrum Rękodzieła Świętej Róży z Yiterbo, w którym właśnie trwały zajęcia.

Nie poszła do szatni po płaszcz, nie zajrzała do Biura Misji i Rekrutacji, żeby spytać o pocztę. Nie przystanęła nawet przed harmonogramem modlitw adoracyjnych, żeby sprawdzić, czy należycie przygotowała grafik. Wyszła głównym wyjściem, skierowała się w stronę wielkiego ceglanego garażu w południowej części ziem. Z szarej, metalowej skrzynki na ścianie wyjęła pęk kluczy i uruchomiła silnik klasztornej auta. Dobrze wiedziała, że prawdziwe odosobnienie mniszka klaryska od wieczystej adoracji mogła znaleźć wyłącznie w czterodrzwiowym, brązowym sedanie.

Z pewnością nikt by nie protestował przeciwko temu, żeby wzięła auto. Jeżdżenie na pocztę było obowiązkiem, który bardzo lubiła. Co drugi dzień wrzucała do auta spakowaną do bawełnianej torby korespondencję i kierowała się w stronę dwupasmowej drogi szybkiego ruchu 9W, wijącej się wzdłuż Hudsonu. Niewiele siostr miało prawo jazdy, więc Ewangelina zgłaszała się na ochotnika do załatwiania także innych spraw poza odwożeniem poczty: realizowała recepty, uzupełniała zapasy przyborów do pisania, odbierała torty zamawiane na urodziny siostr.

Czasami przejeżdżała przez rzekę metalowym mostem Kingston-Rhine-cliff prowadzącym do okręgu Dutchess. Na moście zwalniała, otwierała szybę i wpatrywała się w rozproszone jak wielkie grzyby zabudowania po obu stronach rzeki - tereny klasztorne rozmaitych wspólnot religijnych, w tym wieże Świętej Róży i rezydencję Vanderbiltów, w oddali, za zakrętem, otoczoną akrami ziemi. Z mostu widziała krajobraz w promieniu wielu mil. Gdy wiatr odrobinę znosił samochód, wpadała w lekką panikę. Była przecież tak wysoko ponad wodą, tak wysoko, że kiedy zerkała w dół, wydawało jej się, że frunie w powietrzu. Za mostem zawracała, żeby znów po nim przejechać, ale wtedy wpatrywała się w różowo-błękitny grzbiet gór Catskill na zachodnim niebie. Zaczął padać śnieg, płatki unosiły się i tańczyły na wietrze. Most i tym razem uniósł ją wysoko ponad ziemię i trzymał w powietrzu, a ona czuła przyjemne odcięcie i zawroty głowy, co zdarzało jej się niekiedy rankiem w kaplicy Adoracji - było to uczucie czystego podziwu dla potęgi stworzenia.

Popołudniowe wycieczki Ewangelina traktowała jako okazję do oczyszczenia umysłu. Aż do dziś jej myśli niezmiennie zwracały się ku przyszłości - ta wydawała się rozciągać przed nią jak nieskończony, zaciemniony korytarz, którym można iść bez końca i nigdy nie znaleźć swego przeznaczenia. Dziś, skręcając w 9W, myślała tylko o zadziwiającej opowieści Celestyny i o tym, jak nagle wkroczył w jej życie Verlaine. Ileż dałaby za to, żeby nadal żył jej ojciec, a ona mogła go spytać, co on, człowiek tak doświadczony i mądry, zrobiłby na jej miejscu.

Otworzyła okno, do środka wpadło lodowate powietrze. Choć był środek zimy, a ona wyszła bez płaszcza, czuła, że skóra ją pali. Przepecone ubranie lepiło jej się do ciała. Zerknęła w lusterku na swoje odbicie -bladą szyję upstrzyły purpurowe plamy o nieregularnym kształcie. Ostatni raz przydarzyło jej to w roku, kiedy zmarła matka - co chwila nabawiała się wówczas niewyjaśnionych uczuleń, które ustąpiły, kiedy zamieszkała w Świętej Róży. Lata życia kontemplacyjnego otoczyły ją wygodną bańką spokoju, ale w żaden sposób nie przygotowały jej na konfrontację z przeszłością.

Z drogi głównej Ewangelina zjechała w wąską, krętą drogę prowadzącą do Miltonu. Wkrótce rozproszyły się gęste drzewa - las urwał się nagle jak ucięty nożem, odsłaniając ośnieżony krajobraz. Chodniki przy głównej ulicy miasteczka były puste, jakby wszyscy schowali się w domach przed śniegiem i zimnem. Ewangelina podjechała na stację, zatankowała benzynę bezołowiową i weszła do środka, żeby skorzystać z automatu telefonicznego. Drżącymi rękami wrzuciła monetę, wybrała zapisany przez Verlaine'a numer i czekała z bijącym sercem. Przebrzmiało dziesięć, dwanaście, czternaście sygnałów. Ewangelina odłożyła słuchawkę i odebrała monetę. Verlaine'a pod tym numerem nie było.

Uruchomiła samochód, zerknęła na zegar obok prędkościomierza. Była prawie siódma. Zaniedbała popołudniowe obowiązki, nie była na obiedzie. Siostra Filomena z pewnością na nią czeka i spyta o powód jej nieobecności. Strapiona Ewangelina pomyślała, że ma chyba nie po kolei w głowie -przyjechała do miasta, żeby zadzwonić do mężczyzny, którego nie zna, bo chce omówić z nim coś, co on zapewne uzna za absurd albo za urojenie. Już miała wyjechać ze stacji i wracać do klasztoru, kiedy go dostrzegła. Po drugiej stronie ulicy za wielkim, oszronionym oknem siedział Yerlaine.

### **"Milton Bar and Grill", Milton, stan Nowy Jork**

Skąd Ewangelina wiedziała, że jej potrzebował, że był ranny, uwięziony w obcym mieście, no i nieźle już wstawiony meksykańskim piwem? Yerlaine uznał to za cud i dowód jej nadzwyczajnej intuicji, może nawet za sztuczkę, którą

opanovała podczas wieloletniego odosobnienia w klasztorze, w każdym razie za coś, co przekraczało jego możliwości rozumowania. Cokolwiek to było, pojawiła się, szła powoli w stronę tawerny, idealnie wyprostowana, z założonymi za uszy włosami, w czarnym habicie; jej ubiór - jeśli Yrlaine mocno wyteżył wyobraźnię - przypominał mu ponure stroje dziewczyn, z którymi umawiał się w college'u: mrocznych, tajemniczych artystek, Yrlaine umiał je rozśmieszyć, ale za nic nie potrafił zaciągnąć ich do łóżka. Po chwili była już w środku, przeszła przez bar i zajęła miejsce naprzeciwko niego - kobieta-elf, z wielkimi, zielonymi oczami, która w takim miejscu jak „Milton Bar and Grill” najwyraźniej była po raz pierwszy.

Przyglądał jej się, kiedy patrzyła ponad jego ramieniem, chłonąc otoczenie: oglądała stół bilardowy, szafę grającą i tablicę do rzutek. Albo nie zdawała sobie z tego sprawy, albo ignorowała fakt, że tak bardzo wyróżniała się spośród bywalców baru. Obejrzała Verlaine'a jak, nie przymierzając, chorego ptaka, zmarszczyła brwi i czekała, aż powie jej, co się wydarzyło w ciągu tych kilku godzin, które upłynęły od ich spotkania.

- Miałem problem /, samochodem - zaczął Verlaine, unikając bardziej skomplikowanej wersji. - Dotarłem tu na piechotę. Ewangelina była autentycznie zdumiona.
- W taką burzę śnieżną?
- Szedłem głównie wzdłuż drogi szybkiego ruchu, ale trochę się zgubiłem.
- To ponad pięć mil - zauważyła sceptycznie. - W takim zimnie to się mogło źle skończyć.

- W połowie drogi złapałem okazję. Całe szczęście, bo inaczej jeszcze byłbym w lesie, i to z odmrożonym tyłkiem.

Ewangelina przyglądała mu się tak długo, że w końcu zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wyraził się zbyt dosadnie. Była przecież zakonnicą, więc może powinien był się miarkować, niemniej nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy. Pod każdym względem odbiegała od jego -niewątpliwie stereotypowej - wizji mniszki. Była młoda, nieco sarkastyczna i zbyt ładna w porównaniu z jego wyobrażeniami surowych, pozbawionych poczucia humoru mniszek klarysek od wieczystej adoracji. Nie miał pojęcia dlaczego, ale czuł, że może jej powiedzieć wszystko bez żadnego skrępowania.

- A ty co tu robisz? Nie powinnaś się teraz modlić albo spełniać dobrych uczynków? - spytał w nadziei, że nie pogniewa się za żart.

Ewangelina się uśmiechnęła.

- Przyjechałam do Miltonu, żeby do ciebie zadzwonić.

Tym razem to Verlaine'a zamurowało. W życiu by nie przypuszczał, że ona zechce się z nim jeszcze zobaczyć.

- Żartujesz.

- Bynajmniej - odpowiedziała Ewangelina, odgarniając pasmo ciemnych włosów znad oczu. Nagle zrobiła się poważna. - W Świętej Róży nie ma mowy o prywatności. Nie mogłam ryzykować, dzwoniąc do ciebie z klasztoru, a chciałam cię o coś spytać. Proszę tylko, żeby to zostało między nami. Sprawa jest bardzo delikatna, mam nadzieję, że coś mi doradzisz. Dotyczy korespondencji, którą znalazłeś.

Yrlaine pociągnął łyk corony, zdumiony tym, jak bezbrinnie wyglądała Ewangelina przycupnięta na krańcu barowego stołka. Jej oczy poczerwieniały od przesyconego dymem papierosowym powietrza, skóra długich, chudych palców bez ozdób popękała od zimna.

- Na ten temat mogę rozmawiać bez końca.
- A możesz mi powiedzieć - spytała, pochylając się nad stołem -gdzie je znalazłeś?
- W archiwum prywatnych dokumentów Abigail Aldrich Rockefeller - odparł Yrlaine. - Nie zostały skatalogowane. Jakims trafem się tam zawieruszyły.

- Ukradłeś je? - dopytywała Ewangelina. Yrlaine poczuł, jak krasnieją mu policzki.

- Pożyczyłem. Zwrócę je, jak tylko zrozumiem ich znaczenie.

- Ile ich masz?

- Pięć. Napisane na przestrzeni pięciu tygodni w roku czterdziestym trzecim.

- Wszystkie od Innocenty?

- I żadnego od pani Rockefeller.

Ewangelina patrzyła Verlaine'owi w oczy, czekając, aż powie coś więcej. Jej skupienie go poruszyło. Może przez zainteresowanie, jakie wykazała jego pracą - w końcu nie docenił jej nawet Grigori - a może przez szczerą, jaką emanowała - w każdym razie bardzo chciał jej pomóc. W jednej chwili opuściły go strach, frustracja i poczucie daremności.

- Muszę wiedzieć, czy w listach jest jakakolwiek wzmianka o siostrach ze Świętej Róży - powiedziała Ewangelina, zakłócając tok jego myśli.

- Nie jestem pewien - Yrlaine oparł się na krześle. - Ale raczej nie.

- Nazwiska osób, które pomagały Abigail Rockefeller? Coś o kościele, klasztorze albo zakonnicach?

Verlaine nie miał pojęcia, czemu Ewangelina pyta akurat o to.

- Nie znam ich na pamięć, ale nie przypominam sobie, żeby było w nich cokolwiek na temat mniszek ze Świętej Róży.

- Tylko że Abigail w liście do Innocenty - Ewangelina mówiła coraz głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć szafę grającą - konkretnie wskazała siostrę Celestynę. „Celestine Clochette przyjedzie do Nowego Jorku na początku lutego”.

- Celestine Clochette była zakonnicą? Głowilem się nad tym całe popołudnie.

- Jest - poprawiła go Ewangelina, ścisząc głos, tak że był ledwie słyszalny w szumie muzyki. - Celestyna jest zakonnicą. Żyje. Poszłam do niej po spotkaniu z tobą. Jest bardzo stara i schorowana, ale wiedziała o korespondencji między Innocentą a Abigail Rockefeller. O wyprawie też. Mówiła mnóstwo przerażających rzeczy o...

- O czym? - dopytywał Verlaine, a jego troska rosła z każdą sekundą. - Co ci powiedziała?

- Nie do końca ją zrozumiałam - odparła Ewangelina. - Mówiła zagadkami. A kiedy próbowałam je rozwikłać, zupełnie się pogubiłam.

Verlaine nie mógł się zdecydować, czy chce przytulić pobladłą Ewangelinę, czy też nią potrząsnąć. Zamówił kolejne dwie corony i podsunął jej kartkę ze spisanim listem.

- Przeczytaj raz jeszcze. Może Celestyna przywiozła do Świętej Róży artefakt z Rodopów? Mówiła coś o wyprawie? - Zapominając, że ledwie ją zna, sięgnął nad stołem i dotknął jej ręki. - Chcę ci pomóc.

Ewangelina zabrała dłoń, spojrzała na niego podejrzliwie i zerknęła na zegarek.

- Muszę wracać. Już za długo mnie nie ma. A jak widać, o całej sprawie wiesz nie więcej ode mnie.

Kelnerka postawiła na stoliku dwa piwa.

- Gdzieś jeszcze muszą być listy - powiedział Verlaine - co najmniej cztery. Listy Innocenty były odpowiedziami. Poszukaj. A może Celestine Clochette wie, gdzie są.

- Panie Verlaine - odezwała się raptem Ewangelina surowym tonem, który wydał się Verlaine'owi nad wyraz sztuczny - szanuję pańskie badania i chęć wywiązania się ze złożonej klientowi obietnicy, ale proszę mnie w to nie mieszać.

- To nie ma nic wspólnego z moim klientem - odparł Verlaine, pociągając duży łyk piwa. - Nazywa się Percival Grigori, obrzydliwy typ, za żadne skarby nie powinienem być przyjmować od niego zlecenia. Facet posłał za mną zbirów, którzy włamali mi się do samochodu i zabrali notatki z badań. Z całą pewnością czegoś szuka, a jeśli chodzi mu o te listy, o których, nawiasem mówiąc, mu nie powiedziałem - to powinniśmy znaleźć resztę, zanim on to zrobi.

- Włamał ci się do samochodu? - spytała Ewangelina z niedowierzaniem. - Dlatego tu siedzisz?

- W tej chwili to bez znaczenia - odpowiedział Verlaine, usiłując zachować pozory beztroski. - No, może niezupełnie. Podwieziesz mnie na dworzec? Trzeba się dowiedzieć, co Celestine Clochette przywiozła do Ameryki. Te listy muszą być w Świętej Róży. Gdyby udało ci się je znaleźć, dowiedzielibyśmy się, o co w tym wszystkim chodzi.

Ewangelina złagodniała, rozważając jego prośbę. Wreszcie przemówiła:

- Niczego nie mogę obiecać, ale poszukam.

Verlaine chciał ją uścisnąć, powiedzieć, że tak bardzo się cieszy z tego spotkania, błagać, żeby pojechała z nim do Nowego Jorku, aby jeszcze tego samego wieczoru mogli zacząć pracę. Zobaczył jednak, jak bardzo była spięta, gdy tak uważnie się jej przyglądał, i postanowił tego nie robić.

- Chodź - poprosiła Ewangelina, sięgając po leżące na stoliku kluczyki - odwiozę cię na pociąg.

## **Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Ewangelina nie zjawiała się o wyznaczonej porze w stołówce na obiad, przez co teraz doskwierał jej głód. Z pewnością znalazłaby jakąś przegryzkę w kuchni - w przemysłowych lodówkach zawsze były tace z resztkami - ale na myśl o jedzeniu zrobiło jej się niedobrze. Postanowiwszy zignorować głód, minęła schody prowadzące do stołówki i poszła dalej, do biblioteki.

Otworzyła drzwi i włączyła światło. Podczas jej nieobecności ktoś tu posprzątał: zamknął oprawiony w skórę rejestr, który po południu leżał otwarty na drewnianym stole. Odłożył na miejsce stos książek z kanapy, dokładnie odkurzył pluszowy dywan. Musiała ją zastąpić jedna z sióstr. Ewangelinę ogarnęło poczucie winy; obiecała sobie, że następnego popołudnia poświęci na porządkowanie dwukrotnie więcej czasu, a może nawet zgłosi się na ochotnika do pomocy w pralni - przy tak wielu habitach pranie ręczne było ogólnie znienawidzonym obowiązkiem. Źle postąpiła, porzucając pracę. Kiedy ktoś nie ma, jego powinności spadają na innych.

Położyła torbę na kanapie i uklękła przy kominku, żeby rozpalić ogień. Wkrótce po podłodze rozlało się rozproszone światło. Dziewczyna usiadła na miękkiej kanapie, założyła nogę na nogę i usiłowała poskładać w całość rozsypane kawałki dnia. Z trudem porządkowała w głowie gąszcz informacji. Ciepło kominka było tak przyjemne, a dzień tak męczący, że wyciągnęła się na kanapie i zasnęła.

Obudziła się, czując czyjąś rękę na ramieniu. Podniosła się i ujrzała siostrę Filomenę, która patrzyła na nią srogo.

- Siostrze Ewangelino - powiedziała, nadal trzymając dłoń na ramieniu młodej mniszki - co ty tu robisz?

Ewangelina zamrużyła oczami. Spała tak mocno, że zupełnie nie mogła dojść do siebie. Cała biblioteka - półki, książki, migocący ogień - jawiła jej się, jakby się znajdowała pod powierzchnią wody. Szybko postawiła stopy na ziemi i usiadła.

- Z pewnością wiesz - kontynuowała Filomena, siadając na kanapie obok Ewangeliny - że siostra Celestyna jest jedną z najstarszych członkiń naszej wspólnoty. Nie mam pojęcia, co się dziś rano wydarzyło, ale była mocno podenerwowana. Spędziłam z nią całe popołudnie. Ledwie ją uspokoiliłam.



- Bardzo przepraszam - wyraziła skruchę Ewangelina, czując, jak na wspomnienie Celestyny jej zmysły odzyskują ostrość - chciałam ją tylko spytać o coś, co znalazłam w archiwum.

- Kiedy do niej zajrzałam, milczała jak zakłeta - ciągnęła Filomena. -O czym rozmawialiście?

- Nie chciałam jej niepokoić - odpowiedziała wymijająco Ewangelina. Dopiero teraz zrozumiała, jak nieroztropna była próba dowiedzenia się od Celestyny czegoś o listach. Wykazała się nie lada naiwnością, sądząc, że staruszka zachowa tak dziwną rozmowę dla siebie.

Filomena wpatrywała się w Ewangelinę, jakby zastanawiała się nad jej skłonnością do współpracy.

- Przyszłam ci powiedzieć, że siostra Celestyna chce znów z tobą pomówić - wydusiła wreszcie. - Muszę cię też prosić, żebyś potem zrelacjonowała mi całą waszą rozmowę.

Zachowanie Filomeny wydało się Ewangelinie dziwne. Nie miała pojęcia, z czego może ono wynikać, ale pokiwała głową na znak zgody.

- Nie możemy pozwolić, żeby znów się tak zdenerwowała. Proszę cię, żebyś ostrożnie dobierała słowa.

- Oczywiście - odparła Ewangelina. Wstała i otrzepała golf i spódnicę z kanapowego meszku. - Od razu do niej pójde.

- Daj mi słowo - zażądała Filomena surowym tonem, odprowadzając Ewangelinę do drzwi biblioteki - że przekażesz mi wszystko, co ci powie, słowo w słowo.

- Ale czemu? - spytała Ewangelina, zdumiona obcesowym zachowaniem Filomeny.

Filomena przystanęła, jakby właśnie została skarcona.

- Siostra Celestyna nie jest tak silna, jak się wydaje, moje dziecko. Nie możemy jej narażać na niebezpieczeństwo.

Od czasu ostatniej wizyty Ewangeliny siostrę Celestynę przeniesiono do łóżka. Jej obiad - rosół, krakersy i sok pomidorowy - stał nietknięty na tacy na stoliku nocnym. Nawilżacz powietrza nadal pluł parą, spowijając pokój wilgotną mgłą. Porzucony wózek znajdował się w kącie obok okna. Przy zasłoniętych storach pomieszczenie wyglądało jako sterylne salka szpitalna - efekt ten dodatkowo się wzmocnił, kiedy Ewangelina delikatnie zamknęła za sobą drzwi, wygłuszając dźwięki kroków krążących po korytarzach sióstr.

- Wejdz, wejdz - powiedziała Celestyna, gestem pokazując Ewangelinie, żeby zbliżyła się do łóżka.

Staruszka złożyła ręce na piersiach. Ewangelina nagle zapragnęła przykryć jej białe, delikatne ręce swoimi dłońmi, żeby je chronić, choć sama nie wiedziała przed czym. Filomena miała rację: Celestyna była niewyobrażalnie wåtła.

- Prosiła siostra, żebym przyszła.

Z wielkim wysiłkiem Celestyna dźwignęła się na stosie poduch.

- Chciałam cię prosić, żebyś wybaczyła mi moje dzisiejsze zachowanie - odezwała się, patrząc Ewangelinie w oczy. - Nie wiem, czym je wytłumaczyć. Chyba tylko tym, że nie mówiłam o tych rzeczach przez wiele, wiele lat. Sama się zdziwiłam, że pomimo upływu czasu wydarzenia z mojej młodości nadal są tak żywe i tak bardzo mnie poruszają. Ciało się starzeje, ale dusza zostaje młoda - taka, jak stworzył ją Bóg.

- Nie ma potrzeby przepraszać - zapewniła Ewangelina, kładąc dłoń na cieniutkim jak gałązka ramieniu Celestyny otulonym tkaniną koszuli nocnej. - To moja wina, że siostrę zdenerwowałam.

- Szczerze mówiąc - odparła Celestyna ostrzejszym głosem, jakby sięgała po rezerwy gniewu - po prostu mnie zaskoczyłaś. Nikt mnie o to nie pytał przez tyle lat. Wiedziałam, że przyjdzie taki czas, kiedy ci o tym powiem. Ale myślałam, że jeszcze nie teraz.

Celestyna po raz kolejny wprowadziła Ewangelinę w dezorientację. Po-ttafiła zakłócić jej delikatne poczucie równowagi w najbardziej niepokojący sposób.

- Chodź - powiedziała Celestyna, rozglądając się po pokoju. - Przysuń sobie krzesło i usiądź koło mnie. Mam ci tyle do opowiedzenia.

Ewangelina przystawiła sobie stojące w rogu drewniane krzesło, usiadła i wsłuchiwała się w słaby głos Celestyny.

- Wiesz chyba - zaczęła staruszka - że urodziłam się i wychowałam we Francji i że trafiłam do Świętej Róży podczas drugiej wojny światowej.

- Wiem.

- Być może wiesz również - Celestyna zamilkła na chwilę i spojrzała Ewangelinie w oczy, jakby szukając w nich oceny - że zostawiłam wszystko - moją pracę i mój kraj - w rękach hitlerowców.

- Domyślałam się, że wielu ludzi szukało podczas wojny schronienia w Stanach Zjednoczonych.

- Nie szukałam schronienia - zaprzeczyła Celestyna, ważąc każde słowo. - Było ciężko, ale wierzę, że przeżyłabym, gdybym została. Nie wiesz pewnie, że we Francji nie byłam siostrą zakonną - staruszka od-kaszlnęła w chusteczkę. - Śluby złożyłam dopiero w Portugalii, w drodze do Stanów. Wcześniej wstąpiłam do innej wspólnoty - jej cele były właściwie takie jak nasze, z tym że - Celestyna namyśliła się przez chwilę -inne było podejście do ich realizacji. Odeszłam stamtąd w grudniu czterdziestego trzeciego.

Celestyna usiadła nieco wyżej i wypila łyk soku pomidorowego.

- Skończyłam z nimi - przemówiła wreszcie. - Ale oni nie skończyli ze mną. Nic mogłam opuścić ich szeregów, dopóki nie wypełniłam ostatniego zadania. Kazano mi przewieźć walizkę do Ameryki i przekazać ją kontaktowi w Nowym Jorku.

- Abby Rockefeller - uzupełniła Ewangelina.

- Z początku pani Rockefeller była tylko jedną z zamożnych ofiarodawczyń i tak jak one uczestniczyła w naszych nowojorskich spotkaniach wyłącznie jako osoba postronna. Zajmowała się aniołami tak, jak bogacze zajmują się



orchideami - z ogromnym entuzjazmem i niewielką wiedzą. Ale kiedy wybuchła wojna, szczerze się zaangażowała. To dzięki niej mogliśmy kontynuować pracę. Pomagała nam, posyłając do Europy sprzęt, pojazdy i pieniądze. Naukowcy z naszego grona nie walczyli po żadnej stronie - byliśmy pacyfistami, tak było od początku. - Celestyna zamrugła oczami, jakby paproch wpadł jej do oka. Po chwili ciągnęła opowieść. - Domyślasz się pewnie, że prywatni ofiarodawcy byli nam niezbędni. Pani Rockefeller zapewniała naszym członkom schronienie w Nowym Jorku, organizowała ich ucieczki z Europy, odbierała z portów, umieszczała w bezpiecznych miejscach. Dzięki jej pomocy odbyliśmy naszą największą misję - wyprawę w głąb ziemi, w sam środek zła. Ekspedycję planowano przez wiele lat, odkąd odkryto pisemną relację z poprzedniej wyprawy do jaskini. Odnaleziono ją w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Druga wyprawa odbyła się w czterdziestym trzecim. To było niebywale ryzykowne - zapuszczać się w góry, kiedy na Bałkany leciały bomby, ale byliśmy doskonale wyposażeni, pani Rockefeller zapewniła nam najlepszy sprzęt. Właściwie można powiedzieć, że podczas wojny była naszym aniołem stróżem, choć niewielu przyznałoby to głośno.

- Ale siostra odeszła - powiedziała cicho Ewangelina.

- Odeszłam - potwierdziła Celestyna. - Daruję ci szczegółowe powody mojej decyzji; dość powiedzieć, że nie chciałam już dłużej uczestniczyć w tej misji. Jeszcze zanim dotarłam do Ameryki, wiedziałam, że dla mnie to koniec.

Celestyna zaniosła się kaszlem. Ewangelina pomogła jej usiąść wyżej i podała wodę.

- Tej samej nocy, kiedy wróciliśmy z gór - ciągnęła Celestyna - doszło do tragedii. Seraphina - moja mentorka, kobieta, która przyjęła mnie do organizacji, kiedy miałam piętnaście lat, która mnie wyszkoliła - zginęła. Kochałam ją całym sercem. To ona zapewniła mi możliwości nauki i rozwoju, jakie miały tylko nieliczne dziewczęta w moim wieku. Wierzyła, że będę jedną z najlepszych. Tradycyjnie członkami naszej wspólnoty byli mnisi i uczeni. Moje umiejętności - byłam nadzwyczaj bystrą uczennicą, znałam biegle kilka starożytnych języków - uznano za bardzo przydatne. Doktor Seraphina obiecała, że po wyprawie zostanę pełnoprawnym członkiem organizacji, otrzymam dostęp do rozległych materiałów umożliwiających rozwój naukowy i duchowy. Była mi bardzo bliska. Tamtej nocy moja praca nagle straciła znaczenie. Za to, co ją spotkało, obwiniałam siebie.

Ewangelina widziała, że siostra Celestyna jest do głębi przejęta, nie miała jednak pojęcia, jak ją pocieszyć.

- Z pewnością zrobiła siostra wszystko, co było w jej mocy.

- W tamtych czasach było wiele powodów do rozpacz. Tobie trudno to sobie pewnie wyobrazić, ale w Europie ginęły miliony ludzi. Mnie tymczasem wydawało się, że nie ma nic ważniejszego od naszej misji w Rodopach. Nie mogłam pojąć skali tego, co się działo na świecie. Obchodziła mnie tylko moja praca, moje cele, mój rozwój, moje sprawy. Pragnęłam zdobyć uznanie członków rady, bo to oni przesądzali o losie młodych naukowców. Byłam zaślepiona, a to było złe.

- Niech mi siostra wybaczy - przerwała Ewangelina - ale ja nadal nie rozumiem. Jaka misja? Jaka rada?

Kiedy Celestyna rozważała te pytania, jej twarz odzwierciedlała rosnące napięcie. Przesuwała kościstymi palcami po splotach jaskrawego, szydełkowego pledu.

- Powiem ci bez ogródek, tak jak mnie powiedzieli o tym moi nauczyciele. Oni jednak mieli tę przewagę, że mogli wprowadzić swoich uczniów w temat, pokazując im zbiory towarzystwa w Paryżu. Ja widziałam namacalny, niepodważalny dowód, ty musisz uwierzyć mi na słowo. Moi nauczyciele mogli mnie przygotować na spotkanie ze światem, który za chwilę odkryje przed tobą. Ciebie, drogie dziecko, przygotować, niestety, nie mogę.

Ewangelina już miała coś powiedzieć, ale powstrzymała ją wzrok Celestyny.

- Mówiąc najprościej - ciągnęła Celestyna - prowadzimy wojnę. Ewangelina nie była w stanie wymówić ani słowa.

Wpatrzyła się tylko

w swoją rozmówczynię.

- Duchową wojnę na scenie ludzkiej cywilizacji. Kontynuujemy coś, co zaczęło się bardzo dawno temu, kiedy narodzili się olbrzymi. Zaludnili ziemię i żyją tu do dziś. A ludzie do dziś z nimi walczą.

- Mówi siostra o Księdze Rodzaju.

- Wierzysz w dosłowny sens Biblii, siostrze? - spytała ostro Celestyna.

- Zapewniałam o tym, składając śluby - odparła Ewangelina, poruszona skwapliwością zawartej w pytaniu reprimendy.

- Niektórzy interpretują szósty rozdział Księgi Rodzaju jako metaforę, rodzaj paraboli. Ale mnie taka interpretacja nie przekonuje i nie potwierdza jej moje doświadczenie.

- Tylko że my nigdy nie mówimy o tych istotach - o olbrzymach. Żadna z mniszek nigdy o nich nie wspomniała.

- Olbrzymi, nefilimowie, sławni - tak w starożytności mówiono na dzieci aniołów. Wcześni uczeni chrześcijańscy przekonywali, że aniołowie nie istnieją w wymiarze materialnym. Mówili, że anioły są świetliste, widmowe, jaśniejące, przelotne, bezcielesne, duchowe. Ze są posłańcami Boga, a ich liczba jest nieskończona. Ze zostali stworzeni po to, by komunikować wolę Boga między jednym światem a drugim. Ludzie, mniej doskonali, stworzeni na podobieństwo Boga, ale z gliny, mogą tylko podziwiać ich płomienną bezcielesność. Aniołów uznawano za istoty wyższe, o jaśniejącym wyglądem, istoty, które potrafiły błyskawicznie się przemieszczać i które wypełniały uświęcone cele. Ich piękno pasowało do roli pośredników między Bogiem a stworzeniem. Ale niektórzy zbuntowali się i zmieszali z ludźmi. Nieszczęśliwym skutkiem tego zjednoczenia byli olbrzymi.

- Zmieszali się z ludźmi? - dopytywała Ewangelina.

- Kobiety rodziły aniołom dzieci. - Celestyna zamilkła i przypatrywała się Ewangelinie, chcąc się upewnić, że młoda mniszka dobrze ją zrozumiała. - Szczegóły tego zbliżenia od dawna stanowią obiekt intensywnych badań. Przez całe wieki Kościół przeczył, że do takiego rozmnażania w ogóle mogło dojść. A przecież szósty rozdział Księgi Rodzaju powinien zawstydić wszystkich, którzy twierdzą, że aniołowie nie mają atrybutów fizycznych. Kościół próbował to

wyjaśniać, mówiąc, że rozród ludzi i aniołów był całkowicie aseksualny, że było to wyłącznie połączenie duchowe, od którego kobiety zachodziły w ciążę - coś w rodzaju odwróconego niepokalanego poczęcia, bo owoc ich związków nie był święty, tylko szatański. Moja nauczycielka, doktor Seraphina, była przekonana, że to wysane z palca bzdury. Utrzymywała, że rozmnażając się z kobietami, aniołowie dowiedli, że są istotami fizycznymi, zdolnymi do odbycia stosunku płciowego. Sądziła, że ciało anielskie jest znacznie bardziej podobne do ludzkiego, niż to wielu utrzymuje. Zresztą podczas pracy udokumentowaliśmy genitalia anioła - zrobiliśmy zdjęcia, które miały udowodnić raz na zawsze, że istoty anielskie są, jak by to powiedzieć, wyposażone dokładnie tak samo jak ludzie.

- Ma siostra fotografie aniołów? - Ewangelina nie mogła powstrzymać ciekawości.

- Jednego, płci męskiej, zabitego w dziesiątym wieku. Według wszelkich doniesień, aniołowie, którzy zakochiwali się w ludzkich kobietach, byli istotami męskimi. Ale to nie oznacza, że w zastępach nie było istot żeńskich. W rzeczy samej archanioła Gabriela często podejrzewano o płeć żeńską, choć nie ma tego potwierdzenia w doktrynie. Mówi się, że jedna trzecia czuwających oparła się wdziękom ludzi. Te posłuszne istoty powróciły do swojego niebiańskiego domu i przebywają tam po dziś dzień. Podejrzewam, że są to anielice, mniej podatne na pokusy niż aniołowie.

Celestyna z trudem odetchnęła, znów poprawiła się na łóżku i kontynuowała opowieść.

- Aniołowie, którzy pozostali na ziemi, byli pod wieloma względami istotami niezwykłymi. Zawsze zdumiewało mnie to, jak bardzo przypominają ludzi. Ich nieposłuszeństwo było aktem wolnej woli - aktem bardzo ludzkim, przywodzącym na myśl nieszczęsny wybór Adama i Ewy. Zbuntowane anioły były także zdolne do typowo ludzkiej odmiany miłości - kochały całymi sobą, ślepo, bez pamięci. Oddały niebo za namiętność - trudno tę wymianę zrozumieć zwłaszcza nam, które wyrzekłyśmy się takich doznań.

Celestyna posłała Ewangelinie uśmiech, jakby okazywała jej współczucie na myśl o czekającym ją życiu bez miłości.

- Zgodzisz się chyba, że pod tym względem są absolutnie fascynujące? To właśnie przez ich zdolność do odczuwania miłości i cierpienia mamy zrozumienie dla ich nierozważnych postępów. Ale niebios tego zrozumienia nie miały. Ukaraly czuwających niemilosierdzie. Ze związków aniołów i kobiet urodziły się monstrialne istoty, które sprowadziły na świat wielkie cierpienie.

- I siostra wierzy, że nadal są wśród nas - wtrąciła Ewangelina.

- Ja wiem, że one wciąż tu są - poprawiła ją Celestyna - ale na przestrzeni wieków ewoluowały. W naszych czasach znalazły schronienie pod przykrywką nowych nazw. Ukryły się w szeregach członków pradawnych rodów, represyjnych rządów, chciwych korporacji. Wiem, jak trudno sobie wyobrazić, że żyją pośród nas, w naszym świecie, ale uwierz mi: wystarczy otworzyć oczy, żeby przekonać się, że są wszędzie. - Celestyna głęboko westchnęła, złapała oddech i przypatrzyła się pilnie Ewangelinie, próbując ocenić jej reakcję na zasłyszane informacje. - Gdybyśmy byli w Paryżu, pokazałabym ci konkretne, niezaprzeczalne dowody - przeczytałabyś zeznania świadków, może nawet obejrzałabyś zdjęcia z wyprawy. Wprowadziłabym cię w arkana myśli angelologicznej na przestrzeni wieków - w poglądy świętego Augustyna, Akwinaty, Miliona, Dantego - i nasza sprawa wkrótce jawiłaby ci się jako jasna i oczywista. Poprowadziłabym cię marmurowymi korytarzami do sali, w której przechowywane są dokumenty historyczne. Stworzyliśmy złożone, staranne schematy, dzięki którym potrafiliśmy zaszeregować każdego bez wyjątku anioła. Takie prace porządkują wszechświat, a francuski umysł lubi ład - weźmy choćby Kartezjusza, dobry przykład takiego porządku, choć nie jego źródło - więc te schematy były dla mnie swego rodzaju pokrzepieniem. Ciekawa jestem, czy dla ciebie też by były.

Ewangelina nie miała pojęcia, co powiedzieć. Czekwała na dalsze wyjaśnienia.

- Ale oczywiście czasy się zmieniły. Kiedyś angelologia była jedną z najwspanialszych gałęzi teologii. Pracę angelologów sankcjonowali królowie i papieże, opłacali największych artystów malujących wizerunki aniołów. Nad hierarchią i celami zastępów niebiańskich debatowały największe umysły Europy. W dzisiejszym świecie dla aniołów zabrakło miejsca. - Celestyna pochyliła się w stronę Ewangeliny. Wyglądała tak, jakby prowadzenie tego wywodu dodało jej sił. - Kiedyś anioły były uosobieniem piękna i boskości. W naszych czasach stały się nieważne. Materializm i nauka zepchnęły je w niebyt, przyporządkowały do sfery równie nieokreślonej, jak czyściec. Kiedyś wierzyliśmy w anioły bezwarunkowo, intuicyjnie, nie umysłem, ale duszą. Teraz potrzebujemy dowodów. Potrzebujemy empirycznych danych, które stwierdzą ponad wszelką wątpliwość ich istnienie. A przecież jaki nastalby kryzys, gdyby taki dowód istniał! Jak myślisz, co by się stało, gdyby udowodniono, że anioły istnieją w świecie materialnym?

Celestyna zamilkła. Może się zmęczyła, a może po prostu zagubiła się w myślach. Ewangelina tymczasem była mocno zaniepokojona. Celestyna mówiła rozsądnie, a jej opowieść była zatrważająco zbieżna z mitami, które Ewangelina zgłębiała dzisiejszym popołudniem. Szukała faktów, które pozwoliłyby jej zakwestionować istnienie tych potwornych stworzeń, nie zaś je potwierdzić. Z przerażeniem dostzegła, że Celestyna znów wydaje się równie poruszona, jak podczas ich wcześniejszej rozmowy.

- Siostrze - odezwała się Ewangelina w nadziei, że staruszka wyjaśni, iż cała jej opowieść to nic innego jak bajka, metafora czegoś, co istnieje realnie i jest nieszkodliwe. - Proszę powiedzieć, że siostra nie mówi poważnie.

- Czas na moje leki - oznajmiła staruszka, wskazując stolik nocny. - Możesz mi je podać?

Odwróciwszy się w stronę stolika, Ewangelina zdębiała. Tam, gdzie wcześniej leżał stos książek, teraz stały niezliczone fiołki z lekarstwami, a było ich tak wiele, że w lot stało się jasne, że Celestyna cierpi na poważną, przewlekłą chorobę. Ewangelina sięgnęła po jedną z pomarańczowych, plastikowych fiołek, żeby przyjrzeć się etykietce. Widniało na niej imię i nazwisko zakonnicy, dawkowanie i nazwa leku - ciąg niemożliwych do wymówienia sylab - której Ewangelina wcześniej nie słyszała. Sama była zdrową kobietą, poza niedawnymi infekcjami górnych dróg oddechowych nigdy na nic nie chorowała. Jej ojciec zachował siłę aż do śmierci, a matka zginęła tragicznie w kwiecie wieku. Ewangelina nie spotkała

jeszcze nikogo tak wyniszczoną chorobą. Zdumiona, uzmysłowiła sobie, że nie zastanawiała się dotąd nad tym, że ktoś może funkcjonować wyłącznie dzięki potężnym dawkom lekarstw. Zawstydziała ją własna niewrażliwość.

Otworzyła szufladkę. Była tam ulotka objaśniająca możliwe skutki uboczne leków na raka, do której przypięto listę leków i wskazówki na temat dawkowania. Ewangelina zamarła. Czemu nikt jej nie powiedział, że Celestyna ma nowotwór? Czyżby ona sama była do tego stopnia zaabsorbowana samolubną ciekawością, że nawet nie zauważyła, w jakim stanie jest starsza siostra? Przysiadła na łóżku i odliczyła tabletki.

- Dziękuję - powiedziała Celestyna, wzięła proszki i popiła je wodą. Ewangelinę rozżaliło własne zaślepienie.

Szczęśliwie do tej pory nie nękała staruszki zbyt wieloma pytaniami, ale bardzo chciała zrozumieć to, co usłyszała do tej pory. Nawet teraz, patrząc, jak Celestyna z trudem połyka tabletki, nie mogła stłumić chęci poznania szczegółów. Chciała wiedzieć, co łączy klasztor, bogatą ofiarodawczynię i studia nad aniołami. Jeszcze bardziej chciała poznać własną rolę w tej przedziwnej sieci powiązań.

- Nie chciałabym siostry nękać - odezwała się wreszcie, drażąc temat z poczuciem winy - ale muszę spytać, jak to się stało, że pomogła nam pani Rockefeller.

- Naturalnie - Celestyna uśmiechnęła się - chcesz wiedzieć o pani Rockefeller. Rozumiem. Ale zdziwisz się pewnie, kiedy się okaże, że odpowiedź miałaś cały czas pod nosem.

- Jak to możliwe? - spytała Ewangelina. - Przecież dopiero dziś się dowiedziałam, że w ogóle miała coś wspólnego ze Świętą Różą.

Celestyna westchnęła głęboko.

- Pozwól mi zacząć od początku - powiedziała. - W latach dwudziestych jeden z najwybitniejszych naukowców z naszego grona, doktor Raphael Valko, mąż mojej nauczycielki, doktor Seraphiny Valko...

- Moja babka wyszła za człowieka imieniem Raphael Valko - przerwała jej Ewangelina.

Celestyna spojrzała na nią chłodno.

- Wiem, ale pobrali się dopiero po moim wyjeździe z Paryża. Wiele lat wcześniej Raphael odkrył historyczny dokument, z którego wynikało, że jeden z naszych ojców założycieli, brat Clematis, odnalazł w jaskini antyczną lirę. Zanim dokonał tego odkrycia, istnienie liry było wśród angelologów źródłem domysłów i spekulacji. Zналиśmy legendę, ale nie wiedzieliśmy, czy instrument naprawdę istniał. Przed odnalezieniem dokumentu jaskinię kojarzono po prostu z mitem o Orfeuszu. Nie wiem, czy wiesz, ale Orfeusz żył naprawdę - zyskał rozgłos i władzę dzięki charyzmie, kunsztowi i - oczywiście - muzyce. Jak wielu mu podobnych po śmierci stał się symbolem. Pani Rockefeller miała kontakty w naszej grupie i tak dowiedziała się o lirze. Ufundowała naszą wyprawę, wierząc, że ją znajdziemy.

- Interesowała się nią wyłącznie jako dziełem sztuki?

- Miała doskonały gust, ale znała się też na wartości artefaktów. Po jakimś czasie zaczęło jej zależeć na naszej sprawie, ale z początku kierowały nią wyłącznie pobudki materialne.

- Była sponsorką?

- Ten rodzaj zaangażowania nie umniejsza znaczenia samej wyprawy. Planowaliśmy ją przez wiele lat. Pomoc pani Rockefeller stała się środkiem do celu. Zawsze realizowaliśmy wyłącznie swoje plany. Ale bez pomocy pani Rockefeller nie byłoby to możliwe. Nie dość, że mieliśmy bezwzględnych i potężnych wrogów, to jeszcze wybuchła wojna - samo zorganizowanie tej wyprawy zakrawało na cud. Nasz sukces musiał być zasługą pomocy i ochrony kogoś wyższego.

Celestyna odetchnęła z trudem, była coraz bardziej zmęczona.

- Po przybyciu do Świętej Róży przekazałam walizkę z artefaktami z Rodopów matce Innocencie, która z kolei powierzyła lirę pani Rockefeller. Rodzina Rockefellerów była tak majątna - nikt z nas w Europie nie potrafił sobie nawet wyobrazić takiej fortuny - że w pewnym sensie poczułam ulgę, że to właśnie pani Rockefeller zabezpieczy instrument przed tymi, którzy skorzystaliby z niego w złych celach. - Celestyna zamilkła, może rozważała niebezpieczeństwo, jakie stwarzałaby lira w niepowołanych rękach. Wreszcie powiedziała: - Moja rola w historii o poszukiwaniu liry dobiegła końca - tak mi się przynajmniej wydawało. Wierzyłam, że instrument będzie bezpieczny. Nie miałam pojęcia, że Abigail Rockefeller nas zdradzi.

- Zdradzi? - Zdumionej Ewangelinie aż zabrakło tchu. - Jak to?

- Pani Rockefeller zgodziła się zdeponować artefakty z Rodopów w bezpiecznym miejscu. Ze swojego zadania wywiązała się doskonale. Zmarła piątego kwietnia czterdziestego ósmego roku, cztery lata po ich odebraniu. Chodzi o to, że nikomu nie zdradziła, gdzie je schowała. Tajemnicę zabrała do grobu.

Od długiego siedzenia Ewangelinie zdrętwiały nogi. Wstała, podeszła do okna i uchyliła zasłonę. Dwa dni wcześniej była pełnia. Tej nocy niebo było przesłonięte chmurami.

- Lira jest aż tak cenna? - spytała wreszcie.

- Bezcenna - odparła Celestyna. - Naszą wyprawę do jaskini poprzedziło tysiąc lat badań. Ale istoty, które od tak dawna żyły naszym kosztem, które czerpały zyski z mozolnej pracy ludzi, śledziły wszystkie nasze ruchy. Obserwowały, tropiły nasze posunięcia, wprowadziły pomiędzy nas szpiegów, a czasami - żebyśmy nie stracili poczucia grozy - porywały i mordowały naszych członków.

Ewangelina natychmiast pomyślała o matce. Od dawna podejrzewała, że ojciec wyjawiał jej tylko skrawek prawdy, ale myśl o tym, że istoty, o których mówiła Celestyna, mogły być odpowiedzialne za śmierć jednego z jej rodziców, wydała się wprost nie do zniesienia. Za wszelką cenę pragnęła zrozumieć, co się stało.

- Czemu mordowali tylko niektórych? - spytała. - Skoro są tak potężni, czemu nie zabili wszystkich? Czemu po prostu nie zniszczyli całej organizacji?

- Rzeczywiście mogliby nas z łatwością wyeliminować. Mają siłę środki. Ale unicestwienie angelologii nie leży w ich interesie.

- Dlaczego? - dopytywała zdumiona Ewangelina.

- Przy całej swojej potędze mają jedną zasadniczą wadę: są istotami zmysłowymi, całkowicie zaślepionymi przez przyjemności cielesne. Są bogaci, silni, piękni i niewiarygodnie wręcz okrutni. Wmieszali się pomiędzy starożytne rody i tak przetrwali najbardziej gwałtowne okresy w dziejach. Mają swoje finansowe twierdze w każdym zakątku świata. Ale nie mają takich zdolności intelektualnych jak my, nie mają naszej bogatej spuścizny naukowej i historycznej. To my musimy myśleć za nich - Celestyna znów westchnęła, jakby temat rozmowy sprawiał jej ból. Z trudem kontynuowała wątek. - W czterdziestym trzecim ich taktyka niemal odniosła sukces. Zabili moją nauczycielkę, a kiedy dowiedzieli się, że udało mi się zbiec do Stanów, zniszczyli nasz klasztor i dziesiątki innych, byle tylko znaleźć mnie i artefakt.

- Lirę - uzupełniła Ewangelina. Elementy układanki nagle stworzyły spójną całość.

- Tak - potwierdziła Celestyna. - Chcą ją mieć nie dlatego, że wiedzą, do czego może posłużyć, ale dlatego, że jest tak dla nas cenna, i dlatego, że tak się obawiamy, że ją zdobędą. Wydobyć jej z jaskini było oczywiście ryzykowne. Natychmiast musieliśmy znaleźć kogoś, kto ją zabezpieczy. Powierzyliśmy ją jednej z naszych najznamienitszych sojuszniczek w Nowym Jorku, potężnej, zamożnej kobiecie, która przysięgła służyć naszej sprawie.

- Pani Abigail Rockefeller. - Ewangelina wreszcie pojęła rolę filan-tropki w całym przedsięwzięciu.

Po twarzy Celestyny przemknął ból.

- Była naszą ostatnią nadzieją w Nowym Jorku. Nie wątpię, że potraktowała swoje zadanie bardzo poważnie. Tak poważnie, że jej tajemnica pozostaje nierozwikłana po dziś dzień. Żeby zdobyć lirę, te istoty są gotowe wszystkich nas pozabijać.

Ewangelina dotknęła naszyjnika, pod palcami wyczuła ciepło i w jednej chwili zrozumiała znaczenie daru babki. Celestyna się uśmiechnęła.

- Widzę, że mnie rozumiesz. Naszyjnik to znak, że jesteś jedną z nas. Babka słusznie ci go dała.

- Siostra ją знаła? - spytała Ewangelina, zupełnie zbita z tropu tym, że Celestyna wiedziała, od kogo dostała naszyjnik.

- Przed wielu laty - powiedziała Celestyna z ledwo dosłyszalną nutą smutku w głosie. - Choć tak naprawdę wcale jej nie znałam. Gabriella była moją przyjaciółką, a do tego błyskotliwą adeptką angelologii. Z oddaniem walczyła o naszą sprawę, ale dla mnie zawsze pozostawała zagadką. Serce Gabrielli było zupełnie nieodgadnione, nawet dla najbliższych przyjaciół.

Ewangelina od tak dawna nie rozmawiała z babką. Minęło tyle lat, uznała, że Gabriella zmarła.

- Czy ona żyje? - spytała.

- O, tak - odparła Celestyna. - Byłaby z ciebie dumna.

- Gdzie jest? - dopytywała Ewangelina. - We Francji? W Nowym Jorku?

- Tego nie mogę ci zdradzić. Wiem tylko, że gdyby tu była, wszystko by ci wyjaśniła. A skoro jej nie ma, to ja mogę tylko próbować pomóc ci pewne sprawy zrozumieć.

Celestyna podciągnęła się na łóżku i wskazała palcem ką, w którym stała zniszczona, skórzana walizka. Połyskiwał na niej mosiężny zamek, z którego niczym owoc na szypułce zwisała kłódka. Ewangelina położyła dłoń na chłodnym zatrzasku. W dziurkę wetknięty był maleńki klucz.

Szukając potwierdzenia w oczach Celestyny, Ewangelina przekręciła klucz, zamek się otworzył. Wyjęła kłódkę, ostrożnie położyła ją na drewnianej podłodze i otworzyła ciężkie wieko. Mosiężne zamki, nie-oliwione od dziesięcioleci, wydały wysoki, koci jęk, ze środka tchnęło stęchłym potem i kurzem, zmieszany z piżmowym, złagodzone wiekiem aromatem perfum. Wnętrze walizki było starannie zakryte cienutką, poźółkłą bibułą, tak lekką, że zdawała się unosić ponad krawędziami. Ewangelina odchyliła ją, ostrożnie, żeby nie popękała - pod spodem leżały uprasowane ubrania. Wyjmowała je jedno po drugim i przyglądała im się uważnie: czarnemu, bawełnianemu fartuchowi, brązowym spodniom do jazdy konnej z czarnymi plamami na kolanach, parze damskich, wiązanych, skórzanych butów z wytartymi podeszwami. Rozłożyła wełniane spodnie z szerokimi nogawkami - pasowały na kogoś młodego, nie na Celestynę. Przejechała po nich dłonią - paznokcie zahaczały o szorstki, przesiąknięty kurzem materiał.

Na samym spodzie wyczuła pod palcami coś miękkiego, jedwabistego. W rogu leżała zwinięta czerwona satyna - Ewangelina rozłożyła ją machnięciem dłoni i jej oczom ukazała się lejąca, połyskliwa, szkarłatna suknia. Dziewczyna rozciągnęła materiał na ramieniu - pierwszy raz widziała równie miękką tkaninę, która w dotyku była niemal jak woda. Suknia przypominała stroje aktorek z czarno-białych filmów - szyta ze skosu, z głębokim dekoltem i wąskim, sięgającym aż do ziemi kloszem, marszczona w talii. Z lewej strony od góry do dołu ciągnął się rząd powleczonych satyną guziczków. Do szwu przyfastrygowana była metka Chanel. Pod nazwiskiem projektantki widniał ciąg cyfr. Ewangelina próbowała wyobrazić sobie kobietę, która ją nosiła. Jak by to było, zastanawiała się, mieć na sobie coś równie pięknego?

Odkładając suknię do walizki, natknęła się na owinięty w ubrania plik listów. Bożonarodzeniowe, zielono-czerwonobiałe koperty były związane grubą, czarną, satynową wstążką. Ewangelina przejechała po niej palcem: była miękka i gładka.

- Podaj mi je - powiedziała łagodnie Celestyna. Widać było, że jest już wyczerpana.

Zostawiwszy walizkę otwartą, Ewangelina podeszła do Celestyny i podała jej koperty. Drżącymi palcami Celestyna rozwiązała kokardę i zwróciła koperty dziewczynie. Ewangelina przejrzała stemple - listy przychodziły rok po roku w Boże Narodzenie, pierwszy w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym, kiedy zamieszkała w Świętej Róży, ostatni - w dziewięćdziesiątym ósmym. Oslupiała odczytała nazwisko nadawcy: Gabriella Levi-Franche Valko. Listy przysłała jej babka.

- To do ciebie - powiedziała Celestyna drżącym głosem. - Zbierałam je przez wiele lat, dokładnie jedenaście. Już czas, żeby trafiły w twoje ręce. Chciałabym wyjaśnić ci więcej, ale dzisiaj już mocno się nadwerżyłam. Nie wyobrażasz sobie,

jak trudno mi mówić o przeszłości. Wyjaśnienie moich zawitych relacji z Gabriellą byłoby jeszcze trudniejsze. Weź listy. Na pewno znajdziesz w nich odpowiedzi na wiele nurtujących cię pytań. Przeczytaj je i przyjdź do mnie jeszcze. Zostało mnóstwo spraw do omówienia.

Ewangelina ostrożnie obwiązała listy czarną tasiemką i mocno zacisnęła kokardę. Celestyna była wyraźnie wyczerpana rozmową - miała bladą, popielatą cerę, ledwie mogła powstrzymać klejące się powieki. Ewangelina przez chwilę zastanawiała się, czy kogoś nie wezwać, ale było jasne, że staruszce potrzeba przede wszystkim odpoczynku. Poprawiła pled, owinęła wąż ramiona Celestyny, sprawdziła, czy jest jej ciepło i wygodnie. Ściskając plik listów, wyszła z pokoju, żeby staruszka mogła spokojnie zasnąć.

### **Cela siostry Celestyny, klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Staruszka złożyła ręce na piersiach pod szydełkowym, barwnym kocem, z wysiłkiem wpatrując się w przestrzeń ponad nim. Pokój przesłaniał mglisty cień. Codziennie od ponad pięćdziesięciu lat Celestyna patrzyła na te same sprzęty w pokoju i dobrze wiedziała, gdzie leżą wszystkie należące do niej przedmioty, a jednak pokój wydał jej się bezkształtny i nieznajomy, co ją nieco dezorientowało. Jej zmysły przygasły. Szum nawilżacza powietrza wydawał się odległy i stłumiony. Wytężyła wzrok, żeby dostrzec walizkę w rogu pokoju - na próżno. Wiedziała, że tam jest, a w niej - cała jej przeszłość, niczym w kapsule czasu. Tak dobrze pamiętała wyjęte przez Ewangelinę ubrania: zniszczone podczas wyprawy buty, niewygodny fartuch, który nosiła w czasach szkolnych, cudowną suknię, dzięki której przeobraziła się - na ten jeden wyjątkowy wieczór - w piękną kobietę. Celestyna czuła nawet przytłumiony kurzem zapach perfum, co znaczyło, że kryształowa buteleczka, którą przywiozła z Paryża - jeden z niewielu skarbów, które pozwoliła sobie zabrać, kiedy w ciągu kilku pełnych napięcia minut musiała się spakować, by uciekać z Francji - nadal była w walizce, a jej zawartość zachowała swą moc. Gdyby wyjęła z buteleczki szklany korek, mogłaby poczuć aromat przeszłości, ale to cudowne doznanie było zakazane, więc nie chciała nawet o tym myśleć. Po raz pierwszy od wielu lat jej serce zatęskniło za czasami młodość.

Ewangelina była tak podobna do Gabrielli, że chwilami wycieńczony chorobą umysł Celestyny nie potrafił ich odróżnić. Nagle wydało się staruszce, że czas wcale nie minął, i przerażona stwierdziła, że nie wie, gdzie jest, jaki jest dzień ani dlaczego znalazła się w odosobnieniu. Co rusz zapadała w sen i budziła się, obrazy z przeszłości pojawiały się i znikły niczym barwy na ekranie, jedno wspomnienie przechodziło w następne. Wyprawa, wojna, szkoła, studia - wspomnienia wydały się Celestynie tak żywe, jak teraźniejszość. Jej oczom ukazała się Gabriella Levi-Franche, jej przyjaciółka i rywalka, dziewczyna, z którą przyjaźń tak bardzo zmieniła bieg jej życia. Celestyna zapadła w półsen, w którym przekroczyła bariery czasu i wróciła do swojej przeszłości.

Druga hierarchia anielska



Chwalcie go dźwiękiem rogu, chwalcie Go na harfie i cytrze!  
Chwalcie Go bębniem i tańcem, chwalcie Go na strunach i flecie!  
Chwalcie Go na cymbałach dźwięcznych, chwalcie go na  
cymbałach brzęczących...

Psalm 150

## Paryska Akademia Angelologiczna, Montparnasse, Francja

Jesień 1939 roku

Zdarzyło się to niecały tydzień po inwazji na Polskę, pewnego popołudnia, kiedy byłam na drugim roku studiów angelologicznych - doktor Seraphina Valko poprosiła mnie, żebym odnalazła koleżankę ze studiów, Gabriellę, i przyprowadziła ją do Ateneum. Gabriella wciąż spóźniała się na zajęcia - wyrobiła sobie ten nawyk latem i ku konsternacji naszej nauczycielki trwała w nim, gdy nadeszły chłodniejsze, wrześniejsze dni. Nie było jej w szkole ani na dziedzińcu, gdzie na przerwach często szukała samotności, nie schowała się w żadnej z sal, żeby się pouczyć, więc uznałam, że najpewniej jeszcze śpi. Miałyśmy pokoje obok siebie - wiedziałam, że wróciła grubo po trzeciej nad ranem i aż do świtu słuchała z fonogramu swojej ulubionej opery Manon Lescaut.

Przeszłam wąskimi uliczkami obok cementarza, minęłam kawiarnię, w której tłum mężczyzn słuchał przez radio wiadomości z frontu, i doszłam alejką do mieszkania przy rue Gassendi, które dzieliłyśmy z Gabriellą. Mieszkałyśmy na trzecim piętrze, w pomieszczeniach było mnóstwo światła, a z okien widziałyśmy czubki kasztanowców; na tej wysokości nie dochodziły nas hałasy uliczne. Weszłam po szerokich schodach, otworzyłam drzwi - byłam w cichym, słonecznym mieszkaniu. Miałyśmy do dyspozycji dwie wielkie sypialnie, wąską jadalnię, kuchnię ze służówką i ogromną łazienkę z porcelanową wanną. Mieszkanie było zdecydowanie zbyt luksusowe jak dla studentek, z czego zdałam sobie sprawę w chwili, gdy przekroczyłam jego próg i stanęłam na lśniącym parkiecie. Ze względu na powiązania rodzinne szkoła zapewniła Gabrielli wszystko co najlepsze. Nie miałam pojęcia, jakim cudem przydzielono mnie jako jej współlokatorkę.

Przeprowadzka na Montparnasse była dla mnie nadzwyczajną odmianą - cieszyłam się luksusem, dbałam o porządek. Takie mieszkanie zobaczyłam w Paryżu po raz pierwszy, gdy tymczasem Gabriella żyła dostatnio całe życie. Pod wieloma względami była moim przeciwieństwem, nawet wyglądem różniłyśmy się diametralnie. Ja byłam wysoka i blada, miałam wielkie orzechowe oczy, wąskie usta i krótką brodę, którą zawsze uważałam za atrybut północnego pochodzenia. Gabriella była ciemnowłosa, klasyczną piękną. Miała w sobie coś takiego, że wszyscy traktowali ją poważnie, pomimo jej słabości do mody i cyklu powieści o Klaudynie<sup>10</sup>. Ja przyjechałam do Paryża, ponieważ dostałam stypendium, które pokryło całkowicie koszty chesnego i stancji; Gabriella wywodziła się z jednej z najstarszych i najbardziej prestiżowych paryskich rodzin angelologów. Możliwość studiowania pod okiem najwybitniejszych znawców tematu ja uważałam za dar od losu; Gabriella miała ich za krewnych, wysłała ich geniusz z mlekiem matki. Ja ślezczałam nad tekstami, uczyłam się na pamięć, segregowałam materiał z mozołem orzącego wołu; Gabriella miała lotny, błyskotliwy intelekt i przyswajała wszystko bez wysiłku. Ja notowałam każdy szczegół, kreśliłam tabele i wykresy, żeby lepiej przyswoić informacje, natomiast z tego, co wiem, Gabriella nigdy nie robiła notatek. A jednak potrafiła rozprawiać na temat teologii albo rozwinąć jakiś wątek mitologii czy historii z łatwością, jakiej ja nigdy nie miałam. Byłyśmy najlepsze na roku, a mimo to nie potrafiłam pozbyć się poczucia, że ja tylko wkradłam się w kręgi elit, podczas gdy ona należała do nich na mocy prawa urodzenia.

Tamtego popołudnia wydawało mi się, że od rana nic się w mieszkaniu nie zmieniło. Na stole, obok talerza z resztkami mojego śniadania - skórką chleba i resztką dżemu truskawkowego - leżało grube, oprawione w skórę dzieło świętego Augustyna. Sprzątnęłam ze stołu, książkę zaniósłam do swojego pokoju i położyłam pośrodku zagraconego biurka. Leżały tam notatki, książki, które chciałam przeczytać, buteleczki z atramentem i mnóstwo zapisanych w połowie zeszytów. Na widoku stała poślizgnięta fotografia moich rodziców - dwojga krzepkich, zahartowanych surowym klimatem rolników na tle naszej winnicy na wzgórzach - a obok niej wyblakłe zdjęcie Baby Slavki, mojej babki, z chustą na głowie, bo tak nosiły się kobiety w jej rodzinnej, odległej wsi. Nauka pochłonęła mnie do tego stopnia, że nie widziałam ich od ponad roku.

Byłam córką winiarzy, dorastającą pod troskliwą opieką, nieśmiałą, wiejską dziewczyną z talentem do nauki i niezłomnymi przekonaniem religijnymi. Matka pochodziła z rodziny vigneronów - jej krewni pracowali znośnie i wytrwale, zbierając auxerrois blanc i pinot gris, i przez cały czas odkładali oszczędności w kryjówkach między cegłami ścian, żeby przetrwać, kiedy znów wybuchnie wojna. Ojciec był cudzoziemcem. Po pierwszej wojnie światowej wyemigrował do Francji z Europy Wschodniej, ożenił się z moją matką i przejął odpowiedzialność za zarządzanie winnicą. Nie był człowiekiem wykształconym, ale dostrzegł mój talent. Odkąd zaczęłam chodzić, dawał mi do rąk książki, w tym wiele teologicznych. Kiedy miałam czternaście lat, załatwił mi naukę w Paryżu - pojechał ze mną pociągiem na egzaminy, a kiedy przyznano mi stypendium, zawiózł mnie do nowej szkoły. Spakowaliśmy wszystkie moje rzeczy do drewnianej skrzyni, która należała wcześniej do jego matki. Później, kiedy dowiedziałam się, że moja babka marzyła o podjęciu nauki właśnie w tej szkole, zrozumiałam, że angelologia była mi przeznaczona od dawien dawna. Kiedy tymczasem szukałam

<sup>10</sup> Cykl powieści opartych na motywach autobiograficznych autorstwa francuskiej pisarki, autorki powieści obyczajowo-psychologicznych, Sidonie-Gabrielle Colette (pseud. Colette), 1873-1954.



spóźnialskiej koleżanki, zastanawiałam się, czemu porzuciłam dom rodzinny. Gdyby okazało się, że Gabrielli nie ma w mieszkaniu, zamierzałam sama wrócić do Ateneum na wykład doktor Seraphiny.

Wyszłam z pokoju, a wtedy w łazience w końcu korytarza kątem oka dostrzegłam poruszenie. Drzwi były zamknięte, ale za mlecznym szkłem coś mignęło. Pomyślałam, że pewnie Gabriella bierze kąpiel, choć było to co najmniej dziwne, przecież powinna być w szkole. Widziałam niewyraźny zarys wielkiej, porcelanowej wanny, która musiała być po brzegi wypełniona gorącą wodą. Pomieszczenie było zasnuwane mgłą, na szklanych drzwiach osiadła gęsta, mleczna para. Usłyszałam głos Gabrielli i zdziwiłam się, że mówi sama do siebie, bo byłam przekonana, że oprócz niej nikogo w środku nie ma. Uniosłam dłoń, żeby zapukać i w ten sposób dać jej znać, że jestem w domu, ale wtem coś zaiskrzyło złotym światłem. Na szkle zarysował się cień potężnej postaci, która - mogłabym przysiąc - emanowała jasną poświatą. Podeszłam bliżej, żeby rozeznac się w tym, co widzę. Na kafelkowej podłodze leżały rozrzucone ubrania - biała, płócienna spódnica i wzorzysta bluzka ze sztucznego jedwabiu. Obok ubrań mojej przyjaciółki leżały pomięte spodnie, najwyraźniej zrzucone w pośpiechu. Było jasne, że Gabriella nie jest sama. Ja jednak wcale nie odeszłam, tylko przysunęłam się bliżej. Próbowałam zajrzeć do środka, a to, co zobaczyłam, zaszokowało mnie do tego stopnia, że skamieniałam; nie mogłam się ruszyć, tylko przyglądałam się, zastygła z przerażenia.

W kącie łazienki otulona mgiełką pary stała Gabriella w objęciach mężczyzny. Miał lśniąca, białą skórę i wydawał się emanować niezmierną jasnością. Przypierał Gabriellę do ściany, jakby miał ją zmiąć swoim ciałem. Ten akt dominacji najwyraźniej Gabrielli odpowiadał - mocno obejmowała go bladymi ramionami.

Cofnęłam się cichutko, żeby nie zdradzić swojej obecności, i uciekłam z mieszkania. Wróciłam do Akademii i przez długi czas krążyłam w labiryncie korytarzy, usiłując odzyskać równowagę przed spotkaniem z doktor Yalko. Budynki szkolne ciągnęły się przecznica za przecznica, połączone siecią wąskich korytarzy i podziemnych przejść - ta asymetria nadzwyczaj mi odpowiadała, może dlatego, że w jakiś sposób odzwierciedlała stan mojego umysłu. Warunki lokalowe były raczej skromne, ale choć placówka często okazywała się nieprzystosowana do naszych potrzeb - sale wykładowe były za małe, a część pomieszczeń nieogrzewana - to nauka tak mnie pochłaniała, że właściwie nie zwracałam na to uwagi. Krążyłam wokół zaciemnionych, opustoszałych gabinetów wykładowców, którzy zbiegli z Paryża, i próbowałam oswoić szok wywołany tajemnicą Gabrielli. Nie mogłam pojąć tego, co widziałam, a zmieszana z rywalizacją lojalność, którą odczuwałam wobec przyjaciółki, nie pozwalała mi zdradzić doktor Seraphinie prawdy, choć w głębi duszy wiedziałam, że to właśnie powinnam zrobić. Tymczasem zastanawiałam się, w co takiego wdała się Gabriella, i próbowałam się uporać z dylematem moralnym, wobec którego postawił mnie jej romans. Muszę coś powiedzieć nauczycielce, ale co? Nie mogłam zdradzić Gabrielli. Była moją jedyną przyjaciółką, choć przy okazji łączyła nas zagorzała rywalizacja.

Niebawem okazało się, że niepotrzebnie szukałam wymówki. Kiedy dotarłam do gabinetu doktor Valko, Gabriella już tam była. Siedziała na krześle w stylu Ludwika XIX wyglądała świeżo i spokojnie, jakby spędziła poranek, czytając Woltera w ocienionym parku. Miała na sobie sukienkę z chińskiej krey w kolorze żywej zieleni i białe, jedwabne pończochy; była obficie wyperfumowana shalimarem, jej ulubionym zapachem. Pozdrowiła mnie zdawkowo jak zawsze, a wówczas z ulgą stwierdziłam, że nie ma pojęcia, co widziałam.

Doktor Seraphina przywitała się ze mną ciepło i z troską spytała, co mnie zatrzymało. Reputacja mojej nauczycielki zależała nie tylko od jej osiągnięć, ale także od postępów i obowiązkowości studentów - przeraziłam się, że czas spędzony na poszukiwaniu Gabrielli uzna za spóźnienie. Nie ludziłam się co do mojej pozycji w Akademii. W odróżnieniu od Gabrielli, która miała powiązania rodzinne, nie byłam osobą niezastąpioną, choć doktor Seraphina nigdy nie powiedziała tego wprost.

O tym, jaką popularnością pośród studentów cieszyli się Valkowie, wiedzieli wszyscy. Seraphina poślubiła genialnego Raphaela Valkę, często prowadzili wspólnie wykłady. Każdej jesieni ich zajęcia były oblegane; oprócz studentów pierwszego roku, dla których ich wykłady były obowiązkowe, przychodziły na nie tłumy młodszych i starszych naukowców.

Małżeństwo tych dwojga wspaniałych profesorów specjalizowało się w geografii przedpotopowej, niewielkiej, jednakże wyjątkowo ważnej gałęzi archeologii angelologicznej. Na wykładach Valkowie nie ograniczali się jednak do swojej wąskiej specjalizacji, ale przedstawiali zarys historii angelologii: od starożytności aż po współczesność. Potrafili wskrzesić przeszłość, tak że słuchacze w lot pojmowali zawiloci pradawnych sojuszków i walk, i ich powiązania z bolączkami współczesnego świata. Potrafili przekonać zebranych, że przeszłość nie jest tylko zakurzonym zbiorem mitów i baśni, kompendium ludzkich istnień zgładzonych przez wojny, zarazy i nieszczęścia, ale że historia żyje i tchnie ducha w teraźniejszość, że jest częścią naszej codzienności, oknem na zamglone dzieje. Przedstawiając historię w tak przystępny sposób, Valkowie zapewnili sobie popularność wśród studentów i silną pozycję wśród kadry.

Doktor Seraphina zerknęła na zegarek.

- Nie zwlekajmy - powiedziała, układając notatki na biurku. - Już jesteśmy spóźnione.

Szybko i miarowo stukając obcasami po wyłożonych płytkami podłogach, poprowadziła nas wąskim, ciemnym korytarzem do Ateneum. Choć nazwa ta mogła sugerować, że spieszymy do okazałej biblioteki z korync-kimi kolumnami i wielkimi oknami, w rzeczywistości Ateneum było ciemne jak loch - pomieszczenie pozbawione okien wiecznie zasnuwała mgła, przysłaniając wapienne ściany i marmurowe podłogi. Wiele sal wykładowych było faktycznie takimi

właśnie komorami w rozproszonych, walących się budynkach Montparnasse, pozyskiwanych na przestrzeni lat i połączonych przypadkowymi korytarzami. Wkrótce po przyjeździe do Paryża zrozumiałam, że ukrycie zapewniało nam bezpieczeństwo. W labiryncie zabudowań mogliśmy bez przeszkód kontynuować pracę, choć spokój burzyło widmo rychłej wojny. Wielu naukowców zdążyło już zbiec z miasta.

Pomimo odstręczającego wyglądu to właśnie Ateneum stało się moim ulubionym miejscem na pierwszym roku studiów. Przechowywano tam ogromny zbiór książek - wiele z nich nietkniętych od wieków. Wprowadzając nas w księgozbiór Biblioteki Angelologicznej, doktor Seraphina wyjaśniła, że jest to kolekcja, jakiej mógłby nam pozazdrościć sam Watykan, obejmująca teksty z pierwszych lat po potopie. Do tak starych dokumentów studenci nie mieli jednak dostępu, przechowywano je pod kluczem w krypcie. Lubiłam przychodzić tu w nocy z maleńką lampką naftową - siadałam w kąci nad stosami książek, w słodkim zapachu zakurzonego, starego papieru. Poświęcanie na naukę wielu godzin wcale nie uważałam za oznakę ambicji, zapewne w przeciwieństwie do tych, którzy rankiem zastawali mnie przy biurku. Gigantyczny księgozbiór był dla mnie mostem do nowego życia - w Ateneum mogłam oglądać historię świata odartą z mgły, co dawało mi poczucie, że nie jestem osamotniona w swoich wysiłkach, ale przynależę do licznej gromady badaczy, którzy gromadzili wiedzę na przestrzeni wieków. Ateneum było dla mnie uosobieniem wszystkiego co w tym świecie cywilizowane i uporządkowane.

Widok ogołoconych sal bibliotecznych był dla mnie wyjątkowo bolesny. Nauczycielka poprowadziła nas w głąb pomieszczenia, w którym pracowała grupa asystentów przydzielonych do rozparcelowania zbioru. Demontaż odbywał się według ścisłej procedury, inaczej być nie mogło, a jednak miałam wrażenie, że panuje tam całkowity chaos. Stosy książek leżały na stołach i w wielkich drewnianych skrzyniach rozstawionych po całym pomieszczeniu. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej studenci siedzieli tu w ciszy i przygotowywali się do egzaminów - jak pokolenia studentów przed nimi. Nagle to wszystko wydało mi się bezpowrotnie stracone. Co pozostanie, kiedy nasze teksty zostaną przewiezione do kryjówek? Odwróciłam wzrok, nie mogłam patrzeć na rozbiórkę mojego sanktuarium. Tak naprawdę konieczność rychłej wyprowadzki nie była niespodzianką. W obliczu inwazji hitlerowców nie mogliśmy kontynuować działalności w dotychczasowych kwaterach. Wiedziałam, że wkrótce zajęcia zostaną odwołane i rozpoczniemy komplety w podmiejskich kryjówek. W ciągu ostatnich tygodni wstrzymano większość wykładów. Moje dwa ulubione przedmioty: interpretację stworzenia i fizjologię anielską, zawieszono do odwołania. Tylko Valkowie nadal prowadzili wykłady, ale wiedzieliśmy, że to nie potrwa długo. Mimo wszystko do chwili kiedy zobaczyłam rozbiórkę Ateneum, groźba inwazji nie wydawała mi się realna.

Doktor Seraphina pospiesznie zaprowadziła nas do izby na tyłach biblioteki, była spięta. Ja zresztą też: po tym, co zobaczyłam dziś rano, nie mogłam się uspokoić. Ukradkiem zerkalam na Gabriellę, próbowałam dostrzec jakąś zmianę w jej wyglądzie, ale była opanowana jak zawsze. Seraphina przystanęła, założyła za ucho niesforny kosmyk i wygładziła sukienkę - jej podenerwowanie było oczywiste. Myślałam, że to moje spóźnienie wyprowadziło ją z równowagi i że zamartwiała się koniecznością odwołania wykładu, ale kiedy dotarliśmy na tyły Ateneum, okazało się, że trwa tam spotkanie, więc zrozumiałam, że to nie ja byłam powodem jej napięcia.

Grono wybitnych angelologów siedziało przy stole, pogrążone w płomiennej dyskusji. Rozpoznałam członków rady, były to w końcu same sławy, z których wielu prowadziło w zeszłym roku gościnne wykłady, ale nigdy nie widziałam ich wszystkich naraz, a do tego w takiej konspiracji. W skład rady wchodził wybitni mężczyźni i kobiety piastujący ważne stanowiska w całej Europie - politycy, dyplomaci, przywódcy społeczni - ich wpływy sięgały daleko poza mury Akademii. Byli naukowcami, których dzieła jeszcze niedawno wypełniały półki w Ateneum - to ich badania nad fizycznymi właściwościami i strukturą chemiczną ciał anielskich wprowadziły naszą dyscyplinę we współczesność. Zakonnica w habicie z ciężkiej, plecionej, czarnej wełny, dzieląca czas między studia teologiczne i pracę w terenie, siedziała obok wuja Gabrielli, doktora Leviego-Francheo, starszego angelologa specjalizującego się w doświadczeniach angelofanii, niebezpiecznej i intrygującej dziedzinie, którą ja sama pragnęłam studiować. Najwięksi angelolodzy naszych czasów siedzieli wokół ogromnego stołu i przyglądali się, jak Seraphina wprowadza nas do środka.

Doktor Valko gestem poleciła nam usiąść pod ścianą, w pewnej odległości od członków rady. Byłam tak ciekawa tematu tego nadzwyczajnego spotkania, że z trudem się powstrzymałam przed wpatrywaniem w znamienite grono; postanowiłam wbić wzrok w rozwieszoną na ścianie olbrzymią mapę Europy. Czerwone punkty oznaczały kluczowe miasta - Paryż, Londyn, Berlin, Rzym. Zaciekawilo mnie, że oprócz nich wyróżniono także mniej znane miejscowości - ciąg znaków na granicy Grecji i Bułgarii tworzył czerwoną linię między Sofią i Atenami. Oznaczenia zafrapowały mnie, bo właśnie z tego odległego zakątka Europy pochodził mój ojciec.

Doktor Raphael stał przy mapie i czekał, żeby zabrać głos. Był człowiekiem poważnym, jedną z niewielu osób niezwiązanych z Kościołem, które jednocześnie piastowały funkcje członka rady i wykładowcy Akademii. Doktor Seraphina wspomniała kiedyś, że jej mąż jest zarówno administratorem, jak i naukowcem, zupełnie jak Roger Bacon, angielski angelolog żyjący w trzynastym wieku, który w Oksfordzie nauczał filozofii Arystotelesowskiej, a w Paryżu - teologii franciszkańskiej. Równowaga między reżimem intelektualnym a pokorą, jaką Bacon potrafił zachować, była w naszej wspólnotie głęboko poważana, a ja widziałam w doktorze Raphaelu godnego następcę tego wielkiego angelologa. Seraphina zajęła miejsce za stołem. Jej mąż podjął przerwany wątek.

- Jak mówiłem - tu wskazał opróżnione półki i asystentów, którzy owijali książki i pakowali je do rozstawionych wszędzie skrzyń - nie mamy wiele czasu. Wkrótce wszystkie zbiory zostaną spakowane i wywiezione do bezpiecznych

kryjówek poza miastem. To nieodzowne, musimy się chronić na wypadek niespodziewanych zdarzeń. Konieczność przeprowadzki spadła na nas jednak w najgorszym możliwym momencie. Nie możemy wstrzymać prac na czas wojny. Musimy podjąć decyzję. -Raphael mówił grobowym głosem. - Nie wydaje mi się, żeby nasza obrona miała zawieść. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy dobrze przygotowani do walki, ale musimy spodziewać się najgorszego. Jeśli będziemy dłużej zwlekać, zostaniemy otoczeni.

- Proszę spojrzeć na Europę, panie profesorze - powiedział członek rady o imieniu Władimir, młody naukowiec z podziemnej Akademii Angelologicznej w Leningradzie, którego znałam tylko ze słyszenia. Był przystojny, miał chłopięcą urodę, blade, błękitne oczy i sprężyste ciało.

Emanował spokojem i pewnością siebie, przez co sprawiał wrażenie dojrzałego mężczyzny, mimo że nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat. - Wygląda na to, że już jesteśmy otoczeni.

- Między faszystami a naszymi wrogami jest zasadnicza różnica -wtrącił doktor Levi-Franche. - Ziemskie niebezpieczeństwo to nic w porównaniu z zagrożeniem ze strony duchowych wrogów.

- Musimy być gotowi do walki z jednymi i drugimi - podsumował Władimir.

- Otóż to - przytaknęła doktor Seraphina. -I właśnie dlatego musimy poczynić starania, żeby odnaleźć i zniszczyć lirę.

Zapadła cisza, jakby członkowie rady nie byli pewni, jak zareagować na tak śmiałą sugestię.

- Moją opinię znacie - powiedział doktor Raphael. - Nasza jedyna nadzieja to posłać ekipę w góry.

Zakonnica rozglądała się po zgromadzonych, cień welonu przysłaniał jej twarz.

- Obszar, o którym mówi doktor Raphael, jest zdecydowanie za duży. Bez dokładnych współrzędnych nikt nie zdoła go przeszukać, nasza ekipa też. Zanim kogokolwiek tam pošlemy, musimy określić dokładne położenie jaskini.

- To możliwe - zapewniła doktor Seraphina - trzeba tylko mieć dostęp do odpowiednich źródeł. Nasza ofiarodawczyni ze Stanów zapewniła nam hojne wsparcie.

- A rodzina Curie dostarczyła najlepszy sprzęt - dodał doktor Raphael.

- Bądźmy realistami - przerwał doktor Levi-Franche, najwyraźniej sceptycznie nastawiony do projektu. - Jak duży teren wchodzi w grę?

- Terytorium Tracji w czwartym wieku naszej ery obejmowało ziemie od obecnej Serbii po Turcję - wyjaśnił doktor Raphael. - Ale dzięki relacji czcigodnego Clematisa, w której padają nazwy greckich miast Dramy i Smolian w sercu Rodopów, możemy zawęzić ten obszar do północnej Tracji.

- Szanowna koleżanka słusznie wskazała, że to ogromny teren - nie ustępował Levi-Franche. - Jakim cudem mielibyśmy zbadać choć fragment i nie zostać wytropieni? Choćbyśmy mieli ogromne zasoby i tysiąc agentów, to i tak trzeba by lat, a może nawet dziesięcioleci, żeby przetrząsnąć ten rejon, nie mówiąc o zejściu pod ziemię. Niebezpieczeństwo jest blisko. Nie mamy ani funduszy, ani ludzi do takiej wyprawy.

- Z pewnością nie zabraknie ochotników - wtrącił Władimir.

- Trzeba pamiętać - zabrała głos Seraphina - że wojna to nie tylko niebezpieczeństwo zniszczenia naszych tekstów i budynków Akademii. Możemy stracić o wiele więcej, jeśli rozniosą się wieści o położeniu jaskini i ukrytym w niej skarbie.

- Ale może się okazać, że nasi wrogowie już są w górach i prowadzą obserwację - powiedziała zakonnica.

- To prawda - przytaknął Władimir specjalizujący się w muzykologii eterycznej - i właśnie dlatego trzeba wyruszyć jak najszybciej.

- Ale czemu teraz? - spytał znużonym głosem doktor Levi-Franche. - Do tej pory skupialiśmy się na szukaniu i ochronie mniejszych instrumentów niebiańskich, pomijając ten najgroźniejszy. Nie lepiej zaczekać z tym do końca wojny?

Odpowiedziała mu doktor Seraphina.

- Hitlerowcy obstawili całą okolicę. Uwielbiają antyki, zwłaszcza jeśli mogą im przypisać mitologiczne powiązania z reżimem, a nefilimowie nie zmarnują takiej szansy i zyskają potężne narzędzie.

- Moc liry jest powszechnie znana - rzekł Władimir. - Spośród wszystkich niebiańskich instrumentów to właśnie ona może być wykorzystana z najbardziej niszczycielskim skutkiem, może doprowadzić do dewastacji, do jakiej nawet hitlerowcy nie są zdolni. Jest zbyt cenna, żeby zrezygnować z prób jej odnalezienia. Wszyscy wiemy, jak bardzo nefilimowie pragną ją mieć.

- Ale wiemy też - przerwał Władimirowi wzburzony doktor Levi-Franche - że nefilimowie natychmiast pójdą w ślad za naszą ekipą. Nawet gdyby zdarzył się cud i byśmy ją odnaleźli, to nie mamy pojęcia, co się stanie z członkami wyprawy. Narazimy ich na niebezpieczeństwo. Co gorsza, lirę mogą nam odebrać. Może się okazać, że tylko im się przysłużymy. I będziemy odpowiedzialni za koszmara, który lira może sprowadzić na ziemię.

- Poza tym - odezwała się zakonnica, wyraźnie sztywniejac na krześle - ona wcale nie musi być tak potężna, jak sądzimy. Nikt jej nigdy nie widział. O tym, że wywołuje grozę, wiemy głównie z pogańskich legend. Jej zła moc może być tylko mitem.

Zebrani przez chwilę rozważali słowa zakonnicy, po czym przemówił doktor Raphael.

- Stoimy przed prostym wyborem: podejmujemy działanie albo nie robimy nic.

- Nieroztropne działanie wyrządzi więcej szkód niż roztropna powściągliwość - powiedział doktor Levi-Franche.

Nie mogłam mu darować tej uwagi, tak gburowatej w porównaniu z argumentami moich profesorów, uczciwie uzasadniających swoje racje.

- W naszym wypadku - odparł poruszony Rapahel - nieroztropnością będzie brak działania. Bierność może się skończyć tragicznie.

- I właśnie dlatego nie ma czasu do stracenia - zgodził się Władimir. - Musimy znaleźć lirę i bezpiecznie ją ukryć.

- Jeśli mogę się wtrącić - odezwała się łagodnie doktor Seraphina - chciałabym zgłosić pewną propozycję. - Podeszła do mnie i do Gabrielli, więc całe grono zaczęło nam się przyglądać. - Wielu z was już zna te dziewczęta, pozostałym chciałabym przedstawić dwie spośród naszych najzdolniejszych młodych angelologów. Gabriella i Celestine pomagają nam porządkować zbiory na czas przejściowy. Katalogują i transkrybują teksty. Nadzwyczajnie nam pomogły. To właśnie one wskazały pewne istotne szczegóły i informacje zawarte w opracowaniach historycznych. Dzięki nim mnie i Raphaelowi nasunął się pomysł, jak działać w obecnym stanie zagrożenia.

- Wiecie - ciągnął wywód żony doktor Rapahel - że oprócz obowiązków związanych z pracą w Akademii prowadzimy z Seraphina kilka prywatnych projektów mających na celu między innymi ustalenie położenia jaskini. Zgromadziliśmy mnóstwo informacji z suplementów do badań i notatek z pracy w terenie, które wcześniej przeoczono.

Zerknęłam na Gabriellę, szukając współczucia w tej krępującej sytuacji, ale ona jak zwykle z lekceważeniem odwróciła głowę. Wtem przyszło mi na myśl, że może dobrze wie, o czym mówią członkowie rady. Może ona została wtajemniczona, a ja - pominięta. Doktor Seraphina nigdy nie rozmawiała ze mną o lirze. Na myśl, że Gabriella została dopuszczona do sekretów, ogarnęła mnie zazdrość.

- Kiedy nie było już wątpliwości, że pracę zakłóci nam wojna - ciągnęła Seraphina - postanowiliśmy przygotować się na każdą ewentualność i zabezpieczyć materiały. Poprosiliśmy Gabriellę i Celestine o pomoc w sortowaniu i katalogowaniu notatek z badań. Dziewczęta podjęły pracę przed kilkoma miesiącami. Musiały się zdobyć na ogromny wysiłek i mozolnie gromadzić dane, ale wykazały błyskotliwość i determinację, aby zakończyć projekt przed przeprowadzką. Jesteśmy ogromnie zadowoleni z postępu ich prac. Młodość daje im pewną cierpliwość - potrafią przebrnąć przez to, co nam wydaje się żmudną, urzędniczą pracą. Efekt ich pracowitości jest wręcz nadzwyczajny. Zebrane przez nie wiadomości okazały się wyjątkowo przydatne, odkryliśmy mnóstwo danych, które przez całe dziesięciolecia były zupełnie zapomniane. - Seraphina podeszła do mapy, z kieszeni rozpinanego swetra wyjęła pióro i narysowała trójkąt nad Rodopami od Grecji po Bułgarię. - Miejsce, którego szukamy, leży w zaznaczonym obrębie. Wiemy, że już wcześniej prowadzono tam poszukiwania i że wielu uczonych próbowało opisać tamtejszy krajobraz i strukturę geologiczną. Nasi badacze wykazali intelektualną skrupulatność, ale zawiodły ich metody organizacyjne. Nie mamy co prawda dokładnych współrzędnych, ale jestem przekonana, że jeśli przeanalizujemy dostępne teksty - w tym sprawozdania, których pod tym kątem jeszcze nie zbadano - będziemy mogli je uściślić.

- Wierzy pani - spytała zakonnica - że w ten sposób oznaczymy dokładną lokalizację jaskini?

- Oto nasza propozycja - podjął wątek doktor Raphael - jeśli uda nam się zawęzić promień obszaru do stu kilometrów, chcemy zgody na poprowadzenie drugiej wyprawy.

- Jeśli natomiast okaże się to niemożliwe - dokończyła jego żona - ukryjemy informacje w bezpiecznym miejscu, zgodnie z planem zbiegniemy z kraju i będziemy się modlić, żeby mapy nie wpadły w ręce wroga.

To, jak szybko członkowie rady wyrazili zgodę na tę propozycję po tak burzliwej dyskusji, było co najmniej zdumiewające. Być może Seraphina wiedziała, że wspominając o postępach Gabrielli, zyska kartę przetargową w negocjacjach z doktorem Levim-Franchem. Nawet jeśli nie była to umyślna strategia, zadziałała. Ja tymczasem nie do końca rozumiałam nadzwyczajne właściwości poszukiwanego skarbu, niemniej moja ambicja została mocno połączona. Byłam przeszczęśliwa. Oto ja i Gabriella znalazłyśmy się w samym centrum prowadzonych przez Val-ków poszukiwań jaskini uwieczonych aniołów.

Zwykle spotykałyśmy się z doktor Seraphina o dziewiątej, ale następnego ranka przyszedłam do jej gabinetu godzinę wcześniej. W nocy bardzo źle spałam, słyszałam przez ścianę, jak Gabriella krąży po pokoju, otwiera okna, przypala papierosy i słucha Dwunastu etiud Debussy'ego. Przyczyny jej bezsenności, podobnie zresztą jak swojej, upatrywałam w jej straszliwym sekrecie, choć tak naprawdę jej uczucia pozostawały dla mnie zagadką. Była jedyną osobą w Paryżu, którą znałam tak dobrze, a jednocześnie nie znałam wcale. To, co zobaczyłam owego popołudnia, zaabsorbowało mnie do tego stopnia, że nie zdążyłam się nawet zastanowić nad rolą, którą Valkowie przypisali nam w poszukiwaniach jaskini. Nie mogłam przestać myśleć o Gabrielli obejmującej tajemniczą postać i z tego powodu byłam ostrożniejsza wobec przyjaciółki. Wstałam z łóżka przed wschodem słońca, wzięłam książki i poszłam do Ateneum pouczyć się w moim ulubionym zaciszu.

Dopiero siedząc nad tekstami, zaczęłam rozmyślać o zebraniu rady poprzedniego dnia. Nie chciało mi się wierzyć, że tak ważna wyprawa miałaby się odbyć bez najważniejszego elementu ekwipunku - mapy. Nawet przeciętnie inteligentny student pierwszego roku wiedział, że bez dokładnych planów kartograficznych taka ekspedycja jest skazana na porażkę. Brak jasno określonego położenia uniemożliwi odtworzenie misji kolejnym badaczom. Krótko mówiąc, brak mapy to brak solidnych dowodów.

Być może nie przywiązywałabym do mapy aż takiej wagi, gdyby nie lata spędzone z Valkami, których wnikliwość względem kartografii i formacji geologicznych graniczyła z obsesją. W świecie nauki probierzem jest powtarzalność, która pozwala zweryfikować eksperyment - podobnie prowadzone przez moich profesorów badania nad geologią przedpoto-

pową dawały wyraz ich pasji dla wiernych odtworzeń wypraw podjętych w przeszłości. Prowadzone przez nich rozmowy na temat minerałów i formacji skalnych, aktywności wulkanicznej, przeobrażeń i odmian gleby czy krajobrazów krasowych nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że akceptują wyłącznie metody naukowe. Takie podejście wykluczało błędy. Gdyby istniała mapa, doktor Raphael odnalazłby ją, a następnie odtworzyłby trasę wcześniejszych badaczy krok po kroku, kamień po kamieniu.

Niebawem po wschodzie słońca zastukałam delikatnie do gabinetu doktor Seraphiny. Słyszając jej głos, nacisnęłam klamkę. Ze zdumieniem stwierdziłam, że w środku jest Gabriella - siedzi obok naszej nauczycielki na tapicerowanej cynobrowym jedwabiem leżance; na stoliku stoi serwis do kawy. Były pochłonięte rozmową. Po niespokojnej Gabrielli z minionej nocy nie został nawet ślad. W gabinecie siedziała Gabriella arystokratka, wyperfumowana, wypudrowana, nieskazitelnie ubrana, z upiętymi, lśniącymi, czarnymi włosami. Znow mnie pokonała, a ja, nie potrafiąc ukryć zakłopotania, stałam w drzwiach i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić.

- Co tak stoisz, Celestine? - spytała doktor Seraphina z lekką nutą irytacji. - Wejdz, dołącz do nas.

Wielokrotnie bywałam w gabinecie doktor Seraphiny, wiedziałam, że to jedno z najpiękniejszych pomieszczeń w szkole. Mieściło się na ostatnim piętrze budynku w stylu Haussmana, a z jego okien roztaczał się widok na dziedziniec z fontanną przed szkołą, nad którym stale krążyły gołębie, dominując nad otoczeniem. Poranne słońce rozświetlało wielkie okna; przez jedno z nich, uchylone, wpadało do środka rześkie, poranne powietrze i wypełniało pokój zapachem ziemi i wody. Gabinet był ogromny i elegancki, z wbudowanym regałem na książki i zdobieniami, stał w nim sekretarzyk z marmurowym blatem. Takiego biura można by się spodziewać na prawym brzegu, ale zupełnie nie na la rve gauche. Bardziej reprezentatywny dla naszej szkoły był pokój do pracy doktora Raphaela - zakurzony, brudny od dymu tytoniowego, wypełniony aż po sufit książkami. Doktor Raphael często gościł w przestronnym gabinecie żony - tutaj omawiali szczegóły wykładów lub, tak jak Gabriella dziś rano, pijali kawę w filiżankach z sewskiej porcelany.

To, że Gabriella mnie uprzedziła, mocno mnie zdenerwowało, choć starałam się nie dać tego po sobie poznać. Nie wiedziałam, czemu przyszła tak wcześnie, sądziłam, że umówiła się na prywatną rozmowę, celowo mnie pomijając i zyskując nade mną przewagę. A może chciała omówić przebieg czekającej nas pracy, może chciała spytać, jakie zostaną nam przydzielone zadania? Od efektów naszej pracy mogła zależeć pozycja w szkole. Gdyby Valkowie byli z nas zadowoleni, znalazłoby się dodatkowe miejsce w szeregach członków wyprawy. Ale tylko dla jednej z nas. Pracę przydzielono nam zgodnie z naszymi predyspozycjami - pod tym względem różniłyśmy się nie mniej niż wyglądem. Mnie pasjonowały praktyczne aspekty angelologii - fizjologia ciał anielskich, proporcje materii i ducha w stworzeniu, matematyczna doskonałość wczesnych taksonomii; Gabriella ukochała artystyczny aspekt naszej dyscypliny. Godzinami mogła czytać epiki o walkach między angelologami a nefili-mami; wpatrywała się w dzieła sztuki sakralnej i dostrzegała w nich symbolikę, której ja nigdy bym się nie dopatrzyła; rozbierała starożytne teksty zdanie po zdaniu z taką starannością, jakby jedno słowo mogło zmienić bieg przyszłości. Wierzyła w postęp dobra tak mocno, że na pierwszym roku studiów i ja zaczęłam w niego wierzyć. Nic dziwnego, że doktor Seraphina poleciła jej analizować teksty mitologiczne, mnie zaś przydzieliła systematyzowanie danych empirycznych zgromadzonych podczas wypraw organizowanych w celu odnalezienia jaskini - wertowałam badania geologiczne przeprowadzone na przestrzeni kilku epok i zbierałam nieaktualne mapy.

Satysfakcja w spojrzeniu Gabrielli podpowiedziała mi, że rozmowa musiała trwać już od jakiegoś czasu. Pośrodku gabinetu stały drewniane skrzynie, ich grubo ciosane rogi zapadały się w czerwono-złotym orientalnym dywanie. Wszystkie skrzynie były wypełnione notatkami zawierającymi zapiski z wypraw i luźnymi kartkami pakowanymi w pościechu.

Moje zdumienie wywołane obecnością Gabrielli i zaintrygowanie notatkami w skrzyniach były oczywiste. Doktor Seraphina gestem zaprosiła mnie do środka, mówiąc, żebym zamknęła drzwi i przyłączyła się do rozmowy.

- Wejdz, Celestine. - Wskazała, abym usiadła na leżance obok regału. - Zastanawiałam się, kiedy przyjdiesz.

W tej samej chwili wielki stojący zegar w kącie pokoju wybił ósmą. Byłam godzinę przed czasem.

- Myślałam, że spotykamy się o dziewiątej - zauważyłam.

- Gabriella chciała wcześniej zacząć - odparła nauczycielka. - Przeglądałyśmy część nowych materiałów, które dostaniesz do katalogowania. W skrzyniach są papiery Raphaela. Zeszłej nocy przyniósł je od siebie z gabinetu. Doktor Valko podeszła do biurka, sięgnęła po kluczyk i otworzyła szafkę. Półki były wypełnione po brzegi skrupulatnie rozmieszczonymi notatkami.

- To moje zapiski. Układałam je według tematu i daty, od notatek ze studiów na najniższych półkach, aż po najnowsze - głównie cytaty i wyciągi z artykułów - na górze. Od lat nie katalogowałam zebranych informacji, między innymi ze względu na konieczność utrzymywania prac w tajemnicy, ale przede wszystkim dlatego, że czekałam na odpowiednie asystentki. Obie jesteście doskonałymi studentkami i zdążyłyście poznać podstawy najważniejszych dziedzin angelologii - teleologii, częstotliwości transcendencji, teorii angelologii morfistycznej, taksonomii. Macie też pewną wiedzę o dziedzinie, w której się specjalizujemy - geologii przedpotopowej. Jesteście pracowite i skrupulatne, sporo wiecie i macie różne talenty, ale nie jesteście specjalistkami. Mam nadzieję, że spojrzycie na

nasze materiały świeżym okiem. Wiem, że jeśli jest w nich coś, co mi umknęło, to wy to znajdziecie. Ponadto muszę was prosić o obecność na moich zajęciach. Zdaję sobie sprawę, że zaliczyłyście je w zeszłym roku, ale to, o czym będziemy na nich mówić, ma ogromne znaczenie dla waszego zadania.

Seraphina przejechała palcami po rzędzie tomów, z których kilka wyjęła i położyła przed nami na stoliku do kawy. Korciło mnie, żeby choć do jednego natychmiast zajrzeć, ale postanowiłam poczekać, chciałam, żeby pierwsza zrobiła to Gabriella. Bałam się, że wyjdę na zbyt niecierpliwą.

- Możesz zacząć od tych - Seraphina przysiadła na leżance. - Co do notatek Raphaela, to ich skatalogowanie z całą pewnością będzie nie lada wyzwaniem.

- Jak ich dużo - jęknęłam z zachwytem na myśl o ogromie materiałów, z którymi przyjdzie mi się zapoznać, zastanawiając się jednocześnie, jak je uporządkować.

- Metodologię katalogowania dokumentów wyjaśniłam już dokładnie Gabrielli - ciągnęła nauczycielka. - Przekaze ci instrukcje. Ja powtórzę tylko jedno: pamiętaj, że te notatki są wyjątkowo cenne. Stanowią punkt wyjścia naszych pierwotnych badań. Część materiału wykorzystaliśmy co prawda w publikacjach, ale żaden dokument nie został skopiowany w całości. Musisz obchodzić się z nimi wyjątkowo ostrożnie, zwłaszcza ze sprawozdaniami z wypraw - pod żadnym pozorem nie wolno ich wynosić z gabinetu. Jeśli po pracy zostanie ci trochę czasu, możesz je przeczytać. Z tych notatek można się sporo nauczyć, nawet jeśli są w zupełnym nieładzie. Mam nadzieję, że badając nasze zapiski, zrozumiecie kolejne etapy podejmowanych przez nas wysiłków, a jeśli dopisze nam szczęście, może odkryjecie to, czego szukamy.

Seraphina podała mi skórzany notatnik.

- To część moich zapisków jeszcze ze studiów - notatki z wykładów i moje własne rozważania i domysły na temat angelologii i jej rozwoju w dziejach. Dawno ich nie przeglądałam i nie jestem pewna, co w nich jest. Też byłam kiedyś ambitną studentką i tak jak ty spędzałam wiele godzin w Ateneum. Trudno mi było ogarnąć ogrom informacji na temat historii angelologii, próbowałam nadać im bardziej zwięzłą formę. Obawiam się, że możesz trafić na jakieś moje naiwne spekulacje - po prostu potraktuj je z dużą dozą sceptycyzmu.

Nie potrafiłam wyobrazić sobie doktor Seraphiny jako studentki uczącej się tego, co my próbowałyśmy sobie przyswoić. No i za żadne skarby me uwierzyłabym, że była kiedyś naiwna.

Nauczycielka mówiła dalej:

- Notatki z późniejszych lat będą pewnie ciekawsze. Materiały z tego zeszytu już wykorzystałam - nadałam im formę zwięzłego sprawozdania z postępów naszych prac. Nasi badacze i agenci muszą stale pamiętać, że angelologia jest czysto funkcjonalna, jest dla nas bardzo konkretnym narzędziem. Miarą słuszności teorii jest jej przełożenie na praktykę - w naszym wypadku oznacza to, że badania historyczne umacniają naszą zdolność do walki z nefilimami. Sama mam umysł raczej empiryczny - ciągnęła Seraphina - zupełnie nie nadają się do rozumowania abstrakcyjnego, więc żeby ułatwić sobie zrozumienie teorii angelologicznych, postanowiłam wykorzystać formę opowiadania. Podobnie prowadzę wykłady. Ale o ile stosowanie tej formy w wielu dziedzinach teologii uchodzi właściwie za normę - weźmy choćby alegorie - o tyle w wypadku systemów angelologicznych Kościoł takiego podejścia unikał. Wiecie być może, że Ojcowie Kościoła często konstruowali systemy hierarchiczne, traktując je jak rodzaj argumentu. Wierzyli, że skoro Bóg stworzył hierarchie anielskie, to podobny porządek zaprowadził także na ziemi. Objaśnienie jednego z tych światów rzuciłoby światło na drugi. Weźmy choćby taki przykład: tak jak serafiny górują mądrością nad cherubinami, tak biskup Paryża góruje nad rolnikiem. Widzicie, dokąd to może prowadzić: Bóg narzuca pewne hierarchie, więc wszyscy muszą przestrzegać wyznaczonych im miejsc. No i płacić daniny, bien sur. Kościelne hierarchie anielskie wzmocniły ponadto struktury społeczne i polityczne. Były swoistym opisem świata, kosmologią, która uporządkowała pozorny chaos życia zwykłych ludzi. Oczywiście angelolodzy takie podejście zarzucili. My widzimy świat jako strukturę horyzontalną, w której jest miejsce na wolność intelektualną i awans na mocy zasług. Nasz system jest zupełnie wyjątkowy.

- Ale jakim cudem przetrwał? - wtrąciła Gabriella. - Przecież nie było na to zgody Kościoła.

Poruszona aroganckim tonem Gabrielli, spuściłam wzrok. Ja sama nie umiałabym zakwestionować decyzji Kościoła tak wprost. W sumie moja niezachwiana wiara w jego mądrość mogła działać na moją szkodę.

- Nieraz zadawano to pytanie - odparła Seraphina. - Ojcowie założyciele opracowali przebieg naszych prac na wielkim zjeździe angelologów w czwartym wieku. Zachowało się doskonale sprawozdanie z tego spotkania, napisane przez jednego z ojców, który w nim uczestniczył. - Doktor Seraphina podeszła do szafy i wyjęła z niej książkę. Kartkując strony, dodała: - Warto, żebyście je przeczytały w wolnej chwili. Na pewno nie teraz, dziś macie przed sobą mnóstwo pracy. - Położyła książkę na stole. - Kiedy zapoznacie się z dziejami naszej wspólnoty, przekonacie się, że angelologia to nie tylko nauka i dyskusje. Początek naszym wysiłkom dały mądre decyzje grupy poważnych, uduchowionych osób. Do pierwszej wyprawy angelologicznej - pierwszej podjętej przez angelologów próby odkrycia więzienia aniołów - doszło po soborze w Sozopolu, zorganizowanym przez czcigodnych ojców na zaproszenie braci z Tracji. Właśnie wtedy powstała nasza dyscyplina, a według słów czcigodnego Bogumiła, jednego z najwybitniejszych ojców założycieli, sobór był ogromnym sukcesem, nie tylko dlatego, że ustanowił standardy naszej pracy, ale także dlatego, że zgromadził największych religijnych myślicieli owych czasów. Było to pierwsze od soboru nicejskiego tak wielkie spotkanie przedstawicieli różnych nurtów wiary. Księża, diakoni, akolici, rabini, manichejczycy - wszyscy uczestniczyli w zagorzałych dyskusjach



dogmatycznych w głównej sali obrad. Ale przy okazji, w innym miejscu, odbyło się potajemne spotkanie. Pewien sędziwy ksiądz imieniem Clematis, biskup urodzony w Tracji, ale mieszkający w Rzymie, zebrał grupę ojców, którzy podzielali pasję, z jaką poszukiwał jaskini czuwających. To właśnie Clematis był autorem teorii na temat lokalizacji jaskini - zakładał, że podobnie jak pozostałości arki Noego, znajduje się niedaleko wybrzeża Morza Czarnego. Wyruszył w góry, aby tę teorię potwierdzić. Wraz z Raphaelem założyliśmy - mimo braku dowodów - że Clematis sporządził mapę.

- Tylko skąd ta pewność, że w jaskini faktycznie coś jest? - spytała Gabriella. - Jakim dysponujemy uzasadnieniem? A jeśli jaskini nie ma i jest tylko legenda?

- Przecież legenda powinna się opierać na prawdzie - wtrąciłam się w poczuciu, że Gabriella pochopnie kwestionuje zdanie naszej nauczycielki.

- Clematis odnalazł jaskinię - wyjaśniła Seraphina. - Czcigodny ojciec i jego towarzysze jako jedyni ustalili lokalizację jaskini, dotarli do niej i zobaczyli wtrącone do niej przed tysiącami lat zbuntowane anioły. Clematis zapłacił za ten przywilej życiem. Całe szczęście, że przed śmiercią podyktował krótkie sprawozdanie z wyprawy. Przede wszystkim na tym dokumencie oparliśmy z Raphaelem nasze poszukiwania.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Clematis nie wskazał położenia jaskini - powiedziałam. Tak bardzo chciałam poznać szczegóły wyprawy.

- Owszem, zostało wspomniane - potwierdziła Seraphina. Sięgnęła po kartkę i pióro wieczne, po czym napisała kilka liter cyrylicą i pokazała je nam.

ραυπηχΚΟΤο Βι>πριο

- W relacji Clematisa pojawia się nawa Gyaurskoto Burlo, co w sta-robułgarskim oznacza więzienie niewiernych albo - w swobodniejszym tłumaczeniu - kryjówkę niewiernych, co trafnie opisuje czuwających, których chrześcijanie nazywali wówczas nieposłusznymi lub niewiernymi. Ziemię wokół Rodopów od czternastego wieku aż do roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego zajmowali Turcy - dopiero wtedy Rosjanie pomogli Bułgarom się ich pozbyć. To dodatkowo komplikuje poszukiwania: niewiernymi nazywali muzułmanie bułgarskich chrześcijan, a to nakłada kolejną warstwę znaczeniową na pierwotną nazwę jaskini. W latach dwudziestych wielokrotnie jeździliśmy do Grecji i Bułgarii, ale ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu jaskini o podobnej nazwie nie znaleźliśmy. Pytaliśmy wieśniaków, ale oni albo kojarzyli tę nazwę z Turkami, albo nigdy o niej nie słyszeli. Badania kartograficzne prowadziliśmy przez całe lata, ale nie znaleźliśmy mapy regionu, na której taka nazwa by występowała. Albo z powodu nieuwagi, albo celowo - w każdym razie na papierze ta jaskinia nie istnieje.

- Może zatem właściwy wniosek jest taki - skwitowała Gabriella - że Clematis się pomylił, a jaskini po prostu nie ma.

- Nieprawda - odpowiedź doktor Seraphiny padła natychmiast, jasno dowodząc namiętności naszej nauczycielki względem przedmiotu zainteresowania - więzienie zbuntowanych aniołów istnieje. W tej kwestii bez wahania położyłam na szali moją karierę.

- To znaczy, że musi być sposób, żeby ją odnaleźć - dodałam. Doskonale rozumiałam, jak bardzo Valkowie pragną wreszcie rozwiązać tę zagadkę. - Trzeba przeanalizować sprawozdanie Clematisa.

- To - odparła Seraphina, znów podchodząc do szafy - zadanie na później. Najpierw musicie skończyć najpilniejszą pracę.

Otworzyłam podaną mi księgę, ciekawa jej zawartości. Odczuwałam ogromną satysfakcję na myśl o tym, że w pełni zgadzałam się z doktor Seraphina, a Gabriella, która zwykle zbierała od niej pochwały, weszła z nią w spór. Tymczasem ku mojemu zdumieniu Gabriella wydawała się zupełnie tym niewzruszona. W rzeczy samej wyglądała tak, jakby rozmyślała o czymś innym. Zrozumiałam, że tylko mnie pochłaniało poczucie rywalizacji; ona nie miała potrzeby udowadniać swojej wartości.

Widząc, jak się niecierpliwie, żeby zasiąść do materiałów, Seraphina wstała.

- Zostawię was, żebyście mogli spokojnie popracować - rzekła. - Być może znajdziecie coś, czego nie zauważyłam. Wielokrotnie przekonałam się, że te teksty albo ukazują swoje najgłębsze znaczenie, albo milczą jak zakłete. Wszystko zależy od wrażliwości czytelnika. Umysł i duch dojrzewają na swój sposób, w swoim tempie. Gdy rozbrzmiewa piękna muzyka, nie wszyscy ją słyszą.

\*

Już w pierwszych dniach studiów wykształciłam nawyk wcześniejszego przychodzenia na wykłady Valków - chciałam zdążyć przed tłumem, żeby zająć miejsce. Zajęcia odbywały się w niewielkiej kaplicy wzniesionej na fortyfikacjach rzymskiej świątyni, o grubych, wapiennych murach, które zdawały się wyrastać z położonych niżej kamieniołomów. Sufit z kruszącej się cegły wspierał się na drewnianych belkach, tak rozklekotanych, że kiedy nasilał się ruch uliczny, obawiałam się, że od hałasu budynek skruszeje i zginiemy pod zwaliskiem.

Usiadłyśmy z Gabriella z tyłu. Doktor Seraphina ułożyła notatki i zaczęła wykład.

- Dziś podzielę się z wami opowieścią, którą większość zna w takiej czy innej formie. To, o czym traktuje, jest zasadniczym przekazem naszej dyscypliny. Centralna pozycja tej historii w dziejach pozostaje niekwestionowana, a jej poetyckie piękno - bezsporne.



Powiada się, że przed potopem niebiosa zesłały na ziemię dwa zastępy po dwieście aniołów, zwanych czuwającymi, które miały sprawdzić, jak toczy się życie w świecie stworzonym. Wedle wszelkich doniesień przywódcą jednego z zastępów był Szemihaza - piękna, imponująca postać, ideał cech anielskich. Miał wszystkie cechy wyznaczające niebiańską doskonałość: skórę białą jak kreda, blade oczy i złote włosy. Przeprowadziwszy dwieście aniołów przez sklepienie niebios, Szemihaza postanowił odpocząć w świecie materialnym. Do aniołów, którzy znaleźli się pod jego wodzą, należeli między innymi: Urakiba, Ramiel, Ta-miel, Ramiel, Daniel, Ezeziel, Barakiel, Asael, Armaros, Batriel, Ananiel, Zakiel, Samsawiel, Sartael, Turiel, Jomiel, Kokabiel, Araziel, Samsiel i Sariel<sup>11</sup>.

Aniołowie zamieszkali pośród dzieci Adama i Ewy, nierozpoznani żyli w cieniu, szukali kryjówek w górach i wszędzie tam, gdzie ludzie nie mogli ich znaleźć. Wędrowali z miejsca na miejsce, podążając za ludźmi. Tak właśnie trafili na zasiedlone tereny wzdłuż Gangesu, Nilu, Jordanu i Amazonki. Trzymali się na obrzeżach ludzkiej aktywności, uważnie obserwując ziemskie zwyczaje.

Pewnego popołudnia, a było to w erze Jarema, kiedy czuwający przebywali na górze Hermon, Szemihaza ujrzał kobietę, która kąpała się w jeziorze, otulona jedynie puklami brązowych włosów. Zawołał czuwających i wraz z nimi przyglądał jej się ze szczytu góry. W doktrynie przeważa pogląd, że właśnie wtedy Szemihaza zasugerował czuwającym, aby wybrali sobie żony spośród ludzkich kobiet.

Ledwie jednak Szemihaza podzielił się z towarzyszami tym pomysłem, ogarnął go niepokój. Był świadkiem upadku zbuntowanych aniołów i wiedział, że nie uniknie kary, a jednak powtórzył swój zamiar. „Chodźmy, wybierzmy sobie żony z córek ludzkich i spłodźmy sobie dzieci. [Ale] obawiam się, że może nie zechcecie tego zrobić i że tylko ja sam poniosę karę za ten wielki grzech”<sup>12\*</sup>.

Czuwający zawarli z Szemihazą pakt - poprzysięgli poddać się karze razem ze swoim przywódcą. Wiedzieli, że nie wolno im wiązać się z kobietami i że zawierając porozumienie, gwałcą wszelkie prawa w niebie i na ziemi. Czuwający zeszli z góry Hermon i ukazali się ludzkim kobietom. Kobiety wzięły te niespotykane istoty za mężów i wkrótce stały się brzemiennie. Niebawem przyszli na świat potomkowie czuwających i ich żon. Nazwano ich nefilimami.

Czuwający przyglądali się, jak ich dzieci rosną. Widzieli, że różnią się od swoich matek, ale także i od aniołów. Ich córki były wyższe i bardziej wytworne od ludzkich kobiet; miały intuicję i zdolności telepatyczne; były anielsko piękne. Synowie byli wyżsi i silniejsi od innych chłopców, potrafili sprytnie argumentować i zostali obdarzeni inteligencją świata duchowego. Czuwający zgromadzili swoich synów i ofiarowali im w darze naukę sztuki wojennej. Pokazali im, jak obchodzić się z ogniem - jak go rozpalać i podtrzymywać, jak go ujarzmić i wykorzystać do gotowania potraw i ogrzania się. Dar czuwających był tak cenny, że wkrótce powstały mity o jego przekazaniu, najsłynniejszy jest chyba ten o Prometeuszu. Czuwający nauczyli synów obróbki metalu - sztuki, którą aniołowie udoskonali, ale którą nigdy wcześniej nie podzielili się z ludźmi. Przekazali synom umiejętność wyrabiania bransolet, pierścieni i naszyjników z cennych metali. Rozpoczęto więc wydobywanie z ziemi złota i kamieni szlachetnych - polerowano je i ozdabiano nimi przedmioty, przypisując im następnie wartość. Nefilimowie bogacili się, gromadząc złoto i plony.

Córki nauczyły się od rodziców używania barwników do farbowania tkanin, od nich też dowiedziały się, jak malować oczy mieniącymi się, sproszkowanymi minerałami. Były coraz piękniejsze i wywoływały zazdrość ludzkich kobiet.

Czuwający pokazali dzieciom, jak wytwarzać narzędzia, dzięki którym stały się silniejsze od ludzi, nauczyli je topić metal i wyrabiać z niego miecze, sztylety, tarcze, napierśniki i groty strzał. Nefilimowie w lot pojęli, że narzędzia wprost przekładają się na ich siłę, więc gromadzili w kryjówekach doskonałą, ostrą broń. Polowali i przechowywali mięso. Strzegli swoich dóbr siłą.

Czuwający przekazali dzieciom wiele innych darów. Zonom i córkom powierzyli sekrety, przy których bladło nawet podarowanie ognia i wprowadzenie w tajniki metalurgii. Zebrali kobiety i wyprowadzili je z miasta w góry, a tam zapoznali je z rzucaniem uroków i leczniczym zastosowaniem ziół. Przekazali im w darze wiedzę o magii i nauczyli systemu symboli do zapisywania zaklęć. Wkrótce kobiety zaczęły wymieniać się zapisanymi zwojami. O ile wcześniej były skazane na łaskę silniejszych mężczyzn, naraz stały się od nich potężniejsze i bardziej niebezpieczne.

Czuwający powierzali żonom i córkom kolejne niebiańskie sekrety:

Barakiel przekazał im wiedzę o astrologii,  
Kokabiel - o wrózeniu z konstelacji gwiazdnych,  
Ezeziel pouczył je o chmurach,  
Arakiel - o znakach na ziemi,  
Samsiel nauczył je dróg słońca,  
Sariel - dróg księżyca,  
Armaros zaś - zdejmowania zaklęć.

Posiadłszy te dary, nefilimowie zaczęli organizować się w plemiona, zbroić się, kontrolować ziemie i bogactwa. Doskonali sztukę wojenną i poszerzali swoją władzę nad ludźmi. Uważali się za panów świata, podbijali coraz większe tereny, zakładali własne królestwa. Brali ludzi w niewolę, wystawiali kolejne armie pod nowymi flagami. Wprowadzili

<sup>11</sup>Tłumaczenie imion aniołów za: 1 Hen 6,7 w: R. Rubinkiewicz (opr), Apokryfy Starego Testamentu, Vocatio, Warszawa 1999, s.145

<sup>12</sup>HenEt 6, 2-3, tłum. R. Rubinkiewicz, w: R. Rubinkiewicz, op. cit., s. 145

hierarchie: dzielili ludzi na żołnierzy, kupców i robotników, którzy mieli im służyć. Ogarnięci żądzą władzy, znając odwieczne tajemnice, nefilimowie zdominowali rodzaj ludzki.

Zaprowadzili na ziemi swoje rządy, nękali i mordowali ludzi, którzy wreszcie zwrócili się o pomoc do niebios. Tymczasem od chwili gdy czuwający zeszli na ziemię, ich poczynania śledzili archaniołowie Michał, Uriel, Rafael i Gabriel<sup>13</sup>.

Posłani na ziemię archaniołowie stanęli do walki z czuwającymi, otoczyli ich kręgiem ognia. Rozbroili swoich braci. Związali ich i wtrącili do odległej, opuszczonej jaskini wysoko w górach - skutym ciężkimi kajdanami kazali zejść z krawędzi przepaści w dół. Aniołowie wpadli do ciemnego lochu przez szczelinę w skorupie ziemi - spadali głębiej i głębiej, aż znaleźli się na dnie jaskini. Z głębin skowytali z żalu za utraconym powietrzem, światłem i wolnością. Oddzieleni od nieba i od ziemi, oczekując dnia uwolnienia, modlili się o wybaczenie niebios. Wzywali dzieci na ratunek. Bóg nie ulitował się nad nimi. Nefilimowie nie przyszli.

Archanioł Gabriel, posłaniec dobrych wieści, nie mógł znieść udręki czuwających. Powodowany litością, rzucił upadłym braciom swoją lirę, aby muzyka choć trochę ulżyła ich cierpieniu. Ale gdy tylko lira upadła na dno jaskini, Gabriel zrozumiał swój błąd: dźwięki liry miały wielką, kusicielską moc. Czuwający mogli wykorzystać je do swoich niecznych celów.

Z czasem granitowe więzienie czuwających zyskało nazwę zaświatów, krainy zmarłych, do której wyprawiali się śmiałkowie w poszukiwaniu wiecznego życia i mądrości. Tartar, Hades, Kurnugia<sup>14</sup>, Annwn<sup>15</sup>, piekło - miejsce to obrastało legendami, gdy przykuci do skał czuwający nie ustawiali w błaganiach o ratunek. Do dziś z głębin ziemi wzywają pomocy.

Od dawien dawna wysuwa się domysły, dlaczego nefilimowie nie ocalili swoich ojców. Z pewnością w towarzystwie czuwających byłiby silniejsi, a gdyby mogli ich uwolnić, niemal na pewno by to zrobili. Do dziś nie wiadomo też, gdzie znajduje się więzienie czuwających. I właśnie ta tajemnica dała początek naszej pracy.

Doktor Seraphina była wprawnym mówcą, miała nadzwyczajną umiejętność przystępnego przekazywania wiedzy studentom pierwszego roku - podobny dar mieli tylko nieliczni wykładowcy. Prowadzenie zajęć wyczerpywało ją i po godzinie wykładów często wyglądała na wycieńzoną; tym razem było podobnie. Podniosła wzrok znad notatek i zarządziła krótką przerwę. Gabriella skinęła, żebym poszła za nią - wyszliśmy z kaplicy bocznym wyjściem, przeszliśmy kilkoma wąskimi korytarzami i skierowałyśmy się na pusty dziedziniec. Zapadł zmrok, ciepły, jesienny wieczór rzucał cień na płyty chodnika. Nad podwórcem górował rozłożysty buk o dziwnie nakrapianej, jakby trędownej korze. Bywało tak, że zajęcia Valków ciągnęły się godzinami, często aż do nocy, więc z przyjemnością oddychałam świeżym powietrzem. Chciałam spytać Gabriellę, co sądzi o wykładzie - tak właśnie się zaprzyjaźniłyśmy, prowadząc podobne rozmowy - ale zerknęłam na nią i wiedziałam, że nie jest w nastroju do pogawędki.

Z kieszeni płaszcza wyjęła papierośnicę i poczęstowała mnie. Odmówiłam jak zawsze, a ona tylko wzruszyła ramionami. Dobrze znałam ten gest - był to drobny, beztroski przytyk, wyraz dezaprobaty dla mojej niezdolności cieszenia się małymi przyjemnościami życia. Celestine naif- taki był jego przekaz - Celestine, prowincjuszka. Ledwie dostrzegalne lekceważenie i milczenie Gabrielli były dla mnie jasnymi komunikatami, dlatego zawsze uważnie obserwowałam swoją przyjaciółkę, wiedziałam, w co była ubrana, co czytała, jak miała upięte włosy. Od kilku tygodni wyjątkowo starannie dobierała garderobę i nosiła się odważnie. Zawsze malowała się w charakterystyczny sposób, ale teraz jej makijaż stał się ciemniejszy i bardziej wyraźny. To, co widziałam poprzedniego ranka, sugerowało powód tych zmian, ale i tak byłam wyczulona na jej sposób zachowania. Mimo wszystko podziwiałam ją, tak jak się podziwia starszą siostrę.

Gabriella przypaliła papierosa piękną, złotą zapalniczką i głęboko się zaciągnęła, jakby demonstrując, co tracę.

- Piękna - powiedziałam, wyjmując zapalniczkę z jej dłoni. Kiedy obracałam ją w palcach, złoto połyskiwało w różowym wieczornym świetle. Z boku wygrawerowano inicjały RG. Kusiło mnie, żeby spytać Gabriellę, co oznaczają i jak to się stało, że ma w posiadaniu tak drogi przedmiot, ale się powstrzymałam. Gabriella zbywała mnie, nawet gdy zadawałam zupełnie błahе pytania. Choć od roku widywałyśmy się codziennie, na temat życia prywatnego prawie nie rozmawiałyśmy. Postanowiłam więc tylko stwierdzić fakt. - Pierwszy raz ją widzę.

- To przyjaciela - odpowiedziała, nie patrząc mi w oczy. Wiedziałam, że poza mną nie ma przyjaciół. Ze mną jadła, ze mną się uczyła, a jeśli akurat byłam zajęta, wybierała samotność zamiast nawiązywania nowych przyjaźni - od razu więc domyśliłam się, że należała do jej kochanka. Gabriella z pewnością dostrzegła, że jej zagadkowość wzmacnia moje zainteresowanie. Nie mogłam się powstrzymać, zadałam pytanie wprost:

- Którego? Pytam, bo ostatnio coś jakby odrywało cię od pracy.  
- Angelologia to nie tylko studiowanie starych ksiąg - rzuciła. Nagana w jej oczach sugerowała, że moje podejście do naszych szkolnych obowiązków było dalece ułomne. - Oddałam się tej pracy bez reszty.

<sup>13</sup> Zgodnie z HenEt 9,1 byli to: Michał, Gabriel, Suriel i Uriel.

<sup>14</sup> Piekło w mitologii babilońskiej.

<sup>15</sup> Kraina zmarłych w mitologii celtyckiej.

- No to powiedz - wypaliłam, nie mogąc już maskować uczuć - czy nie mam racji, że ostatnio coś innego zaprzęta twoją uwagę?

- Nie masz bladego pojęcia o siłach, które mają nade mną władzę. - Gabriella chciała odpowiedzieć mi ze swoją typową arogancją, ale wyczułam w jej tonie nutę desperacji. Moje pytanie zdumiało ją i zraniło.

- Wiem więcej, niż ci się wydaje - skwitowałam w nadziei, że bezpośrednia konfrontacja skłoni ją do wyznania tajemnicy. Nigdy wcześniej nie odezwałam się do niej tak ostrym tonem. Jeszcze zanim wypowiedziałam te słowa, wiedziałam, że popełnię błąd, ale nie mogłam się powstrzymać.

Gabriella zabrała mi zapalniczkę, schowała ją do kieszeni, rzuciła niedopałek na chodnik i odeszła.

Wróciłam do kaplicy, na miejsce obok Gabrielli. Zajęła dla mnie krzesło, kładąc na nim płaszcz, ale kiedy usiadłam, nawet na mnie nie spojrzała. Ja za to zobaczyłam, że płakała - łzy rozmazały jej kreski wokół oczu. Chciałam z nią pomówić, chciałam, żeby otworzyła przede mną serce, chciałam jej pomóc wyplątać się z błędnych decyzji. Ale nie było czasu na rozmowę. Doktor Raphael Valko już zajął miejsce żony na podium, rozkładał notatki, przygotowywał się do poprowadzenia kolejnej części wykładu. Położyłam rękę na jej ramieniu i uśmiechnęłam się przepraszająco. Mój gest spotkał się z wrogością. Gabriella odsunęła się, nie patrząc na mnie. Oparła się na twardym, drewnianym krześle, założyła nogę na nogę i czekała, aż Raphael zacznie mówić.

Już w pierwszych miesiącach studiów przekonałam się, że pod względem opinii na temat wykładów Valków słuchacze dzielili się na dwa przeciwne obozy. Większość absolutnie ich uwielbiała. Podziwiała ich błyskotliwość, nadzwyczajną wiedzę i podejście pedagogiczne - spijała słowa z ich ust. Do tej grupy należałam ja. Na pozostałych, będących w zdecydowanej mniejszości, profesorowie nie robili wrażenia. Ci nieliczni studenci uważali ich metody za podejrzane, a wspólnie prowadzone wykłady - za pretensjonalne. Gabrielli nie sposób było zaliczyć do żadnej z tych grup, ale choć nigdy nie zdradziła, co sądzi o małżeństwie wykładowców, to podejrzewałam, że patrzy na nich krytycznie, jak jej sceptyczny wuj podczas narady w Ateneum. Valkowie byli outsiderami, którzy dzięki ciężkiej pracy pięli się coraz wyżej w hierarchii akademickiej; Gabriella od początku była w szkole kimś ze względu na rodzinne koneksje. Często słuchałam jej opinii na temat różnych wykładowców i wiedziałam, że nie podziela poglądów Valków.

Raphael zastukał w pulpit, żeby uciszyć zebranych, i zaczął wykład: - Geneza pierwszego kataklizmu anielskiego do dziś wywołuje kontrowersje. Tylko w naszych zbiorach znalazłem wśród rozmaitych relacji z tej walki aż trzydzieści dziewięć sprzecznych teorii na temat jej początku i końca. Wiecie zapewne, że metody naukowe, za pomocą których analizujemy podobne wydarzenia historyczne, z czasem zmieniły się, ewoluowały - choć niektórzy powiedzieliby pewnie, że nie była to ewolucja, ale inwolucja. W każdym razie prawda jest taka, że na przestrzeni lat modyfikowaliśmy z żoną również nasze metody, aby objąć różne perspektywy historyczne. Nasz sposób odczytywania tekstów i tworzenie opowieści na podstawie fragmentów materiałów odzwierciedlają nasz zasadniczy cel. Wy, przyszli naukowcy, wysnujecie własne teorie na temat pierwszego kataklizmu. Jeśli ziści się nasz zamysł, to zasiejemy w was ziarno wątpliwości, które inspiruje indywidualne, oryginalne badania. Słuchajcie uważnie. Wierzcie i wątpcie, przyjmujcie i odrzucajcie, zapisujcie i doszukujcie się błędów we wszystkim, co dziś usłyszycie. Tylko w ten sposób zapewnicie angelologii przyszłość.

Doktor Raphael sięgnął po oprawiony w skórę tom. Otworzył go i zaczął czytać, jednostajnym, poważnym tonem.

- Wysoko w górach, chroniąc się przed deszczem pod występem skalnym, zebrali się nefilimowie, by błagać o przewodnictwo córki Sze-mihazy i synów Azazela, którzy władali społecznością po wtrąceniu czuwających do podziemnego więzienia. Najstarszy syn Azazela wystąpił naprzód i zwrócił się do niezliczonej rzeszy zebranych w dolinie poniżej jasnokórych olbrzymów.

Powiedział im: „Mój ojciec nauczył nas tajników sztuki wojennej. Pokazał, jak posługiwać się mieczem i nożem, jak wyrabiać groty strzał, jak zastawiać zasadzki na nieprzyjaciół. Nie nauczył nas jednak, jak obronić się przed niebiosami. Niebawem ze wszystkich stron otoczy nas woda. Jesteśmy silni i jest nas wielu, ale nie uda nam się zbudować takiej arki, jak Noemu. Nie możemy też napaść na niego i odebrać mu łodzi. Nad nim i jego rodziną czuwają archaniołowie”.

Powszechnie wiadomo było, że Noe ma trzech synów i że wybrano ich do pomocy przy budowie arki. Syn Azazela oznajmił, że uda się na brzeg morza, z którego Noe wprowadzał do łodzi zwierzęta i ładował rośliny, i znajdzie sposób, aby zakraść się do środka. Zabrał ze sobą najpotężniejszą czarownicę, najstarszą córkę Szemihazy, a opuszczając nefilimów, powiedział: „Bracia i siostry, pozostaniecie tutaj, na najwyższym szczycie. Może woda nie dojdzie aż tak wysoko”.

Syn Azazela i córka Szemihazy szli w strugach deszczu górską ścieżką nad urwiskiem, aż dotarli na brzeg. Nad Morzem Czarnym panował chaos. Noe od wielu miesięcy ostrzegał, że zbliża się potop, ale jego ziomkowie pozostali głusi na przestrogi. W najlepsze ucztowali, tańczyli, spali, radowali się, pomimo widma rychłej zagłady. Naśmiewali się z Noego, przystawali obok arki i szydzili, kiedy dźwigała na pokład jedzenie i wodę.

Przez kilka dni syn Azazela i córka Szemihazy obserwowali synów Noego. Sem, Cham i Jafet bardzo się od siebie różnili. Sem, najstarszy, miał ciemne włosy i zielone oczy, był elegancki i wymowny; Cham miał ciemniejszą karnację od Sema, wielkie, brązowe oczy, nadzwyczajną siłę i rozsądek; błąd Jafet o blond włosach i błękitnych oczach był najdelikatniejszym i najszczuplejszym z braci. Sem i Cham bez wysiłku ładowali do arki zwierzęta, worki z jedzeniem i beczki wody; Jafet pracował powoli. Wszyscy bracia byli od dawna żonaci i dali Noemu gromadkę wnuków.

Córka Szemihazy uznała, że najbardziej zbliżony wyglądem do nefilimów jest Jafet i że to właśnie jego powinien wybrać jej towarzysza. Czekali i obserwowali go przez wiele dni, aż wreszcie ostatnie zwierzęta zostały zamknięte w arce. Syn Azazela zakradł się w pobliże łodzi. Skrył się w jej potężnym cieniu i zaczął nawoływać Jafeta.

Najmłodszy syn Noego wychylił się z arki, blond loki opadły mu na oczy. Syn Azazela poprosił go, aby się z nim oddalił ścieżką wiodącą w głąb lasu. Archaniołowie strzegli dziobu i rufy arki i wypełniając wolę Boga, sprawdzali każdy przedmiot, który wnoszono na łódź lub z niej znoszono - byli tak zajęci, że nie zauważyli, kiedy Jafet zszedł na brzeg i podążył za jaśniejącą postacią.

Jafet szedł za synem Azazela coraz głębiej i głębiej w las. Zaczął padać deszcz, ciężkie krople uderzały w korony drzew, rozbrzmiewając echem głośnym jak grzmot. Jafetowi brakło tchu, ale wreszcie dogonił nieznajomego. Zdyszany, wykrztusił: „Czego ode mnie chcesz?”

Syn Azazela nie odpowiedział. Złapał syna Noego za szyję i zacisnął palce, aż poczuł, jak w gardle ofiary kruszą się kości. Właśnie w owej chwili, jeszcze zanim potop zgładził wszystkie nieboskie istoty, boski plan oczyszczenia świata się nie powiódł. Rasa nefilimów zapewniła sobie przetrwanie, nastał nowy świat.

Z lasu wyłoniła się córka Szemihazy. Położyła ręce na twarzy syna Azazela. Dobrze pamiętała zaklęcia, których nauczył ją ojciec. Jej dotyk przeobraził syna Azazela: świetlistość przygasła, zbladły anielskie cechy. Kiedy zaś wyszeptala mu coś do ucha, przybrał postać Jafeta. Przeobrażenie odjęło mu siły, pokuśtykał z powrotem przez las do arki.

Zonie Noego wystarczyło zerknąć na syna, żeby wiedzieć, że zaszła w nim zmiana. Miał tę samą twarz, tę samą postawę, ale w jego zachowaniu było coś niepokojącego, więc spytała go, gdzie był i co mu się stało. On nie potrafił mówić ludzkim językiem - milczał, co tylko spotęgowało strach matki. Posłała po żonę Jafeta, która знаła swego męża od dzieciństwa. Ona także coś wyczuła, ale ponieważ wyglądał tak samo jak człowiek, którego poślubiła, nie mogła określić, co się w nim zmieniło. Dzieci Jafeta wzdrygały się przed nim, bały się go. A jednak Jafet pozostał w arce, kiedy nadciągnęły ulewne deszcze. Był siedemnasty dzień drugiego miesiąca. Zaczął się potop.

Deszcz padał na doliny, miasta i arkę. Woda zalała podnóża gór, wkrótce podniosła się aż po szczyty. Nefilimowie patrzyli, jak jej poziom rośnie i rośnie, wreszcie przestali widzieć suchy ląd. Przerazone gepardy i lamparty próbowały utrzymać się na drzewach, echo niesło potworny skowyt zdychających wilków. Na samotnym wzgórzu stała żyrafa, woda powoli zakrywała jej ciało, a ona wyciągała nos wyżej i wyżej, aż wreszcie cała się zanurzyła. Na powierzchni unosiły się ciała ludzi, zwierząt i nefilimów - niesione na falach gniły i opadały na dno. Kępy włosów i strzępy zwłok rozбивały się o dziób arki, unosiły się i opadały w wodnistej zupie.

Arka dryfowała aż do siedemdziesiątego siódmego dnia drugiego miesiąca następnego roku, w sumie przez trzysta siedemdziesiąt dni. Przez cały ten czas rodzina Noego i syn Azazela nie widzieli niczego poza śmiercionośną, bezkresną wodą, nieustannie padającym deszczem i kołyszącymi się falami - jak okiem sięgnąć, wszędzie była woda, woda, woda, bezbrzeżny, odarty z trwałości świat. Potop trwał tak długo, że w arce wyczerpano zapas wina i zbóż; żywno się kurzymi jajami i pito wodę.

Kiedy wreszcie łódź osiadła na mieliźnie, a wody ustąpiły, rodzina Noego uwolniła zwierzęta z brzuszyska arki i posiała przechowywane w workach ziarna. Wkrótce synowie Noego zaczęli zaludniać świat. Pomagali im archaniołowie działający z polecenia Boga, obdarowując zwierzęta, glebę i kobiety nadzwyczajną płodnością. Zboża rosły, korzystając z obfitości słońca i deszczu, zwierzęta miały dość pożywienia, kobiety nie umierały przy porodach. Wszystko rosło, nic nie ginęło. Świat otrzymał nowy początek.

Synowie Noego brali ten nowy świat we władanie. Zostali patriarchami, założycielami rodzaju ludzkiego. Zawędrowali w najdalsze zakątki ziemi, ustanowili najważniejsze dynastie. Sem, najstarszy syn Noego, zawędrował na Bliski Wschód i założył plemiona semickie; Cham, drugi syn Noego, dotarł na tereny położone pod równikiem, do Afryki i dał początek szczepom chamickim. Jafet, a raczej istota podszywająca się pod Jafeta, zajął obszar między Morzem Śródziemnym i Atlantykiem, i stał się założycielem obszaru, który później nazwano Europą. Od tamtej pory trawi nas plaga potomstwa Jafeta. Jako Europejczycy musimy zastanowić się nad własnym pochodzeniem. Czy uniknęliśmy skażenia pierwiastkiem diabelskim, czy też jesteśmy w jakiś sposób powiązani z dziećmi Jafeta?

Wykład gwałtownie się urwał. Raphael skończył mówić, zamknął notatnik i zaprosił nas na kolejne zajęcia. Już wcześniej poznałam tę metodę: nasz wykładowca celowo kończył w najciekawszym momencie, zostawiając studentów głodnych wiedzy. Zaliczywszy jego wykłady na pierwszym roku studiów - wszystkie co do jednego - nabrałam szacunku dla tego narzędzia pedagogicznego. Salę wypełniły odgłosy szelestu papieru i szurania nóg - grupki studentów zbierały się, żeby iść coś przekąsić albo się pouczyć. Ja też zaczęłam pakować swoje rzeczy. Wykłady Valków wprowadzały mnie w swoisty trans, a trudno mi było wrócić do rzeczywistości pośród grupy w większości nieznajomych mi osób. Pocieszeniem była obecność przyjaciółki. Chciałam ją spytać, czy pójdziemy razem do domu coś ugotować.

Zerknęłam na Gabriellę i zamarłam. Jej wygląd zupełnie się zmienił. Miała przepocone włosy, bladą, lepką skórę. Czarne obwódki oczu - element makijażu, który zaczęłam uważać za jej chorobliwy znak rozpoznawczy - rozmazały się jeszcze bardziej, choć nie wiedziałam, czy od łez, czy potu. Wpatrywała się gdzieś przed siebie, ale jej wielkie, zielone oczy zdawały się niczego nie widzieć. Wyglądała przerażająco jak ofiara zaawansowanej gruźlicy. Dopiero po chwili dostrzegłam krwawe poparzenie na jej przedramieniu i trzymaną kurczowo piękną, złotą zapalniczkę. Chciałam coś powiedzieć, spytać, czemu tak się zachowuje, ale odwrócił mnie od tego wyraz jej twarzy. Z jej oczu były siła i

determinacja, których ja w sobie nie miałam. Wiedziałam, że Gabriella niczego mi nie zdradzi, jakkolwiek mroczne i straszliwe były jej sekrety. Z zupełnie niepojętego powodu ta myśl jednocześnie pokrzepiła mnie i przeraziła.

Nieco później, już w mieszkaniu, Gabriella usiadła w kuchni. Przed nią na stole leżały nożyczki i bandaże. Podeszłam, sądząc, że trzeba jej pomóc. W jasnym świetle poparzenie wyglądało makabrycznie - skóra szerniała od płomienia i pokryła się przezroczystą wydzieliną. Ranę trzeba była opatrzyć, więc zaczęłam rozwijać bandaże.

Gabriella zabrała mi go i powiedziała:

- Dziękuję, sama sobie poradzę.

Wzięła bandaże i próbowała owinąć ranę. Byłam zawiedziona. Przyglądałam jej się przez chwilę, wreszcie spytałam:

- Czemuś to zrobiła? Co ci jest?

Gabriella uśmiechnęła się, jakbym powiedziała coś zabawnego. Przez chwilę myślałam nawet, że się roześmieje. Ale opatrując ranę, rzuciła tylko:

- Nie rozumiałabyś, Celestine. Jesteś zbyt dobra, zbyt czysta, żeby pojąć, co mi jest.

\*

Mijały dni, a im bardziej próbowałam zrozumieć, co się dzieje z Gabriellą, tym bardziej stawała się tajemnicza. Zaczęła spędzać noce poza domem, a ja siedziałam w mieszkaniu przy rue Gassendi i zastanawiałam się, gdzie jest i czy jest bezpieczna. Pojawiała się tylko pod moją nieobecność - orientowałam się, że była, po zostawionych albo wyjętych z szafy ubraniach. A to znalazłam kieliszek z odcisniętą czerwoną szminką, a to kosmyk czarnych włosów na szczotce, a to czułam pozostawiony na ubraniach zapach shalimaru. Wiedziałam, że Gabriella mnie unika. Widywałam ją tylko za dnia, kiedy pracowałyśmy razem w Ateneum, wśród pudeł notatników i dokumentów, ale nawet wtedy wydawało mi się, że wcale jej tam nie ma.

Co gorsza, miałam powody sądzić, że podczas mojej nieobecności przegląda moje materiały, czyta notatki i sprawdza, na czym skończyłam lekturę przydzielonych nam książek, jakby szacowała postęp moich prac i porównywała go z własnym. Była zbyt sprytna, żeby zostawić po sobie ślad, i nigdy nie znalazłam dowodu, że buszowała w moim pokoju, niemniej zaczęłam uważać na to, co zostawiam na biurku. Choć powierzona nam pracę traktowała z pozorną niefrasobliwą obojętnością, to nie miałam złudzeń, że znalazłszy coś, co mogłoby się jej przydać, posunęłaby się nawet do kradzieży.

Czas płynął, a ja zaczynałam zatracać się w rutynie obowiązków. Początkowo praca była żmudna, ograniczała się właściwie do czytania zapisków i przygotowywania sprawozdań o potencjalnie użytecznych informacjach. Gabrielli przydzielono zadania zgodne z jej zainteresowaniami - analizowała mitologiczne i historyczne aspekty angelologii, mnie natomiast powierzono klasyfikowanie jaskiń i wąwozów w celu ustalenia lokalizacji liry.

Pewnego październikowego popołudnia pracowałyśmy w gabinecie. Gabriella siedziała naprzeciwko mnie, na twarz opadały jej czarne pukle. W jednej ze skrzyń znalazłam notatnik, który mocno mnie zaniepokoił. Okładkę spajał skórzany pasek ze złotą sprzączką. Dopiero kiedy lepiej jej się przyjrzałam, dostrzegłam, że klamerka ma kształt anioła nie większego od małego palca. Figurka była długa i wąska, anioł miał dwa szafiry zamiast oczu, zwiewną tunikę i skrzydła w kształcie sierpa. Musnęłam palcami chłodny metal. Nacisnęłam skrzydła, poczułam opór, a po chwili rozległ się przyjemny zgrzyt zapadki. Otworzyłam notes na kolanach i wygładziłam strony. Zerknęłam ukradkiem na Gabriellę, ale na szczęście była tak pochłonięta lekturą, że nie zwróciła uwagi na znaleziony przeze mnie piękny zeszytek.

Od razu wiedziałam, że to jeden z notatników, o których wspomniała doktor Seraphina - z późniejszych lat studiów, w których ogrom wiedzy ujęty jest w formę zwięzłego elementarza. Ten jednak zawierał znacznie więcej niż notatki z wykładów. Na pierwszej stronie widniała złota pieczęć z napisem „angelologia”. Kolejne gęsto zapisane strony zawierały notatki, domysły i pytania odnotowane albo podczas wykładów, albo przy okazji powtórek do egzaminów. Czytając zapiski, odkryłam kielkujące już wówczas zamiłowanie doktor Seraphiny do geologii przedpotopowej: starannie wyrysowała mapy Grecji, Macedonii, Bułgarii i Turcji, jakby śledziła kontury granic każdego kraju, zaznaczyła góry i jeziora. Nazwy jaskiń, pasm górskich i wąwozów zapisała greką, łaciną i cyrylicą, w zależności od ich położenia. Marginesy były upstrzone drobnym pismem. Zrozumiałam, że szkice i notatki powstały z myślą o ekspedycji. Seraphina marzyła o drugiej wyprawie angelologicznej od czasu studiów. Ta świadomość była oszałamiająca: być może, kontynuując jej pracę, to ja rozwikłam zagadkę wyprawy Clematisa.

Na kolejnych stronach znalazłam szkice rozproszone niczym klejnoty między wąskimi kolumnami zdań: rysunki aureoli, trąbek, skrzydeł, harf i lir - bazgraninę rozmarzonej studentki na wykładach sprzed trzydziestu lat. Dalej były rysunki i cytaty z wczesnych dzieł angelologicznych. W połowie zeszytu trafiłam na kwadraty numeryczne, czy też magiczne, jak powszechnie je nazywano. Wpisane w nie liczby dawały tę samą sumę we wszystkich rzędach, kolumnach i po przekątnej: magiczną stałą. Miałam pewną wiedzę na ich temat - wiedziałam, że znano je w Persji, Indiach i Chinach i że najwcześniejsze takie tablice w Europie pojawiły się na miedziorytach Albrechta Dürera, artysty, którego dorobek nadzwyczaj podziwiałam, choć nigdy naprawdę go nie zgłębiłam.

Na jednej ze stron widniały słowa doktor Seraphiny, zapisane wyblakłym, czerwonym tuszem:

Jedną z najsłynniejszych, a zarazem najczęściej używanych do naszych celów, tablic jest kwadrat Sator Rotas, którego najstarszą wersję odnaleziono w Herkulanum, dzisiejszym Ercolano, włoskim mieście częściowo zniszczonym po wybuchu Wezuwiusza w 79 r. n.e. Sator Rotas to łaciński palindrom, akrostych, który można odczytać na wiele sposobów, tradycyjnie wykorzystywany w angelologii do wskazywania obecności schematów. Wbrew powszechnej opinii kwadrat nie jest kodem, lecz symbolem, który sygnalizuje angelologom występowanie większego, ważniejszego schematu w pobliżu. Niekiedy kwadrat oznacza, że w najbliższej okolicy coś jest ukryte - pismo, może wiadomość. Kwadraty magiczne odgrywały ważną rolę w ceremoniach religijnych, a ten nie jest wyjątkiem. Ich zastosowanie wywodzi się ze starożytności, nie stworzyła ich nasza grupa. Podobne tablice odnaleziono w Chinach, Arabii, Indiach i Europie, układał je nawet Benjamin Franklin w Stanach Zjednoczonych w XVIII wieku.

S	A	T	O	R
A	R	E	P	O
T	E	N	E	T
O	P	E	R	A
R	O	I	A	S

Na kolejnej stronie znajdował się kwadrat Marsa. Wpisane w nie; liczby niemal mnie zahipnotyzowały.

11	24	7	20	3
4	12	25	8	16
17	5	13	21	9
10	18	1	14	22
23	6	19	2	15

Pod spodem Seraphina zanotowała:

Sigil of Michael - Pieczęć Michała. Słowo „sigil” pochodzi od łacińskiego sigillum, które oznacza pieczęć, lub od hebrajskiego segulah - „świat mocy duchowej”. Podczas ceremonii każda pieczęć reprezentuje białą lub czarną istotę duchową lub, w wypadku spraw najważniejszych, wyższą hierarchię aniołów lub demonów, które może wezwać angelolog. Wezwanie następuje poprzez zastosowanie zaklęć i pieczęci i wyrażenie gotowości do życzliwej wymiany między duchem a wzywającym. Notabene: zaklęcia są wyjątkowo niebezpieczne, posługiwanie się nimi może spowodować śmierć medium i jest stosowane wyłącznie w ostateczności, gdy inne próby przywołania istot anielskich zawiodą.

Kolejną stronę wypełniały szkice rozmaitych instrumentów muzycznych - lutni, liry i przepięknej harfy - podobne do tych, które widziałam wcześniej. Niewiele wiedziałam o tych przedmiotach. Nie umiałam wyobrazić sobie ich dźwięku, nie znałam zapisów muzycznych. Byłam dobra w matematyce i generalnie w naukach ścisłych, na muzyce zupełnie się nie znałam. Muzykologia eteryczna, którą Władimir, angelolog z Rosji, znał tak dobrze, była dla mnie czymś kłopotliwie ulotnym, mój umysł nie pojmował tonacji i skal.

Tak pochłonęły mnie własne myśli, że dopiero po dłuższym czasie podniosłam głowę znad notesu. Przysiadła się do mnie Gabriella. Zajęła miejsce na leżance, podparła brodę rękami i apatycznie wodziła wzrokiem po stronach książki. Miała na sobie nowe ubranie: prążkowaną, ledwabną bluzkę i spodnie z szerokimi nogawkami, najpewniej szyte na miarę. Bandaż wystający spod jedwabnego rękawa na lewym ramieniu wciąż przypominał o incydencie, którego byłam świadkiem. Dziś Gabriella wydawała się kimś zupełnie innym od tej przerażonej dziewczyny, która zadała sobie ból.

Sprawdziłam, co czyta: Księgę Henocha. Bardzo chciałam podzielić się z nią moim odkryciem, ale Gabriella nie znośła, kiedy się jej przeszkadzało, więc zatrzaskałam złotą klamerkę notesu: przycisnęłam skrzydełka anioła, a one lekko trzasnęły. Postanowiłam choć trochę nadrobić katalogowanie. Zaplotłam warkocze – miałam długie, niesforne blond włosy, które zamierzałam obciąć na boba, tak jak Gabriella - i siadłam do żmudnego sortowania zgromadzonych przez Valków dokumentów.

Seraphina przychodziła do nas codziennie w południe, przynosiła w koszu lunch: pieczywo, sery, słoiczek musztardy i butelkę zimnej wody. Zwykle niecierpliwie jej wyczekiwałam, ale tego ranka byłam tak pochłonięta pracą, że zupełnie zapomniałam o przerwie, wręcz zdziwiłam się, gdy weszła do pokoju i postawiła kosz na stole. W minionych godzinach całkowicie skupiłam się na pozornie nieogarnionym zasobie wiadomości, zwłaszcza na notatkach z pierwszych wypraw Val-ków - relacjach z mozolnej przeprawy przez Pireneje, naszpikowanych wynikami pomiarów jaskiń i danymi na temat odcienia i gęstości granitu, obejmujących dziesięć dzienników podróży. Dopiero kiedy doktor Seraphina usiadła, oderwałam się od pracy i poczułam, jak bardzo zgłodniałam. Usiadłam wygodnie na leżance - moja gabardynowa spódnica ślizgała się na cynobrowej, jedwabnej tapicerce - i czekałam na lunch.

Seraphina zwróciła się do Gabrielli.

- Jakie postępy?

- Czytani relację Henoclia o czuwających - odpowiedziała Gabriella.

- No, tak, mogłam się domyślać, że akurat to cię zainteresuje. To jeden z naszych najciekawszych kanonicznych tekstów. I jeden z najdziwniejszych.

- To znaczy? - spytałam, zerkając na Gabriellę. Skoro Henoch był tak fascynujący, czemu Gabriella nic mi o tym nie powiedziała?

- Porywająca lektura - odpowiedziała Gabriella. Inteligencję miała wypisaną na twarzy - jakże ją podziwiałam! - Nie miałam pojęcia, że taka księga w ogóle istnieje.

- Kiedy ją napisano? - dociekałam, nieco zazdrosna, że Gabriella znów jest na przedzie. - To coś współczesnego?

- Nie. Apokryficzne prorocтво spisane przez bezpośredniego potomka Noego - odparła Gabriella. - Henoch opisuje, jak został wzięty do nieba i obcował z aniołami.

- W czasach współczesnych Księgę Henocha uznano za sensne wizje szalonego patriarchy - dodała Seraphina. - Dla nas jest podstawowym tekstem opisującym dzieje czuwających.

Podobną opowieść znalazłam w dzienniku naszej nauczycielki; zaczęłam się zastanawiać, czy chodzi o ten sam tekst. Seraphina jakby czytała w moich myślach:

- Przepisałam niektóre ustępy Henocha do notesu, który przeglądałaś. - Podniosła go i obróciła w dłoniach. - Z pewnością je przeczytałaś. Ale warto, żebyś zaznajomiła się z całością - Księga Henocha jest zawila i pełna pasjonujących opisów. A skoro o tym mowa, jest obowiązkową lekturą na zajęciach doktora Raphaela na trzecim roku. Tylko że nie wiadomo, czy w przyszłym roku w ogóle będą jakieś zajęcia.

Odezwała się Gabriella.

- Jeden fragment szczególnie zapadł mi w pamięć.

- Tak? - Seraphina wydawała się zachwycona. - Który? Gabriella wyrecytowała ustęp.

- „Ukazało mi się dwóch wielkich ludzi, jakich nigdy nie widziałem na ziemi. Ich twarze były jak jaśniejące słońce, ich oczy były jak płonące lampy; z ich ust wychodziło coś na kształt ognia; ich szaty były różnokolorowe; ich ramiona były jak złote skrzydła - u wezłowia mojego łoża” 16.

Policzki mi pokraśniały. Pokochałam Gabriellę za jej talent, ale teraz jej popis miał przeciwny efekt.

- Doskonale - pochwaliła doktor Seraphina. Była jednocześnie zadowolona i ostrożna. - Ale powiedz, czemu właśnie ten ustęp zrobił na tobie takie wrażenie?

- Bo te anioły to nie cheruby strzegące wrót niebios. Nie mają nic wspólnego z jaśniejącymi postaciami na renesansowych malowidłach. To straszliwe, przerażające istoty. Czytając Henocha, przekonałam się, że są niemal monstrialne. Mówiąc wprost, zaczęłam się ich bać.

Wpatrywałam się w Gabriellę z niedowierzaniem. Zerknęła na mnie i przez jedną chwilę czułam, że próbuje mi coś powiedzieć, ale nie może. Tak chciałam, żeby coś dodała, żeby wyjaśniła, o co jej chodzi, ale kiedy dotknęłam jej ręki, żeby ją do tego zachęcić, przeszła mnie lodowatym wzrokiem.

Doktor Seraphina przez chwilę zastanawiała się nad słowami Gabrielli, a mnie przeszło przez myśl, że może wie o mojej przyjaciółce więcej niż ja. Wstała, podeszła do szafy, otworzyła szufladę i wyjęła z niej miedziany cylinder. Założyła białe rękawiczki, przekręciła wieczko i wyjęła zwój. Rozłożyła go przed nami na stoliku do kawy, na krańcu zwoju położyła kryształowy przycisk do papieru z ołowianą podstawką. Drugi koniec przytrzymała długą, smukłą dłonią. Przyglądałam się uważnie, jak rozwija żółty, pomarszczony zwój.

Gabriella pochyliła się i go dotknęła.

- Henoch? - spytała.

- Kopia - sprostowała nasza nauczycielka. - W drugim wieku przed naszą erą krążyły setki takich rękopisów. Nasz główny archiwista mówi, że mamy kilka oryginałów - nieco się od siebie różnią, to nic nadzwyczajnego. Przystąpiliśmy do ich konserwacji, kiedy Watykan postanowił je zniszczyć. Ten egzemplarz nie ma takiej wartości, jak te w krypcie.

Zwój był wykonany z grubego, twardego jak skóra papieru, w nagłówku miał łaciński tytuł, pod nim starannie wykalfigrafowane słowa. Marginesy zdobiły smukłe, złote anioły w srebrnych szatach marszczących się wokół złożonych złotych skrzydeł.

Doktor Seraphina zwróciła się do nas:

- Potraficie to przeczytać?

Uczyłam się łaciny, greki i aramejskiego, ale z trudem rozróżniałam litery, a łacińskie słowa wydawały mi się dziwnie nieznanymi.

- Kiedy wykonano tę kopię? - spytała Gabriella.

- W siedemnastym wieku - odparła doktor Seraphina. - To współczesna reprodukcja znacznie starszego manuskryptu, jeszcze z czasów zanim powstały teksty, które weszły do kanonu Biblii. Oryginał przechowujemy w krypcie, podobnie jak setki innych rękopisów. Tam są bezpieczne. Angelolodzy od początku byli poszukiwaczami tekstów - słowo pisane jest



naszą największą siłą. My jesteśmy strażnikami prawdy, a słowo nas chroni. Przekonacie się, że wiele tekstów biblijnych - i takich, które nie weszły do kanonu, choć powinny - przechowujemy właśnie my.

Pochyliłam się nad zwojem.

- Trudno to odczytać. To Wulgata<sup>17</sup>?

- Pozwólcie, że przeczytam wam pewien fragment. - Seraphina wygładziła zwój rękawiczką. - „I ci ludzie zabrali mnie do drugiego nieba. Posadzili mnie na drugim niebie. Pokazali mi więźniów pod strażą i niezmierny sąd. Zobaczyłem tam potępionych aniołów płaczących. Powiedziałem do ludzi, którzy byli ze mną: «Dlaczego oni są męczeni?»<sup>18</sup>.

Zamyśliłam się nad tymi słowami. Od kilku lat zgłębiałam stare teksty, ale nigdy z czymś podobnym się nie spotkałam.

- Co to za ustęp?

- To mówi Henoch - odpowiedziała natychmiast Gabriella. - Właśnie trafił do drugiego nieba.

- Drugiego? - spytałam zdezorientowana.

- Jest ich siedem - odparła autorytatywnie. - Henoch wszystkie zwiedził i opisał.

- Podejź do regału - poprosiła mnie doktor Seraphina, wskazując na półki ciągnące się przez całą długość ściany. - Tam na końcu są Biblii.

Znalazłam. Wybrałam egzemplarz, który szczególnie mnie urzekł - w grubej, skórzanej, ręcznie szytej oprawie, ciężki i nieporęczny. Przyniosłam go do stolika i położyłam przed nauczycielką.

- Wybrałaś moją ulubioną - Seraphina utwierdziła mnie w poczuciu słusznego wyboru. - Identyczną zobaczyłam w młodości, kiedy po raz pierwszy ogłosiłam radzie, że zostanę angelologiem. Było to na słynnej konferencji w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, cała Europa była wówczas spustoszona po wojnie. Instynktownie ciągnęło mnie do tego zawodu, choć to co najmniej dziwne - w mojej rodzinie nie było ange-lologów, a przecież to fach rodzinny. Ja tymczasem już w wieku szesnastu lat wiedziałam doskonale, kim chcę zostać, i nie wstydziłam się głośno o tym mówić! - Seraphina zamilkła, skupiła się i powiedziała: - Pochylcie się. Coś wam pokażę. - Powoli zaczęła przewracać strony Biblii. - Księga Rodzaju, rozdział szósty. Przeczytajcie.

Przeczytałyśmy ustęp w tłumaczeniu Guyarta z Moulins z tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego siódmego roku.

A kiedy ludzie zaczęli się mnożyć na ziemi, rodziły im się córki, piękne i bez skazy. A aniołowie, synowie Boga, widząc, że córki człowiecze są piękne, zapragnęli ich i rzekli: wybierzmy sobie żony spośród dzieci ludzkich i zrodźmy z nimi dzieci.

- Czytałam to dziś po południu - oznajmiła Gabriella.

- Nie - poprawiła ją doktor Seraphina. - To nie Henoch. W Księdze Henocha faktycznie jest podobny fragment, ale nie taki sam. To Księga Rodzaju - jedyny ustęp, w którym oficjalna wersja wydarzeń, ta, którą współcześni chrześcijanie uważają za prawdziwą, pokrywa się z wersją apokryficzną. Oczywiście to apokryfy są najbogatszym źródłem wiedzy o dziejach aniołów. Kiedyś Henocha pilnie studiowano, ale - jak to często bywa w wypadku dogmatycznych instytucji, takich jak Kościół - uznano ją za zagrożenie, które należy usunąć z kanonu.

Gabriella miała zatroskaną minę.

- Ale czemu? - spytała. - Przecież to nieoceniona pomoc, zwłaszcza dla badaczy.

- Pomoc? A niby pod jakim względem? Przecież to oczywiste, że Kościół dążył do ukrycia takich informacji - odparła szorstko Seraphina. - Księga Henocha była zagrożeniem dla kościelnej wersji dziejów. Ta - powiedziała, otwierając cylinder i wyjmując kolejny zwój - została spisana dopiero po wielu latach przekazywania tradycji ustnej. Powstała współcześnie z wieloma tekstami starotestamentowymi, innymi słowy, w czasie spisania tekstów talmudycznych.

- Ale to nie wyjaśnia, czemu Kościół miałby ją tuszować - broniła się Gabriella.

- Powód jest oczywisty. Henoch spisał dzieje językiem ekstatycznym - językiem religijnych ekstremistów, wizjonerów. Konserwatywni badacze uznawali ich słowa za przesadne, a często nawet gorzej: za obłąkańcze. Szczególnie groźne były refleksje Henocha na temat Wybranego, poza tym księga zawiera wiele opisów jego osobistych rozmów z Bogiem. Możecie sobie wyobrazić, że wielu teologów uznało ten tekst za bluźnierczy. Tak naprawdę Henoch uchodził za postać kontrowersyjną już w pierwszych latach chrześcijaństwa. Tak czy inaczej, Księga Henocha pozostaje najważniejszym tekstem angelologicznym. To jedyne świadectwo początków zła na ziemi, spisane przez człowieka i przekazane innym.

W jednej chwili ulotniła się moja zazdrość o Gabriellę. Przepełniała mnie ciekawość.

- Księgą Henocha zainteresowali się badacze religijni. Szkocki badacz Bruce odnalazł wersję tego tekstu w Etiopii. Kolejną kopię znaleziono w Belgradzie. Oczywiście te odkrycia zniweczyły wysiłki Kościoła, który chciał Księgę Henocha wymazać z pamięci. My tymczasem cały czas usiłowaliśmy do tego nie dopuścić - przejmowaliśmy krążące kopie i składowaliśmy je w naszej bibliotece. Tak jak Watykan pragnie zachować pozory, że nefilimowie i angelolodzy nie istnieją,

<sup>17</sup> Łaciński przekład Biblii z przełomu IV i V w. Autorstwa św. Hieronima

<sup>18</sup> HenSI 7 1-2, w: R. Rubinkiewicz, op.cit., s. 200

tak my za wszelką cenę pragniemy pozostać w ukryciu. Ta niepisana umowa - udawanie, że nas nie ma - całkiem dobrze się sprawdza.

- Mnie tam dziwi ten brak współpracy - powiedziałam.

- Zupełnie bez powodu - rzekła Seraphina. - Kiedyś angelologia była w samym centrum zainteresowania kręgów religijnych, uchodziła za jedną z najbardziej szacownych gałęzi teologii. Ale to się szybko zmieniło. Wyprawy krzyżowe i inkwizycja były jasnym sygnałem, że drogi nasze i Kościoła muszą się rozejść. Już wcześniej działaliśmy głównie w podziemiu, sami polowaliśmy na sławnych. Byliśmy siłą oporu, partyzantami, walczyliśmy z nimi z bezpiecznej odległości. Im mniej o nas wiadomo, tym lepiej, zwłaszcza że sami nefilimowie potrafili doskonale się ukrywać. Pod przykrywką firm i rządów dokonali takich postępów, że zapewnili sobie anonimowość. Ich największym osiągnięciem w ciągu ostatnich trzystu lat było zakamuflowanie się pośród ludzi. Obserwowali nas, pojawiali się tylko po to, żeby zaatakować - wykorzystywali do tego celu nasze wojny i nasze ciemne interesy - po czym błyskawicznie znikali. Bardzo przebiegle wprowadzili rozdział między intelektualistami a ludźmi religijnymi. Dołożyli starań, żeby ludzkość nie wydała na świat kolejnego Newtona czy Kopernika - intelektualisty, który poważałby i naukę, i Boga. Ateizm jest ich największym wynalazkiem. Potrafili doskonale wykorzystać i upowszechnić teorię Darwina, który sam był przecież człowiekiem religijnym. Udało im się nakłonić ludzi do wiary, że powstałi sami z siebie, są niezależni, sui generis wolni od elementu boskiego. Ta iluzja znacznie utrudnia nam pracę. Wytropienie nefilimów stało się praktycznie niemożliwe.

Seraphina ostrożnie zrolowała zwój i wsunęła go do miedzianego cylindra. Podeszła do wiklinowego kosza, w którym przyniosła lunch, otworzyła go, wyjęła bagietkę i ser i zachęciła nas do jedzenia. Byłam potwornie głodna. Pieczywo było ciepłe i miękkie; kiedy rwałam je na kawałki, zostawiał mi na palcach maślany ślad.

- Ojciec Bogumił, jeden z naszych ojców założycieli, był autorem pierwszego, niezależnego kompendium angelologicznego. Spisał je w czwartym wieku z myślą o stworzeniu narzędzia pedagogicznego. Później poszerzono je o taksonomię nefilimów. Ponieważ angelolodzy byli wówczas w większości rozproszeni po klasztorach w całej Europie, wspólnoty kopiowały dzieło i pilnie go strzegły, najczęściej we własnych przybytkach. To był nadzwyczaj płodny okres w naszych dziejach. Elitarna grupa angelologów nadal skupiała się na walce z wrogiem, ale jednocześnie rozwijała się wiedza na temat ogólnych właściwości nefilimów, ich mocy i celów. Średniowiecze było dla angelologii czasem wielkiego postępu, apogeum powszechnej świadomości mocy anielskich, zarówno dobrych, jak i złych. Wyrażano ją w kaplicach, na posągach i malowidłach - zawierano w nich prawdę o obecności aniołów pośród ludzi. Pomimo chorób, które dziesiątkowały populację, poczucie piękna i nadzieja stały się częścią codziennego życia. Oczywiście byli wówczas magicy, gnostycy, katarzy, rozmaite sekty, które głosiły wypaczoną anielską rzeczywistość, ale potrafiliśmy się bronić przed knowaniami tych hybrydowych istot - olbrzymów, jak ich nazywano. Kościół potrafił zadać wielkie krzywdy, ale chronił naszą cywilizację pod egidą wiary. Mój mąż ma co prawda odmienne zdanie, ale ja twierdzę, że tylko wtedy mieliśmy nad nefilimami przewagę.

Seraphina przerwała i przypatrywała się, jak jem, uznała pewnie, że przy pracy straszliwie zgłodniałam, chociaż Gabriella nie tknęła nawet kęsa, zupełnie straciła apetyt. Zawstydzona obżarstwem, wytarłam ręce w płócienną serwetkę na kolanach.

- W jaki sposób zdobyli ją nefilimowie? - Na moje pytanie Gabriella wywróciła oczami.

- Jak nas zdominowali? - spytała nauczycielka. - To bardzo proste. Po średniowieczu równowaga sił się zmieniła. Nefilimowie zaczęli odzyskiwać zapomniane pogańskie teksty - filozofię grecką, sumeryjską mitologię, perskie opracowania naukowe i medyczne - po czym udostępniali je w intelektualnych centrach Europy. Nastąpiła oczywiście katastrofa Kościoła. Ale to był dopiero początek. Wśród najważniejszych rodów nefilimowie rozpowszechnili modę na materializm. 1'zreniknęli do nich i je zdominowali - weźmy choćby Habsburgów czy Tudorów. Oświecenie sformułowało prawidłowe założenia, niemniej było ono zasadniczym zwycięstwem nefilimów. Kolejnym - rewolucja francuska, wskutek której wprowadzono rozdział Kościoła i państwa i szerzono iluzję wyższości racjonalizmu nad duchowością. Czas mijał, a ich propaganda zyskiwała rzesze zwolenników. Promowano ateizm, świecki humanizm, darwinizm, ekstremalne nurty materializmu. Rozpowszechniano ideę postępu. Stworzono nową religię mas: naukę.

W dwudziestym wieku mieliśmy geniuszy ateistów i artystów głoszących relatywizm. Wspólnoty religijne zostały rozbite na tysiące skłóconych wyznań. Podzielonymi łatwiej było manipulować. Nasi wrogowie przeniknęli ludzkie społeczeństwo, opletli siecią wpływów rządu, przemysł, media. Przez kilkadziesiąt lat żerowali na pracy ludzi, nie dając niczego w zamian - wciąż od nas brali i brali, i budowali własne imperium. Ich największym osiągnięciem było ukrycie się przed nami. Zaszczepili w nas wiarę, że jesteśmy wolni.

- A nie jesteśmy? - spytałam.

- Obudź się, Celestine - powiedziała Seraphina, wyraźnie poirytowana moją naiwnością. - Akademia jest rozproszona i działa w podziemiu. W obliczu ich przewagi jesteśmy całkowicie bezbronni. Nefilimowie dobrze znają nasze słabości - szukają ludzi najbardziej ambitnych i żądnych sławy i wykorzystują ich do załatwienia swoich spraw. Są potężni, ale na szczęście ich moc jest ograniczona. Można ich przechytrzyć.

- Skąd ta pewność? - spytała Gabriella. - A może to oni okażą się sprytniejsi?

- Bardzo możliwe - Seraphina uważnie przyjrzała się Gabrielli - ale zrobimy z Raphaelem co w naszej mocy, żeby do tego nie dopuścić.

Pierwsza wyprawa angelologiczna dała początek naszym wysiłkom. Ojciec Clematis, człowiek ogromnej wiedzy i odwagi, poprowadził ekspedycję, a później podyktował z niej sprawozdanie, które, niestety, na wieki zaginęło. Wiecie, że Raphael je odnalazł. Chcemy je wykorzystać, aby zlokalizować wąwóz.

O nieprawdopodobnym odkryciu relacji Clematisa krążyła wśród wielbicieli Valków legenda. W roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym Raphael odnalazł dziennik ojca Clematisa w wiosce w północnej Grecji, gdzie przez całe wieki leżało zakopane w stosie dokumentów. W owym czasie był młodym, niewyróżniającym się naukowcem. Dzięki odkryciu stał się jedną z najważniejszych postaci w środowisku angelologów. Tekst był nie tylko cennym sprawozdaniem, ale przede wszystkim dawał nadzieję na odtworzenie wyprawy czcigodnego ojca. Gdyby relacja zawierała dokładną lokalizację jaskini, profesorowie z pewnością zorganizowaliby ekspedycję dawno temu.

- Wydawało mi się, że wartość przetłumaczonego przez Raphaela tekstu okazała się przesadzona - powiedziała Gabriella.

Stwierdzenie Gabrielli, niezależnie od tego, w jakim stopniu prawdziwe, wydało mi się bezczelne. Doktor Seraphina ani trochę się jednak nie zmieszała.

- Członkowie towarzystwa długo analizowali relację, usiłując zrozumieć, co dokładnie wydarzyło się podczas wyprawy. Ale masz rację, Gab-riello. Koniec końców sprawozdanie okazało się zupełnie bezużyteczne.

- Czemu? - Nie mogłam pojąć, jak można było zlekceważyć tak ważny dokument.

- Bo jest nieprecyzyjne. Najważniejsza część została spisana w ostatnich godzinach życia Clematisa, kiedy po trudach przeprawy zaczął tracić rozum. Jego słowa zanotował ojciec Deopus, ale nie potrafił oddać szczegółów. Nie sporządził mapy, a tej, która doprowadziła Clematisa do wąwozu, nie było w zbiorze pism. Podejmowaliśmy starania, ale musieliśmy wreszcie zaakceptować smutną prawdę, że mapa najpewniej zaginęła w jaskini.

- Jednego nie rozumiem - wtrąciła Gabriella. - Jak to się stało, że Clematis nie sporządził kopii? Przecież to wymóg procedury przy każdej wyprawie.

- Wypadki przybrały najgorszy możliwy obrót - wyjaśniła Seraphina. - Clematis wrócił do Grecji pogrążony w zgrzyocie, w ostatnich tygodniach życia był jak opętany. Zginęli wszyscy uczestnicy wyprawy, utracono zapasy, nawet osły albo uciekły, albo zostały rozkradzione. Według ówczesnych relacji, zwłaszcza ojca Deopusa, Clematis sprawiał wrażenie człowieka zbudzonego ze snu. Gwałtownie przemawiał i modlił się jak oszalały. Zatem odpowiedź na twoje pytanie jest taka: wiemy, że coś się wydarzyło, ale nie wiemy co.

- Ale macie teorię? - dopytywała Gabriella.

- Oczywiście - odparła z uśmiechem Seraphina. - Wszystko dzięki sprawozdaniu podyktowanemu na łożu śmierci. Mój mąż zadał sobie ogromny trud, aby je wiernie przetłumaczyć. Jestem przekonana, że Clematis znalazł to, czego szukał. Ze odkrycie więzienia aniołów doprowadziło nieszczęśnika do obłądzenia.

Nie wiedzieć czemu słowa doktor Seraphiny poruszyły mnie do głębi. Czytałam wiele źródeł wtórnych dotyczących pierwszej wyprawy, ale sama myśl o uwięzionym w głębinach ziemi, otoczonym przez nieziemskie istoty Clematisie mocno mną wstrząsnęła.

Seraphina mówiła dalej:

- Niektórzy twierdzą, że pierwsza wyprawa była ryzykowna i niepotrzebna. Obie wiecie, że moim zdaniem była konieczna. Zweryfikowała legendy na temat czuwających i pokolenia nefilimów. To była misja w poszukiwaniu prawdy: czy czuwający zostali uwięzieni w jaskini Orfeusza, a jeśli tak, czy posiadali lirę?

- Tylko że sprawa się komplikuje, skoro zostali ukarani za zwyczajne nieposłuszeństwo - powiedziała Gabriella.

- W nieposłuszeństwie nie ma nic zwyczajnego - zaprzeczyła stanowczo Seraphina. - Pamiętaj, że zanim Szatan złamał boskie przykazanie, był jednym z najwspanialszych aniołów, szlachetnym serafinem. Czuwający nie dość, że nie usłuchali rozkazu, to jeszcze przenieśli niebiańskie umiejętności na ziemię - wprowadzili swoje dzieci w arkana sztuki wojennej, a one przekazały ją ludziom. Wagę tego wykroczenia w opinii starożytnych najlepiej ilustruje grecki mit o Prometeuszu. To był grzech w najwyższym stopniu zasługujący na potępienie, bo niebiańska wiedza zakłóciła równowagę ziemskiej społeczności po upadku pierwszych ludzi. Skoro mamy pod ręką Księgę Henocha, przeczytam wam, co się stało z biednym Azazelem. Spotkał go naprawdę straszny koniec.

Seraphina sięgnęła po księgę, którą wcześniej studiowała Gabriella, i zaczęła czytać:

Następnie Pan powiedział do Rafała: Zwiąż Azazela za ręce i nogi i wrzuć go do ciemności. Otwórz pustynię, która jest w Dudael, i wrzuć go tam. I rzuć na niego chropowate i ostre kamienie, i przykryj go ciemnością. Niech tam przebywa na zawsze! Przykryj jego oblicze, żeby nie mógł widzieć światła. I żeby w wielki dzień sądu mógł być wrzucony do ognia\*\*19.

- Nigdy nie zostaną uwolnieni? - spytała Gabriella.

- Szczerze mówiąc, to nie mamy pojęcia, czy do tego w ogóle może dojść. Nasi badacze skupiają się na tym, co teksty mówią o naszych ziemskich, śmiertelnych wrogach - wyjaśniła Seraphina. Schowała zwój do mosiężnego cylindra i zdjęła

białe rękawiczki. - Nefilimowie nie spoczną, dopóki nie przywrócą swojej potęgi sprzed potopu. To byłaby katastrofa, której za wszelką cenę usiłujemy zapobiec. Czcigodny Clematis, najbardziej nieustraszony z ojców założycieli, zapoczątkował walkę z nikczemnymi wrogami. Jego metody okazały się nieskuteczne, ale relacja z wyprawy to ważne źródło wiedzy - dla mnie zupełnie fascynujące, mimo że nie rozwiązuje tajemnicy. Mam nadzieję, że kiedyś przeczytacie je od początku do końca. Być może odkryjecie coś jeszcze.

Gabriella zmrużyła oczy i wpatrywała się w doktor Valko.

- A gdyby tak się zdarzyło? - dopytywała.

- Gdybyście odkryły u Clematisa coś nowego? - odpowiedziała pytaniem rozbawiona Seraphina. - To ambitny cel, choć raczej nierealistyczny. Raphael jest jednym z najlepszych specjalistów od pierwszej wyprawy. Wspólnie przestudiowaliśmy relację słowo po słowie tysiąc razy i nie znaleźliśmy więcej.

- Ale może się tak zdarzyć - stwierdziłam, żeby nie zostawać w tyle za Gabriella. - Zawsze jest szansa, że dowiemy się czegoś nowego o lokalizacji jaskini.

- Skupcie się lepiej na szczegółach pomniejszych opracowań. - Seraphina zbyła nasze nadzieje machnięciem ręki. - Największą nadzieję na odnalezienie jaskini dają te dane, które zdążyłyście zebrać i skatalogować. Muszę was przy tym ostrzec, że Clematis to wielka niewiadoma. Najpierw nęci czytelnika, obiecując rozwikłanie tajemnicy czuwających, po czym milczy jak zaklęty. Jest angelologicznym sfinksem. Jeśli znajdziecie w relacji coś nowego, to, moje drogie, będziecie pierwsze, którym przypadnie udział w drugiej wyprawie.

Przez resztę października całymi dniami pracowałyśmy z Gabriella w gabinecie doktor Seraphiny, z cichą determinacją katalogowałyśmy i organizowałyśmy ogrom materiałów. Codzienny napięty harmonogram i pasja, z jaką zgłębiałam dokumenty, tak bardzo mnie wyczerpywały, że właściwie przestałam się zastanawiać nad dziwnym zachowaniem Gabrielli. W naszym mieszkaniu bywała z rzadka, przestała chodzić na wykłady Valków. Zaniedbała katalogowanie, pracowała tylko kilka dni w tygodniu, ja zaś - codziennie. To szczęście, że byłam tak zajęta, bo dzięki temu nie myślałam o rosnącej między nami przepaści. Przez cały miesiąc sporządzałam wykresy i notowałam wymiary bałkańskich formacji geologicznych - było to zajęcie tak żmudne, że zaczęłam wątpić, czy w ogóle na coś się przyda. Nie narzekałam jednak na nieskończony zbiór zgromadzonych przez Valków informacji, tylko kontynuowałam pracę, pamiętając, że przyświeca jej wyższy cel. Zadanie było tym pilniejsze, że w obliczu zbliżającej się wojny czekała nas rychła wyprowadzka.

Pewnego sennego popołudnia na początku listopada, kiedy za wielkimi oknami gabinetu rozlewało się szare niebo, niespodziewanie przyszła do nas doktor Seraphina i powiedziała, że chce nam pokazać coś ciekawego. Obie byłyśmy raki pochłonięte pracą, że nie mogłyśmy się od niej oderwać.

- Chodźcie - ponaglała Seraphina z lekkim uśmiechem - od rana ciężko pracujecie, krótka przerwa dobrze wam zrobi.

Była to dziwna prośba - w końcu sama często powtarzała, że czas nagli - ale skoro mogłam odsapnąć, ochoczo postanowiłam z tego skorzystać. Również po Gabrielli, która przez większość dnia wydawała się z niewiadomego powodu poruszona, widać było, że potrzebuje chwili odpoczynku.

Wyszłyśmy za Seraphina z gabinetu i krętym korytarzem dotarłyśmy do najdalszego zakątka szkoły, gdzie w ciemnym pasażu znajdowały się drzwi do opuszczonych gabinetów. W słabym świetle żarówek asystenci pakowali do drewnianych skrzyń malowidła, posągi i inne dzieła sztuki. Marmurowa podłoga była upstrzona trocinami, więc w bladym popołudniowym świetle pomieszczenie wyglądało jak sala muzealna w trakcie demontażu wystawy. Gabriella, która traktowała sztukę z pasją, chodziła od dzieła do dzieła, każdemu uważnie się przyglądając, jakby chciała je zapamiętać, zanim zostaną zabrane. Popatrzyłam na Seraphinę, oczekując, że wyjaśni, po co tu przyszłyśmy, ale ona była całkowicie pochłonięta obserwowaniem Gabrielli. Śledziła każdy jej ruch i reakcję.

Na stołach leżały przygotowane do spakowania niezliczone, otwarte manuskrypty. Na ich widok pożałowałam, że nie pokazano nam ich przed rokiem, bo wówczas nasza przyjaźń z Gabriella opierała się na wspólnym zgłębianiu wiedzy i wzajemnym szacunku. Rok temu przystanęłybyśmy, żeby porozmawiać o egzotycznych bestiach na malowidłach - mantykorze z ludzką twarzą i ciałem lwa, harpii, smoczej amfis-benie i pożądlwym centaurze. Gabriella szczegółowo objaśniłaby ich symbolikę, wytłumaczyłaby, że obrazy są artystyczną wizją złego, manifestacją diabelskich wynaturzeń. Podziwiałam jej zdolność do encyklopedycznego przyswajania angelologii, demonologii, do odczytywania religijnej symboliki, która tak często wymykała się mojemu matematycznemu umysłowi. Teraz jednak, nawet gdybyśmy były same, Gabriella zachowałaby swoje przemyślenia dla siebie. Zupełnie się ode mnie od-daliła, a moja tęsknota za rozmowami z nią była tęsknotą za przyjaźnią, która przestała istnieć.

Seraphina stała w pobliżu, przypatrując się, jak oglądamy rozmaite przedmioty, śledziła zwłaszcza reakcje Gabrielli.

- To właśnie stąd rozeszły wszystkie skarby zgromadzone po tej stronie linii Maginota - powiedziała po chwili. - Spakujemy je do skrzyń, skatalogujemy i przewieziemy w bezpieczne miejsca w całym kraju. Obawiam się tylko - dodała, przystając przed rzeźbionym dyptykiem z kości słoniowej; stał na serwecie z błękitnego aksamitu, wszystkie rogi zabezpieczono cienką, pomarszczoną krepiną - że nie zdążymy ich wywieźć na czas.

Widać było po doktor Seraphinie lęk przed zbliżającą się inwazją Niemiec - w ciągu ostatnich miesięcy bardzo się postarzała, zmęczenie i fraszunek przygasiły jej urodę.

- Te - tłumaczyła, wskazując na zabite, drewniane skrzynie - wyślemy w bezpieczne miejsce w Pirenejach. A to cudowne malowidło Michała -dodała, pokazując zdobny barokowy obraz przedstawiający anioła w rzymskiej zbroi, z błyszczącym, srebrnym napierśnikiem, unoszącego miecz - przeszmuglujemy do Hiszpanii i prześlemy prywatnemu kolekcjonerowi w Stanach. Podobnie jak wiele innych dzieł.

- Sprzedała je pani? - spytała Gabriella.

- W takich czasach - odparła Seraphina - nieważne, w czyim są posiadaniu. Ważne, żeby były bezpieczne.

- Nie oszczędzą Paryża? - W chwili kiedy otworzyłam usta, zrozumiałam, jak naiwne jest moje pytanie. - Czy niebezpieczeństwo naprawdę

jest tak poważne?

- Moja droga - powiedziała doktor Valko, wyraźnie zdumiona, że coś takiego padło z moich ust - jeśli dopną swego, to nie tylko z Paryża nic nie zostanie, ale wręcz z całej Europy. Chodźcie, chcę wam coś pokazać. Może się okazać, że miną całe lata, zanim znów to zobaczymy.

Przystanęła nad zapelnioną w połowie skrzynią, wyjęła włożony między dwie szybki pergamin i strzepnęła trociny. Poprosiła, żebyśmy podeszły bliżej, i położyła go na stole.

- Średniowieczna angloglogia. - W szybce ochronnej odbijała się jej twarz. - Bardzo rozległa i dokładna, jak najlepsze współczesne katalogi, za to zdecydowanie bardziej ozdobna, zgodnie z ówczesnym kanonem.

Był to typowy średniowieczny rękopis - aniołowie byli zaszeregowani w hierarchiach i chórach, kaligrafia - staranna, zdobienia - misterne: złote skrzydła, instrumenty i aureole.

- A ten maleńki skarb - ciągnęła Seraphina, przystając przed miniaturką nie większą od dłoni - pochodzi z przełomu wieków. Moim zdaniem jest uroczy, namalowany w nowoczesnym stylu. To wizerunek tronów - aniołów, które angelologia bada od wieków. Wraz z serafinami i cherubinami tworzą pierwszą hierarchię anielską. Są łącznikami między światami materialnymi, mają nadzwyczajne zdolności przemieszczania.

- Niesamowite - wyszeptałam, rozglądając się wokół z nabożną czcią. Doktor Seraphina zaśmiała się.

- To prawda - powiedziała. - Mamy gigantyczne zbiory. Budujemy sieć bibliotek na całym świecie - w Oslo, Budapeszcie, Barcelonie - wyłącznie po to, aby je pomieścić. Któregoś dnia mamy nadzieję otworzyć czytelnię w Azji. Te dzieła sztuki przypominają nam o historii naszej dyscypliny. Wszystkie nasze wysiłki biorą swój początek z malowideł i tekstów. Słowo pisane to nasz fundament - światło, które stworzyło świat i pokazuje nam drogę. Bez Słowa nie wiedzielibyśmy, skąd przychodzimy ani dokąd zmierzamy.

- I właśnie dlatego tak ważne jest zabezpieczenie tych tekstów? -spytałam. - To drogowskazy na przyszłość?

- Bez nich zablądziłibyśmy. Jan powiedział, że na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo<sup>1</sup>\*20. Ale nie dodał, że aby Słowo coś znaczyło, wymaga interpretacji. To właśnie nasza rola.

- Ale czy nasza rola polega na interpretacji tekstów - dopytywała niefrasobliwie Gabriella - czy na ich ochronie?

Seraphina wpatrzyła się w Gabriellę chłodnym, badawczym wzrokiem.

- A jak ty uważasz, Gabriello?

- Jeśli nie ochronimy tradycji przed tymi, którzy chcą ją zniszczyć, to nie będzie co interpretować.

- Ach, jesteś zatem wojowniczką - prowokowała ją Seraphina. - Zawsze znajdują się tacy, którzy chcą się zbroić i iść na wojnę. Ale prawdziwy geniusz objawia się w tym, żeby otrzymać to, co się chce, bez walki.

- W takich czasach - powiedziała Gabriella, idąc dalej - nie ma wyboru.

Obejrzałyśmy wiele przedmiotów w zupełnej ciszy, aż trafiłyśmy na rozłożoną na stole grubą księgę. Seraphina zawołała Gabriellę i uważnie się jej przyglądała, jakby próbowała z jej zachowania coś wyczytać, choć zupełnie nie wiedziałam co.

- To genealogia? - spytałam, przypatrując się słupkom tabeli. - Pełno tu nazwisk rozmaitych ludzi.

- Nie tylko ludzi - poprawiła mnie Gabriella, która podeszła, żeby zobaczyć tom z bliska. - Jest tu i Zafkiel, i Sandalfon, i Razjel.

Zezując na rękopis, przekonałam się, że rzeczywiście miała rację: w linie rodowe ludzi wmieszane były anioły.

- Ale nie zapisano imion według hierarchii i chórów, tylko zastosowano jakiś inny klucz.

- To diagramy spekulacyjne - wyjaśniła doktor Seraphina, a słysząc powagę w jej głosie, pomyślałam, że przeprowadziła nas przez labirynt dzieł właśnie po to, żeby pokazać nam tę księgę. - Na przestrzeni dziejów angelologię rozwijali żydzi, chrześcijanie i muzułmanie - przedstawiciele tych trzech wyznań zarezerwowali dla aniołów centralne miejsce w kosmologii. Zajmowali się nią także bardziej nietypowi badacze: gnostycy, sufi, przedstawiciele wyznań azjatyckich. Domyślcie się, że nasi naukowcy prowadzili badania w rozmaitych kierunkach. Spekulacje angelologiczne są dziełem grupy genialnych żydowskich naukowców z siedemnastego wieku - to właśnie oni śledzili genealogię rodzin nefilimów.

Ja sama urodziłam się w rodzinie katolickiej, a odebrawszy tradycyjne wychowanie, o doktrynach innych religii miałam niewielkie pojęcie. Wiedziałam jednak, że są wśród nas studenci innych wyznań. Gabriella na przykład była żydówką; doktor Seraphina - prawdopodobnie najbardziej empiryczny i sceptyczny umysł pośród całej kadry, z wyjątkiem jej męża - nie kryła się ze swoim agnostycyzmem ku bolesnemu rozczarowaniu wielu profesorów. I oto w tej jednej chwili pojęłam wreszcie w pełni, że dzieje i kanon naszej dyscypliny spajają tak wiele wyznań. Seraphina mówiła dalej.

- Nasi angelolodzy studiowali żydowskie genealogie z wielką uwagą. Badacze żydowscy zastąpili z niezwyklej staranności w kreśleniu kronik genealogicznych, nie tylko ze względu na określanie praw dziedziczenia, ale także dlatego, że rozumieli, jak ważne jest poznanie własnej historii aż do korzeni. Ich relacje można sprawdzić i zweryfikować w innych źródłach. Kiedy byłam w waszym wieku, bez reszty pochłaniały mnie zawiloci naszej dyscypliny - zgłębiałam wówczas żydowskie praktyki odtwarzania rodowodów. Każdy poważny student powinien się z nimi zapoznać. Precyzja tych metod jest wręcz nadzwyczajna. - Seraphina przewróciła karty i otworzyła księgę na przepięknym dokumencie wpisanym w złoty liść. - To rodowód Jezusa wyrysowany przez naszych badaczy w dwunastym wieku. Według schematów chrześcijańskich Jezus był bezpośrednim potomkiem Adama. Tu mamy drzewo Maryi według Łukasza: Adam, Noe, Sem, Abraham, Dawid. - Seraphina wiodła palcem po linii. - A tu mamy rodzinę Józefa spisaną przez Mateusza: Salomon, Jozafat, Zorobabel i tak dalej.

- Podobne rodowody są powszechne, prawda? - spytała Gabriella. Najwyraźniej widziała ich setki. Ja nigdy wcześniej się z nimi nie zetknęłam, więc moja reakcja była krańcowo odmienna.

- Oczywiście - odparła Seraphina. - Liczne genealogie sprawdzały zgodność linii rodowych z prorocztwami Starego Testamentu, obietnicami złożonymi Adamowi, Abrahamowi, Judzie, Jessemu i Dawidowi. Ta jest jednak inna.

Linie rozgałęziały się obficie, tworząc rozległą sieć pokrewieństwa. To była lekcja pokory - uzmysłowić sobie, że za każdym imieniem kryje się osoba, która żyła i zmarła, modliła się i walczyła, i być może nie znała nawet swojego celu w wielkiej sieci dziejów.

Seraphina dotknęła strony, jej paznokcie zaślniły w łagodnym świetle. Setki nazwisk spisano kolorowymi tuszami, od każdej gałęzi odchodziło wiele mniejszych.

- Po potopie syn Noego Sem dał początek rasie semickiej. Z tej linii, jak wiemy, wywodzi się Jezus. Cham był protoplastą ras afrykańskich. Jafet, czy też - jak dowiedziałyście się z ostatniego wykładu Raphaela - istota podszywająca się pod Jafeta, dała początek rasom europejskim, w tym nefilimom. To, czego Raphael nie podkreślił na wykładzie, a co moim zdaniem jest niezwykle ważne i co trzeba przekazać zaawansowanym studentom, to fakt, że rozproszenie genów ludzi i nefilimów jest znacznie bardziej złożone, niż mogłoby się wydawać. Jafet splodził z ludzką żoną liczne potomstwo. Niektóre dzieci były pełnej krwi nefilimami, inne -hybrydami, a przy tym prawdziwy Jafet zdążył przed śmiercią wydać na świat dzieci ludzkie. Tak więc wśród potomków Jafeta są ludzie, nefilimowie i hybrydy. Kojąc się między sobą, zaludnili Europę.

- Bardzo to skomplikowane - skomentowałam, próbując odnaleźć członków poszczególnych rodów w tabelach. - Nie jestem w stanie ich odróżnić.

- I właśnie dlatego przechowujemy drzewa genealogiczne - wyjaśniła Seraphina. - Bez nich bylibyśmy bezradni.

- Czytałam, że zdaniem wielu naukowców rodowody Jafeta i Sema mają punkty styczne - powiedziała Gabriella, wskazując trzy imiona na gałęzi spekulatywnej genealogii: Ebera, Natana i Amona. - Tu, tu i tu.

Pochyliłam się, żeby odczytać podpisy.

- Skąd to wiadomo?

Gabriella uśmiechnęła się, ale z jej zachowania przebijała okrutna satysfakcja, byłam niemal pewna, że czekała na moje pytanie.

- Zdaje się, że jest jakaś dokumentacja, choć nie ma stuprocentowej pewności.

- Dlatego nazywamy tę dziedzinę angelologią spekulatywną - wyjaśniła doktor Seraphina.

- Ale wielu badaczy w to wierzy - ciągnęła Gabriella. - To ważna gałąź angelologii, która stale się rozwija. To niemożliwe, żeby współcześni angelolodzy w to wierzyli - powiedziałam, próbując maskować, jak bardzo poruszyły mnie te informacje. Moje przekonania religijne były silne, nawet w owym czasie, a tak niestosowne spekulacje na temat pochodzenia Chrystusa klóciły się z doktryną. Wykres, który jeszcze przed chwilą wydawał się tak cudowny, wyprowadził mnie z równowagi. - Koncepcja, że Jezus miał w sobie krew czuwających to absurd.

- Możliwe - odpowiedziała doktor Seraphina - ale jedna z dziedzin angelologii zajmuje się właśnie tym zagadnieniem. To angelomorfizm: bezpośrednio bada koncepcję, zgodnie z którą Jezus Chrystus nie był człowiekiem, ale aniołem. W końcu narodziny z dziewicy były bezpośrednią konsekwencją odwiedzin archanioła Gabriela.

Odezwała się Gabriella:

- Gdzieś o tym czytałam. Zdaje się, że gnostycy też opowiadali się za anielskim pochodzeniem Jezusa.

- Mamy w naszych zbiorach, a właściwie mieliśmy, setki książek na ten temat - przyznała doktor Seraphina. - Ale mnie osobiście przodkowie Jezusa niewiele obchodzą, interesuje mnie zupełnie co innego. To, na przykład, fascynuje mnie bez reszty, niezależnie od tego, czy jest speku-latywne, czy nie - dodała, prowadząc nas do kolejnego stołu, na którym otwarta

księga jakby czekała, aż ktoś do niej zajrzy. - To angelologia nefilimów. Zaczyna się od czuwających, prowadzi przez krewnych Noego i rozgałęzia się w panujące rody Europy. To Księga pokoleń.

Zerknęłam na tom, na drabinę nazwisk kolejnych pokoleń. Zdawałam sobie sprawę z potęgi nefilimów i ich wpływu na działalność ludzi, a jednak zaskoczyło mnie odkrycie, że ich nazwiska pojawiają się niemal w każdej królewskiej linii rodowej w Europie - u Kapetyngów, Habsburgów, Stuartów, Karolingów. Drzewo genealogiczne obejmowało historię Europy, dynastia po dynastii.

- Nie ma pewności - powiedziała Seraphina - że te rody podległy infiltracji, ale dość jest dowodów, żeby twierdzić, że wielkie europejskie rody zostały skażone krwią nefilimów.

Gabriella chłonęła każde słowo Seraphiny, jakby zapamiętywała wykres na egzamin. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że próbowała wy badać doktor Valko i poznać powód, dla którego pokazała nam tę dziwną księgę. Wreszcie się odezwała:

- Pojawiają się tu nazwiska niemal wszystkich arystokratycznych rodów. Wszystkie przyczyniły się do zasiania trwałego terroru?

- W rzeczy samej. Nefilimowie byli władcami Europy, a ich pragnienia kształtowały życie milionów ludzi. Swoją potęgę budowali na małżeństwach, prawie pierworództwa i brutalnej sile wojskowej - wyjaśniła Seraphina. - Jako władcy królestw nakładali podatki, gromadzili niewolników, własności ziemskie, ziemie rolne, bogactwa naturalne. Atakowali każdą grupę, która cieszyła się choćby namiastką niezależności. W średniowieczu rozciągali wpływy absolutne, w ogóle przestali się ukrywać. Według relacji trzynastowiecznych angelologów od początku do końca wymyślili i rozpropagowali pewne kultury upadłych aniołów. Wiele zła, o które oskarżono czarownice - a niemal zawsze były to kobiety - było tak naprawdę częścią nefilistycznych rytuałów. Olbrzymi uprawiali kult przodków i świętowali powrót czuwających. Ich rody przetrwały do dziś. Ale - utkwiony w Gabriellę wzrok Seraphiny był dziwny, niemal oskarżycielski - uważnie ich obserwujemy. Zwłaszcza te rodziny.

Popatrzyłam na wskazaną stronę, ale zobaczyłam tylko listę nieznanymi nazwisk, natomiast wpływ słów Seraphiny na Gabriellę był piorunujący. (izytując nazwiska, cofnęła się przerażona. Sprawiała wrażenie osoby |.ik w transie, podobnie jak podczas wykładu doktora Raphaëla, z tym a- w tej chwili wydawała się na granicy hysterii.

- Myli się pani - powiedziała wreszcie, podnosząc głos z każdym słowem. - To nie my ich obserwujemy. To oni obserwują nas.

I wybiegła z sali. Patrzyłam za nią, nie mogąc pojąć przyczyn jej wybuchu. Byłam gotowa sądzić, że oszalała. Raz jeszcze zerknęłam na rękopis, ale widniały tam tylko nieznanymi nazwiska członków wielkich pradawnych rodów. Był to dokument jak wiele innych, które wspólnie studiowałyśmy, ale nigdy wcześniej Gabriella nie zareagowała w podobny sposób.

Tymczasem doktor Seraphina wydawała się rozumieć jej reakcję. Ze stoickiego spokoju, z jakim obserwowała Gabriellę, wynikało, że nie tylko spodziewała się jej ucieczki, ale wręcz ją zaplanowała. Widząc moją zdumioną minę, zamknęła księgę i włożyła ją pod ramię.

- Co się stało? - spytałam, oszołomiona niepojętym zachowaniem przyjaciółki.

- Mówię to z wielkim żalem - powiedziała doktor Seraphina, wyprowadzając mnie z sali. - Jestem przekonana, że Gabriella wplątała się w straszne kłopoty.

W pierwszym odruchu chciałam wszystko jej wyznać. Ciężar tajemnicy podwójnego życia Gabrielli, który zupełnie przesłaniał moją codzienność, stał się dla mnie niemal nie do zniesienia. Już miałam się odezwać, ale wtem przestraszona zamknęłam usta. Oto nagle stanęła przed nami ciemna postać, wyłoniła się z mrocznego korytarza jak demon w czarnej pelerynie. Dech zamarł mi w piersi, byłam przerażona. Dopiero po chwili rozpoznałam zakonnice w welonie - członkinię rady, którą przed kilkoma miesiącami widziałam w Ateneum. Zagroziła nam drogę.

- Mogę z panią pomówić, doktor Seraphino?

Z zażenowaniem uzmysłowiłam sobie, że zachrypłe seplenienie zakonnicy budzi we mnie odrazę.

- Mam kilka pytań w związku z wysyłką do Stanów Zjednoczonych. Ucieszyłam się, że pojawienie się zakonnicy doktor Seraphina przyjęła

ze spokojem. Kiedy się odezwała, w jej głosie pobrzmiwała niewzruszona pewność siebie:

- Cóż to mogą być za pytania o tej porze? Wszystko zostało już zaaranżowane.

- To prawda - odparła zakonnica. - Chciałam tylko sprawdzić, czy malowidła z galerii zostaną przewiezione do Stanów razem z ikonami.

- Oczywiście - odpowiedziała Seraphina, idąc za zakonnice korytarzem zastawionym przygotowanymi do wywozu skrzyniami. - Otrzyma je nasz kontakt w Nowym Jorku.

Przyjrzałam się skrzyniom - wiele z nich oznaczono napisem „do transportu morskiego”.

- Ładunek wyślemy jutro. Trzeba tylko dopilnować, żeby wszystko dotarło do portu - dodała Seraphina.

Kobiety kontynuowały rozmowę na temat przewozu dzieł, mówiły o tym, jak wywieźć najcenniejsze przedmioty przy tak napiętym rozkładzie rejsów statków z francuskich portów. Wycofałam się na korytarz. Przełknęłam słowa, które tak bardzo chciałam z siebie wyrzucić, i w ciszy odeszłam.



Szłam ciemnymi, kamiennymi korytarzami, mijałam puste sale lekcyjne i wykładowe. W przenikliwej ciszy, która od kilku miesięcy wypełniała pomieszczenia, odgłosy moich kroków niosły się głośnym echem. W Ateneum było całkiem pusto. Bibliotekarki skończyły pracę, zgasiły światła i zamknęły drzwi. Sięgnęłam po klucz - dostałam go od doktor Seraphiny, kiedy z Gabriella podjęłyśmy dla niej pracę - i przekręciłam go w zamku. Otworzyłam drzwi, rozejrzałam się po długim, ciemnym pomieszczeniu i poczułam, że samotność przynosi mi ogromną ulgę. Nie pierwszy raz cieszyłam się, że biblioteka jest pusta - często zaglądałam tu po północy, żeby popracować, kiedy wszyscy dawno już opuścili szkolne mury - ale po raz pierwszy sprowadziła mnie tu rozpacz.

Regały stały puste, tylko gdzieś tam zaplatał się jakiś zapomniany tom. Rozstawione wokół skrzynie czekały na transport w bezpieczne miejsce gdzieś na terenie Francji. Nie miałam pojęcia, gdzie znajdują się kryjówki, ale nie ulegało wątpliwości, że tak potężny zbiór mogło pomieścić tylko całe mnóstwo piwnic.

Drżącymi rękami zaczęłam szperać w jednej ze skrzyń. Książki spakowano w takim nieładzie, że zwątpiłam, czy znajdę to, po co tu przyszłam. Już zaczęłam wpadać w panikę, kiedy po kilku minutach bezowocnych poszukiwań trafiłam na oryginały prac i tłumaczeń doktora Raphaela Valki. Zawartość skrzyń odzwierciedlała jego bałaganiarskie usposobienie. Znalazłam teczkę ze szczegółowymi mapami rozmaitych jaskiń i wąwozów, szkicami z wypraw badawczych prowadzonych w różnych pasmach górskich Europy - w Pirenejach w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim, Alpach w dwudziestym piątym, Uralu w trzydziestym i na Bałkanach w trzydziestym szóstym - wraz z tekstami opisującymi dzieje tych regionów. Przystudiowałam opatrzone przypisami teksty i zbiór notatek z wykładów, komentarzy i poradników pedagogicznych. Sprawdziłam tytuły i daty wszystkich opracowań doktora Raphaela - nie miałam pojęcia, że napisał tak wiele książek i artykułów. Ale choć zajrzałam do wszystkich tekstów, nie znalazłam tego jednego, jedyne, którego szukałam: tłumaczenia relacji z wyprawy Cłematisa do jaskini zbuntowanych aniołów. W Ateneum go nie było.

Zostawiłam otwarte książki na stole, padłam na twarde krzesło i próbowałam opanować straszliwe rozczarowanie. Nie mogłam powstrzymać łez. Przytłaczała mnie ambicja, pragnienie wykazania się. Ciężka mi niepewność własnych umiejętności, pozycji w szkole, przyszłości. Chciałam znać swoje przeznaczenie, być go pewna i tylko móc je wypełnić. Nade wszystko pragnęłam mieć cel i być pożyteczna. Przerazała mnie myśl, że mogę się okazać niegodna szkoły, że zostaną odesłana do rodziców na wieś, że nie będzie dla mnie miejsca pośród naukowców, których tak podziwiałam.

Oparłam łokcie na drewnianym stole, schowałam twarz w rękach, zamknęłam oczy i pogrzyżłam się w rozpacz. Nie wiem, ile trwałam w tym stanie, ale po jakimś czasie wyczułam poruszenie w pomieszczeniu, jakąś zmianę w powietrzu. Charakterystyczny zapach perfum mojej przyjaciółki - orientalny aromat wanilii i żywicy labdanum - uświadomił mi, że jest tu Gabriella. Podniosłam oczy i przez łzy zobaczyłam rozmazany szkarłat, tak świecący, jak wysadzany rubinami.

- Co się stało? - spytała Gabriella.

Kiedy odzyskałam ostrość widzenia, wysadzany kamieniami szkarłat przeobraził się w satynową suknię ciętą ze skosu, bez ramion, tak pięknie opływającą ciało przyjaciółki, że wpatrywałam się w nią jak urzeczona. Moje oszołomienie zirykowało Gabriellę. Usiadła na krześle naprzeciwko mnie, wyszywaną koralikami torebkę rzuciła na podłogę. Miała naszyjnik ze szlifowanych kamieni i długie, czarne rękawiczki do łokci, które zakrywały bandaż na przedramieniu. W Ateneum było zimno, ale Gabriella zdawała się nie zważać na chłód - ja drżałam, a jej cienka suknia bez rękawów i cieliste pończochy emanowały ciepłem.

- Mów, Celestine - powiedziała Gabriella. - Co się stało? Jesteś chora?

- Nic mi nie jest - odparłam, usiłując wziąć się w garść. Nie przywykłam do takiego odpytywania. W ostatnich kilku tygodniach w ogóle mnie nie zauważała. Próbując odwrócić od siebie uwagę, spytałam:

- Idziesz dokądś?

- Na przyjęcie - odpowiedziała, nie patrząc mi w oczy, co było jasnym sygnałem, że spotka się z kochankiem.

- Jakie?

- To nie ma nic wspólnego z naszą nauką i nie powinno cię interesować - ucięła. - Powiedz lepiej, co tu robisz. I czym się tak przejęłaś.

- Szukałam tekstu.

- Którego?

- Chciałam znaleźć jakąś pomoc do wykresów geologicznych - skłamałam, wiedząc, że wcale nie brzmi to przekonująco.

Gabriella spojrzała na książki, które leżały otwarte na stole. Wszystkie były napisane przez doktora Valkę, toteż bez trudu domyśliła się, po co tu przyszłam.

- Dziennik Cłematisa nie został rozpowszechniony.

- To już wiem. - Pożałowałam, że nie schowałam książek z powrotem do skrzyń.

- Chyba nie sądziłaś, że trzymają go na wierzchu.

- Więc gdzie jest? - Moja niecierpliwość rosła z każdą chwilą. - W gabinecie Seraphiny? W krypcie?

- Relacja Cłematisa z pierwszej wyprawy zawiera bardzo ważne informacje. - Gabriella uśmiechała się z wyższością, świadoma, że ma nade mną przewagę. - Tylko nieliczni wiedzą, gdzie jest.

- Czytałaś ją? - wypaliłam bez zastanowienia. Zaślepiła mnie zazdrość o dostęp do zakazanych tekstów. - Jak to jest, że ty ją czytałaś, chociaż masz naukę w nosie, a ja wypruwam z siebie flaki i nie wiem nawet, gdzie jest?

Natychmiast pożałowałam swoich słów. Cisza, która nastąpiła, była czymś w rodzaju niezręcznego rozejmu, ale to właśnie on miał mi umożliwić dalszą pracę.

Gabriella wstała, sięgnęła po torebkę i nienaturalnie spokojnym głosem powiedziała:

- Wydaje ci się, że rozumiesz to, co widziałas, ale wbrew pozorom to dużo bardziej skomplikowane.
- Moim zdaniem raczej oczywiste. Zaangażowałaś się w związek ze starszym mężczyzną - odpowiedziałam. -

Podejrzewam, że doktor Seraphina też o tym wie.

Przez chwilę myślałam, że Gabriella odwróci się i wyjdzie - zwykle tak robiła, kiedy czuła się przyparta do muru. A jednak stała przede mną prowokująco.

- Na twoim miejscu nie poruszałabym tego tematu ani z doktor Seraphina, ani z kimkolwiek innym.

Odzyskawszy grunt pod nogami, spytałam:

- A to czemu?

- Bo jeśli ktokolwiek dowie się o twoich domysłach, to wszystkim nam stanie się straszliwa krzywda.

Nie do końca rozumiałam znaczenie tej groźby, niemniej gwałtowność tonu Gabrielli i autentyczne przerażenie w jej oczach zupełnie mnie zmroziły. Znalazłyśmy się w impasie, żadna z nas nie wiedziała, co robić.

Wreszcie Gabriella przerwała ciszę:

- Można zdobyć relację Cłematisa. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

- Myślałam, że nie została opublikowana.

- Bo nie została – potwierdziła Gabriella. – Nie powinnam ci pomagać, tym bardziej że zupełnie nie leży to w moim interesie. Ale coś mi się wydaje, że i ty chcesz mi pomóc.

Przyjrzałam jej się, próbując odgadnąć, o co jej chodzi.

- Mam dla ciebie pewną propozycję - powiedziała, wyprowadzając mnie z Ateneum w ciemny szkolny korytarz. - Powiem ci, gdzie znaleźć tekst, a ty odpłacisz mi milczeniem. Ani słowem nie wspomnisz Seraphinie o mnie i o swoich domysłach. Nikogo nie będziesz informowała o tym, kiedy wychodzę z domu i kiedy wracam. Dziś wychodzę na dłużej. Gdyby ktoś mnie szukał, powiesz, że nie masz pojęcia, gdzie jestem.

- Każesz mi okłamywać nauczycieli.

- Nie. Proszę cię tylko o milczenie.

- Ale czemu? Po co to robisz?

Po twarzy Gabrielli przemknął cień znużenia, ledwie dostrzegalne mgnienie rozpaczy, które obudziło we mnie nadzieję, że za chwilę się przede mną otworzy i wszystko wyzna, ale ta nadzieja ulotniła się w jednej chwili.

- Nie mam czasu - powiedziała niecierpliwie. - Zgadzasz się, czy nie? Nie odezwałam się słowem. Gabriella doskonale wiedziała, że zrobię wszystko, byleby tylko przeczytać tłumaczenie.

Średniowieczne skrzydło szkoły oświetlały nagie żarówki. Gabriella szła szybko, buty na koturnach odmierzały nierówny rytm jej kroków. Kiedy raptownie przystanęła, wpadłam na nią, zdyszana.

Moja niezgrabność wyraźnie ją poirytowała, ale nie odezwała się słowem. Podeszła do drzwi, jakich w budynku były setki, o tych samych wymiarach i kolorze, bez tabliczek z numerami, bez nazw pomieszczeń.

- Chodź - powiedziała, wpatrując się w luk z wapiennych bloków ponad drzwiami. - Jesteś wyższa, może ty dosięgniesz zwornika.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam ziarnistego kamienia. Ku mojemu zdziwieniu poruszył się pod naciskiem palców, zachybotał i wysunął z miejsca, odsłaniając kawałek wolnej przestrzeni. Gabriella kazała mi tam sięgnąć i wyjąć zimny metalowy przedmiot przypominający nóż do listów.

- To klucz - stwierdziłam zdumiona. - Skąd wiedziałas, że tu jest?

- Otworzysz nim drzwi do podziemnego magazynu - wyjaśniła Gabriella i poprosiła, żebym wsunęła cegłę z powrotem. - Za tymi drzwiami są schody. Potem będą kolejne drzwi. Otworzysz je tym samym kluczem. Sprawozdanie Cłematisa znajdziesz w prywatnej kwaterze Valków.

Próbowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszałam o takim miejscu, ale raczej nie. Oczywiście ukrycie skarbów w bezpiecznym miejscu wydawało się sensowne, a poza tym wreszcie dowiedziałam się, gdzie przechowywano księgi z czytelni. Chciałam dopytać o szczegóły, ale Gabriella uniosła rękę, ucinając wszelkie pytania.

- Nie mam czasu, już i tak jestem spóźniona. Nie mogę cię zaprowadzić. Ciekawość podpowie ci, gdzie znaleźć to, czego szukasz. Jak skończysz, odłóż klucz na miejsce i nikomu ani słowa.

Odwróciła się i pospieszyła korytarzem, czerwona, satynowa suknia połyskiwała w słabym świetle. Chciałam zawołać, żeby wróciła, zaprowadziła mnie do podziemnej krypty, ale już jej nie było. Została tylko ledwie wyczuwalna nuta perfum.

Zgodnie z instrukcjami Gabrielli otworzyłam drzwi i zajrzałam w ciemność. Na haku nad schodami wisiała okopcona lampa naftowa. Zapaliłam knot i wyciągnęłam lampę przed siebie. Grubo ciosane kamienne schody opadały pod ostrym kątem. Każdy romb schodka pokrywał mech, było potwornie ślisko. Powietrze było wilgotne i przesycone zapachem

pleśni, toteż zdawało mi się, że schodzę krok po kroku do piwnicy pod kamiennym domem moich rodziców, do przepastnego, podziemnego bunkra wypełnionego po brzegi tysiącami butelek dojrzewającego wina.

Przy zejściu ze schodów znajdowały się żelazne drzwi, okratowane jak wejście do celi więziennej. Po obu stronach otwierały się korytarze i znikwały w niemal absolutnej czerni. Uniosłam lampę, żeby zobaczyć, co jest w głębi. W niektórych miejscach odpadła cegła, odsłaniając plamy bladego, nieobrobionego wapienia, skały będącej fundamentem naszego miasta. Bez trudu otworzyłam zamek kluczem; jedyne, co stało mi na przeszkodzie, to przemożna chęć, żeby stąd uciec i wrócić do znajomego świata na górze.

Wkrótce zobaczyłam kilka pomieszczeń. Lampa nie dawała dość światła, ale widziałam, że w pierwszym z nich był magazyn broni - zgromadzono tam lugery, kolty kaliber 45 i karabiny M1 Garand. Były też skrzynie ze sprzętem medycznym, koce i ubrania - przedmioty niewątpliwie potrzebne w razie przedłużającego się konfliktu zbrojnego. W następnej salce znalazłam skrzynie, do których przed kilkoma tygodniami pakowano książki z Ateneum, z tym że teraz wieka zabito gwoźdźmi. Otwarcie ich bez narzędzi było niemal niemożliwe.

Szłam dalej ciemnym, ceglany przejściem, a lampa ciążyła mi coraz bardziej. Uzmysłowiłam sobie, że przenosiny angelologów do podziemi to operacja na ogromną skalę. Nie miałam pojęcia, że nasz ruch oporu miał być tak przemyślany i zorganizowany. Zniesiono tu wszystko, co mogło być potrzebne. Były tu łóżka i prowizoryczne łazienki, wodociąg i całe mnóstwo małych piecyków naftowych. Broń, żywność, lekarstwa - wszystkie te skarby ukryto pod Montparnasse, w jamach i tunelach wrytych w wapieniu. Zrozumiałam, że kiedy wróg dotrze do Paryża, wielu ludzi nie wyjedzie z miasta, ale przeniesie się do tych komór i podejmie walkę.

Obejrzałam kilka cel, po czym weszłam do jakiejś zawilgoconej komórki, nie tyle kolejnego magazynu, ile ciasnego pokoiku wykutego w miękkim wapieniu. Było tam wiele przedmiotów, które widziałam wcześniej w gabinecie doktora Raphaela, więc domyśliłam się, że trafiłam do prywatnej kwatery Valków. W rogu stał stół zastawiony książkami, nakryty ciężkim brezentem. Światło lampy omiotło zakurzony pokoik.

Znalazłam tekst bez specjalnego zachodu, ale zdziwiłam się, że nie była to książka, tylko notatnik, dosłownie plik spiętych kartek. Był nie większy od broszury, ręcznie zszyty, w zwyczajnej oprawie. Leciutki jak naleśnik, niepozorny - trudno było uwierzyć, że może zawierać coś ważnego. Otworzyłam go. Zobaczyłam odręcznie spisany, poplamiony tekst, naniesiony atramentem na papier drukarski. Każda litera została wydrapana na kartce pod nierównym naciskiem nieuważnej dłoni. Musnęłam linijki palcem, poczułam wgniecenia na papierze. Wytarłam notatnik z kurzu i przeczytałam tytuł: Notatki z pierwszej wyprawy angelologicznej w roku 925 AD poprowadzonej przez czcigodnego ojca Cłematisa z Tracji. Z łaciny przełożył i przypisami opatrzył dr Raphael Walko.

Pod tytułem w mięsisty papier wtłoczono złotą pieczęć z wizerunkiem liry - nigdy wcześniej nie widziałam tego symbolu, ale domyślałam się, że to właśnie on jest sercem naszej misji.

Przycisnęłam notatnik do piersi w przypływie nagłego przerażenia, że rozplynie się, zanim zdążę go przejrzeć.

Postawiłam lampę na podłodze obok gładkiej wapiennej ściany i usiadłam. Światło padało na moje palce. Otworzyłam notatnik, a pismo doktora Raphaela wydało się wyraźniejsze. Zaczęłam czytać. Od pierwszego słowa lektura pochłonęła mnie bez reszty.

### **Notatki z pierwszej wyprawy angelologicznej w roku 925 AD poprowadzonej przez czcigodnego ojca Cłematisa z Tracji**

#### **Z łaciny przełożył i przypisami opatrzył dr Raphael Valko**

##### **I**

Błogosławieni niech będą słudzy Jego Boskiej wizji na Ziemi! Niech Pan, który posiał ziarno naszej misji, doprowadzi do jej urzeczywistnienia!

##### **II**

Z mułami objuczonymi zapasami, z duszami lekkimi od nadziei, rozpoczynamy podróż przez prowincje Hellady i potężną Morię aż do rzymskiej Tracji. Drogi, dobrze utrzymane, wzniesione przez Rzymian, świadczyły, żeśmy dotarli do świata chrześcijańskiego. Jednakże mimo złoceń cywilizacji pozostało zagrożenie kradzieżą. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz postawiłem stopę w górskiej ojczyźnie ojca i ojca jego ojca. Mój rdzenny język zabrzmiał zapewne obco, bom przyzwyczajony do języka Rzymu. Kiedy miniemy większe osady i rozpoczniemy wspinaczkę, obawiam się, że nie ochronią nas nawet moje szaty i Pieczęcie Kościoła. Modlę się, abyśmy podczas przeprawy nie spotkali wielu wieśniaków na górskich ścieżkach. Nie mamy broni, byłibyśmy skazani na łaskę i niełaskę nieznajomych.

##### **III**

Przeprawiając się w górę, przystanęliśmy na skraju drogi, a wówczas brat Franciszek, jeden z najbardziej gorliwych badaczy, podzielił się ze mną niepokojem, który prześladowa go w związku z naszą misją. Wziął mnie na stronę i wyznał, że lęka się, iż nasza misja jest dziełem ciemnych duchów, iż ciemne anioły uwiiodły nasze umysły. W swym niepokoju nie był osamotniony. Wielu braci wyrażało niepewność co do naszej wyprawy, ale słowa Franciszka zmroziły mi duszę. Miałem dopytać o przyczynę jego uczuć, słuchałem jego lęków, świadom, że wypowiedane słowa są jeszcze jedną oznaką

wyczerpania znojem poszukiwań. Otworzyłem uszy na jego troski, wziąłem je na siebie, by ulżyć jego zrozpaczonej duszy. Taki ciężar i odpowiedzialność spoczywają na starszym bracie. Moja rola jest teraz tym ważniejsza, że przygotowujemy się do zapewne najtrudniejszej dotychczas podróży. Odrzuciwszy pokusę dysputowania z bratem Franciszkiem, pozostałe godziny mozolnej przeprawy strawiłem w milczeniu.

Później, w samotności, próbowałem zrozumieć niepokój brata Franciszka, modliłem się o przewodnictwo i mądrość, aby być mu pomocą w pokonaniu wątpliwości. Wiadoma to rzecz, że nasze ostatnie ekspedycje poniosły klęskę. Jestem przekonany, że wkrótce się to zmieni. A jednak prześladowuje mnie w myślach sformułowanie, którym posłużył się Franciszek - „braterstwo marzycieli”. Moją nieprzejednaną wiarę w naszą misję zaczyna osłabiać najlżejszy powiew niepewności. A jeśli, zastanawiam się, nasze wysiłki dowodzą lekkomyślności? Skąd możemy mieć pewność, że nasza misja jest miła woli Boga? Zasiane w moim umyśle ziarno niewiary bez trudu ścieram na proch, gdy myślę o tym, jak potrzebna jest nasza praca. Walka zaczęła się wiele pokoleń temu i będzie trwała przez wiele pokoleń po nas. Mimo strat, jakie ponieśliśmy ostatnio, trzeba zachęcać młodych. Strach jest nieuchronny. To naturalne, że zapadł im w pamięć incydent z Roncevalles, który wszyscy przecież zgłębialiśmy. Ale moja wiara nie pozwala mi wątpić, że to Bóg stoi za naszymi wysiłkami, że to on daje siłę ciałom i duszom, abyśmy wspinali się wyżej i wyżej, aż na górę. Wytrwam w wierze, że wkrótce pośród nas odżyje nadzieja. Trzeba ufać, że ta podróż, w odróżnieniu od poprzednich, pochopnie podjętych, okaże się sukcesem<sup>21</sup>.

#### IV

Czwartej nocy podróży, kiedy z ognia ostały się jedynie węgielki, a nasza skromna kompania, posiliwszy się, siedziała razem, dysputa zesłała na dzieje naszych wrogów. Jeden z młodszych braci zapytywał, jak to się stało, że nasze ziemie, od krańca Iberii po góry Ural<sup>22</sup>, zasiedliło ciemne nasienie aniołów i ludzi. Jak to się stało, że my, pokorni słudzy Boga, zostaliśmy wezwani, by oczyścić Ziemię Pana? Brat Franciszek, którego melancholia tak bardzo mnie zafrapowała, zastanawiał się głośno, czemu Bóg przyzwolił złu na zachwaszczenie swojego królestwa. Jak, pytał, czyste dobro może istnieć w obecności czystego zła? Kiedy przeto wieczór stawał się coraz chłodniejszy, a na nocnym niebie zawisł zamarznęty księżyc, pouczyłem naszą grupę o tym, jak diabelskie nasienie zakiełkowało na świętej ziemi. Kiedy ustąpiły wody potopu, synowie i córki Jafeta czysto ludzkiego pochodzenia oddzielili się od fałszywych synów i córek pochodzenia anielskiego, tworząc dwie gałęzie jednego drzewa: jedną czystą, drugą zatrutą, jedną słabą, drugą silną. Rozproszyli się, podążając szlakami morskimi na północ i południe, i zaludnili urodzajne ziemie wokół zatok. Wielkie grupy przemierzyły góry Europy i osiedliły się niczym nietoperze w najwyższych regionach kontynentu. Cumowały u skalistych wybrzeży i przepastnych, żyznych równin, przywierały do brzegów koryt rzecznych - Dunaju, Wołgi, Renu, Dniestru, Ebro, Sekwany - aż całą ziemię wypełniło nasienie Jafeta i Jafeta-oszusta. W miejscach, w których wędrowcy odpoczywali, rosły osady. Obie grupy mimo wspólnego pochodzenia dzieliła głęboka nieufność. Okrucieństwo, chciwość i siła fizyczna nefilimów przesądziły o stopniowym zniewoleniu przez nich ludzkich braci. Europa, jak twierdzili olbrzymi, należała się im na mocy urodzenia.

Pierwsze pokolenie splamionych dziedziców Jafeta żyło w wielkim dostatku i szczęśliwości, dominując nad każdą rzeką, górą i równiną, sprawując niewzruszoną władzę nad słabszymi braćmi. Minęły jednakże dziesięciolecia, a ich rasa wykształciła wadę, ostrą jak rysa na migocącej tafli lustra. Przyszło na świat dziecię słabsze od innych - było maleńkie, a kwiliło tak cicho, jakby nie miało siły nabrać tchu w słabe płuca, by głośno zapłakać. Dziecko rosło - okazało się mniejsze od innych, wolniejsze, a nadto zapadało na nieznane ich rasie choroby. Było to dziecko ludzkie, zrodzone na podobieństwo swoich prapraprababek, córek człowieczych. Po czuwających nie odziedziczyło niczego - ani piękna, ani siły, ani żadnej z cech anielskich. Kiedy osiągnęło dorosłość, zostało ukamienowane.

Przez wiele pokoleń owego potomka uważano za anomalię. Ale oto Bóg postanowił zaludnić ziemię Jafeta własnymi dziećmi. Ożywił Ducha Świętego ponad ugorami i raz po raz posyłał nefilimom ludzkie dzieci. Z początku najczęściej umierały w niemowlęctwie. Z czasem nefilimowie nauczyli się dbać o słaby przychówek, zapewniali mu opiekę aż do trzeciego roku życia i dopiero wówczas pozwalali dołączyć do silniejszych dzieci. Jeśli ludzkim potomkom udawało się osiągnąć wiek dojrzały, byli oni o cztery głowy niżsi od rodziców. Starzeli się, w trzeciej dekadzie życia słabli, przed ósmą zwykle ponosili śmierć. Ludzkie córki nefilimów umierały przy porodach. Choroby wymagały rozwoju lecznictwa, ale mimo jego postępu ludzie dożywali tylko ułamka wieku, który osiągalni ich bracia nefilimowie. Niezlomne królestwo nefilimów zostało zanieczyszczone.

Z czasem ludzkie dzieci zaczęły się łączyć z innymi ze swojego rodzaju, i tak rasa ludzka wzrastała obok nefilimowej. Pomimo fizycznej ułomności dzieci Jafeta czystej krwi przetrwały pod rządami nefilistycznych braci. Niekiedy

<sup>21</sup> Do incydentu na przełęczy Roncevalles doszło podczas wyprawy badawczej w Pirenejach w roku 778 n.e. O ekspedycji niewiele wiadomo, poza tym, że większość jej członków zginęła w zasadzce. Według relacji świadków, badacze zaatakowali olbrzymi o nadludzkiej sile, niespotykanej broni i o olśniewającej powierzchowności - charakterystyka ta idealnie współgra ze współczesnymi portretami nefilimów. W jednym ze świadectw pojawia się wzmianka o skrzydlatych istotach, które opadły na olbrzymów w blasku ognia, co może sugerować kontratak archaniołów - badacze z pasją analizowali tę sugestię, jej prawdziwość bowiem byłaby potwierdzeniem trzeciej angelofoanii w celach bojowych. Odmienną wersję tego wydarzenia zawiera Pieśń o Rolandzie, świadectwo, które różni się zasadniczo od przekazów angelologicznych.

<sup>22</sup> Poszukiwania artefaktów i relikwii, prowadzone przez czcigodnych ojców w Europie, zostały dobrze udokumentowane w dziele Frederica Bonna *Święte misje czcigodnych ojców*, 925-954 n.e., w którym zawarto kopie stosowanych podczas tego typu wypraw map, znaków i wyroczni

dochodziło do zawierania związków małżeńskich między członkami obu grup - ponieważ jednak powodowało to dalszą hybrydyzację rasy, raczej do takich rozwiązań zniechęcano. Nefilimowie, którym rodziło się ludzkie dziecko, pozostawiali je poza murami miasta, gdzie umierało pośród ludzi na skutek działania żywiołów. Kiedy z kolei ludziom rodziło się nefilimowie, odbierano ich rodzicom i asymilowano z rasą panów.

Wkrótce nefilimowie zamknęli się w zamkach i dworach. Wznosili granitowe obwarowania wokół swoich kryjówek na górskich szczytach, przybytków luksusu i władzy. Dzieci Boga, choć podległe nefilimom, otrzymały błogosławieństwo. Umysły miały bystre, dusze - silne, wolę - niezłomną. W czasach gdy dwie rasy żyły obok siebie, nefilimowie skryli się za bogactwem i fortyfikacjami. Ludzie cierpiący, żyjący w nędzy i nękani przez choroby, zostali niewolnikami niewidzialnych, potężnych panów.

## V

Wstaliśmy o świcie i przez wiele godzin szliśmy stromą ścieżką na szczyt góry. Słońce wychylało się zza potężnych, skalistych szczytów, rzucając cudowną złotą poświatę na cały świat stworzony. Dzięki upartym mułom, grubym, skórzanym sandałom i doskonałej pogodzie pokonaliśmy drogę w dobrym czasie. W połowie poranka ponad urwiskiem wyrosła wioska kamiennych górskich chat, krytych warstwami pomarańczowego łupka. Zerknąwszy na mapę, przekonaliśmy się, że oto dotarliśmy na szczyt, w pobliże wąwozu, który miejscowi nazywają Gyaurskoto Burlo.

Znaleźliśmy schronienie w domu wieśniaka: umyliśmy się, pozywili i odpoczęli, i wnet zaczęliśmy rozpytywać o przewodnika, który poprowadzi nas do jaskini. Niezwłocznie sprowadzono pasterza. Był niski, przysadzisty - jak to traccy górale - brodę miał posiwiąłą, ale ciało silne. Słuchał uważnie, kiedy mówiłem mu o naszej misji. Wydał mi się inteligentny, wymowny i chętny, choć twardo zaznaczył, że zabierze nas tylko do wąwozu, nie dalej. Po chwili uzgodniliśmy cenę. Obiecał następnego ranka dostarczyć nam sprzęt i zaprowadzić na miejsce.

Omówiliśmy to podczas posiłku złożonego z chleba i suszonego mięsa - proste, sycące pożywienie miało zapewnić nam siłę w dniu następnym.

Rozłożyłem na stole pergamin, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Bracia pochylili się nad stołem, wpatrując się w słabym świetle w nakreślony atramentem szkic.

- To tu - wskazałem na mapie pas ziemi aż po oznaczony ciemnoniebieskim tuszem klin góry. - Powinniśmy dotrzeć tam bez kłopotu.

- Ale - jeden z braci pochylił się nad stołem tak nisko, że omiatał go zmierzwioną brodą - czy możemy być pewni, że to właściwa lokalizacja?

- Tu je widziano - poświadczyłem.

- Ale to było dawnymi czasy - rzekł brat Franciszek. - Wieśniacy patrzą na wszystko inaczej. Ich rewelacje prowadzą zwykle donikąd.

- Twierdzą, że je widzieli.

- Gdybyśmy traktowali poważnie wszystkie niezwykle opowieści górali, to zwiedzielibyśmy każdą, co do jednej, wioskę w Anatolii.

- Moim skromnym zdaniem, tutejsze relacje są warte uwagi - odparłem. - Według naszych braci z Tracji otwór jaskini opada stromo w otchłań. W głębinie płynie podziemna rzeka, tak jak głosi legenda. Wieśniacy twierdzą, że słyszeli dochodzące z otchłani dźwięki.

- Dźwięki?

- Muzykę - uściśliłem, bacząc, aby zachować ostrożność w swoich zapewnieniach. - Wieśniacy biesiadują u wylotu jaskini, gdzie słyszą każdy dobiegający ze środka szmer. Mówią, że ta muzyka ma nadzwyczajną moc. Chorzy zdrowieją. Ociemniałym wraca wzrok. Chromi odzyskują sprawność.

- Zdumiewające - rzekł brat Franciszek.

- Muzyka pobrzmiewa z głębin ziemi. To ona nas poprowadzi.

Mimo wiary w naszą misję moja ręka drży na myśl o zdradzieckiej otchłani. Lata przygotowań umocniły moją wolę, jednakże perspektywa porażki napawa mnie lękiem. Jakże przesładują moją pamięć porażki z przeszłości! Jakże nawiedzają moje myśli bracia, którzy oddali życie! Niezachwiana wiara każe mi iść do przodu, balsam łaski Bożej koi niepokój mojej duszy<sup>100</sup>. Jutro o wschodzie słońca opuścimy się w otchłań.

## VI

Kiedy świat na powrót kieruje się w stronę słońca, zepsuta ziemia wraca do światła Łaski. Tak jak gwiazdy rozświetlają czarne niebo, tak przyjdzie dzień, gdy dzieci Boże powstaną z mgły niesprawiedliwości, koniec końców wolni od diabelskich panów.

## VII

W ciemności mej rozpaczę zwracam się do Boecjusza, tak jak oko zwraca się do płomienia - Panie, straciłem skarb w czeluści Tartaru.

## VIII

Jestem człowiekiem opuszczonym. Dozywam ze splekanych warg głos, który dudni głucho w moich uszach. Ciało leży połamane, nadwęglone, pokryte ropiejącymi wrzodami. Nadzieja - ten ulotny, płochy anioł, na którego skrzydłach się uniosłem, by wypełnić swój nędzny los - została zmiażdżona. Siłą woli otwieram strawione ogniem, osmalone usta, by wyjawić koszmar, jakiego byłem świadkiem. Tobie, przyszły poszukiwaczu wolności, przyszły sprzymierzeńcu sprawiedliwości, powierzam opowieść o swej niedoli.

Poranek owego dnia naszej wyprawy był chłodny i pogodny. Jak zwykle obudziłem się kilka godzin przed wschodem słońca i pozostawiwszy towarzyszy pogrążonych we śnie, zaszedłem do niewielkiej chaty z paleniskiem. Gospodyni krzątała się w skromnym pomieszczeniu, łamała gałęzie i dorzucała do ognia. Nad płomieniem gotowała się kasza. Chcąc być pomocny, zaoferowałem, że pomieszam w garnku - przy okazji mogłem się ogrzać. Kiedy tak stałem nad paleniskiem, spłynęły na mnie wspomnienia z dzieciństwa. Przed pięćdziesięciu laty jako ciliło piec o ramionach chudych jak gałązki pomagałem matce przy tym samym domowym zajęciu, słuchałem, jak nuci, płucząc ubrania w cebrze czystej wody. Matka - jakże dawno nie rozmyślałem o jej dobroci. A ojciec, miłujący Księgę i oddany Panu - jak przeżyłem tyle lat, nie wspominając jego łagodności?

Myśli prysły, kiedy nad palenisko zeszli się bracia zanęceni pewnie wonią gotującej się stawy. Wspólnie zjedliśmy posiłek. Przy świetle ognia spakowaliśmy do toreb sznury, dłuta, młotki, weliny i atrament, ostre noże z najlepszego stopu i zwoje bawełny do opatrunków. Kiedy wzeszło słońce, pożegnaliśmy gospodarzy i wyruszyliśmy na spotkanie z przewodnikiem.

W dalekim końcu wioski, gdzie ścieżka wiła się niestrudzenie rosnącymi, kamiennymi schodkami, czekał na nas pasterz - przez ramię miał przewieszoną wielką tkaną torbę, w ręku dzierzył gładką laskę. Skinął głową na powitanie, odwrócił się i zaczął się wspinać, ciało miał sprężyste i silne jak kozica. Był tak oszczędny w słowach, a wyraz twarzy miał tak ponury, że spodziewałem się, iż zaniecha swojej powinności i gdzieś w drodze nas porzuci. On jednak szedł powoli, miarowo, wiedząc nas ku wąwozowi.

Może z powodu ocieplenia, a może z powodu sytego śniadania, rozpoczęliśmy wędrówkę w dobrych nastrojach. Bracia rozmawiali, nazywali odmiany rosnących wzdłuż drogi dzikich kwiatów, podziwiali rozmaitość drzew - brzoź, świerków, cyprysów. Ich pogodne nastroje przyniosły mi ulgę, rozwiały chmury wątpliwości sponad naszej misji. Wszystkim nam ciążyła melancholia minionych dni. Zaczęliśmy nowy dzień z nowym duchem. Sam odczuwałem wprawdzie dręczący niepokój, ale nie dawałem tego po sobie poznać. Gromki śmiech braci zaraził mnie wesołością i wkrótce wszyscy szliśmy radośni, z lekkim sercem. Nie mogliśmy wiedzieć, że nikomu z nas nigdy już nie będzie dane słyszeć śmiechu.

Pasterz przez pół godziny prowadził nas pod górę, po czym wszedł w brzozowy zagajnik. Przez listowie zobaczyliśmy wylot jaskini - wcinął się głęboko w solidną, granitową ścianę. Powietrze w jaskini było chłodne i wilgotne. Ściany porastał kolorowy grzyb. Brat Franciszek wskazał na liczne, pokryte malowidłami amfory ustawione u wejścia - naczynia o cienkich szyjkach i bulwiastych brzuścach wyglądały wytwornie jak stado łabędzi. W większych naczyniach była woda, w mniejszych nafta - przyszło mi na myśl, że jaskinia służyła za prymitywne, prowizoryczne schronienie. Pasterz potwierdził moje domysły, choć nie potrafił powiedzieć, coż to za śmiałek szukał wytchnienia w górach, z dala od cywilizowanego świata, ani jakąż to potrzebą się kierował.

Bez dłuższego namysłu przewodnik wyjął rzeczy z torby. Położył na ziemi dwa grube, żelazne kołki, drewniany młotek i drabinkę sznurową. Drabina była imponująca, młodszy bracia stanęli wokół, żeby się jej przyjrzeć. Dwa długie sznury splecione z konopi były połączone metalowymi szczeblami, przytwierdzonymi za pomocą bolców. Kunszt jej wytwórcy nie budził wątpliwości. Była mocna i lekka. Zobaczywszy ją, począłem podziwiać pracowitość naszego przewodnika.

Drewnianym młotkiem pasterz wbił w skałę żelazne bolce. Następnie metalowymi klamrami przypiął do nich drabinę. Te małe sprzączki, nie większe od monet, zapewniły drabinie stabilność. Pasterz skończył mocowanie, zrzucił drabinę w czeluść i cofnął się o krok, jakby z podziwu, że opadła tak głęboko. Poniżej rozbrzmiewał huk rozbijającej się o skały wody.

Przewodnik objaśnił, że pod górą przepływa rzeka, przecina korytem skałę, rozlewa się w baseny i strumienie, rośnie, po czym opada gwałtownie wodospadem do wąwozu. Rzeka wije się parowem, znów opada w labiryncie podziemnych jaskiń, za którymi wylania się na powierzchnię ziemi. Wieśniacy, wedle słów przewodnika, nazywają rzekę Styksem, a przy tym wierzą, że dno wąwozu usłane jest ciałami zmarłych. Twierdzą, że wlot jaskini to wejście do piekła, samą jaskinię zaś zwą Więzieniem Niewiernych. Im więcej przewodnik mówił, tym bardziej na jego twarzy rósł lęk - był to pierwszy znak, że może się obawiać kontynuowania podróży. Przynagliłem go, uznawszy, że czas już zejść do jaskini\*.

## IX

Nie sposób wyrazić radości, jaka ogarnęła nas po znalezieniu zejścia do otchłani. Chyba tylko Jakubowi podczas wizji pochodzącego Boskich Posłańców drabina mogła wydać się wspanialsza niż nam w owej chwili. Aby wypełnić Boży cel, musieliśmy opuścić się w straszliwą ciemność głębokiego dołu, ufając w Bożą opiekę i Łaskę. Schodziłem po lodowatych stopniach drabiny, a w moich uszach rozbrzmiewał huk wody. Szybko stawiałem kroki, podając się potężnemu przyciąganiu głębin, ręce ślizgały mi się na wilgotnym, chłodnym metalu, kolanami uderzałem o skałę. Serce przepełnił strach. Wyszptałem modlitwę, błagając o ochronę, siłę i przewodnictwo w obliczu nieznanego. Mój głos zginął w wirze ogłuszających grzmotów wodospadu.

Ostatni schodził pasterz - pojawił się na dole po kilku minutach. Otworzył torbę, wyjął woskowe świece oraz hubkę

1 krzesiwo, żeby je zapalić. Po chwili staliśmy w jaśniejącym kręgu. Było chłodno, a jednak czoło miałem zroszone potem. Złączyliśmy ręce i pomodliliśmy się, ufni, że nawet z tej najgłębszej, najciemniejszej szczeliny piekła Pan usłyszy nasze głosy.

Uniosłem sutannę i ruszyłem ku brzegowi rzeki. Pozostali podążyli moim śladem, przewodnik został przy drabinie. W oddali grzmiały kaskady gorącej, niewyczerpanej wody. Przez środek jaskini płynęła rzeka korytem tak szerokim, jakby Styks, Phlegethon, Acheron i Kokytos - rozgałęzione rzeki piekieł - połączyły się w jedną. W kłębiącej się mgłę pierwszy dostrzegł czółno brat Franciszek. Zebraliśmy się nad jego dziobem i poczęliśmy rozważać dalszą przeprawę. Za nami ciągnęło się kamienne dno jaskini, dalej czekała drabina. Przed nami, po drugiej stronie rzeki, ujrzyliśmy nisze skalne przypominające plaster miodu. Decyzja była oczywista: przepławiamy się przez zdradliwą rzekę, aby zbadać drugi brzeg.

Było nas pięciu, a wszyscy słusznej wagi, zacząłem się zatem obawiać, że w wąskim czólnie się nie pomieścimy. Wszedłem do łodzi, trzymając się prosto, choć gwałtownie kołysała się na falach. Nie miałem złudzeń, że gdyby się wywróciła, bezlitosny prąd porwałby mnie w labirynt skał. Chybocząc się, odzyskałem równowagę, usiadłem bezpiecznie za sterem. Dołączyli do mnie pozostali bracia i wkrótce wyruszyliśmy. Brat Franciszek popychał czółno długim, drewnianym kijem w stronę drugiego brzegu. Rzeka prowadziła nas coraz dalej i dalej od wejścia jaskini, ku naszej zgubie.

## X

Istoty uwięzione w skalnych celach zaczęły syczeć na nasz widok jak jadowite węże, wpatrywały się w nas okrutnymi błękitnymi oczami, biły potężnymi skrzydłami w kraty cel. Setki niepokornych, ciemnych aniołów rwały lśniące, białe szaty, błagając o ratunek, błagając nas, posłańców Boga, byśmy ich uwolnili.

## XI

Bracia padli na kolana, sparaliżowani rozgrywającym się na naszych oczach przeraźliwym widowiskiem. W głębi górskiej rozpadliny, rozciągającej się jak okiem sięgnąć, znajdowały się niezliczone cele więzienne, a w nich setki majestatycznych istot. Podeszedłem bliżej, próbując pojąć, co widzę. Nieziemskie istoty były tak przepełnione światłością, że gdy spróbowałem spojrzeć w głąb jaskini, musiałem odwrócić wzrok. Aliści tak, jak pragnie się przejrzyć płomień, paląc przy tym oczy najbledszym, błękitnym językiem ognia, tak i ja pragnąłem na nie patrzeć. Wreszcie zrozumiałem, że w każdej wąskiej celi przetrzymywany jest jeden skrępowany więziami anioł.

Brat Franciszek złapał mnie za ramię, przerażony, błagał, byśmy wracali do łodzi. Wpadłszy w ferwor, nie usłuchałem. Obróciłem się twarzą do pozostałych, nakazałem im wstać z klęczek i iść za mną.

Kiedy weszliśmy do więzienia, jęki ustały. Anioły wpatrywały się w nas zza grubych, żelaznych krat, ich wybałuszone oczy obserwowały każdy nasz ruch. To, jak bardzo pragnęły wolności, nie było zaskoczeniem: przykute do cel czekały na uwolnienie od tysięcy lat. Pod żadnym jednak względem nie były wynędzniałe. Ich ciała emanowały intensywnym blaskiem, złotym światłem, które wylaniało się z ich przezroczystej skóry i otaczało je złotą poświatą. Fizycznie górowały nad ludźmi: były wysokie, wytworne, skrzydła okrywały je od ramion po stopy niczym lśniące, białe peleryny. Ich piękna nie mogłem przyrównać do niczego, co wcześniej widziałem bądź o czym śniłem. Pojąłem, dlaczego te niebiańskie istoty uwiodły córki człowiecze i dlaczego nefilimowie pysznili się swoim dziedzictwem. Zagłębiłem się we mgłę, mój niepokój rósł z każdym krokiem, raptem uświadomiłem sobie, że zesłaliśmy w tę otchłań, aby wypełnić cel, którego nikt z nas nie przewidział. Dotąd sądziłem, że naszą misją jest odzyskanie anielskiego skarbu, ale wtem dotarła do mnie straszliwa prawda: zesłaliśmy w głębiny, by uwolnić Zbuntowane Anioły.

Z obskurnej celi wyłonił się anioł o bujnych, złotych włosach. Trzymał w ręku lśniącą lirę, o okrągłym, pustym brzuścu. Uniósł ją i szarpnął za struny, a jaskinię wypełniła cudowna, nieziemska muzyka. Nie umiem rzec, czy to ze względu na echo, czy to z powodu jakości instrumentu dźwięk był tak głęboki, tak soczysty - czarowna melodia całkiem opanowała moimi zmysłami, zdawało mi się, że ze szczęścia postradam rozum. Po chwili anioł zaczął śpiewać, jego głos wznosił się i opadał wraz z dźwiękami liry. Powoli do chóru dołączali inni, wszystkie głosy tworzyły muzykę niebios, wyśpiewywaną przez nieprzebraną rzeszę, jak ta, którą opisał Daniel, dziesięć tysięcy po dziesięć tysięcy aniołów. Staliśmy, skamieniali, zupełnie bezbronni wobec potęgi niebiańskiego chóru. Melodia wryła mi się w umysł. Słyszę ją nawet teraz.

Z miejsca, w którym się zatrzymałem, wpatrywałem się w anioła. Ostrożnie uniósł długie, szczupłe ramiona i rozpostarł potężne skrzydła. Podeszedłem do drzwi jego celi i wyjąłem z zatrasku zardzewiały hak, a wtedy on z siłą, która powaliła mnie na ziemię, rozwarł drzwi celi i wyszedł na zewnątrz. Biła od niego wielka radość: był wolny.

Uwięzione anioły ryczały w swoich zamknięciach, zawistne wobec triumfu brata, występne, wygłodniałe stwory domagały się uwolnienia.

Bez reszty zafrapowany widokiem aniołów, nie od razu spostrzegłem efekt, jaki muzyka wywarła na moich towarzyszach. Raptem, zanim zdążyłem pojąć, że demoniczna melodia zakłęła jego umysł, brat Franciszek pobiegł w stronę anielskiego chóru. Oszalały, padł przed aniołem na kolana. Anioł wypuścił lirę z rąk, tym samym gwałtownie urywając subtelne tony, i dotknął oszołomionego brata Franciszka, spowijając go światłem tak gęstym, że nieszczęśnik wyglądał jak zanurzony w brzozi. Ciężko dysząc, Franciszek padł na ziemię. Przysłaniał oczy, gdy potężna światłość przyżęgała mu ciało. Zdjęty zgrozą patrzyłem, jak rozplywa się jego szata i topi ciało, jak z mego druha pozostają



zwęglone mięśnie i kości. Brat Franciszek, który zaledwie kilka chwil wcześniej trzymał mnie kurczowo za ramię i błagał, abyśmy wrócili do czółna, zginął rażony jadowitym światłem anioła.

## XII

Chwile tuż po śmierci brata Franciszka to wszechogarniający chaos. Pamiętam syczenie aniołów z cel. Pamiętam poczarne zwłoki Franciszka, które czerniały i rozkładały się na moich oczach. Reszta ginie w mroku. Nie wiem, jakim sposobem lira anioła - skarb, po który przyszliśmy do jaskini - znalazła się w moich rękach. Pospiesznie ująłem instrument w osmalone dłonie i ukryłem bezpiecznie w torbie.

Nagle znalazłem się na dziobie drewnianej łodzi. Szatę miałem podartą i postrzępioną. Ból przenikał mnie na wskroś.

Od ramion odpadało mi mięso, odrywało się krwawymi, szerniałymi płatami. Kępy brody spłonęły aż po skórę.

Dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, że podobnie jak brata Franciszka, dosięgła mnie straszliwa świetlistość anioła.

Podobny los spotkał także innych braci. Dwaj rozpaczliwie odpychali czółno kijami. Stali w osmalonych szatach, potwornie poparzeni. Ostatni członek naszej wyprawy leżał martwy u moich stóp, z rękami przyciśniętymi do twarzy, jakby umarł z przerażenia. Przeprawiwszy się na drugi brzeg, pobłogosławiliśmy umęczonego brata i wyszliśmy na ląd, zostawiając kołyszącą się na falach łódź.

## XIII

Ku naszemu przerażeniu zabójczy anioł stał na brzegu i oczekiwał naszego przybycia. Spokój malował się na jego pięknej twarzy, jakby wstał wypoczęty z głębokiego snu. Na widok tej istoty bracia padli na ziemię, modląc się i zanosząc błagania, raptem porażeni grozą, bo anioł był cały ze złota. Mieli powód się lękać. Anioł zwrócił na nich jadowite światło i zabił ich tak, jak brata Franciszka. Padłem na kolana, by modlić się o ich zbawienie, świadom, że zginęli w godnej sprawie. Sam zaś wiedziałem, że nikt mi nie pomoże. Pasterz zbiegł, porzucając nas w wąwozie, zostawił tylko plecioną torbę i drabinę. Gorzka była to zdrada. Tak bardzo potrzebowaliśmy jego pomocy.

Anioł przyjrzał mi się wzrokiem tak jałowym, jakby był ledwie wiatrem. Dobył z siebie głos piękniejszy od jakiegokolwiek muzyki. Wprawdzie nie znałem języka, w jakim przemawiał, ale bez trudu go zrozumiałem. Rzekł: „Oto drogo okupiliśmy wolność. Otrzymasz przeto wielką nagrodę, w niebie i na ziemi”.

Obrazoburcze słowa poruszyły mnie do głębi - oto ten szatan śmiał mi obiecywać niebiańską nagrodę. Ogarnięty niepohamowanym gniewem rzuciłem się na niego i powaliłem na ziemię. Mój wybuch ogromnie go zaskoczył i dał mi przewagę, z której bez wahania skorzystałem. Anioł był co prawda potężny, ale tak jak ja był tylko istotą cielesną, stworzoną z takiej materii, jak moje ciało. W jednej chwili szarpnąłem go za potężne skrzydła, chwytając za ich wyrostki na nagiej, delikatnej skórze pleców.

Trzymając za ciepłą kość u podstawy skrzydeł, rzuciłem świetlistą istotę na zimną, twardą skałę. Musiała ogarnąć mnie pasja, bo za nic nie pamiętam, jak to zrobiłem. Wiem tylko, że gdy mocowałem się, by go nie wypuścić, gdy gotów byłem zrobić wszystko, aby zbiec z otchłani, Bóg pobłogosławił mnie nienaturalną siłą w walce z bestią. Szarpnąłem za skrzydła z dzikością, o którą nie podejrzewałem swoich starych rąk. Usłyszałem trzask, jakbym skruszył cienkie szkiełko. Anioł wydał z siebie miękkie tchnienie, które uleciawszy, pozostawiło go bezbronnego u moich stóp.

Popatrzyłem na ranną istotę. Wyrwane skrzydło sterczało krzywo z rozszarpanego, różowego ciała. Anioł wił się w agonii, z ran na plecach sączył się blady, błękitny płyn. Jego płuca przeraźliwie zachrypiały, jakby płyny wewnętrzne zmieszały się w truciznę. Pojąłem, że przekłeta istota się dusi i że jest to skutek urazu skrzydła<sup>23</sup>. Jego oddech zamarł. Myśl o gwałtowności, jaką okazałem wobec niebiańskiego stworzenia, stała się nagle niewyobrażalną męczarnią, padłem przeto na kolana i błagałem Pana o litość i wybaczenie, zadałem bowiem śmierć jednemu z najwspanialszych Jego stworzeń.

Niespodziewanie moich uszu dobiegł słaby okrzyk - wołał mnie klęczący za skałą pasterz. Przez dłuższy czas machał do mnie, żebym poszedł za nim, ale do mnie nie docierało, że chce mi pomóc. Wreszcie podczołgałem się na tyle szybko, na ile pozwalało mi zdeformowane ciało, i oddałem się w ręce pasterza, który, dzięki łasce Boga, pozostał silny i krzepki. Drżąc, wziął mnie na plecy i wyniósł z jaskini<sup>24</sup>.

Po przeczytaniu tłumaczenia relacji czcigodnego Clematisa ogarnęły mnie nieopisane, mieszane uczucia. Drżały mi ręce, ale sama nie wiedziałam, czy z podekscytowania, czy strachu. Jedno wiedziałam jednak na pewno: lektura sprawozdania z ekspedycji całkowicie mnie oszołomiła. Przepelił mnie podziw dla odwagi Clematisa i zgroza wywołana opisem

<sup>23</sup>Fizyczne właściwości struktury skrzydeł anielskich zostały najpełniej omówione we wpływowej księdze z 1907 roku pt. Fizjologia lotu anielskiego - dzieło, którego niedoścignięte mistrzostwo w określeniu szkieletowych i pneumatycznych właściwości skrzydeł stało się probierzem wszystkich rozpraw na temat czuwających. O ile wcześniej sądzono, że wyrostki skrzydeł są jedynie zewnętrznymi zaczepami, utrzymywanymi wyłącznie siłą mięśni, o tyle obecnie przeważa opinia, że anielskie skrzydła są wyrosłą płucną, pełniącą dwojaką rolę: służą do latania oraz stanowią delikatny, zewnętrzny narząd oddechowy. W toku dalszych badań ustalono, że wyrostki skrzydeł biorą początek z naczyń włoskowatych w płucach, przy czym pogrubiają się i wzmacniają w miejscu, w którym łączą się z mięśniami pleców. W pełni wykształcone skrzydło jest skomplikowanym pod względem anatomicznym elementem układu, w którym dokonuje się przyswajanie tlenu i wydalanie dwutlenku węgla - służą temu drobne pęcherzyki w strzałkach piór. Szacuje się, że tylko około dziesięciu procent funkcji oddechowych zachodzi poprzez usta i przełyk, co oznacza, że skrzydła pełnią funkcję kluczową. Możliwe, że jest to jedyna ułomność ciał aniołów - pięta achillesowa doskonałego organizmu - słabość, którą z doskonałym skutkiem wykorzystał Clematis.

<sup>24</sup>Z ocalałych notatek Deopusa wynika, że Clematis zmarł, nie ukończywszy opowieści stąd raptowny koniec. <sup>1</sup> w

spotkania z czuwającymi. Tego, że człowiek zobaczył niebiańskie istoty, że dotknął ich świetlistego ciała, że usłyszał ich niebiańską muzykę - tej prawdy za skarby nie mogłam pojąć.

Nie wiem, czy to z powodu niedotlenienia w podziemnych kwaterach szkoły, w każdym razie odłożywszy notatnik, poczułam, że nie mogę oddychać. Zdawało mi się, że w ciągu kilku minut powietrze w pokoiku stało się cięższe, ciemniejsze, przytłaczające. Ciasna, bezwietrzna komora wryta w wilgotnym wapieniu zamieniła się w bezdenne, podziemne więzienie aniołów. Niemal spodziewałam się usłyszeć uderzające w brzeg fale rzeki albo potok niebiańskiej muzyki czuwających. Wiedziałam, że to tylko omamy, lecz czułam, że nie mogę zostać pod ziemią ani chwili dłużej. Zamiast odłożyć notes doktora Raphaela na miejsce, schowałam go do kieszeni spódnicy i uciekłam z podziemnego magazynu w cudowne, orzeźwiające powietrze na szkolnym korytarzu.

Było grubo po północy. Wiedziałam, że w szkole jest pusto, ale nie mogłam ryzykować, że ktoś mnie zobaczy. Szybko wyjęłam kamień z łuku ponad drzwiami, stanęłam na palcach, wsunęłam w zagłębienie klucz. Włożyłam kamień z powrotem, wepchnęłam, żeby nie wystawał, cofnęłam się o krok i popatrzyłam. Drzwi niczym nie wyróżniały się spośród setek innych w szkolnych budynkach. Nikt nie mógł podejrzewać, co kryje się za zwornikiem.

Wyszłam ze szkoły. Chłodną, jesienną nocą wracałam zwykłą trasą do mieszkania przy rue Gassendi w nadziei, że zastanę Gabriellę w sypialni i zadam jej kilka pytań. Ale w mieszkaniu panował mrok. Zapukałam do sypialni przyjaciółki, nikt się nie odezwał, więc poszłam do siebie, żeby raz jeszcze przeczytać tłumaczenie. Tekst wciągnął mnie bez reszty; zanim uświadomiłam sobie, co robię, czytałam go po raz trzeci, potem czwarty. Za każdym razem słowa czcigodnego Clematisa wywoływały we mnie nowe wątpliwości. Ogarnęło mnie niesprecyzowane uczucie, subtelny, ale uporczywy dyskomfort, którego nie potrafiłam nazwać, a który wraz z upływem nocy przeobraził się w obezwładniający niepokój. Coś w relacji zupełnie nie pasowało do moich wyobrażeń na temat pierwszej wyprawy, jakiś element opowieści nie chciał zgodzić się z wiedzą, którą dotychczas przyswoiłam. Po tak wyczerpującym dniu byłam przeraźliwie zmęczona, ale nie mogłam spać. Analizowałam kolejne etapy wyprawy jeden po drugim, próbując odnaleźć konkretny powód mojego niepokoju. Wreszcie, przeżywszy mękę Clematisa wiele, wiele razy, uświadomiłam sobie przyczynę swojego strapienia: poświęciłam na naukę tyle godzin, wysłuchałam niezliczonych wykładów, od miesięcy pracowałam w Ateneum, ale nie miałam pojęcia o roli instrumentu, który Clematis odkrył w jaskini. To lira była celem planowanej wyprawy i źródłem niepokoju w obliczu ekspansji hitlerowców, a jednak doktor Seraphina nie wyjaśniła mi jej znaczenia.

Tymczasem z relacji Clematisa jasno wynikało, że właśnie z jej powodu podjęto pierwszą wyprawę. Przypomniałam sobie, że na jednym z wykładów Valkowie wspomnieli o tym, że lirę podarował czuwającym archanioł Gabriel, ale nawet wówczas nie podjęli wątku jej znaczenia. Nie mogłam pojąć, czemu pomijali tak istotny szczegół. To, że lira mogła zaginać albo - jak wspomniał w przypisach Raphael - okazać się tworem wyobraźni, nie usprawiedliwiało milczenia. Moją frustrację dodatkowo pogłębiła świadomość, że Gabriella musiała czytać relację Clematisa o wiele wcześniej i w związku z tym znaczenie liry nie było dla niej tajemnicą. Czemu mnie nie obdarzono zaufaniem? Moje studia na Montparnasse nagle wydały mi się mocno podejrzanym. Clematis wspomniał, że „czarowna melodia całkiem opanowała jego zmysły, zdawało mu się, że ze szczęścia postrada rozum”, ale jakie były konsekwencje wysłuchania niebiańskiej melodii? Nie mogłam odpędzić myśli, że oto ci, którym ufałam najbardziej, ci, wobec których byłam bezwzględnie lojalna, oszukali mnie. Skoro zataili przede mną prawdę o lirze, to z pewnością mieli więcej tajemnic.

Głowiłam się nad tym wszystkim, kiedy nagle usłyszałam, że pod nasze okna zajeżdża samochód. Uchyliwszy zasłonę, ze zdumieniem stwierdziłam, że niebo rozjaśniła biała, szara poświata, barwiąc ulicę w dole mglistą zapowiedzią poranka. Noc minęła, a ja nie zmrużyłam oka. Ale nie tylko ja. W mroku zobaczyłam, jak z Citroëna traction avant wysiada Gabriella. Choć miała na sobie tę samą suknię, w której widziałam ją w Ateneum, a satyna, nadal migocząc, opływała jej ciało, to wygląd jej samej w ciągu tych kilku godzin radykalnie się zmienił. Miała potargane włosy, zapadnięte z wyczerpania ramiona. Zdjęła długie, czarne rękawiczki i teraz opatrunek na jej przedramieniu był doskonale widoczny. Odwróciła się w stronę budynku, oparła o samochód i jakby nie wiedząc, co ze sobą zrobić, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Po chwili z auta wysiadł kierowca, którego twarzy nie mogłam dostrzec. Nie wiedziałam, co zamierza, ale wydawało mi się, że chce ją skrzywdzić.

Jeszcze przed chwilą czułam gniew, ale teraz wiedziałam, że muszę jej pomóc. Wybiegłam z mieszkania i puściłam się pędem po schodach, myśląc tylko o tym, żeby Gabriella nie odeszła, zanim dotrę na dół. Ale kiedy stanęłam pod drzwiami budynku, okazało się, że nie miałam racji. Mężczyzna nie zrobił jej krzywdy, tylko ją objął i tulił w ramionach, kiedy płakała. Stałam za drzwiami, zupełnie zdezorientowana. Mężczyzna czule głaskał ją po włosach, przemawiał tak, jak pewnie przemawiałby kochanek - tak mi się przynajmniej wydawało, miałam dopiero piętnaście lat i nikt mnie nigdy w taki sposób nie dotykał. Powoli uchyliłam drzwi, żeby mnie nie zauważyli, i wsłuchałam się w głos Gabrielli. Szlochając, powtarzała z rozpaczą: „Nie mogę, nie mogę, nie mogę”. Sądziłam, że znam źródło jej żalu - być może wreszcie dotarł do niej ciężar jej występku - ale kiedy przemówił mężczyzna, zdębiałam. „Musiś - powiedział, przytulając ją mocniej - nie mamy wyjścia, trzeba to ciągnąć”.

Znałam ten głos. W rozlewającym się świetle poranka zobaczyłam, że mężczyzną, który tuli Gabriellę, jest Raphael Valko.

Po chwili siedziałam w pokoju, nasłuchując kroków Gabrielli na schodach. Rozbrzmiał brzęk kluczy. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Nie poszła do siebie, jak się spodziewałam, tylko do kuchni, z której zaraz dobiegł stukot naczyń, co

oznaczało, że parzy kawę. Walczyłam z chęcią, żeby pójść do niej, czekałam w półmroku pokoju i nadstawiałam uszu, jakby odgłosy jej krzątania miały mi pomóc zrozumieć, co się wydarzyło na ulicy i co łączyło ją z doktorem Raphaelem.

Jakiś czas później zastukałam do gabinetu doktor Seraphiny. Nadal było bardzo wcześnie, nie wybiła jeszcze siódma, ale byłam pewna, że jak zwykle zastanę ją przy pracy. Siedziała przy sekretarzyku, włosy miała upięte w kok. Pióro w ręku zawisło nad notatnikiem, jakbym przerwała jej w pół zdania. Moje wizyty w tym gabinecie stały się co prawda rutyną - przepracowałam całe tygodnie, siedząc na karmazyno-wej leżance i katalogując dokumenty obojga profesorów - ale tego ranka moje zmęczenie i niepokój wywołane wielogodzinną lekturą dziennika Clematisa musiały być widoczne na pierwszy rzut oka. Seraphina wiedziała, że nie przyszedłam ze zwykłą wizytą. W jednej chwili podeszła do leżanki, usiadła naprzeciwko mnie i spytała, co mnie sprowadza o tak wczesnej porze.

Wyjęłam tłumaczenie doktora Raphaela. Poruszona Seraphina podniosła notatnik i przekartkowała strony, wpatrując się w słowa, które jej mąż przełożył tak dawno temu. Kiedy wczytywała się w tekst, dostrzegłam - a może tak mi się tylko wydawało - młodzieńczy błysk radości na jej twarzy, jakby z każdą przewróconą stroną cofała czas.

Wreszcie przemówiła.

- Mój mąż odnalazł zapiski czcigodnego Clematisa przed blisko dwudziestu pięciu laty. Prowadziliśmy badania w Grecji, w niewielkiej wiosce u podnóża Rodopów, do której Raphael trafił po odnalezieniu listu mnicha imieniem Deopus. List został napisany w górskiej wiosce zamieszkałej zaledwie przez kilka tysięcy ludzi, w której Clematis zmarł wkrótce po wyprawie. Wynikało z niego, że Deopus spisał ostatnie słowa Clematisa na temat ekspedycji. Raphael kierował się wyłącznie przeczuciem - wierzył swojej intuicji, więc wyruszył do Grecji, choć wielu uważało tę misję za przejaw donkiszoterii. To był wielki moment w jego karierze - w mojej także. Znaleździśmy ogromny wpływ na nasze życie, zapewniło nam rozgłos i wkrótce posypały się zaproszenia na gościnne wykłady ze wszystkich ważniejszych instytucji w Europie. Przekład ugruntował reputację mojego męża i zapewnił nam obojgu miejsce tutaj, w Paryżu. Pamiętam, jak bardzo był szczęśliwy, że tu przyjedzie, mieliśmy w sobie tyle optymizmu.

Seraphina przerwała nagle, jakby przyłapała się na tym, że powiedziała o jedno słowo za dużo.

- Bardzo jestem ciekawa, gdzie to znalazłaś.  
- W magazynach pod szkołą - odpowiedziałam bez zająknięcia. Nie potrafiłabym okłamać nauczycielki, nawet gdybym chciała.  
- Przecież tam nie ma dostępu - zdziwiła się. - Drzwi są zamknięte. Trzeba mieć klucz.  
- Gabriella powiedziała mi, gdzie go znaleźć. Odłożyłam go pod zwornik.

- Gabriella? - spytała zdumiona Seraphina. - Ale skąd ona wiedziała o naszej kryjówce?  
- Myślałam, że pani zna odpowiedź. A jeśli nie pani - dodałam, ważąc słowa, żeby nie wyjawiać więcej, niż nakazywała roztropność - tu może doktor Raphael.

- W żadnym razie. Jestem przekonana, że i on się zdziwi - ucięła Seraphina. - Powiedz mi, Celestine, nie zauważyłaś, że Gabriella ostatnio dziwnie się zachowuje?

- To znaczy? - spytałam. Usiadłam wygodniej na chłodnym jedwabiu leżanki, oczekując w napięciu, że doktor Valko pomoże mi rozwikłać sekrety przyjaciółki.

- Powiem ci, co zauważyłam - ciągnęła Seraphina. Wstała i podeszła do okna, z którego padało na nią blade światło poranka. - W ciągu ostatnich miesięcy zmieniła się nie do poznania. Opuściła się w nauce. Dwa ostatnie eseje napisała zdecydowanie poniżej swoich możliwości, choć osobie, która nie zna jej tak dobrze jak ja, trudno byłoby to stwierdzić. Bo mimo to jest bardzo dobra. Spędza dużo czasu poza szkołą, zwłaszcza w nocy. Zewnętrznie też się zmieniła, zaczęła przypominać dziewczęta, jakie widuje się na placu Pigalle. Ale najgorsze są jej przejawy autoagresji.

Seraphina odwróciła się w moją stronę, jakby oczekiwała zaprzeczenia. Milczałam, więc podjęła wątek.

- Przed kilkoma tygodniami obserwowałam, jak przypalała sobie skórę na wykładzie mojego męża. Wiesz, o czym mówię. To było najbardziej niepokojące wydarzenie w całej mojej pracy pedagogicznej, a możesz mi wierzyć, widziałam niejedno. Przystawiła płomień do nadgarstka i siedziała niewzruszona, kiedy ogień smażył jej skórę. Wiedziała, że na nią patrzę, i jakby na znak buntu wbiła we mnie wzrok, i czekała, aż przerwę wykład i ocalę ją przed nią samą. W jej zachowaniu była nie tylko desperacja, nie tylko dziecinne zabieganie o uwagę. Straciła nad sobą kontrolę.

Chciałam zaprzeczyć, przekonać doktor Seraphinę, że się myli, powiedzieć, że nie zauważyłam niczego niepokojącego i że Gabriella poparzyła się przypadkiem, ale nie mogłam.

- Nie muszę dodawać, że Gabriella zupełnie mnie zaszokowała - dodała Seraphina. - Rozważałam konfrontację - w końcu potrzebowała natychmiastowej pomocy lekarskiej - ale po namyśle uznałam, że to bez sensu. Takie zachowanie może być skutkiem rozmaitych chorób - mówię wyłącznie o zaburzeniach psychicznych - a jeśli rzeczywiście na którąś cierpi, wołałam nie pogarszać problemu. Obawiam się tylko, że przyczyna może leżeć zupełnie gdzie indziej, w zupełnie innej sile.

Seraphina przygryzła wargę, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. Przynagliłam ją. Byłam równie ciekawa przyczyn zachowania Gabrielli jak ona, może nawet bardziej.

- Wczoraj, jak pamiętasz, pośród dzieł przeznaczonym do wywozu położyłam Księgę pokoleń. Księgi oczywiście nie wywieziemy do Stanów, to zbyt ważne dzieło - zostanie na miejscu pod moją pieczę albo innego naukowca wysokiej rangi. Wyłożyłam ją specjalnie, żeby trafiła na nią Gabriella. Otworzyłam na konkretnej stronie, na której rzuciło się w oczy nazwisko Grigori. Wiedziałam, że muszę złapać Gabriellę z zaskoczenia. Ma zobaczyć książkę i przeczytać nazwiska, ale nie może mieć czasu na zamaskowanie pierwszej reakcji. No i musiałam tę reakcję zaobserwować. Widziałas?

- Oczywiście. - Od razu przypomniał mi się jej nagły wybuch, istne katusze, które przeżywała, czytając listę. - Byłam przerażona. Nie podejrzewałam jej o tak dziwne zachowanie.

- Dziwne - przyznała Seraphina - ale przewidywalne.

- Przewidywalne? - Nie miałam pojęcia, o co chodzi Seraphinie. Zachowanie Gabrielli było dla mnie zupełną zagadką. - Nie rozumiem.

- Z początku lektury Księgi odczuwała dyskomfort. Ale kiedy rozpoznała nazwisko Grigori, a może i inne, dyskomfort przeobraził się w histerię, w czystą, zwierzęcą bojaźń.

- Fakt - przytaknęłam. - Ale czemu?

- Zachowała się jak ktoś przyłapany na spiskowaniu. Jej reakcja mogła wynikać z ogromnego poczucia winy. Widywałam to wcześniej, z tym że inni potrafili lepiej maskować wstyd.

- Myśli pani, że Gabriella pracuje przeciwko nam? - Wiedziałam, że mój głos zdradza bezgraniczne zdumienie.

- Nie mam całkowitej pewności - odparła Seraphina. - Możliwe, że jedynie zaangażowała się w niefortunny związek, ale do tego stopnia, że straciła głowę. Jakkolwiek jest naprawdę, skompromitowała się. Od podwójnego życia trudno się uwolnić. Szkoda, że to właśnie ona stanowi przykład, niemniej to ty musisz na nią uważać.

Zdumienie odjęło mi mowę, wpatrywałam się w doktor Seraphinę w nadziei, że jakimś słowem rozproszy niepokój, który ogarniał mnie na myśl o tym, że choć moja profesor nie ma dowodu przeciwko Gabrielli, to mam go ja.

- Wstęp do podziemnych komór jest absolutnie zakazany, a wejście zostało zamaskowane dla bezpieczeństwa nas wszystkich. Nie wolno ci nikomu wyjawić, co tam widziałas. - Seraphina podeszła do biurka, otworzyła szufladę i wyjęła klucz. - Są tylko dwa klucze do piwnicy. Jeden mam ja. Drugi ukrył Raphael.

- Być może to on powiedział o nim Gabrielli - zasugerowałam. Przypomniałam sobie ich poranną wymianę zdań i wiedziałam, że tak właśnie musiało być, ale nie miałam serca powiedzieć o tym Seraphinie.

- Wykluczone - odparła. - Mój mąż nigdy nie zdradziłby uczennicy tak ważnej informacji.

Czułam ogromny dyskomfort, podejrzewając intymny związek Raphaela z Gabriellą, a przy tym nie byłam pewna natury przewinień Gabrielli - mimo to ku własnemu strapieniu zyskanie zaufania Seraphiny sprawiło mi przewrotną przyjemność. Nigdy wcześniej nie rozmawiała ze mną tak poważnie i tak zażyłe, zupełnie nie jak z asystentką, ale z koleżanką.

Tym trudniej było mi rozważać bałamuctwa Gabrielli. Jeśli moje domysły były prawdziwe, to Gabriella nie tylko działała przeciwko ange-lologom, ale angażując się w związek z Raphaelem, osobiście zdradziła doktor Seraphinę. O ile wcześniej sądziłam, że ma romans z kimś spoza szkoły, o tyle teraz wiedziałam już, że jej miłostka jest o wiele bardziej podstępna, niż z początku zakładałam. Mogło się nawet okazać, że Raphael współpracuje z Gabriellą przeciwko nam wszystkim. Wiedziałam, że muszę o tym powiedzieć Seraphinie, ale najzwyczajniej nie byłam w stanie tego zrobić. Zeby wyjawić, co wiedziałam, musiałam najpierw zrozumieć własne uczucia.

Chciałam pomówić o czym innym, więc poruszyłam kwestię, która mnie tu sprowadziła.

- Przepraszam, że zmieniam temat - zaczęłam ostrożnie, żeby wy badać reakcję Seraphiny - ale muszę panią spytać o coś, co ma związek z pierwszą wyprawą.

- Właśnie w tej sprawie przysłaś?

- Czytałam relację całą noc. Wertowałam ją w nieskończoność, a im dłużej nad nią siedziałam, tym bardziej coś mi nie pasowało. Długo się nad tym głowiłam i wreszcie zrozumiałam: nigdy nie wspomniała mi pani o znaczeniu liry.

Doktor Seraphina uśmiechnęła się, znów emanowała profesorskim spokojem.

- Właśnie z jej powodu mój mąż zaniechał dalszych prac nad relacją. Przez ponad dziesięć lat szukał informacji na temat liry - przeszukiwał biblioteki i sklepy z antykami w całej Grecji, pisał do badaczy, tropił potomków brata Deopusa. Na próżno. Jeśli Clematis faktycznie znalazł w jaskini lirę - a jesteśmy przekonani, że tak właśnie było - to albo ją zgubił, albo zniszczył. A skoro nie wiemy, jak do niej dotrzeć, uzgodniliśmy, że będziemy milczeć na jej temat.

- A gdybyście wiedzieli?

- Nie trzeba by było milczeć. Gdybyśmy mieli mapę, sytuacja byłaby zupełnie inna.

- Ale mapa wcale nie jest potrzebna - zaprotestowałam. W jednej chwili ulotniły się wszystkie moje myśli związane z Gabriellą, Raphaelem, podejrzeniami Seraphiny. Czułam nadzwyczajne podekscytowanie. Sięgnęłam po notatnik i otworzyłam go na fragmencie, który tak mnie zaintrygował. - Nie trzeba mapy. Wszystko jest tutaj, w relacji Clematisa.

O czym ty mówisz? - spytała Seraphina, mierząc mnie takim wzrokiem, jakbym właśnie przyznała się do zabójstwa. - Przeanalizowaliśmy wszystkie zdania słowo po słowie. Nie ma dokładnego wskazania. Jest tylko nieistniejąca góra w pobliżu Grecji, a Grecja moja droga to ogromny kraj.

-Może sprawdziliście każde słowo, ale te słowa wprowadziły was w błąd. Czy istnieje oryginalny rękopis?

-Manuskrypt brata Dopusa? Oczywiście. Zamknięty w krypcie.

- Jeśli udostępni mi pani oryginał, to ręczę, że dowiemy się gdzie leży jaskinia.

### Jaskinia Diabelskie Gardło, Rodopy, Bułgaria

Listopad 1943 roku

Jadąc wąskimi, górskimi drogami, wznosiliśmy się ponad mgłę i wysokie, wąskie jary. Przed wyjazdem uważnie przestudiowałam geologię regionu, ale krajobraz Rodopów zupełnie mnie zaskoczył. Z zasłyszanych w dzieciństwie opowieści babki i ojca wyłaniała się kraina wiecznego lata, wioski pośród sadów, winnic i spalonych słońcem kamieni. Jako mała dziewczynka wyobrażałam sobie tutejsze góry jako zamki z piasku opierające się morskim falom, bloki kruszącego się piaskowca, bladego i miękkiego, w którym woda żłobi rowy i koryta. Gdy tymczasem przedzieraliśmy się przez zasłone mgły, moim oczom jawiły się potężne pasma granitowych skał, jedno ponad drugim, jak szczyt zębów na tle szarego nieba. W oddali ponad białymi dolinami wznosiły się ośnieżone szczyty, kontrastujące z błękitem urwistej turnie. Jak okiem sięgnąć rozciągały się ciemne, majestatyczne Rodopy.

Doktor Raphael został w Paryżu i stamtąd miał zaaranżować nasz powrót, co podczas okupacji wymagało nie lada ostrożności. Ekspedycję prowadziła doktor Seraphina. Ze zdumieniem stwierdziłam, że po naszej rozmowie jej relacja z mężem w żaden sposób się nie zmieniła, przynajmniej ja niczego nie zauważyłam, a obserwowałam ich uważnie aż do momentu, kiedy Paryż opanowali hitlerowcy. Spodziewałam się, że wojna sprowadzi trudności, ale nie miałam pojęcia, że moje życie odmieni się już w chwili wkroczenia wojsk niemieckich. Na prośbę doktora Raphaela przeniosłam się do Alzacji, do rodziny - studiowałam tych kilka ksiąg, które ze sobą zabrałam, i czekałam na wieści. Komunikacja była utrudniona, mijały miesiące, a ja nie miałam żadnej styczności z angelo-logami. Choć czas naglił, wyprawę odłożono aż do zimy roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego.

Na przodzie furgonetki siedziała Seraphina, rozmawiała z Władimirem - młodym rosyjskim angelologiem, którego podziwiałam, od chwili kiedy się poznaliśmy, porozumiewali się mieszanką rosyjskiego i francuskiego. Władimir prowadził - jechał szybko, tak blisko krawędzi przepaści, że mało brakowało, abyśmy podążyli w ślad za szybkim ślizgiem światła, sturlali się po szklistej nawierzchni i zniknęli na zawsze. Na pewnej wysokości droga zwężała się w krętą ścieżkę wiodącą przez skały i gęsty las. Co pewien czas w dole wyłaniała się wioska. Grupki chat wyrastały w kieszeniach dolin jak wielkie grzyby. Ponad nami ukazały się kamienne ruiny rzymskich murów - wyrastały na zboczu, do połowy przysłonięte śniegiem. Podziwiałam ponure, złowieszcze piękno krajobrazu w kraju mojej babki i ojca.

Co jakiś czas, kiedy opony zapadały się w śniegu, wysiadaliśmy i wykopywaliśmy samochód. W grubych, wełnianych kurtkach i butach z owczej skóry można by nas wziąć za górskich wieśniaków uwięzionych przez burzę śnieżną. Zdradzić mógł nas jedynie pojazd - amerykański furgon radiowy K-51, z łańcuchami na kołach, podarek od naszej hojnej ofiarodawczyni ze Stanów Zjednoczonych, wraz z cennym sprzętem, który zabezpieczyliśmy futrą i sznurem.

Drogę pokonywaliśmy prędko, czego z pewnością zazdrościłby nam czcigodny Clematis z Tracji i jego towarzysze, którzy przemierzali się na mułach. Naszą ekspedycję uważałam za bardziej ryzykowną od pierwszej wyprawy - my porwaliśmy się na podróż w środku zimy, podczas wojny - choć Clematis musiał liczyć się z niebezpieczeństwami nam obcymi. Pierwsi angelolodzy musieli kryć się ze swoimi zamierzeniami i pracą bardziej niż my. Żyli w czasach konformizmu, byli pod stałą obserwacją. Prace prowadzili powoli, mozolnie, rzadko zdarzały się przełomy, które przecież stale dokonują się we współczesnej angelologii. A jednak to trud wczesnych badaczy ugruntował naszą dziedzinę. Gdyby odkryto, czym się zajmują, uznano by ich za heretyków, ekskomunikowano, być może stracono. Prześladowania z pewnością nie zniweczyłyby ich misji - byli bowiem bez reszty oddani sprawie - ale spowodowałyby dotkliwie spowolnienie prac. Angelolodzy wierzyli, że wypełniają wolę istoty wyższej, podobnie jak ja byłam przekonana, że udział w misji był moim przeznaczeniem.

Clematis obawiał się złodziei i wrogich wieśniaków; nas najbardziej przerażało to, że możemy zostać wytropieni przez naszych przeciwników. Kiedy w czerwcu czterdziestego roku rozpoczęła się okupacja Paryża, musieliśmy działać w ukryciu, co znacznie opóźniło wyprawę. Potajemne przygotowania prowadziliśmy przez cztery lata, gromadziliśmy zapasy i informacje na temat terenu, obracając się w szczelnym kręgu zaufanych badaczy i członków rady - angelologów, których lata oddania sprawie były gwarancją ich lojalności. Pewnych środków bezpieczeństwa musieliśmy jednak poniechać, kiedy doktor Raphael znalazł sponsora - zamożną Amerykankę, którą podziw dla naszej pracy skłonił do wsparcia naszych wysiłków. Akceptując pomoc osoby z zewnątrz, ryzykowaliśmy, że zostaniemy wytropieni. Pieniądze i wpływy naszej dobrodziejki znacznie przyspieszyły realizację planów, choć nasze obawy stale rosły. Nie mieliśmy pewności, czy nefilimowie nie dowiedzieli się o naszych przygotowaniach. Jadąc przez góry, zastanawialiśmy się, czy są w pobliżu i czy śledzą każdy nasz krok.

Drżałam w furgonetce, robiło mi się niedobrze od gwałtownej jazdy po lodzie i wybojach. Choć z braku ogrzewania powinnam odczuwać dotkliwy ziąb, to przechodziły mnie tylko ciarki wywołane niecierpliwym oczekiwaniem. Pozostali członkowie wyprawy - trzech doświadczonych angelolodzy - rozmawiali o czekającej nas misji z niepojętym spokojem i pewnością. Byli o wiele ode mnie starsi i współpracowali pewnie tak długo, jak ja żyłam na tym świecie, ale to ja rozwiązałam zagadkę lokalizacji jaskini, zapewniając sobie w zespole wyjątkowy status. Gabriella -moja niegdyś jedyna rywalka - odeszła ze szkoły trzy lata temu, zniknęła bez słowa pożegnania. Spakowała się i znikła. W owym czasie byłam przekonana, że udzielono jej reprimendy, może nawet wydano ją z Akademii, i że jej ciche odejście było wyrazem wstydu. Nie wiedziałam, czy wyjechała z Francji, czy też działała w podziemiu. Uczestnictwo w wyprawie uważałam za nagrodę za moją pracę, niemniej miałam mnóstwo wątpliwości. W skrytości ducha podejrzewałam, że wybrano mnie wyłącznie z powodu nieobecności Gabrielli.

Nie włączyłam się do rozmowy Seraphiny i Władimira na temat zejścia do wąwozu; siedziałam zagubiona we własnych nerwowych myślach. Wydarzyć się mogło absolutnie wszystko. Nagle zaczęłam rozważać najrozmaitsze scenariusze. Być może ukończymy pracę w jaskini bez przeszkód, a może nigdy nie wrócimy na łono cywilizacji. W ciągu następnych kilku godzin możemy zatriumfować albo wszystko stracić.

W oddali wiał wiatr i rozlegał się słaby odgłos silnika samolotu, a ja nie mogłam opędzić się od myśli o straszliwym końcu Clematisa. Myślałam o zwątpieniu, jakie ogarnęło brata Franciszka, o tym, jak nazwał członków wyprawy „braterstwem marzycieli”. Kiedy zaparkowaliśmy nad oblodzonym granitowym urwiskiem, zastanawiałam się, czy opinia brata Franciszka nie pozostaje aktualna wiele wieków później. Czy szukaliśmy nieistniejącego skarbu? Czy pogoń za fantazją przypłacimy życiem? W opinii doktor Seraphiny nasza podróż mogła okazać się zwieńczeniem dążeń wszystkich angelologów. Ale mogła też okazać się tym, czego najbardziej obawiał się brat Franciszek: iluzją grupy zagubionych marzycieli.

Pragnąc za wszelką cenę zrozumieć szczegóły relacji czcigodnego Clematisa, Raphael i Seraphina przeoczyli pewien subtelny fakt: brat Deopus był trackim mnichem i choć przysposobiono go do posługiwania się językiem Kościoła, co oznaczało, że potrafił spisać opowieść Clematisa po łacinie, to z pewnością na co dzień posługiwał się swoją rdzenną mową - odmianą wczesnobałgarskiego, który w dziewiątym wieku zapisali starożytną cyrylicą święci Cyryl i Metody. Wczesnobałgarski był także ojczystym językiem Clematisa, który urodził się i wychował w górach Tracji. Owego pamiętnego wieczora przed czterema laty, czytając raz za razem Iliim.ic/iiuc doktora Raphaela, pomyślałam, że konającemu Clematisowi zapewne łatwiej i wygodniej było mówić w ojczystej mowie. Uznałam, że mężczyźni najpewniej porozumiewali się językiem, który obaj znali, zwłaszcza w rozmowach na temat tradycji, które nie przekładały się łatwo na łacinę. Możliwe, że Deopus niektóre słowa zapisał cyrylicą. Zawstydzony tak nieeleganckim świadectwem - w owym czasie językiem ludzi wykształconych była łacina - mógł następnie podać łacińskie tłumaczenie tych słów. Jeśli faktycznie tak było, to pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że zachowała się oryginalna wersja relacji. Jeśli doktor Raphael czerpał z tej wersji, tłumacząc tekst Deopusa, mogłabym sprawdzić, czy podczas przekładania łaciny na współczesny francuski nie wkradły się błędy.

Wysnuwszy ten wniosek, przypomniałam sobie, że w jednym z przypisów Raphael wspominał, że rękopis jest zabrudzony wyblakłą krwią pochodzącą prawdopodobnie z ran Clematisa. To musiało oznaczać, że oryginał rękopisu Deopusa nie został zniszczony. Gdybym mogła się z nim zapoznać, z pewnością znalazłabym rozproszone w tekście słowa zapisane cyrylicą, której nauczyła mnie Baba Slavka. Moja babka spędzała mnóstwo czasu nad książkami, czytała rosyjskie powieści w oryginale i pisała wiersze w ojczystym bałgarskim. Z jej pomocą mogłabym znaleźć odpowiednie tłumaczenie z wczesnobałgarskiego na łacinę, a potem, oczywiście, na francuski. Ta zabawa byłaby pracą wstecz: od języka współczesnego do starożytnego. Zagadka lokalizacji jaskini mogła zatem zostać rozwiązana, ale tylko pod warunkiem, że zachował się pierwotny rękopis.

Kiedy tłumaczyłam swój zawili tok rozumowania doktor Seraphinie, jej podekscytowanie wyraźnie rosło; zaprowadziła mnie prosto do doktora Raphaela i kazała raz jeszcze wyjaśnić moją teorię. Podobnie jak żona, zgodził się z logiką mojego wyводу, ale zaznaczył, że tłumaczył słowa brata Deopusa z wielką uwagą i że nie natknął się w tekście na cyrylicę. Tak czy inaczej, poszliśmy do krypty, w której przechowywano rękopis. Valkowie założyli białe rękawiczki, wręczyli parę mnie, zdjęli z półki manuskrypt. Raphael rozwinął go z ochronnego, bawełnianego płótna i położył przede mną, żebym mogła go przestudiować. Cofnął się o krok, a wówczas nasze oczy się spotkały - przypomniało mi się lego



poranne spotkanie z Gabriella, pomyślałam o sekretach, do których nie dopuszcza nikogo, nie wyłączając żony. On tymczasem wydawał się taki jak zawsze: nieodgadniony, czarujący erudyta.

Po chwili myślałam już tylko o rękopisie. Papier był tak delikatny, że bałam się go uszkodzić. Atrament był rozmazany od potu, kilka stron szpeciły plamki poczerńiałej krwi. Tak jak się spodziewałam, łacina brata Deopusa była niedoskonała - czasem przestawiał litery i mylił deklinacje - ale z ogromnym rozczarowaniem stwierdziłam, że Raphael miał rację: Deopus nie zapisał cyrylicą ani jednego słowa. Cały tekst był po łacinie.

Moja frustracja byłaby niewyobrażalna - tak bardzo chciałam przecież zaimponować moim nauczycielom i wziąć udział w wyprawie - gdyby nie geniusz doktora Raphaela. Już zaczęłam tracić nadzieję, gdy jego twarz raptem się ożywiła. Wyjaśnił, że gdy miesiącami przekładał spisany przez Deopusa fragment z łaciny na francuski, natrafił na kilka niezrozumiałych słów. Uznał, że notując szybko opowieść Clematisa, który mamrotał zapewne w gorączce, Deopus zlatynizował niektóre wczesno-bułgarskie słowa. Raphael dobrze je pamiętał, podobnie jak ich umiejscowienie w tekście. Wyjął kartkę z kieszeni, zdjął skuwkę pióra wiecznego i zaczął pisać. Wypisał około piętnastu problematycznych słów, między innymi były to „złoto”, „świat”, „duch”.

Raphael wyjaśnił, że za pomocą słowników najpierw przetłumaczył je na łacinę, a dopiero potem przełożył na francuski. Wertując słowniki języków wczesnosłowiańskich, odnalazł niezrozumiałe wyrazy na podstawie ich zapisanego po łacinie brzmienia. Próbuąc uniknąć niekonsekwencji w tekście, wybrał prawidłowe, jego zdaniem, słowa, sprawdzając ich znaczenie z kontekstem zdań. W owym czasie ta nieprecyzyjność wydała mu się niefortunną, ale raczej powszechną cechą starych tekstów, a uściślanie przekładu - typowym zajęciem badaczy rękopisów. Dopiero teraz dostrzegł, że ta metoda zakłóciła integralność przekazu, a co gorsza, doprowadziła do kardynalnych błędów w tłumaczeniu.

Wspólnie przeanalizowaliśmy listę i po niedługim czasie znaleźliśmy wczesnobułgarskie słowa, które Raphael źle zinterpretował. Były to proste wyrazy, toteż sięgnęłam po pióro Raphaela, żeby pokazać mu, na czym polegały błędy. Deopus użył słowa 3jioto (zło), które Raphael przetłumaczył jako 3naT0 (złoto), więc wers: „bo anioł był cały ze złota” powinien brzmieć „bo anioł cały był złem”. Występujące w tekście słowo JJ,-bx (duch) Raphael przełożył jako Jlyx (oddech), stąd w przekładzie zamiast „duch umarł” pojawiło się „jego oddech zamarł”. Najważniejszą kwestią było jednak to, czy Clematisowe określenie Gyaurskoto Burlo było faktyczną wczesnobułgarską nazwą jaskini, czy też zostało zniekształcone. Piórem Raphaela zapisałam nazwę cyrylicą, a następnie alfabetem łacińskim:

νρψπχKOTO Βτπ/ιο  
GYAURSKOTO BURLO

Wpatrzyłam się w kartkę, jakby kształt liter miał się zaraz rozlać, objawiając ukryte znaczenie. Myślałam usilnie, lecz nie potrafiłam wskazać możliwego zniekształcenia. Analiza etymologii nazwy nie leżała w moich kompetencjach, ale znałam osobę, która mogła jej się podjąć i odnaleźć powstałe w przekładzie nieścisłości. Owinąwszy rękopis bawełnianym płótnem, Raphael spakował go do skórzanej teczki. Jeszcze tej samej nocy dotarliśmy do mojej rodzinnej wsi, aby porozmawiać z moją babką.

O wtajemniczeniu w zamierzenia Valków - o rękopisach nie wspominając - marzyłam od dawna. Zaledwie przed kilkoma miesiącami pod żadnym względem nie byłam dla nich partnerką, a tylko studentką, która pragnie się wykazać. Tymczasem teraz staliśmy we trójkę w sieni wiejskiego domu mojej rodziny, wieszaliśmy kurtki i wycieraliśmy buty. Rodzice przedstawili się. Doktor Raphael jak zawsze ujmował uprzejmością i dobrymi manierami, uosabiał kindersztubę człowieka nauki, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy na pewno dobrze odczytałam to, co zaszło między nim a Gabriella. Nie potrafiłam pogodzić urodzonego dżentelmena z szubrawcem uwodzającym piętnastolatkę.

Usiedliśmy w kuchni przy drewnianym stole. Baba Slavka wczytała się w rękopis. Choć zamieszkała we francuskiej wsi przed wielu laty, nie upodobniła się do tutejszych kobiet. Włosy zakrywała barwną chustką, nosiła wielkie, srebrne kolczyki i miała mocno umalowane oczy. Jej palce połyskiwały od złota i kamieni. Doktor Raphael wyjaśnił nasze wątpliwości i przedstawił listę spisanych z tekstu Deopusa słów. Baba Slavka przeczytała ją, przez dłuższy czas analizowała rękopis, po czym poszła <Jo swojego pokoju i przyniosła plik luźnych kartek, które po chwili okazały się mapami. Rozłożyła arkusz i pokazała nam mapę Rodopów. Przeczytałam nazwy miejscowości spisane cyrylicą: Smolian, Kesten, Zhrebevo, Trigrad. Wszystkie leżały w pobliżu rodzinnej wsi babki.

Gyaurskoto Burlo, wyjaśniła po bułgarsku, a ja przetłumaczyłam na francuski, oznacza kryjówkę albo więzienie niewiernych, jak prawidłowo przetłumaczył z łaciny doktor Raphael.

- Ale nic dziwnego - ciągnęła babka - że nie odnaleziono miejsca o takiej nazwie, bo ono po prostu nie istnieje. - Babka wskazała palcem miejsce w pobliżu Trigradu, gdzie mieściła się jaskinia pasująca do opisu tej poszukiwanej przez nas, uważanej za miejsce mityczne, z którego Orfeusz rozpoczął wędrówkę w zaświaty, cud geologiczny i źródło miejscowych legend. - To właśnie ta jaskinia pasuje do waszego opisu, ale nie nazywa się Gyaurskoto Burlo - wyjaśniła Baba Slavka. - Nosi nazwę Dyauolskoto Gurlo, Diabelskie Gardło. - Wskazując na mapę, dodała: - Nazwy nie znajdziecie ani tutaj, ani na żadnej innej mapie, ale ja sama tam byłam, stałam u jej wylotu. Słyszałam muzykę, która dobiega z wąwozu. I właśnie dlatego tak chciałam, żebyś poszła na te studia, Celestine.



- Byłaś tam? - Nie mogłam uwierzyć, że rozwiązanie zagadki, którego Valkowie szukali przez całe lata, było cały czas pod ręką.

Babka posłała mi tajemniczy uśmiech.

- To niedaleko starej wioski Trigrad. Właśnie tam poznałam twojego dziadka i tam urodził się twój ojciec.

Przyczyniwszy się do sukcesu Yalków, spodziewałam się, że wrócę z nimi do Paryża, aby im asystować w przygotowaniach do wyprawy.

Jednak ze względu na zagrożenie rychłą inwazją Raphael nie chciał nawet o tym słyszeć. Omówił tę sprawę z moimi rodzicami i ustalili, że rzeczy zostaną mi odesłane pociągiem. Wkrótce potem Valkowie wyjechali. Patrzyłam za nimi i nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że wszystkie moje marzenia i cała moja praca poszły na marne. Porzucona w Alzacji czekałam na wieści o planowanej wyprawie.

I oto po bardzo długim czasie zmierzaliśmy w stronę Diabelskiego Gardła. Władimir zatrzymał furgonetkę pod starym drewnianym znakiem z czarnym napisem w cyrylicy. Poinstruowany przez doktor Seraphinę, pojechał zgodnie ze wskazaniem znaku w stronę wioski wąską, ośnieżoną drogą pnącą się stromo pod górę. W pewnej chwili furgonetka zaczęła się zsuwać w dół, a wówczas Władimir wrzucił niższy bieg, próbując pokonać siłę przyciągania. Koła zaczęły się obracać po ubitym śniegu, odzyskały przyczepność i poniosły nas w górę.

Zaparkowaliśmy na szczycie, na występie skalnym. Przed nami otworzyła się wielka, ośnieżona równina. Seraphina przemówiła do nas wszystkich.

- Czytaliśmy relację czcigodnego Clematisa. Omawialiśmy procedurę zejścia w głąb jaskini. Wszyscy wiemy, że czeka nas tam zupełnie nieznaneniebezpieczeństwo. Zejście będzie skrajnie wyczerpujące - mimo to musimy poruszać się szybko i precyzyjnie. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Sprzęt będzie nieocenioną pomocą, ale czeka nas nie tylko znój fizyczny. Po zejściu na dno jaskini musimy być przygotowani na spotkanie z czuwającymi.

-A wiemy, że są potężni - dodał Władimir. Przyglądając nam się uważnie, ze świadomością trudu misji wypisaną na twarzy, Seraphina mówiła dalej:

- Nie sposób oddać wagi czekającego nas zadania. Całe pokolenia angelologów marzyły o konfrontacji z uwięzionymi aniołami. Jeśli odniesiemy sukces, osiągniemy coś, co jeszcze nikomu się nie udało.

- A jeśli poniesiemy klęskę? - spytałam, choć nie chciałam nawet dopuścić takiej myśli.

Odpowiedział mi Władimir. Zniszczenie i cierpienie, którymi mogą pokarać ludzkość, są wręcz niewyobrażalne.

Seraphina zapięła wełnianą kurtkę i założyła skórzane, wojskowe rękawice, które miały ją chronić przed mroźnym, górskim wiatrem.

- Jeśli się nie mylę, to jaskinia jest tam - powiedziała, wysiadając z furgonetki.

Podeszłam na skraj urwiska i wpatrzyłam się w osobliwy, krystaliczny świat, który materializował się na moich oczach. Powyżej wznosiła się ku niebu pionowa czarna ściana skalna, rzucając na nas cień; przed nami ośnieżona dolina opadała stromo w dół. Nie zwlekając, doktor Seraphina ruszyła pierwsza. Szłam tuż za nią, torując sobie drogę przez zasypane ciężkimi, skórzanymi buciorami. Ścisnęłam w rękę walizeczkę ze sprzętem medycznym i próbowałam skupić się na tym, co nas czeka. Wiedziałam, że musimy ściśle zrealizować plan. Czekaliśmy na urwiste zejście do wąwozu, przeprawa przez rzekę i cele w kształcie plastra miodu, w których Clematis widział anioły. Nie było miejsca na błąd.

U wylotu jaskini ogarnął nas gęsty mrok. Nagie, zimne skały niosły echem huk opisanych przez Clematisa podziemnych wodogrzmotów. Na gładkiej skale u wejścia nie było ani porów, ani pionowych nacieków, których spodziewałam się po przestudiowaniu geologii Bałkanów; pokrywała ją gruba warstwa lodu. Było go tyle, że nie można było się domyślić, co kryje się przed nami.

Doktor Seraphina oświetliła jaskinię latarką. Ściany były skute lodem, a sklepienie przesłaniały gęste stada nietoperzy. Światło padło na ostre skały, zagrało w szczelinach blaskiem minerałów, rozświetliło podłoże i wreszcie, obróciwszy się pod kątem, rozpląnęło w czerni. Rozejrzałam się, myśląc, co też mogło się stać z przedmiotami, które opisał Clematis. Gliniane amfory dawno już pewnie rozpadły się od wilgoci; może zabrali je wieśniacy i wykorzystali do przechowywania oliwy i wina. W każdym razie amfor nie było. Widać było tylko skały i gruby lód.

Trzymając walizeczkę obiema rękami, podeszłam do występu skalnego; huk wody z każdym krokiem stawał się coraz głośniejszy. Seraphina oświetlała sobie drogę i szła do przodu. Wtem dostrzegłam jakiś mały, błyszczący przedmiot. Przykłękałam i na zamrożonej skale wymacałam wbity w podłoże lodowaty żelazny pręt.

- To ślad po pierwszej wyprawie - powiedziała Seraphina.

Zdumiałam się: relacja Clematisa była w każdym szczególe prawdziwa, nawet po opisanej przez niego drabinie został ślad.

Ale nie było czasu na takie rozważania. Seraphina uklękła nad urwiskiem i przyjrzała się stromemu zejściu. Komin opadał kilkaset metrów w dół w linii prostej w zupełną czerni. Seraphina wyjęła z torby sznurową drabinkę, a mnie serce zaczęło walić na myśl o zejściu z występu i opuszczeniu się w czeluść. Metalowe szczeble drabiny były wpięte w syntetyczne sznury, jakich nigdy wcześniej nie widziałam; materiał był prawdopodobnie jakimś najnowszym wojennym wynalazkiem. Pochyliłam się obok Seraphiny, kiedy spuszczała drabinkę.

Władimir wbił żelazne haki w skalne szczeliny, docisnął liny żelaznymi kłamrami. Seraphina stała nad nim i obserwowała bacznie każdy jego ruch. Mocno szarpnęła za drabinę, żeby sprawdzić, czy się nie zerwie.

Usatysfakcjonowana jej wytrzymałością, poinstruowała mężczyzn, którzy nieśli sprzęt - ciężkie worki jutowe, każdy o wadze dwudziestu kilogramów - żeby zabezpieczyli go i schodzili po nas.

Wysłuchałam się, próbując odgadnąć, co kryją w sobie głębiny. W brzuchu jaskini woda rozbijała się o skały. Zerknęłam ponad występ i nie wiedziałam, czy to ziemia pode mną drży, czy też ja się trzęsę. Oparłam się o ramię doktor Seraphiny, żeby się nie zachwiać, gdy zaczęłam odczuwać nudności.

Seraphina wzięła mnie za rękę, a widząc wymalowany na mojej twarzy strach, powiedziała:

- Musisz się uspokoić, zanim zejdziemy na dół. Oddychaj głęboko i nie myśl o tym, ile ci jeszcze zostało. Poprowadzę cię. Jedną ręką trzymaj się szczebla, drugą - liny. Gdybyś się poślizgnęła, będziesz mogła się podciągnąć, a gdybyś miała spaść, będę tuż pod tobą i cię złapię.

I bez dalszych wyjaśnień zaczęła schodzić.

Trzymając się zimnych, metalowych szczebli gołymi rękami, zaczęłam schodzić za nią. Próbując znaleźć jakąś krzepiącą myśl, wspomniałam radosny Clematisowy opis drabiny. Z jego słów biła autentyczna radość, dlatego bez trudu je zapamiętałam: „Nie sposób wyrazić radości, jaka ogarnęła nas po znalezieniu zejścia do otchłani. Chyba tylko Jakubowi podczas wizji pochodu Boskich Posłańców drabina mogła wydać się wspanialsza niż nam w owej chwili. Aby wypełnić Boży cel, musieliśmy opuścić się w straszliwą ciemność głębokiego dołu, ufając w Bożą opiekę i Łaskę”.

Szliśmy jedno za drugim, powoli każdy z nas opuszczał się w mrok wzdłuż ściany. W miarę jak schodziliśmy głębiej pod ziemię, huk wody się nasilał i było coraz zimniej. Wtem we wszystkich członkach poczułam jakiś niepokojący ciężar, jakby ktoś mi wstrzyknął ampułkę rtęci. Choć bez przerwy mrugałam oczami, nie mogłam opanować łez. Spanikowana wyobraziłam sobie, jak zacieśnia się komin jaskini, a ja zostaje uwięziona w granitowym imadle, zawieszona w duszącej ciemności. Kurczowo ścisnęłam zimne, wilgotne szczeble, wodospad huczał mi w uszach, zdawało mi się, że spadam w samo serce wiru wody.

Schodziłam szybko, poddając się sile przyciągania. Szyb ciągnął się głęboko, wokół gęstniała zimna, mętna zupa. Mój wzrok nie sięgał dalej niż zbiegające kostki rąk zaciśnięte na szczeblach drabiny. Drewniane podeszwy butów ślizgały się na metalu, traciłam równowagę. Przyciągnęłam walizkę blisko siebie, żeby odzyskać równowagę, i zwolniłam. Ostrożnie stawiałam stopy, krok za krokiem. Zerknęłam w górę za znikającym śladem drabiny, w uszach zaszumiała mi krew. Zawieszona w próżni nie miałam wyjścia, musiałam brnąć dalej w wodnistą ciemność. Przypominały mi się różne wersety Biblii, szeptałam je, wiedząc, że mój głos pochłonie grzmiąca woda: „[Bóg] rzekł do Noego: «Postanowiłem położyć kres istnieniu wszystkich ludzi, bo ziemia jest pełna wykroczni przeciw mnie; zatem zniszczę ich wraz z ziemią»...”.<sup>25</sup>

Zeszłam wreszcie na samo dno. Zdejmując but z ostatniego, huśtającego się szczebla i stając na twardej ziemi, w lot pojęłam, że doktor Seraphina odkryła coś nadzwyczajnego. Angelolodzy pospiesznie rozpakowali worki i włączyli latarki, rozstawili je na ziemi, a w mroku rozlało się oleiste światło. Rzeka - granica więzienia aniołów według relacji Clematisa - wiła się w oddali jak czarna, migocząca, ruchliwa płachta. Seraphina coś krzyczała do grupy, ale odgłos wodospadu zagłuszał jej słowa.

Podeszłam do niej, stała nad ciałem anioła. Zatrzymałam się obok niej, a widok istoty wprowadził mnie w trans. Była piękniejsza niż sobie wyobrażałam, przez dłuższą chwilę nie byłam w stanie robić nic innego, jak tylko wpatrywać się w nią, porażona jej doskonałością. Wyglądała dokładnie tak, jak opisywano anioły w literaturze, którą zgłębiałam w Ateneum: miała długi tułów, wychudzoną twarz, potężne dłonie i stopy. Skóra na policzkach wydawała się rześka, jak u żywej istoty.

Nieskazitelnie biała szata z metalicznego materiału układała się na ciele w płynne fałdy. Pierwsza wyprawa odbyła się w dziesiątym wieku, a on nadal wyglądał jak żywy - rzekł Władimir. Pochylił się, ujął rąbek szaty i potarł go między palcami.

-Ostrożnie - przestrzegła Seraphina. - Poziom radioaktywności jest bardzo wysoki.

Władimir przyjrzał się aniołowi.

- Byłem przekonany, że one nigdy nie umierają.

- Nieśmiertelność jest darem, który można odebrać równie łatwo, jak go powierzyć - odparła Seraphina. - Clematis był przekonany, że to Bóg odebrał mu życie w akcie zemsty.

- Pani też tak uważa? - spytałam.

- To w końcu czuwający sprowadzili nefilimów na ten świat. Z tej perspektywy zgładzenie diabelskiego nasienia wydaje się doskonale uzasadnione.

---

<sup>25</sup> \* Rdz 6,13, Biblia Tysiąclecia.

- Jest tak piękny, że aż trudno w to uwierzyć - stwierdziłam, porażona faktem, że piękno i zło mogą być splecione w jednym ciele.

- Ja z kolei nie mogę zrozumieć - wtrącił Władimir, wpatrując się w daleki kąt jaskini - że innym pozwolono przeżyć.

Zespół podzielił się na grupy. Jedni mieli zostać, by dokumentować ciało - wyjęli z ciężkich brezentowych worków aparaty, obiektywy i aluminiową walizeczkę z ekwipunkiem do testów biologicznych - pozostali zaś wyruszyli na poszukiwanie liry. Tę drugą grupę prowadził Władimir; ja zostałam z doktor Seraphina przy aniele. Zgodnie z jej poleceniem założyłam rękawiczki ochronne i uniosłam w rękach głowę anioła. Przepchałam palcami po jego lśniących włosach, pogłaskałam po czole, jakbym pocieszała chore dziecko. Rękawiczki tępiły czucie w palcach, ale wydawało mi się, że ciało jest ciepłe. Wygładziłam metaliczną szatę, rozpięłam dwa mosiężne guziki na obojczyku i szarpnęłam za materiał. Szata opadła, ukazując zapadniętą klatkę piersiową - gładką, bez sutków. Spod napiętej, przezroczystej skóry przezierały żebra.

Anioł miał około siedmiu stóp wzrostu - w systemie miar stosowanym przez Ojców Kościoła wzrost aniołów określano miarą 4,8 rzymskich łokci. Poza złotymi lokami opadającymi na ramiona, ciało było zupełnie nieowłosione. Ku radości doktor Seraphiny, która w tej sprawie położyła na szali swoją karierę naukową, okazało się, że istota ma wyraźne narządy płciowe. Anioł był mężczyzną, jak wszyscy uwięzieni czuwający. Zgodnie z relacją Clematisa jedno z jego skrzydeł było naderwane i leżało pod dziwnym kątem. Miałyśmy przed sobą anioła, którego zabił Clematis.

Uniosłyśmy go i położyłyśmy na boku. Zdjęłyśmy szatę, a ostry błysk latarki oświetlił skórę. Ciało było gibkie, stawy - giętkie. Seraphina wydawała instrukcje, obie fotografowałyśmy anioła ze wszystkich stron. Ważne było uchwycenie szczegółów. Postęp fotografii, a zwłaszcza rozwój technologii wielowarstwowego nakładania barw, pozwalał mieć nadzieję na uzyskanie wiernych wizerunków istoty, może nawet uchwycenie barwy oczu - zbyt błękitnych, aby były prawdziwe; taki odcień można by uzyskać, mieszając sproszkowany lapis-lazuli z olejem i nakładając na rozświetloną słońcem szybę. Wszystkie te cechy miałyśmy odnotować w zapiskach z wyprawy, które zgodnie z przepisami trzeba dołączyć do sprawozdania, jednakże dowody w postaci fotografii były nieodzowne.

Po wykonaniu pierwszej serii zdjęć, doktor Seraphina wyjęła z jutowej torby centymetr i przykłęknęła. Mierzyła poszczególne części ciała, po czym przeliczała pomiary na łokcie, żeby porównać je ze starożytną dokumentacją olbrzymów. Głośno wykrzykiwała wyniki, które ja następnie zapisywałam. Pomiary były następujące:

Ramiona - 2,01 łokcia  
Nogi-2,88 łokcia  
Obwód głowy - 1,85 łokcia  
Obwód klatki piersiowej - 2,81 łokcia  
Stopa - 0,76 łokcia  
Dłoń - 0,68 łokcia.

Zapisywałam dane drżącymi rękami, niemal nieczytelnie, po czym powtarzałam je na głos, żeby na pewno nie zrobić błędów. Z liczb wynikało, że istota jest około trzydziestu procent większa od przeciętnego człowieka. Siedem stóp to imponujący wzrost, nawet w naszych czasach; w starożytności musiał zakrawać wręcz na cud, co wyjaśniało przestrach starożytnych kultur przed olbrzymami i bojaźń, jaką budzili tacy nefilimowie, jak Goliat, jeden z najsłynniejszych przedstawicieli rasy.

Z głębi jaskini dobiegł jakiś dźwięk, ale kiedy zerknęłam na doktor Seraphinę, wydawała się nie zauważać niczego poza mną. Obserwowała, jak notuję, być może obawiała się, że zadanie mnie przerosło. Mój niepokój stawał się coraz bardziej oczywisty. Nie mogłam pohamować dygotu, mogłam sobie tylko wyobrazić, jakie musiałam zrobić na niej wrażenie. Pomyślałam, że może pochorowałam się podczas drogi - ziać i wilgoć straszliwie nam dokuczały, a ubrania nie mogły nas ochronić przed lodowatym, górskim wiatrem. Ołówek trząsał mi się w ręce, zęby szczykały. Co jakiś czas przerywałam pisanie i zerkalam w ciemność na pozór nieskończonej jaskini. Znów usłyszałam coś w oddali. Z groty dochodził jakiś przerażający dźwięk.

- Wszystko w porządku? - spytała Seraphina ze wzrokiem utkwionym w moich drżących dłoniach.

- Nie słyszała pani?

Seraphina przerwała pracę, wstała i podeszła do rzeki. Nasłuchiwała przez kilka minut, po czym wróciła i powiedziała:

- To tylko szum rzeki.

- Nie tylko - zaprzeczyłam. - Oni tu są, czekają. Myślą, że ich uwolnimy.

- Czekają od tysięcy lat, Celestine. A jeśli dopisze nam szczęście, to poczekają kolejne parę tysięcy.

Seraphina wróciła do badania anioła i kazała mi zrobić to samo. Ogarniał mnie lęk, a jednocześnie magnetyzowało zadziwiające piękno tej istoty - blask skóry, łagodna poświata, pozycja, w której odpoczywał niczym rzeźba. Światłość anielska nadal stanowiła źródło domysłów - według dominującej teorii ciała anielskie zawierały materiał radioaktywny, któremu zawdzięczały wieczną jasność. Przez szkodliwym promieniowaniem miały chronić nas ubrania. Teoria

radioaktywności wyjaśniała koszmarną śmierć poniesioną przez brata Franciszka podczas pierwszej wyprawy i obrażenia, wskutek których zmarł Clematis.

Wiedziałam, że powinnam unikać kontaktu z ciałem - była to jedna z pierwszych informacji przekazanych nam w ramach przygotowań do wyprawy - a jednak nie mogłam się temu oprzeć. Zdjęłam rękawiczki, przyklekłam, położyłam ręce na głowie anioła. Miał chłodną, wilgotną skórę, elastyczną jak żywa, zdawało mi się, że dotykam gładkiej, opalizującej skóry węża. Leżał w jaskini od tysięcy lat, ale jego blond włosy zachowały blask. Nieprawdopodobne, błękitne oczy, które najpierw tak mnie zaniepokoiły, teraz wywołały zgoła odmienną reakcję. Czułam się tak, jakby anioł siedział obok mnie, a jego obecność uspokajała mnie, koła moje lęki i wprawiała w stan narkotycznego komfortu psychicznego.

- Chodź - usłyszałam głos Seraphiny. - Szybko.

Wtem wytrzeszczyła oczy, widząc, że dotykam anioła. Przecież nawet tak młody i niedoświadczony angelolog jak ja powinien wiedzieć, że fizyczny kontakt stanowi najpoważniejsze pogwałcenie protokołu bezpieczeństwa. Tymczasem chyba i ona odczuła tę samą pokusę, bo przysiadła obok mnie i położyła mu ręce na czole, opierając czubki palców na linii włosów. Jej twarz zmieniła się na moich oczach. Przymknęła powieki, biło od niej bezgraniczne szczęście. Całe jej ciało rozluźniło się i emanowało niezakłóconym spokojem.

Nagle poczułam na rękach gorącą, kleistą substancję. Podniosłam dłonie, żeby się im przyjrzeć. Pokrywała je lepka, złota maź, przezroczysta i lśniąca jak miód - w bijącej od ciała poświacie patrzyłam, jak substancja zastyga, kruszy się i rozsypuje w świetlisty pył, jakby ktoś powlekł moje dłonie milionami mikroskopijnych kryształków.

Kryjąc się przed pozostałymi angelologami, szybko wytarłyśmy ręce o kamienną ścianę i założyłyśmy z powrotem rękawiczki.

- Pospieszmy się, Celestine - powiedziała Seraphina. - Trzeba dokończyć pracę.

Otworzyłam walizeczkę i położyłam ją obok nauczycielki. Zawartość - skalpele, waciki, paczkę ostrzy, maleńkie szklane fiolki z nakrętkami - przytwierdzono elastyczną taśmą. Uniosłam ramię anioła nad swoim kolanem, trzymając je za łokieć i nadgarstek. Seraphina oskrobała paznokieć ostrzem żyletki. Odprysły od niego płatki przypominające grubo mieloną sól morską, które zebrała do szklanej fiolki. Następnie przyłożyła ostrze do ramienia, zrobiła dwa równoległe nacięcia po wewnętrznej stronie i ostrożnie pociągnęła. Oderwała pas skóry, odsłaniając mięśnie. Skórę umieściła między dwiema szklanymi płytkami - lśniła złotą poświatą, połyskując w bladym świetle.

Na widok nagich mięśni zrobiło mi się niedobrze. Przestraszyłam się, że mogę dostać torsji, przeprosiłam Seraphinę i wstałam. Odeszłam kilka kroków, głęboko odetchnęłam, próbowałam się uspokoić. Powietrze było dotkliwie zimne, zdawało mi się, że gęsta wilgoć oblepia mi płuca. Spojrzałam w głąb jaskini; pograżone w cieniu niewyraźne kształty przyzywały mnie, kusily. Mdłości minęły i teraz umierałam z ciekawości. Co jest dalej, ukryte w ciemnościach?

Wyjęłam z kieszeni niewielką, metalową latarkę i skierowałam światło w gęsty mrok. Kiedy wchodziłam w głąb jaskini, światło słabło, jakby pożerała je kleista, żarłoczna mgła. Widoczność ograniczała się do metra, najwyżej dwóch. Za sobą słyszałam ostry głos doktor Seraphiny instruującej pozostałych angelologów przy pracy. Gdzieś przede mną rozlegał się inny głos - miękki, natarczywy, melodyjny - który kazał mi iść naprzód. Przystanęłam, żeby oswoić się z mrokiem. Zbyt oddaliłam się od pozostałych i narażałam się na niebezpieczeństwo, ale byłam pewna, że w porowatym, granitowym sercu jaskini coś na mnie czeka. Musiałam tylko to coś odkryć.

Znalazłam się na brzegu rzeki. Czarna woda pędziła w bezkresną ciemność. Zobaczyłam kołyszącą się łódź z wiosłami - bliźniacze czółno Clematisa. To właśnie myśl o nim, a może cień jego głosu, skłoniła mnie, aby pójść w jego ślady. Kiedy odpychałam łódź od brzegu, zamoczyłam nogawkę, wełna pociemniała. Łódź była przypięta do liny - nie potrzebowałam wiosła, wystarczyło przeciągnąć się na drugi brzeg. Widziałam wodospad, gęstą mgłę spowijającą rozpadlinę i wiedziałam już, czemu nazywano tę rzekę Styksem, rzeką zmarłych: przeciągając czółno, czułam, jak ogarnia mnie jakaś śmiertelna obecność, ciemna pustka tak ciężka, że zdawało mi się, że za chwilę umrę.

Szybko dostałam się na drugi brzeg. Zostawiłam łódź bez obaw, wiedząc, że jest przytwierdzona do sznura, i zesłam na ląd. Im bardziej oddalałam się od rzeki, tym bardziej fantastyczne formacje skalne jawiły się przed moimi oczami: kamienne iglice, zadziwiające grudy minerałów, nisze jak plaster miodu, otwierające się na wszystkie strony. Niezrozumiałe nawoływania, które odciągnęły mnie od doktor Seraphiny, stawały się coraz wyraźniejsze. Dobrze słyszałam, jak głos unosi się i opada, niemal w rytm moich kroków. Wiedziałam, że jeśli dotrę do źródła odgłosów, ujrzę istoty, które od tak dawna zamieszkiwały w mojej wyobraźni.

Nie zauważyłam nagłego spadku, straciłam równowagę i upadłam na mokry, śliski granit. Oświetliłam podłoże latarką, a wtedy zobaczyłam małą, skórzaną torbę. Wstałam, podniosłam ją i zajrzałam go środka. Była tak zniszczona, że obawiałam się, iż rozpadnie mi się w rękach. Zaświeciłam do środka, dostrzegłam metaliczny blask. Zerwałam zużytą, cielejącą skórę, lira lśniła jak świeżo wypolerowana. Oto znalazłam przedmiot, o którego odkrycie tak żarliwie się modliliśmy.

Myślałam tylko o tym, żeby lirę zanieść doktor Seraphinie. Schowałam ją do torby i zaczęłam przedzierać się przez ciemność, ostrożnie, żeby znów się nie poślizgnąć. Rzeka była tuż, tuż, łódź kołysała się na mętnych wodach. Nagle w głębi jaskini coś zamigotało. Nie od razu dostrzegłam źródło światła. Z początku myślałam, że to członkowie naszej wyprawy, że to światła ich laterek padają na skaliste ściany. Podeszłam do brzegu, żeby lepiej się przyjrzeć, ale wtedy dotarło do mnie, że nasze latarki dają zupełnie inne światło. Wpatrywałam się w migotanie, idąc w stronę wylotu jaskini.

Stała tam istota o niezwykłym wyglądzie. Za nią, w zwartej grupie, trwał nieruchomo chór aniołów, ich ciała emanowały stonowaną, przezroczyłą poświatą.

Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Było ich pięćdziesiąt, może sto, wszystkie majestatyczne i piękne. Zdawało mi się, że skórę mają z czystego złota, skrzydła - z kości słoniowej, oczy - z jaskrawoniebieskich szkiełek. Obłok mlecznego światła opadał na ich blond loki. Tak wiele czytałam o jaśniejących postaciach, tak usilnie próbowałam je sobie wyobrazić, ale nie spodziewałam się, że ich widok do tego stopnia mnie zahipnotyzuje. Byłam przerażona, a jednak przyciągały mnie z magnetyczną siłą. Chciałam odwrócić się i uciec, ale nie mogłam zrobić kroku.

Rozległ się ich radosny, harmonijny śpiew, wypełnił całą jaskinię. Tak zupełnie nie pasował do demonów, za które od dawna uważałam uwięzione anioły, że mój strach w jednej chwili się ulotnił. Ich pieśń była nieziemską, nieprawdopodobnie piękna. W ich głosach rozbrzmiewała obietnica rajy. Melodia rzuciła na mnie urok, nie mogłam nawet drgnąć. Oszołomiona, uzmysłowiłam sobie, że pragnę zagrać na lirze.

Oparłam jej podstawę na udach i musnęłam palcami metalowe struny. Nigdy nie grałam na takim instrumencie - moja styczność z muzyką ograniczała się do przeczytania jednej rozprawy z zakresu muzykologii eterycznej - a jednak lira rozbrzmiała dźwiękiem tak soczystym i melodyjnym, jakby instrument grał sam.

Słyszając go, czuwający przestali śpiewać. Rozglądali się po jaskini, a kiedy skupili wzrok na mnie, przepełniła mnie potworna groza, którą rozzpraszała jedynie odczuwana wobec nich nabożna cześć - byli w końcu Halnymi z najdoskonalszych Bożych stworzeń, obdarzeni fizyczną światłością, lekcy jak płatki kwiatu. Skamieniała, ścisnęłam lirę, jakby miała dodać mi sił.

Anioły powoli się zbliżały, wciskały się w metalowe kraty lochów. Od ich oślepiającego światła dostawałam zawrotów głowy, byłam zupełnie roz-1rzęsona. Nagle poczułam, jak zalewa mnie fala lepkiego gorąca, jakbym wpadła do kadzi z wrzącym olejem. Krzyknęłam z bólu, ale głos wydał mi się obcy. Padłam na ziemię i zakryłam twarz torbą, a wówczas nadeszła druga fala gorąca, jeszcze bardziej bolesna od pierwszej. Sądziłam, że moje grube, wełniane ubranie, które miało chronić mnie przed zimnem, za chwilę się roztopi jak szaty brata Franciszka. Po chwili, jakby z oddali, usłyszałam, jak głosy aniołów tężeją w słodkiej harmonii. Ich zaklęcia sprawiły, że upadłam i straciłam przytomność. W rękach ścisnęłam lirę.

Odzyskałam świadomość dopiero po jakiejś chwili - stała nade mną doktor Seraphina z ogromną troską na twarzy. Szeptala moje imię, a mnie przez chwilę wydawało się, że umarłam i wyłoniłam się po drugiej stronie istnienia, że zasnęłam w naszym świecie, a obudziłam się w innym, że oto przeprowiłam się z Charonem na drugą stronę Styksu. Wtem obezwładnił mnie spazm bólu i już wiedziałam, że żyję i jestem ranna - ciało miałam sztywne i gorące. Seraphina wyjęła lirę z moich dłoni i obejrzała ją, zdumiona. Pomogła mi usiąść, wsadziła lirę pod pachę i pewnie stojąc na nogach, czego nie można było powiedzieć o mnie, ruszyła w stronę łodzi.

Czólno unosiło się i opadało na falach, kiedy Seraphina przeciągała je na drugi brzeg. Zobaczyłam, jak wyjmuję z uszu zatyczki. Potrafiła przewidzieć każdą ewentualność, wiedziała, jak się uchronić przed dźwiękiem anielskiej muzyki.

- Coś ty, na miły Bóg, tam wyprawiała? - spytała, nawet na mnie nie patrząc. - Wiedziałaś, że nie wolno oddalać się od grupy.

- Co z innymi? - Z przerażeniem uzmysłowiłam sobie, że mogłam narazić członków wyprawy na niebezpieczeństwo. - Gdzie są?

- Na górze, czekają na nas. Szukaliśmy cię trzy godziny. Już myślałam, że jest po tobie. Wszyscy będą pytali, gdzie się podziewałaś. Pod żadnym pozorem nie wolno ci mówić prawdy. Obiecuj mi to, Celestine, obiecuj, że nikomu nie wyjawisz, co widziałaś po drugiej stronie rzeki.

Na brzegu Seraphina pomogła mi wysiąść. Widząc, jak jestem obolała, przemówiła łagodniejszym tonem.

- Zapamiętaj to sobie, Celestine, w naszej pracy nie chodzi o czuwających. Mamy obowiązki względem świata, w którym żyjemy i do którego musimy wrócić. Jest jeszcze wiele do zrobienia. Zawiodłaś mnie okrutnie, przechodząc przez rzekę, ale to ty wypełniłaś cel naszej misji. Dobra robota.

Kiedy kuśtykałam do drabiny, każdy krok sprawiał mi ból. Minęłyśmy ciało anioła - starannie rozczłonkowane - i leżącą obok szatę. Choć z niebiańskiej istoty pozostały zaledwie resztki, nadal emanowały bladą poświatą.

Wydostawszy się na powierzchnię, brnęliśmy wszyscy przez śnieg, taszcząc brezentowe torby wypełnione cennymi próbkami. Ostrożnie spakowaliśmy sprzęt do furgonetki i ruszyliśmy w drogę powrotną. Byliśmy wyczerpani i ubłoceni, a niektórzy z nas - z obrażeniami: Władimir miał ranę nad okiem, długie i głębokie rozcięcie od uderzenia w sterczącą skałę podczas wspinaczki, a ja zostałam wystawiona na działanie trującego światła.

Jechaliśmy przez góry, prędko pokonując oblodzone drogi. Śnieg musiał padać już od dłuższego czasu. Grube zasy na urwiskach odcinały się na tle nieba. Drogi pokryła warstwa lodu, to do niej musieliśmy dostosować prędkość. Zerknęłam na zegarek i z niedowierzaniem odczytałam godzinę, dochodziła czwarta nad ranem. Spędziliśmy w Diabelskim Gardle ponad piętnaście godzin. Mieliśmy takie opóźnienie, że nie było | czasu na drzemkę. Przystanęliśmy tylko na chwilę, żeby zatankować - jf kanistry wieźliśmy w bagażniku.

Pomimo szaleńczej jazdy Władimira spóźniliśmy się na samolot dwie godziny, dojechaliśmy na lotnisko o wschodzie słońca. Model 12 Electra, z dwoma silnikami, gotowy do odlotu czekał na pasie startowym, na którym zostawiliśmy go dzień wcześniej. Sople na skrzydłach wyglądały jak kły i były niezbitym dowodem potwornego ziąbu. Przelot nie był

bezpieczny, ale jazda samochodem - jeszcze bardziej. Rozejrzałam się po kabinie - wcześniej nie zauważyłam, że było w niej dość miejsca tylko dla sześciorga pasażerów, sprzętu i zapasów. Załadowaliśmy bagaż i już wkrótce samolot, straszliwie hucząc, wzbijał się w ośnieżone niebo.

Dwanaście godzin później wylądowaliśmy na lotnisku pod Paryżem, gdzie czekało na nas auto marki Panhard et Lavassor Dynamie - luksusowy pojazd z polerowaną kratą i śliskimi stopniami, zdumiewający zbytek w krajobrazie wojennych potworności. Mogłam się tylko domyślać, jak weszliśmy w posiadanie takiego skarbu - podejrzewałam, że podobnie jak Model 12 i K-51, pochodziły od hojnych ofiarodawców. Dzięki ich wsparciu przeżyliśmy ostatnich kilka lat, więc i za auto byłam im wdzięczna, choć nie śmiałam spytać, jakim cudem nie odebrali nam go Niemcy.

Samochód mknął w ciemności, a ja siedziałam, milcząc. Przespałam kilkugodzinny lot, wciąż jednak byłam wyczerpana. Zamknęłam oczy. Od razu zapadłam w głęboki sen. Koła podskakiwały na dziurawych drogach, wokół rozlegał się szept rozmów, ale do mnie nic nie docierało. We śnie stawały mi przed oczami rozmaite obrazy z wyprawy. Widziałam Seraphinę, Władimira i innych członków ekspedycji. Pod nimi rozwierała się głęboka, przerażająca jaskinia. Przedemną tańczył zastęp aniołów w bladej poświacie.

Obudziłam się i natychmiast rozpoznałam okolicę - opuszczone, brukowane ulice Montparnasse, rejonu oporu i straszliwej nędzy za okupacji. Minęliśmy kamienice i ciemne kawiarnie, po obu stronach drogi unosiły się nagie gałęzie drzew skute lodem. Kierowca zwolnił i skręcił w stronę Cimetiere du Montparnasse, zatrzymał się przed wielką, żelazną bramą. Zatrząbił, brama rozwarła się z grzechotem na boki, auto powoli wślizgnęło się do środka. Na cmentarzu było cicho, cały teren pokrywał śnieg migocący w blasku świateł samochodu. Przez chwilę wydawało mi się, że temu jednemu, jedynekmu miejscu zostały oszczędzone brzydota i koszmar wojny. Kierowca zaparkował pod rzeźbą na kamiennym piedestale przedstawiającą Anioła Wiecznego Snu - Le Genie du sommeil eternel - wykutego z brązu stróża umarłych.

Wysiadłam z samochodu, ledwie stałam na nogach ze zmęczenia. Noc była jasna, gwiazdy rozświetlały niebo. Nad grobami wisiało wilgotne powietrze, zasnuwając je leciusienką mgiełką. Zza posągu wyłonił się mężczyzna - najwyraźniej wyszedł nam na spotkanie, ale mnie i tak ogarnął strach. Miał na sobie sutannę. Nigdy wcześniej go nie widziałam - na żadnym spotkaniu ani zebraniu - a nauczono mnie wszystkich traktować z podejrzliwością. Za ledwie miesiąc wcześniej nefilimowie wytropili i zamordowali jednego ze starszych członków rady - profesora muzykologii eterycznej nazwiskiem Michael - i przejęli cały jego zbiór pism na temat muzykologii. Był to pierwszy wypadek, kiedy pozyskali bezcenne materiały wysokiej rangi naukowca. Wróg tylko czyhał na podobne okazje.

Seraphina wydawała się spodziewać księdza i bez oporu ruszyła za nim. On ponaglił grupę i poprowadził nas do zniszczonej kamiennej budowli w dalekim zakątku cmentarza, jednego z ocalałych budynków opuszczonego klasztoru. Przed laty tam właśnie odbywały się wykłady Valków. Teraz budynek świecił pustkami. Ksiądz otworzył napęczniałe drewniane drzwi i wprowadził nas do środka.

Nikt z nas, nawet doktor Seraphina utrzymująca bliski kontakt ze starszymi członkami rady - żona Raphaela, który zawiadywał naszym ruchem oporu w Paryżu - nie znała miejsc spotkań podczas wojny. Nie mieliśmy regularnego harmonogramu, wszystkie wiadomości dostarczano ustnie lub - jak tę dzisiejszą - w milczeniu. Zebrania organizowano ad hoc w odległych kawiarniach, niewielkich miasteczkach pod Paryżem, opuszczonych kościołach. Nawet przy takich środkach ostrożności mogliśmy się spodziewać, że każdy nasz ruch jest obserwowany.

Ksiądz poprowadził nas korytarzem, zatrzymał się przed drzwiami i trzykrotnie krótko zastukał. Ktoś nam otworzył, zobaczyliśmy kamienną salę, którą oświetlały nagie żarówki - bezcenny towar kupowany na \* za mym rynku za dolary. Wąskie okna osłaniała szczelnie czarna tkanina, uniemożliwiająca przenikanie światła na zewnątrz. W środku trwało spotkanie - członkowie rady siedzieli wokół okrągłego drewnianego stołu. Ksiądz wprowadził nas do sali, a wówczas członkowie rady podnieśli się z krzeseł i przyglądali nam się z wielkim zainteresowaniem. Mnie nie wolno było uczestniczyć w tym spotkaniu, nie miałam też pojęcia, iak zwykle przebiegały podobne zebrania; tym razem najwyraźniej wszyscy czekali na członków ekspedycji.

Doktor Raphael Valko, szef rady, zasiadał u szczytu stołu. Ostatni raz widziałam go, kiedy odwiózł mnie na rodzinną farmę w Alzacji i zostawił tam na wygnaniu, czego nie mogłam mu wybaczyć, choć wiedziałam, że było to najlepsze rozwiązanie. Zmienił się. Spoważniał, a włosy wokół jego skroni przyprószyła siwizna. Nie poznałabym go na ulicy.

Raphael powitał nas krótko, wskazał na stojące wokół puste krzesła i rozpoczął spotkanie, które miało się okazać pierwszą z wielu rund pytań na temat wyprawy.

- Macie sporo do przekazania - powiedział, składając ręce na stole. -Zacznijcie, od czego chcecie.

Seraphina podała szczegółowy opis jaskini: stromy, pionowy spadek, półki skalne w niższych partiach i charakterystyczny odgłos wodospadu w oddali. Opisała ciało anioła, odczytała dokładne miary i wymieniła odnotowane cechy charakterystyczne, zaznaczając z wyraźną dumą, że anioł miał narządy płciowe. Wyjaśniła, że zdjęcia ujawnią nowe fakty na temat cielesności aniołów. Podsumowała, że wyprawa okazała się ogromnym sukcesem.

Następnie głos zabierali po kolei pozostali członkowie wyprawy -każdy szczegółowo relacjonował przebieg ekspedycji. Ja tymczasem zamknęłam się w sobie. W bladym świetle przypatrywałam się swoim dłoniom. Były potwornie zniszczone od chłodu i górskiego wiatru, poparzone od dotykania anioła. Nagle straciłam poczucie rzeczywistości. Czy to możliwe,



że zaledwie przed sześcioma godzinami byliśmy w górach? Ręce drżały mi tak gwałtownie, że ukryłam je w kieszeniach grubej, wełnianej kurtki. Widziałam w myślach oczy anioła barwy akwamarynu, błyszczące jak szlifowane szkiełka. Przypomniało mi się, jak Seraphina podnosiła jego długie ręce i nogi i ważyła je jak kawałki drewna. Anioł wydawał się niemal żywy, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że znaleźliśmy go chwilę po tym, jak wyzionął ducha. Uzmysłowiłam sobie, że mimo długich przygotowań nie wierzyłam, że ciało naprawdę tam będzie. Nie spodziewałam się, że je zobaczymy, dotkniemy, wbijemy w skórę igły i pobierzemy próbki płynów. W głębi ducha miałam nadzieję, że się mylimy. Kiedy Seraphina odcięła płat skóry i uniosła go do światła, ogarnęła mnie trwoga. Ten widok mnie prześladował: ostrze biegnące po białej skórze, nacięcie, szarpnięcie. Mignięcie błony. Byłam najmłodszym członkiem wyprawy i dlatego musiałam szczególnie dobrze wypaść, zrobić więcej, niż do mnie należało. Przez kilka lat udowadniałam, że zasłużyłam na udział w ekspedycji - studiowałam teksty, chodziłam na wykłady, zdobywałam niezbędną wiedzę - a jednak okazałam się niegotowa na to, co spotkało mnie w jaskini. Czułam się upokorzona, bo zareagowałam jak nowicjuszka.

- Celestine? - Głos doktora Raphaela wyrwał mnie z zadumy.

Wszyscy wpatrywali się we mnie wyczekująco. Najwyraźniej Raphael zadał mi pytanie.

- Przepraszam - wyszeptałam, oblewając się rumieńcem. - Pytał pan o coś?

- Doktor Seraphina wyjaśniała radzie, że to ty dokonałaś w jaskini kluczowego odkrycia - odpowiedział Raphael, wpatrując się we mnie uważnie. - Zechciałabyś nam o tym opowiedzieć?

Obawiając się złamać daną doktor Seraphinie obietnicę i wyjawić swoją lekkomyślną decyzję przeprowadzenia się przez rzekę, milczałam.

- Widać po Celestine, że nie czuje się najlepiej - przemówiła w moim imieniu doktor Seraphina. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, ja opiszę znalezisko, a ona niech odpocznie.

Moja mentorka rozpoczęła wyjaśnienia. Znalazłam Celestine nad brzegiem rzeki, trzymała w ramionach zniszczoną torbę. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest bardzo stara.

Pamiętacie pewnie, że czcigodny Clematis wspomina o niej w relacji z pierwszej wyprawy.

- Owszem - przyznał Raphael - dokładnie pamiętam ten werset: „Pospiesznie ująłem instrument w osmalone dłonie i ukryłem bezpiecznie w torbie”.

- Dopiero kiedy ją otworzyłam i zajrzałam do środka, miałam pewność, że to torba Clematisa. Czcigodny ojciec nie zdołał jej wynieść z jaskini - ciągnęła Seraphina. - To właśnie Celestine ją odnalazła.

Członkowie rady byli zszokowani. Zwrócili się w moją stronę, najwyraźniej ciekawi szczegółów, ale nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa. Do mnie samej nadal nie docierało, że spośród wszystkich członków wyprawy to właśnie ja dokonałam tego odkrycia.

Raphael milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad naszym sukcesem. Potem w nagłym przypiływie energii wstał i zwrócił się do członków rady.

- Na tym na razie skończymy - poinformował zebranych. - W sali poniżej czeka na was posiłek. Seraphino i Celestine, możecie jeszcze przez chwilę zostać?

Kiedy wszyscy zbierali się do wyjścia, Seraphina posłała mi życzliwe spojrzenie, jakby chciała mnie zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Raphael wyprowadził zebranych z sali. Emanował spokojem, który tak podziwiałam - siła charakteru pozwalająca okiełznać emocje była cnotą, którą sama bardzo pragnęłam mieć.

- Powiedz mi, Seraphino - spytał po chwili - czy członkowie wyprawy dobrze się spisali?

- Uważam, że odnieśliśmy ogromny sukces - odparła Seraphina.

- A Celestine? - dopytywał.

Raptownie rozbolał mnie brzuch. Czyżby wyprawa była jakimś rodzajem sprawdzianu?

- Jak na młodego angelologa - odpowiedziała Seraphina - nadzwyczajnie. Znalezisko to najlepszy dowód jej umiejętności.

- Doskonale - Raphael odwrócił się w moją stronę. - Jesteś z siebie zadowolona?

Zerknęłam na doktor Seraphinę, potem na doktora Raphaela. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wyrażenie zadowolenia byłoby kłamstwem, ale opowiadając o szczegółach tego, co się wydarzyło, złamałabym dane Seraphinie słowo. Wreszcie wyszeptałam:

- Żałuję, że nie byłam lepiej przygotowana.

- Całe życie przygotowujemy się do takich chwil - odparł Raphael, krzyżując ręce na piersiach i wpatrując się we mnie krytycznym wzrokiem - a kiedy wreszcie przychodzą, możemy tylko mieć nadzieję, że zdobyliśmy dość wiedzy, aby odnieść sukces.

- Masz ogromne możliwości - dodała Seraphina. - Spisałaś się wyśmienicie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak zareagowałam - tłumaczyłam się - Misja bardzo mnie wzburzyła. Jeszcze nie doszłam do siebie.

Raphael objął żonę i pocałował w policzek.

- Idź do pozostałych, Seraphino. Chciałbym Celestine coś pokazać. Seraphina wzięła mnie za rękę.



- Byłaś bardzo dzielna, Celestine. Będiesz kiedyś wybitnym angelologiem.

Pocałowała mnie w policzek i wyszła. Miałam jej już nigdy nie zobaczyć. I Doktor Raphael wyprowadził mnie z sali na korytarz cuchnący ziemią i pleśnią.

- Chodź - rzucił, pospiesznie idąc po schodach w dół, w ciemność. Za schodami był kolejny korytarz, dłuższy od poprzedniego. Podłoga

opadała pod ostrym kątem, musiałam ostrożnie balansować, żeby utrzymać równowagę. Spieszyłam się. Powietrze było coraz chłodniejsze, nagle zaleciało stęchlizną. Wilgoć przenikała moje ubranie - grubą, wełnianą kurtkę, którą miałam na sobie w jaskini. Dotknęłam mokrej, kamiennej ściany - wyczułam pod palcami nierówności, które nie były kamieniami, tylko kośćmi w zagłębieniach ściany. Wiedziałam już, gdzie jesteśmy: w katakumbach pod Montparnasse.

Minęliśmy korytarz, weszliśmy po schodach, dotarliśmy do budynku. Doktor Raphael otwierał kolejne drzwi; zza ostatnich owiało nas mroźne powietrze z alejki. Szczury pierzchały, gdzie popadnie, zostawiając niedojedzone resztki: gnijące obierki ziemniaków i cykorii - wojennego substytutu kawy. Raphael wziął mnie pod rękę i poprowadził za róg na ulicę. Byliśmy kilka przecznic od cmentarza, panhard et kwassor już na nas czekał. Za szybą samochodu zauważyłam kartkę z niemieckim napisem. Nie zrozumiałam go, ale domyślałam się, że to przepustka, która pozwoli nam mijać posterunki w mieście. Rozwiązała się zagadka pochodzenia auta i paliwa: Panhard et Lavassor należał do Niemców. Doktor Valko nadzorował pracę naszych agentów w szeregach Niemców i zapewne to jemu udało się zdobyć auto - przynajmniej na ten jeden wieczór.

Kierowca otworzył drzwi. Wsunęłam się na ciepłe tylne siedzenie, doktor Raphael usiadł obok mnie. Odwrócił się do mnie, ujął moją twarz w swoje zimne dłonie i beznamyślnie mi się przyjrzał.

- Spójrz na mnie - powiedział, badając moje rysy, jakby szukał w nich czegoś szczególnego.

Odwzajemniłam spojrzenie, po raz pierwszy patrzyłam na niego z tak bliska. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat, zmarszczki i znacznie więcej siwych włosów, niż początkowo zauważyłam. Byłam poruszona. Nigdy nie siedziałam tak blisko mężczyzny.

- Masz niebieskie oczy? - spytał.

- Brązowe - odpowiedziałam, zdumiona tym dziwnym pytaniem.

- Może być - stwierdził, otwierając leżącą między nami na siedzeniu niewielką walizeczkę. Wyjął satynową suknię, jedwabne pończochy, pasek i parę butów. Od razu rozpoznałam ten strój. W tej samej czerwonej sukni widziałam przed kilku laty Gabriellę.

- Przebierz się - nakazał. Moje zdumienie musiało być oczywiste. - Wkrótce się dowiesz dlaczego.

- Przecież to rzeczy Gabrielli - wypaliłam bez namysłu. Nie mogłam nawet dotknąć tej sukni. Przypomniało mi się, jak widziałam Gabriellę i Raphaela razem, i pożałowałam, że się odezwałam.

- No i? - spytał Raphael.

- Tej nocy, kiedy miała ją na sobie - wyjaśniłam, nie patrząc mu w oczy - widziałam was razem. Staliście na ulicy pod naszym domem.

- I wydaje ci się, że wiesz, co zaszło.

- A kto by się nie domyślił? - wyszeptalam, wyglądając przez okno na ponure, szare budynki i latarnie uliczne, posępną twarz Paryża. - To było zupełnie oczywiste.

- Włóż sukienkę - powiedział Raphael surowym tonem. - Powinnaś mieć więcej wiary w pobudki zachowania Gabrielli. Co to za przyjaźń, która ulega próżnym domysłom? W dzisiejszych czasach zostało nam tylko zaufanie. Jest wiele rzeczy, o których nie wiesz, ale wkrótce zrozumiesz, na jakie niebezpieczeństwo narażała się Gabriella.

Powoli wyplątałam się z ciężkich, wełnianych ubrań. Rozpięłam spodnie, ściągnęłam grubego sweter - który miał mnie chronić przed lodowatym, górskim wiatrem - i włożyłam suknię, ostrożnie, żeby jej nie roze-drzeć. Była za duża, poczułam to od razu. Przed trzema laty, kiedy widziałam w niej Gabriellę, nie zmieściłabym się w nią, ale odkąd wybuchła wojna, ubyło mi dziesięć kilo, zostały ze mnie skóra i kości.

Raphael również się przebrał. Wyjął z walizki czarny mundur Allge-meine SS, a spod siedzenia - sztywne, błyszczące oficerki. Mundur idealnie skrojony, żadna tam czarnorynkowa podróbka. Był to pewnie kolejny przydatny nabytek od naszych kontaktów wśród hitlerowców, podwójnych agentów w szeregach SS. Na widok Raphaela w mundurze zadrżałam - wyglądał jak inny człowiek. Nałożył nad górną wargą bezbarwny płyn i przykleił cienki wąsik. Wtarł we włosy pomadę i zaczesał je do tyłu, wpiął w klapę szpilkę ze znakiem SS - ten niewielki, acz niezbędny, dodatek nappełnił mnie odrazą.

Raphael zmrużył oczy i przyjrzał mi się bacznie. Skrzyżowałam ręce na piersiach, próbując się przed nim osłonić. Najwyraźniej nie był do końca zadowolony z mojej metamorfozy. Wprawil mnie w nie lada zażenowanie, kiedy wygladził mi sukienkę i ułożył włosy tak, jak robiła to moja matka, zanim wyszłyśmy do kościoła.

Samochód mknął przez ulice, zatrzymał się nad Sekwaną. Żołnierz na moście zastukał w szybę kolbą lugera. Kierowca uchylił okno, coś do niego powiedział po niemiecku i pokazał plik papierów. Wartownik zerknął na tylne siedzenie, zatrzymał wzrok na doktorze Raphaelu.

- Guten Abend - powiedział doktor Raphael z idealnym, jak na moje ucho, niemieckim akcentem.

- Guten Abend - wymamrotał żołnierz, przejrzał papiery, po czym pomachał na znak, że możemy przejechać przez most.

Zmierzając w stronę sali balowej ratusza - klasycystycznego budynku z kolumnami - mijaliśmy na szerokich, kamiennych schodach wytwornie ubranych mężczyzn, prowadzących pod rękę piękne kobiety. Przy drzwiach straż trzymali niemieccy żołnierze. Wiedziałam, że daleko mi do tych eleganckich pań, byłam chora i wyczerpana, chuda i blada. Miałam włosy upięte w kok, a na twarzy nieco różu znalezionego w walizce doktora Raphaela, jednakże bardzo od nich się różniłam - ufryzowanych, z wypielęgnowaną cerą. Ciepłe kąpiele, pudry, perfumy i czyste ubrania po prostu dla mnie nie istniały, podobnie zresztą jak dla większości z nas w okupowanej Francji. Wygoda wydawała mi się ledwie wspomnieniem z dzieciństwa, czymś, czego doświadczyłam i co już nigdy nie wróci, jak mleczne zęby. Wyróżniałam się spośród tych kobiet, a jednak trzymałam doktora Raphaela pod rękę, usiłując zachować spokój. On szedł szybko i pewnie, ale i tak zdumiałam się, że żołnierze nas przepuścili. Zupełnie nagle znaleźliśmy się w ciepłym, gwarnym, wykwintnym wnętrzu sali balowej.

Raphael poprowadził mnie do końca sali, a następnie schodami na balkon, do naszego stolika. Dopiero po chwili oswoiłam się z hałasem i oświetleniem i wtedy rozejrzałam się po długiej sali jadalnej, z wysokim sufitem i ścianami luster, w których odbijał się tłum; gdzieś dostrzegłam kobiety kark, gdzie indziej - błyszczącą dewizkę zegarka. Wokoło wisiały czerwone flagi z czarnymi swastykami. Stoły były nakryte śnieżnobiałym płótnem, zastawione białą porcelaną, pośrodku stały bukiety kwitnących kwiatów; istny cud, róże w środku wojny i zimy. Światło kryształowych żyrandoli sączyło się na ciemną posadzkę i satynowe trzewiki. Szampan, biżuteria i piękni ludzie w świetle świec. Tłum unosił kieliszki. Sala drżała od okrzyków - Zum Wohl! Zum Wohl!

Oniemiałam, widząc, że wino leje się strumieniami. O jedzenie było trudno, a zdobycie wina graniczyło z cudem. Słyszałam, że Niemcy rekwirowali tysiące butelek szampana i że piwnicę moich rodziców doszczętnie opróżniono. Dla mnie jedna butelka była niewyobrażalnym luksusem. Tymczasem tutaj wina byto w bród. Na własne oczy przekonałam się, jak bardzo różni się życie zwycięzców od życia przegranych.

Siedząc na balkonie, uważnie przypatrywałam się biesiadnikom. Na pierwszy rzut oka wyglądali jak zwykli goście na eleganckim balu. Ale wystarczyło przyjrzeć się bliżej, aby dostrzec, że wielu z nich przypominało anioła, którego tak niedawno widziałam w jaskini. Byli szczupli i kanciąści, o wysokich kościach policzkowych i szerokich, kocich oczach, podobni, jak ulepieni według tego samego wzorca. Blond włosy, przezroczysta skóra i nadzwyczajny wzrost wyróżniały wśród gości nefilimów.

Gwar głosów uniósł się aż po balkon, kiedy kelnerzy przeciskali się przez tłum, rozdając kieliszki z szampanem.

- Właśnie to - odezwał się doktor Raphael, wskazując za setki zgromadzonych gości - miałaś zobaczyć.

Raz jeszcze wpatrzyłam się w tłum. Czułam, że za chwilę dostanę mdłości.

- Taka zabawa, kiedy Francja głoduje.

- Kiedy głoduje Europa - poprawił mnie doktor Raphael.

- Skąd mają jedzenie? - spytałam. - Wino, wytworne stroje, tyle par butów?

- Widzisz - powiedział doktor Raphael z lekkim uśmiechem - chciałem, żebyś zrozumiała, czemu służy nasza praca, co jest w niej stawką. Jesteś młoda. Być może trudno ci zrozumieć, z czym się mierzymy.

Oparłam się o lśniącą, mosiężną poręcz, zimny metal palił mi nagie ramiona.

- Angelologia to nie jakaś teoretyczna partia szachów - ciągnął Raphael. - Wiem, że na początku studiów, kiedy człowiek siedzi po uszy w pismach Bonawentury i Augustyna, może się tak wydawać. Ale nasza praca nie sprowadza się do debat nad hilemorfizmem i kreślenia taksonomii aniołów stróżów. - Wskazał na zebrany poniżej tłum. - Swoją pracę wykonujesz tutaj, w prawdziwym świecie.

Raphael przemawiał z pasją, a jego słowa przypominały mi ostrzeżenie doktor Seraphiny, którego udzieliła mi w Diabelskim Gardle: „Mamy obowiązki względem świata, w którym żyjemy i do którego musimy wrócić”.

- Musisz wiedzieć - mówił Raphael - że to nie jest walka między garstką bojowników ruchu oporu i armią okupanta. Ta wojna, która zaczęła się przed wiekami. Święty Tomasz z Akwinu twierdził, że ciemne anioły upadły w dwadzieścia sekund po stworzeniu - ich diabelska natura niemal natychmiast wypaczyła doskonały wszechświat, wprowadziła rozłam, podział na dobro i zło. Przez dwadzieścia sekund świat był czysty, idealny, nieskażony. Wyobraź sobie, jak w tych dwudziestu sekundach musiało wyglądać życie - bez strachu przed śmiercią, bez bólu, bez wątpliwości, które stale nas nękają. Tylko pomyśl.

Zamknęłam oczy i próbowałam wyobrazić sobie taki świat. Nie potrafiłam.

- Dwadzieścia sekund doskonałości - powiedział doktor Raphael, sięgając po kieliszek szampana dla mnie i dla siebie z tacy kelnera. - My dostaliśmy resztę.

Pociągnęłam łyk zimnego, wytrawnego szampana. Smakował wybornie, ale mój język aż się cofnął, jakby w bólu.

- W naszych czasach triumfuje zło - ciągnął Raphael - ale my wciąż walczymy. W każdym zakątku świata są nas tysiące przeciwko tysiącom, a może setkom tysięcy wrogów.

- Są tak potężni - zdziwiłam się, myśląc o ostentacyjnym bogactwie w sali poniżej. - Trudno mi uwierzyć, że nie zawsze tak było.

- Ojcowie założyciele angelologii delectowali się planowaniem eksterminacji wrogów. Wiemy jednak, że przecenili swoje możliwości: zakładali, że walka zakończy się błyskawicznie. Nie przewidzieli, że natura czuwających i ich dzieci okaże się tak podstępna, nie domyślali się ich upodobania do mactw, brutalności i zniszczenia. Czuwający są istotami anielskimi, przez co zachowują niebiańskie piękno swojego pochodzenia, ale ich dzieci zostały skażone przemocą. Wkrótce zatruli wszystko, czego dotknęły. - Doktor Raphael zamilkł, jakby namyślał się nad rozwiązaniem zagadki. - Pomyśl - powiedział wreszcie - jaką desperacją wykazał się Stwórca, kiedy nas zabijał. Wyobraź sobie ból ojca mordującego swoje dzieci, zastanów się, jak skrajne podjął środki. Miliony stworzeń utonęły, zaginęły cywilizacje, a jednak nefilimowie przetrwali. Chciwość, niesprawiedliwość społeczna, wojny - oto jak manifestuje się zło w naszym świecie. Okazało się, że zagłada planety nie wyeliminowała zła. Czcigodni ojcowie wykazali się mądrością, ale akurat tych aspektów nie zgłębili. Nie byli gotowi do walki. Dziś wiemy, że angelolodzy nie mogą ignorować historii. Inkwizycja przyniosła ogromną szkodę naszej działalności, ale odrobiliśmy straty - ciągnął Raphael. - Dziewiętnasty wiek też nie był dobrym okresem, bo teorie Spencera, Darwina i Marksa urobiono na systemy manipulacji społecznej. Do tej pory udawało nam się odzyskiwać stracony grunt, za to obecna sytuacja coraz bardziej mnie martwi. Tracimy siły. Nasz gatunek ginie w obozach śmierci. Rękami Niemców nefilimowie odnieśli potężne zwycięstwo. Długo czekali na taką okazję.

Wreszcie mogłam zadać pytanie, które już od jakiegoś czasu chodziło mi po głowie:

- Czy hitlerowcy to nefilimowie?

- Niezupełnie - odparł Raphael. - Nefilimowie pasożytują na ludzkiej społeczności. Są w końcu mieszkańcami - pół aniołami, pół ludźmi - a to zapewnia im pewną elastyczność. Mogą przenikać do naszej cywilizacji i w dowolnej chwili się ulatniać. Na przestrzeni dziejów włączali się w szeregi takich grup, jak hitlerowcy - promowali je, wspierali finansowo i militarnie i wykorzystywali do własnych celów. To bardzo stara i bardzo skuteczna praktyka. Nefilimowie dopinają swego, po cichu dzielą łupy i znów skrywają się w cieniu.

- Ale mówi się na nich „sławni” - zauważyłam.

- Owszem, i wielu z nich faktycznie cieszy się sławą, ale bogactwo zapewnia im ochronę i prywatność - wyjaśniał dalej Raphael. - Dziś wieczór zebrano ich bardzo wielu. Chciałbym ci zresztą przedstawić pewnego wpływowego dżentelmena.

Doktor Raphael wstał i wymienił uścisk dłoni z wysokim blondynem w przepięknym jedwabnym fraku; mężczyzna - nie wiedząc czemu - wydał mi się znajomy. Możliwe, że gdzieś się wcześniej poznaliśmy, bo przyglądał mi się, a właściwie mojej sukni, z równym zainteresowaniem.

- Herr Reimer - odezwał się blondyn. Poufałość, z jaką wymówił fałszywe nazwisko doktora Raphaela, świadczyła o tym, że nie ma pojęcia, kim naprawdę jesteśmy. Rozmawiał z nim, jakby byli kolegami. - W zeszłym miesiącu rzadko widywałem pana w Paryżu - czyżby wojna zakłócała panu spokój?

Doktor Raphael zaśmiał się stosownym tonem.

- Ależ skąd - odpowiedział - zajmowałem się tą uroczą, młodą damą. Moja siostrzenica, Christina. Christino, Percival Grigori.

Wstałam i podałam mężczyźnie rękę. Pocałował ją, przyciskając lodowate usta do mojej ciepłej skóry.

- Uroczą - stwierdził, choć nawet na mnie nie spojrzał, pochłonięty wpatrywaniem się w moją suknię.

Wyjął z kieszeni papierośnicę, poczęstował doktora Raphaela, po czym zdumiał mnie bezgranicznie, kiedy przypalił papierosa tą samą zapalniczką, którą przed czterema laty widziałam u Gabrielli - z wygrawerowanymi z boku inicjałami P.G. W jednej koszarnej chwili rozpoznałam go. Percival Grigori był kochankiem Gabrielli, mężczyzną, którego widziałam w jej objęciach. Oszołomiona przypatrywałam się doktorowi Raphaelowi, który beztrąsko rozprawiał o polityce, teatrze i najistotniejszych wydarzeniach z frontu. Po chwili, kiwając głową na pożegnanie, Percival Grigori odszedł.

Osunęłam się na krzesło. Nie mogłam pojąć, skąd Raphael znał tego człowieka ani jak to się stało, że w związek z nim zaangażowała się Gabriella. Zdezorientowana uznałam, że najlepiej będzie milczeć.

- Lepiej ci? - spytał Raphael.

- Lepiej?

- Rozchorowałam się podczas wyprawy.

- A, tak - odparłam, zerkając na swoje ramiona. Były czerwone, jak od poparzenia. - Nic mi nie będzie. Przy jasnej karnacji skóra dłużej się goi. - Chcąc zmienić temat, dodałam: - Nie dokończył pan o hitlerowcach. Są całkowicie pod kontrolą nefilimów? A jeśli tak, to jakim cudem możemy z nimi wygrać?

- Nefilimowie są silni, ale kiedy przegrywają - a do tej pory zawsze tak było - szybko znikają, żeby to ludzie płacili cenę za porażkę, jakby te wszystkie diabelskie poczynania były ich dziełem. Wśród hitlerowców roi się od nefilimów, ale ci, którzy są przy władzy, to stuprocentowi ludzie. Dlatego tych diabłów tak trudno się pozbyć. Ludzkość rozumie zło i wręcz go pożąda. Mamy to w naturze, że zło po prostu nas kuszi. Łatwo nas do niego przekonać.

- Zmanipulować - poprawiłam;

- Manipulacja jest tu chyba właściwszym słowem. Na pewno łagodniejszym.

Zagłębiłam się w oparcie krzesła, czułam na plecach miękki aksamit. Mogłabym przysiąc, że tak ciepło nie było mi od lat. Rozległa się muzyka, pary zaczęły tańczyć, sala balowa powoli się wypełniała.

- Panie doktorze - zagadnęłam, ośmielona szampanem - mogę pana o coś spytać?

- Oczywiście.

- Cemu pytał pan, czy mam niebieskie oczy?

Przez chwilę doktor Raphael miał taki wzrok, jakby chciał mi wyjawiać swoje pilnie skrywane przed studentami życie wewnętrzne. Łagodnym tonem odpowiedział:

- To powinnaś wiedzieć z zajęć, moja droga. Wygląd olbrzymów? Ich materiał genetyczny?

Przypomniałam sobie wykłady i zarumieniłam się aż po uszy. No, tak. Nefilimowie mają jasne, błękitne oczy, blond włosy i ponadprzeciętny wzrost.

- A, tak - przyznałam - teraz pamiętam.

- Jesteś dość wysoka - powiedział doktor Raphael - i chuda. Pomyślałem, że jeśli masz niebieskie oczy, łatwiej cię będzie przemycić obok strażników.

Jednym haustem dokończyłam szampana. Nie lubiłam się mylić, zwłaszcza w obecności doktora Raphaela.

- Czy rozumiesz, Celestine - spytał doktor Valko - czemu wysłaliśmy cię do jaskini?

- W celach naukowych - odparłam. - Zeby zbadać anioła, zebrać ilane empiryczne, zachować próbki ciała. Zeby odnaleźć zagubiony przez Cłematisa skarb.

- Oczywiście, chodziło przede wszystkim o lirę - przyznał Raphael. - Ale nie zastanawiałaś się nigdy, czemu na tak ważną misję posłano osobę tak niedoświadczoną jak ty? I czemu wyprawę poprowadziła zaledwie czterdziestoletnia Seraphina, a nie któryś ze starszych członków rady?

Pokręciłam głową, nie znałam odpowiedzi. Wiedziałam, że doktor Seraphina ma ambicje zawodowe, ale faktem jest, że powierzenie jej przewodnictwa mocno mnie zdziwiło, tym bardziej że to Raphael odnalazł sprawozdanie Cłematisa. Do tej pory sądziłam, że mój udział w ekspedycji był nagrodą za zlokalizowanie jaskini, ale może rzecz nie sprowadzała się tylko do tego.

- Zależało nam z Seraphina na tym, żeby do jaskini wysłać młodego angelologia - wyjaśnił Raphael, patrząc mi w oczy.

- Nie zdążyłaś przesiąknąć zawodowymi praktykami. Miałaś być tą, która nie będzie naciągać przebiegu wyprawy do naszych założeń.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziałam, odstawiając na stół pusty kieliszek.

- Gdybym pojechał tam ja - tłumaczył Raphael - zobaczyłbym tylko to, czego się spodziewałem. Ty z kolei widziałaś, co naprawdę tam jest. To przecież ty odkryłaś coś, czego nie znaleźli inni. Powiedz, jak znalazłaś lirę. Co się wydarzyło w jaskini?

- Doktor Seraphina już panu mówiła - odparłam, nagle czując niepokój w związku z celem naszego przybycia na bal.

- Opisała wygląd jaskini, czas zejścia na dno, podała liczbę zrobionych zdjęć. Od strony logistycznej przedstawiła bardzo szczegółową relację. Ale to nie wszystko, prawda? Wydarzyło się coś jeszcze, coś, co cię przeraziło.

- Przykro mi, ale nie rozumiem, o czym pan mówi.

Raphael przypalił papierosa i oparł się na krześle, wydawał się rozbawiony. Poruszyło mnie to, jak bardzo wydał mi się przystojny.

- Nawet teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło i jesteś z powrotem w Paryżu, przepelnia cię strach.

Wyglądając suknię, odpowiedziałam:

- Nie wiem, jak to opisać. Jaskinia było przerażająca. Kiedy schodziliśmy w dół, wszystko było takie... mroczne.

- To naturalne. Leży setki metrów pod ziemią.

- Nie chodzi mi o dosłowny mrok - wyjaśniłam, niepewna, czy nie zdradzam zbyt wiele - tylko o coś zupełnie innego. O mrok żywołów, czystą ciemność. O taką ciemność, jaką czuje się w środku nocy, kiedy człowiek budzi się w zimnym, pustym pokoju, w oddali spadają bomby, a on nie pamięta, jaki koszmar właśnie mu się śnił. To taka ciemność, która nie zostawia wątpliwości, że nasz świat upadł.

Raphael wpatrywał się we mnie wyczekująco.

- Nie byliśmy sami w Diabelskim Gardle - dodałam. - Byli tam czuwający. Czekali na nas.

Doktor Raphael nie spuszczał ze mnie wzroku. Nie potrafiłam określić, co wyraża jego twarz: zdumienie, strach czy też może - czego w ciszy ducha tak bardzo pragnęłam - podziw dla mnie.

- Domyślałam się, że już się pan o tym dowiedział. Poszłam sama - ciągnęłam, łamiąc złożone Seraphinie przyrzeczenie - oddzieliłam się od grupy i przeprowiłam przez rzekę. Byłam oszołomiona, wszystkiego nie pamiętam. Wiem na pewno, że ich widziałam. Stali w grupie, jak przed Cłematisem. Jeden z aniołów patrzył na mnie. Czulałam, jak pragnie wolności, towarzystwa ludzi, ich względów. Tysiące lat czekał, aż przyjdziemy.

Wczesnym rankiem dotarliśmy z doktorem Raphaelem na nadzwyczajne zebranie rady. Miejsce wybrano naprędce, spotkaliśmy się w samym sercu zabudowań Akademii na Montparnasse - w Ateneum. W okresie okupacji imponujący budynek popadł w ruinę. W tym niegdyś pełnym ksiąg pomieszczeniu, przez które stale przewijali się studenci, w którym rozlegał się szelest stronic i szept bibliotekarek, teraz stały puste półki, każdy kąt zasnuwały pajęczyny. Nie byłam w

bibliotece od wielu lat. Na jej widok ogarnęła mnie tęsknota za czasami, kiedy moje icdyne zmartwienia były związane z nauką.

Zmiana miejsca spotkania była elementarnym środkiem bezpieczeństwa, ale kosztowała nas cenny czas. Kiedy wychodziliśmy z balu, młody żołnierz na rowerze przekazał nam wiadomość, że mamy natychmiast stawić się na zebraniu. Dotarłszy na miejsce, do którego polecił nam jechać, otrzymaliśmy drugą wiadomość - serię wskazówek, które miały doprowadzić nas do umówionej kryjówki tak, żeby nas nie wysledzono. Była prawie druga nad ranem, kiedy zasiedliśmy na krzesłach z wysokimi oparciami ustawionych po obu stronach wąskiego stołu.

Dwie nieduże lampy pośrodku stołu rzucały na twarze zgromadzonych blade światło. Atmosfera była tak napięta, że nie ulegało wątpliwości, że coś się stało. Potwierdziła to wstrząsliwość, z jaką powitali nas członkowie rady. Miałam wrażenie, że przerwaliśmy pogrzeb.

Raphael zajął miejsce u szczytu stołu, mnie wskazał ławkę obok siebie. Oniemiałam ze zdumienia, dostrzegłszy naprzeciwko Gabriellę Levi-Franche. Ostatni raz widziałam ją przed blisko czterema laty. Przez ten czas prawie się nie zmieniła. Jej czarne włosy były ostrzyżone na boba, usta pomalowane na jaskrawoczerwono, na jej twarzy malowało się łagodne skupienie. O ile w większości byliśmy od wybuchu wojny mocno zabiedzeni, o tyle Gabriella była wymuskana jak za najlepszych czasów. Była lepiej ubrana i odżywiona niż wszyscy angelolo-dzy w Ateneum.

Zauważywszy, że przyszedłam z doktorem Raphaelem, uniosła brew, a w jej zielonych oczach pojawił się błysk oskarżenia. To, że nasza rywalizacja się nie skończyła, było oczywiste, traktowałyśmy się z podobną nieufnością.

- Mówcie od początku - poprosił Raphael głosem łamiącym się od emocji. - Chcę wiedzieć, co dokładnie się stało.

- Zatrzymali samochód przy Pont St. Michel - odpowiedziała starsza angelolog, zakonnica, którą poznałam kilka lat wcześniej. Przez ciężki, czarny welon sprawiała w mroku wrażenie, jakby była zaledwie przedłużeniem pokoju. Widać było tylko jej powykręcane palce, złożone na lśniącej stole. - Wartownicy kazali wszystkim wysiąść, przeszukali ich i zabrali.

- Jak to zabrali? - dopytywał Raphael. - Dokąd?

- Nie mamy pojęcia - odparł doktor Levi-Franche, wuj Gabrielli. Światło odbijało się w jego niewielkich, okrągłych okularach. - Zaalarmowaliśmy komórki we wszystkich dzielnicach. Nikt ich nie widział. Mówię to z bólem: mogą być wszędzie.

- A przesyłka? - spytał Raphael.

Wstała Gabriella. Położyła na stole ciężką, skórzaną walizkę.

- Jest tutaj - powiedziała, kładąc drobną dłoń na walizce. - Jechałam za nimi w drugim samochodzie. Zobaczyliśmy, że aresztują naszych agentów, więc kazałam kierowcy zawrócić na Montparnasse. Na szczęście to ja wiozłam walizkę.

Ramiona doktora Raphaela opadły niemal niedostrzegalnie na znak ulgi.

- Walizka jest bezpieczna - podsumował. - Ale mają naszych agentów.

- Tak cennych więźniów nie wypuszczą oczywiście za darmo - powiedziała zakonnica.

- Jakie są warunki? - spytał Raphael.

- Proponują wymianę, skarb za angelologów.

- Co dokładnie mają na myśli, mówiąc „skarby”? - dopytywał po cichu Raphael.

- Nie powiedzieli dokładnie - wyjaśniła zakonnica. - Ale skądś wiedzą, że odkryliśmy w Rodopach coś cennego. Uważam, że trzeba spełnić ich żądanie.

- W żadnym razie - sprzeciwił się doktor Levi-Franche. - To nie wchodzi w grę.

- Nie wiedzą, co dokładnie znaleźliśmy. Wiedzą tylko tyle, że coś cennego - powiedziała Gabriella, prostując się na krześle.

- Być może pojmani agenci wyjawili, co było w jaskini - zasugerowała zakonnica. - Wobec ich środków przymusu byłoby to zupełnie zrozumiałe.

- Jestem pewien, że nasi ludzie będą do końca przestrzegać zasad - wtrącił Raphael z lekką nutą gniewu. - Znam Seraphinę, nie pozwoli innym mówić. - Odwrócił się, na jego czoło wystąpił pot. - Zniesie nawet najstraszliwsze przesłuchanie.

Zapadła ponura cisza. Wszyscy wiedzieliśmy, jak brutalni potrafią być nefilimowie wobec naszych agentów, zwłaszcza jeśli na czymś im zależało. Słyszałam o ich metodach przesłuchań i mogłam sobie tylko wyobrazić, co zrobią, żeby wydobyć informacje. Zamknęłam oczy, zaczęłam się modlić. Nie mogłam przewidzieć rozwoju wypadków, ale wiedziałam, ile zależy od dzisiejszego wieczoru: jeśli stracimy to, co przywieźliśmy z jaskini, nasza praca obróci się wniwecz. Mamy niezwykle cenny przedmiot, ale czy jest on wart życia grupy angelologów?

- Jedno jest pewne - powiedziała zakonnica, spoglądając na zegarek. - Jeszcze żyją. Otrzymaliśmy telefon jakieś dwadzieścia minut temu. Sama rozmawiałam z Seraphina.

- Mogła mówić swobodnie? - spytał Raphael.

- Należała, żebyśmy dokonali wymiany. Prosiła konkretnie o zgodę doktora Raphaela.

Raphael splótł dłonie. Zdawało się, że utkwiał wzrok w jakimś paprochu na stole.

- Jakie jest wasze zdanie? - spytał członków rady.

- Nie mamy wyboru - oświadczył doktor Levi-Franche. - Wymiana jest niezgodna z protokołem. Do tej pory nigdy się nie ugięliśmy i jestem przekonany, że nie powinniśmy teraz robić wyjątku, niezależnie od tego, jak bardzo cenimy doktor Seraphinę. Nie możemy oddać znaleziska. Czekaliśmy na to odkrycie setki lat.

Z przerażeniem słuchałam oschłego tonu wuja Gabrielli. Moje oburzenie nieco złagodniało, kiedy zobaczyłam, jak wściekle wpatruje się w niego Gabriella - to spojrzenie było kiedyś zarezerwowane wyłącznie dla mnie.

- Pamiętajmy - dodała zakonnica - że to wiedza doktor Seraphiny umożliwiła pozyskanie skarbu. Jeśli stracimy naukowca tej klasy, jak dokonamy postępu?

- Wymiana nie wchodzi w grę - upierał się Levi-Franche. - Nie zdążyliśmy przeanalizować notatek z wyprawy ani wywołać zdjęć. Cała ekspedycja poszła na marne.

Wtrącił się Władimir.

- Nie zapominajmy, że chodzi o lirę. Nawet nie potrafimy sobie wyobrazić, co będzie, jeśli dostanie się w ich ręce. Konsekwencje dla nas samych i dla całego świata są zupełnie nieprzewidywalne.

- Zgadzam się - przytaknął doktor Raphael. - Za nic nie możemy oddać im instrumentu. Musi być inne wyjście.

- Rozumiem, że moja opinia nie cieszy się w tym gronie popularnością - wtrąciła zakonnica - ale ten instrument nie jest wart życia ludzkiego. Musimy dokonać wymiany.

- Znalezisko to kulminacja ogromnych wysiłków - przekonywał Władimir z mocnym, rosyjskim akcentem. Rana nad jego okiem została opatrzona, miał założone szwy. - Chyba nie chce siostra, żebyśmy zaprzepaścili coś, o co tak długo walczyliśmy?

- Tego właśnie chcę - odpowiedziała zakonnica. - Nad pewnymi sprawami nie mamy władzy. To nie jest w naszych rękach. Zostawmy to Bogu.

- Absurd - uciął Władimir.

Członkowie rady wytaczali kolejne argumenty, a ja przyglądałam się Raphaelowi, który siedział tak blisko mnie, że czułam słodko-kwaśny zapach szampana, którego piliśmy zaledwie przed kilkoma godzinami. Widziałam, że zbiera myśli, czeka, aż pozostali zamilkną. Wstał, gestem poprosił zebranych o zaniechanie dalszej dyskusji.

- Cisza! - krzyknął wreszcie. Nigdy wcześniej nie przemawiał z taką siłą.

Zebrani zwrócili się w jego stronę, zdziwieni tonem głosu. Choć był przewodniczącym rady i najbardziej renomowanym naukowcem w naszym gronie, rzadko okazywał, że ma władzę.

- Przed naszym spotkaniem - powiedział - zabrałem tę młodą angelolog w pewne miejsce - na bal zorganizowany przez naszych wrogów. Chyba mogę powiedzieć, że było to zupełnie wyjątkowe przyjęcie, zgodzisz się, Celestine?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Kiwnęłam głową.

- Zrobiłem to z powodów praktycznych - ciągnął Raphael. - Chciałem pokazać jej naszych nieprzyjaciół z bliska. Chciałem, żeby zrozumiała, że siła, z którą walczymy, jest tutaj, czai się za każdym rogiem. Wrogowie żyją pośród nas, w naszych miastach. Kradną, mordują i pładrują naszą planetę, a my bezradnie się temu przyglądamy. Myślę, że ta lekcja wywarła na niej wielkie wrażenie, i widzę, że wielu z was przydałoby się podobna. Zdaje się, że zapomnieliśmy, co tu tak naprawdę robimy. - Wskazał na skórzaną walizkę leżącą przed członkami rady. - Tej walki nie możemy przegrać. Czcigodni ojcowie dali początek naszej dyscyplinie, nie bacząc na oskarżenie o herezję, chronili nasze teksty podczas czystek i palenia kościołów, kopiowali prorocstwo Henocha i ryzykowali życie, żeby przekazać następcom wiedzę i dokumenty. Dziś kontynuujemy walkę, którą oni zaczęli. Pamiętamy Bonawenturę, który w Komentarzu do sentencji\* zawarł podstawy metafizyki anielskiej: aniołowie są bytami zarówno materialnymi, jak i duchowymi. Filozofów scholastycznych. Dunsza Szkota. Setki tysięcy walczących z knowaniami zła. Ilu poświęciło życie dla naszej sprawy? Ilu bez wahania zrobiłoby to raz jeszcze? To ich walka, jednakże te setki lat dziś doprowadziły nas do tej jednej decyzji. Dzisiaj ciężar spoczął na nas. Mamy władzę zadecydowania o przyszłości. Możemy kontynuować walkę albo się poddać. - Raphael wstał, podszedł do walizki i wziął ją do ręki. - Ale nie możemy zwlekać z wyborem. Każdy członek rady odda swój głos.

Zebrani głosowali, unosząc ręce. Ku mojemu absolutnemu zdumieniu Gabriella - która nigdy wcześniej nie uczestniczyła w zebraniach, nie mówiąc o podejmowaniu decyzji - głosowała jak każdy pełnoprawny członek rady. Ja tymczasem, choć przez całe lata ciężko pracowałam, żeby przygotować się do ekspedycji i ryzykowałam w jaskini życie, nie zostałam dopuszczona do głosowania. Ona była angelologiem, a ja - nadal nowicjuską. Doznałam porażki, łzy wściekłości napłynęły mi do oczu, zamazały salę, ledwie widziałam przebieg głosowania. Gabriella była za wymianą, podobnie jak doktor Raphael i zakonnica. Wielu członków wybrało jednak przestrzeganie protokołu. Zliczono głosy i okazało się, że tyle samo osób opowiedziało się za wymianą, co przeciwko niej.

- Podzieliliśmy się po równo - stwierdził Raphael.

Członkowie rady spojrzeli po sobie, zastanawiając się, kto może zmienić zdanie, aby umożliwić podjęcie decyzji.

- Proponuję - odezwała się wreszcie Gabriella, obdarzając mnie przy okazji niechętnym, jak mi się wydawało, spojrzeniem - aby głos oddała Celestine. Była w końcu członkiem wyprawy, chyba zasłużyła na udział w głosowaniu? Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, siedzącą cicho za doktorem Raphaelem. Członkowie rady wyrazili zgodę. Mój głos miał przesądzić sprawę.

Rada czekała na moją decyzję.

Oddałam głos, przeprosiłam radę, wyszłam na pusty korytarz i pobiegłam przed siebie co sił w nogach. Pędziłam korytarzem, potem w dół po szerokich, kamiennych schodach, wybiegłam za drzwi, w noc, obcasy wybijały na chodniku rytm mojego serca. Wiedziałam, że na tylnym dziedzińcu będę mogła pobyć sama - często chodziliśmy tam z Gabriella, tam właśnie po raz pierwszy zobaczyłam złotą zapalniczkę, którą dziś wieczór wyjął z kieszeni ten potwór. Dziedziniec zawsze był pusty, nawet za dnia, a ja potrzebowałam samotności. Łzy rozmyły mi obraz - jak za mgłą widziałam żelazny płot otaczający stary budynek, korę majestatycznych buków, pomarszczoną jak skóra słonia, sierp zawieszony na niebie księżycy rozmazany w plamę światła.

Obejrzałam się, żeby sprawdzić, czy nikt za mną nie idzie, ukłękłam pod ścianą i schowałam twarz w dłoniach, żeby się wypłakać. Płakałam z żalu za Seraphina i innymi członkami wyprawy, których zdradziłam. Płakałam pod ciężarem, jakim było dla mojego sumienia oddanie głosu. Wiedziałam, że podjęłam słuszną decyzję, ale zmiądzzyła mnie świadomość poświęcenia życia ludzkiego, w jednej chwili straciłam wiarę w siebie, w kolegów i naszą pracę. Zdradziłam moją nauczycielkę, moją mentorkę. Umyłam ręce, skazując na śmierć kobietę, którą kochałam jak matkę. Otrzymałam przywilej głosowania, ale oddając głos, przestałam wierzyć w angelologię.

Miałam na sobie grubą, wełnianą kurtkę - tę samą, która chroniła mnie przed wilgotnym wiatrem podczas wyprawy - ale pod spodem tylko cieniutką, satynową suknię, którą doktor Raphael polecił mi włożyć na przyjęcie. Przetarłam oczy wierzchem dłoni i zadrżałam. Noc była mroźna, nieruchoma i cicha, chłód był bardziej dotkliwy niż przed kilkoma godzinami. Powoli się uspokajałam, oddychałam głęboko, zbierałam się w sobie, żeby wrócić do członków rady. Nagle od strony bocznego wejścia do budynku dobiegł mnie miękki szept. Ukryłam się w cieniu. Czekałam, zastanawiając się, kto też się tędy wymyka, skoro zwykle wychodzimy przez portyk przy głównym wejściu. Po kilku sekundach na dziedzińcu pojawiła się Gabriella. Niemal niesłyszalnym szeptem tłumaczyła coś Władimirowi, który słuchał jej tak uważnie, że nie ulegało wątpliwości, że rozmowa dotyczy czegoś ważnego.

Wyteńczyłam wzrok. W świetle księżycy Gabriella wyglądała olśniewająco - jej czarne włosy lśniły, pociągnięte czerwoną szminką usta odcinały się od jasnej karnacji. Miała na sobie piękny płaszcz z owczej wełny, idealnie przylegający, przewiązany w talii, najwyraźniej szyty na miarę.

Ciekawa byłam, skąd wzięła pieniądze na takie ubranie podczas wojny. Zawsze ubierała się wytwornie; dla mnie takie ubrania istniały tylko w filmach.

Choć nasze drogi rozeszły się kilka lat wcześniej, doskonale pamiętałam jej mimikę. Bruzda nad brwią oznaczała, że namyśla się nad pytaniem Władimira. Nagły błysk w oku, któremu towarzyszył zdawkowy uśmiech, utwierdził mnie w przekonaniu, że odpowiedziała mu ze swoją zwykłą pewnością siebie, rzuciła dowcip, aforyzm, może jakiś przytyk. On słuchał bacznie. Nawet na chwilę nie spuścił z niej oczu.

Przyglądałam im się, wstrzymując oddech. Przez to wszystko, co wydarzyło się tego wieczora, Gabriella powinna być równie niespokojna jak ja. Strata czterech angelologów i zagrożony los znaleziska powinny wystarczyć, żeby zabić resztki radości, nawet jeśli relacje między doktor Seraphina a Gabriella były teraz tylko powierzchowne. Kiedyś kobiety te były sobie przecież wyjątkowo bliskie, a ja wiedziałam, jak Gabriella kocha naszą nauczycielkę. Tymczasem dziś sprawiała wrażenie... - to słowo wydawało mi się wręcz nie do pomyślenia - radosnej. Wyglądała jak zwycięzca po długiej walce.

Wtem po dziedzińcu rozlał się strumień światła - nadjechał samochód, światło wlało się przez żelazną bramę i oświetliło wielki buk, jego gałęzie rozpościerały się w mroźnym powietrzu jak macki. Z auta wysiadł mężczyzna. Gabriella zerknęła przez ramię, jej twarz okalały czarne włosy. Mężczyzna imponował wyglądem - był wysoki, miał na sobie piękny, dwurzędowy płaszcz i buty lśniące od pasty. Sprawiał wrażenie wysoko urodzonego. Przepych strojów w czasie wojny był egzotyką, a jednak tego wieczora wydawał się mnie otaczać. Mężczyzna podszedł bliżej, a wówczas przekonałam się, że to Percival Grigori, nefilim, którego poznałam na balu. Gabriella rozpoznała go od razu. Gestem poprosiła, żeby zaczekał w samochodzie, ucałowała Władimira w oba policzki, odwróciła się i poszła do kochanka. Skryłam się jeszcze głębiej w cieniu, żeby nikt mnie nie zauważył - Gabriella była teraz zaledwie kilka metrów ode mnie, usłyszałaby mój szept. Wtem dostrzegłam walizkę z naszym znaleziskiem z gór. Gabriella chciała ją przekazać Percivalowi Grigoriemu.

Ten widok tak mnie zdumiał, że straciłam nad sobą panowanie. Wyszłam na światło księżycy. Gabriella stanęła jak wryta. Kiedy nasze oczy się spotkały, zrozumiałam, że wynik głosowania rady nie miał najmniejszego znaczenia; od początku zamierzała oddać walizkę kochankowi. W tej jednej chwili wszystko, co na przestrzeni lat mnie w niej dziwiło - zniknięcia, niewyjaśnione pokonywanie kolejnych szczybli w hierarchii angelologów, spór z doktor Seraphina, pieniądze, które spadały jej z nieba - nagle stało się jasne. Seraphina miała rację. Gabriella pracowała dla naszych wrogów.



- Co robisz? - odezwałam się zupełnie nie swoim głosem.
- Wracaj do środka - poprosiła Gabriella cicho, jakby w obawie, że ktoś nas usłyszy.
- Nie możesz tego zrobić - wyszeptałam. - Nie teraz. Nie po wszystkim, co przecierpieliśmy.
- Oszczędzam ci dalszych cierpień - rzuciła, odwróciła wzrok i poszła do samochodu. Podała walizkę Grigoriemu, usiadła na tylnym siedzeniu, on obok niej.

Przez chwilę stałam jak skamieniała, ale kiedy samochód odjechał w poplątany mrok wąskich uliczek, otrząsnęłam się z szoku. Pobiegłam przez dziedziniec do środka, strach kazał mi pędzić coraz szybciej przez przepastny, zimny korytarz.

Nagle w korytarzu usłyszałam wołanie.

- Celestine! - Raphael stanął mi na drodze. - Na szczęście nic ci się nie stało.
- Mnie nic - odparłam, usiłując złapać oddech - ale Gabriella odjechała z walizką. Byłam na dziedzińcu. Ukradła ją.
- Chodź ze mną - powiedział Raphael.

Bez dalszych wyjaśnień poprowadził mnie opustoszałym korytarzem z powrotem do Ateneum, gdzie zaledwie przed półgodziną zebrała się rada. Na miejscu był Władimir. Powitał mnie zwięźle, z grobową miną. Zerknęłam na to, co było za nim - z rozbitego okna wiał do sali zimny, ostry wiatr. Na podłodze, w kałuży krwi leżały powykrzywiane ciała członków rady.

Widok był tak piorunujący, że odebrało mi mowę. Oparłam się o stół, przy którym przegłosowaliśmy los mojej nauczycielki, i nie wiedziałam, czy to, co jawi się moim oczom, widzę naprawdę, czy też jest to tylko jakiś koszmarny twór mojej wyobraźni. Brutalność sceny mordu była przerażająca. Zakonnica zginęła od strzału w głowę, cały jej habit był we krwi. Wuj Gabrielli, doktor Levi-Franche, leżał na marmurowej podłodze, okrwawiony, w roztrzaskanych okularach. Dwaj inni członkowie rady osunęli się na stół.

Zamknęłam oczy, odwróciłam się. Doktor Raphael mnie objął. Oparłam się o niego, w zapachu jego ciała znalazłam słodko-gorzkie pocieszenie. Wyobraziłam sobie, że otworzę oczy i wszystko będzie tak, jak przed laty - Ateneum będą wypełniały skrzynie, papiery i krzątający się asystenci. Członkowie rady będą siedzieli przy stole i analizowali przygotowane przez doktora Raphaela mapy ogarniętej wojną Europy. Szkoła będzie otwarta, przyszłość niesprecyzowana, członkowie rady - żywi. Ale kiedy otworzyłam oczy, czekała mnie brutalna rzeczywistość. Nie było od niej ucieczki.

- Chodź - Raphael wyprowadził mnie siłą z pokoju i powiodł korytarzem do głównego wyjścia. - Oddychaj. Jesteś w szoku.

Rozglądałam się, jakbym śniła. Wreszcie spytałam:

- Co się stało? Nic nie rozumiem. Gabriella to zrobiła?
- Gabriella? - zdziwił się Władimir, który właśnie dołączył do nas na korytarzu. - Oczywiście, że nie.
- Ona nie ma z tym nic wspólnego - wyjaśnił Raphael. - Ci ludzie byli szpiegami. Od jakiegoś czasu wiedzieliśmy, że inwigilują radę. Planowaliśmy się ich pozbyć.
- Pan ich zabił? - spytałam oszołomiona. - Jak pan mógł?

Raphael przyjrzał mi się, a po jego twarzy przemknął prawie niedostrzegalny smutek, jakby cierpiał, będąc świadkiem chwili, w której zostaje pozbawiona złudzeń.

- To moja praca, Celestine - powiedział wreszcie, biorąc mnie za ramię i prowadząc przez korytarz. - Kiedyś zrozumiesz. Trzeba cię stąd wyprowadzić.

Kiedy doszliśmy do głównego wejścia, moje otępienie wywołane szokiem zaczęło mijać, dostałam mdłości. Raphael wziął mnie za rękę i wyprowadził na zimne, nocne powietrze, gdzie czekał już panhard et la-vassor. Na szerokich, kamiennych schodach Raphael wcisnął mi do ręki walizkę - była identyczna z tą, którą niosła przez dziedziniec Gabriella, taka sama brązowa skóra, błyszczące zamki.

- Weź ją - poprosił Raphael. - Wszystko jest już przygotowane. Dziś w nocy dojedziesz do granicy. Potem musimy się zdać na przyjaciół w Hiszpanii i Portugalii - oni pomogą ci ruszyć w dalszą drogę.

- Dokąd?
- Do Ameryki. Tam i ty, i skarb z jaskini będziecie bezpieczni.
- Przecież zabrała go Gabriella, sama widziałam - powiedziałam, wpatrując się w walizkę, jakby była tylko złudzeniem.
- Ukradła instrument. Już po nim.

To była replika, droga Celestine, wabik - wyjaśnił Raphael. - Gabriella odwróci uwagę wroga, żebyś ty mogła uciec i żeby Seraphina została uwolniona. Wiele zawdzięczasz Gabrielli, udział w wyprawie też. Lira jest teraz pod twoją pieczę. Drogi twoje i Gabrielli się rozeszły, ale nigdy nie zapominaj, że nasza praca ma jeden cel. Ona wypełni go tutaj, ty - w Ameryce.

### Trzecia hierarchia anielska



Ukazało mi się dwóch wielkich ludzi, jakich nigdy nie widziałem na ziemi. Ich twarze były jak jaśniejące słońce, ich oczy były jak płonące lampy; z ich ust wychodziło coś na kształt ognia; ich szaty były różnokolorowe; ich ramiona były jak złote skrzydła - u wezłowania mojego łóża.

Księga Henocha<sup>26</sup>

---

<sup>26</sup> II Księga Henocha, tzw. Henoch Słowiański, 1, 4-5, tłum. R. Rubinkiewicz, w: R. Rubinkiewicz, op. cit., s. 199.

## Cela siostry Ewangeliny, klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork

24 grudnia 1999 roku, godzina 00.01

Ewangelina podeszła do okna, rozchyliła ciężkie story i wpatrzyła się w ciemność. Z czwartego piętra sięgała wzrokiem aż po drugi brzeg rzeki. Co noc o tej samej porze mknął przez ciemność pociąg pasażerski, wycinając w krajobrazie jasny ślad. Widok pędzącego nocą pojazdu uspokajał Ewangelinę, jego pojawienie się było tak pewne, jak porządek funkcjonowania klasztoru Świętej Róży. Pociąg znikł, mniszki udały się na modlitwę, z grzejników parowych sączyło się ciepło, w szyby okienne postukiwał wiatr. Wszechświat rządził się regularnymi cyklami. Za kilka godzin wstanie słońce, a Ewangelina rozpocznie kolejny dzień, przestrzegając niezmiennego harmonogramu: modlitwa, śniadanie, msza, praca w bibliotece, lunch, modlitwa, obowiązki, praca w bibliotece, msza, obiad. Jej życie toczyło się miarowo, jak przesuwane w palcach paciorki różańca.

Ewangelina widziała czasem w myślach niewyraźną postać pasażera pociągu kroczącego niepewnie korytarzem do toalety albo do wagonu restauracyjnego. Mężczyzna ukazywał się na chwilę, po czym w szczęku metalu i świateł uciekał w jakieś nieznane miejsce. Ze wzrokiem utkwionym w mroku Ewangelina czekała, aż w dali za oknem mignie pociąg, którym będzie jechał Verlaine.

Cela młodej mniszki była rozmiarów szafy na pościel i tak też pachniała - świeżo upraną bielizną. Całkiem niedawno dziewczyna wypastowała sosnową podłogę, wymiotła z kątów pajęczyny, odkurzyła cały pokój aż po sufit, umyła lamperie i progi. Aż się prosiło, żeby zdjąć buty i położyć się w wykrochmalonej białej pościeli. Ale Ewangelina sięgnęła po stojący na biurku dzbanek, naląła wody do szklanki, wypila do dna. Otworzyła okno, odetchnęła głęboko. Poczula w płucach zimne, gęste powietrze - przyniosło ulgę, jak przyłożony do rany lód. Zmęczony umysł odmawiał jej posłuszeństwa. Zerknęła na zegar elektroniczny. Była chwila po północy. Zaczynał się nowy dzień.

Usiadła na łóżku i zamknęła oczy, żeby uspokoić myśli krążące wokół dnia poprzedniego. Policzyła otrzymane od Celestyny listy. Jedenaście wysyłanych rok w rok, na każdej kopercie ten sam, nieznany jej nowojorski adres nadawcy. Babka wysyłała je z nadzwyczajną regularnością, zawsze tego samego dnia, dwudziestego pierwszego grudnia, każdego roku, począwszy od tysięcy dziewięćset osiemdziesiątego ósmego aż do dziewięćdziesiątego ósmego. Brakowało tylko listu tegorocznego.

Ostrożnie, aby nie uszkodzić kopert, Ewangelina wyjęła z nich świąteczne kartki, obejrzała je i ułożyła na łóżku w porządku chronologicznym. Widniały na nich szkice skreślone długopisem i piórem - grube, niebieskie linie. Kartki wykonano ręcznie, ale dziewczyna nie potrafiła zrozumieć ani celu umieszczenia na nich wizerunków, ani ich znaczenia. Na jednej znajdował się szkic anioła wchodzącego po schodach - elegancka, nowoczesna podobizna, tak odmienna od tych, którymi ozdobiono kościół Matki Bożej Anielskiej.

W odróżnieniu od większości sióstr Ewangelina wolała artystyczne przedstawienia aniołów niż ich biblijne opisy, które ją wręcz przerażały. Na przykład trony Biblia opisuje jako połyskujące chryzolit<sup>27</sup>, okrągłe, z setkami oczu w zewnętrznej obręczy. Cherubinom przypisuje cztery twarze - człowieka, wołu, lwa i orła<sup>28</sup>. Ta pradawna wizja posłańców Boga była przeraźliwa, niemal groteskowa w porównaniu z wizerunkami malarzy renesansu, które na zawsze odmieniły wyobrażenia aniołów: dano im do rąk trąbki i harfy, otulono delikatnymi skrzydłami - takie anioły Ewangelina kochała, niezależnie od tego, jak bardzo odbiegały od opisanej w Biblii rzeczywistości.

Dziewczyna obejrzała po kolei wszystkie kartki. Na pierwszej, z grudnia osiemdziesiątego ósmego roku, widniał anioł grający na złotej trąbce, w białej szacie obrysowanej złotem. Ewangelina otworzyła kartę - w środek wpięto kremowy arkusik. Szkarłatny atrament uwiecznił eleganckie pismo babki. Wiadomość brzmiała następująco:

Strzeż się, droga Ewangelino, niełatwo bowiem pojąć znaczenie liry Orfeusza. Postać jej właściciela tak mocno spowija legenda, że nie potrafimy wyodrębnić z niej zarysu jego ziemskiego życia. Nie wiemy, kiedy przyszedł na świat, skąd pochodził ani jak biegle grał na swoim instrumencie. Podobno urodził się ze związku muzy Kaliope z bogiem rzeki Ojagrose, choć to tylko mit, a nasza praca polega na oddzielaniu mitologii od dziejów, legend od faktów, magii od prawdy. Czy to on podarował ludzkości poezję? Czy to on odnalazł lirę podczas wędrówki po zaświatach? Czy za życia roztaczał tak ogromne wpływy, jak to wynika z dziejów? W VI wieku n.e. był już znany w świecie greckim jako mistrz pieśni i muzyki, ale to, jak wszedł w posiadanie anielskiego instrumentu, jest od dawna przedmiotem sporów znawców historii, przy czym prace Twojej matki potwierdziły prastare teorie dotyczące znaczenia liry.

Ewangelina obróciła list w dłoniach, chciała znaleźć dalszy ciąg. Z całą pewnością ten fragment był częścią obszerniejszej wiadomości. Ale na odwrocie niczego nie było.

Dziewczyna rozejrzała się po pokoju - obraz zamazywał jej się przed oczami, była przemęczona. Otworzyła kolejną kartkę, potem następną. W każdą wpięty był identyczny, kremowy arkusik, gęsto zapisany, bez

<sup>27</sup>W zależności od przekładu w Ez 1,16 występuje „chryzolit” (Biblia Warszawska, Biblia War-szawsko-Praska), „tarszisz” (Biblia Tysiąclecia), „kamień Tarsysu” (Biblia Gdańska).

<sup>28</sup>Por. Ez 1,16.

wyraźnego wstępu i zakończenia. Spośród jedenastu liścików tylko w tym jednym babka bezpośrednio się do niej zwracała, tylko ten jeden zawierał jasny wstęp. W zdaniach brakowało znaków przestankowych i wielkich liter. Arkusiki nie były ponumerowane, a z kolejności, w jakiej zostały przesłane, nie sposób było wywnioskować porządku ich czytania. Strony wydawały się po prostu wypełnione potokiem słów, co gorsza, pismo było tak drobne, że trzeba było mocno wyteżać wzrok, żeby je odczytać.

Ewangelina wpatrywała się w nie przez jakiś czas, po czym włożyła kartki z powrotem do kopert. Tak intensywnie zastanawiała się nad wiadomością od babki, że nagle dotkliwie rozboleła ją głowa. Ból przeszywał jej skronie, dziewczyna nie mogła zebrać myśli. Już dawno powinna spać. Spięła listy i ostrożnie wsunęła je pod poduszkę, żeby nie pognieść ani nie załamać brzegów. Wiedziała, że nic już dziś nie wymyśli, potrzebowała odpoczynku.

Zamiast przebrać się w koszulę nocną, odłożyła tylko welon na szafkę nocną, zdjęła buty i padła na łóżko. Pościel była cudownie chłodna i miękka. Ewangelina naciągnęła koc aż po brodę i poruszała obleczone nylonem palcami u nóg, aż zapadła w głęboki sen.

## **Pociąg linii metra North Hudson, gdzieś między Poughkeepsie a stacją przy 125. ulicy w Harlemie, Nowy Jork**

Verlaine zdążył na ostatni nocny pociąg w kierunku południowym. Po prawej stronie wzdłuż torów płynęła rzeka, po lewej ośnieżone wzgórza wznosiły się, by powitać nocne niebo. W pociągu było ciepło, widno i pusto. Wypite w Miltonie piwo i kołysanie pociągu podziały na Verlaine'a tak kojąco, że nie tylko pogodził się z sytuacją, ale wręcz był z niej zadowolony. Zal mu było rozstawać się z renault, niemniej wiedział, że nie będzie go już naprawiał. Był to model z lat osiemdziesiątych, którego prosta konstrukcja nawiązywała do wczesnych modeli z okresu po wojnie. Gdyby Verlaine nie zwiedził Francji, a takich samochodów nie importowano by do Stanów, znalazłby je wyłącznie ze starych fotografii. Teraz jego auto stało rozbite, wypatroszone.

Ta szkoda wydawała się jednak niczym w porównaniu ze stratą wszystkich materiałów badawczych. Skradziono mu nie tylko utrzymane w skrupulatnym porządku notatki i dokumenty, które wykorzystał, pisząc pracę doktorską - segregator pełen kolorowych wydruków, notatek i ogólnych informacji na temat działalności Abigail Rockefeller na rzecz Muzeum Sztuki Współczesnej - ale także setki kserówek i tekstów zgromadzonych podczas rocznej pracy na zlecenie Percivala Grigoriego. Koncepcje Verlaine'a, jakkolwiek mało oryginalne, były wszystkim, co miał. Materiały trzymał na tylnym siedzeniu, w torbie, którą ukradli goryle Grigoriego. Sporo z nich skopiował, ale z mocodawcą na karku był nieco bardziej zdezorganizowany niż zwykle. Nie pamiętał, które z dokumentów na temat Świętej Róży i pani Rockefeller zdążył skserować, nie był też pewien, co jeszcze znajdowało się w torbie i w samochodzie. To się okaże dopiero, kiedy wpadnie do gabinetu i przejrzy akta. Tymczasem pozostawało mieć nadzieję, że wykazał się przytomnością i powielił najważniejsze dokumenty. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin, tylko dwie myśli podtrzymywały go na duchu: po pierwsze, listy Innocenty do Abigail schował w gabinecie; po drugie, nadal miał szkice architektoniczne Świętej Róży.

Wsunął poranioną dłoń głęboko do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął plany. Po tym z jakim lekceważeniem odniósł się do nich Grigori w Central Parku, Verlaine sam był niemal gotów uznać je za bezwartościowe. Tylko dlatego w takim razie Grigori kazał swoim zbirom przetrząsnąć jego auto?

Verlaine rozłożył plany na kolanie, wpatrzył się w pieczęć z lirą. Osobliwa zbieżność między wizerunkiem na pieczęci a naszyjnikiem Ewange-liny zafrapowała go bez reszty. Wydawało mu się, że wszystko, co związane z lirą - od trackiej monety po jej motyw w insygniach Świętej Róży - ma zasadnicze, wręcz mityczne znaczenie. Miał poczucie, że jego osobiste doświadczenia nabrały cech symbolicznych i okryły się warstwą znaczeń historycznych, że rozmyślanie nad tym, co mu się przytrafiło, przypominają prowadzenie badań z zakresu historii sztuki. Może widział całą tę sytuację przez pryzmat swojego wykształcenia, może dostrzegał powiązania tam, gdzie wcale ich nie było, może nawet doszukiwał się w zleceniu nieistniejącego drugiego dna i całą sprawę po prostu wyolbrzymiał. Siedząc wygodnie w pociągu, odzyskawszy tak potrzebny spokój umysłu, Verlaine zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem jego reakcja na naszyjnik z lirą nie była przesadna. Mogło się przecież okazać, że mężczyźni, którzy włamali mu się do samochodu, nie mieli z Grigorem nic wspólnego. Być może te wszystkie dziwaczne wydarzenia miały logiczne wyjaśnienie.

Verlaine wyjął papier listowy Świętej Róży i położył go na szkiełkach.

Gruby, różowy arkusz z bawełnianego papieru zdobił wymyślny, wiktoriański wzór przedstawiający róże i anioły, który, o dziwo, Verlaine'owi bardzo się podobał, mimo że zdecydowanie wolał modernizm. Nie powiedział Ewangelinie, że myliła się, sądząc, że to matka założycielka zaprojektowała go przed dwustu laty: chemiczna metoda wyrabiania papieru z masy drzewnej - początek rewolucji technologicznej, która spowodowała rozkwit usług pocztowych i zachęciła do produkcji zindywidualizowanych papeterii osoby prywatne i rozmaite stowarzyszenia - została wynaleziona dopiero w połowie lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Papier listowy Świętej Róży powstał najprawdopodobniej pod koniec dziewiętnastego wieku i zapewne to wówczas wykorzystano wzór autorstwa matki założycielki. Indywidualne wzornictwo zyskało ogromną popularność w okresie złotego wieku. Takie znakomitości, jak choćby Abigail Rockefeller, przykładały niemałą wagę do ozdabiania jadalniszów na przyjęcia, wizytówek, zaproszeń, kopert i papeterii - symbole i herby rodowe wyciskano na najlepszym dostępnym papierze. Verlaine miał okazję sprzedać na aukcjach kilka takich drogocennych, produkowanych na zamówienie wydruków.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że nie wyprowadził Ewangeliny z błędu wyłącznie dlatego, że zupełnie tracił przy niej głowę. Gdyby wyglądała jak stary buldog, była nieuprzejma i strzegła archiwów jak cerber, poradziłby sobie z nią bez problemu. Przez całe lata tyle razy musiał błagać o dostęp do zbiorów, że nauczył się przekabacać bibliotekarki, a przynajmniej zyskiwać ich przychylność. Tymczasem przy Ewangelinie stawał się bezbronny. Była piękna i inteligentna, a do tego dziwnym trafem wystarczała jej obecność, żeby czuł się dobrze, przy czym jako zakonnica była absolutnym tabu. Chyba go polubiła, tak trochę. Nawet kiedy chciała wyrzucić go za drzwi, czuł, że coś ich łączy. Zamknął oczy i próbował sobie przypomnieć, jak wyglądała, siedząc w barze w Miltonie - poza tym, że miała na sobie dziwaczny habit, sprawiała wrażenie zupełnie normalnej osoby w zupełnie normalny wieczór. Verlaine pomyślał, że nie zapomni ulotnego uśmiechu, kiedy dotknął jej dłoni.

Kołysanie wagonu wprawiło Verlaine'a w zadumę. Rozmyślał właśnie o Ewangelinie, gdy wtem z zamyślenia wyrwał go trzask szyby. Na okno napierała potężna biała dłoń z palcami rozchylonymi jak rozgwiazda. Zdębiały Verlaine cofnął się, żeby obejrzeć tę niecodzienną scenę pod innym kątem. Po chwili na szybie pojawiła się druga ręka - uderzyła w nią z taką mocą, jakby za chwilę miała wyrwać z futryny i wbić do środka gruby plastikowy kwadrat. Wtem o szybę otarło się puszyste, czerwone pióro. Verlaine zamrugał, niepewien, czy zjawą nie jest po prostu senna mara. Kiedy jednak przyjrzał się bliżej, krew mu się ścięła w żyłach: na zewnątrz, obok pociągu unosiły się dwie potężne postacie, wpatrywały się w niego groźnie wielkimi, czerwonymi oczami, pędząc tak prędko jak pociąg. Przyglądał im się, przerażony, nie mogąc oderwać od nich wzroku. Popadał w obłęd, czy też te postacie przypominały typów, którzy włamali mu się do samochodu? Ze zdumieniem i konsternacją stwierdził, że to naprawdę oni.

Skoczył na równe nogi, chwycił płaszcz i pobiegł do toalety - niewielkiego pomieszczenia bez okien, przesiąkniętego zapachem środków czystości. Oddychał głęboko, usiłując odzyskać równowagę. Był mokry od potu; w piersiach czuł taką lekkość, jakby za chwilę miał zemdleć. Takie uczucie miał tylko raz w życiu - kiedy przeholował z pićem na balu maturalnym.

Pociąg wjechał na przedmieścia. Verlaine schował mapy i papier listowy głęboko do kieszeni. Wymknął się z łazienki i przeszedł szybkim krokiem na przód pociągu, niedaleko wagonu restauracyjnego. Niewielu pasażerów wysiadało o północy w Harlemie, toteż kiedy znalazł się na peronie, zdawało mu się, że popełnił błąd - przegapił stację albo, co gorsza, wsiadł nie do tego pociągu.

Przemaszerował przez peron, wszedł po metalowych schodach, po chwili był już na zimnej ulicy. Zdawało mu się, że podczas jego nieobecności Nowy Jork nawiedził kataklizm, a on, na skutek trafu przeznaczenia, powrócił do zdewastowanego, wyludnionego miasta.

## Upper East Side, Nowy Jork

Sneja kazała Percivalowi zostać w domu, ale po kilku godzinach oczekiwania na telefon od Otterley w pokoju bilardowym nie mógł dłużej znieść samotności. Nocą, gdy goście matki się rozeszli, a ona sama poszła spać, ubrał się z namysłem - założył frak i czarny płaszcz, jakby właśnie wracał z jakiejś gali - zjechał windą i wyszedł na 5. Aleję.

Dawniej kontakt ze światem zewnętrznym był mu zupełnie obojętny. W młodości, gdy mieszkał w Paryżu i musiał tolerować człowieczy smród, nauczył się całkowicie ludzi ignorować. Zupełnie obca była mu ludzka potrzeba wiecznej bieganiny - niestrudzonego mozołu, zabaw, rozrywek. Wszystko to niepomiernie go nudziło. Choroba bardzo go jednak zmieniła. Z zaciekawieniem obserwował ludzkie istoty, analizował ich dziwaczne nawyki. Zaczął je rozumieć.

Wiedział, że to tylko objaw zasadniczego przeobrażenia, przed którym go ostrzegano i które był gotów zaakceptować jako nieuchronny etap choroby. Uprzedzono go, że może się spodziewać nowych, poruszających doznań, i rzeczywiście - obserwowanie cierpienia tych żalonych istot wywoływało w nim pewien dyskomfort. Z początku reagował na to dziwaczne odczucie absurdalnymi wybuchami emocji. Dobrze wiedział, że ludzie są niższym gatunkiem i że ich cierpienie jest wprost proporcjonalne do ich miejsca w porządku wszechświata. Podobnie rzecz się miała ze zwierzętami, których niedola tylko nieznacznie ustępowała ludzkiej. A jednak Percival zaczął dostrzegać piękno w człowieczych rytuałach, miłości dla rodziny, pobożności, buncie przeciw cielesnym słabościom. Wprawdzie nadal żywił do ludzi głęboką pogardę, lecz zaczął rozumieć tragizm ich losu: żyli i umierali, jakby ich egzystencja miała jakieś znaczenie. Za nic nie podzieliliby się tymi przemyśleniami z siostrą ani z matką - bezlitośnie by go wyszydziły.

Idąc oblodzonym chodnikiem, obolały, powoli mijał majestatyczne budynki, podpierał się laską, z trudem oddychał. Mroźny wiatr zupełnie mu nie przeszkadzał - był nieczuły na wszystko poza trzeszczeniem uprząży na piersiach, paleniem w płucach przy każdym tchu i łupaniem w kolanach i biodrach - z każdym krokiem jego kości ścierały się na proch. Jakże pragnął zrzucić płaszcz i wyswobodzić ciało, ukoić palącą skórę mroźnym powietrzem. Pokaleczone, rozkładające się skrzydła od-stawały od pleców, przez co wyglądał jak garbata bestia, zdeformowana, wyklęta istota. Podczas spacerów często rozmyślał o tym, ile by dał, żeby przeobrazić się w któregoś z beztróskich, zdrowych przechodniów. Przystałby na człowieczą postać, gdyby tylko mógł się w ten sposób wyzwolić z pęt bólu.

Niebawem spacer bez reszty go wyczerpał. Zajrzał do winiarni, eleganckiego lokalu mieniącego się polerowanym brązem i czerwonym aksamitem. Wewnątrz było tłoczno i ciepło. Percival zamówił szkocką Macallana i wybrał stolik w rogu, oddalony od pozostałych, skąd mógł obserwować, jak zabawiają się goście.

Właśnie dopijał pierwszą porcję, kiedy jego uwagę zwróciła kobieta w kącie sali. Była młoda, miała lśniąco czarne włosy, fryzurę w stylu z lat trzydziestych. Siedziała przy stoliku na uboczu razem z grupką znajomych. Choć jej ubranie było jak najbardziej współczesne - miała na sobie obcisłe dzinsy i koronkową bluzkę z dekoltem - to uroda zdradzała klasyczną doskonałość, którą Percival utożsamiał z kobietami innych epok. Dziewczynę można niemal było wziąć za bliźniaczkę jego ukochanej Gabrielli Levi-Franche.

Percival wpatrywał się w nią przez godzinę. Analizował jej gesty i twarz, konstatując, że przypomina Gabriellę nie tylko z urody. Zastanawiał się przy tym, czy to podobieństwo nie jest wyłącznie skutkiem jego rozpaczliwych prób dostrzeżenia go: jej milczenie brał za oznakę analitycznej inteligencji; spokój w jej oczach miał sygnalizować umiejętność dochowywania tajemnic. W gronie znajomych kobieta zachowywała się z pewną rezerwą, podobnie jak Gabriella w tłumie. Percival wyobrażał sobie, że najchętniej słucha, pozwala przyjaciółom wypełniać życie próżnymi blahostkami, sama zaś w milczeniu, chłodno analizuje ich nawyki, mocne strony i wady. Percival nie mógł oderwać od niej oczu. Postanowił zaczekać, aż będzie sama, i wtedy z nią pomówić.

Wypił jeszcze sporo szkockiej, wreszcie młoda kobieta wzięła płaszcz i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy go mijala, zagroził jej drogę laską, dotykając nogi kobiety polerowaną kością słoniową.

- Proszę wybaczyć, że zagabuję panią tak otwarcie - wstał, a wówczas wyglądał przy niej jak olbrzym - nalegam jednak, żeby kupić pani drinka.

Kobieta popatrzyła na niego zdumiona. Nie wiedział, co zdziwiło ją bardziej - laska, którą zagroził jej drogę, czy też niespotykany sposób, w jaki poprosił o dotrzymanie mu towarzystwa.

- Koszmarnie się pan ubrał - powiedziała, lustrując jego frak. Miała wysoki głos, w którym dźwięczały uczucia, gdy tymczasem Gabriella zawsze wysławiała się chłodno, bez cienia emocji - przez tę odmienną fantazję Percivala w jednej chwili prysła. Chciał wierzyć, że odnalazł drugą Gabriellę, ale stało się jasne, że podobieństwo nie jest tak znaczne, jak tego pragnął. Tęsknił za Gabriellą, chciał na nią spojrzeć, wrócić do przeszłości.

Wskazał kobiecie miejsce naprzeciwko. Zawahała się przez chwilę, raz jeszcze otaksowała jego wytworny strój, wreszcie usiadła. Przyjrzał jej się z bliska i z rozczarowaniem stwierdził, że podobieństwo do Gabrielli prawie się ulotniło. Jej twarz była upstrzona maleńkimi piegami; cera Gabrielli była nieskazitelnie kremowa. Dziewczyna miała brązowe oczy, Gabriella - błyszczące, zielone. Fantazję podsycalo jeszcze tylko zaokrąglenie ramion i czarne włosy przysłaniające policzki. Zamówił butelkę najdroższego szampana i zaczął opowiadać o swoich przygodach w Europie, zmieniając szczegóły, aby zamaskować wiek, a raczej wieczną młodość. Mieszkał w Paryżu w latach trzydziestych, dziewczynie powiedział, że w osiemdziesiątych. Interesy nadzorował jego ojciec; dziewczyna dowiedziała się, że sam Percival. I tak zresztą nie zwracała uwagi na detale. Nie miało wręcz znaczenia, co słyszy - piła szampana i słuchała, nieświadoma koszmarnego dyskomfortu, jaki odczuwał jej rozmówca. On nie przejąłby się, gdyby była niema albo gdyby okazała się manekinem - miała tylko siedzieć cicho przed nim, z szeroko otwartymi oczami, okazywać mu zainteresowanie i uwielbienie, niedbale opierać rękę o poręcz krzesła, zachowując ulotne podobieństwo do Gabrielli. Liczyła się tylko iluzja, że czas przestał istnieć.

Fantazjując, Percival przypomniał sobie ślepią furie, w jaką wpadł, dowiedziawszy się o zdradzie Gabrielli. Kradzież skarbu z Rodopów obmyślili wspólnie, w najdrobniejszych szczegółach. Percival uważał plan za genialny. Z Gabriellą połączyła go namiętność i obopólne korzyści. Ona informowała go o pracach angelologów - sporządzała szczegółowe raporty na temat zbiorów i miejsc pobytu członków Towarzystwa - on zaś dzielił się z nią wiedzą, dzięki której pięła się po szczeblach kariery. Wskutek tych kontaktów biznesowych - trudno przecież lepiej określić ten rodzaj wymiany - zaczął ją darzyć jeszcze większym podziwem. Była tak głodna sukcesu, a przez to tym droższa jego sercu.

To dzięki Gabrielli rodzina Grigorich dowiedziała się o drugiej wyprawie angelologicznej. Percival z Gabriellą obmyślili znakomity plan. Podczas przejazdu angelologów przez miasto Seraphina Valko miała zostać porwana, a Gabriella - zachować walizkę. Założyli, że rada angelologów jednogłośnie zaakceptuje wymianę - uwolnienie angelologów w zamian za walizkę ze skarbem. Seraphina Valko była nie tylko ange-lologiem światowej sławy, ale także żoną przewodniczącego rady, Ra-phaela Valki. Z całą pewnością przyjęli, że niezależnie od wartości przedmiotu angelolodzy nie wydadzą jej na pewną śmierć. Gabriella utwierdzała Percivala w przekonaniu, że ich knowania się powiodą. Uwierzył jej. Niebawem wyszło na jaw, że plan się nie powiódł. Członków rady zgładzono. Percival zabił Seraphinę. Zmarła, nie pisnąwszy słowa, choć zrobiono wszystko, żeby nakłonić ją do wyjawienia informacji o pozyskanym przedmiocie. Co gorsza, Gabriella go zdradziła.

Tej nocy, kiedy wręczyła mu skórzaną walizkę z lirą, chciał ją poślubić. Był gotów wprowadzić Gabriellę w krąg nefilimów mimo sprzeciwu rodziców, którzy od dawna podejrzewali, że jest szpiegiem oddelegowanym do infiltracji ich rodziny. Percival jej bronił. Ale wtedy matka zatrudniła niemieckiego instrumentozawcę, który sprawdzał znalezione przez hitlerowców skarby, aby zweryfikował autentyczność liry. Okazała się świetną podróbką, starożytnym syryjskim instrumentem z krowiej kości. Gabriella go okłamała. Został upokorzony i ośmieszony, bo zaufał kobiecie, której Sneją nigdy nie wierzyła.

Po tym incydencie stwierdził, że umywa ręce - pozostawił Gabriellę na pastwę swoich towarzyszy, choć decyzję tę podjął z bólem. Jakiś czas później dowiedział się, że poniosła straszliwą karę. On sam wolałby, żeby zginęła - w rzeczy samej poinstruował ją, żeby wybrała raczej śmierć niż tortury - ale wskutek trafu i nagłych, nadzwyczajnych planów jej prześladowców ocalała. Doszła do zdrowia i poślubiła Raphaela Valkę - związek z naukowcem z pewnością miał wspomóc rozwój jej kariery. I bez tego Percival musiał przyznać, że Gabriella była najlepszym znawcą dyscypliny - jako jeden z nielicznych angelologów poznała ich świat na wskroś.

Nie widział jej od ponad pięćdziesięciu lat. Podobnie jak inni angelolodzy była pod stałą obserwacją, jej działalność zawodową i życie osobiste monitorowano dzień i noc. Wiedział, że mieszka w Nowym Jorku i że kontynuuje pracę przeciwko niemu i jego

rodzinie. Ale jej życie osobiste pozostawało dla niego zagadką. Ze względu na łączący ich w przeszłości romans rodzina nie dopuszczała go do wszystkich informacji na jej temat.

Z ostatniej otrzymanej przez niego wiadomości wynikało, że Gabriella nadal dokłada starań, by nie dopuścić do nieuchronnego końca angelologii, trwa w walce o beznadziejną sprawę. Wyobrażał sobie, że nadal jest piękna, mimo starości i pomarszczonej twarzy. Z całą pewnością się dząca naprzeciwko frywolna, głupiotka dziewczyna nie miała z Gabriella nic wspólnego. Percival oparł się wygodnie i uważnie się jej przyjrzał - żałośnie wydekoltowanej bluzce i wulgarnej biżuterii. Była pijana, pewnie zdążyła się wstawić, zanim zamówił szampana. Panią z zamiłowaniem do tandety nie miała w sobie nic z kobiety, którą kochał.

- Chodź - powiedział, rzucając zwitek banknotów na stolik. Założył płaszcz, sięgnął po laskę i obejmując dziewczynę, wyszedł w noc. Była wysoka i szczupła, ale w porównaniu z Gabriella - grubokoścista. Percival czuł iskrzące między nimi pożądanie - ludzkie kobiety nigdy nie potrafiły się oprzeć anielskim wdziękom.

Dziewczyna nie była wyjątkiem. Szła z nim chętnie. W milczeniu mijali kolejne przecznice, aż wreszcie zaciągnął ją w mroczną, opustoszałą alejkę. Nieznośny, niemal zwierzęcy popęd tylko podsycił jego gniew. Najpierw całował ją, potem uprawiał z nią seks, a na koniec z wściekłością objął jej delikatną, ciepłą szyję długimi, zimnymi palcami - zacisnął, aż zatrzeszczały kości. Kobieta jęknęła i odepchnęła go, usiłując wyzwolić się z uścisku, ale było za późno: obezwładniła go żądza mordy. Jej ból i rozkosz walki wzbudziły w nim dreszcze żądy. Wyobrażanie sobie, że dziewczyna jest Gabriella, sprawiło mu tylko dodatkową przyjemność.

## **Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Ewangelina obudziła się o trzeciej w nocy spanikowana. Przez całe lata ściśle przestrzegała codziennego harmonogramu, toteż zakłócenie rutyny sprawiło, że była dezorientowana. Rozejrzała się po pokoju, a pod ciężarem obezwładniającego jej zmysły snu uznała swoją celę za złudę, za małą, uporządkowaną izdebkę z czyścicielnym oknem i półkami i znów zasnęła.

Ukazał jej się przelotny obraz rodziców. Stali razem w paryskim mieszkaniu - w jej domu z lat dziecięcych. Nie robili nic szczególnego, po prostu czekali. Ojciec był młody, przystojny i szczęśliwy - zupełnie inny niż w latach po śmierci żony, z których go zapamiętała. Matka - nawet we śnie Ewangelina musiała się wyteżać, żeby ją zobaczyć - stała nieco dalej: cienista postać, której twarz przysłaniał kapelusz. Ewangelina wyciągnęła rękę, rozpaczliwie próbując chwycić jej dłoń. Wołała ją, by podeszła bliżej. Za wszelką cenę chciała się do niej zbliżyć, ale Angela cofnęła się, a w rękach dziewczyny została tylko gęsta mgła.

Ewangelina obudziła się po raz drugi, poruszona intensywnością snu. Na budziku jaśniały trzy cyfry: 4.55. Dziewczynę przeszedł dreszcz: za chwilę spóźni się na modlitwę. Zamrugła i rozejrzała się po pokoju - nie zaciągnęła zasłony, a jej cela była przesycona nocnym światłem. Biała pościel przybrała barwę szarofioletową, wyglądała jak posypana popiołem. Ewangelina wstała, włożyła czarną spódnicę, zapięła białą bluzkę i przytwierdziła welon.

Wspomnienie snu wywołało falę tęsknoty. Pomimo upływu czasu brak rodziców doskwierał jej nie mniej niż w dzieciństwie. Ojciec zmarł nagle przed trzema laty, serce stanęło mu podczas snu. Co roku w rocznicę jego śmierci zamawiała nabożeństwo w jego intencji. Nie mogła pogodzić się z myślą, że ojciec nie zobaczy, jak dorosła i zmieniła się, odkąd przyjęła śluby, jak bardzo upodobniła się do niego, wbrew temu, czego się spodziewał. Wielokrotnie powtarzał jej, że temperament odziedziczyła po matce - obie były ambitne i uparte, całkowicie skupione na celu, nigdy na środkach. W rzeczywistości usposobieniem Ewangelina wrodziła się w niego.

Już miała wyjść z celi, kiedy raptem przypomniała sobie o kartkach od babki, po których przejrzeniu poczuła taką frustrację. Sięgnęła pod poduszkę, przejrzała je i choć była już spóźniona na adorację, postanowiła raz jeszcze zmierzyć się z rozszyfrowaniem wiadomości.

Wyjęła karty z kopert i rozłożyła je na łóżku. Zwłaszcza jedna przykuła jej uwagę; wczoraj, wyczerpana, zupełnie ją przeoczyła. Kartę ozdobił bladym szkicem wspinającego się po schodach anioła. Była pewna, że widziała wcześniej ten wizerunek, ale nie mogła przypomnieć sobie, gdzie ani dlaczego wydał się znajomy. Coś jej podpowiedziało, aby położyć obok inną kartkę, i dopiero wtedy zrozumiała: szkice aniołów na poszczególnych kartkach były fragmentami większego obrazu.

Ewangelina dopasowywała kartki kolorami i obwódkami, jak układankę, aż ukazał jej się obraz - niezliczone, majestatyczne anioły na eleganckich, spiralnych schodach w blasku niebiańskiego światła. Ewangelina dobrze go znała. Była to reprodukcja Drabiny Jakubowej Williama Blake'a, malowidło, które w dzieciństwie ojciec pokazał jej w British Museum. Matka uwielbiała Blake'a, zbierała jego wiersze i reprodukcje obrazów; kopię Drabiny Jakubowej dostała w prezencie od męża. Po śmierci Angeli ojciec zabrał obraz do Stanów. Była to jedna z niewielu ozdób w ich skromnym, brooklyńskim mieszkaniu.

Ewangelina otworzyła kartę leżącą w lewym górnym rogu i wyjęła z niej liściki. Otworzyła następną i złączyła liściki. Dopiero teraz zrozumiała, że obraz jest kluczem do kolejności czytania listów. Wiadomość musiała zostać spisana, a następnie pocięta na kwadraty, które Gabriella co rok przysyłała w bożonarodzeniowych kopertach. Dopiero po ułożeniu kremowych kartek jedna obok drugiej, mieszaniną słów układała się w logiczne zdania. Babka zadbała o bezpieczne dostarczenie wiadomości.



Ewangelina rozłożyła listy jeden obok drugiego, a wówczas jej oczom ukazała się cała wiadomość spisana eleganckim pismem Gabrielli. Zaczęła czytać i utwierdziła się w przekonaniu, że odnalazła właściwy klucz. Choć listy nie zawierały znaków przestankowych ani wielkich liter, które odróżniałyby od siebie kolejne zdania, fragmenty pasowały idealnie.

Przeczytasz tę wiadomość w wieku dwudziestu pięciu lat. Jeśli wszystko pójdzie po myśli Twojego ojca i mojej, będziesz wówczas wiodła bezpieczne, kontemplacyjne życie pod opieką mniszek od wieczystej adoracji w klasztorze Świętej Róży. Piszę te słowa w roku 1988, kiedy jesteś zaledwie dwunastoletnią dziewczynką. Z pewnością będziesz się zastanawiać, czemu otrzymujesz list dopiero teraz, tak długo po jego napisaniu. Być może będziesz go czytać, kiedy mnie już nie będzie. Być może nie będzie też Twojego ojca. Nikt nie wie, co mu jest pisane. Należy się skupiać na przeszłości i teraźniejszości. Proszę, abyś to właśnie zrobiła.

Możliwe, że zastanawiasz się, czemu w ostatnich latach zniknął z Twojego życia. Może nawet jesteś zła, że nie kontaktowałam się z Tobą podczas Twojego pobytu w Świętej Róży. Te jakże ważne chwile, które spędziłyśmy razem, zanim zamieszkałaś w klasztorze, pomogły mi przetrwać czas niepokoju, podobnie jak wspólne momenty w Paryżu, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem. Wątpię, abyś pamiętała mnie z tamtych lat. Zabierałyśmy cię z matką do Ogrodu Luksemburskiego. Myśl o tych cudownych popołudniach cieszy moje serce po dziś dzień. Twoją matkę zamordowano, kiedy byłaś malutka - pozbawienie dziecka rodzica to okrutna zbrodnia. Często zastanawiam się, czy pamiętasz, jaka Angela była wspaniała i jak bardzo cię kochała. Twój ojciec uwielbiał ją bezgranicznie, na pewno dużo Ci o niej opowiadał.

Z pewnością powiedział Ci też, że bezpośrednio po tym, co się wydarzyło, postanowił wyjechać z Paryża, przekonany, że w Ameryce będziecie bezpieczniejsi. Wyjechaliście na zawsze. Nie winię go za to, że zabrał Cię tak daleko - miał prawo chronić Cię najlepiej jak potrafił, zwłaszcza po tym, co spotkało Twoją matkę.

Trudno to pewnie zrozumieć, ale choć nade wszystko pragnę Cię zobaczyć, nie mogę tego zrobić. Moja wizyta spowodowałaby niebezpieczeństwo na Ciebie, na Twojego ojca i - jeśli wypełniłaś jego wolę - na siostry ze Świętej Róży. Po tym, co spotkało Angelę, nie wolno mi podejmować ryzyka. Mogę tylko mieć nadzieję, że w wieku dwudziestu pięciu lat zrozumiesz konieczność zachowania ostrożności i podejmiesz odpowiedzialność za poznanie prawdy o swojej spuściznie i przeznaczeniu, które w naszej rodzinie są dwiema gałęziami tego samego drzewa.

Próżno mi się domyślać, ile wiesz na temat pracy rodziców. O ile znam Twojego ojca, ani słowem nie wspomniał Ci o an-gelologii i wszelkimi sposobami próbował chronić Cię przed stycznością z naszą dyscypliną. Luca to dobry człowiek, rozsądny, ale ja wychowałam Cię inaczej. Możliwe, że jesteś zupełnie nieświadoma tego, że Twoja rodzina uczestniczy w jednej z największych skrytych walk między Niebem a Ziemią, ale przecież najzdolniejsze dzieci widzą i słyszą wszystko -podejrzewam, że do nich właśnie należałaś. Możliwe zatem, że samodzielnie odkryłaś sekret ojca. Może dowiedziałaś się nawet, że Twój pobyt w Świętej Róży został zaaranżowany przed Twoją pierwszą komunią, kiedy siostra Perpetua - zgodnie z wymogami instytucji angelologicznych - zgodziła się zapewnić Ci schronienie. Być może wiesz, że jako córka i wnuczka angelologów jesteś naszą nadzieją na przyszłość. Jeśli jednak te sprawy są Ci zupełnie obce, ten list będzie dla Ciebie szokiem. Kochana Ewangelino, jakkolwiek frustrujące wydadzą Ci się moje słowa, przeczytaj je do końca.

Twoja matka zaangażowała się w angelologię, pracując jako chemik. Była genialnym matematykiem i naukowcem. Miała zupełnie wyjątkowy umysł, który bez trudu pojmował zarówno koncepcje przyziemne, jak i abstrakcyjne. Pierwszą książkę poświęciła zagadnieniu wymarcia nefilimów, które uznawała za Darwinowską nieuchronność, logiczne następstwo ich krzyżowania się z ludźmi, wskutek którego następuje rozrzedzenie ich anielskich właściwości w niewydolne cechy recesywne. Choć nie do końca rozumiałam podejście Angeli - mnie samą zawsze najbardziej zajmowały społeczno-mitologiczne aspekty naszej dyscypliny - to pojmowałam koncepcję materialnej entropii i odwieczną prawdę, że duch wycieńcza ciało. Druga książka Angeli, poświęcona hybrydyzacji nefilimów z ludźmi -oparta na badaniach genetycznych Watsona i Cricka - odbiła się w naszej radzie szerokim echem. Angela szybko awansowała w hierarchii wspólnoty. W wieku dwudziestu pięciu lat otrzymała tytuł profesora - rzecz niespotykana w naszej instytucji. Zapewniono jej najnowocześniejszy sprzęt, najlepsze laboratorium i nieograniczone fundusze na badania.

Sława ściągnęła na nią niebezpieczeństwo. Angela stała się celem ataków, wielokrotnie grożono jej śmiercią. Jej laboratorium było doskonale strzeżone - sama tego dopilnowałam -a jednak to właśnie stamtąd ją uprowadzono.

Z całą pewnością ojciec nie zdradził Ci szczegółów porwania. To bolesna historia, ja sama nie byłam w stanie z nikim o tym rozmawiać. Twojej matki nie zamordowano od razu. Agenci nefilimów napadli ją w laboratorium i przez kilka tygodni przetrzymywali w domu w Szwajcarii. To ich typowa metoda - porywają ważnego angelologa, po czym proponują strategiczną wymianę. Nasze zasady zabraniają negocjacji, ale kiedy porwano Angelę, odchodziłam od zmysłów. Zasady przestały mieć znaczenie, oddałabym wszystko za jej bezpieczny powrót.

Ten jeden raz Twój ojciec się ze mną zgodził. Przechowywał niezliczone notatki badawcze Angeli, postanowiliśmy zaoferować je nefilimom w zamian za jej życie. Nie rozumiałam niuansów prowadzonych przez Angelę badań nad genetyką, ale wiedziałam jedno: nefilimów toczy choroba, wymierają, szukają leku. Przekazałam porywaczom wiadomość, że w notatnikach znajdują się tajne informacje, które mogą posłużyć do ocalenia ich rasy. Zgodzili się na wymianę, a ja byłam prze-szczęśliwa.

Być może okazałam naiwność, sądząc, że wywiążą się z umowy. Pojechałam do Szwajcarii i przekazałam im notatniki Angeli. W zamian otrzymałam drewnianą trumnę z ciałem córki. Nie żyła już od wielu dni. Cała była posiniaczona, miała okrwawione włosy. Ucałowałam ją w zimne czoło. Oto straciłam wszystko, co miało dla mnie znaczenie. Na myśl o tym, jak musiała cierpieć w ostatnich dniach, ogarniało mnie przerażenie. Do dziś przesładuje mnie widmo ostatnich godzin jej życia.

Wybacz mi, że musisz poznać tę potworną historię. Z jednej strony kusi mnie, żeby zamilknąć i oszczędzić ci makabrycznych szczegółów. Z drugiej strony jesteś dorosłą kobietą, a wraz z wiekiem trzeba stawiać czoło rzeczywistości. Musimy zgłębić nawet najmroczniejsze aspekty ludzkiego życia. Musimy zmierzyć się z potęgą zła, z jego trwaniem w świecie, z jego nieustanną przewagą nad ludźmi i tym, że to właśnie ludzie pragną utrzymać taki stan rzeczy. Choć to żadne pocieszenie, nie jesteś osamotniona w rozpacz. Śmierć Angeli jest moim najczarniejszym wspomnieniem. Co noc słyszę głosy - jej i zabójcy.

Po tym, co się stało, Twój ojciec nie mógł żyć w Europie. Jego ucieczka do Ameryki była szybka i ostateczna: zerwał kontakty z krewnymi i przyjaciółmi - ze mną również - aby wychować Cię w spokoju. Podarował Ci normalne dzieciństwo - to luksus dany niewielu z nas, członków rodzin angelologów. Ale nie był to jedyny powód ucieczki.

Nefilimów nie usatysfakcjonowały bezcenne informacje, które tak nieroztropnie im powierzyłam. Trzy lata później splądrowali moje mieszkanie w Paryżu, ukradli wszystko, co stanowiło dla mnie i dla naszej sprawy jakąkolwiek wartość, między innymi jedną z prac Twojej matki. W Szwajcarii przekazałam nefilimom całą torbę notatników, ale zostawiłam sobie jeden z brulionów Angeli, sądząc, że pośród moich rzeczy będzie bezpieczny. Zawierał szkice teoretyczne - materiały, które Twoja matka zbierała do trzeciej książki. Angela dopiero zaczynała nad nią pracować, więc zapiski nie były kompletne, jednak nie ulegało wątpliwości, że były to genialne, cenne i niebezpieczne materiały. Jestem przekonana, że Angelę porwano właśnie z powodu formułowanych przez nią teorii.

Kiedy te informacje dostały się w ręce nefilimów, zrozumiałam, że wszystkie moje próby utrzymania ich w tajemnicy spęły na niczym. Byłam śmiertelnie przerażona, ale miałam jedno pocieszenie: przepisałam notatki Angeli słowo w słowo do znanego Ci skórzanego notatnika - otrzymałam go od mojej mentorki, doktor Seraphiny Valko, i po śmierci Angeli przekazałam Tobie. Kiedyś notes należał do mojej nauczycielki. Teraz jest pod Twoją pieczęcią.

Notatnik zawiera sformułowaną przez Angelę teorię fizycznego wpływu muzyki na struktury molekularne. Twoja matka zaczęła od prostych doświadczeń z wykorzystaniem niższych form życia - roślin, owadów, dżdżownic - po czym przeszła do większych organizmów; z jej dziennika badań wynika, że prowadziła testy na materiale pozyskanym z pukla włosów dziecka nefilima. Badała wpływ instrumentów niebiańskich - miała nieograniczony dostęp do naszego zbioru - na geny nefilimów; dysponowała ich próbkami w postaci pióra i włosów. Odkryła, że dźwięk niektórych instrumentów niebiańskich powoduje przeobrażenie struktury genetycznej nefilimów. To nie wszystko, stwierdziła też, że pewne frazy powodują ubytek ich energii fizycznej, inne zaś - jej przyplływ.

Szczegóły tej teorii Angela omawiała z Twoim ojcem. Nikt tak nie rozumiał jej pracy jak on. Ja sama nie znałam stosowanych przez nią metod badawczych i nie zgłębiłam wnikliwie jej doświadczeń, ale dzięki Twojemu ojcu zrozumiałam, że Angela zyskała dowód na istnienie fundamentalnego wpływu wibracji dźwięku na struktury komórkowe. Odkryła, że pewne kombinacje akordów i progresje wywołują zasadnicze przeobrażenie materii. Dźwięki pianina powodują mutację pigmentacji orchidei: etiudy Chopina są odpowiedzialne za pojawienie się różowych cętek na białych płatkach, utwory Beethovena - za brązowe plamki na żółtych. Muzyka skrzypiec nasila rozrost segmentów ciał dżdżownic. Pod wpływem stałego brzęku trójkąta wiele much rodzi się bez skrzydeł. I tak dalej.

Wiele lat po śmierci Angeli odkryłam, że japoński naukowiec Masaru Emoto prowadzi podobne eksperymenty, wykorzystując wodę jako medium do testowania wibracji muzycznych. Za pomocą zaawansowanej techniki fotografowania doktor Emoto uchwycił radykalne zmiany struktury komórkowej wody poddanej określonym wibracjom muzycznym. Udowodnił, że niektóre frazy powodują powstanie w wodzie nowych struktur komórkowych. Jego badania potwierdziły wyniki doświadczeń Twojej matki i wykazały, że wibracje muzyczne oddziałują na elementarną kompozycję strukturalną materiału organicznego.

Te na pozór niewinne eksperymenty okazują się zupełnie fascynujące z perspektywy prac Angeli w dziedzinie biologii aniołów. W rozmowach na ten temat Twój ojciec był nienaturalnie powściągliwy, nie chciał mi zdradzić niczego ponad to, co znalazłam w notatniku. Dowiedziałam się jednak, że Twoja matka badała wpływ instrumentów niebiańskich na próbki genetyczne nefilimów, zwłaszcza na ich pióra. Odkryła, że pod wpływem dźwięku niektórych niebiańskich instrumentów następuje przeobrażenie kodu genetycznego nefilimów. Odtwarzanie pewnych fraz nie tylko skutkuje zmianą struktur komórkowych, ale także zakłóca integralność ich genomu. Jestem przekonana, że właśnie to odkrycie Angela przypłaciła życiem. Włamanie do mojego mieszkania utwierdziło Twojego ojca w przekonaniu, że w Paryżu nie jesteście bezpieczni. Nie ulegało wątpliwości, że nefilimowie wiedzą za dużo.

Tymczasem głównym powodem napisania tego listu jest hipoteza leżąca u podstaw wielu udowodnionych przez Angelę teorii, dotycząca liry Orfeusza. Angela wiedziała, że instrument zabezpieczyła i ukryła w roku 1943 Abigail Rockefeller. Twoja matka wysunęła teorię, która powiązała jej odkrycia z lirą Orfeusza, uważaną za najpotężniejszy z niebiańskich instrumentów. Nie miałam złudzeń, że ze skradzionego notatnika nefilimowie dowiedzą się o jej właściwościach. Do tej pory mieli tylko niejasne pojęcie o mocy instrumentu, ale zapiski Angeli uświadomiły im, że właśnie on może przywrócić im stan anielskiej czystości, nieznaną na ziemi od czasu czuwających. Możliwe, że Angela odnalazła rozwiązanie problemu degeneracji nefilimów: były nim dźwięki liry czuwających, nazywanej w czasach współczesnych lirą Orfeusza.

Strzeż się, droga Ewangelino, niełatwo bowiem pojąć znaczenie liry Orfeusza. Postać jej właściciela tak mocno spowija legenda, że nie potrafimy wyodrębnić z niej zarysu jego ziemskiego życia. Nic wiemy, kiedy przyszedł na świat, skąd pochodził ani jak biegle grał na swoim instrumencie. Podobno urodził się ze związku muzy Kaliope z bogiem rzeki Ojagrossem, choć to tylko mit, a nasza praca polega na oddzielaniu mitologii od dziejów, legend od faktów, magii od prawdy. Czy to on podarował ludzkości poezję? Czy to on odnalazł lirę podczas wędrówki po zaświatach? Czy za życia roztaczał tak ogromne wpływy, jak to wynika z dziejów? W VI wieku n.e. był już znany w świecie greckim jako mistrz pieśni i muzyki, ale to, jak wszedł w posiadanie anielskiego instrumentu, jest od dawna przedmiotem sporów znawców historii, przy czym prace Twojej matki potwierdziły prastare teorie dotyczące znaczenia liry. Sformułowana przez nią hipoteza - założenie o tak ogromnym znaczeniu dla naszej walki z nefili-mami - sprowadziła na nią śmierć. To już wiesz. Ale nie wiesz pewnie, że praca Angeli nie została ukończona. Poświęciłam życie próbom doprowadzenia jej do końca. Pewnego dnia, Ewangelino, Ty podejmiesz to zadanie, rozpoczynając w miejscu, w którym przerwę je ja.

Nie wiem, czy ojciec uświadomił Ci, jak wielki był wkład Angeli w naszą sprawę. Nie mogę tego wiedzieć. Zerwał ze mną kontakty przed wielu laty, a ja straciłam nadzieję na odzyskanie jego zaufania. Z Tobą jest inaczej. Jeśli zażadasz, aby wyjawiał Ci szczegóły pracy matki, powie Ci wszystko. Teraz na Tobie spoczywa odpowiedzialność za kontynuowanie rodzinnej tradycji. Takie jest Twoje dziedzictwo i przeznaczenie. Luca poprowadzi Cię tam, dokąd ja zaprowadzić Cię nie mogę. Musisz tylko poprosić go o to wprost. I musisz przetrwać, moja kochana. Proszę Cię, abyś rozwijała naszą pracę i daję Ci moje błogosławieństwo. Bądź świadoma swojej roli w przyszłości naszej świętej dyscypliny i śmiertelnych niebezpieczeństw, które na Ciebie czyhają. Ci, którzy chcą unicestwić naszą pracę, są gotowi osiągnąć swój cel bezwzględny mordem. Twoja matka poniosła śmierć z rąk rodziny

Grigorich -to za sprawą jej wysiłków walka między nefilimami i angelo-logami nadal trwa. Nie mam wątpliwości, że trzeba Cię ostrzec przed niebezpieczeństwem, które Ci grozi, i przed istotami, które chcą Twojej krzywdy.

List raptownie się urywał, sfrustrowana Ewangelina była gotowa się rozplakać. Wiadomość nie zawierała żadnych konkretnych wskazówek. Dziewczyna przekartkowała pismo, po czym raz jeszcze przeczytała słowa babki, usiłując odnaleźć informacje, które mogła przeoczyć.

Opis śmierci matki był tak bolesny, że wzbraniała się przed powtórным przeczytaniem makabrycznych szczegółów. Wyjawienie przez babkę kosmaru ostatnich godzin życia Angeli wydawało jej się okrutne, wręcz bezlitosne. Ewangelina wyobrażała sobie posiniaczone, poranione ciało matki, oszpeconą twarz. Przetarła oczy i wreszcie pojęła, czemu ojciec wywiózł ją tak daleko od miejsca, w którym się urodziła.

Czytając list po raz trzeci, zatrzymała się na wersie, w którym Gabriella pisała o zabójcach matki. „Ci, którzy chcą unicestwić naszą pracę, są gotowi osiągnąć swój cel bezwzględnym mordem. Twoja matka poniosła śmierć z rąk rodziny Grigorich - to za sprawą jej wysiłków walka między nefilimami i angelologami nadal trwa". Skądś znała to nazwisko. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że Verlaine'a zatrudnił człowiek nazwiskiem Percival Grigori. Verlaine pracował dla jej największego wroga.

Uświadomiwszy sobie ten zbieg okoliczności, Ewangelinę opanowała taka trwoga, że na chwilę zupełnie zamarła. Verlaine najprawdopodobniej nie był świadomy istniejącego zagrożenia. A jeśli skontaktuje się z Perci-valem? Plan, który do tej pory wydawał jej się najlepszy - odesłać Ver-laine'a do Nowego Jorku i żyć dalej w Świętej Róży, jakby nic się nie stało - wystawiał ich oboje na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ewangelina zaczęła sprzątać kartki, gdy wtem jej uwagę przykuło jedno dziwne zdanie: „Przeczytasz tę wiadomość w wieku dwudziestu pięciu lat". Przypomniała sobie, że Celestyna miała przekazać jej zbiór listów, kiedy osiągnie właśnie ten wiek. Wiadomość została spisana przed ponad dziesięcioma laty, kiedy Ewangelina miała dwanaście lat, po czym kolejne kartki były wysyłane co roku o tej samej porze. Ewangelina miała dwadzieścia trzy lata, a to oznaczało, że istniały jeszcze dwie kartki, dwa fragmenty układanki babki, które należało odnaleźć.

Ewangelina ułożyła koperty w porządku chronologicznym, sprawdziła na stemplach daty nadania. Ostatnia karta przyszła przed Bożym Narodzeniem, dwudziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Kolejne listy nadawano zawsze tego samego dnia, a więc kartka tegoroczna dotrze do klasztoru wraz z popołudniową pocztą. Dziewczyna przewiązała koperty tasiemką, wsunęła je do kieszeni spódnicy i wybiegła z celi.

## **Columbia University, Morningside Heights, Nowy Jork**

Droga ze stacji kolejowej w Harlemie przy 125. ulicy do biura była długa, ale Verlaine zapiął płaszcz i postanowił zmierzyć się z mroźnym wiatrem. Na kampusie Columbia University panowała zupełna cisza, Verlaine nigdy nie widział uczelni w takim bezruchu i mroku. Na święta wszyscy, nawet najpilniejsi studenci, rozjeżdżali się do domów i wracali dopiero po Nowym Roku. Światła przejeżdżających na Broadwayu samochodów padały na budynki, w oddali wznosiła się imponująca wieża kościoła Riverside, górująca nad najwyższymi budynkami kampusu, połyskiwały podświetlone od środka witrażowe okna budowli.

Podczas spaceru rana na ręce znów się otworzyła, cieniutka strużka krwi prześwitywała przez jedwabny krawat z motywem fleur de lis. Ver-laine dopiero po chwili odnalazł klucze do swojego gabinetu, po czym wszedł do Domu Schermerhorna, w którym mieścił się Wydział Historii Sztuki i Archeologii - był to imponujący budynek z cegły wzniesiony naprzeciwko kaplicy świętego Pawła, w którym wcześniej ulokowano Wydział Nauk Naturalnych. Właśnie tutaj prowadzono prace nad Projektem Manhattan<sup>29</sup> - ten szczegół dziejów budynku Verlaine uważał za absolutnie fascynujący. Wiedział, że jest sam, ale postanowił nie jechać windą, w której łatwo mógłby dać się złapać. Wbiegł po schodach na piętro, na którym mieściły się gabinety wykładowców.

Zamknął za sobą drzwi do pokoju i sięgnął do biurka po teczkę z listami Innocenty, uważając, żeby nie zabrudzić kruchego papieru krwią. Usiadł na krześle, włączył lampkę, która rzuciła na biurko błądzący krąg światła, i zaczął przeglądać listy. Wielokrotnie czytał je wcześniej, wynotował wszelkie aluzje i sugestie, ale nawet teraz, po kilku godzinach ich ponownego wertowania w straszliwej ciszy gabinetu, listy wydawały się zadziwiająco banalne. Choć ze względu na wypadki zeszłego dnia próbował na nowo odczytać każdy szczegół, nie mógł znaleźć dowodu prowadzonych przez dwie kobiety skrytych działań. Wpatrując się w listy w kręgu światła, dochodził niemal do wniosku, że korespondencja była zaledwie zbiorem frazesów o życiu klasztornym i nadzwyczajnym guście pani Rockefeller.

Verlaine podniósł się, zaczął pakować dokumenty do torby, którą na wszelki wypadek trzymał w kącie gabinetu, i już miał zbierać się do wyjścia, gdy naraz stanął jak wryty. W listach było coś tajemniczego. Choć nie doszukał się w nich żadnego schematu, nie miał wątpliwości, że wrażenie galimatiasu było zamierzone; najbardziej frapowały go powtarzające się z niezrozumiałych względów komplementy pod adresem pani Rockefeller - kilka pism kończyły peany na cześć jej wyczucia piękna. Czytając listy wcześniej, Verlaine właściwie się po tych pochwałach prześlizgnął, uznał je za nic więcej, jak banalne zakończenie. Teraz wyjął listy z torby i przeczytał raz jeszcze, zwracając baczną uwagę na ustępy z pochwałami.

<sup>29</sup>Projekt Manhattan (ang. Manhattan Project) - skrócona nazwa kryptonimu amerykańskiego programu budowy bomby atomowej. Badania prowadzono w trzech ośrodkach: w Columbia University w Nowym Jorku, University of Chicago i University of California.

Innocenta komplementowała jakiś dokonany przez panią Rockefeller wybór - możliwe, że chodziło o jakieś malowidło albo projekt. W jednym z listów napisała: „Proszę mieć pewność, że doskonałość Pani artystycznych wizji i realizacja Pani zamiaru cieszą się całkowitą akceptacją”. Drugi list kończył się tak: „Nasza godna podziwu Przyjaciółko, nie zbłądzi ten, kto zachwyci się Pani subtelnymi wizerunkami i kto przyjmie je z pokorną podzięką i wdzięcznym zrozumieniem”. Kolejne pismo: „Pani ręka nigdy nie popełnia błędów i wyraża to, co oko najbardziej pragnie zobaczyć”.

Verlaine się zamyślił. Co miały znaczyć „artystyczne wizje”? Czy pisząc do Innocenty, Abigail dołączyła do listów zdjęcia albo projekty? Ewangelina nie wspomniała o jakichkolwiek załącznikach, ale z odpowiedzi Innocenty wynikało, że musiały one istnieć. Jeśli Abigail Rockefeller przesyłała Innocencie własne szkice, a Verlaine by je odkrył, jego kariera potoczyłaby się błyskawicznie. Ta myśl podekscytowała go do tego stopnia, że odebrała mu zdolność trzeźwego myślenia.

Aby zrozumieć odniesienia Innocenty, trzeba znaleźć listy Abigail. Jeden z nich ma Ewangelina. Z całą pewnością pozostałe są gdzieś w klasztorze Świętej Róży, może w krypcie na tyłach biblioteki. Czy to możliwe, że Ewangelina znalazła list i przeoczyła załącznik? Czy list, który znalazła, był w kopercie? Obiecała poszukać innych pism, ale nie miała powodu szukać dokumentów, które mogły zostać do nich dołączone. Gdyby tylko Verlaine miał samochód, wróciłby do klasztoru i pomógł jej w poszukiwaniach. Rozejrzał się po biurku za telefonem do Świętej Róży. Jeśli Ewangelina nie znajdzie listów, to najprawdopodobniej przepadną na zawsze. Byłaby to niepowetowana strata dla historii sztuki, nie wspominając o karierze samego Verlaine'a. Nagle zawstydził go przemożny strach przed powrotem do mieszkania. Uznał, że musi natychmiast wziąć się w garść i za wszelką cenę wrócić do Świętej Róży.

## Czwarte piętro, klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork

Nie dalej jak przedwczoraj Ewangelina święcie wierzyła, że jej przeszłość wyglądała właśnie tak, jak dotychczas była przedstawiana. Przyjmowała za prawdę zasłyszane od ojca opowieści, zaakceptowała podany przez siostry ciąg zdarzeń. List Gabrielli zniszczył ufność w te wszystkie historie. Nie dowierzała już niczemu.

Zebrała się w sobie i trzymając listy pod pachą, wyszła na nieskazitelnie czysty, pusty korytarz. Po przeczytaniu listów babki było jej słabo i miała zawroty głowy, jakby właśnie wyrwała się z objęć koszmaru sennego. Jak to możliwe, że aż do dziś nie rozumiała znaczenia pracy matki i - co jeszcze bardziej zdumiewające - jej śmierci? Co jeszcze chciała przekazać jej babka? Jakim cudem ma doczekać dwóch kolejnych listów, żeby dopiero po ich przeczytaniu wszystko zrozumieć? Próbując opanować łzy, zeszła po schodach - wiedziała, że tylko w jednym miejscu może kryć się odpowiedź.

Biuro Misji i Rekrutacji mieściło się w południowo-zachodniej części klasztoru, w zmodernizowanych wnętrzach wyłożonych bladoporóżowymi dywanami, w których ulokowano centralkę telefoniczną, solidne, dębowe biurka i metalowe szafki na akta sióstr: przechowywano w nich akty urodzenia, karty chorobowe, dyplomy uczelni, dokumenty i akty zgonu. Biuro Rekrutacji, które w obliczu spadku liczby kandydatek do zakonu połączono z gabinetem mistrzyni nowicjuszek, zajmowało lewą stronę skrzydła, Biuro Misji zaś - prawą. Wspólnie tworzyły dwa otwarte ramiona, które biurokratyczne centrum Świętej Róży wyciągało do świata zewnętrznego.

W ostatnich latach Biuro Misji notowało stały wzrost liczby odwiedzających, natomiast Rekrutacja przeżywała prawdziwy regres. Dawniej dziewczęta szły do Świętej Róży po równość, wykształcenie i niezależność, które życie klasztorne oferowało młodym kobietom opierającym się zamążpójściu. Teraz klasztor był bardziej surowy i żądał, aby dziewczęta składały śluby same, wolne od przymusu krewnych, i dopiero po długim namyśle.

Tak oto Biuro Rekrutacji podupadło, natomiast Biuro Misji stało się najbardziej aktywną sekcją. Tam właśnie na ścianie widniała wielka, laminowana mapa świata, na której czerwonymi flagami oznaczono państwa, w których znajdowały się zgromadzenia stowarzyszone z klasztorami w Miltonie: Brazylię, Zimbabwę, Chiny, Indie, Meksyk, Gwatemalę. Wisiały tam fotografie sióstr w poncho i sari, klarysek trzymających na rękach niemowlęta, podających lekarstwa i śpiewających w chórach z miejscowymi wiernymi. W ostatnim dziesięcioleciu klaryski aktywnie realizowały program międzynarodowej wymiany społeczności klasztornej: do Świętej Róży zjeżdżały siostry z całego świata, aby uczestniczyć w wieczystej adoracji, uczyć się angielskiego i rozwijać się duchowo. Program był wielkim sukcesem. Na przestrzeni lat w Miltonie goszczono mniszki z dwunastu krajów. Ich zdjęcia wisiały nad mapą: dwanaście uśmiechniętych sióstr w identycznych welonach.

Ewangelina była pewna, że o tak wczesnej porze w Biurze Misyjnym będzie pusto. Tymczasem najstarsza członkini wspólnoty, siostra Ludwika, siedziała w pokoju na wózku i trzymając na kolanach radioodbiornik, słuchała porannej audycji publicznego radia. Jej ciało było wątłe i zaróżowione, spod welonu wystawały siwiuteńkie włosy. Ludwika zerknęła na Ewangelinę. Blask jej ciemnych oczu potwierdzał krążące pośród sióstr domysły, że Ludwika traci rozum: z każdym rokiem coraz bardziej oddala się od rzeczywistości. Zeszłego lata policjant z Miltonu znalazł ją o północy na autostradzie 9W - sama jechała wózkiem.

Ostatnio staruszka zapalała pasją do uprawy roślin. Jej rozmowy z kwiatami były niegroźne, niemniej sygnalizowały postęp choroby. Przemieszczała się na wózku przez klasztor z przytroczoną u boku czerwoną konewką, po czym podlewała i przycinała kwiaty, mamrocąc wersety Raju utraconego: „Dziewięććroć czas ów, noc od dnia dzielący ludziom śmiertelnym, on z nikczemną zgrają leżał w ognistym bagnie zanurzony, bez ducha, choć był nieśmiertelny”<sup>30</sup>.

Zielistki w Biurze Misji niewątpliwie skorzystały na obdarowaniu uczuciami: rozrosły się do nieprawdopodobnych rozmiarów, wypuszczały pędy i wąsy ponad szafkami na akta, wystrzeliwały strąk za strąkiem. Rosły tak bujnie, że wkrótce mniszki zaczęły przycinać pędy i wstawiać je do wody, żeby puściły korzenie. Nowe rozsady także wyrastały na olbrzymy - zastawiono nimi cały klasztor, wszystkie cztery piętra zieleniły się od ich liści.

- Dzień dobry, siostrzo - powiedziała Ewangelina w nadziei, że Ludwika ją rozpozna.
- Ojej! - odparła poruszona staruszka. - Aleś mnie zaskoczyła!
- Przepraszam, że przeszkadzam. Nie zdążyłam odebrać wczoraj poczty. Jest w torbie w Biurze Misji?
- W torbie? - Ludwika zmarszczyła brwi. - Przecież pocztę odbiera siostra Ewangelina.
- Tak, Ludwiko. To właśnie ja, tylko że wczoraj nie dałam rady po nią wstąpić. Widziała siostra tę torbę?
- Oczywiście! - odparła Ludwika, kierując wózek do szafy za biurkiem. Tam na haczyku wisiała torba wypełniona jak zwykle po brzegi. - Tylko bardzo cię proszę, od razu zanieś ją siostrze Ewangelinie!

Młoda mniszka przeszła do ocienionej wnęki, żeby oddalić się od Ludwiki. Rozsypała zawartość torby na biurku; typowa poczta: podania, reklamówki, katalogi, faktury. Tyle razy sortowała podobne stosy i tak dobrze rozpoznawała zawartość kopert po ich rozmiarze, że kartkę od (labrielli znalazła w ciągu zaledwie kilku sekund. Była to idealnie kwadratowa, zielona koperta zaadresowana do Celestine Clochette, z tym samym, nieznanym jej nowojorskim adresem nadawcy, który widniał na pozostałych listach.

Ewangelina wyjęła list ze stosu i dołożyła do reszty kartek, które miała w kieszeni. Potem powoli, żeby zamaskować podekscytowanie, podeszła do szafki z aktami. Jedna z zielistek Ludwiki niemal zasłoniła ją liśćmi; Ewangelina odgarnęła zielone pędy, żeby dostać się do szuflady, w której przechowywano jej dokumenty.

Oczywiście wiedziała, że założono teczkę na jej akta osobowe, ale nigdy wcześniej nie pomyślała, by do niej zajrzeć. Dowód tożsamości był jej potrzebny tylko dwa razy - kiedy wyrabiała prawo jazdy i zapisywała się do Bard College - ale nawet wówczas posługiwała się identyfikatorem wydanym przez diecezję. Kartkując akta, znów zamyśliła się nad tym, że przez tyle lat po prostu akceptowała opowieści zasłyszane od innych - od ojca, siostr ze Świętej Róży, teraz także od babki - ale nigdy nie próbowała ich zweryfikować.

Skonsternowana stwierdziła, że jej teczka ma prawie cal grubości, akt było znacznie więcej, niż się spodziewała. Sądziła, że w środku znajdzie francuski akt urodzenia, dokumenty związane z naturalizacją i dyplom ukończenia studiów, w końcu trudno, żeby w tym wieku zgromadziła więcej aktów, a tymczasem w teczce znajdował się cały plik dokumentów. Zdjęła spinającą akta gumkę i zaczęła wertować kartki. Trafiła na coś, co dla niewprawnego oka wyglądało jak wyniki badań, być może krwi. Dołączono do nich odręcznie spisane analizy, może notatki z wizyty u lekarza, chociaż Ewangelina nie przypominała sobie, by kiedykolwiek chorowała i była u doktora. Ojciec zdecydowanie nie chciał prowadzić jej do specjalistów i bardzo dbał, aby nie zachorowała ani nie zrobiła sobie krzywdy. Zdumiona dziewczyna znalazła w teczce arkusze opalizującego, czarnego plastiku - około dziesięciu zdjęć rentgenowskich klatki piersiowej pod różnym kątem. Na czarnym tle jaśniały włókniste kępy poplątanej jak włóczka tkanki.

W górnym rogu każdego zdjęcia widniało nazwisko: Ewangelina Angelina Cacciatore.

Przeglądanie własnych akt nie było zabronione, a jednak Ewangelina miała poczucie, że postępuje wbrew zasadom. W jednej chwili okiełznała zaciekawienie dokumentacją medyczną i zajrzała do dokumentów związanych z jej nowicjatem. Przejrzała liczne, standardowe formularze, które ojciec wypełnił, oddając ją do Świętej Róży. Widok pisma ojca sprawił jej ból. Nie widziała go już od kilku lat. Jakże to dziwne, pomyślała, wyjmując formularze z teczki, że ślad w postaci pisma ma moc przywrócenia go do życia, choćby tylko na chwilę.

Formularze zawierały ważne informacje z jej życia. Był tam brooklyński adres, pod którym mieszkała z ojcem, stary numer telefonu, jej miejsce urodzenia i nazwisko panięńskie matki. Na dole, w rubryce z danymi osoby, z którą należy się kontaktować w nagłych przypadkach, Ewangelina znalazła to, czego szukała: nowojorski adres Gabrielli Levi-Franche Valko i jej numer telefonu. Był to ten sam adres, który widniał na bożonarodzeniowych kartkach.

Ewangelina nawet przez chwilę nie pomyślała o konsekwencjach tego, co robi, tylko wrzuciła swoje akta do bawełnianej torby, podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Nie czuła nic poza pełnym napięciem oczekiwaniem. Przebrzmiał jeden dzwonek i już po chwili Ewangelina usłyszała szorstki, władczy głos babki.

- Allo?

<sup>30</sup>Przekład Macieja Słomczyńskiego, Kraków-Wrocław 1986, s. 10.

## Mieszkanie Verlaine'a, Greenwich Village, Nowy Jork

Upłynęła tylko doba, odkąd Verlaine wyszedł z mieszkania, on sam jednak miał wrażenie, że minęła cała wieczność. Zaledwie wczoraj uporządkował dossier, założył ulubione skarpetki i zbiegł z piątego piętra, ślizgając się po mokrych, drewnianych stopniach. Zaledwie wczoraj bez reszty pochłaniało go unikanie bożonarodzeniowych spotkań i precyzowanie noworocznych planów. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że na skutek przeprowadzenia kwerendy znalazł się w tak żalosnej sytuacji.

Spakował listy Innocenty i notatniki do torby, zamknął gabinet i zszedł po schodach. Powoli rozlewało się nad miastem rozproszone światło poranka - ciepła żółć i oranż przenikały posępną, zimową biel, kiedy na horyzoncie wyłaniał się wytworny łuk wschodzącego słońca. Verlaine mijał kolejne przecznice, w połowie drogi poddał się i wszedł do metra. Zanim dotarł pod swój blok, niemal zdążył przekonać samego siebie, że wydarzenia poprzedniego dnia były tylko iluzją. Tłumaczył sobie, że to wyobraźnia spletała mu figla.

Otworzył drzwi do mieszkania, domknął je nogą i rzucił torbę na kanapę. W głębi ducha spodziewał się zastać dom doszczętnie splądrowany, a tymczasem kawalerka wyglądała tak, jak zostawił ją wczoraj. Ściana z cegły rzucała grobowy cień na fornirowany, zawalony książkami blat stołu z lat pięćdziesiątych, na tapicerowane turkusową skórą krzesła, na stolik do kawy z masy żywicznej w kształcie nerki; czekały na niego, na swoim miejscu, wszystkie jego meble z połowy wieku, sfatygowane, niedopasowane.

Książki poświęcone historii sztuki wypełniały całą ścianę. Były tam gigantyczne wydania Phaidona, grube opracowania krytyków sztuki w miękkiej oprawie i lśniące wydruki prac jego ulubionych modernistów: Kandinsky'ego, Soni Delaunay, Picassa, Bracque'a. Verlaine miał więcej książek, niż mógł pomieścić w tak małym mieszkaniu, a jednak za nic by ich nie sprzedał. Przed laty doszedł do wniosku, że kawalerka zupełnie nie nadaje się dla ludzi obdarzonych instynktem gromadzenia.

Stał w oknie i zdjął jedwabny krawat od Hermesa, który posłużył mu za bandaż: powoli go odwijął, rana zaczęła się już zasklepić. Krawat był do niczego. Zwinął go, położył na parapecie. Z piątego piętra, ponad rzędami budynków widział w oddali plaster porannego nieba - zdawało się, że podtrzymują go szczudła. Śnieg zalegał na gałęziach drzew, niedbale zwisał z rynien i zwęzał się w sople. Cały widok był upstrzony niezliczonymi wieżami ciśniętymi na dachach. Verlaine nie był właścicielem kawalerki, ale czuł, że ten widok należy do niego. Wyglądając przez okno, zapominał niekiedy o całym świecie. Tego ranka chciał tylko uspokoić umysł i obmyślić plan działania.

Pomyślał, że na dobry początek przyda się kawa. Wszedł do podłużnej kuchni, włączył ekspres, wsypał do zbiorniczka drobno zmielone ziarna, spienił mleko i zaparzył cappuccino w starej filiżance firmy Fiesta -jednej z niewielu, których jeszcze nie zbił. Wypił łyk kawy i dostrzegł błyskającą diodę na sekretarce - miał wiadomości. Nacisnął przycisk, żeby je odsłuchać. Przez całą noc ktoś dzwonił i odkładał słuchawkę -Verlaine naliczył dziesięć takich razy, kiedy rozmówca milczał, czekając, aż on podniesie słuchawkę. Wreszcie doczekał się faktycznej wiadomości. To była Ewangelina. Rozpoznał ją od razu.

- Jeśli zdążyłeś na pociąg o północy, to powinieneś już być na miejscu. Zastanawiam się, gdzie się podziałeś i czy jesteś bezpieczny. Zadzwoni, jak tylko będziesz mógł.

Verlaine podszedł do szafy, wyjął starą, skórzaną torbę sportową. Rozpiął suwak i spakował czyste dżinsy Hugo Bossa, kilka bokserów Calvina Kleina, bluzę z logo uczelni Brown University i dwie pary skarpet. Wyciągnął ze spodu parę converse'ów, ściągnął przemoczzone pantofle, zmienił buty. Nie miał czasu się zastanawiać, co jeszcze może mu się przydać. Postanowił wynająć samochód i jechać do Miltonu - tą samą drogą, którą pokonał wczoraj po południu, przez most Tappan Zee, a potem bocznymi drogami wzdłuż rzeki. Jeśli się pospieszy, dotrze na miejsce przed lunchem.

Nagle zadzwonił telefon - słysząc ostry, poruszający dźwięk, Verlaine I wypuścił filiżankę z ręki. Spadła na parapet i pękła, kawa z mlekiem rozlała się po podłodze. Verlaine zostawił potłuczone szkło i chwycił za słuchawkę. Musiał odebrać.

- Ewangelina?

- Pan Verlaine. - W niskim, kobiecym głosie pobrzmiwała wyjątkowa poufałość. Kobieta mówiła z włoskim albo francuskim akcentem, ton jej głosu był szorstki. Verlaine ocenił, że rozmówczyni jest w średnim wieku, może starsza, choć nie był pewien.

- Przy telefonie - odpowiedział, rozczarowany. Zerknął na pękniętą filiżankę. Znów uszczuplił swoją kolekcję naczyń. - W czym mogę pomóc?

- Mam nadzieję, że w niejednym - odparła kobieta.

Przez sekundę Verlaine pomyślał, że może dzwoni do niego pracownica firmy telemarketingowej. Ale przecież miał zastrzeżony numer i zwykle nikt go nie nagabywał. Poza tym za takim głosem raczej nie kryje się ktoś, kto namawia do prenumeraty czasopism.

- Wygórowane ma pani wymagania - powiedział, naśladowując dziwaczne maniery rozmówczyni. - Może najpierw się pani przedstawi?

- A mogę przedtem zadać panu pytanie?

- Proszę. - Verlaine'a zaczynał irytować ten spokojny, natarczywy, niemal hipnotyzujący głos, tak inny niż Ewangeliny.

- Wierzy pan w anioły?

- Słucham?

- Czy wierzy pan, że anioły żyją pośród nas?

- Proszę pani, jeśli chodzi o członkostwo w jakiejś grupie ewangelicznej... - zaczął Verlaine, pochylając się pod oknem i układając szczytki filiżanki jeden na drugim. Z miejsc, gdzie skorupy nie były pokryte emalią, osypywał mu się na palce biały pyłek. - To źle



pani trafiła. Rozmawia pani z przesadnie wykształconym, lewicującym miłośnikiem sojowej latte, metroseksualnym, liberalnym agnostykiem z pogranicznym zaburzeniem osobowości. Wierzę w anioły mniej więcej tak samo jak w króliczka wielkanocnego.

- Zdumiewające - odparła kobieta. - A mnie się wydawało, że te nieistniejące stwory chciały pana zabić.

Verlaine zamarł nad szczątkami filiżanki.

- Kto mówi? - wystękał.

- Nazywam się Gabriella Levi-Franche Valko. Od dawna szukam listów, które pan znalazł.

Coraz bardziej oszołomiony Verlaine spytał:

- Skąd ma pani mój numer?

- Zdziwiłby się pan, ile ja wiem. Wiem na przykład, że istoty, przed którymi zeszłej nocy udało się panu zbiec, czekają pod pańskim blokiem. - Gabriella zamilkła, żeby Verlaine zdążył przetrawić tę informację, po czym dodała: - Jeśli mi pan nie wierzy, proszę wyjrzeć przez okno.

Verlaine pochylił się nad parapetem, czarne włosy opadły mu na twarz. Nie dojrzał nic podejrzanego.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Proszę spojrzeć w lewo - uściśliła Gabriella. - Zobaczy pan znajomego czarnego mercedesa.

Verlaine usłuchał rozmówczyni. Faktycznie, po lewej stronie, na rogu Hudson Street stał czarny mercedes SUY. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna w ciemnym ubraniu, ten sam, który wczoraj zdemolował mu auto, ten sam, który unosił się za oknem pociągu, o ile, oczywiście, nie była to halucynacja. Podenerwowany zbior zaczął przechadzać się w tę i z powrotem w nikłym świetle latarni.

- Jeśli spojrzy pan w prawo - ciągnęła Gabriella - zobaczy pan białą furgonetkę. Jestem w środku. Czekam na pana od bladego świtu. Na prośbę wnuczki przychodzę panu z pomocą.

- A pani wnuczka to...?

- Ewangelina, oczywiście. Któżby inny?

Verlaine wyciągnął szyję - biała furgonetka stała w malej alejce dla wozów dostawczych po drugiej stronie ulicy. Zaparkowano ją dość daleko, Verlaine nie mógł wypatrzeć, kto jest w środku. Kobieta jakby zrozumiała jego bezradność: szyba uchyliła się, po chwili wychyliła się mała dłoń odziana w skórzaną rękawiczkę i pomachała do niego apodyktycznie.

- O co tu chodzi? - spytał speszony Verlaine. Podszedł do drzwi, zamknął zasuwę, założył łańcuch. - Czemu obserwuje pani moje mieszkanie?

- Moja wnuczka jest przekonana, że grozi panu niebezpieczeństwo. Ma rację. Muszę pana prosić, żeby spakował pan listy Innocenty i natychmiast zszedł na dół - powiedziała spokojnie Gabriella. - Nie radzę jednak korzystać z głównego wejścia.

- Nie ma innego.

- A schody pożarowe?

- Widać je od frontu. Zobaczą, że schodzę - wyjaśnił Verlaine, wpatrując się w metalowy szkielet, który zacieśniał róg okna i ciągnął się po elewacji. - Może mi pani powiedzieć, czemu...

- Mój drogi - przerwała mu Gabriella z ciepłą, niemal macierzyńską nutą w głosie - niech pan wysili wyobraźnię. Radzę panu wyjść z mieszkania. Natychmiast. Za chwilę po pana przyjdą. Chociaż pan niewiele ich obchodzi. Przyjdą po listy - mówiła cicho Gabriella. - Domyśla się pan, że nie poproszą o nie grzecznie.

Drugi człowiek, równie wysoki i blady jak pierwszy, jakby słyszał Gabriellę i postanowił jej usłuchać - wysiadł z mercedesa i dołączył do towarzysza. Razem przeszli przez ulicę i ruszyli w stronę bloku Ver-laine'a.

- Ma pani rację. Idą - rzucił do słuchawki Verlaine. Odszedł od okna, wepchnął między ubrania w torbie portfel, klucze i laptop. Listy Innocenty włożył do książki z drukami Rothko, wsunął ostrożnie do torby i zapiął suwak. - Co mam robić?

- Jeszcze nic. Widzę ich. Proszę stosować się do moich poleceń. Będzie dobrze.

- Mam dzwonić na policję?

- Na razie proszę nic nie robić. Czekają przy wejściu. Jeśli teraz pan wyjdzie, zobaczą pana - tłumaczyła Gabriella z przerażającym wręcz spokojem. Była w tej chwili zupełnym przeciwieństwem Verlaine'a, któremu krew szumiała w uszach. - Proszę mnie posłuchać, panie Verlaine. Nie może pan wyjść, dopóki panu nie powiem.

Verlaine otworzył okno, przesuwając szybę do góry. Podmuchał mroźnego powietrza omiół mu twarz. Wychylił się, zobaczył ich. Mówili ściszymi głosami. Po chwili wsunęli coś w zamek, bez trudu otworzyli drzwi i weszli do budynku. Rozległo się trzaśnięcie ciężkich drzwi.

- Ma pan listy? - spytała Gabriella.

- Tak.

- Proszę zejść po schodach przeciwpożarowych. Teraz. Czekam na pana.

Verlaine odłożył słuchawkę, przerzucił torbę przez ramię i wypełził przez okno na lodowaty wiatr. Kiedy złapał zardzewiałą drabinę, metal przymarzył mu do dłoni. Szarpnął ją z całej siły: drabina opadła na chodnik. Poczł ból w nadgarstku - naciągnięta skóra pękła w miejscu, w którym zasklepiła się rana po drucie kolczastym. Verlaine zignorował ból i zaczął schodzić, tenisówki ślizgały się po oblodzonych szczeblach. Był już prawie na chodniku, kiedy usłyszał potężny huk roztrzaskiwanej drewna. Mężczyźni właśnie wylamali drzwi do jego mieszkania.

Przytrzymał torbę i zeskoczył na chodnik. Natychmiast podjechała biała furgonetka, uchyliły się drzwi. Kobieta-elf o czarnych włosach -do brody, z grzywką - i ustach pociągniętych czerwoną szminką kazała mu wskoczyć na tylne siedzenie.

- Do środka - rzuciła Gabriella. - Szybko.

Verlaine usiadł obok Gabrielli, kierowca wrzucił bieg, skręcił za róg i popędził w stronę centrum.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - spytał Verlaine, zerkając za siebie. Spodziewał się zobaczyć czarnego mercedesa.



Gabriella położyła smukłą, obleczoną rękawiczką z czarnej skóry dłoń na zmarzniętej i drżącej ręce Verlaine'a.

- Przyjechałam, żeby panu pomóc.
- W czym?
- Mój drogi, nie ma pan pojęcia, w jakie wpakował nas pan kłopoty.

### **Penthouse Grigorich, Upper East Side, Nowy Jork**

Percival kazał zasłonić stopy, żeby chronić oczy przed światłem. Wracając do domu piechotą o świcie i wystarczyła blada jasność poranka, żeby doznał bólu głowy. W zaciemnionym pokoju zdjął ubranie - rzucił frak, pomietaną białą koszulę i spodnie na podłogę - i wyciągnął się na skórzanym szezlongu. Śliczna anakimka bez słowa rozpięła uprzęż - cierpliwie zniósł to żmudne zajęcie. Służąca sięgnęła po olejek i rozmasowała mu nogi od kostek po uda, uciskając mięśnie aż do piekącego bólu. Była istotą urodziwą i milkliwą - takie połączenie cech pasowało do anakimów, zwłaszcza płci żeńskiej, które Percival uważał za nadzwyczaj głupie. Przyglądał się, jak krótkie, grube palce służącej wędrują po jego nogach w górę i w dół. Pieczenie mięśni dopełniało koszmarny ból głowy. Zmęczony, na granicy delirium, zamknął oczy i usiłował zasnąć.

Początek jego choroby pozostawał tajemnicą nawet dla najbardziej doświadczonych lekarzy. Percival opłacił najlepszy zespół medyczny, sprowadził do Nowego Jorku lekarzy ze Szwajcarii, Szwecji i Japonii, ale nie dowiedział się od nich niczego ponad to, co sam już wiedział: pokolenie europejskich nefilimów toczy złośliwa infekcja wirusowa, która atakuje układ nerwowy i oddechowy. Specjaliści zalecili rozmaite zabiegi, które miały zaleczyć skrzydła i rozluźnić mięśnie, aby ułatwić choremu oddychanie i chodzenie. Codzienne masaże były jednym z przyjemniejszych elementów terapii. Percival wielokrotnie w ciągu dnia przyzywał służącą - rozmasowywała mu nogi, a przy okazji donosiła szkocką i środki uspokajające. Był niemal uzależniony od jej stałej obecności.

W normalnych okolicznościach nie wpuściłby tej marnej istoty do swoich prywatnych pokoi - przez setki lat, zanim zachorował, nigdy na to nie pozwalał - ale w ostatnim roku ból stał się tak nieznośny, a mięśnie tak napięte, że nogi zaczęły mu się nienaturalnie wykrzywiać. Anakimka rozciągała je, rozluźniała ścięgna, po czym nacierała skórę olejkiem, przerywając masaż tylko wówczas, gdy gwałtownie uskakiwał. Przyglądał się jej ciemnym palcom wciśniętym w jego bladą skórę. Przynosiła mu ukojenie i za to był jej wdzięczny. Matka zupełnie się od niego odsunęła, traktowała jak inwalidę, a Otterley zniknęła, żeby wykonać obowiązki, którym on sam nie mógł podolać. Do pomocy miał tylko służącą.

Odprężył się, zapadł w lekki sen. Przez krótką, ulotną chwilę wspomniawszy wczorajszy rozkoszny, nocny spacer. Kiedy kobieta wyzionęła ducha, zamknął jej powieki i wpatrywał się w nią, muskając palcami jej policzki. Śmierć zabarwiła jej skórę na alabastrowo. Zachwycony Percival zobaczył w dziewczynie Gabriellę Levi-Franche o czarnych włosach i kredowo-białej karnacji. Przez chwilę znów ją miał.

W ulotnym stanie między jawą a snem Gabriella ukazała mu się pod postacią jaśniejącego posłańca. Powiedziała, żeby do niej wrócił, że wszystko zostało wybaczone, że zaczną tam, gdzie skończyli. Mówiła, że go kocha - tych słów nie słyszał nigdy w życiu: ani od nefilima, ani od człowieka. Przywidzenie przepełniło go bólem, musiał mówić przez sen - kiedy raptownie się ocknął, anakimka wpatrywała się w niego pilnie, a jej wielkie, żółte oczy lśniły od łez, jakby zrozumiała powód jego cierpienia. Dotykała go delikatnie i czule do niego przemawiała.

Percival wiedział, że mu współczuje, ale świadomość, że dzieliła z nim chwilę takiej intymności, rozłościła go do tego stopnia, że natychmiast bestię odprawił. Pokornie pokiwała głową, zakręciła flakon z olejkiem, zebrała jego brudne ubrania i wyszła, zamykając go w kokonie ciemności i rozpacz. Leżał, nie mogąc zasnąć, na skórze czuł palący dotyk służącej.

Niebawem wróciła ze szklanką szkockiej na lakierowanej tacy.

- Przyszła pana siostra. Jeśli pan sobie życzy, powiem, że pan śpi.
- Nic z tego. Przecież widzę, że nie śpi. - Otterley minęła anakimkę i usiadła obok Percivala. Odprawiła służącą skinieniem. Odkręciła flakon, wylała odrobinę olejku na rękę. - Odwróć się - rozkazała.

Percival usłuchał siostry, położył się na brzuchu. Kiedy masowała mu plecy, zaczął się zastanawiać, co z nią będzie - i z całą ich rodziną - kiedy jego strawi choroba. W Percivalu pokładano niegdyś ogromne nadzieje; jego majestatyczne, samcze, złote skrzydła były obietnicą, że któregoś dnia przejmie władzę, przewyższy sprytem przodków ojca, a czystością rasy - arystokratycznych antenatów matki. Tymczasem okazał się pozbawionym skrzydeł, słabowitym rozczarowaniem. Kiedyś wyobrażał sobie siebie w roli zacnego patriarchy, ojca niezliczonej gromadki nefilimów. Jego synowie odziedziczyliby po babce kolorowe skrzydła, które stałyby się chlubą rodu Grigorich. Córki byłyby czystej krwi anielicami, jasnowidzącymi, lojalnymi istotami wykształconymi w sztukach niebiańskich. Teraz Percival był u kresu życia i nie miał nic. Karciał się za to, że okazał się głupcem, który strawił setki lat w pogoni za przyjemnościami.

Nie mógł znieść myśli, że rodzina była w równym stopniu rozczarowana Otterley. O ile on nie przeobraził się w potężnego anioła, którego tak chciała widzieć w nim matka, o tyle jego siostra nie dała rodzinie Grigorich potomka. Przejawiała ponadto niepojętą krnąbrność - w ogóle nie chciała pokazywać skrzydeł, a to uwłaczało nefilimowej godności.

- Powiedz, że masz dobre wieści. - Percival wił się, kiedy Otterley masowała delikatną, żywą skórę wokół resztek skrzydeł. - Odzyskałaś mapę, zabiłaś Verlaine'a i po kłopotcie.

- Kochany bracie - Otterley pochyliła się nad Percivalem, żeby wy-masować mu ramiona - naprawdę nieźle nabroiłeś. Po pierwsze, zatrudniłeś angelologa.

- W żadnym razie. To zwykły człowiek - zaprzeczył Percival.

- Potem oddałaś mu mapę.

- Szkice architektoniczne - poprawił siostrę Percival.

- Na dodatek wyszedłeś w środku nocy i teraz ledwie żyjesz. - Otterley pogłaskała przegniłe resztki skrzydeł brata.

Ogarnęła go rozkosz, ale miał ochotę odtrącić jej rękę.

- Tak ci się tylko wydaje.

- Matka wie, że wyszedłeś. Mówiła, że bym miała cię na oku. A gdybyś tak upadł na ulicy? Co byś powiedział lekarzom z Lenox Hill?

- Powiedz matce, że nie ma powodów do obaw.

- Niestety, są - odparła Otterley, wycierając ręce w ręcznik. - Verlaine

nadal żyje.

- Myślałem, że wysłałaś do jego mieszkania gibborimów.

- Owszem. Ale potem wypadki potoczyły się dość niespodziewanie. Wczoraj martwiliśmy się tylko tym, że Verlaine zbiegł z informacjami. Dziś wiemy, że jest znacznie bardziej niebezpieczny.

Percival usiadł, zwrócił się twarzą do siostry.

- Jakim cudem może być niebezpieczny? Nasi anakimowie są groźniejsi!

- Współpracuje z Gabriella Levi-Franche Valko - wyjaśniła Otterley, z pasją wymawiając każde słowo. - Najwyraźniej jest jednym z nich. Na darmo ukrywaliśmy się przed angelologami. Wstawaj. - Rzuciła Percivalowi uprząż. - Ubierz się. Idziesz ze mną.

## **Kaplica Adoracji, kościół Matki Bożej Anielskiej, Milton, stan Nowy Jork**

Ewangelina zanurzyła palec w wodzie święconej, przeżegnała się i pobiegła główną nawą kościoła Matki Bożej Anielskiej. Zanim weszła do cichej kaplicy, miejsca kontemplacji, dostała zadyszki. Nigdy wcześniej nie przeoczyła modlitwy - było to niewyobrażalne wykroczenie, nie sądziła, że kiedykolwiek je popełni. Nie mogła uwierzyć, że oto staje się kimś innym. Wczoraj okłamała przełożoną. Dziś pominęła dyżur adoracyjny. Filomena musiała być zdumiona. Ewangelina wsunęła się na ławkę niedaleko sióstr Mercedes i Magdaleny, partnerek modlących się między siódmą a ósmą rano, w nadziei, że jej obecność ich nie rozproszy. Zamknęła oczy, żeby się pomodlić. Z jej twarzy nie schodził rumieniec wstydu.

Nie mogła skupić się na modlitwie. Otworzyła oczy i rozejrzała się po kaplicy, uważnie zbadała wzrokiem monstrancję, ołtarz, koronkę w ręku siostry Magdaleny. Jak nigdy kłuły ją w oczy witraże z wyobrażeniami anielskich hierarchii, jakby dopiero teraz się tu pojawiły. Wprawiały ją w zdumienie ich rozmiar i złożoność, nie mogła się nadziwić zbyt kolorowym, jaskrawym barwom szklanych wizerunków. Podświetlały je małe halogeny - wiązki światła zastygłe niczym w modlitewnym skupieniu. Dziewczyna odnajdywała ginące wśród harf, fletów i trąbek postaci aniołów; rozproszone instrumenty wyglądały jak złoty pył na niebieskich i czerwonych szkiełkach. To właśnie tu znajdował się wizerunek wygrawerowany na pieczęci, którą pokazał jej Verlaine. Ewangelinie przypominały się karty od Gabrielli ozdobione pięknymi szkicami. Jak to możliwe, że codziennie oglądała witraże, nie pojmując ich znaczenia? Pod jednym z nich wyryto w kamieniu werset:

Gdy ma on swego anioła, obrońcę jednego z tysiąca, co mu wyjaśni powinność; zlituje się nad nim i prosi: Uwolnij od zejścia do grobu, za niego okup znalazłem.

Hi 33,23-24\*<sup>31</sup>

Ewangelina czytała te słowa codziennie od tak wielu lat i przez cały ten czas wydawały jej się nieodgadniona zagadką. Zapamiętane zdanie pełzło przez myśli, śliskie i nieuchwytnie, drążyło umysł i nie dawało się złapać. Teraz słowa „obrońca”, „grób” i

<sup>31</sup> Biblia Tysiąclecia.

„okup” wreszcie zyskały znaczenie. Celestyna miała rację: wystarczyło otworzyć oczy, żeby wszędzie wokół dojrzeć żywą angelologię.

Zdumiewało ją, jak wiele zataiły przed nią siostry. Przypomniała sobie rozmowę telefoniczną z Gabriella i przez chwilę zastanawiała się, czy nie spakować rzeczy i nie wyjechać do Nowego Jorku. Może babka pomogłaby jej to wszystko zrozumieć. Aż do wczoraj czuła się trwale związana z klasztorem; dziś tę więź osłabiła dopiero co pozyskana wiedza.

Dotyk czyjejś ręki na ramieniu wyrwał ją z zadumy. Filomena skinęła, by dziewczyna za nią poszła. Ewangelina posłusznie wyszła z kaplicy. Miotły nią wstyd i gniew. Zakonnice miały przed nią tyle tajemnic, jak mogła im ufać?

- Chodź, siostró - powiedziała Filomena na korytarzu.

Nawet jeśli nieobecność młodej mniszki na modlitwie ją rozżłościła, to jej twarz nie zdradzała gniewu. Z niewiadomych przyczyn staruszka wydawała się dziś łagodna w obejściu i zrezygnowana, jakby nocą dokonała się w niej jakaś zasadnicza przemiana. A jednak coś w zachowaniu Filomeny wydawało się nieszczerze. Ewangelina nie wierzyła w jej pozę, choć nie umiała powiedzieć dlaczego. Przeszły głównym korytarzem, minęły zdjęcia wybitnych matek i sióstr i obraz świętej Róży z Viterbo, zatrzymały się przed znajomymi drzwiami. Oczywiście Filomena zaprowadziła dziewczynę do biblioteki - tam mogły porozmawiać na osobności. Staruszka otworzyła drzwi, Ewangelina weszła do mrocznego pomieszczenia.

- Siadaj, dziecko, siadaj - poprosiła Filomena, wskazując zieloną, welurową kanapę naprzeciwko kominka.

Wskutek źle zainstalowanych przewodów kominowych w bibliotece panował wieczny ziąb. Filomena podeszła do stołu obok wejścia do swojego gabinetu i włączyła czajnik elektryczny. Poczekwała, aż woda się zagotuje, i przelała ją do porcelanowego dzbanka.

Postawiła na tacy dwie filiżanki parującej herbaty i podeszła do niskiego stolika obok kanapy. Przystawiła sobie drewniane krzesło, otworzyła metalową puszkę z ciastkami i poczęstowała Ewangelinę świętecznymi wypiekami klarysek - maślanymi ciasteczkami, które siostry zagniatyły, piekły, ozdabiały lukrem i sprzedawały podczas dorocznego kiermaszu bożonarodzeniowego.

Od zapachu czarnej herbaty z nutą suszonej moreli Ewangelina dostała mdłości.

- Nie czuję się najlepiej - powiedziała zamiast przeprosin.

- Nie było cię wczoraj na kolacji ani dziś na modlitwie - podsumowała Filomena, sięgając po ciasteczko w kształcie choinki, ozdobione zielonym lukrem. Dolała z dzbanka herbaty. - Wcale mnie to nie dziwi. Rozmowa z Celestyną była ciężką próbą, prawda? - Filomena wyprostowała się, trzymała filiżankę bez ruchu ponad spodeczkiem.

Ewangelina była ciekawa, czy jej przełożona od razu przejdzie do rzeczy.

- Tak - odparła. Właściwie czekała, aż staruszka na powrót przyjmie swoją zwykłą zaaferowaną i surową pozę.

Filomena mlasnęła.

- Przeczytałam, że kiedyś się dowiesz o swoim pochodzeniu. Nie miałam pojęcia jak, ale wiedziałam, że nie da się uciec od przeszłości, nawet w tak zamkniętej wspólnoty jak nasza. W mojej skromnej opinii - ciągnęła, kończąc ciasteczko i sięgając po następne - milczenie musiało być dla Celestyny koszmarem. Jak zresztą dla nas wszystkich - nie mogliśmy nic zrobić w obliczu grożącego nam niebezpieczeństwa.

- Wiedziała siostra, że Celestyna uprawiała... - wymamrotała Ewangelina, usiłując znaleźć stosowne słowa, aby opisać angelologię. Nie mogła pozbyć się nieznośnego poczucia, że najprawdopodobniej była jedyną klaryską, która o niczym nie wiedziała. - Tę dyscyplinę?

- Naturalnie - przytaknęła Filomena. - Wszystkie siostry wiedzą. Dla zakonnic z mojego pokolenia studia nad aniołami były chlebem powszednim: Księga Rodzaju 28,12-17, Ezechiela 1,1-14, Ewangelia według św. Łukasza 1,26-38. Mój Boże, żyłyśmy aniołami rano, we dnie i w nocy! - Filomena usadowiła się wygodniej, krzesło stęknęło. Mówiła dalej: - Jednego dnia studiowałam materiał zalecany przez europejskich angelologów, naszych odwiecznych mentorów, a następnego klasztor został niemal doszczętnie zniszczony. Wydawało się, że wszystko poszło na marne - nauka i nasze wysiłki, żeby uwolnić świat od zarazy nefilimów. Z dnia na dzień zostałyśmy zwykłymi zakonnicami, a naszym jedynym obowiązkiem była modlitwa. Możesz mi wierzyć, że za wszelką cenę próbowałam przywrócić stare zwyczaje, chciałam ogłosić, że nadal walczymy. Kto uważa, że to zbyt niebezpieczne, jest głupcem i tchórzem.

- Jak to? - spytała Ewangelina.

- Pożar w czterdziestym czwartym nie wybuchł przypadkiem - odparła Filomena, zwięzając oczy. - To był atak. Nie zachowałyśmy ostrożności. Nie podejrzewałyśmy, że w Ameryce te bestie okażą się tak krwiożercze. Nefilimowie odkryli większość kryjówek angelologów w Europie, może nawet wszystkie, a nam wydawało się, że w Stanach jest nadal bezpiecznie. Przykro mi to mówić, ale zagrożenie ściągnęła na nas Celestyna - ataki zaczęły się zaraz po jej przybyciu. I nie myśl sobie, że tylko na nasz klasztor. W ciągu zaledwie jednego roku nefilimowie zaatakowali blisko sto amerykańskich klasztorów, zsynchronizowali wysiłki, za wszelką cenę chcieli się dowiedzieć, która z nas ma to, czego pragną.

- Ale po co to wszystko?

- Celem była oczywiście Celestyna - ciągnęła Filomena. - Wróg dobrze ją znał, choć nie z nazwiska. Dotarła do nas schorowana i wynędzniała, ledwie uszła z życiem. Dostarczyła matce Innocencie przesyłkę, którą miałyśmy zabezpieczyć tu, na miejscu. Przywiozła coś, co oni bardzo chcieli mieć. Wiedzieli, że łączniczka ukryła się w Stanach, ale niewiedzieli gdzie.

- To wszystko odbyło się za wiedzą matki Innocenty?

- Oczywiście - potwierdziła Filomena, jednocześnie ze zdziwieniem unosząc brwi, choć nie wiadomo było, czy z powodu matki Innocenty, czy zadanego jej pytania. - Innocenta była jednym z najważniejszych amerykańskich naukowców w swoich czasach. Pobierała nauki u matki Antonii, uczennicy matki Klary, naszej najukochańszej ksiieni - ją z kolei nauczała sama matka Franciszka, która, ku chwale naszego narodu, przybyła do Miltonu prosto z Europejskiego Towarzystwa Angelologicznego, żeby otworzyć amerykańską filię. Klasztor Świętej Róży był fundamentem Amerykańskiego Projektu Angelologicznego - wielkiego przedsięwzięcia, o wiele ambitniejszego od tego, w którym uczestniczyła Celestine Clochette w Europie przed wyjazdem na drugą

wyprawę. Filomena mówiła bardzo szybko. Zamilkła na chwilę, żeby złapać oddech. - Prawda jest taka - ciągnęła z rozmysłem - że gdyby matka Innocenta nie zginęła z rąk nefilimów, nigdy, przenigdy nie zrezygnowałaby z walki.

- Myślałam, że zginęła w pożarze - powiedziała Ewangelina.

- Tak brzmi wersja oficjalna, ale prawda jest zupełnie inna. - Skóra Filomeny nabrała rumieńców, po czym nagle zbladła, jakby samo rozprawianie na ten temat paliło ją niewidzialnym, żywym płomieniem. -

Kiedy wybuchł pożar, byłam w kościele Matki Bożej Anielskiej, stałam na balkonie. Czyściłam piszczałki organów Casavanta koszmarne prace! Tysiąc czterysta dwadzieścia dwie piszczałki, dwadzieścia gałek registra i trzydzieści traktur - samo odkurzenie to była orka, a tymczasem matka Innocenta dodatkowo kazała mi dwa razy w roku polerować brąz! Wyobrażasz sobie?! To musiała być jakaś kara, choć zupełnie nie przypominam sobie, czym mogłam ją rozgniewać.

Ewangelina doskonale wiedziała, że wspominając przebieg tamtych wydarzeń, Filomena może wpaść w bezbrzeżną rozpacz, ale zamiast jej przerwać, na co miała ochotę, złożyła ręce na kolanach i postanowiła wysłuchać staruszki, aby w ten sposób odpokutować nieobecność na adoracji.

- Na pewno nic takiego siostra nie zrobiła - pocieszyła staruszkę.

- Dobięło mnie jakieś dziwne poruszenie - ciągnęła Filomena, do czego zresztą nie potrzebowała zachęty słuchaczki - więc podeszłam do wielkiej rozety na tyłach chóru. Gdybyś czyściła organy albo śpiewała w chórze, to wiedziałabyś, że rozeta znajduje się bezpośrednio nad głównym dziedzińcem. Tamtego ranka stały tam setki sióstr. Po chwili zauważyłam dym i płomienie - czwarte piętro stało w ogniu. Widziałam, co się dzieje wyżej, ale balkon zasłaniał widok na dół. Później dowiedziałam się, że straty były ogromne. Wszystko spłonęło.

- To straszne - wyszeptała Ewangelina, całą mocą tłumiąc potrzebę zapytania, jakim cudem pożar miałby być dziełem nefilimów.

- O, tak - przytaknęła Filomena - ale to jeszcze nie koniec. Matka Perpetua zabroniła mi o tym mówić, ale nie mogę dłużej milczeć. Siostra Innocenta została zamordowana. Słyszysz? Zamordowana!

- Jak to? - Ewangelina próbowała pojąć powagę oskarżenia Filomeny. Zaledwie przed kilkoma godzinami dowiedziała się, że nefilimowie zamordowali jej matkę, a na dodatek teraz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wybierając na jej schronienie Świętą Różę, ojciec postąpił wyjątkowo pochopnie.

- Z chóru usłyszałam, jak trzasnęły drewniane drzwi. Po kilku sekundach zobaczyłam w dole matkę Innocentę. Szła spieszenie główną nawą, a za nią siostry - dwie nowicjuszki i dwie mniszki. Myślałam, że idą do kaplicy Adoracji, może chcą się pomodlić. To by pasowało do Innocenty: dla niej modlitwa była nie tylko wyrazem pobożności i rytuałem, ale rozwiązaniem wszystkich niedoskonałości świata. Tak bardzo wierzyła w siłę modlitwy, że sądziła pewnie, iż za jej pomocą ugasi pożar. - Filomena westchnęła, zdjęła okulary i wytarła je sztywną, białą chusteczką. Z powrotem je założyła, posłała Ewangelinie surowe spojrzenie, jakby chciała sprawdzić, czy młoda mniszka wierzy jej słowom, po czym podjęła opowieść. - Nagle z naw bocznych wyłoniły się dwie potężne postacie - niebywałego wzrostu, kościste, z bladymi dłońmi i twarzami rozpalonymi ogniem. Nawet z daleka ich włosy i skóra lśniły łagodną poświatą. Ci mężczyźni mieli wielkie, niebieskie, kocie oczy, wysokie kości policzkowe i pełne, różowe usta. Kędziory wiły się wokół ich twarzy i opadały na szerokie bary. W spodniach i płaszczach przeciwdeszczowych niczym nie różnili się od eleganckich dżentelmenów, bankierów czy prawników. Domyślałam się, że nie są to bracia ze Świętego Krzyża, bo tamci nosili brązowe habity i mieli tonsury, ale poza tym nie miałam pojęcia, kim są. Dziś wiem, że to byli gibborimowie, przedstawiciele wojowniczej kasty nefilimów. Są brutalni, żądni krwi i pozbawieni uczuć. Ich rodowód - ze strony anielskiej oczywiście - sięga wielkiego wojownika Michała. To dla nich zbyt szacowne pochodzenie, ale właśnie ono wyjaśnia ich zadziwiające piękno. Ich uroda jest tylko potworną manifestacją zła, zimnym, diabelskim czarem, który wykorzystują, by tym łatwiej krzywdzić innych. Są fizycznie doskonali, ale ta doskonałość nie ma nic wspólnego z Bogiem - jest pusta, bezduszna. Zapewne takie samo piękno Ewa dostrzegła w wężu. Na ich widok wpadłam w jakiś nienaturalny stan. Byłam zupełnie zaskoczona. - Filomena znów wyjęła bawełnianą chustkę z kieszeni, rozłożyła ją i otarła pot z czoła. - Z chóru widziałam wszystko bardzo wyraźnie. Gibborimowie wyszli z cienia w cudowną jasność nawy. Słońce rozświetlało witraże jak zwykle w południe, a plamy barw opadały na białą, marmurową podłogę i oświetlały ich twarze. Matka Innocenta aż się zachłysnęła na ich widok. Podparła się o ławkę i spytała, czego chcą. Z jej tonu wynikało, że ich rozpoznała. Może nawet się ich spodziewała.

- Nie mogła - oponowała Ewangelina poruszona do głębi tym, że w koszmarnym rozwoju wypadków Filomena dopatruje się zrzędzenia opatrności. - Ostrzegłaby pozostałe siostry.

- Tego nie wiemy - powiedziała Filomena, raz jeszcze otarła czoło i zmięta zabrudzoną chustkę w dłoni. - Zanim zrozumiałam, co się dzieje, te potwory zaatakowały moje ukochane siostry. Wbiły w nie wzrok, wyglądało to tak, jakby rzuciły urok. Mniszki wpatrywały się w nie jak zahipnotyzowane. Jeden z potworów dotknął matki Innocenty, a ją jakby raził grom. Upadła na podłogę i wijąc się w konwulsjach, wyzionęła ducha. Te bestie czerpały przyjemność z zabijania. Mord dodawał im siłę, pobudzał je. Ciało matki Innocenty było nie do poznania.

- Jak to możliwe? - spytała Ewangelina, której przyszło na myśl, że ten sam makabryczny los mógł spotkać jej matkę.

- Nie wiem, byłam przerażona, zasłoniłam oczy - odparła Filomena. - Kiedy po raz ostatni wyjrzałam zza balustrady, sześć sióstr leżało martwych na podłodze. Zanim zbiegłam z chóru - a nie zajęło mi to więcej niż piętnaście sekund - potworów już nie było. Ciała sióstr leżały zbezczeszczone - wyschnięte na wiór, jakby ktoś odessał z nich wszystkie płyny, ze spalonymi włosami, pomarszczoną skórą. To, moje dziecko, był atak nefilimów na klasztor Świętej Róży. A my zaraz potem zaprzestałyśmy walki. Nigdy się z tym nie pogodziłam. Matka Innocenta, niech Bóg ma ją w swojej opiece, nie spoczęłaby, dopóki śmierć sióstr nie zostałaby pomszczona.

- W takim razie czemu przerwałyśmy walkę?

- Żeby uwierzyli, że jesteśmy zwykłym zgromadzeniem - wyjaśniła Filomena. - Uznali, że jesteśmy niegroźne, i zaprzestali poszukiwań przedmiotu, który miałyśmy pod swoją pieczę.

- Ale już go nie mamy. Abigail Rockefeller zabrała tajemnicę jego lokalizacji do grobu.

- Naprawdę w to wierzysz, moja droga? Po tym wszystkim, co przed tobą zatajono? Po wszystkim, co zatajono przede mną? Celestine Clochette nakłoniła matkę Perpetuę do bierności. Odnalezienie liry nie leży w jej interesie. Ale ja daję głowę, że Celestyna dobrze wie, gdzie ona jest. Pomóż mi ją odnaleźć, a wtedy raz na zawsze uwolnimy świat od tych bestii.

Przez okna zajrzało słońce, opadło na nogi Ewangeliny, rozlało się przy kominku. Dziewczyna zamknęła oczy. Rozważała szczegóły opowieści Filomeny przez pryzmat wszystkiego, o czym dowiedziała się poprzedniego dnia.

- Dopiero teraz dowiedziałam się, że te bestie zamordowały mi matkę - wyszeptwała. Wyciągnęła z kieszeni listy Gabrielli. Nie zdążyła ich podać Filomenie. Staruszka wyrwała jej pisma z ręki.

Czytała je chciwie. Wreszcie, przeczytawszy ostatni, powiedziała:

- To nie koniec. Gdzie reszta?

Ewangelina sięgnęła po tegoroczną kartkę, którą odszukała wśród porannej poczty. Zaczęła czytać słowa babki:

Wyjawiłam Ci wiele szczegółów straszliwych wydarzeń z przeszłości, powiedziałam nieco o grożącym Ci niebezpieczeństwie, ale tylko krótko wspomniałam o Twojej przyszłej roli w naszej pracy. Nie wiem, kiedy te informacje Ci się przydadzą - być może dożyjesz końca swoich dni, praktykując w spokoju kontemplację i wiernie kontynuując służbę w Świętej Róży. Może się jednak okazać, że będziesz musiała wypełnić ważniejszy cel. Nie bez powodu ojciec wybrał na Twój dom klasztor Świętej Róży - dzięki temu dziś zapoznasz się z tradycją angelologiczną, fundamentem naszej pracy od ponad tysiąca lat.

Matka Franciszka, ksieni i założycielka klasztoru, w którym mieszkasz i dorastasz od trzynastu lat, wybudowała Świętą Różę dzięki wierze i ciężkiej pracy. Każdą salę i klatkę schodową zaprojektowała stosownie do potrzeb amerykańskich angelologów. Kaplica Adoracji jest jej największym dziełem, zdobnym hołdem dla aniołów, które tak pilnie badamy. Każdy złoty element naniesiono ku ich chwale, każde szkiełko witraża umocowano jako wyraz czci dla nich. Nie wiesz zapewne, że w samym sercu kaplicy kryje się niewielki przedmiot o nadzwyczajnej wartości duchowej i historycznej.

- To wszystko - stwierdziła Ewangelina - na tym list się kończy.

- Wiedziałam! Lira jest u nas! Chodź, dziecko, musimy podzielić się tą cudowną wieścią z matką Perpetuą!

- Przecież lirę ukryła w czterdziestym czwartym Abigail Rockefeller! - Ewangelina nie mogła nadążyć za tokiem myślenia Filomeny. -W liście nie ma żadnej wskazówki.

- Niczego nie można być pewnym - odparła Filomena, wstała i ruszyła w stronę drzwi. - Szybko, musimy od razu pomówić z matką Perpetuą. W kaplicy Adoracji coś jest, coś, co może nam się przydać.

- Niech siostra zaczeka - głos Ewangeliny łamał się na myśl o tym, co powie za chwilę. - Jest coś jeszcze.

- Mów, dziecko - Filomena przystanęła w drzwiach.

- Mimo ostrzeżeń siostry wczoraj po południu wpuściłam kogoś do biblioteki. To był ten mężczyzna, który dopytywał o matkę Innocentę. Zamiast go wyrzucić, jak siostra kazała, dałam mu do przeczytania list Abigail Rockefeller, który udało mi się znaleźć.

- List pani Rockefeller?! Pięćdziesiąt lat go szukałam! Masz go tu? Ewangelina podała list. Filomena wyrwała jej pismo z ręki.

Czytała

prędko, z rosnącym rozczarowaniem. Wcisnęła je z powrotem dziewczynie do ręki, mówiąc:

- Nie ma tu ani jednej przydatnej informacji.

- On był zupełnie innego zdania - oznajmiła Ewangelina, zastanawiając się, czy widać po niej, jakie uczucia budzi w niej Verlaine.

- Co takiego powiedział ów dżentelmen?

- Był bardzo podekscytowany. Jest przekonany, że list może doprowadzić do rozwikłania tajemnicy.

Filomena miała oczy jak spodki.

- Czy wyjawil powód swoich zainteresowań?

- Jestem pewna, że on sam działa z niewinnych pobudek, ale - i to jest właśnie rzecz, o której muszę siostrze powiedzieć - dowiedziałam się, że jego mocodawca jest jednym z tych, którzy chcą nas zgładzić. -Ewangelina przygryzła wargę, niepewna, czy będzie mogła wymówić to nazwisko. - Verlaine pracuje dla Percivala Grigoriego.

Filomena wstała, zrzuciła filiżankę na podłogę.

- O, matko! - krzyknęła, przerażona. - Czemu nas nie ostrzegłaś?

- Niech mi siostra wybaczy. Sama dopiero się dowiedziałam.

- Czy ty rozumiesz, w jakim jesteśmy niebezpieczeństwie? Trzeba zawiadomić matkę Perpetuę. Popelniliśmy kardynalny błąd.

Wróg urósł w siłę. Co innego dążyć do pokoju, a co innego udawać, że nie ma wojny.

Mówiąc to, staruszka złożyła kartki i wyszła z biblioteki, zostawiając Ewangelinę nad puszką ciastek. Filomenę najwyraźniej prześladowała obsesja zemsty za wydarzenia z czterdziestego czwartego roku. Zareagowała fanatycznie, jakby czekała na te informacje od wielu lat. Ewangelina zrozumiała, że źle zrobiła, opowiadając o wszystkim i pokazując listy babki kobiecie, którą zawsze uważała za nie zrównoważoną. Rozpaczliwie zastanawiała się, co robić. Nagle przypomniała sobie słowa Celestyny: „Przeczytaj listy i przyjdź do mnie jeszcze”. Poderwała się i pędem ruszyła do celi staruszki.

## Times Square, Manhattan, Nowy Jork

Jechali przez miasto w godzinach szczytu, kierowca zatrzymał się na rogu 42. ulicy i Broadwayu. Wokół komisariatu nowojorskiej policji, gdzie trwały przygotowania do milenijnego balu sylwestrowego, ruch uliczny był zupełnie sparaliżowany. Pośród tłumu urzędników spieszących do pracy policjanci spawali włazy i ustawiali punkty kontrolne. Skoro tylu turystów zjechało tu na święta, to sylwester będzie najprawdziwszym koszmarem, pomyślał Verlaine.

Gabriella poprosiła kierowcę, żeby się zatrzymał, i kazała Verlaine'owi wysiąść. Nagle znaleźli się w ulicznym tłumie, w chaosie świateł, migocących billboardów, niestrudzonego potoku pieszych. Verlaine mocno trzymał torbę z cenną zawartością. Po tym, co się stało w jego mieszkaniu, nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest pod stałą obserwacją, każdy przechodzień wydawał mu się podejrzany, za każdym rogiem spodziewał się zwiadowców Percivala Grigoriego. Zerknął przez ramię, ale zobaczył tylko morze ludzi.

Gabriella szła szybko, lawirowała w tłumie tak zręcznie, że Verlaine z trudem za nią nadążał. Dopiero w otoczeniu masy ludzi zauważył, jak jego towarzyszka doskonale wygląda. Była drobną kobietą, miała niespełna pięć stóp wzrostu, wyraziste rysy i była nadzwyczaj szczupła. Ubrana była w dopasowany czarny płaszcz w stylu edwardiańskim: obcisły, szyty na miarę, z czarnego jedwabiu, zapinany na rząd maleńkich obsydianowych guziczków. Okrycie tak ściśle przylegało do ciała, jakby uszyto je z myślą o zakładaniu go na gorset. Gabriella o kredowobiałej, pokrytej cieniutkimi zmarszczkami cerze starszej kobiety musiała być po siedemdziesiątce, ale emanowała nadzwyczajną młodością. Miała doskonale uczesane, czarne włosy, szła prosta jak struna, miarowym krokiem. Przemieszczała się szybko, jakby ponaglała Verlaine'a.

- Zastanawia się pan pewnie, co robimy w tym dzikim tłumie - powiedziała, wskazując na ludzi. Nadal mówiła z tym samym spokojem co przez telefon. Jej ton jednocześnie dziwił i koił Verlaine'a. - Times Square tuż przed świętami to nie najlepsze miejsce na beztrudny spacer.

- Zwykle go unikam - Verlaine rozejrzał się po nasyconych neonami sklepowych witrynach, popatrzył na wielki ekran, na który wiadomości spływały szybciej, niż mógł je odczytać. - Nie byłem tu prawie rok.

- Kiedy robi się niebezpiecznie, najlepiej szukać schronienia w tłumie - tłumaczyła Gabriella. - Nie chcemy zwracać na siebie uwagi, a poza tym nigdy dość ostrożności.

Minęli kilka przecznic. Gabriella zwolniła i poprowadziła Verlaine'a do Bryant Parku, w którym lodowisko i świąteczny kiermasz tonęły w dekoracjach i śmiechu. Spod świeżej warstwy śniegu wylaniał się wizerunek idealnych nowojorskich świąt, coś jak jeden z obrazów Normana Rockwella, które tak irytowały Verlaine'a. Podeszli do masywnego budynku nowojorskiej biblioteki publicznej. Tam Gabriella znów przystanęła, zerknęła przez ramię i przeszła na drugą stronę jezdni.

- Chodźmy - szepnęła, podchodząc do czarnego samochodu zaparkowanego niezgodnie z przepisami przed jednym z posągów lwów przy wejściu do biblioteki. Miał nowojorski numer rejestracyjny: ANGEL27. Na widok Gabrielli i Verlaine'a kierowca uruchomił silnik.

- Podwiezie nas - objaśniła Gabriella.

Skręcili w prawo, w 39. ulicę, potem wjechali w 6. Aleję. Zatrzymali się na światłach, Verlaine rozejrzał się za czarnym mercedesem. Nikt ich nie śledził. Verlaine poczuł się mały na myśl o tym, że przy Gabrielli czuje się bezpiecznie. Znał ją raptem od czterdziestu pięciu minut. Siedziała obok i niewzruszona wyglądała przez okno, jakby kluczenie po Manhattanie o dziewiątej rano, żeby zgubić ogon, było czymś najnormalniejszym w świecie.

Kierowca zatrzymał się na Columbus Circle, Gabriella i Verlaine wysiedli. Od strony Central Parku dosięgały ich mroźne poddmuchy wiatru. Gabriella szła szybkim krokiem, rozglądała się po samochodach i wypatrywała czegoś na rondzie, niemal tracąc swój niewzruszony spokój.

- Gdzie oni są? - wymamrotała.

Skręciła, minęła kiosk i weszła w cień zachodniej części parku. Minęła kilka przecznic, weszła w ciemną ulicę, przystanęła i się rozejrzała.

- Spóźniają się - stwierdziła.

Właśnie wtedy zza zakrętu wyjechał stary porsche i zatrzymał się z piskiem opon. Był biały jak skorupka jaja i lśnił w bladym świetle poranka. Verlaine ze zdumieniem odczytał tablicę rejestracyjną: ANGELI.

Z fotela kierowcy wychyliła się młoda kobieta.

- Przepraszam, doktor Gabriello - powiedziała, wciskając w dłoń Gabrielli pęk kluczyków, po czym szybko odeszła.

- Wskakuj - rzuciła Gabriella, wskazując Verlaine'owi fotel pasażera. Verlaine usłuchał, wcisnął się do maleńkiego samochodu i trzasnął

drzwiami. Deska rozdzielcza była wykonana z imitacji skorupy żółwia, pokrycie kierownicy - ze skóry. Verlaine poprawił się w ciasnym fotelu, przesunął torbę, żeby sięgnąć po pas, ale pasów nie było.

- Fajny wózek - skomentował.

Gabriella posłała mu wymowne spojrzenie i uruchomiła silnik.

- Pierwszy porsche, model 356. Pani Rockefeller kupiła ich dla Towarzystwa całkiem sporo. Niesamowite - po tylu latach nadal korzystamy ze strzępów jej pomocy.

- Luksusowych strzępów - uzupełnił Verlaine, gładząc skórzane fotele w kolorze karmelu. - Nie podejrzewałbym Abigail o zamiłowanie do sportowych samochodów.

- Jest wiele rzeczy, o które nikt by jej nie podejrzewał. - Gabriella włączyła się do ruchu, zawróciła i ruszyła na północ wzdłuż Central Parku.

Zaparkowała auto w cichej, zadrzewionej uliczce rodem z połowy lat osiemdziesiątych. Dom, do którego poprowadziła Verlaine'a, sprawiał wrażenie wciśniętego na siłę między dwa podobne budynki. Gabriella otworzyła drzwi i ręką dała Verlaine'owi znak, żeby wszedł, a jej ruchy były tak pewne, że Verlaine nawet przez chwilę się nie zastanawiał. Trzasnęła drzwiami i przekręciła zamek. Dopiero po chwili Verlaine uzmysłowił sobie, że wreszcie schowali się przed chłodem.

Gabriella oparła się o drzwi, zamknęła oczy i głęboko westchnęła. Mimo mroku widać było, że jest wyczerpana. Odgarnęła włosy z oczu drżącą ręką, którą potem położyła na sercu.

- A niech mnie - powiedziała łagodnie. - Za stara już na to jestem.

- Przepraszam, że pytam - Verlaine nie mógł okiełznać ciekawości - za stara to znaczy iluletnia?

- Dość stara, żeby budzić podejrzenia - odpowiedziała, włączając światło.

- Nie rozumiem.

- Co do mojej ludzkiej natury - odparła Gabriella, mrużąc niesamowite zielone oczy otoczone mocnym, szarym cieniem. - Niektórzy członkowie Towarzystwa uważają, że jestem jedną z tamtych. Naprawdę powinnam już przejść na emeryturę. Całe życie walczę z podejrzeniami.

Verlaine obejrzał Gabriellę od góry do dołu, od czarnych butów po czerwone usta. Chciał, żeby wszystko mu wyjaśniła, powiedziała, co właściwie się wydarzyło zeszłego wieczora, i wytłumaczyła, czemu stała na czatach pod jego blokiem.

- Szkoda czasu na moje marudzenie. - Obróciła się i weszła na wąskie, drewniane schody. - Chodźmy.

Verlaine szedł za Gabriellą po skrzypiących schodach. Na piętrze otworzyła drzwi, wpuściła go do zaciemnionego pokoju i włączyła światło. Dopiero po chwili jego oczy oswoiły się z jasnością, a wówczas zobaczył długi, wąski pokój zastawiony od podłogi aż po sufit książkami, były tam fotele pokryte grubym obiciem i lampy witrażowe - sterczały na stołach jak płochliwe ptaki.

Na ścianach w złożonych ramach wisiały obrazy - było zbyt ciemno, /(.by dostrzec, co przedstawiają. Pośrodku pokoju na krzywiźnie dachu rzucał się w oczy żółty zaciek.

Gabriella skinęła, żeby Verlaine usiadł. Podszedł do neogotyckich, kanciastych krzeseł pod oknem, położył ostrożnie torbę i usiadł na twardym meblu. Nogi krzesła zaskrzypiały pod jego ciężarem.

- Powiem to wprost - rzekła Gabriella, przysiadając na krześle obok niego - ma pan szczęście, że żyje.

- Kim oni są? I czego chcą?

- Równie szczęśliwie się składa - ciągnęła Gabriella, ignorując pytanie Verlaine'a i jego rosnące zniecierpliwienie - że uciekł pan bez szwanku. -Zerkając na jego rękę, na której rana znów zaczynała się zasklepiać, dodała: - No, prawie bez szwanku. Naprawdę ma pan wielkie szczęście. Uciekł pan z czymś, na czym bardzo im zależy.

- Rozumiem, że czekała pani pod moim blokiem kilka godzin, inaczej nie wiedziałaby pani, że mnie śledzą. Ale skąd miała pani pewność, że się włamią?

- Nie jestem jasnowidzem, ale z diabłami tak jest: wystarczy zaczekać, a na pewno się pojawią.

- To Ewangelina po panią dzwoniła? - dopytywał Verlaine, ale Gabriella milczała. Najwyraźniej nie zamierzała zdradzać żadnych sekretów. - Ciekawe, co by zrobili, gdyby mnie znaleźli.

- Zabraliby listy - odpowiedziała spokojnie Gabriella. - Zaraz potem by pana zabili.

Verlaine zastanowił się przez chwilę. Nie rozumiał, kim jest Gabriella ani czego od niego chce, ale nie wiedzieć czemu całkowicie jej ufał.

- Ale dlaczego to wszystko? Ma pani jakąś teorię? - spytał.

- Mam teorię na każdy temat. - Gabriella uśmiechnęła się po raz pierwszy od początku ich krótkiej znajomości. - Po pierwsze, podobnie jak ja są przekonani, że listy, które pan znalazł, zawierają cenne informacje. Po drugie, bardzo chcą je poznać.

- Tak bardzo, żeby zabić?

- Naturalnie. Mordowali już ze znacznie bardziej błahych powodów.

- Nic nie rozumiem. - Verlaine wziął torbę na kolana; ten obronny odruch nie uszedł uwagi Gabrielli, widać to było po błysku w jej oku. -Przecież nie czytali listów Innocenty.

Gabriella milczała. Odezwała się dopiero po chwili:

- Może pan za to ręczyć?

- Nie dałem ich Grigoriemu. Nie byłem pewien znaczenia znaleziska. Chciałem najpierw sprawdzić ich autentyczność, a dopiero potem go powiadomić. W mojej pracy weryfikacja źródeł to podstawa.

Gabriella otworzyła szufladkę niewielkiego sekretarza, wyjęła papierośnicę, włożyła papierosa do lakierowanej cygaretki i przypaliła go małą, złotą zapalniczką. Pokój wypełnił się zapachem aromatyzowanego tytoniu. Wyciągnęła papierośnicę w stronę Verlaine'a, żeby go poczęstować. Wziął papierosa. Miał ochotę poprosić jeszcze o drinka.

- Szczerze mówiąc - wydusił po dłuższej chwili - nie mam pojęcia, jak się w to wpakowałem. Zupełnie nie rozumiem, czemu ci faceci - czy kimkolwiek oni są - byli u mnie w mieszkaniu. Fakt, po przyjęciu zlecenia Grigoriego doszukałem się dziwnych informacji na jego temat, ale przecież wszyscy wiedzą, że gość jest ekscentryczny. Zastanawiałem się nawet, czy nie oszalał. Powie mi pani, co ja tutaj robię?

Gabriella przyjrzała mu się bacznie, jakby zastanawiając się nad najlepszą odpowiedzią. Wreszcie powiedziała:

- Przywiozłam pana tutaj, bo jest nam pan potrzebny.

- Nam?

- Chcemy pana prosić o pomoc w odnalezieniu pewnego cennego przedmiotu.

- Sprowadzonego z Rodopów?



Na dźwięk tych słów Gabriella zbladła. Verlaine przez chwilę triumfował - choć raz ją czymś zaskoczył.

- Wie pan o wyprawie w Rodody? - spytała, odzyskawszy równowagę.

- Abigail wspominała o niej w liście, który wczoraj pokazała mi Ewangelina. Do tej pory zakładałem, że porozumiewała się z Innocentą w sprawie pozyskania jakiegoś antyku, greckiej ceramiki czy jakiegoś trackiego dzieła. Teraz już wiem, że to nie mogły być jakieś gliniane naczynia, tylko coś znacznie cenniejszego.

- Znacznie - przytaknęła Gabriella. Dopaliła papierosa i zgasiła go w popielniczce. - Ale wartości tego przedmiotu nie szacuje się w tradycyjny sposób. Nie można przeliczyć jej na pieniądze, choć w ciągu dwóch tysięcy lat przeznaczono mnóstwo złota, żeby go odzyskać. Powiem tak: ma wartość starożytną.

- To jakiś artefakt historyczny? - dopytywał Verlaine.

- Można tak powiedzieć - odparła Gabriella, krzyżując ręce na piersiach. - Jest bardzo stary, ale nawet muzea nie byłyby w stanie go wycenić. Jest równie ważny dziś, jak był w przeszłości. Może wpłynąć na życie milionów ludzi i, co najważniejsze, może zmienić bieg przyszłości.

- To brzmi jak zagadka - przyznał Verlaine, gasząc papierosa.

- Nie będę bawiła się z panem w gierki, nie ma na to czasu. Sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana, niż się panu wydaje. Pańskie poranne przygody są skutkiem wydarzeń sprzed wieków. Nie wiem, jak został pan w to wszystko wmieszany, ale w chwili kiedy wszedł pan w posiadanie listów, znalazł się pan w samym centrum wielkiej sprawy.

- Nie rozumiem.

- Musi mi pan zaufać - powiedziała Gabriella. - Wszystko panu wyjaśnię, ale musimy dokonać wymiany. Ja dam panu wiedzę, a pan zrezygnuje ze swojej wolności. Po tym, co dziś pan usłyszy, albo pan do nas dołączy, albo będzie się musiał ukrywać. Cokolwiek pan postanowi, do końca życia będzie się pan oglądał za siebie. Kiedy pozna pan historię naszej działalności i dowie się, jak zaangażowała się w nią pani Rockefeller - co stanowi tylko maleńki fragment znacznie bardziej skomplikowanej opowieści - zostanie pan uczestnikiem dramatycznej sagi, od której nie ma ucieczki. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale kiedy pozna pan prawdę, pańskie życie nieodwracalnie się zmieni. Tego nie można cofnąć.

Verlaine patrzył na ręce, rozważając słowa Gabrielli. Miał wrażenie, jakby kazano mu zrobić krok w przepaść - wręcz zmuszano go do skoku - a jednocześnie czuł, że sam chce to zrobić. Wreszcie powiedział:

- Wierzy pani, że listy zawierają informacje o tym, co odkryto podczas wyprawy.

- Nie o tym, co odkryto, ale o tym, co ukryto - poprawiła go Gabriella. - Wyprawa w Rodopy miała na celu odnalezienie liry, ściśle mówiąc, kitary. Kiedyś, przez krótki czas, była w naszym posiadaniu, ale potem została ukryta. Naszym wrogiem - wyjątkowo zamożnej i wpływowej grupie - zależy na jej odnalezieniu równie mocno, jak nam.

- To właśnie oni włamali się do mojego domu?

- Włamywacze zostali przez nich wynajęci, tak.

- Percival Grigori należy do tej grupy?

- Tak. Zdecydowanie tak.

- A więc realizując jego zlecenie - konkludował Verlaine - pracowałem przeciwko pani.

- Mówiłam już, że pan nic dla nich nie znaczy. Percival sporo ryzykuje, pokazując się publicznie, dlatego zawsze zatrudniał umyślnych - to jego słowo, nie moje - którym zlecał prowadzenie poszukiwań. Wykorzystuje ich do gromadzenia informacji, a następnie zabija. To wyjątkowo skuteczny środek bezpieczeństwa. - Gabriella przypaliła kolejnego papierosa, po pokoju rozlał się mglisty obłok dymu.

- Abigail Rockefeller dla nich pracowała?

- Nie, wręcz przeciwnie. Pani Rockefeller współpracowała z matką Innocentą - miały znaleźć odpowiednią kryjówkę dla walizki z lirą. Z niezrozumiałych dla nas powodów po wojnie Abigail Rockefeller zerwała z nami kontakty. To był poważny cios. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie ukryła walizkę. Jedni sądzą, że w Nowym Jorku, inni twierdzą, że odesłała ją do Europy, a niektórzy uważają, że ją zniszczyła. Desperacko szukamy kryjówki, choć nie wiemy, czy ona w ogóle istnieje.

- Czytałem listy Innocenty - powiedział w powątpiewaniem Verlaine. - Nie sądzę, że znajdzie w nich pani odpowiedź. Chyba Grigori zrobiłby z nich lepszy użytek.

Gabriella westchnęła ze znużenia.

- Coś panu pokażę. Może zrozumie pan, z kim mamy do czynienia. Wstała i zdjęła płaszcz. Żyłastymi rękami zaczęła rozpinąć guziki jedwabnej bluzki.

- To - powiedziała cicho, zsuwając po kolei rękawy - robią z ludźmi, których schwytyją.

Verlaine wpatrywał się w Gabriellę, która obracała się w świetle lampy. Całe jej ciało - plecy, klatkę piersiową, ramiona - pokrywały grube wstęgi blizn. Wyglądało to tak, jakby została pocięta nożem do ćwiartowania mięsa. Po szerokości i nierównych krawędziach blizn Verlaine domyślał się, że rany nie zostały odpowiednio zasyte. Skóra Gabrielli była różowa jak żywe mięso. Po śladach można było wnioskować, że Gabriellę chłostano albo, co gorsza, cięto żyłkami.

- Boże - wyszeptał Verlaine, przerażony widokiem skatowanego ciała, straszliwą, a jednocześnie zdumiewająco delikatną barwą blizn: różem muszli ostrygi. - Jak to się stało?

- Kiedyś sądziłam, że mogę ich przechrzyć - wyjaśniła Gabriella. - Byłam przekonana, że jestem od nich mądrzejsza, silniejsza, lepsza. Podczas wojny byłam najlepszym angelologiem w całym Paryżu. Byłam młoda i błyskawicznie pięłam się w hierarchii akademickiej. Tak było. Proszę mi wierzyć na słowo - jestem i zawsze byłam dobra, bardzo dobra, w tym, co robię.

- To się wydarzyło podczas wojny? - Verlaine dociekał powodu tortur.

- W młodości byłam podwójnym agentem. Zostałam kochanką dziedzica najpotężniejszego rodu naszych wrogów. Pracowałam pod ścisłym nadzorem i z początku odnosiłam sukcesy, ale ostatecznie mnie rozpracowano. Byłam jedyną osobą, która mogła się podjąć infiltracji. Proszę się dobrze przyjrzeć. Niech pan zapamięta, co mnie spotkało, i wyobrazi sobie, co

zrobiliby z panem. Nie ocali pana naiwne amerykańskie przekonanie, że dobro zawsze zwycięża zło. Gwarantuję, że nikt by pana nie oszczędził.

Verlaine nie mógł znieść widoku ciała Gabrielli, ale też nie mógł oderwać od niego oczu. Wodził wzrokiem po zawitych śladach różowych blizn na bladym ciele: od obojczyka po biodro. Zrobiło mu się niedobrze.

- Jakim cudem wierzy pani, że można ich pokonać?
- Wyjaśnię to panu - odpowiedziała Gabriella, zakładając bluzkę i zapinając guziki - po przeczytaniu listów.

Verlaine postawił laptop na biurku Gabrielli. Włączył go, monitor ożył. Po chwili na ekranie pojawiły się ikony - wszystkie jego akta, w tym dokumenty z badań i skany listów - elektroniczne baloniki na tle błękitnego nieba. Verlaine otworzył folder o nazwie „Rockefeller/Innocenta” i cofnął się, żeby Gabriella mogła spokojnie zapoznać się z jego zawartością. Patrzył przez zakurzone okno na cichy, zimny park. Mroczna próżnia kryła zamrożone stawy, opustoszałe lodowisko, ośnieżone ścieżki, skutą lodem karuzelę. Przez Central Park West mknęły taksówki, wiozły ludzi do centrum. Miasto zaczynało tętnić swoim zwykłym, szalonym rytmem.

Verlaine zerknął przez ramię na Gabriellę. Czytała listy z zapartym tchem, wpatrywała się w jaśniejący ekran z takim skupieniem, jakby widniejące na nim słowa miały zaraz zniknąć. Monitor rzucał na jej twarz zielonobiałą poświatę, podkreślając zmarszczki wokół ust i oczu i barwiąc jej czarne włosy na purpurowo. Wyjęła z szuflady biurka arkusz papieru i czytając, zaczęła notować, ani razu nie zerknąwszy na Verlaine'a, ani na swoje zapiski. Jej cała uwaga skupiała się na ekranie - na pętlach i zakolach odręcznego pisma matki Innocenty, na odtworzonych z cyfrową dokładnością marszczeniach papieru. Zauważyła Verlaine'a, dopiero kiedy nad nią stanął i zza jej ramienia wpatrzył się w ekran.

- W kącie jest krzesło - odezwała się, nie odrywając wzroku od listu. - Będzie panu wygodniej.

Verlaine przyniósł antyczny stół do pianina, ostrożnie postawił go obok i usiadł. i Gabriella uniosła dłoń, jak do ucałowania, i powiedziała: - Papieros, s'il vous plait.

Verlaine wyjął papierosa z porcelanowej papierośnicy, włożył go do cygaretki i wsunął ją między palce Gabrielli. Nie podnosząc wzroku, wzięła ją do ust.

- Merci - podziękowała, zaciągając się, kiedy przystawił zapalniczkę. Verlaine otworzył torbę, wyjął z niej teczkę z dokumentami i odrywając

Gabriellę od lektury, oznajmił:

- Powinienem był je pani dać dużo wcześniej.

Odwróciła się od komputera i wzięła listy. Przeglądając je, zapytała:

- Oryginały?

- Stuprocentowo oryginalny materiał ukradziony z archiwum rodziny Rockefellerów.

- Dziękuję - Gabriella otworzyła teczkę i przejrzała listy. - Zastanawiałam się, co się z nimi stało, i podejrzewałam, że ma je pan ze sobą. Są jeszcze jakieś pisma?

- Tylko te, które ma pani w ręku. Zeskanowałem je. - Verlaine wskazał monitor.

- Świetnie - powiedziała cicho Gabriella.

Verlaine'owi wydawało się, że chciała coś dodać, ale wstała, wyjęła z szuflady biurka puszkę z mieloną kawą i włączyła ekspres. Kiedy wrzątek zbulgotał w dzbanku, Gabriella podeszła do biurka i bez słowa uprzedzenia wylała całą kawę na laptop. Wrzątek rozlał się po klawiaturze. Monitor zrobił się biały, potem zgasł. Komputer koszmarnie zatrzeszczał. Potem zapadła cisza.

Verlaine wpatrywał się w klawiaturę jak urzeczony, nie mogąc zapanować nad gniewem.

- Co pani wyprawia?!

- Im mniej kopii, tym lepiej - wyjaśniła Gabriella spokojnie, wycierając ręce z kawy.

- Zniszczyła pani mój sprzęt - Verlaine spróbował włączyć komputer w nadziei, że ożyje.

- Gadżet można bez trudu odkupić - w głosie Gabrielli pobrzmiwała przepraszająca nuta. Kobieta podeszła do okna, oparła się o szybę, ręce skrzyżowała na piersiach. Na jej twarzy malował się absolutny spokój. -Tych listów nikt nie może przeczytać. Są zbyt ważne.

Przejrzała pisma i ułożyła je jedno obok drugiego na niskim stoliku, aż zakryła go pożółkłymi kartkami. Listów było pięć, każdy składał się z kilku stron. Verlaine podszedł bliżej. Podniósł wymięty arkusz i usiłował odczytać eleganckie, pełne pętelek, niewyraźne pismo rozlewające się na papierze bladymi, błękitnymi falami. W słabym świetle niemal nie sposób było go odcyfrować.

- Może pan to odczytać? - spytała Gabriella, pochylając się nad stołem i wyginając papier, jakby pod innym kątem płatanina liter miała się wydać mniej zawiła. - Mnie jest ciężko.

- Z tym charakterem pisma trzeba się najpierw oswoić - przyznał Verlaine - Daję radę.

- Czyli może mi pan pomóc - uznała Gabriella. - Zaczniemy od sprawdzenia, czy są tu jakieś przydatne informacje.

- Możemy spróbować - przystał Verlaine - proszę tylko powiedzieć, czego mam szukać.

- Wskazania konkretnych miejsc - odparła Gabriella. - Takich, do których Abigail Rockefeller miała nieskrępowany dostęp, na przykład siedzib instytucji, które mogła odwiedzać, kiedy chciała. Na pozór nieistotnych odniesień do adresów, ulic, hoteli. Szukamy bezpiecznych miejsc, ale nie nazbyt bezpiecznych.

- To może być pół Nowego Jorku - zaperzył się Verlaine. - Jeśli mam tu cokolwiek znaleźć, to muszę wiedzieć dokładnie, czego szukamy.

Gabriella wyglądała przez okno. Wreszcie przemówiła.

- Dawno, dawno temu nieposłuszni aniołowie zwani czuwającymi zostali potępieni. Miano ich uwięzić w jaskini w najdalszym zakątku Europy. Archaniołowie związali ich i wtrącili do podziemnego lochu. Kiedy buntownicy opadli na dno jaskini, rozległ się ich rozpaczliwy skowyt. Ich boleść była tak przejmująca, że zdjęty litością archanioł Gabriel rzucił tym przeklętym istotom złotą lirę - doskonały anielski instrument, który wydawał tak rozkoszny dźwięk, że więźniowie mogli przez setki lat koić się w odosobnieniu jego melodią. Błąd Gabriela miał tragiczne skutki. Muzyka liry nie tylko łagodziła strapienie czuwających, ale też dała im siłę. Zapewniła im rozrywkę w czeluściach ziemi, wzmocniła ich i podsycała ambicje. Aniołowie przekonali się, że dźwięk liry zapewnia im nadzwyczajną moc.

- Jaką? - dopytywał Verlaine.

- Moc udawania Boga - objaśniła Gabriella. Przypaliła papierosa i podjęła watek. - O tym naucza się wyłącznie na seminariach z muzykologii eterycznej dla studentów wyższych lat akademii angelologicznych. Tak jak wszystko powstało mocą wibracji głosu Boga - dźwięku jego Słowa - tak też wszechświat można odmieniać, wzbogacać albo zawracać jego bieg za pomocą muzyki Boskich posłańców. Lira, podobnie jak inne anielskie instrumenty, z których wiele od wieków znajduje się w naszych zbiorach, ma taką właśnie moc, a przynajmniej my tak zakładamy.

Oczywiście instrumenty różnią się właściwościami. Nasi muzykolodzy są przekonani, że zależnie od częstotliwości ich dźwięki mogłyby wywołać rozmaite, kosmiczne zmiany. Być może niebo byłoby czerwone, morze fioletowe, a trawa pomarańczowa. A może słońce zaczęłoby chłodzić, zamiast grzać. Może ziemię zaludniłyby diabły. Jeśli chodzi o lirę, to ma ona moc przywracania zdrowia.

Verlaine wpatrywał się w Gabriellę, zdumiony, że rozsądna kobieta opowiada takie bajki.

- Wiem, że nie może pan w to uwierzyć - Gabriella sięgnęła po listy i podała je Verlaine'owi. - Proszę mi je przeczytać. Lubię słuchać, to mi pomaga zebrać myśli.

Verlaine przejrzał plik, znalazł pierwszy list z piątego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku i zaczął czytać go na głos. Nie dość, że rozszyfrowanie pisma matki Innocenty stanowiło nie lada wyzwanie, to jeszcze każde zdanie brzmiało pompatycznie, jakby wszystkie myśli wykuwała żelaznym młotem. Wkrótce jednak lektura nabrała rytmu.

Pierwszy list ograniczał się niemal wyłącznie do uprzejmych formalności, a w jego tonie pobrzmiewały ostrożność i rezerwa, jakby Innocenta szła do pani Rockefeller po omacku, ciemnym korytarzem. Ale nawet ten list zawierał pochwałę zmysłu artystycznego Abigail: „Proszę mieć pewność, że doskonałość Pani artystycznych wizji i realizacja Pani zamiaru cieszą się całkowitą akceptacją” - w chwili gdy Verlaine przeczytał tę wzmiankę, poczuł, jak ożywa jego ambicja. Drugi list był dłuższy i nieco bardziej poufały - Innocenta wyrażała wdzięczność za wkład

pani Rockefeller w przyszłe losy misji, a także - co Verlaine skwitował niemal triumfalnie - poruszyła temat ewentualnego szkicu, który pani Rockefeller najpewniej dołączyła do korespondencji: „Nasza godna podziwu Przyjaciółko, nie zbłądzi ten, kto zachwyci się Pani subtelnymi wizerunkami i kto przyjmie je z pokorną podzięką i wdzięcznym zrozumieniem”. Ton listu sugerował, że między dwiema kobietami zawiązało się porozumienie, choć samo pismo nie zawierało żadnych konkretnych informacji ani szczegółów, które wskazywałyby na to, że przyjęto określony plan działania. W czwartym liście Innocenta zamieściła kolejną pochwałę: „Pani ręka nigdy nie popełnia błędów i wyraża to, co oko najbardziej pragnie zobaczyć”.

Verlaine zaczął objaśniać swoją teorię na temat szkiców pani Rockefeller, które musiały zostać dołączone do korespondencji, ale Gabriella kazała mu czytać dalej, wyraźnie poirytowana tym, że przerwał.

- Niech pan przeczyta ostatni. Ten z piętnastego grudnia czterdziestego trzeciego.

Verlaine przekartkował plik, znalazł list. Zaczął czytać:

15 grudnia, 1943 Najdroższa Pani Rockefeller,

Pani list przyszedł w najbardziej stosownym momencie. W znoju szykowaaliśmy się do świąt Bożego Narodzenia i oto jesteśmy gotowe uczcić narodziny Pana. Organizowana przez siostry coroczna zbiórka na cele dobroczynne okazała się nadspodziewanym sukcesem, jestem zdania, że na tym nie koniec gromadzenia datków. Pani pomoc jest dla nas niezmiennie źródłem radości. Składamy dzięki Panu za okazaną nam przez Panią hojność i zachowujemy Panią w naszych codziennych modlitwach. Pani imię jeszcze przez długi czas pozostanie na ustach sióstr ze Świętej Róży.

Datek charytatywny, o którym wspominała Pani w liście z listopada, spotkał się z nadzwyczajną aprobatą całego zgromadzenia Świętej Róży, śmiem twierdzić, że bardzo wspomogło nasze wysiłki związane z pozyskiwaniem nowych członków. Wydaje się, że po naszych ostatnich mozolnych potyczkach, po nieodległym czasie niedostatku i niemocy, oto jawi się przed nami wielka światłość.

Bystre oko jest niczym anielska muzyka - precyzyjne, rozważne i niesłychanie tajemnicze - a jego moc spoczywa w odlewie światła. Najdroższa Ofiarodawczyni, wiemy, jak uważnie wybierasz dary. Z radością oczekujemy dalszych wyjaśnień i prosimy Cię pokornie o możliwie szybką odpowiedź, aby nacieszyć dusze wieściami o Pani pracy.

Pani partnerka w poszukiwaniach, Innocenta Maria Magdalena Fiori, ATA

W piątym liście uwagę Gabrielli zwróciło zwłaszcza jedno zdanie. Przerwała Verlaine'owi i poprosiła, żeby jeszcze raz je przeczytał. „Bystre oko jest niczym anielska muzyka - precyzyjne, rozważne i niesłychanie tajemnicze - a jego moc spoczywa w odlewie światła”.

Verlaine odłożył plik listów na kolana.

- Usłyszała pani coś ciekawego? - spytał, chcąc zweryfikować swoją teorię na temat listów.

Gabriella wydawała się bez reszty zatopiona w myślach, podparłszy brodę ręką, wyglądała przez okno.

- To tylko połowa - powiedziała wreszcie.

- Połowa czego?

- Tajemnicy - wyjaśniła. - Listy matki Innocenty potwierdzają coś, co od dawna podejrzewałam: te dwie kobiety połączyła współpraca. Żeby mieć pewność, muszę przeczytać drugą część korespondencji. Nie mam wątpliwości, że Innocenta i Abigail ustalały kryjówkę. Kilka miesięcy, zanim Celestine przywiozła instrument z Paryża, zanim jeszcze przywieziono go z Rodopów, one już zastanawiały się, gdzie najlepiej go ukryć. Mieliśmy szczęście, że tą sprawą zajmowały się tak inteligentne kobiety. Teraz trzeba tylko zrozumieć ich tok myślenia i odnaleźć lirę.

Verlaine uniósł brew.

- To możliwe?

- Dowiem się, jak przeczytam listy Abigail. Innocenta była genialnym angelologiem, a do tego znacznie bystrzejszym niż w powszechnej wówczas opinii. Nie ustawała w wysiłkach, wciąż nakłaniała Abigail, aby ta zabezpieczyła przyszłość angelologii. Instrument przekazano pani Rockefeller dopiero po długim namyśle.

Gabriella chodziła po pokoju, jakby ruch pomagał jej precyzować myśli. Nagle przystanęła.

- Musi być tutaj, w Nowym Jorku.

- Jest pani pewna?

- Pewna - nie, ale wszystko na to wskazuje. Abigail z pewnością chciała mieć na lirę oko.

- Widzi pani w tych listach coś, czego ja w ogóle nie dostrzegam - przyznał Verlaine. - Dla mnie to tylko uprzejma wymiana zdań dwóch starszych kobiet. Jedyny element, który mnie intryguje, to odniesienia do czegoś, czego w listach nie ma.

- To znaczy?

- Zwróciła pani uwagę, że Innocenta stale nawiązuje do jakichś wizerunków? Wygląda na to, że Abigail przesłała jej jakieś rysunki, szkice albo inne własne dzieło - wyjaśnił Verlaine. - Albo te materiały są w listach, których nie mamy, albo zaginęły.

- Ma pan rację - zgodziła się Gabriella. - Te listy zostały napisane według pewnego schematu, myślę, że lektura pozostałych to potwierdzi. Innocenta zapewne coś sugerowała, choć, rzecz jasna, nie wprost. Żeby zobaczyć pełny obraz, musimy mieć wszystkie listy.

Gabriella wzięła pisma od Verlaine'a i raz jeszcze je przeczytała, jakby chciała je zapamiętać. Potem schowała je do kieszeni.

- Musimy być bardzo ostrożni - powiedziała. - Przede wszystkim o listach i sekretnych ustaleniach za nic nie mogą się dowiedzieć nefilimowie. Jest pan pewien, że Percival tych listów nie widział?

- Czytałyście je tylko pani i Ewangelina. Ale dość nieroztropnie pokazałem Grigoriemu coś innego - przyznał Verlaine, sięgając do torby po szkice architektoniczne.

Gabriella obejrzała je uważnie, jej twarz spoważniała.

- To bardzo niedobrze - powiedziała wreszcie. - One zdradzają całą tajemnicę. Zrozumiał znaczenie tych dokumentów?

- Raczej je zbagatelizował.

- Świetnie. - Gabriella niewyraźnie się uśmiechnęła. - Popęłił ogromny błąd. Trzeba ruszać w drogę, zanim połapie się, co pan znalazł.

- A co takiego znalazłem? - spytał Verlaine w nadziei, że wreszcie pojmie znaczenie szkiców i umieszczonej pośrodku nich złotej pieczęci.

Gabriella rozłożyła szkice na stole i przycisnęła je dłonią.

- To zestaw instrukcji - wyjaśniła. - Pieczęć wskazuje kryjówkę. Sam środek kaplicy Adoracji.

- Ale po co to wszystko? - dopytywał Verlaine, po raz setny wpatrując się w pieczęć i zastanawiając się nad jej znaczeniem.

Gabriella włożyła czarny jedwabny płaszcz i ruszyła w stronę drzwi.

- Jedziemy do klasztoru Świętej Róży. Tam wszystko panu wyjaśnię.

## 5. Aleja, Upper East Side, Nowy Jork

Percival czekał w holu kamienicy, ciemnymi okularami chronił oczy przed nieznośnym światłem poranka. Był bez reszty pochłonięty myślami o zaistniałej sytuacji, która za sprawą zaangażowania Gabrielli Levi-Franche Valko stała się nagle jeszcze bardziej zagadkowa. Skoro to właśnie Gabriella pojawiła się pod blokiem Verlaine'a, nie ulegało wątpliwości, że Grigori wpadli na słuszny trop. Musieli działać niezwłocznie, zanim Verlaine zapadnie się pod ziemię.

Przed kamienicą zatrzymał się sportowo-użytkowy czarny mercedes. Percival rozpoznał gibborimów, którym Otterley z samego rana zleciła zabójstwo Verlaine'a. Siedzieli zgarbieni, jeden w fotelu kierowcy, drugi - pasażera: brutalne, bezwzględne bestie, pozbawione inteligencji i wnikliwości, które kazałyby im rozważać wyższość Percivala i Otterley. Percival wzdrygnął się na samą myśl o przebywaniu z nimi w jednym pojeździe; z całą pewnością jego siostra nie sądziła, że się na to zgodzi. Owszem, zatrudniał niższe istoty, ale pewnych granic nie chciał przekraczać.

Otterley nie miała podobnych zahamowań. Wyłoniła się z tylnego siedzenia i wysiadła z auta opanowana jak zawsze - długie blond włosy zaczesane gładko do tyłu i spięta w kucyk, miała na sobie kurtkę narciarską z futrzanym kołnierzem zapiętą aż po szyję, jej policzki zaróżowiły się od chłodu. Percival z ulgą patrzył, jak mówi coś do gibborimów, po czym mercedes odjeżdża. Percival wyszedł przed budynek, żeby po raz drugi tego ranka przywitać się z siostrą, na szczęście tym razem w bardziej fortunnych okolicznościach.

- Pojedziemy moim autem - powiedziała Otterley. - Gabriella widziała mercedesa pod blokiem Verlaine'a.

Na sam dźwięk tego imienia Percival stracił pewność siebie.

- Widziałaś ją?

- Pewnie zdążyła przekazać numer rejestracyjny wszystkim angelo-logom w Nowym Jorku. Weźmiemy jaguara. Nie możemy ryzykować.

- A bestie?

Otterley uśmiechnęła się - ona też nie lubiła obcować z gibborimami, ale nigdy się do tego nie przyznawała.

- Jadą na miejsce. Przydzieliłam im teren do przeszukania. Jeśli znajdą Gabriellę, mają ją pojmać.

- Brak im sprytu, żeby ją złapać - stwierdził Percival.

Otterley rzuciła kluczyki odźwiernemu - mężczyzna zniknął za rogiem, żeby wyprowadzić auto z garażu. Percival stał na chodniku przy 5. Alei i z trudem oddychał. Im bardziej pragnął zaczerpnąć tchu, tym większą sprawiało mu to trudność, toteż z ulgą popatrzył na białego jaguara, za którym z rury wydechowej ciągnęły się spaliny. Otterley wsunęła się na fotel kierowcy i czekała cierpliwie, aż jej brat, któremu każdy ruch sprawiał niewysłowiony ból, usiądzie ostrożnie, stękając i z trudem łapiąc powietrze. Podczas wsiadania przekreśliła mu się uprząż, a postrzępione, gnijące skrzydła wbiły mu się w plecy. Stłumił okrzyk bólu. Otterley wrzuciła bieg i pomknęła ulicą.

Jechali West Side Highway. Percival zwiększył ogrzewanie, sądząc, że może ciepłym powietrzem łatwiej mu będzie oddychać. Na światłach Otterley zmrużyła oczy i uważnie mu się przyjrzała. Nic nie powiedziała, ale bez wątpienia nie miała pojęcia, co począć z tą słabą, umęczoną istotą, która kiedyś była nadzieją rodu Grigorich.

Percival wyjął ze schowka pistolet, sprawdził, czy jest naładowany, i schował go do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Broń była ciężka i zimna. Percival przejechał po niej palcami, wyobrażając sobie, że mierzy w głowę przerażonej Gabrielli, po czym wciska lufę w miękkie zagłębienie jej skroni. Niezależnie od tego, co wydarzyło się w przeszłości, niezależnie od tego, ile razy o niej śnił, nie pozwoli, żeby mu przeszkodziła. Tym razem ją zabije.

## Most Tappan Zee, droga stanowa 1-87 North, stan Nowy Jork

Jazda porsche - ze względu na stary silnik i niskie zawieszenie - oka-J zała się męcząca. A jednak pomimo hałasu podziałała na Verlaine'a kojąco. Przyglądał się, jak Gabriella prowadzi, z ręką opartą na drzwiach. Wyglądała, jakby planowała napad na bank - skupiona, poważna, czujna. Verlaine zaczął ją uważać za nadzwyczaj skrytą, nie mówiła nic ponad to, co musiała powiedzieć. Choć próbował zagajać na wszelkie sposoby, dopiero po jakimś czasie się przed nim otworzyła.

Po drodze dyskutowali na temat jej pracy - Verlaine chciał dowiedzieć się jak najwięcej o historii i celu angelologii, o tym, jak zaangażowała się w nią Abigail Rockefeller i dlaczego Gabriella poświęciła jej całe swoje życie. Wreszcie pojął, że grozi mu ogromne niebezpieczeństwo. Z każdą minutą łączyła go z Gabriella coraz większa zażyłość; zanim dojechali do mostu Tappan Zee, oboje czuli, że dobrze się rozumieją.

Kiedy znaleźli się nad przepastnym Hudsonem, Verlaine przyglądał się zalegającym na ośnieżonych brzegach bryłom lodu. Zerknął w dół i wydało mu się, że patrzy na ziemię, którą przepełnił potężny ruch tektoniczny. Promienie słońca wygładziły tafle rzeki mieniącą się barwnym ciepłem i olśniewającą jak ściana ognia.

W odróżnieniu od rojących się od aut ulic Manhattanu autostrada była zupełnie pusta. Minęli most, Gabriella przyspieszyła. Porsche wydawało z siebie zmęczony warkot, rozgrzany silnik grzechotał, jakby za chwilę miał wybuchnąć. Verlaine'a piekły oczy ze zmęczenia. Zerknął w lusterko i zdumiony stwierdził, że wygląda, jakby uszedł z bójki. Miał przekrwione oczy i potargane włosy. Gabriella pomogła mu opatrzyć ranę; owinięty gazą nadgarstek przypominał rękawicę bokserką. W ciągu jednej doby Verlaine przeobraził się w skolatanego, udreżonego, obitego człowieka.

A jednak w obliczu nadzwyczajnie pięknej scenerii - rzeki, lazurowego nieba, błysku białej jak skorupka jaja karoserii - Verlaine napawał się tym, jak nagle poszerzyły się jego horyzonty. Dopiero teraz pojął, że żył w zamknięciu. Dni mijały mu na kursowaniu między mieszkaniem, gabinetem, kilkoma kawiarniami i restauracjami. Rzadko, jeśli w ogóle, zrywał z rutyną. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz kontemplował otoczenie albo rzeczywiście zauważał ludzi. Pogubił się. Świadomość, że tamto życie bezpowrotnie zostawił za sobą, jednocześnie przerażała go i podniecała.

Gabriella przeciągnęła się, wygięła plecy jak kot.

- Musimy zatankować - powiedziała, rozglądając się za miejscem, w którym mogliby się zatrzymać.

Za zakrętem Verlaine dostrzegł całodobową stację benzynową. Gabriella zjechała z drogi, zaparkowała przed dystrybutorem. Nie oponowała, gdy zaoferował, że zatankuje, poprosiła tylko o paliwo premium.

Verlaine podszedł do kasy i rozejrzał się po sklepowych półkach zastawionych butelkowanymi napojami, paczkowanym jedzeniem, schludnie rozłożonymi magazynami i pomyślał, że życie bywa tak proste. Wczoraj nie zawracałby sobie głowy myślą o artykułach pierwszej potrzeby w przydrożnym sklepiku. Dziś patrzył z szacunkiem na wszystko, co wywoływało weń poczucie bezpieczeństwa. Dorzucił do rachunku paczkę papierosów i wrócił do samochodu.

Gabriella wciąż siedziała w fotelu kierowcy. Verlaine usiadł obok. Choć przyjęła papierosy z kwaśnym uśmiechem, widział, że ten gest sprawił jej przyjemność. Nie zwlekając, wjechała na drogę okręgową.

Verlaine otworzył paczkę, wyjął papierosa, przypalił i podał Gabrielli. Uchyliła okno, strumień świeżego powietrza zassał dym na zewnątrz.

- Nie wyglądasz na przerażonego, ale nie wierzę, żeby to, co ci powiedziałam, nie zrobiło na tobie wrażenia.

- Jeszcze sobie tego nie poukładałem - już w chwili kiedy mówił te słowa, Verlaine czuł, że to wielkie niedomówienie. Był zupełnie oszołomiony. Nie miał pojęcia, jak Gabrielli udaje się zachować spokój. Wreszcie spytał: - Jak ty to robisz?

- Co? - spytała Gabriella, nie odrywając oczu od drogi.

- Żyjesz, jakby nigdy nic. Jakbyś to akceptowała. Wpatrzona w drogę Gabriella zaczęła mówić:

- Włączyłam się do walki tak dawno temu, że zdążyłam się uodpornić. Nie pamiętam, jak to jest żyć w niewiedzy. Dowiedzieć się, że istnieją, to jak usłyszeć, że ziemia jest okrągła - to przeczy wszystkiemu, co do tej pory wydawało się prawdziwe. Ale takie są fakty. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jak to jest żyć, nie myśląc o nich, budzić się rano w przekonaniu, że żyjemy w sprawiedliwym, wolnym świecie, gdzie wszyscy są równi. Moją wizję świata dostosowałam do tej rzeczywistości. Widzę wszystko czarne i białe, dobre i złe. My jesteśmy dobrzy, oni są źli. My mamy żyć, oni muszą umrzeć. Są co prawda zwolennicy stanowiska umiarkowanego - twierdzą, że możemy nauczyć się koegzystować - ale większość z nas jest zdania, że nie możemy spocząć, dopóki ich nie wytępimy.

- Wydawało mi się - powiedział Verlaine zdziwionym autorytatywnym tonem Gabrielli - że to trochę bardziej skomplikowane.

- Oczywiście. Ale ja mam powody być nieprzejednana. Jestem angelologiem całe dorosłe życie, ale nie zawsze tak bardzo ich nienawidziłam. Opowiem ci pewną historię, o której mało kto wie. Może dzięki temu zrozumiesz, czemu jestem za skrajnym rozwiązaniem, czemu uważam, że trzeba ich wybić co do jednego.

Gabriella wyrzuciła niedopałek za okno i od razu przypaliła następnego papierosa, nie spuszczać oczu z drogi.

- Na drugim roku studiów w Towarzystwie Angelologicznym w Paryżu poznałam miłość mojego życia. Wtedy za nic bym się do tego nie przyznała, zaprzeczałam temu jeszcze w wieku średnim, ale teraz jestem

już stara - znacznie starsza, niż wyglądam - i mogę stwierdzić z całą pewnością, że nigdy już nie będę kochać tak, jak kochałam latem trzydziestego dziewiątego roku. Miałam piętnaście lat. Pewnie byłam za młoda, żeby tak się zakochać. A może nie, może właśnie wtedy, kiedy patrzyłam na świat oczami dziecka, byłam zdolna do takiej miłości. Tego, oczywiście, nigdy się nie dowiemy. - Gabriella zamilkła, jakby ważyła słowa. Po chwili mówiła dalej: - Delikatnie mówiąc, byłam raczej osobliwą dziewczyną. Tak jak inni mają obsesję na punkcie majątku, miłości czy sławy, tak ja miałam obsesję na punkcie nauki. Wychowałam się w zamożnej rodzinie angelologów - wielu moich krewnych ukończyło Akademię. Aż do przesady uwielbiałam rywalizację. Nie miałam ochoty spędzać

czasu z rówieśnikami, byłam gotowa pracować dzień i noc, byle tylko odnieść sukces. Pod każdym względem chciałam być najlepsza na roku, no i byłam. Pod koniec drugiego semestru wiadomo było, że wyróżniamy się tylko my dwie - ja i pewna dziewczyna o wybitnych zdolnościach: Celestine, która została moją serdeczną przyjaciółką.

Verlaine aż się zakrztusił.

- Celestine? Celestine Clochette, która przyjechała do klasztoru Świętej Róży w czterdziestym trzecim?

- Czterdziestym czwartym - poprawiła Gabriella. - Ale to inna historia. Moja opowieść zaczyna się pewnego popołudnia w kwietniu trzydziestego dziewiątego. To był chłodny, deszczowy, paryski dzień. Każdej wiosny deszcze zalewały ulice, kanały, ogrody, a Sekwana wzbierała. Pamiętam każdy szczegół tamtego popołudnia. Był siódmy kwietnia, piątek, godzina trzynasta. Skończyłam poranne zajęcia i jak zwykle wybierałam się do miasta, żeby coś zjeść. Zapomniałam parasolki, co było bardzo dziwne - ja, taka pedantka, nagle nie mam jak się ochronić przed deszczem. W drodze do Ateneum zdałam sobie sprawę, że przemoknę do suchej nitki, a na dodatek mogę zniszczyć notatki i książki, które dzwigałam pod pachą. Stałam pod wielkim portykiem przy głównym wejściu do szkoły i patrzyłam, jak pada.

Nagle z wirującego potoku wody wyłonił się mężczyzna z ogromnym, fioletowym parasolem. Pomyślałam, że to dość niezwykle, żeby dżentelmen wybrał parasol akurat w takim kolorze. Przyglądałam się, jak idzie przez dziedziniec - elegancki, wyprostowany, nadzwyczaj przystojny. Może to dlatego, że bardzo chciałam się schować pod parasolem - w każdym razie wpatrywałam się w nieznanego tak, jakbym chciała rzucić na niego urok, byle tylko do mnie podszedł.

To były inne czasy. Kobietom nie wypadało przypatrywać się przystojnym mężczyznom. Podobnie nie do pomyślenia było, żeby mężczyzna zignorował damę. Tylko nieokrzesany prostak zostawiłby kobietę na pastwę deszczu. Mężczyzna przystanął w połowie drogi przez dziedziniec, dostrzegł, że się w niego wpatruję, obrócił się i podszedł do mnie.

Uniósł kapelusz. Zobaczyłam jego wielkie, niebieskie oczy.

- Czy mogę przeprowadzić panią bezpiecznie przez tę ulewę? - Miał w głosie kuszącą, niemal okrutną pewność siebie.

Wystarczyło jedno spojrzenie i to jedno zdanie i już byłam jego.

- Może mnie pan zabrać, dokądkolwiek pan zechce - odpowiedziałam. Nagle uświadomiłam sobie, jak to zabrzmiało, więc szybko dodałam: - Dokądkolwiek, byle z dala od tego przekłętego deszczu.

Spytał, jak mam na imię. Bardzo mu się spodobało.

- Dostała pani imię po aniele?

- Po posłańcu dobrych wieści.

Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się, zadowolony z mojej szybkiej odpowiedzi. Nigdy nie widziałam tak zimnych, szklistych oczu. Uśmiechał się słodko, rozkosznie, jakby czuł, że ma nade mną moc. Później, kiedy okazało się, że mój wuj, Victor Levi-Franche zhańbił rodzinę, pracując dla niego jako szpieg, zastanawiałam się, czy tak się ucieszył, bo wiedział, że mój wuj jest zdrajcą, czy też faktycznie ucieszyło go anielskie pochodzenie mojego imienia.

Podał mi ramię i powiedział:

- Chodź, mój ty posłańcu dobrych wieści.

Wzięłam go pod rękę. W chwili kiedy pierwszy raz mnie dotknął, skończyło się moje dotychczasowe życie i zaczęło nowe.

- Później przedstawił mi się jako Percival Grigori III. - Gabriella zerknęła na Verlaine'a, żeby sprawdzić, jak zareaguje.

- Chyba nie ten sam - zdumiał się Verlaine.

- Ależ tak - potwierdziła Gabriella. - We własnej osobie. Ale wtedy nie miałam pojęcia, kim jest, nie wiedziałam też, co oznacza jego nazwisko. Gdybym była starsza, gdybym dłużej studiowała w Akademii, odwróciłabym się i uciekła. Ale ja byłam zupełnie nieświadoma i oczarowana bez reszty.

Szliśmy pod wielkim, fioletowym parasolem. Trzymałam go pod rękę, a on prowadził mnie wąskimi, mokrymi ulicami Dzielnicy Łacińskiej do samochodu. To był mercedes 500K roadster - piękne, srebrne auto lśniło w deszczu. Nie wiem, czy znasz się na samochodach. To była nadzwyczajna, luksusowa maszyna, na owe czasy wręcz cud techniki: elektryczne wycieraczki i zamki, piękna karoseria. Rodzice też mieli samochód - co samo w sobie było luksusem - ale takie auto widziałam po raz pierwszy. To był rzadki okaz. Taki sam przedwojenny model sprzedano kilka lat temu na aukcji w Londynie. Wybrałam się tam specjalnie, żeby go zobaczyć. Ktoś zapłacił za niego siedemset tysięcy funtów szter-lingów.

Percival otworzył mi drzwi zamaszystym, uprzejmym gestem, jakby zapraszał do karety. Zapadłam się w miękkim siedzeniu, przemoczona bluzka przykleiła się do skórzanego fotela, odetchnęłam głęboko: w aucie pachniało wodą toaletową zmieszaną z leciusieńką nutą dymu papierosowego. Deskę rozdzielczą wykonano z imitacji skorupy żółwia - lśniły na niej przyciski i gałki, czekały, aż ktoś je wciśnie i obróci, pośrodku leżała para skórzanych rękawiczek - aż się prosiły, żeby kierowca je założył. Nigdy w życiu nie widziałam tak pięknego samochodu. Wcisnęłam się w fotel, obezwładniona szczęściem.

Jechaliśmy przez Boulevard Saint Michel i Ile de la Cite - ledwie wsiedliśmy, a oberwała się chmura, jakby deszcz czekał, aż się schronimy, i dopiero wtedy napoił wiosenne kwiaty i zieloną, spragnioną ziemię. Doskonale pamiętam, co wtedy czułam. Dziś nie mam złudzeń, że to był strach, ale wtedy wmawiałam sobie, że to miłość. Percival stanowił zagrożenie, z jakim nigdy wcześniej się nie zetknęłam. Tamtego dnia widziałam w nim tylko młodego człowieka, który prowadził jak szaleniec. Dziś jestem przekonana, że instynktownie się go bałam. A jednak z łatwością zawładnął moim sercem. Wpatrywałam się w niego, oglądałam tę jego cudowną, bladą skórę i długie, delikatne palce na dźwigni biegów. Nie byłam w stanie odezwać się nawet słowem. On pędził przez mosty, potem wjechał na rue de Tivoli. Wycieraczki śmigły po szybie, łukami rozcinały strugi wody.

- Naturalnie zabieram cię na lunch. - Zwolnił przed Grand Hotelem na Place de la Concorde i zerknął na mnie. - Widzę, że jesteś głodna.

- Od kiedy to widać głód gołym okiem? - spytałam wyzywająco, chociaż miał rację. Nie jadłam śniadania, byłam głodna jak wilk.

- Mam specjalny dar - odparł. Wrzucił bieg na luz, zaciągnął ręczny hamulec, zdjął rękawiczki. - Wiem, czego pragniesz, jeszcze zanim ty sama to sobie uświadomisz.



- W takim razie powiedz, czego pragnę najbardziej - zażądałam. Chciałam zrobić na nim wrażenie śmiałej i wyrafinowanej, chociaż wcale taka nie byłam.

Przez chwilę mi się przyglądał. I znów, jak w chwili kiedy go poznałam, dostrzegłam w jego błękitnych oczach ulotne, zmysłowe okrucieństwo.

- Pięknej śmierci - odpowiedział tak cicho, że nie byłam pewna, czy dobrze dosłyszałam. Otworzył drzwi i wysiadł.

Nie zdążyłam dopytać się, o co mu chodziło, bo już otwierał mi drzwi, pomagał wysiąść i prowadził pod ramię do restauracji. Zatrzymał się przy lustrze w pozłacanej ramie, zdjął kapelusz i płaszcz i rozejrzał się na boki, bo uznał, że grupka kelnerów, która dosłownie rzuciła się, żeby je odebrać, zrobiła to zbyt wolno. Wpatrywałam się w szybę, kiedy przesuwało się w niej jego odbicie, oglądałam jego profil, przepięknie skrojony, jasnoszary, gabardynowy garnitur, który w ostrym blasku światła wydawał się niemal tak błękitny, jak jego oczy. Miał śmiertelnie bladą skórę, prawie przezroczystą, ale to tylko dodawało mu powabu, jakby był skarbem, który ukrywano przed słońcem.

Yerlaine nie potrafił pogodzić słów Gabrielli z Percivalem Grigorim, którego znał. Nie docierało do niego, że nie mówi o chorym, zniedołężniałym człowieku, z którym on sam się zetknął, ale o mężczyźnie, którym Percival był kiedyś. Chciał ją o to spytać, ale poprawił się tylko w fotelu i słuchał dalej.

- W ciągu paru chwil wzięto od nas okrycia i zaprowadzono do sali jadalnej, która kiedyś była salą balową, otwierającą się na ogród na dziedzińcu. Cały czas czułam na sobie wzrok Percivala, miałam wrażenie, że studiuje moje reakcje.

Nikt nie przyniósł karty dań, nikt nie przyjął zamówienia. Po prostu przyniesiono nam wino i dania, jakby wszystko zostało wcześniej ustalone. Oczywiście Percival osiągnął zamierzony efekt. Oniemiałam ze zdumienia, chociaż robiłam, co mogłam, żeby to zamaskować. Wychowałam się w burżuazyjnej rodzinie i chodziłam do najlepszych szkół, ale dobrze wiedziałam, że za sprawą tego człowieka ocieram się o świat, o jakim nawet mi się nie śniło. Nagle ze zgrozą uzmysłowiłam sobie, że jestem w zwykłym, szkolnym ubraniu - podekscytowana jazdą zupełnie o tym zapomniałam. Nie dość, że miałam na sobie coś lichego, to jeszcze włożyłam zniszczone buty, a do torebki zapomniałam schować ulubione perfumy.

- Rumienisz się - zauważył Percival. - Czemu?

Zerknęłam tylko na wełnianą spódnicę z fałdami i sztywną białą bluzkę. W lot pojął, o co mi chodzi.

- Nie ma tu piękniejszej istoty od ciebie - powiedział bez cienia ironii. - Wyglądasz jak anioł.

- Wyglądam dokładnie na osobę, którą jestem - poprawiłam go, bo nagle duma przytłumiła wszystkie pozostałe emocje. - Na uczennicę w towarzystwie zamożnego, starszego człowieka.

- Jestem niewiele starszy od ciebie - odpowiedział wesoło.

- Niewiele, to znaczy ile? - spytałam. Z wyglądu dałabym mu dwadzieścia parę lat, czyli rzeczywiście niewiele więcej ode mnie, ale manierami i pewnością siebie sprawiał wrażenie człowieka doświadczonego.

- Skupmy się raczej na tobie - zbył mnie. - Powiedz lepiej, czy nauka cię pasjonuje. Coś mi mówi, że tak. Mam kilka mieszkań w pobliżu szkoły, czasem cię widuję. Zawsze wyglądasz, jakbyś zasiedziała się w bibliotece.

A zatem już wcześniej zwrócił na mnie uwagę. Bardzo mi tym pochwilił.

- Widujesz mnie? - zapytałam, domagając się jego względów.

- Oczywiście - odparł, sącząc wino. - Na dziedzińcu zawsze się za tobą rozglądam. Ostatnio nawet zaczęło mnie to nużyć, bo nie mogłem cię znaleźć. Z pewnością jesteś świadoma swojej urody.

Zamilkłam, żeby zjeść kęs pieczonej kaczki. Bałam się cokolwiek powiedzieć.

- Masz rację - wykszusiłam wreszcie - nauka jest pasjonująca.

- Czyli zapewnia ci rozrywkę. Koniecznie musisz mi o tym opowiedzieć.

Mijały godziny, donoszono nam kolejne wyborne dania i butelki wina, a my siedzieliśmy, bez reszty pochłonięci rozmową. Na przestrzeni lat miałam tylko dwóch powierników - ty jesteś pewnie trzecim - którym opowiadałam o sobie i o swoim życiu. Generalnie unikam czczej paplaniny. Tymczasem kiedy rozmawiałam z Percivalem, ani na chwilę nie zapadła cisza. Było niemal tak, jakbyśmy oboje czekali na osobę, z którą zechcemy się wszystkim podzielić. Jedliśmy i rozmawialiśmy. Czułam, że zacieśnia się między nami więź. Rozmowa była tak cudowna, że niemal wpadłam w trans. Niebawem bez pamięci pokochałam także jego ciało, ale najpierw oczarował mnie jego umysł.

Mijały tygodnie, a my stawaliśmy się sobie coraz bliżsi - tak bliscy, że nie potrafiłam przeżyć bez niego nawet jednego dnia. Ani nauka, która tak mnie pasjonowała, ani poświęcenie angelologii, które ślubowałam - nic nie mogło mnie od niego oddalić. Spotykaliśmy się w jego różnych mieszkaniach, niedaleko siedziby Towarzystwa Angelologicznego, z oknami na Sekwanę. Wszystkie popołudnia latem trzydziestego dziewiątego roku spędziliśmy razem. Nauka zesłała na dalszy plan, liczyły się tylko cudowne godziny w jego sypialni. Przez okna wpadało gorące, ciężkie powietrze. Moja współlokatorka zaczęła mnie drażnić, bo zadawała pytania. Nienawidziłam nauczycieli, bo nas rozdzielali.

Już po naszym pierwszym spotkaniu zaczęłam podejrzewać, że Percival nie jest zwyczajnym człowiekiem, ale zignorowałam podszepty intuicji i dalej się z nim widywałam. Po pierwszej wspólnej nocy znów poczułam, że wpadam w pułapkę, choć nie potrafiłam sprecyzować rodzaju zagrożenia ani przewidzieć, jak ogromna stanie mi się krzywda. Dopiero po kilku tygodniach zrozumiałam, że Percival jest nefilimem. Ale wtedy było już za późno - całkowicie uległam jego urokowi. Powiadają, że w starożytności podobne uczucie połączyło kobiety i zbuntowane anioły - wielka namiętność, która wyrzuciła niebo i ziemię do góry nogami. Byłam tylko zwykłą dziewczyną. Oddałabym duszę za tę miłość.

Zrobiłam to zresztą. Nasz romans się rozwijał, a ja zaczęłam przekazywać mu tajemnice Towarzystwa Angelologicznego. On odwdzięczał mi się wiedzą, która zapewniała mi szybkie postępy, prestiż i władzę. Z początku prosił tylko o strzępy informacji - interesowała go lokalizacja naszych biur w Paryżu i daty spotkań członków Towarzystwa. Przekazywałam je bez najmniejszych oporów. Stopniowo żądał coraz więcej, a ja mu ulegałam. Kiedy zrozumiałam, że jest bardzo niebezpieczny i że muszę wyzwolić się

spod jego wpływu, było już za późno. Groził, że wyjawia, co nas łączy, moim nauczycielom. Ogarnęło mnie przerażenie. Zostałabym wykluczona ze społeczności, która była dla mnie wszystkim.

Utrzymanie tego romansu w tajemnicy okazało się nie lada sztuką. Wkrótce stało się dla mnie jasne, że to się musi wydać, a wtedy wyjawiałam całą prawdę mojemu nauczycielowi, doktorowi Raphaelowi Valce. Raphael uznał, że mogę być przydatna. Zostałam szpiegiem. Percival sądził, że pracuję dla niego, a ja robiłam co w mojej mocy, żeby nadwerężyć pozycję jego rodziny. Wybuchła wojna, a nasz romans trwał nadal i stawał się coraz bardziej podstępny. Byłam potwornie nieszczęśliwa, ale robiłam, co do mnie należało. Karmiłam nefilimów fałszywymi informacjami na temat wypraw angelologicznych, a tajemnice z ich zamkniętego świata przekazywałam Raphaelowi, który instruował naszych badaczy. Pomagałam w przygotowaniu akcji, która doprowadziłaby do naszego największego zwycięstwa. Angelolodzy mieli zachować lirę, a nefilimowie - otrzymać jej replikę.

Pomysł był prosty. Raphael i jego żona Seraphina byli przekonani, że skoro nefilimowie wiedzą o wyprawie do jaskini, to nie spoczną, dopóki nie zdobędą liry. Uznali, że trzeba wywieść ich w pole, podrzucając im fałszywy trop. Zlecieli wykonanie podróbki starożytnej trackiej liry - z zakrzywionymi ramionami, ciężką podstawą, charakterystyczną poprzeczką. Instrument przygotował nasz najzdolniejszy muzykolog, doktor Joseph Michael. Zadbał o każdy szczegół, wyszukał nawet struny z włosów ogona białego konia. Kiedy odnaleziono prawdziwą lirę, okazało się, że jest znacznie bardziej kunsztowna - ramiona wykonano z nieznanego, metalicznego tworzywa, najbardziej zbliżonego do platyny - to była zupełnie nieznaną substancją, która z całą pewnością nie występowała na ziemi. Doktor Michael nazwał ją valkinią, na cześć Valków, którzy włożyli w odnalezienie instrumentu tak wiele wysiłku. Struny spleciono z mocnych, lśniącym złotych nici. Doktor Michael stwierdził później, że były to włosy archanioła Gabriela.

Replika nie przypominała oryginału, ale Valkowie uznali, że nie mamy wyboru, trzeba działać. Schowaliśmy fałszywą lirę do walizki. Przekazałam Percivalowi, że o północy będziemy jechać przez Paryż, a on zorganizował zasadzkę. Miał porwać Seraphinę i zażądać od Rady Angelologicznej liry w zamian za jej życie. My przekazalibyśmy mu wówczas fałszywą lirę, Seraphina zostałaby uwolniona, a nefilimowie byliby przekonani, że mają skarb. Ale wypadki potoczyły się inaczej.

Uzgodniliśmy z Raphaelem, że kwestię zgody na wymianę poddamy pod głosowanie. Zakładaliśmy, że rada pójdzie w ślady Raphaela i zagłosuje za oddaniem liry i ocaleniem Seraphiny. Tymczasem z niepojętych powodów wielu członków zagłosowało inaczej i cały nasz plan wziął w łeb. Głosy podzieliły się po połowie, decyzję miała więc przesądzić uczestniczka wyprawy - Celestine Clochette. Stało na tym, że do wymiany nie dojdzie. Próbowałam ratować sytuację: przekazałam Percivalowi fałszywą lirę, mówiąc, że ją wykradłam. Ale było za późno. Percival zabił Seraphinę.

Od tamtej pory żyłam w żalu, oplakując moją nauczycielkę. Nie wiedziałam, że na tym moje cierpienie się nie skończy. Widzisz, mimowszystko kochałam Percivala, a jeśli nie była to miłość, to z całą pewnością byłam od niego uzależniona. Dziś wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale nawet po tym, jak kazał mnie pojmać i pozwolił, żeby poddano mnie nieludzkim torturom, nie potrafiłam się go wyrzec. W czerwcu czterdziestego czwartego, kiedy Amerykanie wyzwolali Francję, pojechałam po raz ostatni się z nim zobaczyć. Spędziłam z Percivalem noc. Po kilku tygodniach z przerażeniem odkryłam, że jestem w ciąży. Za wszelką cenę musiałam się z tym kryć - zwróciłam się do jedynej osoby, która wiedziała, ile kosztował mnie ten związek. Mój dawny wykładowca, Raphael Valko, rozumiał, ile przeszłam przez Grigorich, i zdawał sobie sprawę, że za nic nie mogą dowiedzieć się o ciąży. Poślubił mnie, żeby wszyscy uznali, że to on jest ojcem dziecka. Nasze małżeństwo wywołało skandal w gronie angelologów lojalnych wobec Seraphiny, ale moja tajemnica była bezpieczna. Urodziłam Angelę w czterdziestym piątym. Wiele lat później Angela urodziła Ewangelinę. Dźwięk tego imienia mocno poruszył Verlaine'a.

- Percival Grigori jest jej dziadkiem? - nie dowierzał.

- Tak - potwierdziła Gabriella. - Dziś rano wnuczka Percivala Grigoriego ocaliła ci życie.

## **Sala Różana, klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Ewangelina wprowadziła wózek Celestyny do Sali Różanej, ustawiła go przy krańcu długiego, drewnianego stołu konferencyjnego i usiadła. Przy stole siedziało dziewięć zgarbionych, pomarszczonych sióstr - siwe włosy wystawały im spod welonów, plecy zgarbił wiek - była wśród nich matka Perpetua. Wszystkie przyglądały się Ewangelinie i Celestynie z wielkim zainteresowaniem, toteż nie ulegało wątpliwości, że Filomena zdażyła przedstawić im całą sprawę. Przemawiała z pasją, siedząc u szczytu stołu. Na widok rozłożonego na stole listu Gabrielli niepokój Ewangeliny dodatkowo się wzmógł.

- Te informacje - mówiła Filomena, gestem zapraszając siostry, by zapoznały się z listem - przyniosą nam upragnione zwycięstwo, czyli ni mniej, ni więcej tylko całkowite rozgromienie wroga. Jeśli lira faktycznie znajduje się tu, na miejscu, musimy szybko ją znaleźć. Wtedy będziemy mogli działać.

- Wyjaśnij nam, siostró - powiedziała matka Perpetua, przyglądając się Filomenie z powątpiewaniem - co dokładnie oznacza „działać”?

- Siostra Ewangelina jest w kontakcie z człowiekiem, który sądzi, że potrafi rozwiązać zagadkę lokalizacji liry - odparła Filomena. - To niemożliwe, żeby Abigail Rockefeller nie zostawiła instrukcji, jak ją odnaleźć. Czas poznać prawdę. Co przed nami ukrywasz, Celestyno?

Ewangelina zerknęła na Celestynę, niepokojąc się jej stanem zdrowia, który w ciągu ostatniej doby gwałtownie się pogorszył. Staruszka miała twarz jak z wosku, splotła palce rąk i tak bardzo zgarbiła się na wózku, iż wydawało się, że zaraz z niego spadnie. Ewangelina miała wątpliwości, czy Celestyna w ogóle powinna uczestniczyć w spotkaniu, ale kiedy powiedziała jej o wszystkim, co się wydarzyło - o wizycie Verlaine'a i o wiadomości od Gabrielli - staruszka nalegała.

Teraz odezwała się słabowitym głosem.

- Tak jak ty, Filomeno, nie wiem wszystkiego na temat liry. I tak jak ty od lat głowią się, gdzie ona jest. Ale w odróżnieniu od ciebie potrafiłam stłumić pragnienie odwetu.

- Nie tylko dlatego chcę ją odnaleźć. To już czas. Albo znajdziemy ją my, albo nefilimowie.

- Jeszcze jej nie znaleźli - powiedziała Perpetua. - I wygląda na to, że w najbliższym czasie nic się nie zmieni.

- Masz raptem pięćdziesiąt lat, Perpetuo. Za młoda jesteś, żeby zrozumieć, dlaczego nie mogę pogodzić się z bezczynnością - upierała się Filomena. - Nie widziałaś zniszczenia, jakie się dokonało z powodu an-gelologii. Nie patrzyłaś, jak twój ukochany dom stoi w ogniu. Nie straciłaś sióstr. Nie żyłaś w ciągłym strachu, że oni wrócą.

Celestyna i Perpetua zerkały na siebie - na twarzach obu kobiet malowały się obawa i zmęczenie, jakby podobne wywody słyszały już wcześniej. Głos zabrała matka Perpetua:

- Wszystkie doskonale rozumiemy, że wspomnienie ataku w czterdziestym czwartym podsyca twoją wolę walki. Tak, widziałaś największe potworności, do jakich zdolni są nefilimowie, i faktycznie w obliczu takiej grozy trudno popierać bierność. Ale dawno temu głosowałyśmy za zachowaniem pokoju. Za pacyfizmem, neutralnością, tajemnicą. W Świętej Róży kierujemy się tymi właśnie zasadami.

Przemówiła Celestyna:

- Dopóki nie wiadomo, gdzie jest lira, dopóty nefilimowie niczego nie znajdą.

- W takim razie my ją znajdziemy - przekonywała Filomena. - Jesteśmy już blisko.

Celestyna uniosła dłoń i zwróciła się do zebranych wokół stołu sióstr tak cicho, że siedząca naprzeciwko Bonifacja musiała wyregulować aparat słuchowy. Celestyna zacisnęła dłonie na oparciach wózka, aż od wysiłku zbieleły jej kłykie, jakby bała się, że spadnie w przepaść.

- Żyjemy w czasach konfliktu, to prawda. Ale nie mogę się zgodzić z Filomeną. Politykę biernego oporu uważam za świętą. Nie musimy obawiać się najgorszego, bo znamy prawo wszechświata: nefilimowie zatriumfują i upadną. Owszem, stawianie im oporu jest naszym obowiązkiem, ale musimy być do tego gotowe. Przede wszystkim musimy wyrzec się niegodziwych, podstępnych metod naszych wrogów i dochować wierności cywilizowanej, godnej tradycji pacyfistycznej. Siostry, nie porzucajmy ideałów naszych założycielek. Trwajmy w tradycji, czas pokaże, że ostatecznie wygramy.

- Ale my tego czasu nie mamy! - Twarz Filomeny wykrzywił gniew. - Lada chwila tu nadciągną, jak przed wielu laty. Pamiętasz tamto spustoszenie? Pamiętasz ich haniebną, plugawą żądzę krwi? Czyżbyś zapomniała, jaki los spotkał matkę Innocentę? Albo coś zrobimy, albo nas zniszczą.

- Powierzono nam zbyt cenną misję, byśmy działały pochopnie - odparła Celestyna. Twarz jej pokraśniała, a Ewangelina przez krótką chwilę zobaczyła w niej młodą kobietę, która przybyła do klasztoru Świętej Róży przed siedemdziesięciu laty. Mówienie kosztowało ją mnóstwo wysiłku, opadła z sił. Zniosła się kaszlem, drżącą ręką zasłoniła usta. Wobec słabości własnego ciała była dość obojętna, konstatowała tylko, że nawet kiedy ciało powoli obraca się w proch, jej umysł jest rzutki jak zawsze.

- Wątle zdrowie odebrało ci zdolność trzeźwego myślenia - skwitowała Filomena. Czarny welon omiółł jej ramiona. - Nie jesteś w stanie podejmować ważnych decyzji.

Przerwała jej matka Perpetua:

- Innocenta była tego samego zdania. Wiele z nas pamięta, jak żarliwie opowiadała się za biernym oporem.

- I dobrze wiemy, dokąd ją ten bierny opór doprowadził - rzuciła Filomena. - Zabili ją. Bez litości. - Zwróciła się do Celestyny: - Nie masz prawa dłużej taić, gdzie jest lira. W tym liście są wskazówki, jak ją odnaleźć.

- Nic nie wiesz o lirze ani o tym, jak jest niebezpieczna - odparła Celestyna tak cicho, że Ewangelina ledwie dosłyszała jej słowa. Celestyna odwróciła się do niej, położyła rękę na jej ramieniu i wyszeptowała: - Chodźmy, nie ma sensu dłużej się sprzeczać. Muszę ci coś pokazać.

Ewangelina wyprowadziła wózek Celestyny z Sali Różanej i przeszła korytarzem w stronę rozklekotanej windy. Wjechała wózkiem do środka i poprawiła kółka, drzwi domknęły się miękko. Już miała wybrać przycisk czwartego piętra, kiedy Celestyna ją powstrzymała. Uniosła drżącą dłoń i wcisnęła nieoznaczony przycisk. Winda zatrzęsła się i zjechała w dół. Niebawem drzwi rozchyliły się z piskiem. Ewangelina ujęła rączki wózka i wypchnęła go w ciemność. Celestyna sięgnęła do kontaktu, rozlało się słabe światło. Ewangelina przez chwilę oswajała oczy z mrokiem, ale wnet zrozumiała, że są w piwnicy. Z góry dochodził ją pomruk przemysłowych zmywarek i szum wody w rurach odpływowych. Domyśliła się, że są bezpośrednio pod stołówką. Wkrótce dotarły do najdalszego zakątka piwnicy. Celestyna sprawdziła, czy są same, po czym wskazała na zwykłe, drewniane drzwi. Nie było na nich żadnej tabliczki, a wyglądały tak niepozornie, jakby krył się za nimi tylko schowek na szczotki.

Celestyna wyjęła z kieszeni klucz i podała go Ewangelinie, a ta wsunęła go w zamek. Przekręcił się dopiero po kilku próbach.

Ewangelina pociągnęła za wiszący przed progiem sznurek. W świetle żarówki zobaczyła wąski, ceglasty, opadający pod ostrym kątem korytarz. Mocno trzymając wózek, żeby się nie stoczył, ostrożnie stawiała kroki. Światło blade, w końcu korytarza znajdowała się zbutwiała komórka. Dziewczyna szarpnęła za kolejny sznurek, którego w ogóle by nie zauważyła, gdyby nie otarł się o jej policzek, miękki jak pajęczyna. Stara żarówka zapłonęła, sycząc, jakby za chwilę miała się przepalić. Ściany komórki pokrywała pleśń, wokół stały stare ławki. Połamane kawałki witraży i kilka płyt mlecznego marmuru, takiego samego jak na kościelnym ołtarzu, opierały się o

ściany - były to pozostałości materiałów z budowy kościoła Matki Bożej Anielskiej. Pośrodku pomieszczenia stał zardzewiały kocioł, przez lata obrosły warstwą pajęczyn, kurzu i pyłu, grubą jak ciężka, stara skóra. Ewangelina pomyślała, że od wielu lat nikt tu nie sprzątał, może nawet nigdy.

Za kotłem były kolejne niepozorne drzwi. Ewangelina podjechała do nich wózkiem, wyjęła z kieszeni własne klucze i ze zdumieniem otworzyła zamek. Zdawało jej się, że mrok przesłania wielką, umeblowaną salę. Znalazła kontakt na ścianie obok drzwi, a wtedy jej domysły się potwierdziły. Było to długie, wąskie pomieszczenie, niemal tak wielkie jak kościelna nawa, z niskim sufitem wspartym na rzędach belek z ciemnego drewna. Podłogę wyścielały wielobarwne dywany orientalne, szkarłatne, szmaragdowe, granatowe z odcieniem czerwonego, ściany przesłaniały niezliczone, przetykane złotem gobeliny z wizerunkami aniołów. Wyglądały na bardzo stare, może nawet średniowieczne. Pośrodku stał wielki stół, leżały na nim manuskrypty.

- Tajemna biblioteka - wyszeptała Ewangelina, nie mogąc się powstrzymać.

- Owszem - potwierdziła Celestyna. - To czytelnia angelologiczna. W dziewiętnastym wieku odwiedzało nas wielu badaczy i dygnitarzy, spędzali tu sporo czasu. Innocenta organizowała tutaj spotkania. Od lat nikt do czytelnicy nie zaglądał. Tymczasem - dodała - to najbezpieczniejsze miejsce w Świętej Róży.

- Ktoś o nim wie?

- Nieliczni - odparła Celestyna. - Kiedy w czterdziestym czwartym wybuchł pożar, większość sióstr wybiegła na dziedziniec. Matka Innocenta poszła do kościoła, żeby wyprowadzić nefilimów. Przedtem kazała mi tu przyjść i schować do sejfu dokumenty. Nie znałam zbyt dobrze klasztoru, a ona nie miała czasu dokładnie mnie poinstruować, ale trafiłam. Zabezpieczyłam pisma i wyszłam na dziedziniec. Cały klasztor stał już w ogniu. Nefilimowie zbiegli. Innocenta nie żyła. Celestyna dotknęła dłoni Ewangeliny.

- Chodźmy - powiedziała - mam dla ciebie coś jeszcze. - Wskazała na wspaniałą gobelin przedstawiającą zwiastowanie: Gabriel złożył skrzydła, pochylił głowę i przekazywał Dziewicy wieści o narodzinach Chrystusa. - W rzeczy samej jest posłańcem dobrych wieści - oznajmiła Celestyna. - Ale na święte nowiny trzeba zasłużyć. Ty, moja droga, jesteś godna. Odsłoń gobelin.

Ewangelina usłuchała. Uniosła tkaninę. Pod spodem zatopiono w betonie kwadratowy, mosiężny sejf.

- Trzy, trzy, trzy, dziewięć - Celestyna podała kombinację zamka. - Liczba chórów kolejnych hierarchii niebiańskich, a potem ich suma.

Ewangelina przyjrzała się zamkowi, po czym pokręciła gałką najpierw w lewo, potem w prawo, nasłuchując łagodnego zgrzytu metalowych dysków. Rozległo się szcęknięcie. Dziewczyna pociągnęła za rączkę i otworzyła schowek. Wewnątrz zobaczyła zniszczoną, skórzaną walizkę. Drżącymi rękami postawiła ją na stole i przysunęła wózek Celestyny.

- Przywiozłam ją z Paryża. - Celestyna westchnęła, jakby ta chwila była zwieńczeniem wszystkich jej wysiłków. - Leży tu bezpiecznie od czterdziestego czwartego.

Ewangelina musnęła palcami chłodną, nabłyszczaną skórę. Mosiężne zamki lśniły jak świeżo bite monety.

Celestyna zamknęła oczy i mocno chwyciła oparcie wózka.

Pomna jej choroby Ewangelina uświadomiła sobie, jak bardzo musiała staruszkę nadwerżyć wyprawa do klasztornej piwnicy.

- Jest siostra wyczerpana - powiedziała. - Pewnie nie powinnyśmy były tu przychodzić. Trzeba wracać do pokoju.

- Cicho, dziecko - nakazała Celestyna, ucinając protesty młodej mniszki uniesieniem ręki. - Muszę ci przekazać coś jeszcze.

Celestyna wsunęła rękę do kieszeni habitu, wyjęła kartkę i wsunęła ją Ewangelinie do ręki.

- Zapamiętaj ten adres. Tam znajdziesz swoją babkę, głowę Towarzystwa Angelologicznego. Ona dopowie ci całą resztę.

- Znalazłam ten adres dziś rano w swoich aktach w Biurze Misji - powiedziała Ewangelina.

- Tak, to ten sam - potwierdziła Celestyna. - Przyszła kolej na ciebie. Wkrótce zrozumiesz swój cel. Musisz teraz wywieźć walizkę z klasztoru. Nie tylko Percival Grigori szuka listów Abigail Rockefeller.

- Listów? - spytała Ewangelina. - Myślałam, że w walizce jest lira.

- Listy cię do niej zaprowadzą. Nasza droga Filomena szuka ich od ponad pół wieku. Nie są tu już bezpieczne. Musisz je stąd zabrać.

- Jeśli wyjadę, czy będę mogła wrócić?

- Jeśli wrócisz, narazisz siostry na niebezpieczeństwo. Angelologia jest na zawsze. Kto zacznie, nie może jej porzucić. A ty, Ewangelino, właśnie zaczęłaś.

- Przecież siostra ją rzuciła.

- I zobacz, co z tego wynikło. - Celestyna ujęła przytwierdzony do paska różaniec. - Ukrywając się w Świętej Róży, jestem po części odpowiedzialna za niebezpieczeństwo, które grozi teraz młodemu człowiekowi, który cię odwiedził. - Celestyna zamilkła na chwilę, żeby Ewangelina zdążyła przetrwać jej słowa. - Nie bój się - ciągnęła, ściskając dłoń młodej mniszki. - Na wszystko przychodzi czas. Porzucasz to życie, ale dostajesz inne. Dołączysz do długiej, czcigodnej tradycji. Christine de Pizan, Klara z Asyżu, sir Izaak Newton, święty Tomasz z Akwinu - oni nie ulękli się naszej pracy. Angelologia to szlachetne powołanie, być może najszlachetniejsze. Niełatwy jest los wybranych. Trzeba odwagi.

Kiedy Celestyna mówiła te słowa, coś się w niej zmieniło - jej choroba zdawała się cofać, blade, orzechowe oczy płonęły dumą, jej głos był silny i pewny.

- Gabriella będzie z ciebie dumna - dodała. - Ja jestem nawet bardziej. Od chwili kiedy tu przyjechałaś, wiedziałam, że będziesz wyjątkowym angelologiem. Jeszcze na studiach, w Paryżu, potrafiłyśmy z twoją babką wyczytać z twarzy, czy ktoś osiągnie sukces. To coś jak szósty zmysł, umiejętność odkrywania nowych talentów.

- Mam nadzieję, że siostry nie rozczaruję.

- To niesamowite, jak bardzo jesteś do niej podobna. Oczy, usta, sposób chodzenia. Nadzwyczajne. Wyglądasz jak jej bliźniaczka. Modlę się, żebyś odnalazła w angelologii swoje powołanie, tak jak odnalazła je Gabriella.

Ewangelina chciała spytać, co takiego zrobiła jej babka, że utraciła przyjaźń Celestyny, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, starszka odezwała się głosem łamiącym się od emocji:

- Jeszcze tylko jedno. Powiedz mi: kto jest twoim dziadkiem? Jesteś wnuczką doktora Raphaela Valki?

- Nie wiem - odparła Ewangelina. - Ojciec nigdy nie chciał o tym rozmawiać.

Po twarzy Celestyny przemknął cień, ale już po chwili malowała się na niej pełna bojaźni troska.

- Musisz iść - rzekła. - Nie będzie łatwo się stąd wydostać. Ewangelina już miała chwycić rączki wózka, gdy nagle Celestyna przyciągnęła ją i przytuliła. Wyszepiała jej do ucha:

- Powiedz babce, że jej wybaczam. Powiedz, że zrozumiałam, że wtedy nie było łatwych wyborów. Robiliśmy, co trzeba, żeby przeżyć. Powiedz, że to, co się stało Seraphinie, to nie jej wina. Zaklinam cię, powiedz, że wszystko wybaczone.

Ewangelina objęła starszuskę, poczuła przez habit, jak chude i wątłe ma ciało.

Chwyciła walizkę, zważyła ją w dłoni, zawiesiła skórzany pasek na ramieniu i popchnęła wózek w stronę windy.

Wjechały na czwarte piętro, tam Ewangelina musiała być szybka i dyskretna. Czuła, jak klasztor się od niej oddala, zapada w niedostępnym miejscu. Już nie będzie się budzić za kwadrans piąta, by pędzić ciemnymi korytarzami na modlitwę. Pomyślała, że już nigdy żadnego miejsca tak bardzo nie pokocha, ale wiedziała, że rozstanie jest nieuchronne.

## **Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Otterley tyłem wjechała do zatoczki przed ogrodzonym terenem klasztoru, żeby ukryć jaguara w zimozielonych zaroślach. Wyłączyła silnik i wysiadła, zostawiwszy kluczyki w stacyjce. Ustalili, że Percival - którego przerastał najmniejszy wysiłek fizyczny - zostanie w aucie. Otterley bez słowa trzasnęła drzwiami i szybkim marszem ruszyła oblodzoną ścieżką w stronę klasztoru.

Percival dobrze znał Gabriellę i wiedział, że w pojedynkę nikt jej nie schwyta. Poprosił siostrę, żeby zadzwoniła do gibborimów i dowiedziała się, jak im idzie - okazało się, że są kilka mil od nich na południe i przeszukują okolicę na północ od mostu Tappan Zee. Percival wątpił, czy poradzą sobie z Gabriellą, i w razie ich niepowodzenia był gotów sam włączyć się do akcji. Gabriella za nic nie mogła się dostać do Świętej Róży.

Percival spróbował wyprostować nogi, które zdrętwiały, przykurczone w aucie, i wyglądał przez oblodzoną szybę. W oddali widział klasztor, wielki budynek z cegły i kamienia, ukryty pośród drzew. Jeśli udało się zsynchronizować działania, gibborimowie - których Snejka miała wysłać co najmniej stu - powinni już być w pobliżu i czekać na sygnał Otterley. Percival wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer matki, lecz nie podnosiła słuchawki. Od rana co godzina bezskutecznie próbował się do niej dodzwonić. Jeśli akurat anakimka zechciała odebrać, zostawiał jej wiadomości, ale najwyraźniej nie przekazała ich matce.

Percival otworzył drzwi i wysiadł na mroźne, poranne powietrze, sfrustrowany własną niemocą. To on powinien był zorganizować całą akcję i prowadzić gibborimów do klasztoru. Tymczasem nadzorowała ich jego młodsza siostra, a on próbował bezskutecznie skontaktować się z matką, która pewnie wylegiwała się w jacuzzi, a jego stanem w ogóle nie zwracała sobie głowy.

Podszedł na skraj drogi wypatrywać śladu Gabrielli. Po raz kolejny wybrał domowy numer. Tym razem ktoś odebrał po pierwszym dzwonku.

- Tak? - Od razu rozpoznał zachrypnięty, rozkazujący głos.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. Słyszac w tle muzykę i głosy, domyślił się, że matka znów bawi gości.

- A gibborimowie? - spytała. - Są gotowi?

- Otterley poszła wydać im instrukcje.

- Sama? - spytała Snejka z naganą w głosie. - A niby jakim cudem twoja siostra da sobie z nimi radę? Tych samców ma być blisko setka.

Percival poczuł się jak spoliczkowany. Matka doskonale wiedziała, że schorowany niczego nie wskóra. Przekazanie pałeczki Otterley było upokarzające i wymagało od niego nie lada powściągliwości, którą - miał nadzieję - Snejka doceni.

- O nic się nie martw - odparł, panując nad gniewem - Otterley doskonale sobie poradzi, ma wszystkie atuty. Na wszelki wypadek ją obserwuję wejście.

- No cóż - rzekła Snejka - dyskusowanie o atutach Otterley mija się z celem.

Z tonu głosu matki Percival próbował odczytać, o co jej chodzi.

- Czy kiedykolwiek zawiodła?
- Skarbie, ona nie ma jak się wykazać - odpowiedziała Sneja. - Radzi sobie świetnie, ale jest w sytuacji nie do pozazdroszczenia.
- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - przyznał Percival.

W oddali nad klasztorem pojawił się wąziuteńki strumień dymu - znak, że atak się zaczął. Najwyraźniej Otterley skrupulatnie realizowała plan.

- Kiedy ostatni raz widziałeś skrzydła siostry? - spytała Sneja.
- Nie wiem. Wieki temu.
- Powiem ci kiedy. W tysiąc osiemset czterdziestym ósmym, w Paryżu, na jej balu inauguracyjnym.

Percival doskonale pamiętał ten dzień. Jego siostrze właśnie wyrosły skrzydła i tak jak wszyscy młodzi nefilimowie dumnie się z nimi obnosiła. Były wielobarwne, po matce, ale bardzo małe. Miały urosnąć z czasem.

Sneja ciągnęła wątek.

- Nie zastanawiałeś się, czemu Otterley nie prezentuje skrzydeł jak należy? Zdradzę ci powód: bo nie urosły. Są maleńkie i bezużyteczne, to tylko dziecięce wyrostki. Otterley nie może latać i z całą pewnością nie może ich pokazywać. Wyobrażasz sobie, jak żałośnie by wyglądała?

- Nie miałem pojęcia - zdumiał się Percival. Choć żywił do siostry urazę, to jednak był względem niej opiekuńczy.

- Nic dziwnego - skwitowała Sneja. - Jesteś tak skupiony na własnych przyjemnościach i cierpieniach, że właściwie niczego poza nimi nie zauważasz. Otterley próbuje się z tym kryć od ponad wieku, ale prawda jest taka, że różni się i ode mnie, i od ciebie. Twoje skrzydła były wspaniałe, choć fakt faktem, że to było całe wieki temu. Moje są niezrównane. A Otterley? Jest istotą niższą.

- I dlatego uważasz, że nie potrafi pokierować gibborimami. - Percival zrozumiał wreszcie, czemu matka zdradziła mu tajemnicę siostry. - Ze nie poradzi sobie z dowodzeniem.

- Gdybyś tylko mógł zająć właściwe ci miejsce, synu - powiedziała Sneja głosem, w którym pobrzmiwało rozczarowanie, jakby już pogodziła się z porażką Percivala. - Gdybyś to ty walczył o naszą sprawę. Może wtedy...

Percival nie mógł tego słuchać, rozłączył się. Wyszedł na drogę -czarną wstęgę wijącą się pośród drzew i znikającą za zakrętem. Nie mógł zrobić niczego, aby przywrócić chwałę swojego rodu.

## Droga stanowa 9W, Milton, stan Nowy Jork

Jeszcze zanim wjechali na drogę stanową za Miltonem, Gabriella i Ver-laine zdążyli wypalić pół paczki papierosów i zasnuć porsche ciężkim, drażniącym dymem. Verlaine uchylił okno, do środka wpadł strumień lodowatego powietrza. Bardzo chciał poznać dalszy ciąg opowieści Gabrielli, ale wolał nie naciskać. Jego towarzyszka wydawała się zmęczona, wyczerpana wspomnianiem przeszłości - pod oczami miała ciemne kręgi, ramiona lekko się zapadły. Nie wytrzymała minuty bez papierosa. Wirujący w aucie dym niemiłosiernie gryzł Verlaine'a w oczy, ale Gabrielli i w ogóle nie przeszkadzał. Wciskała gaz, pędziła w stronę klasztoru. f Verlaine wyglądał przez okno na nagie, ośnieżone drzewa. Ciągnęły i się wzdłuż drogi: rząd za rzędem огоłoconych przez zimę brzoź, klonów i dębów sięgał aż po horyzont. Verlaine wypatrywał na poboczu znaku, że są już blisko - drewnianej tablicy wskazującej drogę do klasztornej bramy albo górującej ponad drzewami wieży kościelnej. W domu zdążył prześledzić na mapie drogę z Nowego Jorku do klasztoru Świętej Róży, zapamiętał mosty i odcinki dróg. Jeśli się nie mylił, byli w tej chwili zaledwie kilka mil na północ od klasztoru. Zaraz powinni go zobaczyć.

- Popatrz w lusterko - powiedziała Gabriella nienaturalnie spokojnym głosem.

Yerlaine zerknął. W oddali zamajaczył czarny mercedes.

- Jadą za nami od kilku mil. Nie chcą ci odpuścić.
- Jesteś pewna, że to oni?
- Jeśli spróbujemy uciec, przyspieszą. A jeśli nie zboczymy z drogi, to spotkamy się z nimi w Świętej Róży.
- I co wtedy?
- Nie wymkniemy się. Nie tym razem.

Gabriella przyhamowała, szarpnęła kierownicą i ostro skręciła w zwirową drogę. Porsche zatoczył się, zakreślił półokrąg na ośnieżonej drodze i rozpędzony pochylił się do przodu. Przez chwilę wydawało się, że nie podlega grawitacji: jechał po lodzie niby w stanie nieważkości, był tylko metalowym pudełkiem zarzucającym na boki, kiedy usiłował odzyskać przyczepność. Gabriella zwolniła i przytrzymała kierownicę, usiłując zapanować nad pojazdem. Gdy tylko auto się uspokoiło, wdepnęła na gaz i przy ogłuszającym ryku silnika wjeżdżała na długie, łagodne zbocze. Żwir walił w szybę ostrymi seriami.

Verlaine obejrzał się. Czarny mercedes jechał ich śladem.

- No to już wiemy, że to oni - powiedziała Gabriella i docisnęła pedał. Samochód wynosił ich coraz wyżej. Na szczycie zagajnik urywał się, powyżej, jak plama krwi na śniegu, stała zniszczona, czerwona stodoła.

- Uwielbiam to auto, ale szybkie to ono nie jest - stwierdziła Gabriella. - Nie ma mowy, żebyśmy im uciekli. Albo ich zgubimy, albo się gdzieś ukryjemy.

Verlaine się rozejrzył. Od drogi aż do stodoły ciągnęły się tylko nagie, zaśnieżone pola. Za stodołą droga wiała się przez zagajnik na drugie wzgórze.

- Damy radę wjechać pod górę? - spytał.

- Nie mamy wyjścia.

Gabriella minęła stodołę. Stamtąd droga pięła się stromizną. Zanim dojechali do zagajnika, mercedes zdążył odrobić straty. Verlaine wyraźnie widział rysy jadących nim mężczyzn.

Po chwili pasażer mercedesa wychylił się przez okno i strzelił.

Chybił.

- Szybciej nie mogę. - Gabriella była coraz bardziej sfrustrowana. Trzymając jedną ręką kierownicę, podała Verlaine'owi torebkę. - Znajdź ! pistolet.

Verlaine rozpiął torbę i po omacku przekopywał jej zawartość, aż trafił na chłodny metal. Wyjął niewielki, srebrny pistolet.

- Strzelałeś już kiedyś?

- Nigdy.

- Zaraz ci powiem, jak to się robi. Odbezpiecz. Otwórz okno. Trzymaj mocno. Dobrze, ramię prosto.

Verlaine próbował zająć dogodną pozycję, a tymczasem typ z mercedesa znów zaczął strzelać.

- Jeszcze chwila - powiedziała Gabriella. Ostro skręciła na drugi pas, żeby Verlaine mógł trafić w szybę.

- Teraz! - rozkazała. - Strzelaj!

Verlaine wycelował w mercedesa i strzelił. Szyba zamieniła się w pajęczynę szkła. Gabriella ostro zahamowała. Mercedes wjechał w barierkę i wywrócił się na skraju drogi. Spadał w dolinę przy zgrzycie gnieczonego metalu. Koła nadal się kręciły.

- Doskonały strzał - pochwaliła Gabriella, zjechała na pobocze i wyłączyła silnik. - Daj broń. Musimy sprawdzić, czy są martwi.

- To na pewno dobry pomysł?

- Bez dwóch zdań - ucięła, wzięła pistolet, wysiadła z samochodu i przeszła przez barierkę. - Chodź, może się czegoś nauczysz.

Verlaine schodził oblodzonym zboczem po jej śladach. Popatrzył w górę. Zebrały się ciemne chmury. Wisiały nienaturalnie nisko, jakby lada chwila miały opaść na dolinę. Doszli do samochodu, a wtedy Gabriella kazała mu kopniakiem wybić szybę. Wgniółł rozbite szkło obcasem, Gabriella przyklękła i zajrzała do środka.

- Trafiłeś w kierowcę - stwierdziła. Verlaine zerknął na trupa.

- Szczęście początkującego.

- Z całą pewnością. - Wskazała na pasażera, który leżał w odległości dwudziestu stóp od auta z twarzą w śniegu. - Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Musiał wylecieć podczas wywrotki.

Verlaine wstał i zamknął oczy. Nie mógł uwierzyć, że właśnie zabił dwóch ludzi. Wiał lodowaty wiatr, a on nie miał pojęcia, czy drży z zimna, czy z szoku. Kiedy na powrót otworzył oczy, Gabriella myskowała już w samochodzie. Wyłoniła się ze sportową torbą - tą, którą minionego popołudnia Verlaine zostawił w renault.

- To moja - powiedział. - Wczoraj włamali mi się do samochodu i ją zabrali.

Gabriella zajrzała do środka, wyciągnęła segregator i odczytała zawartość.

- Czego szukasz?

- Podpowiedzi, ile wie Percival - wyjaśniła, przeglądając papiery. - Widział to?

- Nie - odparł Verlaine, zerkając znad ramienia Gabrielli. - Ode mnie tego nie dostał, ale może oni go powiadomili.

Gabriella ruszyła z powrotem do porsche.

- Nie ma chwili do stracenia. Naszym drogim siostrom ze Świętej Róży grozi znacznie większe niebezpieczeństwo, niż myślałam.

Na ostatnim odcinku drogi do klasztoru prowadził Verlaine. Zawrócił i wjechał na drogę szybkiego ruchu. Okolica była nieruchoma i spokojna. Wzgórza jakby spały pod pierzyną śniegu. Porzucona stodoła chyliła się ku ziemi, niebo spowiły chmury. Stary porsche okazał się zdumiewająco wytrzymały - miał kilka zadrapań, silnik się krztusił, ale auto niestrudzenie jechało dalej. Właściwie wydawało się, że w ciągu ostatnich dziesięciu minut nic się nie zmieniło poza samym Verlaine'em. Skórzana kierownica ślizgała mu się w rękach, serce waliło jak młotem. Przed oczami widział dwa trupy.

Gabriella wyczuła jego myśli.

- Zrobiłeś to, co należało.

- Nigdy nie miałem broni w ręku.

- To byli brutalni mordercy - ciągnęła oficjalnym tonem, jakby uśmiercanie ludzi było dla niej codziennością. - Na tym świecie jest dobro i zło. Trzeba wyraźnie je odróżniać.

- Tylko że jakoś nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiałem.

- To się zmieni - powiedziała Gabriella - jeśli do nas dołączysz. Verlaine zwolnił, zatrzymał się przed znakiem stopu, skręcił na autostradę. Od klasztoru dzieliło ich zaledwie kilka mil.

- Ewangelina jest jedną z was? - spytał.

- O angelologii wie bardzo niewiele. W dzieciństwie nikt z nią o tym nie rozmawiał. Jest młoda i posłuszna - te cechy byłyby pewnie zawadą, gdyby nie jej nadzwyczajna inteligencja. To ojciec postanowił ją oddać pod opiekę sióstr ze Świętej Róży. Był katolikiem, dla niego romantyczna koncepcja szukania schronienia dla młodych dam w klasztorze była czymś normalnym. Nie potrafił inaczej. Był Włochem. Włosi takie myślenie mają we krwi.



- A ona się zgodziła?  
- Słucham?  
- Twoja wnuczka wyrzekła się wszystkiego, dla czego warto żyć, tylko dlatego, że tak kazał jej ojciec? '  
- Luca przeniósł się do Stanów po śmierci matki Ewangeliny - mojej córki, Angeli. Angela została zamordowana. Luca był bardzo religijny, wyobrażam sobie, że tak też wychował Ewangelinę. Pewnie od małego przygotowywał ją na to, że prędzej czy później trafi do klasztoru. Inaczej 1 nie mogłabym pojąć, czemu w tych czasach młoda, utalentowana dziewczyna miałaby bez oporów wstąpić do zakonu.  
- To pachnie średniowieczem - podsumował Verlaine.  
- Nie znasz Luki - tłumaczyła Gabriella. - I nie znasz Ewangeliny. Oni naprawdę nadzwyczajnie się kochali, byli nierozłączni. Ewangelina zrobiłaby dla niego wszystko, absolutnie wszystko, włącznie z poświęceniem życia Kościołowi.  
Jechali dalej w milczeniu, słychać było tylko warkot silnika. Z obu stron autostradę okalał las. Nie dalej jak przed godziną zdawało się, że jadą na wycieczkę. Teraz każda kępa drzew, każdy zakręt, każda boczna droga mogły kryć zasadzkę. Verlaine docisnął pedał gazu, mknęli coraz szybciej. Stale zerkał w lusterko, jakby lada chwila miał w nim zobaczyć zmartwychwstałych morderców w czarnym mercedesie.

## Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork

Ewangelina nie zdążyła wjechać z Celestyną na czwarte piętro, gdy walizka, którą przewiesiła przez ramię, zaczęła jej ciążyć. Kiedy drzwi się otworzyły, starszuszka powiedziała:

- Biegnij, kochana. Wymknij się, ja odwrócę uwagę siostr. Ewangelina ucałowała Celestynę w policzek i wysiadła. W tej samej chwili Celestyna wcisnęła przycisk, drzwi się zamknęły. Ewangelina została sama.

Poszła do swojej celi, wyjęła z szuflady różaniec i trochę gotówki, którą uzbierała przez lata. Włożyła je do skórzanej walizki. Rozejrzała się po pokoju z bólem serca. Była tak pewna, że jej życie będzie się toczyć jednostajnym rytmem obrzędów, rutyny i modlitwy. Co rano miała się budzić na modlitwę adoracyjną i co wieczór zasypiać w celi ponad mroczną rzeką. W ciągu zaledwie jednej nocy ta pewność się ulotniła, rozpuściła niczym lód w nurtach Hudsonu.

Hałasy na dziedzińcu wyrwały dziewczynę z zadumy. Wybiegła z pokoju, otworzyła okno i spojrzała w dół: na podjazd w kształcie podkowy przed kościołem Matki Bożej Anielskiej zajeżdżał sznur czarnych furgonetek. Drzwi samochodów otworzyły się i na klasztorny trawnik wysiadła grupa osobliwych mężczyzn. Ewangelina zmrużyła oczy, żeby lepiej im się przyjrzeć. Mieli na sobie proste, czarne płaszcze, którymi omiatali śnieg, czarne, skórzane rękawiczki i wojskowe buty. Kiedy szli przez dziedziniec w stronę klasztoru, nagle zrobiło się ich więcej, jakby kolejni wylaniali się z mroźnego powietrza. Ponad granicą ziem klasztornych postacie wyzierały z mrocznego lasu, po czym wspinały się po murze albo przechodziły wielką żelazną bramą. Być może od kilku godzin czekały w ukryciu. Klasztor obiegił gibborimowie.

Przyciskając walizkę, Ewangelina przerażona odeszła od okna i pobiegła korytarzem, waląc w drzwi, żeby oderwać siostry od nauki i modlitwy. Włączyła wszystkie lampy - w ostrym świetle czwarte piętro nie wyglądało już tak przytulnie, blask obnażył wytartą wykładzinę, odpadającą farbę, posępną jednolitość zamkniętej wspólnoty. Jeśli z poprzedniego ataku można było wyciągnąć choć jedną lekcję, to taką, że mniszki muszą natychmiast opuścić klasztor.

Ewangelinie udało się wywabić siostry z pokoju. Wyszły na korytarz, rozglądały się oszołomione, potargane, bez welonów. Z oddali dobiegały okrzyki Filomeny szykującej zakonnice do walki.

- Uciekajcie! - nakazała Ewangelina. - Zejdźcie tylnymi schodami na pierwsze piętro, matka Perpetua powie wam, co robić. Zaufajcie mi. Wkrótce zrozumiecie.

Ewangelina najchętniej sama sprowadziłaby siostry, ale przecisnęła się przez tłum, dotarła do drewnianych drzwi w końcu korytarza, otworzyła je i wbiegła po krętych schodach. W kryjówce na szczycie wieży było lodowato i ciemno. Dziewczyna uklękła i wyjęła ze ściany cegłę. W zagłębieniu spoczywało bezpiecznie metalowe pudełko, a w nim dziennik angelologiczny i fotografia. Ewangelina zerknęła na ostatnią ćwierć zeszytu - tam właśnie Gabriella utrwaliła schludnym, wyraźnym pismem notatki z badań Angeli. Te ciągi liczb kosztowały jej matkę życie. Ewangelina za nic nie mogła ich stracić.

Okno w wieży zamarzło, na szkle powstały białoniebieskie wzory. Ewangelina chuchnęła na szybę i próbowała ją oskrobać - na próżno. Za wszelką cenę chciała zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Zdjęła but, rozbiła okno obcasem, pospiesznie oczyściła ramę z resztek szkła. Przez niewielki otwór mogła teraz wyrzec na dziedziniec.

Do środka wpadło mroźne powietrze. Przez okno widać było otaczające dziedziniec z trzech stron rzekę i las. Pośrodku zebrał się tłum odzianych na czarno postaci. Na ich widok, choć przecież z daleka wydawały się mniejsze, Ewangelina zadrżała. Było ich pięćdziesiąt, może sto, szybko ustawiały się w szeregi.

Nagle, jakby na komendę, jednocześnie zrzuciły czarne płaszcze. Ukazały się nagie, ich ciała jaśniały na śniegu. Gdy tak stały wyprostowane, zwracając uwagę kredowobiałą skórą i nadzwyczajnym wzrostem, przywodziły na myśl galerię greckich posągów w porzuconym pasażu. Wtem otworzyły wielkie, czerwone, spiczaste skrzydła, ich prążkowane pióra lśniły jak krew w nikłym świetle dnia. Ewangelina w jednej chwili je rozpoznała - takie same anielskie istoty widziała w magazynie w Nowym Jorku, do którego poszła za ojcem. Jedyna różnica polegała na tym, że wówczas była jeszcze dzieckiem, natomiast teraz jako dorosła kobieta poczuła, jak nieodparcie nęci ją ich powab. Było to zupełnie nowe uczucie. Ciała tych istot były tak piękne, tak zmysłowe, że przeszedł ją dreszcz. A jednak, mimo mgiełki pożądania, Ewangelina czuła, że pod każdym względem - przez posturę po gigantyczną rozpiętość skrzydeł - są po prostu monstrualne.

Odetchnęła głęboko, żeby uspokoić myśli, i wtem poczuła dziwną woń - ilasty, węglowy, wyraźny zapach dymu. Rozejrzała się. Potwory zebrały się pod klasztorem i wzniecały ogień skrzydłami. Języki ognia sięgały coraz wyżej. Diabły rozpoczęły atak.

Ewangelina schowała notes do walizki i ruszyła schodami do kaplicy Adoracji. Nie wiedziała, jak bardzo rozprzestrzenił się ogień, a uświadomiwszy sobie, że mogła znaleźć się w pułapce, przyspieszyła, ściskając mocno walizkę. Na niższych piętrach powietrze było coraz gęstsze, a zatem pożar zdążył już objąć dolne kondygnacje. Wydawało się niemożliwe, żeby płomienie szerzyły się z taką prędkością i siłą. To potwory były potężnymi skrzydłami, zachęcając płomienie, by pięły się coraz wyżej. Ewangelina zadrżała. Wiedziała, że nic ich nie powstrzyma, że zrównają klasztor z ziemią.

## **Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Verlaine leciwie odczytał napis „Klasztor Świętej Róży” wkomponowany w ozdobną, żelazną bramę klasztoru, okolicę zasnuł tak gęsty dym. Brama była otwarta na oścież. Gabriella zaparkowała samochód. Przed kościołem Verlaine dostrzegł sznur czarnych furgonetek.

- Widzisz tamten wóz? - spytała Gabriella, wskazując białego jaguara ukrytego w zaroślach na krańcu drogi dojazdowej. - To auto Otterley Grigori.

- Krewnej Percivala?

- Jego siostry. Miałam przyjemność poznać ją we Francji. - Gabriella wzięła pistolet i wysiadła z porsche. - Możemy zakładać, że przyjechała z Percivalem i że to właśnie oni wzniecali pożar.

Verlaine zerknął na nieodległy klasztor. Dym przysłańiał wyższe piętra. Na dole panowało poruszenie, ale z tej odległości nie sposób było stwierdzić, co się dzieje. Verlaine wysiadł z auta i ruszył za Gabriella.

- Co robisz? - spytała, wpatrując się w niego z powątpiewaniem.

- Idę z tobą.

- Zostań. Muszę być pewna, że czekasz w samochodzie. Jak znajdę Ewangelinę, trzeba będzie się szybko oddalić. Liczę na ciebie. Obiecuj, że zaczekasz.

Nie czekając na zapewnienie, Gabriella ruszyła w stronę klasztoru. Schowała pistolet do kieszeni długiego czarnego płaszcza.

Verlaine oparł się o czarną furgonetkę i patrzył, jak Gabriella znika za murem. Korciło go, żeby do niej dołączyć wbrew jej prośbie. Już po chwili minął rząd czarnych samochodów i podszedł do białego jaguara. Zajrzał do środka. Na beżowym skórzanym siedzeniu leżała teczka z jego materiałami, a na niej fotokopia trackiej monety. Spróbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Rozejrzał się za czymś, co mogłoby posłużyć za łom. Wtem dostrzegł Percivala Grigoriego - zmierzał w stronę samochodu. Verlaine migiem wskoczył za mur. W odróżnieniu od zeszłego wieczora dziś docenił fakt, że klasztor otoczono solidnym ogrodzeniem. Przeszedł w stronę zabudowań, jego buty skrzypiały na zlodowaciałej skorupie śniegu. Przystanął w miejscu, gdzie w murze była wyrwa, przez którą widział trawnik pośrodku terenu. Widok zdumiał go bez reszty. Zobaczył ścianę ognia, ponad płonącymi budynkami unosił się gęsty, czarny dym. Rojowisko monstrualnych kreatur - lepsze określenie nie przychodziło mu do głowy - buszowało po klasztornych ziemiach. Około setki skrzydlatych, gadzich potworów przypuszczało atak.

Verlaine próbował lepiej im się przyjrzeć. Istoty wyglądały jak krzyżówka ptaka z ludzką bestią, pół ludzie, pół potwory. Z pleców wyrastały im potężne, gęste, czerwone skrzydła. Istoty były nagie, ale ich ciała przesłańiał intensywny blask. Gabriella szczegółowo opisała mu ich wygląd, a on sam rozpoznał przerażającą poświatę, którą zeszłej nocy widział przez okno pociągu, ale tak naprawdę aż do tej chwili nie wierzył, że nefilimów jest tak wielu.

Zza płomieni i dymu wylaniały się kolejne grupy. Jedna po drugiej unosiły się w powietrze, wściekle bijąc potężnymi skrzydłami. Istoty chy-botały się na wietrze, wzbijały wysoko jak latawce. Wydawały się tak lekkie, jakby ich ciała nie były z materii. Ich ruchy świadczyły o wyjątkowej koordynacji i sile - Verlaine w jednej chwili pojął, że bestie są niepokonane. Rozpoczęły niszczycielski taniec napaści, elegancki spektakl przemocy - unosiły się znad ziemi i mijały w powietrzu, kiedy płomienie sięgały coraz wyżej. Verlaine z przerażeniem obserwował zniszczenie.

Jeden z potworów stał na uboczu, na skraju lasu. Chcąc lepiej mu się przyjrzeć, Verlaine zanurzył się w gęste zarośla za murem i podszedł na odległość nie większą niż dziesięć stóp. Stąd dobrze widział charakterystyczny orli nos, złote loki, przerażająco lodowate, błękitne oczy. Wciągnął głęboko słodką woń jego ciała - Gabriella uprzedzała, że ci, którzy mieli szczęście (czy nieszczęście) ją poczuć, nazwali ją ambrozją. Teraz Verlaine nie miał już złudzeń co do zabójczej, kusicielskiej mocy tych istot. Do tej pory wyobrażał sobie, że są szkaradnymi bękartami, owocami największej pomyłki w dziejach, zdeformowanymi hybrydami sacrum i profanum. Przez myśl mu nie przeszło, że mogą być piękne.

Nagle nefilim się odwrócił. Wpatrywał się w zarośla, jakby szukał skrywającego się w nich człowieka. Verlaine widział lśniąca skórę jego szyi, długie, szczupłe ręce, zarys ciała. Kiedy olbrzym stawiał kroki, zmierzając w stronę kamiennej drogi, jego czerwone skrzydła drżały, a Verlaine nagle zapomniał, po co w ogóle tu przybył, czego chciał i co ma robić. Wiedział tylko, że powinien się bać, ale kiedy nefilim się zbliżył, a jego poświata rozświetliła ziemię, ogarnął go osobliwy spokój. Ostra, fosforyzująca luna pożaru mieszała się z wrodzoną jasnością nieziemskiej postaci. Verlaine stał jak urzeczony. Dobrze wiedział, że powinien uciekać, lecz nade wszystko pragnął zbliżyć się do tej postaci, dotknąć jej bladego ciała. Wyszedł z kryjówki i stanął przed nią, jakby się poddawał. Wpatrywał się w wielkie, błękitne oczy, szukając w nich rozwiązania mrocznej tajemnicy.

To, czym zionęły oczy, wstrząsnęło nim do głębi. Nie było w nich I wrogości, tylko przerażająca, zwierzęca nuda, tępota ni to złośliwa, ni życzliwa. Wyglądały jak oczy kogoś pozbawionego zdolności pojmowania tego, na co natrafia wzrok. To były soczewki czystej pustki. Nefilim nie zarejestrował obecności Verlaine'a. Utkwił wzrok ponad nim, jakby człowiek był tylko elementem krajobrazu, pnem drzewa albo kupą liści. Verlaine zrozumiał, że oto stanął przed istotą pozbawioną duszy.

Nefilim szybkim ruchem rozwarł czerwone skrzydła. Wygiął je tak, że najpierw jedno, a potem drugie zabłysło w blasku ognia, zebrał siły, podskoczył i uniósł się lekko jak motyl, żeby dołączyć do atakujących.

## **Kaplica Adoracji, klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork**

Kaplicę Adoracji spowijał dym. Oszołomiona Ewangelina z trudem oddychała rozgrzanym, trującym powietrzem. Piekły ją oczy i skóra, w ciągu kilku sekund obraz przed jej oczami rozmazały łzy. Przez mgłę widziała rozproszone po całej kaplicy sylwetki sióstr. Wydawało jej się, że habity zlewają się jeden z drugim, tworząc płamę uświęconej czerni. Kościół zalało łagodne, okopcone światło, opadło miękko na ołtarz. Ewangelina nie mogła pojąć, czemu pomimo pożaru siostry nadal tu są. Przecież jeśli nie uciekną, zginą. Zdezorientowana zawróciła, żeby wymknąć się przez kościół. Nagle potknęła się, runęła jak długa na marmurową podłogę, obila sobie brodę. Wypuściła z ręki walizkę, która znikła w kłębach dymu. Ku zgrozie dziewczyny z obłoku wyłoniła się zastygła w przerażeniu twarz siostry Ludwika. To o jej ciało Ewangelina się przewróciła. Wózek leżał obok, jedno kółko jeszcze się kręciło. Pochyliwszy się nad Ludwiką, Ewangelina położyła ciepłe dłonie na jej policzkach i wyszeptała modlitwę - ostatnie pożegnanie najstarszej członkini wspólnoty. Delikatnie zamknęła oczy staruszki.

Chodząc na czworakach, rozejrzała się wokół, próbując rozeznac się w sytuacji. Podłoga była usłana zwłokami. Między ławkami leżały ciała czterech zakonnic, które podjąwszy decyzję o pozostaniu na miejscu, zaczadziały. Ewangelina poczuła, jak ogarnia ją rozpacz. W witrażach, które oparły się pożarowi, gibborimowie wybili potężne dziury, rzucając w nie gruzy. Odłamki kolorowego szkła zasłały całą kaplicę - na białej, marmurowej podłodze wyglądały jak cukierki. Ławki były połamane, maleńki złoty zegar zmiażdżony, klęczniki rozbite, marmurowe posągi aniołów ukruszone. Przez rozbite okno widać było trawnik przed klasztorem. Na śniegu aż roilo się od potworów. Gryzący dym przypominał Ewangelinie, że klasztor nadal stoi w ogniu. Widok był tak potworny, że zaparło jej dech w piersiach. Do zdewastowanego kościoła wpadał porywisty wiatr i szalał po ruinach. Najgorsze było to, że klęczniki przed hostią stały puste. Łańcuch wieczystej modlitwy został przerwany.

Powietrze tuż nad podłogą było nieco chłodniejsze, a dym rzadszy, toteż Ewangelina położyła się na brzuchu i zaczęła czołgać, żeby odnaleźć walizkę. Opary przeobraziły dobrze znane jej pomieszczenie w niebezpieczne miejsce - bezkształtne, mgliste pole minowe naszpikowane niewidocznymi zasadzkami. Dziewczyna nie mogła przeczołgać się z kaplicy do kościoła, żeby wydostać się na zewnątrz, bo straciłaby walizkę. Dym gryzł ją w oczy, ramiona bolały z wysiłku.

Wreszcie dostrzegła błysk metalu - mosiężne zamki lśniły w płomieniach ognia. Ewangelina chwyciła rączkę, przyciągnęła walizkę. Skóra była osmalona. Dziewczyna wstała, próbowała rękawem chronić nos i usta przed dymem. Przypomniała sobie pytania, które zadał jej w bibliotece Verlaine, tę jego palącą ciekawość związaną z umiejscowieniem pieczęci na szkicach matki Franciszki. Ostatni list babki potwierdził teorię Verlaine'a: szkice architektoniczne powstały po to, aby wskazać kryjówkę skarbu - była to tajemnica, którą matka Franciszka zabrała do grobu i której strzegła od blisko dwustu lat. Precyzja, z jaką wyrysowano plan kaplicy, nie pozostawiała wątpliwości: matka Franciszka umieściła coś w tabernakulum.

Po omacku Ewangelina weszła na schody przed ołtarzem, kierowała się w stronę zdobnego tabernakulum, które umieszczono na marmurowej kolumnie. Drzwiczki udekorowano złotymi literami alfa i omega, symbolami początku i końca. Tabernakulum było

rozmiarów niewielkiej szafki, jednak z pewnością mogło pomieścić coś cennego. Ewangelina przytrzymała walizkę pod pachą i pociągnęła za drzwiczki. Były zamknięte.

Wtem rozległ się zgiełk, ktoś wszedł do kaplicy. Ewangelina odwróciła się w tej samej chwili, kiedy dwa potwory roztrzaskiwały witraż z wizerunkiem pierwszej hierarchii anielskiej. Złote, czerwone i niebieskie odłamki posypały się na głowy sióstr. Ewangelina przyklękała za ołtarzem, czuła, jak na widok gibborimów cierpie jej skóra. Byli jeszcze więksi, niż wydawali się jej z wieży, wysocy i chudzi, mieli wielkie, czerwone oczy i ruchliwe, szkarłatne skrzydła, które przysłaniały ich ramiona jak peleryna.

Jeden z potworów rozszarpywał klęczniki, rzucał je na podłogę i deptał, drugi szybkim ruchem odciął głowę marmurowemu posągowi anioła. Kolejny, po drugiej stronie kaplicy, pochwycił złoty świecznik i rzucił go z mocą w witraż: piękny wizerunek archanioła Michała na całą ścianę. Szkło natychmiast się rozprysło, rozległa się symfonia łoskotu, jakby naraz zaczęło dzwonić tysiąc cykad.

Przycupnięta za ołtarzem Ewangelina przyciskała walizkę do piersi. Musiała stąpać jak najostrożniej. Nawet lekki szmer zdradziłby jej obecność. Rozejrzała się po kaplicy za najlepszą drogą ucieczki, a wtedy spostrzegła klęczącą w kącie Filomenę. Ta powolnym gestem kazała jej być cicho, patrzyła i czekała. Z ukrycia obok tabernakulum Ewangelina obserwowała, jak staruszka czołga się po marmurowej podłodze w stronę ołtarza.

Wtem zdumiewająco szybkim, precyzyjnym ruchem Filomena chwyciła zawieszoną wysoko ponad ołtarzem monstrancję. Złote naczynie było wielkości kandelabra, musiało być potwornie ciężkie. Filomena uniosła je ponad głowę, po czym gruchnęła nim o podłogę. Monstrancja była wykonana ze szczerzego złota, więc upadek jej nie uszkodził. Tylko małe krysztalowe oko - kula, w której umieszczono hostię - pękło. Odgłos nie pozostawiał co do tego wątpliwości.

To, co zrobiła Filomena, było tak strasznym aktem świętokradztwa, tak przerażającym zaprzeczeniem modlitw i wierzeń sióstr, że Ewangelina zamarła ze zdumienia. Pośród dokonującego się zniszczenia, w obliczu śmierci sióstr, taki akt wandalizmu nie miał żadnego uzasadnienia. Filomena tymczasem dalej waliła monstrancją w podłogę, usiłując wybić szybkę. Ewangelina cofnęła się, nie mogła pojąć napadu szału starszej zakonnicy.

Bestie natychmiast zainteresowały się Filomeną. Szły w jej stronę, ich karminowe skrzydła pulsowały równo z oddechem. Nagle jeden z potworów rzucił się na zakonnice. W fanatycznym szale, z mocą, o jaką Ewangelina nigdy by jej nie podejrzewała, Filomena wyswobodziła się z uścisku bestii, jednym, pewnym ruchem szarpnęła za wielkie, czerwone skrzydła i je wykręciła. Jedno z nich, naderwane, odstawało od ciała. Gibborim upadł na podłogę. Wił się w rosnącej kałuży gęstego, błękitnego płynu, który sączył się z rany, i jęczał w straszliwej agonii. Ewangelinie zdawało się, że trafiła do piekła. Najświętsza kaplica - miejsce codziennej modlitwy - została zbezczeszczona.

Filomena podniosła monstrancję. Oczyszczyła otwór z odłamków szkła i w triumfalnym geście uniosła coś ponad głowę. Ewangelina wyteżyła wzrok i dostrzegła małe kluczyk. W jednej chwili poczuła, że ma dość tajemniczych kluczy i listów, które od wczoraj zdawały się ją prześladować. Filomena zacięła się szkłem, po jej rękach spływały strużki krwi. Dla Ewangeliny był to widok zupełnie odrażający - na skulone ciało bestii z oderwanym skrzydłem nie mogła nawet spojrzeć - natomiast Filomena wydawała się nieprzejęta. Dopuściła się strasznego gwałtu, ale dokonała odkrycia. Za to dziewczyna ją podziwiała.

Filomena zawołała Ewangelinę, ale było już za późno: bestie rzuciły się na nią jak jastrzębie na gryzonia. Rwały jej szaty, czarny habit furkotał pośród oleistych, czerwonych skrzydeł. Resztką sił udało się staruszce wyswobodzić na tyle, by rzucić Ewangelinie kluczyk. Dziewczyna podniosła go z podłogi i schowała się za marmurową kolumną.

Na rozczłonkowane, zwęglone ciało Filomeny padło zimne światło. Morderczy gibborimowie przeszli na środek kaplicy z rozpostartymi skrzydłami, jakby w każdej chwili mieli się unieść w powietrze.

Ewangelina zerknęła w stronę drzwi - pod łukiem stał w ścisłym tłumie sióstr. Chciała krzyknąć, ostrzec je, ale zanim wydobyła z siebie głos, czarna plama habitów pękła na pół i spomiędzy zakonnicy wyłoniła się Celestyna, pomocnice popychały jej wózek. Nie miała na głowie welonu, a siwizna wydobyła na jej twarzy głębokie bruzdy smutku. Mniszki poprowadziły wózek pod ołtarz, wzdłuż drogi usłanej czarnymi habitami i białymi opaskami.

Gibborimowie obserwowali, jak Celestyna zbliża się do ołtarza. Pomocnice zapaliły świece. Kawałkami zwęglonych drzewców narysowały wokół niej na podłodze symbole - tajemne pieczęcie, które Ewangelina знаła z notosu angelologicznego babki. Wielokrotnie je oglądała, ale nigdy nie poznała ich znaczenia.

Nagle ktoś dotknął jej ramienia. Ewangelina odwróciła się i znalazła w objęciach Gabrielli, na której szyi lśnił złoty wisiorek, dokładnie taki sam, jaki podarowała wnuczce. Na moment ulotniła się groza, a Ewangelina była tylko młodą dziewczyną w objęciach ukochanej babki. Gabriella ucałowała ją i odwróciła się w stronę Celestyny. Obserwowała poczynania sióstr okiem znawcy. Ewangelina patrzyła na babkę wzruszona - była znacznie starsza i chudsza, niż ją zapamiętała, ale w jej uścisku Ewangelina odnalazła znajome poczucie bezpieczeństwa. Jakże chciała z nią pomówić! Miała tyle pytań. Może Gabriella potrafiłaby ją uspokoić.

- Co one robią? - spytała.

- Celestyna przygotowuje kwadrat magiczny w świętym kręgu. To wstęp do ceremonii przywołania.

Mniszki przyniosły wieniec z lilii i założyły Celestynie na głowę. Gabriella objaśniała:

- Ukoronowanie wieniec z lilii to znak dziewiczej czystości osoby przywołującej. Znam ten rytuał doskonale, ale tylko w teorii. Przyzywanie anioła to najpotężniejszy środek ratunku, natychmiastowa eliminacja wrogów. Wobec obłąkania klasztoru i przewagi liczebnej wroga to może być dobre wyjście, może nawet jedyne. Ale to nieprawdopodobnie niebezpieczna metoda, zwłaszcza dla kobiety w wieku Celestyny. Korzyści są zwykle niewspółmierne do zagrożenia, zwłaszcza kiedy anioły wzywa się do walki.

Ewangelina popatrzyła na babkę. Nie rozumiała.

- Walka - powtórzyła Gabriella. - Tego właśnie chce Celestyna.
- Gibborimowie nagle się uspokoili.

- Celestyna ich zahipnotyzowała, rzuciła na nich urok. Nauczyłyśmy się tego w młodości. Widzisz jej ręce? Ewangelina wyteżyła wzrok. Celestyna splotła ręce na piersi, palce I wskazujące wygięła w stronę serca.

- To ich na chwilę oszalała - wyjaśniła Gabriella. - Niestety, na fl bardzo krótko, Celestyna musi się spieszyć. Staruszka uniosła ramiona w górę, zdejmując z gibborimów zaklęcie. Zanim zdążyli zaatakować, zaczęła mówić. Sklepienie kaplicy niesło jej I głos echem.

- Angele Dei, qui custos es met, me tibi commissum pietate superna, I illumina, custodi, rege et gubernata.

Ewangelina rozpoznała łacińskie słowa. Zrozumiała, że to magiczna formuła, i ze zdumieniem stwierdziła, że to zaklęcie zaczyna działać. I zaczęło się od leciutkiego podmuchu wiatru, który w ciągu kilku sekund I przeobraził się w rozbijającą się po nawie wichurę. Pośrodku wiru, | w oślepiającym błysku światła, zajaśniała nad Celestyną postać. Ewan- A gelina zapomniała o zagrożeniu związanym z wezwaniem i o niebezpie- I czeństwie ze strony bestii bez reszty pochłonięta widokiem. I

Anioł był potężny, jego złote skrzydła rozpościerały się na szerokość centralnej kopuły, ramiona rozłożył tak, jakby zapraszał zebranych, by podeszli bliżej. Bił od niego intensywny blask, jego szaty płonęły jaśniej niż ogień. Na zakonnice i marmurową podłogę kościoła rozlało się płynne jak lawa światło. Anioł unosił się ponad ludźmi i wydawał się zarazem cielesny i niematerialny; Ewangelina mogłaby przysiąc, że jego ciało jest przezroczyste. Najbardziej zdumiewające było to, że zaczął upodabniać się do Celestyny - przeobraził się w jej postać z młodości. Kiedy przyjął postać przywołującej i stał się jej bliźniaczym, skrzydlatym odbiciem, Ewangelina zobaczyła, jak wyglądała Celestyna jako młoda dziewczyna. Anioł unosił się w powietrzu, lśniący, spokojny. Kiedy przemówił, po kościele rozniosły się słodkie, radosne dźwięki wibrujące niezwykłym urokiem.

- Czy przyzywasz mnie w dobrych zamiarach?

Z niebывалą łatwością Celestyna wstała z wózka i uklękła pośrodku kręgu świec w rozkloszowanej białej szacie.

- Wzywam cię jako sługę Pana, byś dopełnił Pańskie dzieło.

- W Jego świętym imieniu - odparł anioł - pytam o czystość twoich intencji.

- Są tak czyste, jak Jego Święte Słowo. - Głos Celestyny nabierał mocy, jakby obecność anioła dodała jej sił.

- Nie obawiaj się, bo jestem posłańcem Pana - słowa anioła rozbrzmiewały cudowną czystą muzyką. - Wysławiam Jego chwałę.

Wtem cały kościół rozbrzmiał melodią niebiańskiego chóru.

- Stróżu nasz - mówiła Celestyna - tę świątynię zbezczeszczył smok. Nasz dom został spalony, siostry pomordowane. Tak jak Archanioł Michał zmiażdżył głowę węża, tak ty zmiażdż nieczystych intruzów.

- Poucz mnie - rzekł anioł, bijąc skrzydłami i prężąc gibkie ciało -gdzie skryły się diabły?

- Są tu, wśród nas, niszczą święty przybytek Pana.

W okamgnieniu, zanim Ewangelina zorientowała się, co się dzieje, anioł przeobraził się w ścianę ognia, rozdzielił się na setki języków, a z każdego płomienia wyrósł kolejny anioł. Dziewczyna chwyciła babkę za rękę, zapierając się przed szalejącym wiatrem. Piekły ją oczy, ale nie mogła oderwać wzroku od wojowniczych aniołów, które z uniesionymi mieczami zstąpiły w kaplicy. Zakonnice rozpierzchnęły się w panice, biegły na oślep, wytrącając Ewangelinę z transu, w jaki wprawiała ją ceremonia przywołania. Na gibborimów spadła śmierć - przewracali się przed ołtarzem, próbowali unieść się do sklepienia i padali na ziemię.

Gabriella podbiegła do Celestyny, Ewangelina tuż za nią. Staruszka leżała na podłodze, w rozrzuconej wokół szacie, z przekrzywionym wieńcem na głowie. Ewangelina dotknęła jej policzka - był gorący, rozpalony wskutek ceremonii. Dziewczyna wpatrywała się w staruszkę, nie mogąc pojąć, jak ta krucha, małowówna staruszka mogła zgładzić potwory.

Jakimś cudem wichura nie zgasiła świec, jakby gwałtowne objawienie się anioła nie dokonało się w świecie materialnym. Płomienie rozświetlały twarz Celestyny. Ewangelina poprawiła jej szatę, delikatnie wygładzając białą tkaninę. Ręka staruszki, przed chwilą gorąca jak ogień, była teraz zupełnie zimna. W ciągu jednego dnia Celestyna stała się najprawdziwszą opiekunką Ewangeliny, przeprowadziła ją przez chwile zamętu i wskazała właściwą drogę.

Ewangelina nie była pewna, ale wydawało jej się, że oczy Gabrielli zasły łzami.

- Doskonała ceremonia, najdroższa przyjaciółko - wyszeptła Gabriella, pochylając się i całując czoło Celestyny. - Po prostu doskonała.

Przypomniawszy sobie o Filomenie, dziewczyna otworzyła dłoń i dała babce kluczyk.

- Skąd go masz? - spytała Gabriella.

- Z monstrancji - Ewangelina wskazała odłamki kryształu na ziemi. -Był w środku.

- Więc tam go schowały - Gabriella obróciła kluczyk w dłoni. Podeszła do tabernakulum, wsunęła go do zamka i otworzyła drzwiczki. W środku znajdowała się niewielka skórzana torba.

- Nic tu więcej nie zdziałamy - powiedziała Gabriella i skinęła na Ewangelinę.- Chodź, trzeba natychmiast stąd uciekać. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

## Klasztor Świętej Róży, Milton, stan Nowy Jork

Verlaine szedł klasztornym trawnikiem, zapadając się w śniegu. Przed kilkoma chwilami obłożony gmach niemal się zawalił: klasztor stał w ogniu, po dziedzińcu krążyły ohydne, dzikie bestie. Wtem ku bezbrzeżnemu zdziwieniu Verlaine'a walka ustała. W jednej chwili ogień znikł, pozostawiając osmalone cegły, syczący metal i gryzący zapach węgla. Bestie zawisły w locie i jak porażone prądem padły na ziemię; na śniegu leżały stopy połamanych ciał. Verlaine rozejrzał się po cichym podwórku, ostatek dymu uniósł się w popołudniowe niebo.

Przyklęknął nad jednym z ciał. Bestia nie tylko przestała jaśnieć, ale też zupełnie się przeobraziła. Po śmierci skóra gibborima pokryła się niedoskonałościami: pełno było na niej piegów, pieprzyków, blizn, kępek czarnych włosów. Paznokcie szerniały. Verlaine obrócił ciało na brzuch; skrzydła znikły, został po nich tylko czerwony pył. Za życia istota była pół człowiekiem, pół aniołem. Po śmierci nie miała w sobie nic anielskiego.

Verlaine'a dobiegły odgłosy z głębi kościoła. Zakonnice wylęgały na zewnątrz i wspólnymi siłami ciągnęły ciała potworów nad rzekę. Verlaine na próżno wypatrywał Gabrielli. Widział tylko dziesiątki mniszek w ciężkich płaszczach i grubych butach. Kobiety wykonywały nieprzyjemne zadanie z zadziwiającą determinacją; dzieliły się na małe grupki i natychmiast przystępowały do pracy. Zwłoki bestii były ogromne i bezwładne - żeby je przeciągnąć, trzeba było czterech sióstr. Zakonnice wlokły ciała powoli przez dziedziniec na brzeg rzeki, żłobiąc w śniegu rów. Ułożywszy ciała pod brzoza, jedno na drugim, siostry sturlały je do rzeki. Zwłoki zapadały się pod szklistą powierzchnią, jakby były z ołowiu.

Tymczasem z kościoła wyłoniła się Gabriella z młodą kobietą, obie poczerwiałe od dymu. W twarzy młodej dziewczyny rozpoznał rysy Gabrielli - kształt nosa, zarys brody, wysokie kości policzkowe. To była Ewangelina.

- Chodźmy - powiedziała Gabriella do Verlaine'a. Pod pachą trzymała brązową walizkę. - Nie ma czasu do stracenia.

- W porsche są tylko dwa miejsca - mówiąc te słowa, Verlaine zdał sobie sprawę z wagi problemu.

Gabriella stanęła jak wryta. Najwyraźniej nie chciała okazać, jak bardzo wyprowadziła ją z równowagi myśl, że tego nie przewidziała.

- Coś nie tak? - spytała Ewangelina, a Verlaine znów poczuł, jak pociąga go jej melodyjny głos, spokój, cień Gabrielli w jej rysach.

- Mamy trochę za mały samochód - wyjaśnił.

Ewangelina mu się przypatrzyła. Trwało to nieco zbyt długo, jakby studiowała go, żeby sprawdzić, czy to ten sam człowiek, którego poznała zaledwie dzień wcześniej. Uśmiechnęła się, a on był już pewien, że się nie mylił. Coś między nimi zaiskrzyło.

- Chodźcie - Ewangelina obróciła się i ruszyła szybkim, pewnym krokiem. Minęła dziedziniec, jej małe, czarne buty zapadały się w śniegu.

Verlaine poszedłby za nią na koniec świata.

Ewangelina przecisnęła się między dwiema furgonetkami i poprowadziła ich oblodzonym chodnikiem do bocznych drzwi garażu. W środku było chłodno, dym nie zdążył zasnuć pomieszczenia. Dziewczyna pomachała zdjętymi z haczyka kluczami.

- Wsiadajcie - wskazała czterodrzwiowy, brązowy sedan. - Ja prowadzę.

## Chór Niebiański



Po chwili anioł zaczął śpiewać, jego głos wznosił się i opadał wraz z dźwiękami liry. Powoli do chóru dołączali inni, każdy głos dźwięczał, składając się na muzykę niebios, wyśpiewywaną przez rzeszę jak ta, którą opisał Daniel, dziesięć tysięcy po dziesięć tysięcy aniołów.

Czcigodny ojciec Clematis z Tracji  
Notatki z pierwszej wyprawy angeblogicznej  
w przekładzie dr. Raphaela Valki



## **Penthouse Grigorich, Upper East Side, Nowy Jork**

**24 grudnia, godzina 12.41**

Percival stał w sypialni matki - pustym, nieskazitelnie białym pomieszczeniu na najwyższym piętrze apartamentu. Za ścianą okien jawił się szary miraż budynków poprzecinanych błękitnym niebem. Na przeciwległej ścianie popołudniowe słońce ślizgało się po szkicach Gus-tave'a Dore, które ojciec Percivala podarował matce przed wielu laty. Szkice przedstawiały skąpane w świetle zastępy aniołów - niezliczone szeregi skrzydlatych posłańców rozstawione w kręgach,

wyróżniające się na tle subtelnego wystroju wnętrza. Dawniej Percival czuł z nimi pokrewieństwo. Teraz nie mógł nawet na nie patrzeć.

Sneja rozciągnęła się wygodnie na łóżku, spała. Jej skrzydła skurczyły się w fałdę gładkiej skóry na plecach; wyglądała jak niewinne, syte dziecko. Percival położył rękę na jej ramieniu. Gdy tylko wypowiedział jej imię, natychmiast otworzyła oczy i wbiła w niego wzrok. W jednej chwili ulotniła się jej senna aura. Usiadła na łóżku, rozłożyła skrzydła i okryła nimi ramiona. Były idealnie oporządzone, a warstwy kolorowych piór tak starannie ułożone, jakby czyściła je tuż przed drzemką.

- Czego chcesz? - spytała, lustrując syna od góry do dołu. Prezentował się żałośnie. - Co ci się stało? Wyglądasz koszmarnie.

Usiłując zachować spokój, Percival odparł:

- Musimy pomówić.

Sneja zsunęła nogi na podłogę, wstała i podeszła do okna. Było wczesne popołudnie. W bladym świetle jej skrzydła wyglądały jak pokryte masą perłową.

- Dobrze wiesz, że to pora mojej drzemki.

- Gdyby rzecz nie była pilna, nie zawracałbym ci głowy.

- Gdzie Otterley? - spytała matka ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad ramieniem syna. - Udał się na lot? Nie mogę się doczekać, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Tak dawno nie zatrudnialiśmy gibborimów. - Sneja zerknęła na Percivala; jego przygnębienie było oczywiste. - Sama powinnam była się tam wybrać. Płomienie ognia, łopot skrzydeł, krzyki ofiar: zupełnie jak za dawnych lat.

Percival przygryzł wargę; nie wiedział, co powiedzieć.

- Ojciec przyjechał z Londynu. - Sneja otuliła się długim, jedwabnym kimonem. Jej skrzydła - zdrowe, bezcielesne, jak niegdyś skrzydła Percivala - bez trudu prześliznęły się przez tkaninę. - Chodź. Zapewne właśnie je lunch.

Percival poszedł za matką do jadalni. Za stołem siedział Percival Grigori II, przeciętnej postury nefilim, w wieku około czterystu lat, uderzająco podobny do syna. Zdjął marynarkę, wystawił skrzydła przez koszulę. W czasach uczniowskich Percival dość często pakował się w kłopoty - ojciec zawsze czekał na niego w gabinecie, podobnie nerwowo poruszając skrzydłami. Pan Grigori był srogi, zimny i brutalny, przy czym skrzydła doskonale odzwierciedlały jego temperament: były skromne i wąskie, o piórach barwy rybiej łuski czy okopconego srebra, a do tego brakło im zarówno szerokości, jak i rozpiętości. Były pełnym przeciwieństwem skrzydeł matki - barwnych i rozłożystych. Zdaniem Percivala ta różnica była jak najbardziej stosowna. Rodzice nie mieszkali razem od blisko stu lat.

Pan Grigori postukiwał w stolik wiecznym piórem Meisterstück z okresu drugiej wojny światowej - była to kolejna oznaka zniecierpliwienia i irytacji, którą Percival dobrze pamiętał z dzieciństwa. Ojciec spojrzał na syna i powitał go słowami:

- Gdzieś ty był? Cały dzień czekamy na wieści.

Sneja ułożyła skrzydła i usiadła przy stole. Zwróciła się do Percivala:

- Właśnie, kochanie, jak poszło w klasztorze?

Percival padł na krzesło u szczytu stołu, postawił obok łaskę i z trudem zaczerpnął oddechu. Ręce mu się trzęsły. Było mu jednocześnie gorąco i zimno. Przepocił ubranie na wskroś. Z każdym oddechem czuł ogień w płucach, jakby powietrze podsycalo tłący się w nich żar. Powoli się dusił.

- Uspokój się, synu. - Grigori wbił w syna pogardliwy wzrok.

- Jest chory - warknęła Sneja, kładąc tłustą dłoń na ramieniu syna. - Nie spiesz się, najdroższy. Powiedz, co cię doprowadziło do takiego stanu.

Rozczarowanie ojca i rosnąca bezradność matki były oczywiste. Percival próbował zebrać siły, żeby powiedzieć o katastrofie. Sneja nie odbierała telefonów przez cały ranek ani potem, gdy samotnie wracał do miasta. Wolałby nie przekazywać tych wieści osobiście. Wreszcie się odezwał.

- Misja się nie powiodła.

Sneja zamarła. Ton głosu syna podpowiedział jej, że to nie koniec złych wieści.

- Niemożliwe - stęknęła.

- Jadę prosto z klasztoru - podjął Percival. - Widziałem wszystko na własne oczy. Zostaliśmy rozgromieni.

- Co z gibborimami? - spytał ojciec.

- Już po nich - odparł Percival.

- Wycofali się? - dopytywała Sneja.

- Zostali zabici - spreycyzował Percival.

- Niemożliwe - rzucił Grigori. - Posłaliśmy blisko setkę najsilniejszych wojowników.

- Padli co do jednego - ciągnął Percival. - Zginęli momentalnie. Obejrzałem miejsce walki, widziałem okaleczone, zwęglone ciała. Nikt nie ocalał.

- To nie do pomyślenia - skomentował ojciec. - Za mojego życia nigdy nie doszło do takiej porażki.

- To nie stało się w sposób naturalny - wyjaśnił Percival.

- Chcesz powiedzieć, że nastąpiło przywołanie? - Sneja była zupełnie oszołomiona.

Percival złożył dłonie na stole; z ulgą stwierdził, że przestały drżeć.

- Nie sądziłem, że to możliwe. W końcu niewielu żyje jeszcze angelologów, którzy potrafią odprawić ceremonię, zwłaszcza w Ameryce - nie ma ich przecież kto uczyć. Ale nic innego nie tłumaczy totalnej zagłady.

- Co na to Otterley? - Sneja odsunęła krzesło i wstała. - Z całą pewnością nie wierzy, żeby mieli dość sił, by dokonać przywołania. Ta praktyka już wymarła.

- Matko - głos Percivala łamał się od emocji - nikt nie przeżył. Sneja spojrzała na Percivala, a potem na męża, jakby dopiero jego

reakcja mogła uwiarygodnić słowa syna.

Ze wstydem i z rozpaczą Percival mówił dalej:

- Kiedy to nastąpiło, byłem w pewnej odległości od klasztoru, ale widziałem straszliwy rój aniołów. Opadli na gibborimów. Otterley też tam była.

- Widziałeś jej ciało? - spytała Sneja, krążąc po pokoju. W odruchu obronnym bezwiednie przyciskała skrzydła do ciała. - Jesteś pewien?

- Tak - potwierdził Percival. - Widziałem, jak kobiety pozbywały się zwłok.

- A skarb? - syknęła Sneja z wściekłością. - A twój zaufany pracownik? A Gabriella Levi-Franche Valko? Nie mów, że ponieśliśmy same straty.

- Zanim dotarłem na miejsce, już ich nie było - wyjaśnił Percival. - Porsche Gabrielli zostało przed klasztorem. Zabrali skarb i uciekli. To koniec. Nie ma nadziei.

- Czy aby dobrze cię zrozumiałem? - pan Grigori przemówił z lodowatym spokojem, który tak przerażał Percivala w dzieciństwie. - Pozwoliłeś, żeby siostra sama wzięła udział w ataku. Potem pozwoliłeś zbiec angelologom, którzy ją zabili, co oznacza, że straciłeś szansę na odzyskanie skarbu, którego szukamy od tysiąca lat. I ty mówisz, że to koniec?

Percival spojrział na ojca oczami pełnymi nienawiści. Jak to możliwe, że nie słabł z wiekiem, podczas gdy on, którego energia powinna rozpierać, był tak cherlawy?

- Znajdziesz ich - rozkazał ojciec, wstając i rozpościerając skrzydła. - Znajdziesz ich i odzyskasz instrument. Będziesz mnie informował o postępach. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zwyciężyć.

## Upper West Side, Nowy Jork

Ewangelina skręciła w zachodnią 79. ulicę, jechała powoli za autobusem. Zatrzymała się na czerwonym świetle i rozejrzała po Broadwayu. Zmrużyła oczy, poddając się fali wspomnień. Tyle razy przechadzała się z ojcem po okolicy; zwykle jedli śniadanie w jednej z tłocznych jadłodajni wciśniętych między ulice. Masa ludzi, którzy brnęli przez topniejący śnieg, natłok budynków, nieustający ruch samochodów - po tylu latach w Miltonie Ewangelina nadal czuła się w Nowym Jorku jak w domu.

Gabriella mieszkała zaledwie kilka przecznic stąd. Choć Ewangelina nie była w mieszkaniu babki od dzieciństwa, dobrze je pamiętała: stonowaną fasadę z czerwonego piaskowca, elegancki metalowy płot, sąsiedztwo parku. W klasztorze często przywoływała w pamięci znajome widoki, dziś jednak myślała tylko o Świętej Róży. Wiedziała, że nie zapomni, jak patrzyły na nią siostry, kiedy wychodziła z kościoła - oskarżały ją wzrokiem o sprowokowanie ataku, o to, że nikt inny, tylko najmłodsza siostra, ściągnęła na wspólnotę gibborimów. Mijając mniszki, powtarzała sobie, że nie wolno się oglądać. Wbiła wzrok w ścieżkę. Doszła do garażu, nie odwracając głowy. Potem jednak postąpiła wbrew instynktowi i zerknęła w tylne lustro, by zobaczyć złowrogą scenę: zakonnice zebrane na brzegu rzeki pośród okopconego śniegu. Klasztor przypominał zrujnowany zamek okolony trawnikiem, całym w popiele. W ciągu kilku minut dokonano się przeobrażenie: siostra Ewangelina, mniszka klaryska od wieczystej adoracji, zmieniła się w Ewangelinę Angelinę Cacciatore, angelologa. Kiedy prowadziła auto, brzozy wzdłuż drogi wyglądały jak setki marmurowych kolumn, a ona mogłaby przysiąc, że przywołuje ją jawiący się w oddali cień płonącego anioła.

W drodze do Nowego Jorku Verlaine siedział na przodzie. Gabriella wybrała miejsce z tyłu, otworzyła walizkę i przeglądała jej zawartość. Ewangelina zachowywała się tak, jakby narzucone w Świętej Róży milczenie dawno ją znużyło - szczerze opowiadała Verlaine'owi o swoim życiu, o klasztorze, a nawet - co zdumiało ją samą - o rodzicach. Tłumaczyła mu, że jej dzieciństwo odmierzali spacerami z ojcem przez most Brooklyński. Ze idąc chodnikiem biegnącym przez całą długość mostu, czuła bez troski, niezmaczone szczęście i dlatego było to jej najukochańsze miejsce na świecie. Verlaine nie przestawał zadawać pytań, a ją samą zdumiewało, jak chętnie i otwarcie na każde odpowiada, zdawało jej się, że zna Verlaine'a całe życie. Minęło wiele lat, odkąd rozmawiała z kimś takim jak on - przystojnym, inteligentnym, dociekliwym. Do tej pory mężczyźni nie budzili w niej żadnych uczuć; jeśli w ogóle o nich myślała, to tylko w dziecinny, powierzchowny sposób. Verlaine na pewno śmiał się w duchu z jej naiwności.

Ewangelina zaparkowała, Gabriella poprowadziła ich do budynku. Ulica ziała pustką. Chodnik był zasłany śniegiem, samochody - pokryte cienką warstwą lodu. W mieszkaniu Gabrielli paliło się światło. Coś mignęło za szybą, jakby grupa przyjaciół oczekiwała powrotu właścicielki. Oczyma wyobraźni Ewangelina widziała egzemplarze „Timesa” rozłożone na grubych dywanach, filiżanki herbaty na stolikach, płonący w kominku ogień - to były obrazy z jej dzieciństwa, to, co

zapamiętała ze spędzanych z babką niedzielnych popołudni. Sceny wyryte w pamięci dziecka były oczywiście wyidealizowane. Ewangelina nie miała pojęcia, co naprawdę tam zastanie.

Kiedy Gabriella otworzyła zamek, ktoś po drugiej stronie odsunął zasuwkę, nacisnął wielką, mosiężną klamkę i otworzył drzwi. W progu ukazał się niedźwiedziowaty, ciemnowłosy mężczyzna z dwudniowym zarostem, w bluzie z kapturem. Ewangelina pierwszy raz go widziała, ale Gabriella wydawała się dobrze go znać.

- Bruno - powiedziała ciepło i przytuliła go, choć tak intymne gesty były do niej raczej niepodobne. Ewangelina przyjrzała im się bliżej, zastanawiając się, czy mimo różnicy wieku Bruno mógł być drugim mężem babki. Gabriella wypuściła go z objęć. - Jak to dobrze, że jesteś.

- To chyba jasne - odpowiedział Bruno, równie uradowany spotkaniem. - Rada już czeka.

Bruno uśmiechnął się do stojących na stopniu Ewangeliny i Verlaine'a i skinął, aby weszli do środka. Zapach domu Gabrielli - książek i polerowanych antyków - był dla Ewangeliny najcudowniejszym powitaniem; jej niepokój natychmiast zaczął się ulatniać. Dywany, cała ściana portretów słynnych angelologów, roztaczająca się niczym mgiełka aura powagi: dom babki wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała.

Ewangelina zdjęła płaszcz. Naraz zobaczyła w lustrze swoje odbicie. Widok ją poruszył. Wokół oczu miała ciemne plamy, twarz poczerwiała od dymu. Habit i zwykle pantofle wydały jej się nędzne, a wobec blichtru życia babki całkiem niestosowne. Verlaine stanął za nią i położył rękę na jej ramieniu - jeszcze wczoraj ten gest przeraziłby ją i oszołomił. Dziś poczuła żal, kiedy zabrał dłoń.

Bez względu na wszystko, co się wydarzyło, nie mogła sobie darować, że myślami wciąż do niego ucieka. Stał tuż obok, a kiedy ich wzrok spotkał się w lustrze, poczuła, że chce, by zbliżył się jeszcze bardziej. Chciałaby lepiej rozumieć jego uczucia. Chciałaby, żeby się odezwał, zapewnił, że kiedy popatrzyli sobie w oczy, poczuł podobne ukłucie przyjemności.

Ewangelina przypatrzyła się swojemu odbiciu i uznała, że wygląda opłakanie. Verlaine'owi z pewnością wydawała się żalosna w czarnym habicie i łapciach na gumowej podeszwie. Jakże bardzo przesiąkła duchem klasztoru.

Pewnie się zastanawiasz, jak się w to wszystko wplątałeś - powiedziała, próbując odgadnąć jego myśli. - Powiem ci: przez przypadek.

- Fakt - odparł, rumieniąc się. - Takich świąt jeszcze nie miałem. Ale gdyby Gabriella mnie nie znalazła i gdybym się w to nie uwikłał, nie poznałbym ciebie.

- Może tak byłoby lepiej.

- Babcia sporo mi o tobie powiedziała. Wiem, że pozory mylą i że trafiłaś do Świętej Róży dla własnego bezpieczeństwa.

- Nie tylko dlatego. - Ewangelina nagle zdała sobie sprawę, że trudno jej będzie wyjaśnić zawiłe powody, które przesądziły o pozostaniu w klasztorze.

- Chcesz tam wrócić? - Na twarzy Verlaine'a malowało się wyczekiwanie, jakby odpowiedź miała dla niego zasadnicze znaczenie.

Ewangelina przygryzła wargę. Chciała mu powiedzieć, że to nadzwyczaj trudne pytanie.

- Nie - odparła wreszcie - nigdy.

Verlaine pochylił się ku niej, wziął ją za rękę. W jego obecności Ewangelina zapominała o babce i czekającej ich pracy.

Chłopak odciągnął ją od lustra i poprowadził do jadalni, w której wszyscy już na nich czekali.

Z kuchni dobiegał i roznosił się po pokoju smakowity zapach duszonego mięsa i pomidorów. Bruno wskazał stół zastawiony porcelaną Gabrielli i płóciennymi serwetkami.

- Zjecie lunch - zaordynował.

- Naprawdę nie ma na to czasu - w głosie Gabrielli pobrzmiwało roztargnienie. - Gdzie jest reszta?

- Siadajcie - nakazał Bruno, wskazując krzesła. - Musicie coś zjeść. - Odsunął krzesło i zaczął, aż Gabriella usiądzie. - To nie potrwa długo. - I zniknął w kuchni.

Ewangelina padła na krzesło obok Verlaine'a. W słabym świetle lśniły kryształowe szklanki. Pośrodku stołu czekała karafka z wodą, na powierzchni unosiły się plasterki cytryny. Ewangelina napełniła szklankę i podała ją Verlaine'owi; kiedy jej ręka otarła się o jego dłoń, przeszył ją prąd. Popatrzyła mu w oczy i nagle uzmysłowiła sobie, że poznała go w raptem wczoraj. Jej życie w Świętej Róży gwałtownie prysło, miała wrażenie, że było tylko snem. i

Po chwili Bruno wniósł wielki garnek dymiącego chilli. Przez cały « dzień Ewangelina nie myślała o jedzeniu - ignorowała burczenie w żołądku i zawroty głowy z odwodnienia - ale na widok potrawy poczuła 1 dojmujący głód. Bruno podał jej miskę. Ewangelina zamieszała chilli | łyżką, żeby fasola, pomidory i kawałki mięsa nieco ostygły, i zaczęła | jeść. Chilli było ostre - natychmiast poczuła moc przypraw Dieta mni- l, szek ze Świętej Róży składała się z warzyw, chleba i niedoprawionego mięsa. Najostrejszym daniem, jakie jadła w ostatnich latach, był pudding i śliwkowy, tradycyjnie przygotowywany na Boże Narodzenie. Odruchowo i zakaszłała, przysłaniając usta płócienną serwetką; poczuła, jak po całym f ciele rozlewa się fala gorąca.

Verlaine podskoczył i nalał Ewangelinie szklankę wody.

- Popij - powiedział.

Dziewczyna usłuchała. Poczuła się wyjątkowo niezręcznie.

- Dziękuję - odparła, kiedy atak kaszlu minął. - Odwykłam od takiego jedzenia.

- Dobrze ci zrobi - skwitowała Gabriella, przyglądając się wnuczce uważnie. - Wyglądasz, jakbyś nie jadła od miesiący.

Wiesz co - oznajmiła nagle, wstając od pełnego talerza - najpierw trzeba cię doprowadzić do porządku. Dam ci coś do przebrania, na pewno będzie pasować.

Gabriella zaprowadziła wnuczkę do łazienki w korytarzu; tam kazała jej zdjąć zniszczoną wełnianą spódnicę i brudną bluzkę. Wrzuciła ubranie do kosza. Dała Ewangelinie mydło i czyste ręczniki. Przyniosła dzinsy i obcisły kaszmirowy sweter - pasowały idealnie, babka i wnuczka nosiły ten sam rozmiar. Gabriella przypatrywała się, jak Ewangelina się ubiera,

wyraźnie zadowolona z jej przeobrażenia. Kiedy wróciły do jadalni, Verlaine patrzył na Ewangelinę z takim zdumieniem, jakby nie wierzył, że to na pewno ona.

Po posiłku poszli za Brunonem wąską, drewnianą klatką schodową. Na myśl o tym, co miało nastąpić, Ewangelinie mocniej zabiło serce.

W przeszłości natykała się na angelologów wyłącznie przypadkiem, kiedy traf chciał, że ojciec czy babka zabierali ją na spotkania; były to ledwie ulotne chwile, które tylko rozpały jej ciekawość. Wgląd w świat matki zawsze budził w niej fascynację i strach. Myśl o spotkaniu z radą angelologów przerażała ją bez reszty. Z pewnością będą wypytywać o to, co wydarzyło się rankiem w klasztorze. Będą chcieli wiedzieć w szczegółach, jak Celestyna odprawiła rytuał. Ewangelina nie miała pojęcia, jak odpowie na wszystkie pytania.

Verlaine jakby wyczuł zdenerwowanie Ewangelinę - musnął palcami jej rękę na znak otuchy; jej ciało znów przeszył prąd. Odwróciła się twarzą do niego, spojrzała mu prosto w oczy. Były ciemnobrązowe, niemal czarne, bardzo wyraziste. Czy zdawał sobie sprawę z tego, jak na nią działały? Czy na klatce schodowej wyczuł, że brakło jej tchu, kiedy jej dotknął? Nagle poczuła się zupełnie odcieleśniona. Wspinała się po schodach za babką, która trzymała skórzaną walizkę jak hostię.

Na piętrze znajdował się pokój, który podczas wizyt Ewangelinę w dzieciństwie zawsze był zamknięty; dziewczyna rozpoznała ciężkie, rzeźbione, drewniane drzwi, wielką, mosiężną klamkę, dziurkę od klucza, przez którą usiłowała zaglądać do środka. Nie zdołała wtedy wypatrzeć niczego poza błękitem nieba. Teraz przekonała się, że pokój jest przeszkłony wąskimi oknami, które wpuszczają do środka strugi ostrego światła. Ewangelina nawet nie podejrzewała, że za zamkniętymi drzwiami może się kryć takie pomieszczenie.

Oszłomiona weszła do środka. Ściany były przesłonięte malowidłami aniołów: jaśniejących postaci w barwnych szatach, z rozpostartymi skrzydłami, trzymających harfy i flety. Stały tam regały uginające się pod książkami i złożony sekretarzyk. Przeszkłona ściana otwierała się na szare miasto. Mimo okazałego wystroju pomieszczenie wydawało się niechlujne - z sufitu odpadały płatki farby, wielki grzejnik zaszedł rdzą. Ewangelina wspomniała niedostatek funduszy, z którym w ostatnich latach zmagali się wszyscy angelolodzy, włącznie z babką.

W rogu stał niski stół z marmurowym blatem, wokół niego na antycznych krzesłach siedziało troje angelologów. Ewangelina miała okazję poznać wielu naukowców, kiedy spotykał się z nimi jej ojciec, ale wówczas nie miała pojęcia, czym się zajmują.

Gabriella przedstawiła Ewangelinę i Verlaine'a członkom rady. Byli to: Władimir Iwanow, przystojny, starzejący się rosyjski emigrant, członek organizacji od lat trzydziestych, który zbiegł ze Związku Radzieckiego w obawie przed prześladowaniami; Michiko Saitou, genialna młoda an-gelolog, która pełniąc funkcję stratega i koordynatora międzynarodowego, jednocześnie sprawowała w Tokio globalny nadzór finansowy;

Bruno Bechstein, który powitał ich na dole, naukowiec w średnim I wieku, sprowadzony do Nowego Jorku z Tel Awiwu. a Spośród tych trojga najbliższy Ewangelinie był Władimir. Bardzo się 1 postarzał. Jego twarz rzeźbiły głębokie bruzdy, wydawał się znacznie I poważniejszy, niż go zapamiętała. Owego popołudnia, kiedy ojciec prosił, f żeby się nią zajął, był nadzwyczaj uprzejmy, a ona odpłaciła mu nieposłuszeństwem. Dziś zastanawiała się, co skłoniło go do powrotu do dyscypliny, której wcześniej tak stanowczo się wyrzekł. Gabriella podeszła do stołu i postawiła na nim walizkę.

- Witajcie, przyjaciele. Kiedy przyjechaliście?
- Dziś rano - odparła Saitou-san. - Chociaż chcieliśmy wcześniej.
- Jak tylko dowiedzieliśmy się, co się stało - dodał Bruno. Gabriella wskazała trzy tapicerowane fotele z misternie rzeźbionymi, choć już wytartymi, oparciami.
- Siadajcie. Jesteście wykończeni.

Ewangelina usłuchała pierwsza. Verlaine usiadł obok niej. Gabriella przysiadła na oparciu fotela, walizkę wzięła na kolana. Angelolodzy wpatrywali się w nią uważnie.

- Witaj, Ewangelino - powiedział Władimir uroczyście. - Dawnośmy się nie widzieli, co, moja droga? - Wskazał na walizkę. - Nawet przez myśl mi nie przeszło, że spotkamy się w takich okolicznościach.

Gabriella nacisnęła zamki. Były zimne jak monety, otworzyły się z nagłym trzaskiem. Wszystko było na swoim miejscu: notes angelologiczny z błyszczącą klamerką; zapieczętowane listy Abigail Rockefeller i skórzana torba z tabernakulum.

- Dziennik angelologiczny doktor Seraphiny Valko - objaśniła Gabriella, wyjmując notes. - Miałyśmy dla niego z Celestyną inną nazwę - „ponurnik” Seraphiny - co nie do końca było żartem. Są w nim zaklęcia, tajemnice i koncepcje wcześniejszych angelologów.

- Myślałam, że zaginął - zdziwiła się Saitou-san.
- Był bardzo dobrze schowany. Ja przywiozłam go do Stanów, a potem strzegłam go w Świętej Róży Ewangelina.
- Dobra robota. - Bruno wziął notes z rąk Gabrielli. Zważył go w rękach i mrugnął do Ewangelinę, która odpłaciła mu uśmiechem.
- Co jeszcze odkryliście? - spytał Władimir, wpatrując się w walizkę jak urzeczony.

Gabriella wyjęła skórzaną torbę i powoli rozwiązała sznurek. W środku znajdował się dziwny metalowy przedmiot, zupełnie Ewangelinie nieznany. Małe jak skrzydło motyla, był wykonany z metalu i lśnił w palcach Gabrielli. Wyglądał na kruchy, kiedy jednak Gabriella podała go wnuczce, dziewczyna przekonała się, że jest nadzwyczaj solidny.

- Plektron do liry - oznajmił Bruno. - Ktoś mądrze zrobił, przechowując go oddzielnie od instrumentu.

- Jak pamiętacie - powiedziała Gabriella - odczepił go czcigodny Clematis podczas pierwszej wyprawy. Kostkę przesłano do Paryża i aż do początków dziewiętnastego wieku znajdowała się w posiadaniu Towarzystwa. Potem matka Franciszka ze względów bezpieczeństwa postanowiła ją przewieźć do Stanów Zjednoczonych.
- I z myślą o niej wybudować kaplicę Adoracji - dodał Verlaine. - Co wyjaśnia dokładność szkiców architektonicznych. Władimir nie mógł oderwać oczu od maleńkiego przedmiotu.
- Mogę? - spytał wreszcie, przejmując kostkę od Ewangeliny. - Cudowna rzecz - westchnął. Ewangelina z przejęciem patrzyła, jak czule muska metal palcami, jakby czytał pismo Braille'a. - Po prostu cudowna.
- Zgadza się - potwierdziła Gabriella. - Wykonana z czystej walcynki.
- Gdzie dokładnie przechowywano ją w klasztorze? - zaciekał się Verlaine.
- W kaplicy Adoracji - odparła Gabriella. - Ewangelina zdradzi ci szczegóły. To dzięki niej ją zdobyliśmy.
- Kostkę ukryto w tabernakulum - wyjaśniła Ewangelina. - Nad nim wisi monstrancja, w której umieszczono kluczyk. Nie wiemy, kto go tam schował, ale bez wątpienia był doskonale zabezpieczony.
- Genialne - skostatowała Saitou-san. - Naturalnie, że skrytka była w kaplicy.
- A to dlaczego? - spytał Bruno.
- W kaplicy mniszki prowadzą wieczystą adorację - wyłuszczyła Gabriella. - Wiecie, co to takiego?
- Zakonnice parami modlą się przed hostią - powiedział skupiony Władimir - co godzinę pary się zmieniają. Dobrze mówię?
- Jak najbardziej - potwierdziła Ewangelina.
- Trzeba zachować czujność podczas adoracji? - Gabriella skierowała pytanie do wnuczki.
- Oczywiście. Ta modlitwa wymaga wytężonego skupienia.
- A na czym skupia się cała uwaga sióstr?
- Na hostii.
- Która znajduje się gdzie?
- Ewangelina podjęła tok rozumowania babki:
- Siostry koncentrują się na hostii, która znajduje się w monstrancji ponad ołtarzem i w tabernakulum. Ponieważ w monstrancji umieszczono plektron, siostry bezwiednie go strzegły. Wieczysta adoracja pełniła funkcję systemu ochrony.
- Właśnie - przytaknęła Gabriella. - Matka Franciszka wymyśliła genialny sposób pilnowania kostki przez okrągłą dobę, siedem dni w tygodniu. Skoro strażniczki stale czuwały, nikt nie miał szansy jej odkryć, a co dopiero wykraść.
- Chyba że podczas ataku w czterdziestym czwartym - uzupełniła Ewangelina. - Matkę Innocentę zamordowano w drodze do kaplicy. Zginęła z rąk gibborimów, zanim dotarła na miejsce.
- To się w głowie nie mieści - skwitował Verlaine - żeby od tylu lat zakonnice brały udział w takiej farsie.
- Kiedy to wcale nie jest farsa - zaprzeczyła Ewangelina. - Siostry wypełniają naraz dwa obowiązki: modlitwy i ochrony. Żadna z nas

O tym nie wiedziała. Ja nie miałam pojęcia, że codzienna adoracja służy czemuś jeszcze.

Władimir pogłaskał metal koniuszkami palców.

- Dźwięk liry musi być po prostu nadzwyczajny - oznajmił. - Od blisko pół wieku próbuję sobie wyobrazić ton kitarę muśniętej plektronem.
- Ale nie będziemy tego sprawdzać. To byłby kardynalny błąd - przerwała mu Gabriella. - Wiesz równie dobrze jak ja, co mogłoby się zdarzyć.
- Co takiego? - spytał Verlaine, choć jasne było, że zna odpowiedź.
- Lirę wykonał anioł - wytłumaczył Bruno. - To instrument o niezwykłym pochodzeniu i takimże dźwięku - jednocześnie pięknym i zabójczym. Wydobyć z liry dźwięk miałyby niezwykłe - niektórzy powiedzieliby nieświęte - skutki.
- Dobrze powiedziane. - Władimir posłał Brunonowi uśmiech.
- Cytowałem pańskie opus magnum, doktorze Iwanow - odwdzieczył się Bruno.
- Gabriella przypaliła papierosa.
- Władimir wie najlepiej, że skutków nie sposób przewidzieć. Dysponujemy wyłącznie teoriami, zresztą w większości jego autorstwa. Instrumentu nikt dotychczas nie zbadał. Nigdy nie był dość długo w naszym posiadaniu, ale wiemy z relacji Clematisa i notatek Seraphiny Valko Celestine Clochette z wyprawy, że roztacza kusicielski czar. I właśnie dlatego jest tak niebezpieczny, nawet ci o szlachetnych intencjach odczuwają pokusę, by na nim zagrać. A spustoszenia, jakie mogłoby to wywołać, nie jesteśmy nawet w stanie sobie wyobrazić.
- Jedno szarpnięcie struny, a świat, jaki znamy, może zniknąć - uzupełnił Władimir.
- Albo zmienić się w piekło - dodał Bruno - albo w niebo. Legenda głosi, że Orfeusz odnalazł lirę podczas podróży do zaświatów i że zagrał na niej. Melodia liry dała początek nowej erze w dziejach ludzkich - nastąpił rozwój nauki i gospodarki, sztuki stały się ostoją ludzkiego życia.
- Między innymi dlatego Orfeusza otoczono takim kultem. Wykorzystał lirę z dobrym skutkiem.
- Takie myślenie jest wyrazem wyjątkowo groźnej, romantycznej koncepcji - ucięła ostro Gabriella. - Lira ma niszczycielską moc, a takie utopijne mrzonki mogą tylko ściągnąć na nas zagładę.
- Skupmy się - przerwał Władimir, wskazując leżący na stole przedmiot. - Część tego instrumentu mamy tu, przed sobą, dopiero trzeba ją zbadać.

Oczy zebranych zwróciły się na plektron. Ewangelinę zastanawiała jego moc i czar, a także pokusa i pragnienie, które kostka zdawała się wywoływać.

- Jednego w tym wszystkim nie rozumiem - przyznała - co czuwający spodziewali się zyskać, grając na lirze? Przecież są przeklęci, wygnani z raj. Jakim cudem muzyka miałaby ich ocalić?

Odpowiedział jej Władimir.

- Relacja czcigodnego Clematisa kończy się psalmem sto pięćdziesiątym, spisany jego ręką.

- Anielska muzyka - Ewangelina natychmiast skojarzyła psalm, należał do jej ulubionych.

- Właśnie - przytaknęła Saitou-san - wyśpiewywanie chwały.

- Całkiem możliwe - podjął Bruno - że czuwający śpiewali hymn pochwalny w nadziei na odkupienie. Ten psalm to odpowiedź dla poszukujących łaski niebios. Gdyby czuwającym się powiodło, wróciliby do raj. Być może podejmowali wysiłki, dążąc do własnego zbawienia.

- Można też spojrzeć na to inaczej - wtrąciła Saitou-san. - Równie dobrze mogło im chodzić o zniszczenie wszechświata, który przed nimi zamknięto.

- A jeśli taki był ich cel - wtrąciła Gabriella, gasząc papierosa - to, jak widać, wcale im się nie powiodło. Wystarczy. Zajmijmy się wreszcie tym, po co się spotkaliśmy - ponagliła, wyraźnie poirytowana. - W ostatnim dziesięcioleciu wszystkie instrumenty niebiańskie, które ukryliśmy w bezpiecznych miejscach w Europie, zostały skradzione. Zakładamy, że trafiły w ręce nefilimów.

- Niektórzy wierzą, że symfonia ich dźwięków mogłaby uwolnić czuwających - wtrącił Władimir.

- Tak, ale wystarczy przejrzeć literaturę, żeby nie mieć złudzeń, że nefilimowie mają czuwających w nosie - ciągnęła Gabriella. - Jeszcze zanim Clematis zorganizował wyprawę, zbuntowani aniołowie grali na lirze, próbując przywołać nefilimów na pomoc. Na próżno. Nie, nefilimowie interesują się instrumentami wyłącznie z pobudek egoistycznych.

- Chcą uleczyć swoją rasę - dodał Bruno. - Urosnąć w siłę, żeby dalej niewolić ludzi.

- Byli blisko, a to oznacza, że nie ma czasu do stracenia - oznajmiła Gabriella. - Jestem pewna, że zdobyli inne niebiańskie instrumenty, po to żeby się przed nami chronić. Ale poszukiwania liry mają jeszcze inny cel. Nefilimowie pragną odzyskać doskonałą postać, jakiej ich rodzaj nie widział od kilkuset lat. Kiedy okazało się, że Abigail Rockefeller zabrała tajemnicę lokalizacji liry do grobu, wpadliśmy w popłoch, ale raczej nie martwiliśmy się, że to oni mogą wpaść na jej trop. Sytuacja się zmieniła. Nefilimowie zorganizowali obławę. Musimy być gotowi.

- Wygląda na to, że pani Rockefeller naprawdę chciała nam pomóc - powiedziała Ewangelina.

- Była kompletną amatorką - zbyła tę uwagę Gabriella. - Anioły interesowały ją tak, jak bale charytatywne jej zamożnych przyjaciół.

- I bardzo dobrze się stało - podsumował Władimir. - Kto nas wspomógł podczas wojny? Kto sfinansował wyprawę w czterdziestym trzecim? Była pobożną kobietą, przekonaną, że majątek można chwalebnie spożytkować. - Władimir oparł się na krześle i założył nogę na nogę.

- Tylko że my zostaliśmy z wielką niewiadomą - wymamrotał Bruno.

- Niekoniecznie - Gabriella wpatrzyła się w Brunona. Schowała plektron do skózanego woreczka i wyjęła z walizki szarą kopertę. Widniał na niej wzór z wkomponowanych w kwadrat rzymskich liter. Jeśli Celestine miała rację, w środku znajdowały się listy pani Rockefeller. Gabriella położyła kopertę na stole. - Celestine Clochette prosiła Ewangelinę, żeby nam to przekazała.

Widząc symbol na kopercie, zebrani mocno się ożywili. Ich reakcja zaintrygowała Ewangelinę.

- Co to takiego? - spytała.

- Pieczęć angelologów, kwadrat Sator Rotas - wyjaśnił Władimir - stosowana od kilkuset lat. Podkreśla znaczenie dokumentu i potwierdza, że pochodzi od jednego z nas.

Gabriella skrzyżowała ręce na piersiach, jakby było jej zimno, i powiedziała:

- Dziś po południu przeczytałam listy Innocenty do Abigail. Nie mam wątpliwości, że te kobiety wspólnie zastanawiały się, co począć z lirą, choć nie robiły tego wprost. Ani ja, ani Verlaine nie potrafiliśmy tego rozszyfrować.

Ewangelina siedziała na krześle prosta jak struna. Kiedy Władimir z kamiennym spokojem wziął z rąk Verlaine'a kopertę, przez chwilę miała de ja vu. Stary angelolog zamknął oczy, wyszeptał niezrozumiałe słowa - zaklęcie albo modlitwę, tego Ewangelina nie wiedziała - i rozdarł papier.

W środku znajdowały się wysłużone koperty rozmiaru dłoni Ewangeliny. Poprawiwszy okulary, Władimir uniósł je, żeby lepiej im się przyjrzeć.

- Zaadresowane do matki Innocenty - stwierdził, odkładając je na stół.

Pism było sześć - o jedno więcej niż listów autorstwa Innocenty. Ewangelina wpatrywała się w nie jak zaklęta. Na każdej były dwa znaczki: czerwony, dwucentowy, i zielony, jednocentowy.

Ewangelina wybrała jedną z kopert, odwróciła i przeczytała nazwisko i adres nadawcy: A. Rockefeller, 54. zachodnia - dom Gabrielli był oddalony od tego miejsca o niecałą milę.

- Z tych listów na pewno dowiemy się, gdzie jest lira - oznajmiła Saitou-san.

- To się okaże, kiedy je przeczytamy - powiedziała Ewangelina. Nie zwlekając dłużej, Władimir otworzył wszystkie koperty i położył

na stole sześć niewielkich kartek. Papier był gruby, kremowy, ze złotą obwódką. Na każdej kartce widniał identyczny nadruk: tańczące greckie boginie w wieńcach z liści laurowych w otoczeniu gromadki cherubin-ków. Dwa z nich - tłuściutkie dzieciątka z zaokrąglonymi skrzydełkami jak u ciem - trzymały liry.



- Klasyczny wzór art deco z lat dwudziestych - wyjaśnił Verlaine, podnosząc jedną z kartek i przyglądając się jej uważnie.  
- A czcionka ta sama co w nagłówku „New Yorkera”. Symetria w rozmieszczeniu aniołów to też klasyka. Cherubiny z lirami to lustrzane odbicia, czyli kolejny, podstawowy motyw art deco. - Verlaine pochylił się nad listem, aż włosy przesłoniły mu na twarz, po czym dodał: - To z całą pewnością pismo Abigail Rockefeller. Wielokrotnie analizowałem jej dzienniki i prywatną korespondencję. Nie mam wątpliwości.

Władimir wziął listy od Verlaine'a i przeczytał je, kryjąc bladoniebieskie oczy za szklami okularów. Po chwili z pozą człowieka, który zmuszał się do cierpliwości przez zbyt wiele lat, odłożył je i wstał.

- Nic w nich nie ma - orzekł - pierwsze pięć listów jest mniej więcej tak poruszające, jak lista rzeczy do prania. W ostatnim jest tylko kartka z nazwiskiem: Alistair Carroll, członek zarządu Muzeum Sztuki Współczesnej.

- Musi tu być coś na temat liry - Saitou-san sięgnęła po listy. Władimir na dłuższą chwilę utkwiał wzrok w Gabrielli, jakby zastanawiał się, czy coś mogło mu umknąć.

- Bardzo proszę - odezwał się - czytajcie. Powiedzcie mi, że się mylę. Najpierw przeczytała listy Gabriella. Podała je Verlaine'owi, a on

przebiegł po nich wzrokiem tak szybko, że Ewangelina zastanawiała się, czy w ogóle dotarła do niego ich treść.

- To samo co w listach Innocenty - westchnęła Gabriella.

- To znaczy? - dopytywała Saitou-san.

- Wymiana zdań na temat pogody, balów charytatywnych, przyjęć i daremnego wkładu artystycznego Abigail w coroczny kiermasz charytatywny organizowany przez siostry ze Świętej Róży - wyjaśniła Gabriella. - Ani słowa o lirze.

- Zawierzylimy Abigail Rockefeller bez reszty - rzekł Bruno. - Czyżbyśmy popełnili błąd?

- W tej wymianie ważną rolę odegrała matka Innocenta - tłumaczyła Gabriella, patrząc na Verlaine'a. - Zasłynęła jako niesłychanie subtelna | kobieta i wiemy, że potrafiła do subtelności przekonać także innych. |

Verlaine siedział w milczeniu, analizując listy. Wreszcie wstał, wyjął i z torby teczkę i obok pism pani Rockefeller położył dodatkowe cztery. \ Piąte zostało w klasztorze Świętej Róży. J

- To listy Innocenty - uśmiechnął się wstydliwie do Ewangeliny, ;f jakby obawiając się jej reprimendy za to, że ukradł je z archiwum Rockefellerów. Ułożył listy obu kobiet w porządku chronologicznym. Potem sięgnął po listy pani Rockefeller i z zapamiętaniem zaczął je analizować.

Ewangelina nie miała pojęcia, czego w nich szuka, a już zupełnie straciła rezon, kiedy Verlaine zaczął się uśmiechać, jakby coś w listach go rozbawiło. Wreszcie się odezwał:

- Pani Rockefeller była znacznie sprytniejsza, niż nam się wydaje.

- Wybacz - powiedziała Saitou-san, pochylając się nad listami - ale naprawdę nie pojmuję, co w tych listach może być.

- Zaraz wam pokażę - obiecał Verlaine. - Wszystko jest na kartach. Pisma leżą w porządku chronologicznym. W tych od Abigail nie ma żadnych konkretnych wskazówek, więc możemy je uznać za nieważne, są jak pusta przestrzeń, na której listy Innocenty zyskują znaczenie. Mówiłem rano Gabrielli, że w listach Innocenty pojawia się stały motyw. W czterech z nich komentuje jakiś projekt - do tej pory sądziłem, że Abigail dołączyła coś do korespondencji. Dopiero teraz widzę, że Innocenta komentowała same karty.

- Przeczytaj te uwagi - poprosiła Gabriella.

Verlaine przeczytał pochwały pod adresem Abigail Rockefeller, na które rano zwracał uwagę Gabrielli.

- Z początku sądziłem, że chodzi o jakieś szkice, może nawet własną twórczość Abigail, co dla badacza sztuki współczesnej byłoby przełomowym odkryciem. Jednak to byłoby do Abigail zupełnie niepodobne. Była kolekcjonerką, miłośniczką sztuki, ale nie artystką. - Verlaine wybrał cztery kremowe karty i rozdał je angelologom. - Innocenta komentowała właśnie te karty.

Ewangelina przyjrzała się uważnie. Karta została ostemplowana, widniało na niej delikatne odbicie dwóch antycznych lir w rękach cherubinów. Karty były ładne i jak najbardziej w guście Abigail, ale Ewangelina nie dostrzegła niczego, co wskazywałoby na rozwiązanie zagadki.

- Przyjrzyjcie się uważnie cherubinom - poinstruował Verlaine - a zwłaszcza lirom.

Angelolodzy wymienili się kartami, żeby każdy obejrzał wszystkie. Po chwili odezwał się Władimir:

- Wydruki się różnią. Na wszystkich kartach liry wyglądają inaczej.

- Racja - potwierdził Bruno. - Różni się liczba strun. Ewangelina wpatrywała się w babkę, która oglądała kartę i najwyraźniej rozumiejąc, do czego zmierza Verlaine, uśmiechnęła się.

- Ewangelino - spytała - ile strun mają liry na twojej karcie? Dziewczyna przyjrzała się bliżej. Władimir i Bruno mieli rację - liry

różniły się liczbą strun, choć wydawało jej się to przypadkiem, a nie faktem o doniosłym znaczeniu.

- Dwie i osiem - odpowiedziała - ale co to ma znaczyć? Verlaine wyjął z kieszeni ołówek i delikatnie zapisał liczbę strun pod

lirami. Podał ołówek pozostałym i poprosił, żeby zrobili to samo.

- Czego tu się doszukiwać w rysunkach instrumentów - powątpiewał Władimir.

- Zmiana liczby strun musi być metodą kodowania informacji - wyjaśniła Gabriella.

Verlaine zebrał karty.

- Oto nasze liczby: dwadzieścia osiem, trzydzieści osiem, trzydzieści i trzydzieści dziewięć. W tej kolejności. W jakiś sposób muszą wskazywać lokalizację.

Ewangelina przypatrywała się Verlaine'owi, zastanawiając się, czy coś przeoczyła. Liczby nic jej nie mówiły.

- Myślisz, że one oznaczają jakiś adres? - spytała.

- Nie wprost - odparł Verlaine - ale może sekwencja w jakiś sposób na niego wskazuje.

- Może to współrzędne? - zasugerowała Saitou-san.

- Tylko gdzie? - spytał Władimir, marszcząc brwi na myśl o potencjalnych kryjówkach. - W Nowym Jorku są setki tysięcy adresów.

- Na tym moja inwencja się kończy - przyznał Verlaine. - Te liczby musiały coś znaczyć dla Abigail, ale nie mam pojęcia, jak je wykorzystać.

- Jaką informację można przekazać za pomocą ośmiu cyfr? - zastanawiała się głośno Saitou-san.

- Albo czterech liczb dwucyfrowych - dodał Bruno, wyraźnie uradowany intelektualną zagadką.

- Mieszczących się w przedziale od dwudziestu do czterdziestu - uzupełnił Władimir.

- W listach musi być jakieś wyjaśnienie. - Saitou-san była mocno sfrustrowana. - Te liczby są zbyt przypadkowe.

- Tak się może wydawać - przyznała Gabriella. - Ale dla Abigail Rockefeller musiały tworzyć ciąg logiczny.

- Gdzie mieszkali Rockefellerowie? - Ewangelina zwróciła się do Verlaine'a, wiedząc, że on najlepiej zna odpowiedź. -  
Może to wskazanie ich adresu.

- Mieli kilka siedzib w Nowym Jorku. Najsłynniejsza jest ich rezydencja przy 54. zachodniej. Abigail przekazała ją Muzeum Sztuki Współczesnej.

- Nie mamy tu takiej liczby - powiedział Bruno.

- Zaczekajcie - ożywił się Verlaine. - Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć. Muzeum było jednym z najważniejszych przedsięwzięć Abigail Rockefeller. Było też jednym z pierwszych publicznych muzeów i pomników, które sfinansowała wraz z mężem. Otwarto je w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym.

- Dwadzieścia osiem to liczba z pierwszego listu - powiedziała Gabriella.

- Właśnie - ciągnął Verlaine z rosnącym podekscytowaniem. - Cyfry dwa i osiem mogą wskazywać właśnie na ten adres.

- W takim razie - dodała Ewangelina - pozostałe cyfry też muszą się odnosić do konkretnych budynków.

- Powiedźcie je jeszcze raz.

- Trzy i osiem, trzy i zero, trzy i dziewięć - podpowiedziała Saitou Siin. Gabriella podeszła do Verlaine'a.

- Czy one mogą odpowiadać jakimś adresom?

Na twarzy Verlaine'a malowało się nadzwyczajne skupienie.

- Na to wygląda - odpowiedział wreszcie. - Muzeum Cloisters, ukochane dziecko Johna D. Rockefellera juniora, otwarto w trzydziestym ósmym.

- A w trzydziestym? - dopytywał Władimir.

- Katedra Riverside, która, nawiasem mówiąc, nigdy nie wydawała mi się ciekawa, została oddana do użytku około tysiąc dziewięćset trzydziestego.

- No to zostaje nam trzydziesty dziewięty - wymamrotała Ewangelina, która z podekscytowania ledwie mogła mówić. - Rockefellerowie zbudowali coś w trzydziestym dziewiątym?

Verlaine milczał. Siedział ze zmarszczonymi brwiami, jakby rozpatrywał nieskończoną ilość zapamiętanych adresów i dat. Wreszcie powiedział:

- Zbudowali. Centrum Rockefellerów, ich opus magnum stylu art deco - otwarto w trzydziestym dziewiątym.

- Liczby muszą wskazywać na te miejsca - uznał Władimir.

- Doskonała robota, Verlaine - pochwaliła młodego człowieka Saitou-san, mierzwiąc mu loki.

Atmosfera w pokoju zmieniła się radykalnie, wszystkich przepełniało niespokojne wyczekiwanie. Ewangelina nie mogła robić nic innego, jak tylko wpatrywać się w karty. Spoczywały w klasztornej krypcie pod pomieszczeniami nieświadomych niczego siostr przez ponad pięćdziesiąt lat.

- Chodzi o to - przerwała magiczną ciszę Gabriella - że lira może być tylko w jednym z tych miejsc.

- W takim razie podzielimy się na grupy i przeszukamy wszystkie - orzekł Władimir. - Verlaine i Gabriella odwiedzą muzeum Cloisters - o tej porze będzie tam tłum, więc jakbyście mieli coś stamtąd wynosić, musicie być bardzo ostrożni. Tam musi jechać ktoś, kto zna układ budynku. Ja wybiorę się z Saitou-san do kościoła Riverside. Ewangelina i Bruno pojedą do Muzeum Sztuki Współczesnej.

- A Centrum Rockefellerów? - spytał Verlaine.

- Nic tam dzisiaj nie działyśmy - uznała Saitou-san. - Jutro Boże Narodzenie, będzie dziki tłum!

- Pewnie dlatego Abigail wybrała to miejsce - domyślała się Gabriella. - Im trudniejszy dostęp, tym lepiej.

Gabriella wzięła torbę z plektronem i notes angelologiczny. Każdej parze podała kartę odpowiadającą przydzielonej im lokalizacji.

- Mogą się przydać.

- A co potem? - spytał Bruno. - Co robimy?

- Przyjdzie nam podjąć najważniejszą decyzję w życiu - rzekł Władimir, przeczesując palcami siwe włosy. - Przechować lirę, czy ją zniszczyć.

- Zniszczyć? - Verlaine podniósł głos całkiem zbity z tropu obrotem dyskusji. - Przecież mówicie, że jest bezcenna!

- To nie jest kolejny starożytny artefakt - wyłuszczył Bruno. - Lira nigdy nie trafi do muzeum. Niebezpieczeństwo, jakie się z nią wiąże, zdecydowanie przewyższa jej wartość historyczną. Nie ma innej możliwości - trzeba ją zniszczyć.

- Albo znów ją ukryć - zaproponował Władimir. - Jest wiele miejsc, w których można by ją bezpiecznie schować.

- Już tego próbowaliśmy w czterdziestym trzecim, Władimirze - przypomniała Gabriella - i dobrze wiemy, że ta metoda zawiodła. Pozostawiając lirę, nawet w najbezpieczniejszej kryjówce, narazilibyśmy przyszłe pokolenia. Trzeba ją zniszczyć. To wiadomo na pewno. Pytanie brzmi jak.

- Nie rozumiem - wtrąciła Ewangelina.

- Rzecz sprowadza się do zasadniczej właściwości wszystkich instrumentów niebiańskich - wyjaśnił Władimir. - Powstały w niebiosach i mogą je zniszczyć tylko istoty niebiańskie.

- Jak to? - dociekał Verlaine.

- Niebiańską materię mogą zniszczyć tylko niebiańskie istoty albo przynajmniej takie, w których płynie krew anielska - wyjaśnił Bruno.

- Czyli nefilimowie - dodała Gabriella.

- Jeśli więc chcemy lirę zniszczyć - wtrąciła Saitou-san - musimy powierzyć ją istotom, przed którymi pragniemy ją ukryć.

- Niezła zagwozdka - skwitował Bruno.

- W takim razie po co w ogóle ją odzyskiwać? - spytał oszołomiony Verlaine. - Po co wyjmować z bezpiecznej kryjówki tylko po to, żeby lirę zniszczyć?

- Nie ma innego wyjścia - odezwała się Gabriella. - Mamy jedyną możliwość ją odzyskać. Jak odzyskamy instrument, będziemy musieli znaleźć sposób, żeby go zniszczyć.

- O ile w ogóle go odzyskamy - powątpiewał Bruno.

- Tracimy czas - Saitou-san wstała. - Najpierw lirę odzyskajmy, potem będziemy się zastanawiać. Nie możemy ryzykować, że znajdą ją nefilimowie.

Władimir spojrzał na zegarek.

- Dochodzi trzecia. Spotkamy się w Centrum Rockefellerów punktualnie o szóstej. Mamy trzy godziny, żeby dotrzeć na miejsce, przeszukać budynki i dojechać do Centrum. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Wybierzecie najkrótszą drogę. Musimy być szybcy i dokładni.

Zebrani wstali z krzeseł, założyli płaszcze i szaliki, by za chwilę wyjść w mroźny, zimowy mrok. Wyszukowali się błyskawicznie. Kiedy szli do klatki schodowej, Gabriella obróciła się do Ewangeliny:

- Nie zapomnij w pośpiechu o niebezpieczeństwie. Musisz być ostrożna. Nefilimowie będą nas obserwować. Wskazówki Abigail Rockefeller to najcenniejsze dokumenty, jakie kiedykolwiek miałaś w ręku. Kiedy nefilimowie dowiedzą się, że je mamy, zaatakują bez litości.

- Jak mieliby się dowiedzieć? - spytał Verlaine, podchodząc do Ewangeliny.

Gabriella uśmiechnęła się smutno.

- Drogi chłopcze, wiedzą dokładnie, gdzie jesteśmy. Mają informatorów w całym mieście. Czatują wszędzie i o każdej porze. Teraz też są blisko i nas obserwują. Proszę cię - raz jeszcze zwróciła się do Ewangeliny - bądź ostrożna.

## Muzeum Sztuki Współczesnej, Nowy Jork

Ewangelina przycisnęła dłoń do ceglanej ściany ciągnącej się wzdłuż 54. zachodniej. Lodowaty wiatr palił jej skórę. Powyżej, w ścianach szkła odbijały się ogrodowe rzeźby, a jednocześnie widać było przez nie muzealne wnętrza. Światła wewnątrz przyciemniono. Korytarzami przechodzili zwiedzający i pracownicy muzeum. Mroczne odbicie ogrodu na szkle wydawało się spaczone, zakłamanie, nieprawdziwe.

- Chyba zamykają. - Idąc w stronę wejścia, Bruno wsunął ręce głęboko do kieszeni kurtki narciarskiej. - Lepiej się pospieszmy.

Za drzwiami minął tłum zwiedzających i stanął przy okienku, za którym wysoki, szczupły człowiek z kozią bródką i okularami w rogowej oprawie czytał powieść Wilkie Collins. Kasjer podniósł wzrok, zerknął na Ewangelinę i Brunona i mruknął:

- Zamykamy za piętnaście minut. Jutro muzeum będzie otwarte, pojutrze też, w Boże Narodzenie nieczynne i znów otwarte w drugi dzień świąt. - Chłopak natychmiast zatopił się w lekturze, jakby interesanci zdążyli już odejść.

Bruno pochylił się nad ladą.

- Szukamy kogoś, kto prawdopodobnie tu pracuje.

- Nie udostępniamy danych osobowych pracowników - odpowiedział kasjer, nie podnosząc wzroku znad książki.

Bruno wsunął przez okienko dwa banknoty studolarowe.

- Nikt nie mówi o danych osobowych. Chcemy tylko wiedzieć, gdzie kogoś znaleźć.

Zerkając znad rogowych oprawek, mężczyzna położył rękę na ladzie, po czym wsunął pieniądze do kieszeni.

- Nazwisko?

- Alistair Carroll. - Bruno podał chłopakowi kartkę, którą przesłała w szóstym liście Abigail Rockefeller. - Zna go pan?

Mężczyzna podniósł wzrok.

- Pan Carroll nie jest pracownikiem.  
- Więc pan go zna. - Ewangelina odetchnęła z ulgą, że ktoś o takim nazwisku faktycznie istnieje.  
- Wszyscy go znają. - Mężczyzna wstał zza biurka i poprowadził ich do wyjścia. - Mieszka naprzeciwko ogrodu rzeźb. - Wskazał elegancką, przedwojenną kamienicę, nieco naznaczoną wiekiem. Miedziany, mansardowy dach był upstrzony wielkimi świetlikami, struzki patyny zabarwiły brąz na zielono. - Ale i tak stale tu przychodzi. Kiedyś pracował jako strażnik.

W holu kamienicy Bruno i Ewangelina odczytali nazwisko Alistaira na metalowej skrzynce pocztowej: mieszkanie pod numerem dziewiątym, piąte piętro. Przywołali rozklekotaną windę - drewnianą skrzynię, tak przesiąkniętą zapachem kwiatów, jakby przed chwilą wysiadły z niej staruszki wybierające się do kościoła. Ewangelina wcisnęła czarny przycisk z numerem piątym. Drzwi zaskrzypiały, winda przechyliła się i uniosła z mozołem. Bruno wyjął z kieszeni list Abigail Rockefeller.

Na piątym piętrze były dwa mieszkania, w obu panowała cisza. Bruno zerknął na umieszczone na drzwiach cyfry z brązu i zapukał. Drzwi uchyliły się i wyjrzał przez nie starszy człowiek o wielkich, błękitnych, zaciekawionych oczach.

- Tak? - rozległ się ledwie słyszalny szept. - Kim państwo jesteście?

- Pan Carrol? - spytał grzecznie Bruno, jakby były to setne drzwi, do których puka. - Najmocniej przepraszam, ale otrzymaliśmy pańskie nazwisko i adres od...

- Abby - dokończył staruszek, wpatrując się w kartkę w dłoni Bruna. Otworzył drzwi na oścież i kiwnął, by weszli do środka. - Wejdźcie. Czekałem na was.

Kiedy Bruno i Ewangelina przestąpili próg mieszkania, dwa yorki z czerwonymi kokardkami podbiegły do drzwi, próbując przestraszyć intruzów szczekaniem.

- Niemądre dziewczynki - skarcił pieski Alistair Carroll. Podniósł je i trzymając jednego pod jedną pachą, a drugiego pod drugą, poszedł w głąb korytarza.

Mieszkanie było przestronne, umeblowane antykami. Każdy przedmiot wydawał się jednocześnie poważany i zaniebany, jakby wszystkie elementy wystroju dobrano z wyjątkową starannością tylko po to, by później przestać o nie dbać. Ewangelina usiadła na kanapie - miejsce było wygrzane, przed chwilą musiały tu drzemać pieski. W marmurowym kominku płonął ogień. Przed kanapą stał polerowany stolik do kawy w stylu Chippendale'a, a na nim kryształowa misa z landrynkami. Gdyby nie złożony egzemplarz „Sunday Timesa”, leżący dyskretnie na krańcu stołu, mogłoby się wydawać, że czas w tym domu zatrzymał się przed pięćdziesięciu laty. W ramce na kominku widniała wielobarwna litografia przedstawiająca tęgą, zaróżowioną kobietę o rysach spłoszonego ptaka. Ewangelina nigdy nie zainteresowała się odszukaniem podobizny pani Rockefeller - nie miała ku temu ani powodu, ani chęci, ale była pewna, że kobieta na zdjęciu to właśnie ona.

Alistair Carroll wrócił bez psów. Miał krótkie, starannie ostrzyżone siwe włosy, brązowe sztruksy, tweedową marynarkę i przyjazne obycie, które uspokoiło Ewangelinę.

- Proszę wybaczyć zachowanie moich dziewczynek - powiedział, siadając w fotelu obok kominka. - Nie są przyzwyczajone do towarzystwa. Rzadko miewam gości. Oszały z radości na wasz widok. - Złożył ręce na kolanach. - Ale dość o psach - dodał. - Nie przyszlście w końcu, żeby wymienić uprzejmości.

- Może byłby pan tak miły i powiedział nam, po co przyszlśmy - Bruno przysiadł na kanapie obok Ewangeliny i położył na stole kartkę

Abigail Rockefeller. - W liście nie było żadnego wyjaśnienia, tylko pana nazwisko i nazwa Muzeum Sztuki Współczesnej.

Alistair Carroll założył okulary. Podniósł kopertę i uważnie jej się przyjrzał.

- Abby pisała to przy mnie - zapewnił. - Ale ma pan tylko jeden list. Gdzie pozostałe?

- Pracujemy nad tą sprawą w sześcioro - wyjaśniła Ewangelina. - Rozdzieliliśmy się, żeby zaoszczędzić czas. Dwie koperty ma moja babka.

- Czy pani babka to Celestine Clochette? - spytał Alistair. Ewangelina zdziwiła się, słysząc imię Celestyny, zwłaszcza od człowieka, który z całą pewnością jej nie znał.

- Nie - odpowiedziała - Celestine Clochette nie żyje.

- Przykro mi to słyszeć. - Alistair pokręcił głową z niedowierzaniem. - Przykro mi również, że proces odzyskiwania skarbu przebiega właśnie w ten sposób. Abby chciała, żeby odkrycia dokonała jedna osoba: najlepiej matka Innocenta albo, gdyby minął dłuższy czas, a tak się właśnie stało, kobieta nazwiskiem Celestine Clochette. Pamiętam, bo asystowałem pani Rockefeller w tej sprawie i osobiście dostarczyłem kartkę, którą państwo przynieśliście, do klasztoru Świętej Róży.

- Sądziłem, że przedmiot przekazano pani Rockefeller w wieczyste posiadanie - przyznał Bruno.

- Ależ skąd - zaprzeczył staruszek. - Pani Rockefeller uzgodniła z matką Innocentą, że przez określony czas pozostanie on pod naszym nadzorem. Abby nawet nie przypuszczała, że będzie do końca za niego odpowiedzialna. Chciała go zwrócić, gdy tylko będzie bezpiecznie, czyli pod koniec wojny. Myśmy zrozumieli umowę tak, że Innocenta albo Celestine Clochette przechowują koperty i kiedy przyjdzie stosowny czas, po kolei wypełnią instrukcje. Specjalne wymogi miały zapewnić bezpieczeństwo przedmiotowi i osoby, która ma go odzyskać.

Bruno i Ewangelina wymienili spojrzenia. Ewangelina była pewna, że Celestyna nie miała pojęcia o istnieniu instrukcji.

- Nie dostaliśmy konkretnych wskazówek - wyjaśnił Bruno. - Trafiliśmy do pana dzięki tej kartce.

- Być może Innocenta nie zdążyła przed śmiercią wyjawić nikomu informacji - zasugerowała Ewangelina. - Jestem pewna, że gdyby to od niej zależało, postąpiłaby zgodnie z wolą pani Rockefeller.

- Ach tak - zafrasował się Alistair Carroll - widzę, że zaszło nieporozumienie. Pani Rockefeller sądziła, że Celestine Clochette opuści klasztor i wróci do Europy. Z tego, co pamiętam, miała być w Świętej Róży tylko przez jakiś czas.

- Ale stało się inaczej - oznajmiła Ewangelina, wspominając, jak wąż i schorowana była Celestyna w ostatnich dniach życia.

Alistair Carroll zamknął oczy - być może zastanawiał się, jak należy teraz postąpić. Nagle wstał, mówiąc:

- Nie ma rady, trzeba kontynuować. Proszę za mną. Przekonacie się państwo, że mam z okna wyjątkowy widok.

Ewangelina i Bruno podeszli do ściany z wielkimi oknami, które widzieli, stojąc pod budynkiem. Rozpościerał się z nich widok na Muzeum Sztuki Współczesnej - wejście od ulicy, przeszklone ściany, które w popołudniowym świetle zdawały się półpłynne. Ewangelina oparła się dłonią o mosiężną ramę okna i spojrzała w dół. Tuż pod nimi znajdował się ogród rzeźb, prostokąt wyłożony szarym marmurem. Pośrodku migotała obsydianowym mrokiem wąska sadzawka. Pod wstęgami śniegu płyty szarego marmuru ociekały szkarłatem.

- Mogę stąd obserwować ogród w dzień i noc - powiedział cicho Alistair. - Właśnie dlatego pani Rockefeller kupiła to mieszkanie - żebym strzegł ogrodu. Przyglądałem się, jak po jej śmierci stale się zmieniał. Rozdarto go i przeprojektowano, powiększono kolekcję posągów. - Alistair odwrócił się do Ewangeliny i Brunona. - Nie przewidzieliśmy, że zarządcy wprowadzą tak drastyczne zmiany. Kiedy w pięćdziesiątym trzecim powstał tu ogród Philipa Johnsona - absolutny symbol współczesnych ogrodów - po pierwotnym projekcie nie został nawet ślad. Potem, z zupełnie niezrozumiałych powodów, postanowiono ogród Johnsona zmodernizować - to była parodia, jedna wielka pomyłka. Najpierw zerwano marmur - cudowny marmur z Vermontu o unikatowym błękitnoszarym odcieniu - tylko po to, żeby położyć tam jakąś pośledniejszą odmianę. Potem oczywiście przekonano się, że pierwotny kamień był znacznie lepszy, ale to inna sprawa. Znow wszystko zerwano i położono nowy marmur, podobny do tego z Vermontu. Gdybym wtedy nie wziął spraw w swoje ręce, nie mógłbym się temu spokojnie przyglądać. - Alistair skrzyżował ręce na piersiach, na jego twarzy pojawił się wyraz satysfakcji. - Widzicie, z początku skarb ukryto z ogrodu.

- Z początku? - Ewangelinie zabrakło tchu. - To znaczy, że już go tam nie ma?

- Abby umieściła go we wnętrzu jednego z posągów, a dokładnie w La Mediterranee Aristide'a Maillola. Cokół jest pusty i może sporo pomieścić. Zakładaliśmy, że Celestine Clochette stawi się w ciągu kilku miesięcy, najdalej po roku. Przez krótki czas skarb byłby w rzeźbie bezpieczny. Ale Celestine się nie pojawiła, a w czterdziestym ósmym Abby zmarła. Wkrótce potem Philips Johnson miał zaprojektować nowoczesny ogród rzeźb. Uznałem, że trzeba przenieść skarb, zanim zacznie się rozbiórka.

- Musiało to być dość trudne - zauważył Bruno. - Muzeum wprowadziło doskonały system ochrony.

- Jestem dożywotnim członkiem zarządu. Miałem może nie tak nieograniczony dostęp jak Abby, niemniej znaczny. Zaaranżowanie wydobywania skarbu wcale nie było trudne. Wystarczyło przenieść posąg do konserwacji i wtedy wyjąć ukryty przedmiot. Całe szczęście, że przewidziałem rozwój wypadków - gdybym zostawił skarb w cokole, ktoś mógłby go odkryć albo zniszczyć. Celestine Clochette milczała, ale ja wiedziałem, że muszę cierpliwie czekać.

- Tak cenny przedmiot można było przecież umieścić w bezpieczniejszym miejscu - stwierdził Bruno.

- Abby była przekonana, że bezpiecznie jest tam, gdzie są tłumy. Rockefellerowie stworzyli w Nowym Jorku wspaniałe przestrzenie publiczne. Pani Rockefeller była bardzo praktyczna, chciała je wykorzystać. Dobrymi miejscami na Manhattanie wydawały się także muzea, zważywszy na ich bezcenne kolekcje. Ogród rzeźb i muzeum Cloisters znajdują się pod stałym nadzorem. Wybór kościoła Riverside był z kolei podyktowany raczej względami sentymentalnymi - rodzina zbudowała go na miejscu szkoły, do której uczęszczał pan Rockefeller. No i Centrum Rockefellerów - wspaniałe symbol potęgi i wpływów rodziny, statusu społecznego i zasięgu władzy. Pani Rockefeller mogła naturalnie schować wszystko w bankowym sejfie, ale to nie było w jej stylu. Jej wybór - dwa muzea, kościół i centrum handlowe - odzwierciedlał symboliczne proporcje: dwie części sztuki, jedna religii i jedna pieniędzy. Właśnie tak pani Rockefeller pragnęła być zapamiętana.

- Instrument został podzielony na części? - spokój, z jakim Bruno zadał to pytanie, zaimponował Ewangelinie.

Alistair nie odpowiedział. Wyszedł z pokoju i po chwili przyniósł długą, metalową skrzynkę. Przekazał ją Ewangelinie i wręczył jej mały klucz.

- Proszę otworzyć.

Dziewczyna włożyła klucz do zamka i przekręciła. Zardzewiały mechanizm zazgrzytał, wreszcie zaskoczył. Ewangelina otworzyła wieko. W środku, na czarnym aksamicie leżały dwie złote belecзки: długie i wąskie.

- Co to takiego? - Zdumienie Brunona było oczywiste.

- Jak to co, jarzmo liry - odparł Alistair. - A czego się pan spodziewał?

- Myśleliśmy - wyjaśniła Ewangelina - że ma pan u siebie lirę.

- Nie, nie, przecież nie schowaliśmy jej w muzeum - Alistair uśmiechnął się, jakby wreszcie pozwolono mu wyjawić sekret. - Przynajmniej nie całą.

- To pan ją rozmontował? - spytał Bruno.

- Przechowywanie jej w całości byłoby zbyt niebezpieczne - tłumaczył się Alistair, kręcąc głową. - Nie było innego wyjścia. Rozebraliśmy ją na cztery części.

Ewangelina wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Ona ma kilka tysięcy lat. To delikatny przedmiot.

- Wbrew pozorom jest zaskakująco trwałe - zaprzeczył Alistair. - Demontaż przeprowadzili najlepsi i najdrożsi specjaliści. A teraz, jeśli państwo pozwolą - dodał, prowadząc ich z powrotem do pokoju i zasiadając w fotelu - chciałbym państwu przekazać pewne informacje. Jak wspominałem, pani Rockefeller zakładała, że wszystkie części odbierze jedna osoba, a do tego zrobi to w odpowiedniej kolejności. Zaplanowała ich odzyskanie bardzo skrupulatnie: najpierw Muzeum Sztuki Współczesnej - do listu z tą wskazówką dołączyła kartkę z moim nazwiskiem - potem kościół Riverside, muzeum Cloisters i Prometeusz.

- Prometeusz? - zdziwiła się Ewangelina.

- Posąg w Centrum Rockefellerów - wyjaśnił Alistair, prostując się w fotelu, tak że nagle wydał się wyższy i bardziej dostojny. - Ja miałem podać konkretne wskazówki, poradę i ostrzeżenie. W kościele Riverside znajdziecie człowieka nazwiskiem Cray, pracownika rodziny Rockefellerów. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czemu Abby go zatrudniła. Trudno powiedzieć, czy po tylu latach będzie skłonny przestrzegać woli pani Rockefeller - wielokrotnie mnie nachodził, domagając się pieniędzy. Nigdy nie uważałem biedy za dobry znak. Dobrze by było, gdybyście poradzili sobie bez niego. - Alistair wyjął kartkę z wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki i rozłożył ją na stoliku do kawy. - Tutaj zaznaczono dokładną lokalizację pudła rezonansowego.

Ewangelina przyjrzała się rysunkowi labiryntu.

- Labirynt przed ołtarzem w kościele Riverside przypomina ten, który znajduje się w katedrze Chartres we Francji. Tradycyjnie takie wzory służyły jako narzędzia do kontemplacji. Dla naszych celów pośrodku labiryntu wbudowano niewidoczną przegródkę: kamień można wyjąć, nie uszkodzając podłogi. Tam schowano część instrumentu. Oto instrukcja. - Alistair Carroll podał Ewangelinie kartkę. - Struny to zupełnie inna sprawa. Znajdują się w muzeum Cloisters. Można je pozyskać wyłącznie przy pomocy dyrektorki, która została poinformowana o zamiarach pani Rockefeller i będzie wiedziała, jak należy postąpić. Muzeum będzie otwarte jeszcze przez jakieś pół godziny. Pracownik ma umożliwić osobie, która się zgłosi, dostęp do pomieszczenia. Odzyskując struny bez jego pomocy, można by dokonać nieodwracalnych szkód. Mówicie państwo, że wspólnicy są już w drodze do muzeum?

- Moja babka - przytaknęła Ewangelina.

- Dawno wyruszyła?

- Powinna już być na miejscu - odparł Bruno, zerkając na zegarek. Alistair pobladł.

- To bardzo niedobrze. Plan został tak zakłócony, że nie wiadomo, jakie może jej grozić niebezpieczeństwo. Trzeba interweniować. Proszę mi zdradzić, jak nazywa się pani babka. Natychmiast spróbuję się z nią skontaktować.

Alistair podszedł do telefonu z obrotową tarczą, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. W ciągu kilku sekund wyjaśnił swojemu rozmówcy sytuację. Trwało to tak krótko, że Ewangelina domyśliła się, że już wcześniej omawiał tę sprawę z dyrektorem. Rozłączył się i powiedział:

- Mamy szczęście. Po południu nie wydarzyło się w muzeum nic niespodziewanego. Nawet jeśli pani babka jest już na miejscu, to nie zbliżyła się do kryjówki. Jeszcze mamy czas. Moja znajoma zrobi co w jej mocy, żeby odnaleźć pani babkę i jej pomóc.

Alistair otworzył szafę i założył gruby, wełniany płaszcz. Poprawił jedwabną chustkę na szyi. Ewangelina i Bruno wstali z kanapy.

- Nie ma chwili do stracenia. - Alistair poprowadził gości w stronę drzwi. - Członkom waszej grupy grozi niebezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, teraz, kiedy rozpoczęło się odzyskiwanie instrumentu, nikt z nas nie jest bezpieczny.

- Mamy się spotkać o szóstej w Centrum Rockefellerów - powiedział Bruno.

- To zaledwie cztery przecznice stąd - stwierdził Alistair. - Pozwólcie, że będę wam towarzyszył. Wierzę, że mogę się przydać.

## **Muzeum Cloisters, Metropolitan Museum of Art, Fort Tyron Park, Nowy Jork**

Verlaine i Gabriella wysiedli z taksówki i pobiegli ścieżką do muzeum. Przed nimi wznosił się las kamiennych budowli - szańce na tle zaróżowionego nieba ponad Hudsonem. Verlaine bywał tu wielokrotnie - w muzeum będącym odwzorowaniem średniowiecznego klasztoru szukał spokoju i wytchnienia od intensywnego miejskiego życia. Lubił przebywać w otoczeniu, które tchnęło historią, nawet jeśli było ono spreparowane. Zastanawiał się, co sądzi o tym muzeum Gabriella, która w Paryżu widziała autentyk; starożytne freski, krzyże i średniowieczne posągi ze zbiorów Cloisters były tylko podróbką Musee du Moyan Age, które Verlaine znał wyłącznie z książek.

Wbiegając po splekanych, kamiennych stopniach, Verlaine zastanawiał się nad tym, co ich czeka. Nad tym, że na skutek dziwnego trafu stał się częścią czegoś, czego istnienia jeszcze wczoraj nawet nie podejrzewał. Skierowano ich do muzeum, jednakże nie wyposażono w żadne wskazówki, jak prowadzić poszukiwania. Wiedział, że Gabriella jest dobra w swoim fachu, i wierzył, że znajdzie sposób, aby zrealizować powierzone im zadanie, niemniej wydawało się ono niemożliwe. Pomimo zamiłowania do prowadzenia sekretnych, drobiazgowych poszukiwań, sama myśl o czekających ich trudnościach powinna wystarczyć, żeby się odwrócił, złapał taksówkę i pojechał do domu.

Dziś akurat przypadał szczyt bożonarodzeniowej gorączki, a muzeum z pewnością było pełne zwiedzających, którym marzyło się spędzić popołudnie na cichej kontemplacji sztuki średniowiecznej. Tłum mógł stanowić pewną ochronę, jeśli -



jak podejrzewał Verlaine - ktoś ich śledził. Przyjrzał się wapiennym ścianom korytarza, imponującej środkowej wieży, grubym murom. Rozwahał, czy też w środku zaskoczą ich nefilimowie. Nabrał pewności, że już tam są i na nich czekają. Spod łuku ponad wejściem do muzeum pospieszyła w ich stronę drobna, rudowłosa kobieta. Miała na sobie luźną, jedwabną bluzkę i naszyjnik z pereł, które zalśniły, kiedy do nich podchodziła. Verlaine mógłby przysiąc, że stała w drzwiach, czekając, aż się zjawią, ale wiedział, że to niemożliwe.

- Pani Gabriella Valko? - spytała kobieta. Verlaine rozpoznał akcent podobny do Gabrielli, domyślał się, że kobieta jest Francuzką. - Sabinę Clementine, zastępca dyrektora do spraw konserwacji w Cloisters. Przysłano mnie, abym pomogła państwu w poszukiwaniach.

- Przysłano? - spytała Gabriella, czujnie lustrując nieznajomą. - Kto panią przysłał?

- Alistair Carroll - wyszeptała kobieta i kiwnęła, aby poszli za nią -który pracuje w imieniu świętej pamięci Abigail Rockefeller. Chodźcie, wszystko wyjaśnię wam po drodze.

Tak jak przypuszczał Verlaine, w holu za wejściem pełno było ludzi uzbrojonych w aparaty fotograficzne i przewodniki. We trójkę wpadli w ten tłum, stali się jego częścią. W muzealnej księgarni kolejka do kasy wiła się między stolikami zastawionymi książkami o dziejach i sztuce średniowiecza, architekturze gotyckiej i romańskiej. Przez wąskie okno Verlaine zobaczył w dole mroczną, nieruchomą rzekę. Choć miał świadomość niebezpieczeństwa, czuł spokój: muzea zawsze działały na niego kojąco; czasem, kiedy się nad sobą zastanawiał, dochodził do wniosku, że może właśnie dlatego zdecydował się na studia z historii sztuki. Atmosfera zabytkowej ekspozycji średniowiecznych klasztorów - fasady, freski i wrota z zabudowań hiszpańskich, francuskich i włoskich zrekonstruowano, tworząc kolaż wiekowych budowli - odprężyła go; podobnie podziałał na niego widok turystów z aparatami cyfrowymi, młodych par trzymających się za ręce, emerytów przypatrujących się delikatnym, wyblakłym malowidłom. Jego zwykłą pogardę dla turystów dziś zastąpiło silne uczucie wdzięczności za ich obecność.

Szli w głąb muzeum połączonymi korytarzami, jedna sala przechodziła w następną. Mimo że nie było czasu, aby przystanąć, Verlaine zerkał na eksponaty, szukając wskazówki dalszego postępowania - obrazu czy posągu, które byłyby w jakiś sposób powiązane z listami Abigail Rockefeller - choć szczerze wątpił, że coś takiego znajdzie. Wzór na papeterii był zbyt nowoczesny, stanowił typowy przykład nowojorskiego art deco. Ale i tak przyglądał się zrekonstruowanym arkadom, rzeźbionym krucyfiksom, ceramicznym mozaikom, kolumnom z motywem liści akantu, gotyckim witrażom. Instrument mógł być właściwie wszędzie.

Sabinę Clementine zaprowadziła ich do dużej, widnej sali, w której z okien sączyło się na lakierowaną podłogę z grubych desek mleczne światło. Na ścianach wyeksponowano gobeliny. Verlaine od razu je rozpoznał. Uczył się o nich na zajęciach z dzieł sztuki światowej na pierwszym roku studiów i wielokrotnie widział ich reprodukcje w magazynach i na plakatach, ale z jakiegoś powodu zapomniał, dlaczego właściwie znajdują się w Nowym Jorku. Sabinę podprowadziła ich do słynnych gobelinów z serii „Polowanie na jednoroźca”.

- Piękne - zachwycił się Verlaine, wpatrując się w utkaną soczystą czerwień i zielenią roślinność.

- I brutalne - dodała Gabriella, wskazując rzeź jednoroźca: część myśliwych zachowuje zupełną obojętność, gdy inni przebijają gardło bezbronnego zwierzęcia włóczniami.

- To była największa różnica między Abigail a jej mężem - Verlaine skinął na zebrane wokół dzieła. - Ona założyła Muzeum Sztuki Współczesnej i kupowała dzieła Picassa, van Gogha i Kandinsky'ego, podczas gdy on kolekcjonował okazy sztuki średniowiecznej. Nie znosił modernizmu i nie wspierał żony w jej zamiłowaniach. Uważał modernizm za profanację. To zabawne - tak często uważamy przeszłość za świętą, a nowoczesność traktujemy podejrzliwie.

- Bo często jest ku temu powód - Gabriella zerknęła na grupkę turystów, może próbowała się zorientować, czy nikt ich nie śledzi.

- Ale gdyby nie postęp - zauważył Verlaine - nadal tkwilibyśmy w wiekach średnich.

- Drogi Verlaine - Gabriella wzięła go pod rękę i poprowadziła w głąb sali - ty naprawdę wierzysz, że one już minęły?

- Posłuchajcie - Sabinę podeszła bliżej i ściszyła głos - moja poprzedniczka kazała mi zapamiętać wskazówkę, której do dziś nie rozumiem. Słuchajcie uważnie.

Gabriella odwróciła się zdziwiona. Verlaine wyczuł w jej stosunku do Sabinę nutę lekceważenia.

- Alegoria łowów to opowieść w opowieści - szeptała Sabina. - Podążajcie szlakiem stwora od wolności do zniewolenia. Porzućcie ogary, przed służką markujcie skromność, wyrzeknijcie się brutalnej rzezi i szukajcie muzyki tam, gdzie stwór na powrót ożywa. Tak jak ręka tka na krośnie tajemnicę, tak ręka musi ją rozwikłać. Ex Angelis - objawia się instrument.

- Ex Angelis} - spytał Verlaine, jakby był to jedyny niezrozumiały zwrot w zagadce.

- Po łacinie - objaśniła Gabriella - to znaczy „od aniołów”. Wyrażenie najpewniej opisuje instrument, który stworzyli aniołowie, chociaż w dość osobliwy sposób. - Gabriella zamilkła na chwilę i posłała Sabinę pełne wdzięczności spojrzenie, po raz pierwszy przynajmniej zachowaniem przyznając, że jej obecność jest uzasadniona. - W średniowieczu ange-lolodzy często opatrywali dokumenty inicjałami E.A., ale wtedy oznaczały coś innego: Epistula Angelorum. Pani Rockefeller nie mogła tego wiedzieć.

- Może być jeszcze jakieś inne wyjaśnienie? - Verlaine pochylił się nad ramieniem Gabrielli, kiedy wyjmowała z torebki list Abby Rockefeller. Odwróciła go, spojrzęła na rewers.

- Jest tu jakiś rysunek - powiedziała, obracając kartę, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Na papierze widniały cienkie kreski ułożone według długości, przy każdej zapisano pewną liczbę. - Ale to niczego nie wyjaśnia.

- Mamy mapę bez klucza - skwitował Verlaine.

- Być może - przytaknęła Gabriella i poprosiła Sabinę, żeby powtórzyła wskazówkę.

Ta powiedziała ją słowo w słowo.



- Alegoria łowów to opowieść w opowieści. Podążajcie szlakiem stwora od wolności do zniewolenia. Porzućcie ogary, przed służką markujcie skromność, wyrzeknijcie się brutalnej rzezi i szukajcie muzyki tam, gdzie stwór na powrót ożywa. Tak jak ręka tka na krośnie tajemnicę, tak ręka musi ją rozwikłać. Ex Angelis - objawia się instrument.

- Każe nam śledzić tok polowania, które zaczyna się od tamtego gobelinu - Verlaine przecisnął się przez grupę ludzi do pierwszego wizerunku. - Myśliwi wyruszają do lasu. Znajdują jednoroźca, pędzą za nim i wreszcie go zabijają. Ogary - które zgodnie z zaleceniem pani Rockefeller mamy pominąć - należą do myśliwych. Służka, którą też mamy zignorować, to zapewne jedna z kobiet, które przyglądają się łowom. To wszystko jest nieistotne, mamy patrzeć tam, gdzie stworzenie znów ożywa - Verlaine poprowadził Gabriellę za rękę do ostatniego gobelinu z serii. - To musi być tu.

Stanęli przed najstynniejszym arrasem: w okrągłej zagrodzie, pośrodku bujnej, kwiecistej łąki leży ujarzmiony jednorożec.

- Zgadza się - przytaknęła Gabriella - mamy „szukać muzyki tam, gdzie stwór na powrót ożywa”.

- Tylko że nie ma tu żadnych odniesień do muzyki - zafrasował się Verlaine.

- Ex Angelis - Gabriella powiedziała to bardziej do siebie, próbując pojąć sens wyrażenia.

- W listach do Innocenty pani Rockefeller nigdy nie posłużyła się łacińskim zwrotem - wtrącił Verlaine. - Najwyraźniej chciała na coś zwrócić uwagę.

- Niemal każdy eksponat w tym muzeum ma anielski motyw - w głosie Gabrielli narastała frustracja - a ten akurat nie.

- Racja - Verlaine utkwiał wzrok w jednoroźcu. - Gobeliny odstają od reszty. W polowaniu na jednoroźca można, jak sugerowała pani

Rockefeller, widzieć alegorię - najczęściej wspomina się motyw ukrzyżowania i zmartwychwstania Chrystusa - ale jest to akurat jeden z niewielu eksponatów niezawierających bezpośrednich odniesień do chrześcijaństwa. Nie ma tu przedstawienia Chrystusa, scen starotesta-mentowych, aniołów.

- Ale zwróć uwagę - Gabriella wskazała róg gobelinu - że litery A i E wpleciono we wszystkie sceny. Są na każdym gobelinie, zawsze w parze. To pewnie inicjały patrona, który je zamówił.

- Możliwe - Verlaine przyjrzał się bliżej literom wyszytym złotymi niciami. - Tylko że „E” jest zawsze odwrócone.

Litery są do góry nogami.

- A jeśli je odwrócimy - podsumowała Gabriella - otrzymamy E.A.

- Ex Angelis - dokończył Verlaine.

Verlaine stanął tak blisko gobelinu, że był w stanie rozróżnić poszczególne nici. Tkanina miała ziemisty zapach, na przestrzeni wieków przesiąkła kurzem. Sabinę, która cichutko stała obok, na wypadek gdyby była potrzebna, podeszła bliżej.

- Pozwólcie - powiedziała. - Jesteście tu z powodu gobelinów, to moja specjalizacja. - Nie czekając na reakcję gości, Sabinę podeszła do pierwszego dzieła. - Gobeliny z serii „Polowanie na jednoroźca” stanowią arcydzieła sztuki średniowiecznej, w sumie jest to siedem arrasów utkanych z wełny i jedwabiu. Przedstawiają polujących dworzan, ogary, rycerzy, panny i zamki w otoczeniu fontann i lasów. Mimo lat badań ich dokładne pochodzenie pozostaje tajemnicą, choć historycy sztuki są zgodni, że styl wskazuje na Brukselę około roku tysiąc pięćsetnego. Pierwsza pisemna dokumentacja na ich temat pojawiła się w siedemnastym wieku, kiedy skatalogowano je jako część majątku pewnego arystokratycznego rodu z Francji. Odkryto je i poddano renowacji w połowie dziewiętnastego wieku. W latach dwudziestych John D. Rockefeller junior kupił kolekcję za ponad milion dolarów – moim zdaniem cena była raczej niewygórowana. Wielu historyków uważa te gobeliny za najwspanialszy przykład sztuki średniowiecznej na świecie.

Verlaine przypatrywał się arrasowi z bliska, oczarowany jego żywymi

barwami. Pośrodku widniał jednorożec z mlecznobiałą piersią i wielkim rogiem.

- Mademoiselle - rzuciła Gabriella nieco wyzywającym tonem - przysłała nam pani pomoc czy oprowadzać wycieczkę?

- Potrzebujecie przewodnika - odcięła się Sabinę. - Spójrzcie na ściegi między literami - tu wskazała litery E i A ponad zwierzęciem.

- Konserwacja musiała być bardzo pracochłonna - oznajmił Verlaine, jakby stwierdzał coś oczywistego. - Bardzo był zniszczony?

- Owszem - potwierdziła Sabinę. - Gobeliny zostały zrabowane z chateau podczas rewolucji francuskiej. Przez kilkadziesiąt lat osłaniano nimi drzewa przed mrozem w sadach owocowych. Odrestaurowano je z wielkim trudem, ale z bliska zniszczenie jest dobrze widoczne.

Gabriella utkwiała wzrok w arrasie. Wtem zmieniła tok myślenia.

- Pani Rockefeller powierzono wyjątkowo trudne zadanie - powiedziała. - Miała ukryć instrument, a według wskazówek, które nam przekazano, wybrała na kryjówkę muzeum Cloisters.

- Na to wygląda - przytaknął Verlaine, patrząc na Gabriellę wyczekująco.

- Musiała znaleźć dobrze strzeżone, ale dostępne miejsce, bezpieczne, ale takie, z którego za jakiś czas można instrument wydobyć - Gabriella zaczerpnęła oddechu i rozejrzała się po sali; zwiedzający tłoczyli się w grupkach przed gobelinami. Zniżyła głos do szeptu: - Żadne z nas nie ma chyba złudzeń, że ukrycie tu liry jest praktycznie niemożliwe: to duży instrument, złożony z pudła i poprzeczek. A jednak jakimś cudem musiało jej się udać.

- Myślisz, że liry tu nie ma? - spytał Verlaine.

- Ależ skąd - zaprzeczyła Gabriella. - Wręcz przeciwnie. Nie sądzę, żeby Abigail Rockefeller przysłała nas tutaj na próżno. Zastanawiałam się nad wskazaniem czterech kryjówek i doszłam do wniosku, że Abigail Rockefeller zabezpieczyła lirę nadzwyczaj rozsądnie. Nie tylko wybrała doskonale miejsca, ale na dodatek nadała lirze bezpieczną postać. Coś mi mówi, że nie znajdziemy tu instrumentu w takiej formie, w jakiej się go spodziewamy.

- Nic nie rozumiem - stwierdził Verlaine. Odezwała się Sabinę:

- Na zajęciach z muzykologii eterycznej, historii chórów anielskich czy innych seminariach poświęconych konstrukcji i zastosowaniu instrumentów, angelolodzy dowiadują się, że najważniejszą częścią liry są struny. Podobnie jak wiele niebiańskich instrumentów, lira została wykonana z nieziemskiego metalu nazwanego valkinią, ale swój unikatowy dźwięk zawdzięcza właśnie strunom. Powstały z nierozpoznanej substancji - wśród angelologów od dawna przeważa opinia, że jest to mieszanka f jedwabiu i włosów anielskich. Cokolwiek to jest, to właśnie ta substancja i sposób naciągnięcia strun decydują o wyjątkowej melodii instrumentu. 1 Reszta to elementy wymienne. I

- Uczęszczała pani do Akademii w Paryżu - Gabriella wyraźnie była f pod wrażeniem. ';
- Bien sur, doktor Valko - Sabinę lekko się uśmiechnęła - jakże inaczej mogłabym piastować taką posadę? Pewnie pani nie pamięta, że chodziłam na pani zajęcia ze wstępu do wojny duchowej.
- W którym roku? - Gabriella przyglądała się Sabinę, usiłując ją rozpoznać.
- W osiemdziesiątym siódmym, pierwszy semestr.
- To był mój ostatni rok w Akademii.
- To były moje ulubione zajęcia.
- Miło mi to słyszeć. Proszę w takim razie mi się odwdzięczyć i pomóc rozwiązać zagadkę: „Tak jak ręka tka na krośnie rajemnicę, tak ręka musi ją rozwikłać” - Gabriella przyglądała się Sabinę, kiedy ta powtarzała zdanie pani Rockefeller, usiłując pojąć jego ukryty sens.
- Mam pomóc w rozwikłaniu - orzekła Sabinę. - W takim razie już wiem, co mam wydobyć z gobelinu.
- Pani Rockefeller wplotła struny w arras? - nie dowierzał Ver-laine.
- Zatrudniła do tego profesjonalistę. Zostały wplecione w gobelin uwięzionego jednorożca. Yerlaine sceptycznie obejrzał sploty.
- A niby jak, do cholery, mamy je wypleść? Sabinę była zupełnie niewzruszona.

- Z tego, co wiem, wpleciono je tak zręcznie, że ich usunięcie nie spowoduje najmniejszego uszczerbku.

- To trochę dziwne, że coś tak ważnego Abby postanowiła ukryć akurat w czymś tak delikatnym - zauważyła Gabriella.

- Proszę pamiętać - powiedziała Sabinę - że jakiś czas temu arrasy stanowiły prywatną własność Rockefellerów. Wisiały w salonie Abigail od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego, w którym je zakupiono, aż do końca lat trzydziestych, kiedy sprowadzono je tutaj. Pani Rockefeller była z nimi doskonale obeznana, z ich słabymi stronami również. - Sabinę wskazała fragment tkaniny, który poddano gruntownej konserwacji. - Widzicie ten nieregularny szew? Wystarczy przeciąć go w jednym miejscu, żeby się otworzył.

Z drugiego końca sali spokojnym krokiem podeszła strażniczka.

- Zaczynamy, pani Clementine? - spytała.
- Tak, bardzo proszę - Sabinę nagle przyjęła sztywną, profesjonalną pozę. - Najpierw trzeba opróżnić galerię. Proszę wezwać strażników. - Sabina zwróciła się do Gabrielli i Verlaine'a: - Musimy zamknąć salę, żeby rozpocząć procedurę. W takim tłumie nie ma mowy o nieskrępowanej pracy.
- Może pani zamknąć salę? - Verlaine popatrzył na tłum zwiedzających.
- Oczywiście. Jestem zastępcą dyrektora do spraw konserwacji. Mogę nakazać konserwację w dowolnym momencie.
- A to? - Verlaine skinął głową na kamerę.
- O wszystko zadbałam, monsieur.

Verlaine patrzył na gobelin. Serce zaczęło mu szybciej bić na myśl o tym, jak niewiele mieli czasu, żeby znaleźć struny i je wydobyć. Tak jak podejrzewał, materiał poddany konserwacji - tuż nad rogiem jednorożca, w górnej części gobelinu - zawierał największą szkę. Ta część znajdowała się wysoko, bo jakieś sześć stóp nad ziemią. Zeby jej dosięgnąć, trzeba było stanąć na krześle. Nie było do niej swobodnego dostępu.

Szew może się okazać zbyt mocny, a wtedy trzeba będzie zdjąć arras ze ściany i rozłożyć go na ziemi. To byłaby jednak ostateczność.

Kilkoro strażników zaczęło wyprowadzać zwiedzających z galerii. 3 Opróżniwszy salę, stanęli w drzwiach, aby zabezpieczyć wejścia.

Sabinę sprowadziła niskiego, łysego mężczyznę. Postawił obok gobelinu metalową skrzynkę i rozłożył drabinę. Zerknął tylko na Gabriellę i Verlaine'a i skupił się na szwie.

- Szkło, pani Clementine - powiedział. Sabinę otworzyła skrzynkę, w której leżały ułożone w największym porządku skalpele, nici, nożyczki. Wielkie szkło powiększające skupiało światło z sali w ognisty krąg.

Verlaine z fascynacją przyglądał się pewnym ruchom mężczyzny. Często zastanawiał się nad umiejętnościami konserwatorów, kiedyś nawet wybrał się obejrzeć prezentację chemicznych procesów czyszczenia podobnych tkanin. Trzymając szkło powiększające w jednej dłoni, a skalpel w drugiej, konserwator wprowadził czubek ostrza pomiędzy rząd mocnych szwów i lekko nacisnął. Szwy natychmiast puściły. Mężczyzna otwierał je systematycznie jeden po drugim, aż w gobelinie ukazała się dziura wielkości jabłka. Konserwator kontynuował pracę w skupieniu.

Verlaine stanął na palcach, żeby zobaczyć rozpruty materiał. Widział tylko strzępy kolorowych nici, każda cieniutka jak włos. Mężczyzna poprosił o narzędzie, Sabinę podała mu długi, cienki haczyk, który wprowadził w otwór w tkaninie. Wsunął go w odpowiednie miejsce, dokładnie między litery A i E. Pociągnął, a Verlaine'owi mignęło przed oczami coś jak iskra: na haczyku zawisł opalizujący sznurek.

Verlaine liczył struny, które podawał mu konserwator. Były cieniutkie jak żyłki i tak gładkie, jakby pokryto je woskiem; ślizgały się między palcami. Mężczyzna zszedł z drabiny.

- To wszystko - ograniczył się do wstrzemięźliwego komentarza, jakby właśnie zbeczczył relikwie.

Sabinę wzięła struny, zwinęła je i schowała do skórzanego woreczka. Wcisnęła go Verlaine'owi do ręki, mówiąc: „Vladame, monsieur, proszę za mną”, po czym wyprowadziła Gabriellę i Verlaine'a z galerii.

- Wie pani, jak je zamocować? - spytała Sabinę.
- Dam sobie radę - odparła Gabriella.
- Oczywiście - Sabinę przywołała strażników pstryknięciem palców. Otoczyli ich po trzech z każdej strony. - Bądźcie ostrożni - dodała, całując Gabriellę w policzek, po parysku. - Powodzenia.

Kiedy wychodzili pod eskortą z muzeum, przeciskając się przez wszędobylski tłum, przyszło Verlaine'owi na myśl, że studia, które podjął, i frustrujące, bezowocne poszukiwania będące częścią życia naukowca doprowadziły go do tej chwili triumfu. Obok szła Gabriella - kobieta, dzięki której odkrył powołanie angelologa i związał swoje nadzieje na przyszłość z Ewangelina. Mijali łuk za łukiem, ciężka architektura romańska ustępowała lekkiemu gotykowi, a on ścisnął w ręku miękki, skórzany woreczek ze strunami liry.

## Kościół Riverside, Morningside Heights, Nowy Jork

Kościół Riverside - imponująca, neogotycka katedra - wznosił się na tyłach Columbia University. Władimir i Saitou-san weszli po schodach i stanęli przed bogato zdobionymi drewnianymi drzwiami. Obcasy kozaków Saitou-san zgrzytały na posypanym solą lodzie. Kobieta otuliła ramiona czarnym szalem.

Weszli do środka, w miodową poświatę. Władimir zamrugał oczami, żeby oswoić się z półmrokiem. Kościół był pusty. Władimir poprawił krawat i wszedł po schodach do wielkiego przedsionka. Ściany z kremowego kamienia wznosiły się ku stykom łuków i przypominały pełne wiatru żagle w tłocznym porcie. Władimir przypatrzył się nawie za szerokimi wrotami.

W pierwszym odruchu chciał przeszukać kościół. Powstrzymał się. Wtem jego uwagę przykuły dwie mosiężne tablice na ścianie. Pierwsza upamiętniała hojność Johna D. Rockefellera juniora, który wybudował kościół. Drugą poświęcono Laurze Celestii Spelman Rockefeller, matce Johna D. Rockefellera.

- Laura to teściowa Abigail - wyszeptała Saitou-san, czytając napis na tablicy.
- Rockefellerowie byli pobożną rodziną - zauważył Władimir -zwłaszcza pokolenie z Cleveland. John D. Rockefeller junior pokrył koszty budowy kościoła.

- Co tłumaczy, dlaczego Abigail miała tu swobodny dostęp - dodała Saitou-san. - Ale nie ma mowy, żeby przechowywać tutaj skarb bez pomocy kogoś z wewnątrz.

Nagle rozległ się jęklivy, wysoki głos, który zupełnie zaskoczył Władimira.

- Bez pomocy kogoś z wewnątrz i mnóstwa pieniędzy.

Władimir się odwrócił. W korytarzu stał siwy starzec o wyglądzie ropuchy w eleganckim, szarym garniturze, ze starannie zaczesanymi włosami. W lewym oku miał monokl, nad jego policzkiem zwisał złoty łańcuszek. Władimir instynktownie cofnął się o krok.

- Przepraszam, że państwa niepokoję - powiedział mężczyzna. - Nazywam się Gray. Wasza obecność nie mogła ujść mojej uwadze. - Pan Gray wydawał się niezwykle podekscytowany. Wybałuszał oczy, rozglądając się na boki, wreszcie skupił wzrok na Władimirze i Saitou-san. - Powinienem spytać, kim jesteście - oznajmił, wskazując list pani Rockefeller w rękę Władimira - ale już wiem. Mogę? - Wziął list, przyjrzał mu się uważnie i powiedział: - Znam to pismo. Polecono mi załatwić wydrukowanie tej papeterii w czasach, kiedy pani Rockefeller zatrudniała mnie jako chłopca na posyłki. Miałem ledwie czternaście lat. Podśluchałem kiedyś, jak mówiła, że odpowiada jej moja uniżona postawa. Zdaje się, że to był komplement. Załatwiałem dla niej drobne sprawy - jeździłem do miasta po papier, do drukarni, przekazywałem artystom honoraria.

- W takim razie może pan nam powie, o co chodzi w tym liście - zagała Saitou-san.
- Pani Rockefeller była przekonana - ciągnął Gray, ignorując pytanie Saitou-san - że zawitają tu angelolodzy.
- Zatem jesteśmy - przerwał mu Władimir. - Wie pan, co mamy teraz zrobić?
- Odpowiem na wasze pytania - odparł Gray - ale przejdźmy do mojego biura. Tam będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Kamiennymi schodami zeszli do przedsionka. Pan Gray spieszył się, przeskakiwał po dwa schodki naraz. Weszli w mroczny korytarz. Starzec otworzył drzwi i wpuścił ich do wąskiego gabinetu zasłanego stosami papierzysk. Metalowy blat biurka przesłaniały sterty zapieczętowanych listów. Na podłodze leżały wióry z temperowanych ołówków. Na ścianie, obok metalowej szafki na akta, wisiał grudniowy kalendarz z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego.

Wszedłszy do pokoju, pan Gray nagle zmienił ton.

- No cóż, z całą pewnością wam się nie spieszyło - oznajmił z oburzeniem. - Zaczynałem już podejrzewać, że zaszło jakieś nieporozumienie. Pani Rockefeller przewróciłaby się w grobie, gdybym przed śmiercią nie przekazał pakunku zgodnie z jej życzeniem. Była bardzo wymagająca, ale też wyjątkowo hojna - przynajmniej moje dzieci i wnuki odniosą z tego jakieś korzyści; dla mnie jest już trochę za późno, czekałem na was pół życia. Pani Rockefeller zatrudniła mnie w kościelnej kancelarii zaraz po moim przyjeździe z Anglii, byłem wtedy nikim. Przydzieliła mi to biuro i kazała czekać na wasze przybycie, więc czekałem. Oczywiście podjąłem stosowne kroki na wypadek, gdybym zszedł z tego świata, zanim się zjawicie - w końcu mogło się to zdarzyć każdej chwili, przecież nie młodzieję. No, ale nie mówmy o tak strasznych rzeczach. W tej ważnej chwili skupmy się na życzeniach naszej dobrodziejki i jej jedynej nadziei: przyszłości. - Pan Gray zamrugał i poprawił monokl. - Przejdźmy do rzeczy.

- Doskonały pomysł - poparł go Władimir.

Pan Gray podszedł do szafki na akta, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i przeglądał je, aż znalazł właściwy. Przekręcił go w zamku i otworzył szufladę.

- Niech ja to znajdę - zamruczał, wyciągając wzrok - A, tak! Tutaj! Niezbędne dokumenty. - Przejrzał plik kartek, zatrzymał się na długiej liście nazwisk. - To, oczywiście, tylko formalność, niemniej zgodnie z wolą pani Rockefeller tylko osoby wymienione na liście lub ich potomkowie mogą otrzymać pakunek. Czy widnieją tu nazwiska wasze albo waszych rodziców, dziadków lub pradziadków?

Władimir przejrzał spis w większości znanych mu nazwisk angelologów żyjących w dwudziestym wieku. Znalazł swoje nazwisko pośrodku ostatniego rzędu, obok nazwiska Celestine Clochette.

- Bardzo proszę się podpisać tu i tu. I jeszcze tutaj, nad linią na dole. Władimir przejrzał dokument, było to długie pismo prawnicze poświadczające, że pan Gray wywiązał się z przekazania przedmiotu.

- Widzi pan - wyjaśnił starzec przeprasającym tonem - podpis odbiorcy jest potwierdzeniem dostarczenia przesyłki, bez którego nie otrzymam wynagrodzenia. Dokument jest bardzo konkretny, a prawnicy nieugięci. Domyśla się pan, że nie żyłem dostatnio, nie otrzymałem rekompensaty za moje poświęcenie. Przez te wszystkie lata cierpiełem niedostatek, czekałem na wasze przyście, żeby wreszcie porzucić to przekłete biuro i przejść na emeryturę. I oto jesteście - podsumował pan Gray, wręczając Władimirowi długopis. - To tylko formalność.

- Nie podpiszę - Władimir odsunął dokument - dopóki nie dostanę przedmiotu.

Twarz starca na chwilę zamarła, niedostrzegalny chłód zmroził mu rysy.

- Oczywiście - odparł cierpko. Wsunął dokument pod pachę, schował długopis do kieszeni marynarki. - Proszę za mną - rzucił szorstko, wychodząc z biura i prowadząc przybyszów na górę po schodach.

Na piętrze Władimir przystanął w cieniu nisz korytarza. Całą młodość strawił na studiowaniu muzykologii eterycznej, wnikał coraz głębiej w zamknięty świat angelologów. Po wojnie porzucił tę dyscyplinę. Otworzył skromną piekarnię, zajął się wyrobem słodczy i ciastek, znajdując w tej prostej pracy ogromną satysfakcję. Uznał, że jego dotychczasowe wysiłki były daremne, że ludzie nigdy nie pokonają nefilimów. Dopiero Gabriella wyblagała na nim powrót. Tłumaczyła, że jest potrzebny. On sam miał co do tego wątpliwości, ale Gabriella potrafiła być przekonująca, a na dodatek dostrzegł wcześniej zapowiedzi ponurych zmian. Nie miał pojęcia, skąd to wie - być może była to zasługa rygorystycznego wykształcenia, a może po prostu intuicja - w każdym razie był pewien, że Grayowi nie można ufać.

Co jakiś czas przystając, starzec prowadził Władimira i Saitou-san nawą główną chłodnego, mrocznego kościoła. Mimo niezliczonych witraży w środku było niemal zupełnie ciemno. Z sufitu zwisały na grubych sznurach gotyckie kandelabry - misternie rzeźbione, żelazne okucia pokrywał nalot. Obok ołtarza stała potężna ambona przepasana obręczami rzeźbionych figur. Wokoło na postumentach rozstawiono bożonarodzeniowe poinsecje przewiązane jaskrawoczerwonymi kokardami. Z mroku wylaniała się odgradzona grubym, bordowym sznurem absyda.

Starzec odpiął welurowy sznur i opuścił go na podłogę. Brzęk metalowej sprzączki rozniósł się echem po nawie. Z marmurowych płyt podłogowych skomponowano labirynt. Pan Gray nerwowo postukał w ziemię obcasem.

- Pakunek umieszczono tutaj - wskazał podłogę czubkiem buta. - W samym środku labiryntu.

Władimir przeszedł po labiryncie, analizując układ kamieni - ukrycie czegoś pod spodem wydawało się niemożliwe. Nie obyłoby się bez demontowania posadzki, czego nie wybaczyłaby ani Abigail Rockefeller, ani żaden konserwator.

- Ale jak? - spytał. - Podłoga jest idealnie wykończona.

- A, tak - Gray podszedł do Władimira. - Tylko się panu wydaje. Proszę uważnie się przyjrzeć.

Władimir przyklęknął, żeby obejrzeć kamienie. Wokół środkowego biegł cienki, delikatny szew. Wpasowano go tak dokładnie, że obwódka była ledwie widoczna.

- Praktycznie niezauważalne - orzekł.

- Proszę się odsunąć. - Pan Gray stanął na kamieniu, docisnął go w samym środku, a wtedy on uniósł się jak na sprężynach. Starzec go podważył.

- Niesamowite - szepnęła Saitou-san, zerkając ponad ramieniem Graya.

- Wprawna ręka kamieniarza i stosowne fundusze potrafią zdziałać cuda - objaśnił pan Gray. - Znał pan świętej pamięci panią Rockefeller?

- Nie - odpowiedział Władimir - nie osobiście.

- Jaka szkoda - rzekł Gray. - Była osobą o nadzwyczajnym poczuciu sprawiedliwości z nutą romantyzmu; to bardzo rzadkie połączenie u kobiet z jej sfer. Życzyła sobie, abym poprowadził przybyłych angelologów do labiryntu, a następnie poprosił ich o podanie ciągu cyfr. Zapewniła mnie, że osoby, które stawiają się po przesyłkę, będą go znały. Ja oczywiście znam je na pamięć.

- Cyfry? - Władimir zdumiał się niespodziewanym sprawdzianem.

- Tak, proszę pana. - Starzec odsunął kamień. W podłodze znajdowały się drzwiczki sejfów z czterema zamkami szyfrowymi. - Do otwarcia sejfów potrzebna jest kombinacja. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan Minotaurem, który szuka wyjścia z kamiennego labiryntu - pan Gray uśmiechnął się nad wyraz uradowany zakłopotaniem przybyłych.

Władimir wbił wzrok w idealnie dopasowane do podłogi drzwiczki sejfów. Saitou-san pochyliła się nad nim.

- Ile cyfr jest w każdej kombinacji? - spytała.

- Tego nie mogę wam powiedzieć. Saitou-san pokręciła tarczami.

- Znaki na papeterii Abigail miała rozszyfrować Innocenta - zastanawiała się głośno, ważąc słowa, Saitou-san. - Odpowiadając na listy, Innocenta potwierdzała odczytanie liczby strun. Pewnie to gdzieś zapisywała.

- Sekwencja była taka - przypomniał Władimir - dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści osiem i trzydzieści dziewięć.

Saitou-san przekręciła cztery gałki. Szarpnęła drzwiczki. Ani drgnęły.

- Innych liczb nie mamy - powiedziała. - Może trzeba zmienić kombinację.

- Cztery liczby i cztery gałki - powątpiewał Władimir - to oznacza sześćdziesiąt cztery możliwe kombinacje. Nie ma mowy, żebyśmy wszystkie wypróbowali. Czas nas goni.

- Chyba że - zadumała się Saitou-san - dla tych liczb pomyślano jakiś porządek. Pamiętasz kolejność, w jakiej zostały przesłane? Verlaine odczytał je zgodnie z chronologią.

Władimir myślał przez chwilę.

- Dwadzieścia osiem, trzydzieści osiem, trzydzieści i trzydzieści dziewięć.

Saitou-san uważnie ustawiła pokrętki. Pociągnęła za uchwyt, drzwiczki odskoczyły. Sięgnęła do środka, wyjęła ciężkie zawiniątko i odsłoniła zielony welur. Pudło rezonansowe rzuciło na kamienny labirynt złote światło.

- Cudowna - orzekła Saitou-san, oglądając przedmiot ze wszystkich stron. Podstawa liry była okrągła, dwa identyczne ramiona zawijały do środka jak rogi byka. Złoty metal lśnił intensywnym blaskiem. - Ale nie ma strun.

- Ani jarzma - dodał Władimir. Przyklęknął obok Saitou-san i przyjrzał się instrumentowi. - To tylko jedna z części, najważniejsza, ale bez pozostałych zupełnie bezużyteczna. Dlatego wysłano nas w cztery miejsca. Lira została rozmontowana.

- Trzeba zawiadomić resztę - Saitou-san ostrożnie wsunęła lirę do welurowego worka. - Muszą wiedzieć, czego szukać.

Władimir wstał i spojrzał na pana Graya - stał przed nimi, drżąc.

- Nie znalazłeś kombinacji - stwierdził Władimir. - Czekasz, aż ktoś ci ją poda. Gdybyś ją znał, sam wyjąłbyś skarb.

- Nie ma znaczenia, co wiedziałem, a czego nie. - Spocona twarz starca pokraśniała. - Skarb nie jest ani moją, ani waszą własnością.

- Co to niby ma znaczyć? - zdumiała się Saitou-san.

- To - z głębi absydy dobiegł Władimira znajomy głos, na dźwięk którego przeszedł go dreszcz grozy - że gra się skończyła. Angelolodzy przegrali.

Przerażonemu Grayowi wypadł z oka monokl. Nie zastanawiając się ani chwili, wybiegł z absydy do bocznej nawy, jego szary garnitur tylko migał, kiedy na przemian zanurzał się w kałużach światła i cienia. Patrząc za nim, Władimir dostrzegł wzdłuż naw kościoła grupki nefilimów - w półmroku pobłyskiwały ich białe włosy i czerwone skrzydła. Potwory wiodły wzrokiem za starcem jak słoneczniki za słońcem. Władimir w lot pojął, że wpadli w pułapkę. Percival Grigori spodziewał się ich i czekał.

Ostatni raz Władimir widział Grigoriego przed kilkadziesiąt laty, kiedy był jeszcze protegowanym Raphaela Valki. Podczas wojny był naocznym świadkiem okrucieństwa Grigorich. Dobrze pamiętał zadane angelologom ciosy - wskutek knowań Percivala Seraphina Yalko została zamordowana; Gabriella tylko cudem uniknęła śmierci. W tamtych czasach Percival był siejącym grozę olbrzymem. Teraz przeobraził się w schorowanego mutanta.

Skinął ręką, a gibborimowie pojmali i przyprowadzili doń pana Graya.

Bez słowa ostrzeżenia Percival zdjął rączkę laski, przekręcił ją i wy dobył z trzonka sztylet. Ostrze zalśniło w słabym świetle, na sekundę zawisło w powietrzu. Już po chwili Percival wykonał zwinny ruch do przodu i wbił sztylet w ciało mężczyzny. Zaskoczenie na twarzy starca ustąpiło najpierw niedowierzaniu, potem - agonicznej udręce. Percival wyciągnął nóż. Starzec padł na podłogę z cichym skomleniem, wokół ciała rozlała się kałuża krwi. Jego oczy zastygły w szklistym spojrzeniu. Percival oczyścił sztylet białą, jedwabną chustką i równie szybko, jak go dobył, schował do laski.

Władimir zerknął, jak jego towarzyszka oddala się z lirą i cicho wycofuje na tyły kościoła. Zanim Percival się zorientował, była już przy drzwiach. Grigori skinął na gibborimów. Polowa ruszyła w pogoń, reszta wystąpiła naprzód. Ciągnąc szaty po marmurowej podłodze, potwory otoczyły absydę. Percival skinął ponownie, aby gibborimowie pojmali Władimira.

Kiedy się wokół niego stłoczyli, Władimir wdychał zbutwiałą woń ich skóry. Czuł chłód ich ciał i mroźny powiew od miarowego łopotu skrzydeł.

- Lirę dostanie Gabriella - krzyknął Władimir, próbując wyszarpać się z uścisku potworów.

Percival posłał mu pogardliwe spojrzenie.

- Miałem nadzieję spotkać tu moją ukochaną. Wiem, że ta misja to jej sprawka. Ale widzę, że z biegiem lat stała się nieuchwytna.

Władimir zamknął oczy. Przypomniało mu się, jaką sensacją w kręgach angelologicznych stała się prowadzona przez Gabriellę infiltracja rodziny Grigorich; to była najpoważniejsza afera szpiegowska w latach czterdziestych. Praca Gabrielli dała początek nowoczesnym metodom obserwacji rodzin nefilimów i dostarczyła ogromu cennych informacji. Ale miała też inny skutek: po tych wszystkich latach Percival Grigori nadal pałał żądzą zemsty.

Wspierając się ciężko na lasce, Grigori pokuśtykał do Władimira.

- Mów - rozkazał. - Gdzie ona jest?

Percival pochylał się nad angelologiem. Władimir widział grube, różowe kręgi pod jego oczami, na białej skórze wyglądały jak sińce. Percival miał idealnie równe zęby, białe jak z masy perłowej. A jednak się starzał - siatka zmarszczek wokół oczu zdradzała, że ma co najmniej trzysta lat.

- Znam cię - Percival zmrużył oczy, jakby porównywał człowieka, który stał przed nim, z wizerunkiem przechowywanym w pamięci. - Widziałem cię w Paryżu. Pamiętam twoją twarz, chociaż zmieniłeś się nie do poznania. Pomagałeś Gabrielli w oszustwie, jakiego się względem mnie dopuściła.

- A ty - odparł Władimir, odzyskując spokój - zdradziłeś wszystko, w co wierzyłeś: rodzinę, przodków. Do dziś jej nie zapomniałeś. Powiedz, bardzo ci brakuje Gabrielli Levi-Franche?

- Gdzie ona jest? - Percival wbił wzrok we Władimira.

- Tego nigdy ci nie powiem - rzekł Władimir, ważąc słowa. Wiedział, że tym samym podpisuje na siebie wyrok śmierci. Percival wypuścił laskę. Upadła na podłogę, rozległ się ostry dźwięk. Położył długie, zimne palce na piersiach Władimira, jakby chciał wyczuć bicie jego serca. Władimira przeszył chłód, który natychmiast odebrał mu zdolność myślenia. W ostatnich chwilach życia, kiedy jego rozżarzone do czerwoności płuca błagały o oddech, Władimir nie mógł oderwać wzroku od przerażających, szklanych oczu zabójcy - białych, z czerwoną obwódką, jaskrawych jak ogień substancji chemicznej rozpalony na lodzie.

Kiedy świadomość Władimira gasła, pamiętał tylko cudowny dotyk ciężkiej i chłodnej liry i to, jak bardzo pragnął usłyszeć jej melodię.

## **Lodowisko, Centrum Rockefellera, 5. Aleja, Nowy Jork**

Ewangelina śledziła wzrokiem łyżwiarzy wolno sunących po lodowisku. Na lśniącej tafli padały kolorowe światła. W oddali, na tle masywnego, szarego budynku widniała ogromna choinka; czerwone i srebrne lampki migotały jak rój świetlików schwytych w szklanym stożku. Wokół bożonarodzeniowego drzewka stał zastęp strażników: majestatycznych anielskich heroldów o skrzydłach, których biel i delikatność przywodziły na myśl płatki lilii, i ciałach skonstruowanych z podświetlonych kabli; ich długie, mosiężne trąbki unosiły się w chóralnej chwale na cześć niebios. Okoliczne sklepy prowadzące sprzedaż książek, odzieży, artykułów papierniczych i czekolady zaczęły już zamykać; klienci wychodzili z nich w noc, taszcząc pod pachą prezenty i torby z zakupami.

Ewangelina otuliła się szczelnie płaszczem jak kokonem. Niosła chłodną, metalową kasetkę, a w niej jarzmo liry. Towarzyszący jej Bruno i Alistair Carrol rozglądali się po tłumie. W hali były setki ludzi. Z niewielkich głośników sączył się utwór White Christmas, coraz to zagłuszany dobiegającym z lodowiska śmiechem. Do wyznaczonej godziny spotkania pozostało piętnaście minut, ale nigdzie nie było widać znajomych twarzy. Mroźne powietrze pachniało śniegiem. Ewangelina zaczerpnęła powietrza i zaniósła się kaszlem. Brakowało jej tchu, czuła ucisk w płucach.

To, co przed kilkoma godzinami było tylko nieprzyjemnym odczuciem w klatce piersiowej, przeobraziło się w bolesne duszności. Oddychała z trudem, nie mogła wciągnąć dość powietrza.

Alistair Carrol zdjął szalik i delikatnie owinał nim kołnierz Ewangeliny.

- Przemarzłaś, moja droga - powiedział. - Zakryj się przed wiatrem.

- Nawet nie czułam, że wieje - odparła Ewangelina, otulając szyję grubą, miękką wełną. - Za bardzo się martwię. Już powinni tu być.

- Przyszliśmy tu z panią Rockefeller o tej samej porze roku - oznajmił Alistair. - W Boże Narodzenie czterdziestego czwartego roku. Przywiozłem ją w środku nocy, przeprowadziłem przez potworną burzę. Na szczęście uprzedziła strażników o naszej wizycie. Ich pomoc okazała się bezcenna.

- A zatem wie pan, co tu schowano? - spytał Bruno. - Widział to pan?

- O, tak - odparł Alistair. - Sam spakowałem stroiki. Musiałem się nagłowić, jak je zabezpieczyć. Abby była przekonana, że to doskonale miejsce. Sam przyniosłem pakunek i pomagałem go schować. Stroiki są maleńkie, pudełeczko waży tyle, co zegarek bez dewizki. Aż trudno uwierzyć, że to tak ważna część instrumentu. Ale fakt pozostaje faktem: bez stroików lira jest bezużyteczna.

Ewangelina próbowała wyobrazić sobie maleńkie gałeczki, zastanawiając się, jak zamontować je z powrotem.

- Potrafi pan złożyć instrument? - spytała.

- Trzeba zachować porządek rzeczy, jak ze wszystkim - odparł Alistair. - Zamocować jarzmo między ramionami, nawlec struny na każdy stroik i odpowiednio je napiąć. Największa trudność, jak sądzę, polega na nastrojeniu liry, bo to wymaga nadzwyczaj wprawnego ucha. - Skinąwszy na anioły pod choinką, dodał: - Zapewniam was, że lira w niczym nie przypomina instrumentów, jakie zwyczajowo przypisuje się chórom anielskim. Anioły pod choinką, wykonane z kabli, po raz pierwszy wystawiono w Centrum Rockefellera w pięćdziesiątym czwartym, rok po ukończeniu ogrodu rzeźb przez



Philipa Johnsona i dziesięć lat po umieszczeniu tu skarbu. Traf chciał, że wyglądają tak, a nie inaczej - pani Rockefeller już nie żyła, a nikt oprócz mnie nie wiedział, co tutaj jest ukryte - ale okazały się wymownym symbolem. Zastęp zwiastujących aniołów - to pasuje, prawda? W okresie przedświątecznym czuć w powietrzu, że właśnie tu znajduje się anielski skarb. Tylko czeka, żeby go ktoś znalazł.

- Pudełeczka nie umieszczono pod choinką? - spytała Ewangelina.

- W żadnym razie - odparł Alistair, wskazując kraniec lodowiska, ponad którym wznosił się posąg Prometeusza - gładką, połączoną powierzchnię z brązu otulało światło. - Wmontowaliśmy je w posąg, ukryliśmy w połączonym więzieniu.

Ewangelina przyjrzała się posągowi. Prometeusza uwieczniono w powietrzu, w podskoku. Heros trzyma w szczupłych palcach wykradzony z niebiańskiego paleniska ogień, wylania się z obręczy zdobionej znakami zodiaku. Ewangelina знаła mit. Za wykradzenie bogom ognia Zeus ukarał Prometeusza, przykuwając go do skały i przykazując orłom szarpać jego ciało przez całą wieczność. Kara miała być współmierna do przewinienia: dar ognia dla ludzkości oznaczał początek innowacji i postęp technologiczny, a to stopniowo pozbawiło bogów znaczenia.

- Nigdy nie widziałam tej rzeźby z bliska - powiedziała Ewangelina. W odbijającym się od lodowiska blasku skóra Prometeusza wydawała

się półpłynna. Heros stał się płonąca jednością z wykradzonym ogniem.

- Żadne to dzieło sztuki - przyznał Alistair - ale do Centrum Rockefellera pasuje doskonale. Paul Manship był przyjacielem rodziny, Rockefellerowie dobrze znali jego twórczość i zlecili mu wykonanie rzeźby. Sięgając po mit o Prometeuszu, zawarł w swoim dziele znacznie więcej niż tylko ulotne odniesienie do moich byłych pracodawców - ich geniuszu i bezwzględności, podstępów i dominacji. Manship wiedział, że za Johna D. Rockefellera juniora to porównanie zachowa aktualność. John wykorzystał wszystkie swoje wpływy, żeby zbudować Centrum podczas wielkiego kryzysu.

- Porównanie jest jak najbardziej aktualne - głos Gabrielli, która nagle wyłoniła się znikąd w towarzystwie Verlaine'a, całkowicie zaskoczył Ewangelinę. - Prometeusz trzyma w dłoni ogień, ale dzięki pani Rockefeller kryje także coś ważniejszego.

- Gabriella. - Przytulając babkę, Ewangelina odetchnęła z niewymowną ulgą. Dopiero teraz, czując jej wąty uścisk, uświadomiła sobie, jak bardzo się denerwowała.

- Znaleźliście część instrumentu? - spytała Gabriella niecierpliwie. - Pokażcie.

Ewangelina postawiła na ziemi skrzynkę z jarzmem i ją otworzyła. Gabriella z kolei otworzyła walizkę, w której znajdował się skórzany woreczek ze strunami, plektron i notatnik angelologiczny. Przełożyła jarzmo do walizki. Zamknęła wieko, sprawdziła zamki i dopiero wtedy dostrzegła Alistaira Carrolla. Popatrzyła na niego nieufnie. Ewangelina przedstawiła go, wyjaśniła, co łączyło go z panią Rockefeller, i dodała, że zaoferował pomoc.

- Wie pan, jak wyjąć stroiki z posągu? - spytała Gabriella. - I gdzie dokładnie zostały ukryte?

- Madame - odparł Alistair - od półwiecza przechowuję to miejsce w pamięci.

- Gdzie Władimir i Saitou-san? - Bruno nagle zdał sobie sprawę, że brakuje dwojga angelologów.

Verlaine zerknął na zegarek.

- Powinni już tu być.

Bruno spjrzał na połyskujący w oddali posąg Prometeusza.

- Nie możemy długo czekać.

- Nawet sekundy - poprawiła go Gabriella. - Narażamy się na niebezpieczeństwo.

- Śledzono was? - Niepokój Gabrielli udzielił się Alistairowi.

- Gabriella jest o tym przekonana - potwierdził Verlaine - mimo że w Cloisters obyło się bez problemów.

- Bo tak to zaplanowali - oznajmiła Gabriella, rozglądając się po tłumie. Może myślała, że uda jej się wypatrzyć wroga. - Wymknęliśmy się z Cloisters, bo nam na to pozwolili. Nie możemy czekać ani chwili dłużej. Władimir i Saitou-san zaraz tu będą.

- W takim razie do dzieła - zakomenderował Alistair.

Jego opanowanie wzbudziło podziw Ewangeliny; przypomniały jej się dzielne siostry ze Świętej Róży, których wspólnotę porzuciła.

Angelolodzy poszli za Alistairem skrajem placu, zeszli po betonowych schodach na poziom lodowiska. Minęli bandę, kierując się w stronę posągu. Przed sobą widzieli gmach GE; olbrzymią fasadę przecinał rząd flag - amerykańska, brytyjska, francuska, portugalska, niemiecka, holenderska, hiszpańska, japońska, włoska, chińska, grecka, brazylijska, koreańska - wiatr łopotał nimi niestrudzenie, tworząc barwny wir. Być może lata życia zakonnego uwrażliwiły Ewangelinę na tłum - z zaciekawieniem przyglądała się ludziom zebranych wokół lodowiska i tym na lodzie. Były tam nastolatki w obcisłych dzinsach i kurtkach narciarskich, rodzice z małymi dziećmi, pary młode i w średnim wieku; jeździli na łyżwach w kółko, obok siebie. Właśnie widok tłumu uświadomił Ewangelinie, że przez tyle lat żyła z dala od świata.

Nagle, nie dalej jak pięć stóp od niej, wyrosła postać w ciemnej pelerynie. Wysoka, blada, z wielkimi czerwonymi oczami, wpatrywała się w nią złowrogo. Ewangelina rozejrzała się wokoło, poczuła, że wpada w panikę. Gibborimowie wmieszali się w tłum, wysokie, mroczne skupione postaci były dosłownie wszędzie.

Ewangelina złapała Verlaine'a za rękę i przyciągnęła go do siebie.

- Rozejrzyj się - wyszeptala - pełno ich.



- Musisz uciekać - Verlaine spojrzal jej w oczy. - Zanim wpadniemy w pułapkę.
- Chyba już za późno - odparła Ewangelina, patrząc dokoła z rosnącą grozą. Gibborimów stale przybywało. - Są wszędzie.
- Chodź ze mną - namawiał ją Verlaine, odciągając od grona angelologów. - Możemy razem uciec.
- Nie teraz - Ewangelina zbliżyła usta do jego ucha, żeby nikt inny jej nie słyszał. - Musimy pomóc Gabrielli.
  - A jeśli się nie uda? - spytał Verlaine. - Jeśli coś ci się stanie? Ewangelina przypatrzyła mu się z lekkim uśmiechem.
- Tylko ty znasz moje ulubione miejsce na świecie. Chciałabym, żebyśmy kiedyś wybrali się tam razem.

Ktoś zawołał Ewangelinę. Oboje się odwrócili. To wołała Gabriella.

Podeszli do angelologów. Alistair Carroll rozglądał się po tłumie, jego rysy stężyły ze zgrozy, oczy ziały pustką, był błydy jak trup. Ewangelina spojrziała tam, gdzie on, na kraniec lodowiska, pod posągami Prometeusza zebrał się tłum posępnych, błych postaci skrywających skrzydła pod długimi, czarnymi pelerynami. Pośrodku nich wspierał się o lasce wysoki, elegancki mężczyzna. , |

- Kto to? - spytała Ewangelina. f

- Percival Grigori - odpowiedziała Gabriella. I Ewangelina natychmiast rozpoznała nazwisko. To był klient Verlaine'a, członek niesławego rodu Grigorich, morderca jej marki. Wpatrywała się w niego z oddali jak zahipnotyzowana. Oto zobaczyła nefilima, który » zniszczył jej rodzinę. Odezwała się Gabriella:

- Twoja matka była bardzo do niego podobna: ten sam wzrost, karnacja, wielkie, niebieskie oczy. Zawsze się bałam, że może się w niego wrodzić. - Gabriella mówiła ledwie słyszalnym szeptem. - Byłam przerażona, że Angela wygląda jak nefilim, a najbardziej obawiałam się tego, że wyrośnie na jedną z nich.

Ewangelina nie zdążyła przetrwać tej tajemniczej wiadomości i jej koszmarnych następstw, gdy Percival uniósł dłoń, a wtopieni w tłum nefilimowie wystąpili. Było ich więcej, niż na początku się wydawało - rząd za rządem błych, wychudłych postaci w czarnych pelerynach. Wyłaniały się zewsząd, jakby materializowały się w suchym powietrzu zimnego wieczora. Dziewczyna patrzyła przerażona, jak zbliżają się w jej stronę. Wkrótce wokół bandy lodowiska rozlały się ich cienie. Wśród lyżwiarzy zapanowała konsternacja. Przerwali hipnotyczną jazdę wokół lodowiska i ukradkiem przyglądali się osobliwej grupie, choć raczej z zaciekawieniem niż ze strachem. Dzieci pokazywały dziwaków palcami, a dorośli, w większości oswojeni z niecodziennymi widokami miasta, próbowali ich ignorować. Wtem gibborimowie wskoczyli na barierki.

W jednej chwili prysł zbiorowy trans bezruchu. Przerażeni ludzie zostali otoczeni ze wszystkich stron. Angelolodzy znaleźli się w samym środku splecionej przez gibborimów sieci.

Ktoś zawołał Gabriellę. Ewangelina odwróciła się i dostrzegła przedzierającą się przez tłum Saitou-san. Od razu domyśliła się, że w kościele Riverside musiało się wydarzyć coś strasznego. Saitou-san była ranna. Miała pokaleczoną twarz, porwany płaszcz. Najgorsze było to, że przyszła sama.

- Gdzie Władimir? - spytała Gabriella, patrząc z troską na młodą angelolog.

- Nie ma go jeszcze? - odpowiedziała pytaniem zadyszana Saitou--san. - Rozdzieliliśmy się w kościele. Byli tam gibborimowie i Grigori. Nie mam pojęcia, skąd wiedzieli, żeby tu przyjść. Chyba że Władimir im powiedział.

- Zostawiłaś go? - dopytywała Gabriella.

- Uciekłam. Nie miałam wyjścia. - Saitou-san wyciągnęła welurowe zawiniątko ukryte pod płaszczem, trzymała je w ramionach jak niemowlę. - Inaczej to by przepadło.

- Pudło rezonansowe. - Gabriella sięgnęła po przedmiot. - Znaleźliście.

- Tak - potwierdziła Saitou-san. - Macie pozostałe części?

- Wszystkie oprócz stroików - odparła Ewangelina. - Są tam, pośrodku gibborimów.

Saitou-san i Gabriella spojrzwały na rojowisko mrocznych postaci.

Gabriella przywołała Brunona, mówiła coś po cichu rozkazującym tonem. Ewangelina nie dosłyszała słów babki, tylko nagłący ton jej głosu. Po chwili Gabriella wzięła wnuczkę za rękę.

- Idź z Brunonem - powiedziała, dając jej do ręki walizkę. - Rób, co ci każe. Musisz to wywieźć jak najdalej stąd. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, niedługo się spotkamy.

Do oczu dziewczyny napłynęły łzy, lodowisko całkiem się rozmazało. Pomimo zapewnienia babki, czuła, że więcej jej nie zobaczy. Gabriella jakby czytała w jej myślach. Rozwarła ramiona i przytuliła wnuczkę, po raz pierwszy w życiu mocno ją uściśnęła. Ucałowała ją w policzek i wyszeptowała:

- Angelologia to nie tylko zawód. To powołanie. Twoja praca dopiero się zaczyna, moja kochana Ewangelino, a ty już zdążyłaś spełnić wszystkie moje nadzieje.

To powiedziawszy, Gabriella poszła za Alistairem przez tłum. Przeciskali się przez stłoczoną wokół bandy masę, po czym znikli w chaotycznym poruszeniu i tumulcie.

Bruno chwycił Verlaine'a i Ewangelinę za ramiona i poprowadził ich schodami na górę. Saitou-san szła tuż za nimi. Zatrzymali się dopiero przy rzędzie flag za posągami Prometeusza. Obserwując lodowisko z góry, Ewangelina w pełni uświadomiła sobie, w jak niebezpiecznej sytuacji znaleźli się Gabriella i Alistair: tafla lodu znikła pod tłumem gibborimów. Serce dziewczyny zamarło.

- Co oni robią? - spytał Verlaine.

- Idą w sam środek - odparła Saitou-san.

- Musimy im pomóc - przekonywała Ewangelina.

- Gabriella wydała jasne instrukcje. - Troska w głosie Brunona i jego zmarszczone brwi nie pozostawiały wątpliwości, że zamiary Gabrielli przerażały również i jego. - Ona na pewno wie, co robi.

- Być może - odparł Verlaine - ale jak, do cholery ciężkiej, zamierza się stamtąd wydostać?

Nefilimowie rozstąpili się, torując drogę Gabrielli i Alistairowi, kierującym się w stronę posągu. W cieniu stworów Gabriella wydawała się mała i słabowita, a Ewangelina nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia sytuacji: ta sama pasja i oddanie, które kazały czcigodnemu Clematisowi zejść w głąb jaskini i stawić czoło nieznanemu, i ten sam głód wiedzy, który przypieczętował los jej matki - te właśnie siły popychały Gabriellę do walki z Percivalem Grigorim.

Ewangelina pojmowała plan Gabrielli - widziała, jak dyskutuje z Grigorim, jak odwraca jego uwagę, jak Alistair Carroll podbiega do posągu Prometeusza - a jednak była zszokowana obcesowością realizacji planu przez Alistaira. Wszedł ostrożnie do basenu z wodą i przebrnął do podstawy posągu. Wspinając się do złotej obręczy obejmującej ciało Prometeusza, przemoczył ubranie i włosy. Obludzona krawędź musiała być śliska. Alistair sięgnął do wewnętrznej strony obręczy i coś chwycił. Ewangelina stała bezpośrednio nad posągiem, ale nie była pewna, co dokładnie robił. Wydawało jej się, że wyjmuje coś przymocowanego do obręczy od środka - po chwili przekonała się, że tak było faktycznie, trzymał w ręku małe, brązowe puzderko.

- Ewangelina! - Huk fontanny stłumił zawołanie Alistaira. - Łap!

Alistair rzucił pudełko. Przeleciało ponad Prometeuszem, ponad przezroczystą, plastikową barierką odgradzającą lodowisko i upadło u stóp Ewangeliny. Podniosła je. Było owalne i ciężkie jak złote jajo.

Ściskając walizkę, Ewangelina się rozejrzała. Po jednej stronie lodowisko blokowali ludzie, którzy z wystudiowaną nonszalancją zdejmowali łyżwy. Gibborimowie powoli zaczęli okrążyć Alistaira. Kiedy go opadli, wydawał się warty i bezbronny. Ewangelina dotknęła miękkiego, wełnianego szalika, który jej oddał; tak bardzo chciałaby mu pomóc. Ale nie mogła się do niego zbliżyć. W ciągu kilku minut bestie skończą z Alistairem Carrollem i zaczną szukać pozostałych angelologów.

Świadomy beznadziejności sytuacji, Bruno rozejrzał się za drogą ucieczki. Wreszcie wpadł na pomysł.

- Chodźcie - powiedział, kiwając na Verlaine'a i Ewangelinę. Grigori coś do nich warknął, wyjął pistolet z kieszeni i przystawił go

Gabrielli do głowy.

- Chodź, Ewangelino - ponaglił ją Bruno. - Już.

Ewangelina nie mogła tego zrobić. Patrzyła to na Brunona, to na babkę - zakładniczkę pośrodku lodowiska - i wiedziała, że trzeba szybko działać. Gabriella kazała jej uciekać - walizka z lirą była warta więcej niż życie któregokolwiek z nich - ale Ewangelina nie mogła odwrócić się i wydać babki na pewną śmierć.

Ścisnęła rękę Verlaine'a i pobiegła do Gabrielli. Pokonała schody i wpadła na lód. Dobrze wiedziała, że naraża ich wszystkich na ogromne niebezpieczeństwo, a ponadto ryzykuje coś znacznie ważniejszego. Ale za nic nie zostawiłaby Gabrielli. Straciła wszystkich. Miała tylko ją.

Pośrodku lodowiska, obok Percivala, dwóch gibborimów trzymało Gabriellę za ramiona. Krąg stworów zamknął się za Ewangelina, odcięli jej drogę ucieczki. Nie mogła się wycofać.

- Podejź - Percival skinął laską na Ewangelinę. Wpatrując się w brązowe pudełeczko, które wydobył z posągu Alistair, dodał:

- Oddaj mi to.

Ewangelina stanęła przed Percivalem. Przyjrzała mu się uważnie, jego stan ją zszokował. Nefilim był zgarbiony, słabowity i wychudły. Wyciągnął zasuszoną dłoń, na której dziewczyna posłusznie położyła puzderko. Percival uniósł je do światła i uważnie mu się przyjrzał, niepewien, co może zawierać. Uśmiechając się, wsunął je do kieszeni, po czym jednym ruchem wyrwał Ewangelinie walizkę.

**Lodowisko, Centrum Rockefellera, 5. Aleja, Nowy Jork**

Verlaine dobrze wiedział, że stwory ukryły skrzydła pod czarnymi pelerynami, zdawał sobie sprawę z zagłady, jaka nastąpi, jeśli gibborimowie zdecydują się je rozłożyć. Tymczasem zgromadzonym wokół ludziom bestie wydawały się tylko zgrają cudaków wykonujących na lodzie jakiś dziwaczny rytuał. Gibborimowie słuchali rozkazów Percivala Grigoriego, stali wokół niego pośrodku lodowiska, tworząc nieprzeniknioną ścianę oddzielającą ich mocodawcę i angelologów od tłumu. Obserwowanie ich pochłonęłoby Verlaine'a bez reszty, gdyby nie to, że pośrodku czarnej masy istot uwięzione były Ewangelina i Gabriella.

- Zostań tu - powiedział Bruno do stojącego ponad posągami Ver-laine'a. - Saitou-san, zejdziesz po schodach. Ja obejdem lodowisko z drugiej strony, może uda mi się odwrócić uwagę Grigoriego.

- Nie da rady - odparła Saitou-san. - Spójrz, ilu ich jest. Bruno przystanął, rozejrzał się.

- Nie możemy ich tak zostawić - stwierdził. - Trzeba przynajmniej spróbować.

Bruno i Saitou-san odeszli. Verlaine został, obserwując bezradnie rozgrywające się poniżej widowisko. Chciał przeskoczyć przez barierkę i zejść na lód. Robiło mu się słabo na myśl o niebezpieczeństwie, w jakim znalazła się Ewangelina, a przy tym nie mógł nic zrobić, żeby ją uratować.

Znał ją raptem jeden dzień, ale myśl o życiu bez niej przerażała go bez reszty. Zawołał ją. Usłyszała, spojrzała na niego spośród roju stworów. Grigori popychał ją i Gabriellę, wyprowadzając je z lodowiska.

Przez chwilę Verlaine poczuł się jak postronny obserwator, przypatrujący się dramatowi z oddali. Nie umknęła mu ironia własnego położenia: on, nędzny bohater tragikomedii, patrzy, jak jego ukochaną porywa nikczemny łajdak. W nadzwyczajny sposób miłość sprawiała, że czuł się zarazem jak amant rodem z taniego romansu i ktoś zupełnie wyjątkowy. Kochał Ewangelinę, tego był pewien. Zrobiliby dla niej wszystko.

Po drugiej stronie gibborimów obserwował Bruno. Bestii było tak wiele, że żaden atak nie wchodził w grę. Nawet gdyby rzucili się na nich we troje, nie udałoby się im dotrzeć do Gabrielli i Ewangeliny. Saitou--san czekała na schodach na sygnał, ale Bruno, podobnie jak Verlaine, zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Byli bezradni.

Nagle panujący tumult zagłuszyło potężne dudnienie. Z początku Verlaine nie potrafił określić źródła dźwięku. Zaczęło się od łagodnego poruszenia w oddali, przez kilka sekund rosło, aż przeobraziło się w charakterystyczny odgłos silnika. Verlaine rozejrzał się i zobaczył czarną furgonetkę, taką jak te, którymi gibborimowie zjechali do klasztoru Świętej Róży - pośród tłumu torowała sobie drogę do lodowiska.

Grożąc kobietom pistoletem, Grigori wepchnął je na schody. Verlaine próbował dojrzeć Ewangelinę, ale gibborimowie otaczali ją ze wszystkich stron. Kiedy orszak mijał Saitou-san, Verlaine widział, że się zawahała. Przez chwilę wydawało się, że chce się precisnąć obok gibborimów i zaatakować Grigoriego. Ale nie zrobiła nic.

Grigori zmusił Ewangelinę i Gabriellę, żeby wsiadły do furgonetki, popchnął je lufą pistoletu, po czym zasunął drzwi jednym szybkim ruchem. Samochód ruszył, Verlaine wołał Ewangelinę. Bezradność podsyciła jego gniew. Biegł za autem, mijając świąteczną scenografię i gigantyczną choinkę. Ewangelina odjechała.

Gibborimowie się rozproszyli. Weszli na górę i wtopili się w tłum zdezorientowanych ludzi, rozplynęli się, jakby nic się nie wydarzyło.

Verlaine zbiegł po schodach i wszedł na lód, stanął w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała Ewangelina. Ślizgał się, próbował utrzymać równowagę. Światła lamp wirowały na tafli, która w złotej, niebieskiej i pomarańczowej poświacie przypominała opal wodny. Wtem coś zwróciło jego uwagę. Przyklęknął, przyjrzał się warstwie lodu. Podniósł lśniący, złoty łańcuszek. Ktoś wgniół w lód naszyjnik z lirą.

## Róg 48. wschodniej ulicy i Park Avenue, Nowy Jork

Percival Grigori kazał kierowcy skręcić w Park Avenue, po czym jechać na północ do apartamentu, w którym czekali na niego Sneja i ojciec. Aleja była zakorkowana, posuwali się naprzód krótkimi odcinkami. Czarne, nagie gałęzie ozdobiono tysiącami kolorowych światełek; sznury żaróweczek rozpięte między drzewami na dzielącym jezdnie pasie zieleni to wznosiły się, to znów opadały. Percival przypomniał sobie, że ludzkie istoty szykowały się do świąt Bożego Narodzenia. Gładząc starą, twardą, zniszczoną skórę walizki, Percival wiedział, że choć ten jeden raz Sneja będzie zadowolona. Już sobie wyobrażał rozkosz na jej twarzy, kiedy rzuci jej do stóp lirę i Gabriellę Levi-Franche Valko. Kiedy zabrakło Otterley, był ostatnią nadzieją matki. Z pewnością daruje mu wszystkie przewinienia.

Gabriella siedziała naprzeciw niego. Kiedy się w niego wpatrywała, z jej oczu ziała czysta nienawiść. Ostatni raz widział ją przed ponad pięćdziesięciu laty, a jednak nadal żywił do niej równie silne - i równie sprzeczne - uczucia, jak w dniu, w którym nakazał ją pojmać. Gabriella bez wątplenia go nienawidziła, lecz on zawsze podziwiał siłę jej uczuć: czy była to namiętność, nienawiść czy strach - znała tylko skrajne emocje. Był przekonany, że ta kobieta nie ma nad nim już żadnej władzy, a tymczasem w jej obecności wyraźnie słabł. Mimo utraconej młodości i urody nadal emanował z niej groźny magnetyzm. Choć mógł odebrać jej życie w każdej chwili, wydawała się nieuleklna. Ale to się zmieni, kiedy spotkają się z jego matką. Sneja nigdy nie dała się onieśmielić Gabrielli.

Furgonetka zwolniła, zatrzymała się na czerwonym świetle. Percival przypatrzył się dziewczynie. Jej podobieństwo do Gabrielli, jaką znał w młodości - kremowa, mleczna skóra, owal zielonych oczu - zakrawało wręcz na absurd. Zdawało mu się, że oto zmaterializowała się przed nim Gabriella z jego fantazji. Dziewczyna miała nawet taki sam naszyjnik z lirą, jaki nosiła w Paryżu Gabriella. Z tym naszyjnikiem jego dawna ukochana za nic by się nie rozstała.

Wtem, zanim zdążył cokolwiek zrobić, Gabriella szarpnęła za drzwi, porwała z jego kolan walizkę i wyskoczyła na ulicę. Dziewczyna wymknęła się tuż za nią.

Percival wrzasnął na kierowcę, żeby jechał za nimi. Ten zignorował czerwone światło i skręcił w 51. ulicę, pod prąd, ale kiedy prawie je doganiali, kobiety przebiegły przez Lexington Avenue i znikły na schodach do metra. Percival chwycił laskę i wyskoczył z auta, zbierając wszystkie siły. Najszybciej jak mógł, przedzierał się przez tłum, a każdy krok sprawiał mu niemiłosierny ból.

Pierwszy raz znalazł się w nowojorskim metrze. Wśród automatów biletowych, rozkładów jazdy i bramek zupełnie się pogubił. Nie miał pojęcia, jak to wszystko działa. Paryskie metro pamiętał sprzed wielu lat. Jego otwarcie skusiło go do zejścia pod ziemię, jeździł metrem, kiedy było to w modzie, ale jego urok szybko mu się opatrzył. W Nowym Jorku podróżowanie tym środkiem transportu w ogóle nie wchodziło w grę. Na samą myśl o ścisisku w ludzkim tłumie robiło mu się niedobrze.

Zatrzymał się przy bramkach, żeby zaczerpnąć oddechu, po czym pchnął metalowy drąg. Nie drgnął. Pchnął go raz jeszcze, znów nic. Huknął laską w bramkę, klął z frustracji, a przy okazji zauważył, że wszyscy przystają i przyglądają mu się, jakby oszalał. Kiedyś po prostu wyrwałby metalową barierkę. Gdyby to było pięćdziesiąt lat temu, w ciągu kilku sekund dopadłby Gabriellę - której siły odebrał teraz przecież wiek - i jej współniczkę. Dziś był bezradny. Musiał jakoś sforsować zapórę.

Na stację wszedł młody mężczyzna w dresie, wyjął z kieszeni plastikową kartę. Percival zaczekał, aż podejdzie do bramki, i kiedy ten miał przyłożyć kartę, zdjął rączkę z laski i z całej siły pchnął go sztyltem w plecy. Mężczyzna upadł, uderzył w bramkę i jęcząc z bólu, osunął się tuż pod jego nogi. Percival wyrwał mu z ręki kartę, przesunął ją nad czytnikiem i przeszedł przez bramkę. Usłyszał huk wjeżdżającego na peron pociągu.

## Stacja na rogu 51. ulicy i Lexington Avenue, pociąg nr 6 lokalnej linii centralnej, Nowy Jork

Pociąg wjechał na stację, twarz Ewangeliny omiótł powiew gorącego powietrza. Dziewczyna wciągnęła głęboko powietrze, poczuła zapach stęchlizny i rozgrzanego metalu. Otworzyły się drzwi pojazdu, na peron wylał się strumień pasażerów. Po niecałych stu metrach biegu Gabriella była zupełnie wyczerpana. Ewangelina pomogła babce usiąść na lśniącem siedzeniu z pomarańczowego plastiku. Widziała, że brakuje jej sił. Gabriella oparła się, próbowała dobrać się do siebie. Ewangelina tymczasem zastanawiała się, czy Percival je śledzi i czy uda im się wymknąć.

W wagonie było pusto, tylko na końcu leżał, zajmując kilka siedzeń, nieprzytomny pijak. Wkrótce Ewangelina zrozumiała, czemu w wagonie nie ma innych pasażerów: kloszard zabrudził wymiocinami samego siebie i siedzenia. Fetor przyprawił dziewczynę o mdłości, ale wyjście na peron było zbyt dużym ryzykiem. Spróbowała zorientować się, dokąd dojadą. Zerknęła na mapę metra. Trafiły na pociąg zielonej linii 4-5-6, który dojeżdżał do stacji końcowej Most Brooklyński-Ratusz. Ewangelina dobrze знаła tamte okolice. Gdyby tylko udało im się tam dotrzeć, bez problemu znalazłyby kryjówkę. Musiały natychmiast dokądś się przemieścić, ale drzwi pociągu, jak na złość, były otwarte.

Z głośnika dobywał się głośny charkot, wypowiedane zdania się zlewały. Ewangelina domyślała się, że pewnie powiadomiano pasażerów o opóźnieniu odjazdu, choć nie była pewna. Drzwi nadal były otwarte, więc jej i babce nie przestało grozić niebezpieczeństwo. Ewangelina panicznie się bała, że znajdą się w pułapce, lecz widząc niepokój babki, zapomniała o własnym strachu.

- Co się stało? - spytała.

- Nie ma go - Gabriella z przestachem chwyciła się za szyję. - Zgubiłam amulet.

Ewangelina instynktownie musnęła palcami własny wisiołek, poczuła chłodny metal. Sięgnęła, żeby rozpiąć zamek i oddać naszyjnik babce, ale ta ją powstrzymała:

- Właśnie teraz będzie ci najbardziej potrzebny.

Z naszyjnikiem czy bez, stanie w miejscu było zbyt niebezpieczne. Ewangelina wychyliła się na peron, sprawdziła odległość do wyjścia. Już miała wziąć babkę pod rękę i wyprowadzić ją z pociągu, kiedy przez przysłonięte graffiti okno zobaczyła ich prześladowcę. Kuśtykając, zszedł po schodach na peron i przeszukiwał pociąg. Ewangelina przyklekła pod oknem, pociągając w dół Gabriellę i modląc się, żeby ich nie zauważył. Jakąż odczuła ulgę, kiedy rozległ się dzwonek i drzwi zaczęły się zamykać. Pociąg ruszył, koła zastukały, pojazd nabierał prędkości.

Ewangelina podniosła wzrok i serce jej zamarło. Tuż przed oczami zobaczyła zakrwawioną laskę. Percival Grigori spoglądał na nią z góry, jego twarz wykrzywiały wściekłość i wyczerpanie. Tak bardzo brakowało mu tchu, że Ewangelina od razu pomyślała, że bez trudu wymkną mu się na następnej stacji. Wiedziała, że nie wejdzie na żadne schody. On tymczasem wyjął z kieszeni pistolet i kazał im wstać, a wtedy stało się jasne, że wygrał. Chwyciwszy się metalowej poręczy, Ewangelina mocno trzymała babkę.

- Znów się spotykamy - powiedział Percival niemal szeptem. Schylił się i zabrał Gabrielli walizkę. - Ale tym razem na serio.

Pociąg jechał ciemnym tunelem, przechylając się na zakrętach. Percival położył walizkę na plastikowym krzeselku i ją otworzył. Wjechali na stację. Jacyś ludzie weszli do wagonu, ale czując fetor, natychmiast się przesiedli. Percival w ogóle nie zważał na smród. Rozwinął pudło z zielonego weluru, ze skózanego woreczka wyjął plektron, a ze skrzynki - jarzmo. Z kieszeni płaszczu dobył brązowe puzderko, które Alistair Carroll wy dostał spod obręczy posągu Prometeusza. Otworzył je i obejrzał siedem stroików z valkini. Wszystkie części liry leżały przed nimi, kołysały się w takt jazdy pociągu, tylko czekając, żeby ktoś je złożył.

Percival wyjął z walizki notatnik angelologiczny. Skórzana okładka i klamerka w kształcie anioła pojawiały się i znikwały w migającym świetle. Percival przewrócił strony, pominął informacje historyczne, kwadraty magiczne i pieczęcie. Zatrzymał się na obliczeniach Angeli.

- Co to takiego? - spytał, uważnie się w nie wpatrując.

- Przyjrzyj się. Przecież wiesz - odparła Gabriella.

Percival przeglądał strony, a jego konsternacja ustąpiła zachwytowi.

- Formuły, których nam nie dałaś - oznajmił wreszcie.

- Chciałeś powiedzieć - poprawiła go Gabriella - formuły, za które zamordowałeś naszą córkę.

Ewangelina wstrzymała oddech, dopiero w tej chwili pojęła tajemnicze słowa, które babka wypowiedziała w Centrum Rockefellera. Percival Grigori był jej dziadkiem. Ta świadomość przejęła ją grozą. On sam wydawał się równie zdumiony. Chciał się odezwać, ale dostał napadu kaszlu. Dyszał ciężko, wreszcie z trudem wysapał:

- Nie wierzę ci.

- Angela nie wiedziała, że jesteś jej ojcem. Oszczędziłam jej koszarnej prawdy. Niestety, nie mogłam tego zataić przed Ewangelina. Sama się przekonała, do jakiej podłości zdolny jest jej dziadek.

Percival popatrzył na Ewangelinę. Jego zmizerowana twarz zamarała. Dotarli do niego słowa Gabrielli.

- Domyślam się - ciągnęła Gabriella - że Sneja byłaby bardzo zadowolona, wiedząc, że dałeś jej potomka.

- Ludzki potomek jest nic niewart - odgryzł się Percival. - Interesuje ją tylko anielska krew.

Pociąg wjechał pędem na stację, wagon zalało białe światło. Pojazd podskoczył i stanął na stacji Union Square. Drzwi się otworzyły, do środka weszła grupka rozradowanych ludzi, wracających najpewniej z gwiazdkowego spotkania. Na Percivala zupełnie nie zwracali uwagi, usiedli w pobliżu, rozmawiali, śmiali się w głos. Zaniepokojona Gabriella przesunęła się, żeby zasłonić walizkę.

- Tego instrumentu nie wolno wystawiać na widok publiczny - pouczyła Percivala. - To zbyt niebezpieczne.

Percival skinął pistoletem na Ewangelinę. Dziewczyna po kolei podnosiła części liry, oglądała je i odkładała do walizki. Kiedy dorknęła pudła rezonansowego, poczuła coś dziwnego. Z początku próbowała ignorować to uczucie, biorąc je za wywołane obecnością prześladowcy strach i panikę. Po chwili jednak usłyszała niezemi dźwięk - jej umysł wypełniły doskonale, rozkoszne nuty, które wznosiły się i opadały, a każda przeszywała ją dreszczem. Dźwięk był tak cudowny, tak orzeźwiający, że wyteżyła słuch, żeby się nim nasycić. Zerknęła na babkę, która wdała się w kłótnię z Percivalem. Muzyka zagłuszała jej słowa, Ewangelinie zdawało się, że od reszty świata dzieli ją gruby, szklany klosz. Nic nie miało znaczenia, liczył się tylko instrument. Miał na nią hipnotyzujący wpływ, wiedziała, że ta melodia nie jest tylko tworem jej wyobraźni. Lira ją wzywała.

Raptem Percival z hukiem zatrzasnął walizkę i wyrwał ją Ewangelinie. Urok, który padł na dziewczynę, w jednej chwili prysł. Powodowana nagłą, gwałtowną rozpaczą, bez zastanowienia rzuciła się na Percivala i odebrała mu instrument. Przyszło jej to bez trudu - rozpięła ją nowa energia, której przed chwilą jeszcze przecież nie miała. Wyostrzył jej się wzrok. Ścisnęła walizkę mocno, gotowa za wszelką cenę jej bronić.

Pociąg zatrzymał się na kolejnej stacji. Z wagonu wysiedli pasażerowie, nieświadomi dramatu, jaki się w nim rozgrywał. Rozległ się dzwonek, drzwi się zamknęły. W środku zostali tylko Percival, Gabriella, Ewangelina i cuchnący pijak na drugim końcu wagonu. Ewangelina odwróciła się tyłem do Gabrielli i Percivala i otworzyła walizkę. Wystarczyło tylko złożyć części instrumentu. Dziewczyna szybko przymocowała jarzmo do pudła, przykręciła stroiki, po czym powoli naciągnęła struny. Sądziła, że zmontowanie liry będzie kosztowało ją wiele trudu, a tymczasem składała ją z łatwością. Poczuła pod palcami drganie napiętych strun.

Dziewczyna pogładziła lirę. Metal był chłodny i gładki. Musnęła jedwabistą strunę, dostroiła ją, nasłuchując tonu. Wyjęła plektron, który zaśnieł w ostrym świetle wagonów, i przystawiła go do strun. W jednej chwili obraz świata się zmienił. Hałas wagonów, groźby Percivala, przyspieszone bicie serca - wszystko się uspokoiło, a każdy zmysł Ewangeliny sycił się słodką, radosną wibracją, wielokrotnie potężniejszą od poprzedniej. Dziewczyna miała wrażenie, że jednocześnie przeżywa jawę i sen. Nadal odbierała fragmenty namacalnej rzeczywistości - kołysanie pociągu, widok rączki laski z kości słoniowej - a jednak czuła się jak we śnie. Czysty, potężny dźwięk przejął nad nią władzę.

- Przestań - nakazała Gabriella. Choć stała tuż obok, jej głos rozbrzmiewał w uszach wnuczki, jakby dochodził z odległego pomieszczenia. - Ewangelino, nie wiesz, co robisz.

Ewangelina spojrzała na babkę jak przez mgłę. Mimo bliskości ledwie ją widziała.

- Nikt nie wie, jak należy na niej grać - tłumaczyła Gabriella. - Możesz sprowadzić na świat nieszczęście. Błagam cię, przestań.

Percival wpatrywał się w Ewangelinę z lubością, z jego oczu biła wdzięczność. Dźwięk liry zaczął magicznie oddziaływać także na niego. Podeszedł bliżej i dotknął liry rozedrganymi z żądz palcami. Wtem wyraz jego twarzy zupełnie się zmienił. Patrzył na Ewangelinę z przerażeniem i czcią, zgrozą i podziwem.

Z oczu Gabrielli wyzierał strach.

- Ewangelino, kochana moja, co się stało?

Ewangelina nie pojmowała, o co babce chodzi. Spojrzała po sobie, niczego nie dostrzegła. Dopiero kiedy się odwróciła i zobaczyła swoje odbicie w szerokiej, ciemnej, plastikowej szybie wagonu, wstrzymała oddech. Ponad jej ramionami, otoczone poświatą złotego światła, rozpościerały się lśniące, lekkie skrzydła, tak piękne, że nie sposób było oderwać od nich wzroku. Ewangelina leciusiętko napięła mięśnie i całkowicie je rozłożyła. Skrzydła oparły się o jej plecy, nie czuła jednak ich wagi i przez

chwile zastanawiała się, czy nie są aby złudzeniem. Wygięła się, żeby lepiej je zobaczyć. Półprzezroczyste pióra miały barwę przetykanej srebrem purpury. Ewangelina wciągnęła głęboko powietrze i skrzydła się poruszyły. Wkrótce zaczęły pulsować w rytmie jej oddechu.

- Kim jestem? - spytała dziewczyna, uświadamiając sobie grozę przeobrażenia. - Kim się stałam?

Percival podszedł do Ewangeliny. Czy to wskutek działania liry, czy nagłego zainteresowania wnuczką, z wysuszonego, zgarbionego starca przeobraził się w imponującego olbrzyma, przy którym Gabriella wydawała się maleńka. Jego skórę rozpałał wewnętrzny ogień, jego błękitne oczy lśniły, stał wyprostowany jak struna. Odrzucił laskę i rzekł:

- Masz takie same skrzydła jak twoja praprababka. Nigdy takich nie widziałem, ale wiem od ojca, że są oznaką najczystszej krwi anielskiej. Stałaś się jedną z nas, Grigorich.

Percival położył jej rękę na ramieniu. Miał lodowate palce. Ewangelinę przeszedł dreszcz, który upoił ją i dodał sił. Zdawało jej się, że w jednej chwili wyzwoliła się z kokonu, w którym żyła dotychczas. Poczuła moc, pełnię życia.

- Chodź ze mną - mówił Percival jedwabistym głosem. - Poznasz moją matkę. Chodź do domu, do rodziny. Zapewnimy ci wszystko, czego potrzebujesz, wszystko, czego dotąd ci brakowało, wszystko, co zechcesz. Skończą się twoje pragnienia. Świat przeminie, a ty będziesz jeszcze długo żyć. Wszystkiego cię nauczę, pokażę, jak korzystać z potęgi, która przysługuje ci na mocy prawa urodzenia. Tylko my możemy zapewnić ci przyszłość.

Ewangelina spojrzała Percivalowi głęboko w oczy i zobaczyła w nich to, co mógłby jej dać. Czekają na nią rodzina i potęga. Mogła odzyskać wszystko, co straciła: dom, krewnych. Tego nie mogła zapewnić jej Gabriella.

Spoglądając na babkę, zdumiała się zmianą jej wyglądu. Gabriella wydała się tylko słabą, nieznaczącą kobietą, kruchą ludzką istotą ze łzami w oczach.

- Wiedziałaś, kim jestem - powiedziała dziewczyna.

- Przebadaliśmy cię z ojcem, kiedy byłaś mała - odparła Gabriella. - Wiedzieliśmy, że masz nefilistyczne płuca, ale z naszych analiz i z prac Angeli nad degeneracją nefilimów wynikało, że dziewięćdziesiąt procent ich potomstwa w ogóle nie wykształca skrzydeł. Tego się nie da wyjaśnić samą genetyką. Musiało zadziałać coś jeszcze.

Oczarowana powabem skrzydeł Ewangeliny, Gabriella dotknęła ich. Ewangelina odsunęła się z odrazą.

- Chciałaś mnie oszukać - powiedziała z wyrzutem. - Chciałaś, żebym zniszczyła lirę. Wiedziałaś, kim jestem.

- Zawsze obawiałam się, że to Angela wyrośnie na nefilima, była tak podobna do Percivala. Ale nawet gdyby stało się najgorsze, wierzyłam, że przewyższy go duchem.

- Matka nie była taka jak ja - ucięła Ewangelina. - Była człowiekiem. Domyślając się sprzecznych uczuć wnuczki, Gabriella oznajmiła:

- Tak, twoja matka była człowiekiem pod każdym względem. W jej ludzkim sercu była delikatność, współczucie i ogromna miłość dla twojego ojca. Może była to tylko złudna matczyzna nadzieja, ale nie wątpiłam, że Angela wzniesie się ponad swoje pochodzenie. Z jej prac wynikało, że nefilimowie wymierają. Czekaliśmy na powstanie nowej rasy, w której przeważąby cechy ludzkie. Myślałam, że nawet jeśli Angela wyrośnie na jedną z nich, to na pierwszą z nowej rasy. Ale to nie było przeznaczenie Angeli, tylko twoje.

Pociąg wjechał na stację, drzwi się otworzyły. Gabriella przyciągnęła Ewangelinę. Słowa babki ledwie do niej docierały.

- Uciekaj, Ewangelino - wyszeptała pośpiesznie. - Weź lirę i zniszcz ją. Nie poddaj się pokusie. Wszystko zależy od ciebie. Biegnij, kochana, i się nie oglądaj.

Ewangelina przez chwilę trwała w objęciach Gabrielli - ten uścisk przypominał jej, jak bezpiecznie czuła się przy matce. Gabriella ścisnęła ją mocno raz jeszcze, po czym lekko odpychając, wypuściła z objęć.

## Stacja Most Brooklyński-Ratusz, Nowy Jork

Percival szarpnął Gabriellę za ramię i wyprowadził z pociągu. Wiódł ją bez trudu, ręce miała chude i kruche jak gałązki. Nigdy nie dorównywała mu siłą, ale w Paryżu potrafiła stawić mu opór. Teraz była tak słaba, tak bezwolna, że mógłby ją skrzywdzić bez żadnego wysiłku. Niemal żałował, że nie jest silniejsza. Chciał, by walczyła, kiedy będzie odbierał jej życie.

Ciągnąc Gabriellę po peronie, wiedział, że musi się zadowolić grozą w jej oczach. Chwycił ją za kołnierz - z czarnego płaszcza posypały się maleńkie guziczki, rozpięchły się po betonie jak wystraszona błyskiem światła chmara chrząszczy. Spod okrycia wyzierała jej blada, pomarszczona skóra, tylko wzdłuż obojczyka wiła się gruba, różowa blizna. Doszli do ciemnej klatki schodowej na końcu peronu. Tam Percival zrzucił Gabriellę ze schodów, po czym doskoczył do niej, przysłaniając ją swoim cieniem. Próbowwała się przeturłać, ale docisnął ją do ziemi kolanem. Nie pozwoli jej uciec.

Położył ręce na jej sercu, pod palcami czuł jego szybkie, mocne bicie. Wyczuwał puls - oszalały jak u małego zwierzęcia.

- Gabriello, mój cherubinie - zwrócił się do niej, ale ona milczała, odwróciła wzrok. Pogładził ją po drobnej klatce piersiowej i poczuł jej strach: dłonie miał wilgotne od jej potu. Zamknął oczy. Pragnął Gabrielli przez całe dziesięciolecie. Wpadł w ekstazę, gdy wiała się pod jego dłońmi z bólu. Walka nie miała sensu. Jej życie należało do niego.

Kiedy znów na nią spojrzął, nie żyła. Jej wielkie zielone oczy wciąż były otwarte, jasne i piękne, jak w dniu, w którym ją poznał. Na chwilę ogarnęła go niepojęta czułość. Musnął jej policzek, czarne włosy, maleńką dłoń w ciasnej, skórzanej rękawiczce. Zabójstwo upoiło go, lecz w sercu czuł ból.

Naraz rozproszył go jakiś dźwięk. Na szczycie schodów stała i przyglądała mu się Ewangelina. Miała nadzwyczajne skrzydła, nigdy takich nie widział. Idealnie symetryczne, pulsowały w rytm jej oddechu. Nawet on sam w młodości nie mógł się takimi pochwalić. Teraz odzyskiwał siły. Dźwięk liry zaczął przywracać mu zdrowie. Kiedy zdobędzie instrument na własność, będzie potężniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Percival podszedł do Ewangeliny. Skurcze ustąpiły, nie doskwierał mu ucisk uprzęży. Dziewczyna trzymała lśniącą lirę. Chciał ją wyrwać, ale postanowił działać ostrożnie. Musi zachować spokój. Nie może jej przerazić.

- Czekając na mnie - powiedział z uśmiechem. Choć skrzydła przydały dziewczynie majestatu, miała w sobie coś z dziecka. Z wahaniem spojrzała mu w oczy.

- Nie mogłam odejść - oznajmiła. - Chciałam zobaczyć, jak to jest...

- Być jedną z nas? - spytał Percival. - Ach, wszystkiego się dowiesz. Tak wiele muszę cię nauczyć.

Percival wstał, wyprostował się. Położył dłoń na plecach Ewangeliny, po czym wsunął palce pod jej skrzydła i ucisnął czułą skórę u ich podstawy, w miejscu, w którym wyrostki łączyły się z kręgosłupem. Ewangelina poczuła nagłe osłabienie, jakby ktoś trafił ją w czuły punkt.

- Schowaj je - polecił Percival. - Jeszcze ktoś cię zobaczy. Nigdy nie obnoś się z nimi publicznie.

Ewangelina schowała skrzydła - w jednej chwili złożyły się i stały niewidoczne.

- Świetnie - pochwalił Percival, prowadząc ją przez peron. - Wkrótce wszystko zrozumiesz.

Weszli po schodach na antresolę. Minęli neon, wyszli w zimną, przejrzystą noc. Przed nimi wznosił się most Brooklyński, światła olbrzymich wież odbijały się w wodzie. Percival rozejrzał się za taksówką, ale ulice były opustoszałe. Musieli dostać się do apartamentu. Snejka z pewnością czeka. Nie mogąc dłużej się powstrzymać, Percival wyjął lirę z rąk Ewangeliny. Przycisnął ją do ciała, rozkoszując się zwycięstwem. Odzyskał lirę dzięki własnej wnuczce. Wkrótce wróci mu siły. Gdyby tylko widziała go teraz Snejka, jego triumf byłby kompletny.

## Stacja Most Brooklyński-Ratusz, Nowy Jork

Odzyskawszy władzę nad zmysłami, Ewangelina zdała sobie sprawę z uroku, jaki rzuciła na nią lira. Była niewolnicą instrumentu, wpadła w hipnotyczny trans, ale uświadomiła to sobie dopiero wówczas, kiedy lira została jej odebrana. Wpadła w popłoch na myśl o tym, że beczynnienie stała, przyglądając się, jak Percival zabija babkę. Gabriella wiała się pod nim, a Ewangelina - choć była tak blisko, że słyszała jej ostatnie tchnienie - obserwowała cierpienie babki bez emocji, wręcz z chłodnym zainteresowaniem. Widziała, jak Percival położył ręce na jej piersiach, jak Gabriella się szarpała, po czym zgasła, jakby ktoś raptownie wyssał z niej życie. Miała pewność, że akt zabójstwa był dla Percivala źródłem zmysłowej rozkoszy.

Do oczu napłynęły jej łzy. Czy Gabriella zginęła tak jak Angela? Czy i matka Ewangeliny wiała się pod uciskiem dłoni Percivala? Ewangelina ze wstrętem obmacała własne ramiona i plecy. Nie czuła skrzydeł. Pamiętała, jak Percival nauczył ją je chować i jak delikatnie ocierały się o skórę, ale w tej chwili nie była pewna, czy rzeczywiście je miała. Może to był tylko koszmar senny. Nie. Lira w rękach Percivala świadczyła o tym, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

- Chodź, pomóż mi - nakazał Percival. Rozchylił płaszcz i jedwabną koszulę, odsłonił skózaną uprzęż. - Rozepnij to. Muszę się obejrzeć.

Ewangelina przez chwilę trudziła się z rozpięciem małych, nieporęcznych klamerek. Dotyk bladego, zimnego ciała Percivala napawał ją wstrętem. Percival zdjął koszulę i zrzucił uprzęż. Miał żebra otarte do żywego. Ewangelina stała tak blisko, że czuła woń jego ciała. Ta bliskość przyprawiała ją o mdłości.

- Spójrz - powiedział Percival triumfalnie. Odwrócił się, ukazując dwa niewielkie, zaróżowione świeżą skórą wyrostki, z których wyrastały złote pióra. - Odrastają. Wiedziałem. Odkąd do nas dołączyłaś, wszystko się zmieniło.

Wpatrując się w Percivala, Ewangelina rozważała wybór, jakiego przyszło jej dokonać. Mogłaby bez przeszkód pójść w ślady Percivala, dołączyć do jego rodziny, wejść w kręgi nefilimów. Być może miał rację, mówiąc, że teraz jest jedną z Grigorich. W głowie dźwięczały jej jednak słowa babki: Nie poddawaj się pokusie. Wszystko zależy od ciebie. Odwróciła wzrok od Grigoriego. Na nocnym niebie jaśniał most Brooklyński. Ewangelina pomyślała o Verlainie, o tym, jak bardzo mu ufała.

- Jesteś w błędzie - stwierdziła gniewnie. - Nie dołączyłam i nie dołączę. Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą i tą rodziną morderców.



Wtem Ewangelina rzuciła się na Percivala. Pamiętała nagłą słabość, którą odczuła, kiedy on dotknął podstawy jej skrzydeł. Chwyliła go za wyrostki, które z taką dumą jej pokazał, i powaliła na ziemię. Zdumiała ją własna siła - Percival gruchnął o beton, wil się w agonii u jej stóp. Odwróciła go na brzuch i wyłamała skrzydło, spod którego zaczął się sączyć gęsty, błękitny płyn. Otworzyła się wielka, ziejąca rana. Płuca Percivala zapadały się z bulgotem.

Po śmierci ciało Percivala całkiem się przeobraziło. Jego skóra ściemniała, rozpuściły się złote włosy, oczy zapadły się w czarne doły, a małe skrzydła rozsypały w złoty pył. Ewangelina przyklękała i zebrała pyłek w palce. Uniosła dłoń i przyjrzała się migocącym drobinom. Zdmuchnęła je.

Wyciągnęła lirę spod ramienia Percivala. Odzyskała instrument, więc cieszyła się z tego, lecz hipnotyzująca moc liry nadal ją przerażała.

Wtem widok zwłok zmierzył ją do głębi. Rzuciła się do ucieczki, jakby trup miał ją zarazić. W oddali widziała stalowe liny mostu. Rozświetlone, kryte wapnieniem wieże wrastały w nocne niebo. Ostatni raz przechodziła przez ten most w dzieciństwie, podczas jednego z wielu spacerów z ojcem. Ileż by dała, żeby czekał na nią zaraz, po drugiej stronie.

Weszła na betonową pochylnię. Dotarła do drewnianej kładki. Szła, ściskając lirę. Silny wiatr utrudniał jej marsz, ale ona szła niestrudzenie naprzód, wpatrzona w światła Brooklynu. Chodnik był pusty, ale z obu stron ciągnęły się sznury samochodów, ich światła rozbłyskiwały między deskami kładki dla pieszych.

Ewangelina przystanąła przy pierwszej wieży. Zaczął padać śnieg. Gęste, mokre płatki wirowały w płataninie kabli, opadały na lirę, chodnik, czarną rzekę. Wokoło roztaczał się widok na miasto, światła odbijały się w obsydianowej tafli rzeki East, która zdawała się wyspą życia w bezkresnej próżni. Ewangelina wpatrzyła się w Brooklyn z rozdartym sercem. Nikt na nią nie czekał. Nie żyli ojciec, matka, Gabriella. Nie było sióstr, które pokochała. Była sama jak palec.

Napięła mięśnie i rozpostarła skrzydła. Dziwiło ją, że posługiwanie się nimi przychodzi jej z taką łatwością, jakby miała je całe życie. Zmagając się z wiatrem, podeszła do barierki. Spojrzała na odległe światła i uspokoiła się. Przeszkadzały jej porywy wiatru, ale ustawiła skrzydła pod kątem, by zachować równowagę. Rozłożyła je i odepchnęła się od ziemi. Poszybowała w górę, ponad grubymi stalowymi kablami, w otchłań nieba.

Doleciała na szczyt wieży. Na chodniku poniżej leżała świeża warstwa śniegu. Mróz zupełnie Ewangelinie nie przeszkadzał, zdawało jej się, że straciła czucie. Właściwie nie czuła niczego. Wpatrując się w rzekę, rozważała, co robić. Po chwili była już zdecydowana. Chwyliła lirę obiema rękami. Ucisnęła pudło, poczuła, jak chłodny metal mięknie i stopniowo się rozgrzewa. Nacisnęła mocniej - lira nie stawiała oporu; walkinia weszła w reakcję chemiczną z jej skórą i powoli zaczęła się rozpuszczać. Wkrótce dziewczyna trzymała w rękach pół płynne światło, które zaraz przeobraziło się w kulę ognia jaśniejszą niż gwiazdy na niebie. Przez ulotną chwilę Ewangelina zapragnęła ocalić instrument, ale wspomniawszy słowa Gabrielli, rzuciła kulę przed siebie. Ta opadła do rzeki jak gwiazda, a jej światło rozpuściło się w atramentowych wodach.

## **Mieszkanie Gabrielli Levi-Franche Malko, Upper West Side, Manhattan**

Choć Verlaine chciał pomóc angelologom, wiedział, że na niewiele się przyda, nie mając niezbędnej wiedzy i doświadczenia, trzymał się więc na uboczu i przysłuchiwał gorączkowym rozmowom o tym, jak zlokalizować Gabriellę i Ewangelinę. Wciąż miał przed oczami scenę porwania - widział rojących się w Centrum Rockefellera gibborimów, Gabriellę i Alistaira wchodzących na lodowisko, ucieczkę Grigoriego. W głębi ducha odczuwał jednak dziwny spokój. Wskutek ostatnich wydarzeń stał się odrętwiały. Może był w szoku. Nie potrafił pogodzić świata, w którym żył wczoraj, ze światem, do którego wkroczył dzisiaj. Zapadł się na kanapie i patrzył w ciemność za oknem. Zaledwie przed kilkoma godzinami siedział na tej samej kanapie z Ewangelina, tak blisko, że wyczuwał najmniejszy jej ruch. Zdumiewała go siła uczuć, które do niej żywił. Czy to możliwe, że poznał ją dopiero wczoraj? Ich znajomość trwała tak krótko, a już nie mógł przestać o niej myśleć. Za wszelką cenę chciał ją odnaleźć, najpierw jednak angelolodzy musieli wytropić nefilimów, a to wydawało się niemożliwe, bo jak prowadzić pogoń za cieniem? Gibborimowie pryśli, rozproszyli się w tłumie w tej samej sekundzie, w której znikł Grigori. Verlaine wiedział już, że w tym kryła się ich moc: pojawiali się / .nikąd i rozpływali w ciemnej nocy, niewidzialni, zabójczy, nicdosi ignieni.

Kiedy Percival wymknął się z Centrum Rockefellera, Verlaine dołączył do Brunona i Saitou-san, we trójkę wyszli z hali głównej. Bruno przywołał taksówkę. Udali się do mieszkania Gabrielli. Po chwili na miejsce podjechali furgonetką agencji działający w terenie. Bruno przejął dowodzenie, wpuścił angelologów na piętro. Bez przerwy zerkał w stronę okien, jakby spodziewał się, że Gabriella lada chwila wróci.

Wkrótce po północy dowiedzieli się o śmierci Władimira. Verlaine wysłuchał wieści z ust angelologa oddelegowanego do kościoła Riverside z ponurym spokojem, jakby zbrodnie nefilimów nie robiły już na nim wrażenia. Podwójne zabójstwo, Władimira i pana Graya, odkryto wkrótce po ucieczce Saitou-san. Ciało Władimira było podobnie zwęglone jak ciało Alistaira Carrola; Verlaine uznał poczarne

zwłoki ofiar za podpis nefilimów. Nazajutrz dowie się o tym całe miasto. Jeden z angelologów poniósł śmierć, dwóch zaginęło. Tragiczny finał misji był oczywisty.

Otrzymałszy wiadomość o śmierci Władimira, Bruno podjął działania z jeszcze większą determinacją. Wściekły wydawał rozkazy, podczas gdy Saitou-san usiadła przy złożonym sekretarzyku i wykonywała kolejne telefony, prosząc agentów o wsparcie i informacje. Pośrodku pokoju Bruno powiesił mapę, podzielił obszar miasta na rewiry i rozesłał agentów, którzy dowolnym możliwym sposobem mieli zdobyć wskazówki na temat miejsca pobytu Grigoriego. Wszyscy wiedzieli, że na Manhattanie zamieszkują setki, może nawet tysiące nefilimów. Percival mógł być dosłownie wszędzie. Choć apartament Grigorich przy 5. Alei był już pod obserwacją, Bruno posłał do parku dodatkowych agentów. Kiedy stało się jasne, że Percivala tam nie ma, Bruno wrócił do map i bezowocnych poszukiwań. Bruno i Saitou-san snuli coraz bardziej nieprawdopodobne teorie. Nie spoczęli nawet na chwilę, jednak Verlaine czuł, że ich wysiłki są daremne. Nagle poszukiwania wydały mu się bezsensowne. Wiedział, że gra toczy się o wysoką stawkę i że nie sposób przewidzieć konsekwencji utraty liry. Właśnie na instrumencie skupiali się angelolodzy, nie na Ewangelinie. Dopiero po jakimś czasie, spoczywając na kanapie, na której jeszcze niedawno z nią siedział, Verlaine pojął sytuację. Jeśli chciał odnaleźć Ewangelinę żywą, musiał zrobić to sam.

Bez słowa włożył płaszcz, zbiegł po dwa schodki naraz i wyszedł na dwór. Zaczerpnął w płuca zimne, nocne powietrze i zerknął na zegarek: była druga nad ranem, dzień Bożego Narodzenia. Ulica była wyludniona, miasto spało. Verlaine nie miał rękawiczek, więc wsunął ręce do kieszeni i ruszył na południe wzdłuż Central Park West, zbyt zatopiony w myślach, aby zważać na chłód. Gdzieś w tym ponurym miejskim labiryncie czekała na niego Ewangelina.

Idąc do centrum, w kierunku rzeki East, wpadł w gniew. Szedł coraz szybciej, mijał kolejne przecznice czarnych witryn sklepowych, rozważając rozmaite scenariusze. Nie mógł pogodzić się z rzeczywistością, z utratą Ewangeliny. Zastanawiał się nad metodami poszukiwań, ale podobnie jak Bruno i Saitou-san niczego nie wymyślił. Chyba stracił rozum, sądząc, że uda mu się to, co im się nie udało. Był nieprawdopodobnie sfrustrowany, przed oczami miał blizny oplatające ciało Gabrielli, drżał z zimna. Myśli o tym, że ktoś mógłby zadać Ewangelinie ból, nie mógł nawet do siebie dopuścić.

W oddali zajaśniał most Brooklyński. Verlaine przypomniał sobie, z jaką tęsknotą mówiła o nim Ewangelina. Widział w myślach profil jej twarzy, kiedy jechali z klasztoru do miasta, a ona dzieliła się z nim wspomnieniami spacerów z ojcem w dzieciństwie. Na myśl o szczerości jej uczuć i smutku w głosie, poczuł, jak ściska mu się serce. Widział ten most setki razy, nagle i on poczuł się z nim związany. Popatrzył na zegarek. Dochodziła piąta, niebo ponad mostem zaczęła barwić najlżejsza nuta poranka. Miasto wydawało się ponure i martwe. Światła przejeżdżających od czasu do czasu taksówek padały na most i rozpraszały mglistą ciemność. W mroźnym powietrzu wily się strumienie ciepłej pary. Na tle panoramy miasta most wydawał się solidny, potężny. Przez chwilę Verlaine po prostu mu się przyglądał, podziwiał budowlę ze stali, betonu i granitu.

Most nagle stał się niezamierzonym miejscem jego przeznaczenia. Verlaine już miał się skierować z powrotem do mieszkania Gabrielli, gdy jego uwagę zwróciło poruszenie w górze. Na zachodniej wieży stała z rozpostartymi skrzydłami jedna z nieziemskich postaci. W mroku po ranka Verlaine ledwie mógł wypatrzeć jej zwięzające się elegancko skrzydła. Istota stała na skraju wieży, obserwowała miasto. Verlaine wyczuł wzrok, a wtedy osobliwa postać wydała mu się jeszcze dziwniejsza. Nefilimowie byli zwykle potężni - o wiele wyżsi i silniejsi od ludzi - tymczasem ta była maleńka. Skrzydła zdawały się ją wręcz przytłaczać. Verlaine przyglądał się z podziwem, jak rozpościera skrzydła, szykując się do lotu. Podeszedł bliżej wieży, serce zamarło mu w piersi. To była Ewangelina.

W pierwszej chwili Verlaine chciał ją zawołać, ale nie mógł dobyć głosu. Poraziły go groza i dojmujący ból zdrady. Ewangelina go oszukała. Co gorsza, oszukała ich wszystkich. Verlaine z odrazą odwrócił się i popędził ulicą, krew szumiała mu w uszach, serce waliło z wysiłku. Mroźne powietrze paliło mu płuca przy każdym oddechu. Nie wiedział, czy to chłód wywołał ból w piersiach, czy utrata Ewangeliny.

Cokolwiek czuł, musiał ostrzec angelologów. Gabriella powiedziała mu kiedyś - czyżby było to raptem wczoraj rano? - że jeśli do nich dołączy, nigdy nie będzie mógł się wycofać. Teraz zrozumiał, że miała rację.

## **West Tower, most Brooklyński między Manhattanem a Brooklynem, Nowy Jork**

Ewangelina obudziła się przed świtem, z głową opartą na miękkim skrzydle. Zaspana przez chwilę spodziewała się zobaczyć swoją celę w klasztorze Świętej Róży - wykrochmaloną pościel, maleńką, drewnianą komodę, płynący za oknem Hudson. Wstała, rozejrzała się w mroku miasta, otuliła się skrzydłami jak cudowną, purpurową peleryną i wróciła do rzeczywistości. Zrozumiała, kim jest, rozumiała, że tego nie da się cofnąć. Jej dotychczasowe życie i plany na przyszłość odeszły na zawsze.

Zerknęła w dół i sprawdziła, czy nikogo nie ma w pobliżu. Stała na skraju granitowej wieży. Wiatr unosił jej skrzydła, przeciskał się między piórami, porywał w górę. Stojąc tak wysoko, że cały świat miała u stóp, Ewangelina przelękła się. Latanie było dla niej czymś nowym, przestraszyła się długiego upadku. Kiedy jednak głęboko odetchnęła i zrobiła krok do przodu, to choć serce skoczyło jej do

gardła na myśl o bezkresnej głębinie, wiedziała, że skrzydła jej nie zawiodą. Uniosła się w stan nieważkości z prądem lodowatego powietrza.